

Stanisław Lem

Opowieści o pilocie Pirxie

TEST

1

— Kadet Pirx!

Głos Ośle Łączki wyrwał go z głębi marzeń. Wyobraził sobie właśnie, że w kieszonce od zegarka starych cywilnych spodni na dnie szafki leży dwukoronówka. Srebrna, dźwięcząca, zapomniana. Przed chwilą jeszcze wiedział dokładnie, że nie było tam nic, najwyżej stary kwit pocztowy, ale powoli doszedł do przekonania, że mogła być, i kiedy Ośła Łączka wymienił jego nazwisko, był już całkiem pewien. Można powiedzieć, że wyraźnie czuł jej krągłość i widział, jak rozpiera się w kieszonce. Mógł pójść do kina — i jeszcze zostałyby mu pół korony. A gdyby poszedł tylko na aktualności, zastałoby półtora, z tego koronę by odłożył, a za resztę pograłby na automatach. Jeśliby automat zaciał się i zaczął bez końca wysypywać miedziaki prosto w otwartą dłoń, a on ledwo by nadażał z pakowaniem ich do kieszeni, i znowu podstawiałby rękę... zdarzyło się to przecież Smidze! Uginał się pod ciężarem zdobytej nieoczekiwanie fortuny, kiedy wyrwał go Ośła Łączka.

Wykładowca założył po swojemu ręce do tyłu i stając na zdrowej nodze, zadał pytanie:

— Co kadet zrobiłby, natrafiwszy w patrolu na statek obcej planety?

Kadet Pirx otworzył usta, jakby w ten sposób chciał wygonić znajdującą się w nich odpowiedź. Wyglądał, jak ostatni na świecie człowiek, który wie, co trzeba robić, spotykając rakiety obcych planet.

— Zbliżyłbym się — powiedział głuchym, dziwnie zgrubiałym głosem.

Cały kurs zamarł. Wszyscy wietrzyli coś mniej nudnego niż wykład.

— Bardzo dobrze — rzekł ojcowsko Ośła Łączka — i co dalej?

— Zastopowałbym — wybuchnął kadet Pirx, czując, że znajduje się już daleko poza przednią linią swych wiadomości.

Gorączkowo poszukiwał w opustoszałej głowie jakichś paragrafów „Postępowania w Przestrzeni”. Miał wrażenie, że w życiu nie widział go na oczy. Spuścił skromnie wzrok i zobaczył wtedy, jak Śmiga mówi coś w jego stronę — samymi ustami. Odczytał to i powtórzył głośno, zanim jeszcze sens tych słów dotarł do niego:

— Przedstawiłbym się im.

Cały kurs ryknął jak jeden człowiek. Ośła Łączka walczył sekundę, ale też wybuchnął śmiechem. Bardzo szybko spoważniał.

— Kadet zgłosi się do mnie jutro z książką nawigacyjną. Kadet Boerst!

Pirx usiadł, jakby krzesło było ze szkła, nie całkiem jeszcze ostygłego. Nie miał nawet wielkiego żalu do Smigi — on już taki był, nie mógł przepuścić okazji, jeśli się nadarzyła. Nie słyszał ani słowa z tego, co mówił Boerst — rysował na tablicy krzywe, a Ośła Łączka ściszał po swojemu odpowiedzi elektronicznego Kalkulatora, tak że odpowiadający gubił się na koniec w obliczeniach. Regulamin zezwalał na korzystanie z pomocy Kalkulatora, ale Ośła Łączka miał w tej sprawie własną teorię: „Kalkulator też człowiek” — mówił — i może się popsuć”. Pirx nie miał nawet żalu do Ośle Łączki. Nie miał żalu do nikogo. Prawie nigdy. Po pięciu minutach stał już przed sklepem na Dyerhoffa i oglądał na wystawie gazowe pistolety, z których można strzelać patronami ślepyimi, kulowymi lub gazowymi — komplet sześć koron, z setką naboji. Oczywiście na Dyerhoffa był w wyobraźni.

Po dzwonku kurs opuścił salę, nie z krzykiem i tupaniem jak pierwszy czy drugi — nie byli w końcu dziećmi! Niemal połowa pociągnęła do jadalni — nie było tam o tej porze nic do jedzenia, ale można było spotkać nową kelnerkę. Podobno ładna. Pirx szedł wolno między szklanymi szafami, pełnymi gwiazdowych globusów, i z każdym krokiem tracił nadzieję, że

w kieszonce znajdzie się dwukoronówka. Na ostatnim schodku wiedział, że jej tam nigdy nie było.

Pod bramą stali Boerst, Śmiga i Payartz, z którym siedział pół roku przy jednym stole na kosmodezji. Wszystkie gwiazdy w atlasie zasmarował Pirxowi tuszem.

— Masz jutro próbny lot — powiedział do niego Boerst, kiedy ich mijali.

— W porządku — odparł flegmatycznie. Nie dawał się tak łatwo nabierać.

— Nie wierzysz — to przeczytaj! — stuknął Boerst palcem w szkło tablicy ogłoszeń.

Chciał iść dalej, ale głowa jakoś sama mu się wykręciła. Na liście były tylko trzy nazwiska. „Kadet Pirx” — stało tam jak wół, na samej górze.

Przez chwilę nie widział nic.

Potem usłyszał z daleka własny głos, który mówił:

— To co? Powiedziałem przecież: w porządku.

Minął ich i poszedł alejką między klombami. W tym roku była na nich masa niezapominajek, zasadzonych przemyślnie w kształcie lądującej rakiety. Jaskry wyobrażały ogień wylotowy, ale już przekwitły. Nie widział klombów, ścieżki, niezapominajek ani Ośleji Łączki, który pospiesznym krokiem wyszedł z bocznego skrzydła Instytutu. O mało nie wleciał na niego przy bramie. Zasalutował mu przed samym nosem.

— A, Pirx! — powiedział Ośla Łączka. — Kadet leci jutro? Dobrego odrzutu! Może kadetowi uda się spotkać tych — z innych planet.

Internat znajdował się w parku, po przeciwnej stronie, za wielkimi płaczącymi wierzbami. Stał nad stawem, a boczne skrzydło wznosiło się nad samą wodą, podstemplowane kamiennymi kolumnami. O tych kolumnach ktoś puścił bajkę, że przywiezione zostały z Księżyca — oczywista bujda — ale pierwszy kurs rzeźbił na nich swoje inicjały i daty ze świętym wzruszeniem. Nazwisko Pirxa też gdzieś tam było — wyrył je pracowicie przed czterema laty.

W swoim pokoju — miał tak mały, że nie dzielił go z nikim — dłuższy czas wahał się, czy otworzyć szafkę. Dokładnie pamiętał, gdzie leżą stare spodnie. Nie wolno ich było mieć, dlatego je miał. Poza tym nie było z nich żadnego pożytku. Zamknął oczy, kucnął przy szafie, spoza uchylonych drzwi wsadził rękę do środka — i namacał kieszonkę. Naturalnie — od razu wiedział. Była pusta.

Stał w nie nadętym kombinezonie na stalowej desce pomostu, pod samym stropem hali, trzymając się łokciem rozpiętej jako poręcz liny, bo obie ręce miał zajęte. W jednej trzymał książkę nawigacyjną, w drugiej — bryk. Była to ściągaczka, którą pożyczył mu Smiga — mówiono, że latał z nią cały kurs. Co prawda nie było jasne, w jaki sposób wracała, bo po próbnym locie opuszczało się Instytut i szło na Północ, do Bazy, gdzie zaczynało się wkuwanie do końcowych egzaminów. Widać jednak jakoś wracała — może zrzucali ją na spadochronie? Oczywiście był to tylko żart.

Stał na sprężynującej desce, zawieszony nad czterdziestometrową otchłanią i, skracał sobie czas wyobrażaniem tego, czy będą go macać — to się, niestety, zdarzało. Kadeci brali na próbne loty najdziwniejsze i najsurowiej zakazane rzeczy: poczynając od płaskich flaszek z wódką — a kończąc na tytoniu do zucia i fotografiach znajomych dziewcząt. Nie mówiąc naturalnie o brykach. Pirx długo szukał na sobie miejsca, w którym by go ukryć. Chował go też z piętnaście razy — do buta pod piętę, między obie skarpetki, do cholewki, do wewnętrznej kieszeni kombinezonu, do małego atlasiku gwiazd taki atlasik był dozwolony — niezły byłby też futerał od okularów, ale, po pierwsze, musiałby to być olbrzymi futerał, a po wtóre — nie nosił okularów. Trochę później przypomniał sobie, że gdyby nosił, nie przyjęliby go do Instytutu.

Stał więc na stalowej desce i czekał na obu instruktorów oraz na Szefa, a wszyscy trzej nie wiadomo czemu się spóźniali, chociaż start był wyznaczony na dziewiętnastą czterdzieści, a była już dziewiętnasta dwadzieścia siedem. Pomyślał, że gdyby miał kawałek plastra, mógłby przylepić sobie bryk pod pachą. Mówiono, że tak zrobił mały Yerkes, a gdy go instruktor dotknął, zaczął piszczeć, że ma łaskotki, i udało mu się. Ale Pirx nie wyglądał na takiego, co ma łaskotki. Wiedział o tym i nie miał co do tego żadnych złudzeń. Trzymał więc całkiem zwyczajnie bryk w prawej ręce i dopiero gdy przyszło mu do głowy, że będzie ją musiał podać na przywitanie wszystkim trzem, przełożył go do lewej, a książkę nawigacyjną — z lewej do prawej. Manipulując tak, rozbijał niechcący stalowy pomośnik, który chwiał się jak trampolina. Naraz usłyszał „po drugiej stronie kroki. Nie od razu ich zobaczył, bo pod stropem hali było ciemno.

Byli wszyscy, jak zwykle w mundurach, bardzo wymuskani, zwłaszcza Szef. On zaś, kadet Pirx, miał na sobie kombinezon, który, choć jeszcze nie nadęty, wyglądał niby dwadzieścia razem złożonych kostiumów, jakie nosi bramkarz w rugby, ponadto z obu stron wysokiego kołnierza zwisły mu długie końcówki interkomu i zewnętrznego radiofonu, przy szyi bimbał się wąż zakończony pokrętełem aparatu tlenowego, na plecach czuł ucisk rezerwowej butelki, było mu cholernie gorąco w podwójnej przeciwpotnej bieliźnie, a najgorzej we znaki dawało mu się urządzenie, które sprawia, że lecąc nie musi się wychodzić z potrzebą (zresztą w rakiecie pierwszego stopnia, na której robi się próbne loty, nie bardzo byłoby gdzie wyjść na stronę).

Naraz cały pomost zaczął skakać. Ktoś szedł z tyłu — to był Boerst w takim samym kombinezonie, zasalutował ostro wielką rękawicą i stanął tak, jakby miał najlepszą wolę zepchnąć Pirxa na dół.

Kiedy tamci poszli przodem, Pirx spytał zdziwiony:

— Ty też lecisz? Nie było cię na liście.

— Brendan zachorował. Lecę za niego — odparł Boerst. Pirxowi zrobiło się na chwilę trochę głupio. To była w końcu jedyna, ale to jedyna rzecz, dzięki której mógłby się wznieść choć o milimetr wyżej ku niebotycznym regionom, na których żył sobie Boerst, jakby specjalnie się o to wcale nie starając. Był nie tylko najzdolniejszy na kursie, co Pirx stosunkowo łatwo mu wybaczał, a nawet żywił dla matematycznych talentów Boersta pewien

szacunek — od czasu kiedy był świadkiem, jak Boerst zmagał się dzielnie z elektronicznym Kalkulatorem i stracił tempo dopiero przy pierwiastkach czwartego stopnia — i nie tylko miał zamożnych rodziców, tak że wcale nie musiał oddawać się marzeniom o dwukoronówkach, zapodziejających się w starych portkach — ale miał świetne wyniki w lekkoatletyce, skakał jak szatan, świetnie tańczył i, co tu dużo gadać, był bardzo przystojny, czego niepodobna było powiedzieć o Pirxie.

Szli długim pomostem, między kratowymi wspornikami stropu, mijając ustawione kolejno rakiety, aż zalała ich jasność, bo ta część stropu była już odsunięta na przestrzeni dwustu metrów. Na betonowych, ogromnych lejach, które chwyciły w siebie i odprowadzały ogień odrzutu, stały obok siebie dwa stożkowate kolosy — przynajmniej wyglądały w oczach Pirxa jak kolosy — każdy miał czterdzieści osiem metrów wysokości i jednaście metrów średnicy u samego dołu, w boosterze.

Do włączów, już odśrubowanych, przerzucone były małe mostki, przejścia zagradzały jednak ustawione pośrodku, ołowiane przyciski, każdy z małą czerwoną chorągiewką na giętkim proporczyku. Pirx wiedział, że sam odstawi na bok chorągiewkę, kiedy na pytanie, czy gotów jest podjąć się wykonania zadania, odpowie, że tak — i że robi to pierwszy raz w życiu. I nagle opanowało go przeświadczenie, że kiedy będzie odsuwał proporczyk, potknie się o linkę i na pewno przewróci się jak długi — takie rzeczy się zdarzały. A jeżeli komukolwiek zdarzały się takie rzeczy, to jemu p o w i n n o się było coś takiego przytrafić, bo myślał czasem, że nie ma szczęścia. Wykładowcy określali to inaczej — że jest gapą, niezgułą i myśli w każdej chwili o wszystkim oprócz tego, o czym akurat trzeba myśleć. Prawda, że Pirxowi było o wiele rzeczy łatwiej niż o słowa. Między jego działaniem a myśleniem, odzianym w słowa, ziała może nie przepaść... w każdym razie była tam jakaś przeszkoda, która utrudniała mu życie. Wykładowcy nie wiedzieli, że Pirx jest marzycielem. O tym nikt nie wiedział. Sądziło, że on w ogóle o niczym nie myśli. A to nie było prawdą.

Zerknął kątem oka i zobaczył, że Boerst ustawił się już, jak należy, o krok od wejścia na przerzucony do włączu mostek, wyprężył się i czekał z rękami przyciśniętymi do nie nadętych, gumowych obręczy kombinezonu.

Pomyślał, że Boerstowi jest do twarzy nawet w tym dziwacznym stroju, jakby wykrojonym ze stu piłek futbolowych naraz, i że kombinezon Boersta naprawdę jest nie nadęty, podczas kiedy jego kombinezon miejscami jak gdyby ma jeszcze w sobie sporo powietrza — i dlatego tak niedobrze mu się chodzi, i musi tak szeroko stawiać nogi. Zebrał je razem, jak mógł, ale obcasy nie chciały mu się zejść. Dlaczego Boerstowi chciały? To było niejasne. Gdyby nie Boerst, zapomnieliby zresztą na śmierć o tym, że trzeba przybrać zasadniczą postawę tyłem do rakiety, a frontem do trzech ludzi w mundurach. Podeszli najpierw do Boersta — dajmy na to dlatego, że był on na B, ale to też nie był zupełny przypadek albo raczej: był to przypadek na niekorzyść Pirxa, ponieważ zawsze musiał długo czekać na „wyrwanie” i denerwował się, bo wołał, aby złe wydarzyło mu się od razu.

Słyszał piąte przez dziesiąte z tego, co mówili do Boersta, a Boerst wyciągnięty jak struna odpowiadał szybko, tak szybko, że Pirx nic nie rozumiał. Potem podeszli do niego, a kiedy SzeF zaczął mówić, Pirxowi naraz przypomniało się, że miało ich dziś lecieć przecież trzech, a nie dwóch, gdzież więc podział się ten trzeci? Na szczęście usłyszał słowa Szefa i w ostatniej chwili zdążył wypalić:

— Kadet Pirx gotów do odbycia lotu.

— M... tak — powiedział SzeF. — I kadet Pirx oświadcza, że jest zdrow na ciele i umyśle — ehem — w granicach swoich możliwości?

SzeF lubił doczepiać takie kwiatuszki do stereotypowych pytań i mógł sobie na to pozwolić, bo był Szefem. Pirx powiedział, że jest zdrow.

— Na okres trwania lotu mianuję kadeta pilotem — wypowiedział SzeF sakramentalną formułę i ciągnął:

— Zadanie: start pionowy na boosterze połową mocy. Wejście na elipsę B 68. Na elipsie poprawka do orbity trwałej z okresem obrotu 4 godziny 26 minut. Oczekiwanie na orbicie dwu statków bezpośredniej łączności typu JO 2. Prawdopodobna strefa kontaktu radarowego — sektor III, satelita PAL z możliwym odchyleniem dopuszczalnym sześć sekund łuku. Nawiązać kontakt na fonii celem uzgodnienia manewru. Manewr: zejść z orbity trwałej kursem 60 stopni 24 minuty szerokości północnej, 115 stopni 3 minuty 11 sekund długości wschodniej. Przyspieszenie początkowe — 2,2 g. Przyspieszenie końcowe po 83 minutach — O. Nie odrywając się poza zasięg fonii, pilotować oba JO 2 w szyku trójkowym do Księżyca, wejść w jego strefie równikowej na orbitę tymczasową według wskazań Luna PELENG, upewnić się, że oba pilotowane statki znajdują się na orbicie i, schodząc z niej przyspieszeniem i kursem według własnego uznania, wrócić na orbitę trwałą w obrębie satelity PAL. Tam oczekiwać dalszych rozkazów.

Na kursie mówiono, że wkrótce pojawią się — zastępując dotychczasowe ściągaczki — bryki elektronowe, to jest mikromózgi wielkości pestki od wiśni, które można będzie nosić w uchu albo pod językiem, i które podpowiedzą zawsze i wszędzie wszystko, co okaże się akurat potrzebne. Ale Pirx nie wierzył w to, uważając, nie bez słuszności, że kiedy się pojawią, nie będzie już trzeba kadetów. Na razie musiał sam powtórzyć cały tenor zadania — i zrobił to, raz jeden tylko pomyliwszy, ale to gruntownie, minuty i sekundy czasu z sekundami i minutami długości i szerokości. Po czym, spocony jak mysz w swojej przeciwpotnej bieliźnie, pod grubą powłoką kombinezonu, czekał na dalszy rozwój wypadków. Powtórzyć zadanie — powtórzył, ale treść jego nie zaczęła jeszcze docierać do jego świadomości. Jedyłą myślą, jaka w nim bez przerwy krążyła, było: „Ale mi dali łupnia!!”

Zaciskał w lewej garści bryk, podając prawą ręką książkę nawigacyjną. Ustne recytowanie zadania było zwyczajną szykaną — i tak dostawało się je napisane, z wykreślonym pierwszym kursem. Szef włożył kopertę z zadaniem do kieszonki pod okładką książki, oddał mu ją i spytał:

— Pilot Pirx gotów do startu?

— Gotów! — odpowiedział pilot Pirx. W tej chwili miał już tylko jedno życzenie: znaleźć się w sterowni. Marzył o rozpięciu kombinezonu, przynajmniej pod szyją.

Szef cofnął się o krok.

— Do — pocisku! — krzyknął wspaniałym, stalowym głosem, który, jak dzwon, przeciął głuchy, nieustający hałas olbrzymiej hali. Pirx zrobił zwrot w tył, złapał czerwoną chorągiewkę, potknął się o jej linę, w ostatniej chwili chwycił równowagę i wmaszerował jak Golem na cienki pomost. Kiedy był w jego połowiu, Boerst (widziany z tyłu przypominał jednak piłkę futbolową) wchodził już do swojej rakiety.

Wpuścił nogi do środka, chwycił się masywnego ocembrowania włazu, zjechał elastyczną rynienką w dół, nie stawiając stóp na szczebelkach (szczebelki są tylko dla umierających pilotów — mawiał Ośła Łączka), i zabrał się do zamykania kłapy. Ćwiczyli to na „fantomach” i na prawdziwej kłapie — tyle że wyjętej z rakiety i zamocowanej na środku sali ćwiczeń — setki i tysiące razy. Niedobrze się od tego robiło — lewa korba, prawa korba, do połowy drogi, kontrola oszczelnień, druga połowa obrotu obu korb, docisk, kontrola na szczelność pod ciśnieniem, zagłuszenie włazu wewnętrzną pokrywą osłony, nasunięcie osłony przeciwmeteorytowej, wyjście ze studzienki włazu, zamknięcie drzwi kabiny, docisk, korba, druga korba, rygiel, koniec.

Pirx myślał sobie, że Boerst na pewno dawno już siedzi w swojej szklanej kuli, kiedy on dopiero zakręca koło zamachowe docisku — i przyszło mu do głowy, że i tak przecież nie wystartują razem, startowało się w odstępach sześciominutowych i nie było się czego spieszyć. Ale lepiej jednak siedzieć już na miejscu i włączyć swój radiofon — przynajmniej słyszałby komendy, jakie wydają Boerstowi. Ciekawe, jakie on dostał zadanie?

Światła automatycznie zapaliły się w środku, kiedy tylko przymknął zewnętrzną klapę. Zaryglowawszy cały kram, po wysłanych bardzo szorstkim i miękkim zarazem plastikiem stopniach malutkiej pochylni przeszedł na miejsce pilota.

Diabli wiedzą, dlaczego w tych małych jednoosobowych raketkach pilot siedział w wielkiej szklanej bani trzymetrowej średnicy. Bania ta, choć zupełnie przezroczysta, nie była oczywiście ze szkła — w dodatku prężna, o elastyczności grubej, bardzo twardej gumy. Ten pęcherz, z rozkładanym fotelem pilota pośrodku, wpasowany był dopiero w głąb właściwej sterowni — pomieszczenia z lekka stożkowatego, tak że siedząc w swoim „fotelu dentystycznym” — tak go nazywano — i mogąc obracać się na jego pianowej osi, pilot widział, poprzez szklane ściany pęcherza, w którym był zamknięty, wszystkie tablice zegarów, wskaźniki, ekrany przednie, tylne, boczne, tarcze obu kalkulatorów i astrografu oraz — najświętszy z świętych — trajektometr, który grubą, mocno świecąca wstęgą rysował na matowej, wypukłej tarczy drogę pocisku względem tła nieruchomych gwiazd w projekcji Harelsbergera. Elementy tej projekcji trzeba było znać na pamięć i umieć je odczytywać z aparatu w każdej pozycji, nawet wisząc do góry nogami. Kiedy już pilot ułożył się na fotelu, miał po obu bokach cztery rękojeści głównego reaktora i sterowniczych dysz odchylających, trzy awaryjne, sześć dźwigni małego pilotażu, pokrętła rozruchu i biegu jałowego oraz regulator mocy, ciągu, przedmuchu dysz, a nad samą podłogą — wielkie szprychowe koło aparatury klimatyzacyjnej, tlenowej, rączkę instalacji przeciwpożarowej, wyrzutni reaktora (gdyby rozpoczęła się w nim reakcja łańcuchowa nie kontrolowana), linkę z pętlą, przymocowaną do wierzchu szafki z termosami i jedzeniem, pod stopami zaś — wymoszczone miękkko i opatrzone strzeziennymi pętlami pedały hamownic i bezpiecznik wyrzutowy, którego naciśnięcie (pierwej trzeba było nogą rozbić jego kołpak i pchnąć go do przodu) wyrzucało pęcherz razem z fotelem i pilotem oraz wylatującymi za nim strunami spadochronu pierścienno-wstęgowego.

Poza tym celem głównym — ratowania pilota w wypadku nie dającej się opanować awarii — miał jeszcze szklany pęcherz coś osiem bardzo ważnych powodów, dla których został skonstruowany i Pirx w pewnych pomyślnych okolicznościach potrafiłby je nawet wszystkie wyrecytować, ale żaden nie trafiał jemu (ani innym kursantom) do przekonania.

Ułożywszy się należycie, z wielkim trudem zginając się w pasie, aby wkręcić wszystkie wystające i zwisające z niego rurki, kable i przewody w końcówki, sterczące z fotela (przy czym za każdym razem, kiedy pochylał się do przodu, kombinezon pchał go miękką bułą w brzuch), naturalnie pomylił kabelek fonii z grzejnym; na szczęście miały różny gwint, ale o pomyłce przekonał się dopiero, gdy zaczęły bić na niego siódme poty — i w szmerze sprężonego powietrza, które błyskawicznie wypełniło cały kombinezon, opadł z westchnieniem w tył, przekładając lewą i prawą ręką oba udowo—barkowe pasy.

Prawy zaczepił się od razu, a lewy czegoś nie chciał. Wydęty jak opona kołnierz nie pozwalał mu zerknąć w tył, więc tylko mordował się, tkając na oślep szerokim karabinkiem pasa — jednocześnie dobiegły go stłumione głosy w słuchawkach:

— ...Pilot Boerst na AMU 18! Start według fonii w chwili zero. Uwaga — gotów?

— Pilot Boerst na AMU 18 gotów do startu według fonii w chwili zero! — padła jak wystrzelona odpowiedź. Pirx zaklął — karabinek zaskoczył. Opadł w głąb miękkiego fotela, tak zmęczony, jakby właśnie powrócił z bardzo długiego, śródgwiezdnego lotu.

— Dwadzieścia trzy — do startu. — Dwadzieścia dwa — do startu. Dwa... — mamrotało w słuchawkach.

Podobno raz zdarzyło się, że usłyszawszy gromowe zero, wystartowało dwu kursantów naraz — ten właściwy i ten, który czekał obok na swoją kolejkę — i szli w odległości dwustu metrów pionowymi świecami, mogąc w każdym ułamku sekundy zderzyć się — przynajmniej opowiadano tak na kursie. Od tego czasu — podobno — kabel zapłonowy włączano w ostatniej chwili, zdalnie, robił to sam komendant lotniska ze swojej nawigatorki — i całe to

liczenie było zwykłym bluffem. Nikt jednak nie wiedział, jak jest naprawdę.

— Zero!! — rozległo się w słuchawkach. Jednocześnie Pirx usłyszał stłumiony, przeciągły łoskot, jego fotel zadrgał leciutko, odbite iskierki świateł delikatnie poruszyły się w szklanej osłonie, pod którą leżał rozpostarty, patrząc w sufit — to znaczy w astrograf, wskaźniki cyrkulacji chłodzenia, ciągu dysz głównych, dysz pomocniczych, gęstości strumienia neutronów, wskaźnik zanieczyszczeń izotopowych i jeszcze osiemnaście innych, których połowa zajmowała się wyłącznie samopoczuciem boostera — drganie osłabło, ściana głuchego huku przesunęła się gdzieś obok i zdawała się rozpląwać w górze, jak gdyby w niebo podniesiona została jakaś niewidzialna kurtyna, grom był coraz dalszy i coraz bardziej, jak zwykle, podobny do odgłosu dalekiej burzy, aż zrobiło się cicho.

Coś syknęło i zabzyczało — nawet nie zdążył się przestraszyć. To samoczynny bezpiecznik włączył zablokowane dotychczas ekrany — były zamknięte od zewnątrz, kiedy startował ktoś w pobliżu, żeby oślepiający płomień atomowego odrzutu nie uszkodził obiektów.

Pirx pomyślał sobie, że takie automatyczne urządzenia są bardzo pożyteczne — i tak się zastanawiał nad tym i owym, aż nagle poczuł, że wszystkie włosy wstają mu na głowie pod pękatą haubą.

— Jezus Maria, ja lecę, ja, ja teraz lecę!!! — przemknęło mu.

Zaczął błyskawicznie przysposabiać dźwignie do startu — to znaczy dotykać ich wedle właściwej kolejności palcami, licząc: raz — dwa — trzecia — a gdzie czwarta? — potem ta — tak, to ten wskaźnik — i pedał — nie, nie pedał — aha, jest — czerwona — zielona rękojeść — potem na automat — tak — czy zielona przed czerwoną?!

— Pilot Pirx na AMU27! — wyrwał go z głębi tego dylematu silny głos bijący prosto w ucho. — Start według fonii w chwili z e r o ! Uwaga — pilot gotów?

— Jeszcze nie!!! — chciało coś krzyknąć ustami pilota Pirxa, ale powiedział:

— Pilot Boe... pilot Pirx na AMU 27 gotów... e... do startu według fonii w chwili z e r o !

Chciał powiedzieć „pilot Boerst”, bo sobie dobrze zapamiętał, jak Boerst mówił. — Idioto! — ryknął na siebie w ciszy, która zapadła. Automat (czy wszystkie automaty muszą mieć głos podoficera?) wyszcze kiwał:

— Do startu szesnaście — piętnaście — czternaście...

Pilot Pirx pocił się. Usiłował przypomnieć sobie coś szalenie ważnego, o czym wiedział, że jest po prostu sprawą życia i śmierci, ale w żaden sposób nie mógł.

— ...sześć, pięć do startu, cztery...

Zacisnął mokre palce na rękojeści startowej. Była na szczęście chropawa. — Czy wszyscy się tak pocą? Widocznie — przemknęło mu, gdy słuchawka warknęła:

— Zero!!!

Jego ręka sama — zupełnie sama — pociągnęła dźwignię, pchnęła ją do połowy i tak pozostała. Ryknęło. Jakby elastyczna prasa zleciała mu na piersi i głowę. — Booster — zdążył pomyśleć i pociemniało mu w oczach. Tylko trochę i tylko na chwilę. Gdy już mógł dobrze widzieć, choć ten sam nieustępliwy ciężar czuł rozlany w całym ciele, wszystkie ekrany — przynajmniej te trzy, które miał na wprost — wyglądały jak wybiegające z miliona garnków mleko.

— Aha, przebijam chmury — pomyślał. Myślało mu się teraz jakby wolniej, nieco ospale, ale w pełnym spokoju. Po dłuższej chwili zrobiło się tak, jakby był jedynie świadkiem całej tej sceny, trochę śmiesznej — facet leży rozwalony w „fotelu dentystycznym”, ani ręką, ani nogą, chmury znikły, niebo jest jeszcze trochę niebieskie, ale jak farbka fałszowana tuszem, coś jakby gwiazdy widać — gwiazdy czy nie?

Tak, to były gwiazdy. Wskaźniki chodziły sobie po suficie, po ścianach, każdy inaczej, każdy coś pokazywał, wszystko trzeba było widzieć, a on miał tylko dwoje oczu. Niemniej lewa jego ręka na krótki, powtarzający się gwizd w słuchawkach sama — znowu sama —

pociągnęła wyrzutnik boostera. Od razu zrobiło się trochę lżej — szybkość 7,1 na sekundę, wysokość 201 kilometrów, zadana krzywa startu kończy się, przyspieszenie 1,9, można siadać i w ogóle teraz dopiero będzie cała masa roboty! Siadał powoli, naciskając poręcz, przez co oparcie fotela podnosiło się — i nagle cały ścierpł. — Gdzie jest bryk?!

To była ta szalenie ważna rzecz, której nie mógł sobie przypomnieć. Rozglądał się po podłodze, jakby na świecie nie było chmary mrugających ze wszystkich stron wskaźników. Bryk leżał pod samym fotelem — pochylił się, pasy oczywiście nie puściły, nie było już czasu, i z uczuciem, jakby stał na szczycie bardzo wysokiej wieży i walił się z nią razem w przepaść, otworzył książkę nawigacyjną, którą miał w nadkole—nowej kieszeni, wyjął zadanie z koperty — nic nie rozumiał: gdzie jest, do cholery ciężkiej, orbita B 68? Aha, to będzie ta! — skontrolował trajektometr i zaczął powoli wykręcać. Dziwił się trochę — jakoś to szło.

Na elipsie Kalkulator podał mu życzliwie dane do poprawki, znowu manewrował, wyskoczył z orbity, zahamował zanadto gwałtownie, przez dziesięć sekund miał minus 3 g, ale nic mu to nie zrobiło, fizycznie był bardzo odporny („żebyś miał taki mózg jak biceps” — mówił mu Ośła Łączka — „to może by z ciebie coś było”), z poprawką wszedł na orbitę trwałą, podał na fonii dane Kalkulatorowi, Kalkulator nic nie odpowiedział, na jego tarczy wyskakiwały fale jałowego biegu, ryknął dane jeszcze raz — oczywiście zapomniał się przełączyć — poprawił to, na tarczy natychmiast wyskoczyła pionowa migocąca linia, a wszystkie okienka zgodnie pokazały same jedynki. — Jestem na orbicie! — ucieszył się. Tak, ale czas obrotu był 4 godziny 29 minut, a miało być 4 i 26. Teraz już naprawdę nie wiedział, czy odchylenie jest dopuszczalne, czy nie. Szukał w głowie, zaczął rozważać, czy nie odpiąć pasów — bryk leżał pod samym fotelem, ale cholera wie, czy to jest w bryku — nagle przypomniał sobie, co mówił profesor Kaahl: „orbity są obliczone z błędem 0,3 procent” — podał na wszelki wypadek dane Kalkulatorowi: siedział w granicy dopuszczalnego błędu. — No, to by było — powiedział sobie i teraz dopiero rozejrzał się na dobre.

Ciążenie znikło, ale był przypięty do fotela, jak się patrzy — tyle że czuł się bardzo lekki. Ekran przedni — gwiazdy, gwiazdy i białawobury rąbek na samym dolnym skraju, ekran boczny — nic, tylko czarno i gwiazdy. Ekran spodni — aha! Z uwagą przyglądał się Ziemi — pędził nad nią na wysokości od 700 do 2400 km, w granicach swojej orbity — była olbrzymia, wypełniała cały ekran, akurat leciał nad Grenlandią — Grenlandia chyba? — zanim doszedł tego, co to jest, był już nad północną Kanadą. Dokoła bieguna jarzyły się śniegi — ocean był czarnofioletowy, wypukły, gładki, jak odlany z żelaza, chmur dziwnie mało, jakby ktoś rzadką papkę rozchlapał tu i ówdzie na wypukłości — zerknął na zegar.

Leciał już siedemnaście minut.

Teraz należało złapać sygnały radiowe PAL-a i uważać przy przejściu jego strefy na radary. Jak się nazywają te dwa statki? RO? Nie, JO — a numery? Zajrzał do karty z zadaniem, wetknął ją razem z książką nawigacyjną do kieszeni i poruszył regulatorem kontrolki na piersi. Było słycać masę pisków i trzasków, PAL — jaki on ma sygnał? Morse — aha — natężał słuch, zaglądał w ekrany, Ziemia powoli obracała się pod nim, gwiazdy przesuwały szybko w ekranach, a PAL-a jak nie było, tak nie było słycać ani widać.

Naraz posłyszał brzęczenie.

— PAL? — pomyślał i odrzucił natychmiast tę myśl. — Idiotyzm, satelity nie brzęczą przecież — co brzęczy?

— Nic nie brzęczy — odpowiedział sam sobie. — Więc co to jest?

Awaria?

Jakoś wcale się nie przestraszył. Co za awaria, kiedy leci z wyłączonym silnikiem? Puszka rozsypuje się sama od siebie — czy co? Może zwarcie? A, zwarcie! Kochany Boże! Instrukcja przeciwpożarowa III A: „Pożar w Przestrzeni na Orbicie” — paragraf — niech to szlag trafi! — brzęczało i brzęczało, ledwo słycał popiskiwanie dalekich sygnałów.

— Zupełnie jak mucha w szklance — pomyślał ogłupiały, wodząc błyskawicznie oczami od zegara do zegara — i wtedy ją zobaczył.

Była to mucha—olbrzym, zielonkawoczarna, z obrzydliwego rodzaju, który stworzony został jakby tylko po to, żeby uprzykrzać ludziom życie, nachalna, natarczywa, kretyńska, a jednocześnie chytra i bystra mucha, która cudem jakimś (bo jak inaczej?) wlaźła do rakiety i latała sobie teraz na zewnątrz szklanego pęcherza, trykając bzyzącą kulka oświetlone tarcze zegarów.

Kiedy zbliżała się do Kalkulatora, słyszał ją w słuchawkach jak czterosilnikowy samolot, Kalkulator miał nad górną ramą mikrofon rezerwowy, żeby go można osiągnąć bez laryngofonu, spoza fotela, kiedy kabelki pokładowej fonii są rozłączone. Po co? Na wszelki wypadek. Więcej było takich urządzeń.

Przeklinał ten mikrofon. Bał się, że nie usłyszy PAL—a. Co gorsza, mucha zaczęła robić wypadki w różne inne miejsca. Wodził za nią mimo woli wzrokiem ładnych parę minut, zanim sobie surowo powiedział, że go ta mucha cholere obchodzi. Szkoda, że nie można napuścić tam jakiegoś DDT.

— Dosyć!!

Zabręczało, aż się skrzywił. Łaziła sobie po Kalkulatorze. Ucichło — pielęgnowała skrzydełka. Co za ohydna mucha!

W słuchawkach narodził się miarowy, daleki pisk — trzy kropki, kreska, dwie kropki, dwie kreski, trzy kropki, kreska — PAL.

— No, a teraz trzeba wytrzeszczać oczy! — rzekł sobie, podniósł trochę fotel — tak miał na oku trzy naraz ekrany — sprawdził jeszcze raz, jak kręci się fosforyczny promień wodzący radaru, i czekał. Na radarze nie było nic. Ale ktoś wołał:

— A siedem Terraluna, A siedem Terraluna, sektor III, kurs sto trzynaście, woła PAL PELENG, Proszę o namiar. Odbiór.

— Niestety, i jak ja teraz usłyszę moje JO! — stropił się Plirx.

Mucha zawyła w słuchawkach i znikła. Za chwilę cień nakrył go z góry — jakby nietoperz przysiadł na lampie. To była mucha. Łaziła po szklanym pęcherzu, jakby badała, co tkwi w jego środku. Tymczasem w eterze robiło się gęsto — PAL, który już widział (rzeczywiście wyglądał jak pał, był to osiemsetmetrowy cylinder z aluminium, zakończony kulą obserwacyjną), leciał nad nim, może w odległości czterystu kilometrów, może w nieco większej, i pomału go wyprzedzał.

— PAL PELENG do A siedem Terraluna, sto osiemdziesiąt koma czternaście, sto sześć koma sześć. Odchylenie rosnące liniowo. Koniec.

— Albatros cztery Aresterra, woła PAL Główna, PAL Główna, schodzę tankować sektor II, schodzę tankować sektor II, idę na rezerwie. Odbiór.

— A siedem Terraluna, woła PAL PELENG...

Reszty nie słyszał, połknęło ją brzęczenie muchy. Ucichła.

— Główna do Albatrosa cztery Aresterra, tankowanie kwadrant siódmy. Omega Główna, tankowanie przeniesione Omega Główna. Koniec.

— Oni się tu umyślnie zebrali, żeby nic nie słyszał — pomyślał Pirx.

Przetwipotna bielizna pływała na nim. Mucha, brzęcząc, zataczała wściekle kręgi nad tarczą Kalkulatora, jakby usiłowała za wszelką cenę dogonić własny cień.

— Albatros cztery Aresterra, Albatros cztery Aresterra do PAL Główna, wychodzę na kwadrant siódmy, wychodzę na kwadrant siódmy, proszę pilotaż interkomem. Koniec.

Słysząc było oddalający się pisk interkomu, który utonął w rosnącym brzęczeniu. Wyłoniły się z niego słowa:

— JO dwa Terraluna, JO dwa Terraluna, woła AMU 27, AMU 27. Odbiór.

— Ciekawość, kogo on woła? — pomyślał Pirx i aż podskoczył w pasach.

— AMU — chciał powiedzieć, ale zachryplę gardło nie przepuściło nawet dźwięku. W

sluchawkach brzęczało. Mucha. Zamknął oczy.

— AMU 27 do JO dwa Terraluna. Jestem kwadrant cztery, sektor PAL, włączam pozycyjne. Odbiór.

Włączył swoje pozycyjne światła — dwa czerwone z boków, dwa zielone na dziobie, jedno niebieskie z tyłu, i czekał. Nic nie było słychać oprócz muchy.

— JO dwa bis Terraluna, JO dwa bis Terraluna, wzywam... — brzęczenie.

— Chyba do mnie? — pomyślał z rozpaczą.

— AMU 27 do JO dwa bis Terraluna, jestem kwadrant cztery, brzegowy sektor PAL, mam wszystkie pozycyjne. Odbiór.

Teraz oba JO odezwały się równocześnie — włączył selektor kolejności, żeby wyciszyć tego, kto odezwał się drugi — ale brzęczało dalej, naturalnie — mucha.

— Ja się tu chyba powieszę — pomyślał. Nie wpadło mu do głowy, że wobec braku ciężenia nawet takie wyjście nie jest możliwe.

Nagle zobaczył w radarze oba swoje statki — szły za nim równoległymi kursami, oddalone od siebie nie więcej niż o dziewięć kilometrów, to znaczy w strefach wzajemnie zakazanych: jego obowiązkiem, jako pilotującego, było nakazać im odejście na odległość dopuszczalną — 14 kilometrów. Sprawdzał na radarze położenie plamek, oznaczających statki, kiedy mucha siadła sobie na jednej. Cisnął w nią książką nawigacyjną, nie doleciała, uderzyła w szkło pęcherza i, zamiast się ześliznąć po nim, odleciała z powrotem, w górę, uderzyła o strop szklanej bani i tak fruwała na wszystkie strony — brak ciężenia. Mucha nie raczyła nawet odlecieć — odeszła sobie pieszo.

— AMU 27 Terraluna do JO dwa JO dwa bis. Widzę was. Macie zbliżenie burtowe. Przejść na kursy równoległe z poprawką zero koma zero jeden. Po wykonaniu manewru przejść na odbiór. Koniec.

Obie plamki zaczęły się wolno rozchodzić, być może mówili coś do niego, ale słyszał już tylko muchę. Urządzała sobie brzękliwe spacerki na mikrofonie Kalkulatora. Nie miał już czym w nią rzucać. Książka nawigacyjna pływała nad nim, trzepocąc łagodnie kartkami.

— PAL Główna do AMU 27 Terraluna. Wyjść z kwadrantu brzegowego, wyjść z kwadrantu brzegowego, przyjmuję transsolarny. Odbiór.

— Bezczelność, transsolarny się napatoczył — co mnie obchodzi transsolarny?! Statki w szyku mają pierwszeństwo! — pomyślał Pirx i zaczął krzyczeć, wyładowując w tym krzyku całą swoją bezsilną nienawiść do muchy:

— AMU 27 Terraluna do PAL Główna. Nie schodzę z kwadrantu, transsolarny nic mnie nie obchodzi, idę w szyku trójkowym. AMU 27, JO dwa, JO dwa bis eskadra Terraluna, prowadzący AMU 27. Koniec.

— Niepotrzebne było o tym, że mnie ten transsolarny nic nie obchodzi — pomyślał — ma się rozumieć — karne punkty. Niech ich wszystkich cholera weźmie. A za muchę kto dostanie karne? Też ja.

Pomyślał, że to z muchą tylko jemu mogło się zdarzyć. Mucha! Wielka mi rzecz! Wyobrażał sobie, jakby Smiga pękał z Boerstem ze śmiechu, gdyby dowiedzieli się o tej idiotycznej musze. Po raz pierwszy od startu pomyślał o Boerście. Nie miał jednak ani chwili czasu — PAL zostawał coraz wyraźniej z tyłu. Lecieli trójką już pięć minut.

— AMU 27 do JO dwa, JO dwa bis Terraluna. Godzina dwudziesta zero siedem. Manewr wejścia na kurs paraboliczny Terraluna rozpoczynamy godzina dwudziesta zero dziesięć. Kurs sto jedenaście... — wyczytywał kursy z kartki, którą udało mu się przed chwilą akrobatycznie ściągnąć z powietrza ponad głową. Jego statki odpowiedziały. PAL-a nie było już widać, ale go wciąż słyszał — albo jego, albo muchę. Naraz brzęczenie jej jak gdyby się rozdziwiło. Chciał przetrzeć oczy. Tak. Były już dwie. Skąd wylazła druga?

— Teraz wykończą mnie — pomyślał całkiem, ale to całkiem spokojnie.

Było nawet coś przyjemnego w przekonaniu, że nie warto się już szarpać, zrywać nerwów

— one i tak dadzą mu radę. To trwało sekundę — potem popatrzał na zegar, była właśnie godzina, którą sam wyznaczył na początek manewru, a on nie miał jeszcze rąk na dźwigniach!

Mordownia tysiącznych ćwiczeń robiła jednak widać swoje — złapał obie rękojeści na oślep, poruszył lewą, potem prawą, wpatrzony w trajektometr. Silnik odezwał się głucho, potem zasyczało, poczuł uderzenie w głowę, aż jęknął z zaskoczenia. Dostał kantem książki nawigacyjnej w czoło — tuż pod okapem hauby! Zakryła mu twarz, nie mógł jej trącić — potrzebował obu rąk. W słuchawkach brzęczało i kotłowało się miłosne życie much na Kalkulatorze. — Powinni dawać rewolwer — pomyślał, czuł, jak książka nawigacyjna wskutek rosnącego przyspieszenia zgniata mu nos. Rzucił głową jak szalony — musiał widzieć trajektometr!! Ważyła chyba ze trzy kilogramy, naraz spadła z trzaskiem na podłogę — no tak; było prawie 4 g. Natychmiast zmniejszył przyspieszenie, utrzymywał je w granicach manewru, ustawił zapadki na rękojeściach — miał teraz 2 g przyspieszenia. Czy muchom nic nie robi takie przyspieszenie? Nic im nie robiło. Czuli się świetnie. Miał lecieć tak 83 minuty. Spojrzał na tarczę radaroskopu — oba JO szły za nim, odległość między jego rufą a nimi wzrosła do jakichś siedemdziesięciu kilometrów, to przez to, że przez parę sekund miał 4 g i wyskoczył do przodu. Nie szkodzi.

Teraz miał trochę wolnego czasu — aż do końca lotu z przyspieszeniem. 2 g — to nie było nic takiego. Ważył teraz — wszystkiego — sto czterdzieści dwa kilogramy. Siedział nieraz i pół godziny w laboratoryjnej karuzeli na 4 g.

Inna rzecz, że to nie było przyjemne — ręce, nogi jak z żelaza. Głową nie można było nawet ruszyć — oślepiało.

Jeszcze raz sprawdził położenie obu swoich statków za rufą i pomyślał, co teraz robi Boerst. Wyobraził sobie jego twarz — musiała wyglądać jak na filmach. Szczękę miał ten chłopak! Nos prosty, oczy szare — stalowe — na pewno nie wziął z sobą żadnego bryka! Chociaż — jemu na razie też nie okazał się potrzebny. W słuchawkach osłabło brzęczenie — obie muchy łążyły nad nim po szklanym wierzchu bani, ich edenie muskały jego twarz, aż się za pierwszym razem wzdrygnął. Spojrzał w górę — miały plackowate rozszerzenia na końcach czarnych łapek, ich odwłoki błyszczały metalicznie w świetle lamp. Ohyda!

— Poryw osiem Aresterra woła Trójkąt Terraluna, kwadrant szesnasty, kurs sto jedenaście koma sześć. Mam was na kursie zbieżnym jedenaście minut trzydzieści dwie sekundy, proszę odchylić kurs własny. Odbiór.

— Masz ci los! — jęknęło w nim. — Bałwan, pcha się prosto — przecież widzi, że idę w szyku!

— AMU 27 prowadzący Trójkąt Terraluna JO dwa JO dwa bis woła Poryw osiem Aresterra. Idę w szyku, nie zmieniam kursu, wykonaj manewr mijania. Koniec.

Mówiąc to, szukał tego bezczelnego Porywu na radarze — był! Nie dalej niż o półtora tysiąca kilometrów!

— Poryw osiem do AMU 27 Terraluna, mam przebity rozrząd grawimetryczny, wykonajcie niezwłocznie manewr mijania, punkt przecięcia kursów czterdzieści cztery zero osiem, kwadrant Luna cztery, pas brzeżny. Odbiór.

— AMU 27 do Poryw osiem Aresluna, JO dwa, JO dwa bis Terraluna, wykonuję manewr mijania godzina dwudziesta trzydzieści dziewięć, manewr zwrotny równoczesny za prowadzącym ha odległości optycznej, odchylenie północne sektor Luna jeden zero koma sześć, włączam silniki małym ciągiem. Odbiór. Mówiąc to, jednocześnie włączył obie dolne dysze odchylające. Oba JO dwa odpowiedziały natychmiast, skręcili, gwiazdy przesuwwały się w ekranach, Poryw podziękował, leciał do Luny Głównej, Pirx nabrał nagle fantazji, życzył mu szczęśliwego lądowania, to było w dobrym stylu, zwłaszcza że tamten miał awarię, widział go na tysiącu kilometrów z zapalonymi pozycyjnymi — potem znowu wezwał swoje JO, zaczęło się wchodzenie na stary kurs — okropność! Jak wiadomo, nie ma nic

łatwiejszego niż zejść z kursu — odnaleźć potem ten sam kawałek paraboli wydaje się prawie niemożliwością. Inne przyspieszenie, nie mógł nadażyć z rzucaniem współrzędnych Kalkulatorowi, łączyły po nim muchy, potem zaczęły się gonić po radarze — cienie ich zamiatały tylko ekran. Skąd te bydlęta brały tyle siły? Po dobrych dwudziestu minutach znaleźli się w końcu na pierwotnym kursie.

— A Boerst ma na pewno drogę jak wyczyszczoną odkurzaczem — pomyślał. — Zresztą — co mu tam! Zrobi wszystko i tak jedną ręką.

Włączył automat reduktora akceleracji, żeby na 83 minucie mieć przyspieszenie zero, jak nakazywała instrukcja, i zobaczył coś, od czego jego mokra przeciwopna bielizna zrobiła się jak uszyta z lodu.

Nad tablicą rozdzielczą zesuwała się z zacisków biała pokrywka — milimetr po milimetrze. Była, widać, słabo wsadzona i podczas targania statku przy manewrach zwrotnych (targał nim rzeczywiście gwałtownie) zatraskowe rygielki puściły. Tymczasem przyspieszenie wciąż jeszcze wynosiło 1,7 g, pokrywka zesuwała się powolutku, jakby ją ktoś ciągnął w dół niewidzialną nitką — aż zeskoczyła i spadła. Uderzyła w szkło bani od swojej strony, osunęła się po nim i leżała nieruchomo na podłodze. Obnażone, zabłysły cztery miedziane przewody wysokiego napięcia i bezpieczniki pod nimi.

— No — i czego ja się właściwie tak zestrachalem? — pomyślał. — Spadła pokrywka, to spadła, wielkie rzeczy. Z pokrywką, bez pokrywki, nie wszystko jedno?

Był jednak niespokojny — takie rzeczy nie powinny się zdarzać. Jeżeli może spaść pokrywka bezpieczników, to może odlecieć i rufa.

Już tylko dwadzieścia siedem minut lotu z przyspieszeniem było przed nim, kiedy pomyślał, że po wyłączeniu silników pokrywka stanie się nieważka i zacznie tam latać. Czy może narobić coś złego? Raczej nie. Za lekka. Nawet szybki żadnej nie stłucze. E, nic.

Poszukał wzrokiem much — goniąc się, kołując, bzycząc, latały dokoła całej bani, aż siadły pod bezpiecznikami. Stracił je z oczu.

W radaroskopie odnalazł swoje oba JO — na kursie. Przedni ekran ukazywał wielką na pół nieba tarczę księżycową. Mieli kiedyś ćwiczenia selenograficzne w kraterze Tychona, wtedy gdy Boerst obliczył za pomocą zwykłego, przenośnego teodolitu... — e, do licha, czego on nie potrafił! Usiłował odnaleźć Lunę Główną na zewnętrznym stoku Archimedesza. Była słabo widoczna, bo prawie cała zaryta w skałach, można było dojrzeć tylko wygładzony wierzch lądowiska ze światłami sygnałowymi, naturalnie kiedy leżała w strefie nocy, ale teraz świeciło tam słońce. Sama stacja spoczywała wprawdzie w smudze cienia, który rzucał krater, ale kontrast z oślepiająco oświetloną tarczą dokoła był taki, że słabiutkie płomycki sygnalizacji nie były w ogóle widoczne.

Księżyc wyglądał, jakby na nim nigdy noga ludzka nie stała — od księżycowych Alp kładły się długie, długie cienie na równinę Morza Deszczów. Przypomniał sobie, jak przed lotem na Księżyc — z całą grupą, wtedy byli jeszcze zwykłymi pasażerami — Ośla Łączka poprosił go, aby sprawdził, czy gwiazdy siódmej wielkości są jeszcze z Księżyca widoczne, a on, osioł, podjął się tego z największym zapałem! Zapomniał na śmierć, że żadnych gwiazd z Księżyca w ogóle w dzień nie widać — wzrok jest zbyt olśniony blaskiem słońca, odbitym od powierzchni gruntu. Ośla Łączka długo jeszcze prześladował go tymi gwiazdami z Księżyca. Tarcza puchła powoli w ekranach — niedługo wyprze resztki czarnego nieba poza obręb przedniego.

Dziwne — nic nie brzęczało. Spojrzał w bok — i struchlał.

Jedna mucha siedziała na wypukłości bezpiecznika i czyściła sobie skrzydełka, a druga zalecała się do niej. Kilka milimetrów obok niej lśnił najbliższy kabel. Izolacja kończyła się trochę wyżej — wszystkie cztery kable były gołe, grube prawie jak ołówek, napięcie nie tak znów wysokie, 1000 Volt, i dlatego odstęp między nimi nie były duże — jeden od drugiego o siedem milimetrów. Przypadkowo wiedział, że siedem. Rozbierali raz całą instalację

elektryczną i za to, że nie znalazł odstępów między przewodami, nasłuchiwał się od asystenta różności. Mucha dała spokój zalecankom i łąziła teraz po gołym przewodzie. Oczywiście nic jej to nie szkodziło. Ale gdyby tak zachciało się jej przeleźć na drugi... — widocznie właśnie się zachciało, bo zabręczała i siedziała teraz na skrajnej miedzianej żyłce. Jak gdyby w całej sterowni nie było innego miejsca! Gdyby sobie stanęła tak, że przednie łapki na jednym przewodzie, a tylne na drugim...

No, więc co? W najgorszym razie zrobiłoby się zwarcie, zresztą mucha nie jest chyba tak wielka. Jeżeli nawet, to będzie zwarcie przez moment, automatyczny bezpiecznik wyłączy prąd, mucha spali się, automat z powrotem włączy prąd i wszystko zagra znowu — aż mucha będzie spokój! Patrzył jak zahipnotyzowany na szafeczkę wysokiego napięcia. Jednak nie życzył sobie, żeby bydlę próbowało. Krótkie spięcie — cholera wie, co może z tego być. Niby nic — ale po co?

Zegar: jeszcze osiem minut na malejącym stopniowo ciągu silników. Zaraz będzie koniec. Patrzył właśnie na ten zegar, kiedy błysło — i światła zgasły. Trwało to może trzecią część sekundy. — Mucha! — pomyślał, czekając z zapartym tchem, żeby automat na powrót włączył prąd. Włączył.

Światła zapaliły się, ale pomarańczowo, słabo, i natychmiast znów strzelił bezpiecznik. Ciemno. Automat znowu włączył. Wyłączył. Włączył. I tak ciągle — bez końca. Światła błyskały w pół prądu, co się stało? Zobaczył z trudem, w momentalnych, następujących po sobie miarowo rozjaśnieniach: po musze — wcisnęło się bydlę pomiędzy dwa przewody — pozostało truchełko, zwęglony słupek, który dalej łączył oba kable.

Nie można powiedzieć, żeby się za bardzo przestraszył. Był podniecony, ale czy w ogóle od chwili startu uspokoił się na dobre? Zegar źle było widać. Tablice miały własne oświetlenie — radar też. Prądu było akurat tyle, że awaryjne światła ani rezerwowe obwody nie włączały się — ale znów nie aż tyle, żeby było jasno. Do wyłączenia silników brakło czterech minut.

Nie musiał się o to troszczyć — automat reduktora sam powinien wyłączyć silnik. Lodowaty potoczek pociekł mu wzdłuż kręgosłupa — jakże automat wyłączy, jeżeli jest zwarcie?

Przez chwilę nie był pewny, czy to ten sam obwód, czy nie. Uprzytomnił sobie, że to są główne bezpieczniki. Dla całej rakiety i dla wszystkich obwodów. Ale stos, stos jest przecież osobno?...

Stos — tak. Ale nie automat. Sam go przecież przedtem nastawił. No, więc trzeba go wyłączyć. Czy lepiej nie ruszać? Może jednak zagra?

Konstruktorzy nie uwzględnili tego, że do sterowni może się dostać mucha — że przykrywka może spaść i będzie zwarcie — takie zwarcie!

Światła migały bez przerwy. Trzeba było coś zrobić. Ale co?

Proste — należy przetrzucić główny wyłącznik, który jest pod podłogą, za fotelem. Wyłączy główne obwody i uruchomi awaryjne. I wszystko będzie w porządku. Rakieta nie jest jednak tak głupio skonstruowana, wszystko przewidzieli z należyтым zapasem bezpieczeństwa.

Ciekawe, czy Boerst też wpadłby na to tak od razu? Należy się obawiać, że tak. Nawet może... ale zostały już tylko dwie minuty!! Nie zdąży przeprowadzić manewru! Podskoczył. Na śmierć zapomniał o tamtych!

Myślał chwilę z zamkniętymi oczami.

— AMU 27 prowadzący Terraluna do JO dwa, JO dwa bis. Mam zwarcie w sterowni. Manewr wejścia na orbitę tymczasowo trwał nad strefą równikową Księżyca wykonam z opóźnieniem... e... nieokreślonej długości. Wykonajcie manewr sami w ustalonym czasie. Odbiór.

— JO dwa bis do prowadzącego AMU 27 Terraluna. Wykonuję manewr łączny razem z JO

dwa wejścia na orbitę tymczasowo trwały nad strefą równikową. Masz dziewiętnaście minut do Tarczy. Powodzenia. Powodzenia. Koniec.

Ledwo dosłuchał, odkręcił kabel radiofonii, wąż tlenowy, drugi kabelek — pasy miał już rozpięte. Gdy się podnosił, automat reduktora zapłonął rubinowo — cała kabina to wyskakiwała z ciemności, to pogrążała się w mętnopomarańczowym świetle osłabionego napięcia. Silnik nie wyłączył się. Czerwone światło patrzyło na niego z półmroku, jakby pytając o radę. Rozległo się miarowe buczenie — sygnał ostrzegawczy. Reduktor nie mógł wyłączyć automatycznie silników. Łapiąc równowagę, skoczył za fotel.

Wyłącznik siedział we wpasowanej w podłogę kasecie. Kasetka — zamknięta na klucz. Tak, na pewno zamknięta. Szarpał pokrywę — nie puszczała. Gdzie klucz?

Klucza nie było. Szarpał jeszcze raz — nic.

Skoczył na równe nogi. Ślepo patrzył przed siebie — w przednich ekranach płonął już nie srebrzysty, ale biały, jak górskie śniegi, gigantyczny Księżyc. Zębate cienie kraterów sunęły po tarczy. Altimetr radarowy odezwał się — czy szedł już od dawna? Cykał miarowo — zielone cyferki wyskakiwały z półmroku: dwadzieścia jeden tysięcy kilometrów odległości.

Światło bezustannie migało, bezpiecznik wyłączał miarowo prąd. Gdy gasło, w kabinie nie zapadał już mrok — upiorny blask Księżyca wypełniał ją po brzegi i tylko nieznacznie słabł, kiedy lampy błyskały swoim półprzytomnym żarzeniem.

Statek leciał prosto, wciąż prosto, i wciąż zwiększał szybkość na szczątkowym przyspieszeniu 0,2 g — zarazem Księżyc przyciągał go coraz mocniej. Co robić? Co robić?! Skoczył jeszcze raz do kasety, uderzył nogą w pokrywę — stal ani drgnęła.

Zaraz! Boże! Jak mógł tak ogłupieć!! Trzeba — trzeba po prostu dostać się tam, na drugą stronę pęcherza! Można przecież! Przy samym wyjściu, tam gdzie szklana bania przechodzi zwięzającym się tunelem w lej kończący się u klapy — jest specjalna dźwignia, polakierowana na czerwono, pod tabliczką TYLKO W RAZIE AWARII ROZRZĄDU. Wystarczy ją przełożyć, a szklana bania uniesie się o metr prawie w górę — i będzie można przeleźć pod jej dolnym brzegiem na drugą stronę! Tam jakimś kawałkiem izolacji oczyści przewody i... Jednym susem znalazł się przy czerwonej dźwigni. — Idioto! — pomyślał, złapał stalową rękojeść, pociągnął, aż mu chrupnęło w stawie barkowym. Rękojeść wyskoczyła na całą długość błyszczącego olejem, stalowego pręta — a bania ani drgnęła. Ogłupiały, patrzył na nią — widział w głębi ekrany, pełne płonącego Księżyca, światło migało mu wciąż ponad głową — jeszcze raz targnął rękojeść, chociaż była już wyciągnięta... Nic.

Klucz! Klucz do kasety wyłącznika! Rzucił się płasko na podłogę, zajrzał pod fotel. Leżał tam tylko bryk...

Światła bezustannie migały, bezpiecznik miarowo wyłączał prąd. Gdy gasły, wszystko wokół stawało się białe jak wystrugane z trupich kości.

— Koniec! — pomyślał. — Dać się wyrzucić razem z banią? Wystrzelić z fotelem, w osłonie? Nie można, spadochron nie zahamuje, Księżyc nie ma przecież atmosfery. Ratunku!!! — chciał krzyknąć, ale nie było do kogo wołać — był sam. Co robić?! Musi być jakiś ratunek!!

Skoczył jeszcze raz do rękojeści — omal ręka nie wyskoczyła mu ze stawu. Chciało mu się płakać z rozpacz. Tak głupio, tak głupio... Gdzie jest klucz? Dlaczego mechanizm się zaciął? Altimetr — jednym spojrzeniem ogarnął zegary: dziewięć i pół tysiąca kilometrów. Od rozpalonego tła wyraźnie odcinała się skalna piła Timocharisa. Zdawało mu się, że widzi już miejsce, w którym wryje się w pokrytą pumeksem skałę. Będzie grzmot, błysk i...

Naraz jego skaczące szaleńczo oczy padły, w sekundzie rozbłysku światel, na poczwórny rząd miedzianych żył. Wyraźnie czerniała tam grudka, łącząca kable, pozostała po spalonej musze. Wystawiając bark, jak bramkarz w robinsonadzie, skoczył przed siebie, uderzenie było straszne, wstrząs omal nie pozbawił go przytomności. Ściana bani odrzuciła go jak nabita samochodowa opona, upadł na podłogę. Ani drgnęła. Zerwał się na równe nogi, dysząc

ciężko, z pokrwawionymi ustami, gotów ponownie rzucić się na szklany mur. Spojrzał w dół.

Dźwignia małego pilotażu. Dla wielkich, krótkotrwałych przyspieszeń, rzędu 10 g, ale tylko na ułamek sekundy. Pracowała bezpośrednio, na ciągłach mechanicznych. Dawała momentalny, awaryjny ciąg.

Ale mógł nią tylko zwiększyć przyspieszenie, to znaczy — jeszcze szybciej dolecieć do Tarczy. Nie — zahamować. Odrzut był zbyt krótkotrwały. Hamowanie musi być ciągłe. Mały pilotaż — na nic?

Rzucił się na dźwignię, padając złapał ją, targnął, pozbawiony amortyzującej osłony fotela miał uczucie, że wszystkie kości mu się rozlatują, tak uderzyła go podłoga. Pociągnął jeszcze raz. Taki sam straszny, momentalny skok rakiety! Uderzył głową o ziemię, gdyby nie pianoplastik — roztrzaskałby się.

Bezpiecznik brzęknął — miganie ustało nagle. Sterownię zalał spokojny, normalny blask lamp.

Podwójne uderzenie błyskawicznych przyspieszeń małego pilotażu wytrąciło strupieszalą węgielek spomiędzy przewodów. Zwarcie było usunięte. Czując słony smak krwi w ustach, skoczył w fotel, jakby dawał nurka z trampoliny — ale nie wpadł w jego objęcia, przeleciał wysoko nad oparciem, okropne uderzenie o strop, ledwo co osłabione haubą.

W momencie kiedy odbijał się do skoku, czynny już automat reduktora wyłączył silnik. Resztkę ciężenia znikła. Statek, teraz już tylko rozpedem, spadał jak kamień prosto ku skalnym ruinom Timocharisa.

Odbił się od sufitu. Krwawa ślina, którą wypluł, płynęła obok niego w powietrzu czerwono-srebrzystymi bąbelkami. Rozpaczliwie wiał się wyciągając ręce ku oparciu fotela. Wyrwał z kieszeni wszystko, co w nich tkwiło, cisnął za siebie.

Ten odrzut pchnął go łagodnie, powoli, sunął coraz niżej, palce, wyciągnięte tak, że ścięgna pękały, najpierw zgrzytnęły paznokciami po niklowej rurze, aż wpiły się w nią. Nie puścił: już. Ściągnął się całym głową w dół, jak akrobata robiący odwróconą stojkę na poręczach, złapał pas, po pasie zjechał w dół, owinał go wokół ciała, karabinek... — nie tracił czasu na zatraskiwanie go, zagryzł go tylko w zębach — trzymało. Teraz ręce na rękojeści, nogi w pedały!!

Altimetr: tysiąc osiemset kilometrów do Tarczy. Czy zdąży zahamować? Wykluczone! 45 kilometrów na sekundę! Musi skręcić — wykonać głębokie wyjście z pikującego lotu — tylko tak!

Włączył dysze odchylające — dwa, trzy, cztery g! Mało! Mało!!

Dał pełny ciąg na odchylenie. Rtęcią płonąca tarcza w ekranie, dotąd jak gdyby wmurowana weń z zewnątrz, drgnęła i coraz szybciej poczęła sunąć w dół. Fotel skrzypiał pod rosnącym ciężarem jego ciała. Statek wchodził w łuk nad samą powierzchnią Księżyca, o wielkim promieniu — promień musiał być taki, bo miał ogromną szybkość. Rękojeść stała twardo, dociśnięta do końca. Wtłaczało go w gąbczaste oparcie, tracił dech, kombinezon nie był połączony z tlenową sprężarką, czuł, jak gną mu się zebra, szarawe plamy pokazały się w oczach. Czekał na black-out, patrząc ciągle w ramkę radarowego altimetra, który miał w swoich okienkach cyferki, jeden rząd wyskakiwał po drugim: 990 — 900 — 840 — 760 kilometrów...

Choć wiedział, że ma za sobą całą moc, parł rękojeść dalej. Wykonywał najciaśniejszy skręt, jaki był w ogóle możliwy — a mimo to nie przestał jeszcze tracić wysokości — cyfry wciąż malały — choć coraz wolniej — leżał jeszcze w zstępującej części wielkiego łuku. Spojrzał — samymi oczami, gałki ich ledwo mógł obrócić — na trajektometr.

Jak zwykle w groźnej strefie ciał niebieskich, tarcza aparatu pokazywała, oprócz krzywej, którą zakreślał pocisk — i migającego słabo jej domyślnego przedłużenia — także profil wypukłości Księżyca, nad którym odbywał się cały manewr.

Obie te krzywe — lotu i księżycowej powierzchni — schodziły się prawie. Czy przecinały

się?

Nie. Ale brzuch jego łuku był niemal styczną. Nie było pewne, czy prześliznie się tuż nad samą Tarczą — czy wyrznie w nią. Trajektometr pracował z błędem siedmiu — ośmiu kilometrów i Pirx nie mógł wiedzieć, czy krzywa przechodzi trzy kilometry ponad skałami — czy też popod nimi.

Ciemniało mu w oczach — 5 g robiło swoje. Przytomności nie stracił. Leżał, ślepy, z rękami zaciśniętymi mocno na dźwigniach, czując, jak powoli poddają się amortyzatory fotela. Nie wierzył, że jest zgubiony. Jakoś nie mógł w to uwierzyć. Wargami nie był zdolny ruszać — więc, w swojej ciemności, w myślach tylko liczył powoli: dwadzieścia jeden — dwadzieścia dwa — dwadzieścia trzy — dwadzieścia cztery...

Przy pięćdziesięciu zapełgała myśl, że to już zderzenie — jeśli w ogóle musiałyby nastąpić. Mimo to nie puszczał dźwigni. Zaczynało mu się robić słabo: duszność, dzwon w uszach, w gardle pełno krwi, w oczach — krwawa czerń...

Palce same rozwarły się — rękojeść odsunęła się powoli, nie słyszał nic, nie wiedział. Powoli robiło się szaro — oddychać było coraz lżej. Chciał otworzyć oczy — ależ były, przez cały czas były otwarte, piekły teraz: spojówki wyschły!!

Usiadł.

Miał 2 g na grawimetrze. Przedni ekran — pusty. Gwiazdowe niebo. Ani śladu Księżyca. Gdzie się podział Księżyc?

Leżał w dole — pod nim. Wystrzelił w górę ze swojej śmiertelnej piki — i oddalał się teraz od niego z malejącą szybkością. Jak nisko prześliznął się nad samą Tarczą? Musiał to zarejestrować altimetr, ale miał w tej chwili co innego na głowie niż wypytywanie go o dane cyfrowe. Teraz dopiero zorientował się, że alarmowy sygnał, który buczał przez cały czas, umilkł. Dużo wart taki sygnał! Już raczej jakiś dzwon powinni powiesić pod stropem. Jak cmentarz, to cmentarz. Coś zabzyczało cichutko — mucha! Druga mucha! Żyła — bydlę jedno! Latała nad samą banią. Miał w ustach coś wstrętnego, szorstkiego, o smaku płótna — koniec pasa bezpieczeństwa! Cały czas zgniatał go w zębach! Pojęcia o tym nie miał.

Zapiął pas, położył ręce na dźwigniach — trzeba wyprowadzić raketę na właściwą orbitę. Oczywiście, po obu JO nie będzie już śladu — ale musi dociągnąć, gdzie trzeba i zameldować się Lunie Nawigacyjnej. Czy może Lunie Głównej — dlatego że miał awarię? Diabli wiedzą! Czy siedzieć cicho? Wykluczone! Jak wróci — zauważą krew, nawet szklany sufit jest pochlapany czerwono (teraz to zauważył), a zresztą rejestrator zapisał na taśmie wszystko, co się działo — szaleństwa bezpiecznika i jego walkę z awaryjną dźwignią. Niezłe są te AMU, nie ma co! A ci, co podstawiają człowiekowi taką trumnę na start, też są dobrzy!

Trzeba się było jednak meldować, nie wiedział dalej komu, więc pochylił się, popuszczając naramienny pas.

Sięgnął po bryk, leżący pod fotelem. — Ostatecznie, dlaczego nie mam zaglądnąć? Przynajmniej teraz się przyda. Usłyszał wówczas, że coś trzasnęło — zupełnie, jakby się otwarły jakieś drzwi.

Żadnych drzwi za nim nie było, doskonale o tym wiedział, nie mógł się zresztą odwrócić, przypięty pasami do fotela, ale smuga jasności padła na ekrany, gwiazdy zbladły w nich i usłyszał stłumiony głos Szefa:

— Pilocie Pirx!

Chciał się zerwać, pasy go przytrzymały, upadł z powrotem, zdawało mu się, że zwariował. W przejściu między ścianą sterówki a szklaną powłoką ukazał się Szef. Stał przed nim w swoim szarym mundurze, patrzył na niego szarymi oczami — i uśmiechał się. Pirx nie wiedział, co się z nim dzieje.

Szklana powłoka uniosła się w górę — odruchowo zaczął rozpinąć pasy, wstał — ekrany za plecami Szefa zgasły nagle, jak zdmuchnięte.

— Zupełnie dobrze, pilocie Pirx — powiedział Szef. — Zupełnie dobrze.

Pirx w dalszym ciągu nie wiedział, co się z nim dzieje. Stał w postawie zasadniczej przed Szefem i zrobił okropną rzecz — odwrócił głowę, o ile pozwolił mu na to na wpół wydepty kołnier.

Całe przejście, razem z klapą, było odsunięte — jakby rakieta pękła w tym miejscu na dwoje. Widać było w smudze wieczornego światła pomost hali, stojących na nim ludzi, liny, kratownice — Pirx z nie domkniętymi ustami popatrzał na Szefa.

— Chodź, chłopcze — powiedział Szef. Powoli podał mu rękę, którą Pirx ujął — wzmacniając uścisk, Szef dodał: — Wyrażam ci uznanie w imieniu Lotów, a we własnym — przepraszam cię. To... jest... konieczne. Teraz chodź, przejdziesz do mnie. Będziesz się mógł umyć.

Ruszył do wyjścia. Pirx poszedł za nim, stąpając ciężko i niezgrabnie. Na dworze było chłodno i wiał słaby wiatr — wpadał do hali przez odsuniętą część stropu. Oba pociski stały na tych samych miejscach co przedtem — tylko kilka długich, grubych kabli, zwisając łukiem nad pustą przestrzenią, dochodziło do ich dziobów. Przedtem tych kabli nie było.

Instruktor stojący na pomoście mówił coś do niego. Źle słyszał przez haubę.

— Co? — spytał odruchowo.

— Powietrze! Wypuść sobie powietrze z kombinezonu!

— A, powietrze...

Nacisnął wentyl — zasyczało. Stał na pomoście. Jakichś dwu ludzi w białych fartuchach czekało przed linami bariery. Jego rakieta wyglądała, jakby miała rozpekły dziob. Ogarniało go z wolna uczucie dziwnej słabości — zdumienia — rozczarowania, które przemieniało się coraz wyraźniej w gniew.

Otwierali klapę drugiego pocisku. Szef stał na pomoście, ludzie w białych fartuchach mówili coś do niego. We wnętrzu drugiej akiety rozległ się słaby trzask...

Jakiś brązowy, pręgowany, wijący się kłęb wypadł stamtąd, niewyraźną plamą latała głowa bez hauby, dławiała się rykiem...

Nogi ugięły się pod nim.

Ten człowiek...

Boerst zderzył się z Księżycem.

PATROL

Na dnie pudełeczka stał domek z czerwonym dachem — wyglądał ze swoimi dachóweczkami jak malina, aż miało się ochotę go polizać. Kiedy potrząsnęło się pudełkiem, z krzaków dokoła domku wypadały trzy prosiaczki jak różowe perełki. Zarazem z nory pod lasem — las był wymalowany tylko na wewnętrznej ścianie pudełka, ale jak żywy — wylatywał czarny wilk i kłapiąc przy najmniejszym ruchu zębata, w środku czerwoną paszczą — sunął ku prosiaczkom, żeby je połknąć. Pewno miał w środku magnesik. Trzeba było wielkiej zręczności, by do tego nie dopuścić. Należało, postukując w dno pudełka paznokciem małego palca, wprowadzić przedtem trzy prosiaczki do domku, przez drzwiczki, które też nie zawsze chciały się szeroko otworzyć. Całość nie była większa od puderniczki — a można było nad nią spędzić pół życia. Teraz jednak nie dałoby się z nią nic począć, bo, przy braku ciężenia, gra nie działała. Pilot Pirx spoglądał tęsknie na dźwignie akceleratorów. Jeden mały ruch — a ciąg silnika, chociażby najslabszy, sprowadzi ciężenie i będzie można — zamiast bezpotrzebnie wlepić się w czarną próżnię — zająć losem prosiaczków.

Niestety, regulamin nie przewidywał uruchamiania stosu atomowego dla ocalenia trzech różowych prosiąt przed wilkiem. Co więcej — kategorycznie zakazywał dokonywania zbędnych manewrów w przestrzeni. Jak gdyby to było zbędnym manewrem!

Pirx schował powoli pudełeczko do kieszeni. Piloci zabierali ze sobą znacznie dziwniejsze rzeczy, szczególnie jeśli patrol miał trwać długo, tak jak ten. Dawniej szefostwo Bazy patrzyło przez palce na to, jak marnuje się uran przy wyrzucaniu w niebo — oprócz rakiet z ich pilotami — różnych osobliwych przedmiotów, więc: nakręcanych ptaszków, które potrafią dziobać rozsypany chleb, mechanicznych szerszeni goniących mechaniczne osy, chińskich łamigłówek z niklu i kości słoniowej — i nikt już nawet nie pamiętał, że pierwszy zaraził Bazę tym szaleństwem mały Aarmens, który, wybierając się na patrol, odbierał po prostu zabawki swemu sześciolletniemu synkowi.

Idylla taka trwała dość długo — prawie rok — do czasu, kiedy rakiety przestały wracać z lotów.

W owych spokojnych czasach wielu sarkano zresztą na loty patrolowe, a przydział do grupy „czeszącej” próżnię przyjmowano jako wyraz osobistej nieprzyjaźni Szefa. Pirx wcale się nim nie dziwił: patrole, to było jak odra — prędzej czy później każdy musiał to przejść.

Potem jednak nie wrócił Thomas, wielki, gruby Thomas, który nosił 45 numer butów, lubił robić kawały i hodował pudle — oczywiście najmądrzejsze pudle świata. Nawet w kieszeniach jego kombinezonu można było znaleźć skórki od kielbasy i kostki cukru, a Szef podejrzewał, że Thomas przemycą czasem pudle na statek — chociaż Thomas zaklinał się, że coś podobnego nigdy mu nawet w głowie nie powstało. Możliwe. Nikt się już tego nie dowie, bo Thomas wystartował pewnego lipcowego popołudnia, biorąc dwa termosy kawy — zawsze strasznie dużo pił — i dla wszelkiej pewności postawił sobie trzeci pełny termos w mesie pilotów, żeby mieć po powrocie taką, jaką lubił — zmieszaną z fusami i parzoną z cukrem. Kawa czekała bardzo długo. O siódmej trzeciego dnia skończyło się „opóźnienie dopuszczalne” i Thomas został wypisany kredą na tablicy w nawigacyjnej — on jeden. Takie rzeczy nie zdarzały się — tylko najstarsi piloci pamiętali okres, w którym na statkach występowały awarie i nawet lubili opowiadać młodszym okropne historie z czasów, kiedy ostrzeżenie meteorytowe dostawało się na piętnaście sekund przed zderzeniem — akurat dość czasu, żeby się pożegnać z rodziną. Oczywiście przez radio. Ale to naprawdę były stare dzieje. Tablica w nawigacyjnej była zawsze pusta — i właściwie tkwiła na ścianie tylko siłą bezwładu.

O dziewiątej było jeszcze dosyć jasno — wszyscy dyżurujący piloci wyszli z radionasłuchu i stanęli na trawnikach, okalających ogromną, betonową powierzchnię

ładowiska, gapiąc się w niebo. Do nawigatorni nikogo nie wpuszczano. Szef, który był w mieście, przyjechał wieczorem, wyjął z bębnow wszystkie rejestrujące taśmy z zapisami sygnałów automatycznego nadajnika Thomasa i poszedł na górę — do oszklonej kopułki obserwatorium, która kręciła się jak zwariowana, łypiąc na wszystkie strony czarnymi muszlami radarów.

Thomas poleciał na małym AMU i chociaż paliwa atomowego starczyłoby mu na oblecenie połowy Drogi Mlecznej — jak pocieszał pilotów podoficer z grupy tankowców — wszyscy mieli go za ostatniego idiotę, a ktoś mu nawet paskudnie przygadał, bo tlenu było na AMU tyle co nic — porcja pięciodobowa, z ośmiogodzinną żelazną rezerwą. Przez całe cztery dni osiemdziesięciu pilotów stacji, nie licząc mnóstwa innych — ogółem niemal pięć tysięcy rakiet — przeszukiwało sektor, w którym znikł Thomas. Nie znaleźli nic — jakby się rozplynął w próżni.

— Drugim był Wilmer. Tego, prawdę powiedziawszy, mało kto lubił; właściwie nie było do tego żadnego ważnego powodu — za to sporo drobnych. Nie dawał

nikomu skończyć — zawsze musiał wsadzić swoje trzy grosze. Śmiał się głupkowato w najbardziej niestosownych okolicznościach — a im więcej tym kogoś denerwował, tym głośniejsze się śmiał. Kiedy nie chciało mu się fatygować lądowaniem docelowym, siadał zwyczajnie na trawie obok ładowiska i wypalał ją razem z korzonkami i ziemią na głębokość metra. Kiedy natomiast jemu ktoś wlaź na ćwierć miliparseka w rejon patrolowy, z punktu składał raporty — choćby to był kolega z Bazy. Było jeszcze trochę rzeczy zupełnie drobnych, o których wstyd nawet mówić — wycierał się w cudze ręczniki, żeby jego dłużej był czysty — ale kiedy nie wrócił z patrolu, wszyscy odkryli, że Wilmer to najporządniejszy chłop i kolega. Znowu szalał radar, piloci latali bez zmian poza kolejnością, ludzie z nasłuchu w ogóle nie wracali do domu, spać kładli się na przemian pod ścianą, na ławce — nawet obiad noszono im na górę — Szef, który wyjechał już na urlop, powrócił specjalnym samolotem, piloci czesali sektor cztery dni, a humory mieli wszyscy takie, że o nie dogiętą przewleczkę w najgłępszej nakrętce gotowi byli głowę rozbić monterowi, przyjechały dwie komisje ekspertów, AMU 116, bliźniaczo podobny do pocisku Wilmera, został po prostu rozebrany na śrubki, jak zegarek — wszystko bez najmniejszego rezultatu.

Co prawda sektor ma tysiąc sześćset bilionów kilometrów sześciennych, ale też należał do spokojnych — ani jakichś zagrożeń meteorytowych, ani stałych rojów, ani nawet żadne szlaki starych, od stu lat nie widywanych komet tamtędy nie przechodziły — a wiadomo, że taka kometa lubi się czasem rozpaść na kawałki gdzieś w pobliżu Jupitera, w jego „perturbacyjnym młynie”, i potem cyka stamtąd co jakiś czas po swoim starym kursie kawałkami roztrzaskanej głowy. Ale w tym sektorze w ogóle nic nie było — ani satelita żaden o niego nie zawadzał, ani planetoida, nie mówiąc nawet o Pasie — i właśnie przez to, że próżnia była tam taka „czysta”, nikt nie lubił w nim patrolować.

Niemniej jednak Wilmer znikł w nim jako drugi, a jego taśma rejestracyjna, naturalnie dziesięć razy przesłuchana, fotografowana, powielana i przesyłana do Instytutu — powiedziała akurat tyle co taśma Thomasa, to znaczy nic. Jakiś czas sygnały nadchodziły, a potem przestały nadchodzić. Automatyczny nadajnik wysyłał je dosyć rzadko — raz na godzinę. Thomas zostawił za sobą jedenaście, a Wilmer — czternaście takich sygnałów. To było wszystko.

Po tym drugim wypadku Szefostwo zaczęło bardzo gwałtownie działać. Najpierw sprawdzano wszystkie pociski — stopy atomowe, rozrząd, każdą śrubę, za porysowane szkło zegara można było stracić urlop. Potem zmieniono mechanizmy zegarowe wszystkich nadajników — jak gdyby one były winne! Odtąd sygnały opuszczały raketę co osiemnaście minut. W tym nie było jeszcze nic złego, przeciwnie; gorzej, że przy rampie stali dwaj najstarsi oficerowie, którzy bez wszelkiej litości zabierali ludziom wszystko — ogałacali ich z ptaszków dziobiących i śpiewających, motylków, pszczołek, gier zręczności — cały stos

skonfiskowanych rzeczy zgromadził się wkrótce w gabinecie Szefa. Złośliwi mówili nawet, że drzwi są tam tak często zamknięte, bo Szef sam się tym bawi.

W świetle tych wydarzeń można dopiero właściwie ocenić wysoki kunszt pilota Pirxa, który mimo wszystko zdołał przemycić na pokład swego AMU domek z prosiaczkami. Inna rzecz, że nie miał z niego żadnego pożytku — oprócz moralnej satysfakcji.

Lot patrolowy ciągnął się już dziewiątą z rzędu godzinę. Ciągnął się — to było bardzo trafne określenie. Pilot Pirx siedział na swoim fotelu, opięty i obandażowany pasami jak mumia, tyle że ręce i nogi miał wolne, i apatycznie spoglądał na ekrany. Przez sześć tygodni latali dwójkami — w odstępach trzystu kilometrów — ale potem Baza wróciła do poprzedniej taktyki: sektor był pusty, absolutnie pusty i nawet o tę jedną patrolową raketę było w nim za wiele — ale niepodobna mieć na mapach gwiazdowych „dziury”, więc dalsze loty kontynuowano w pojedynkę. Pirx wystartował jako osiemnasty z kolei, licząc od skasowania dwójkowych patroli.

Nie mając nic lepszego do roboty, zastanawiał się nad tym, co się stało z Thomasem i Wilmerem. W Bazie nikt już o nich prawie nigdy nie wspominał, ale podczas lotów człowiek jest dostatecznie samotny, aby pozwolić sobie na myślenie najbardziej nawet bezpłodne. Latał już prawie trzy lata (dwa lata i cztery miesiące, mówiąc całkiem dokładnie) i uważał się za starego rutyniarza. Astronuda po prostu zjadała go, chociaż wcale nie był pozerem.

Lot patrolowy porównywano, nie bez słuszności, do siedzenia w poczekalni u dentysty — i jedyna różnica polegała na tym, że dentysta nie przychodził. Gwiazdy nie ruszały się — rzecz jasna — Ziemi wcale nie było widać, albo, jeśli się miało nadzwyczajne szczęście, wyglądała jak malutki rąbek posiniałego paznokcia — i to tylko w pierwszych dwu godzinach lotu, bo potem stawała się gwiazdą, podobną do innych, tyle że się powoli przesuwiała. W słońce, jak wiadomo, patrzeć w ogóle nie można. W takiej sytuacji problem chińskich łamigłówek i gier zręczności stawał się doprawdy palący. Obowiązkiem pilota było jednak wisieć w kokonie pasów, kontrolować ekrany zwykłe i radarowy, od czasu do czasu meldować Bazie, że nic nie zaszło, sprawdzać wskazania jałowego biegu reaktora, a czasem — ale to już nadzwyczaj rzadko — przychodził z zasięgu sektora sygnał wzywający pomocy — albo nawet SOS — i wtedy należało gnać na złamanie karku, ale to była gratka, która zdarzała się nie częściej niż raz — dwa razy w roku.

Jeśli to wszystko przemyśleć, okaże się dopiero zrozumiałe, że przeróżne myśli i majaki pilotów, z punktu widzenia Ziemi i zwykłych pasażerów raketowych wręcz zbrodnicze, były aż nadto ludzkiej. Kiedy człowieka otacza półtora trylionu kilometrów sześciennych próżni, w której nie znalazłoby się ani szczypty popiołu z papierosa, wtedy życzenie, aby stało się cokolwiek — nawet jakaś okropna katastrofa — zamienia się w istną obsesję.

W ciągu swoich stu siedemdziesięciu dwu lotów patrolowych pilot Pirx przeszedł rozmaite fazy psychiczne, bywał senny, zgorzkniały, czuł się starcem, dziwaczał, bliski był myśli o jakimś bynajmniej nie łagodnym rodzaju szaleństwa, na koniec zaś jął sobie — podobnie trochę jak w czasach studiów — wymyślać rozmaite historie, nieraz tak skomplikowane, że dla ich zakończenia nie starczyło nawet całego patrolu. Inna rzecz, że nudził się dalej.

Zapuszczając się w labirynt samotnych rozważań, Pirx wiedział dobrze, że na pewno nic nie wymyśli i zagadka zniknięcia jego dwu kolegów pozostanie nie rozwiązana — czyż nie głowili się nad nią, z wiadomym rezultatem, najteżsi eksperci Bazy i Instytutu przez całe miesiące? Dlatego skłaniał się raczej do puszczenia w ruch prosiaczków i wilka, zajęcie to bowiem, może nie mniej jałowe, było przynajmniej niewinniejsze. Ale silniki milczały, nie było żadnego powodu dla ich uruchomienia, rakieta mknęła po wycinku niezmiernie wydłużonej elipsy, w której jednym ognisku znajdowało się Słońce — i prosiaczki musiały czekać lepszych czasów.

A zatem: co się stało z Thomasem i Wilmerem?

Laik prozaiczny zacząłby od przypuszczenia, że ich rakiety zderzyły się z czymś — na

przykład z meteorem albo z obłokiem pyłu kosmicznego, ze szczątkiem kometowej głowy czy choćby z kawałkiem jakiegoś starego raketowego wraka. Jednakże zderzenie takie było równie mało prawdopodobne co znalezienie dużego brylantu na środku ruchliwej ulicy. Odpowiednie obliczenia wykazują zresztą, że znaleźć taki brylant jest o wiele łatwiej.

Z nudów — wyłącznie z nudów — Pirs zaczął rzucać swemu Kalkulatorowi cyfry, układając równania, liczyć prawdopodobieństwa zderzeń — aż wyszła taka liczba, że Kalkulator musiał obciąć osiemnaście ostatnich miejsc, żeby się w ogóle zmieściła w jego okienkach.

Zresztą próżnia była pusta. Żadnych szlaków starych komet, żadnych obłoków kosmicznego pyłu — nic. Wrak starej rakiety mógł się w niej znaleźć — z teoretycznego punktu widzenia tak samo tam, jak w każdej innej części Kosmosu — po niewyobrażalnie wielkiej liczbie lat. Ale Thomas i Wilmer zobaczyliby go z daleka, co najmniej na 250 kilometrów, a jeśli by wyszedł prosto ze słońca, to i tak meteoradar podniósłby alarm na dobrych trzydzieści sekund przed zderzeniem, a gdyby pilot przegapił ów alarm, na przykład drzemiąc, to i tak automatyczny przyrząd wykonałby manewr mijania. Gdyby zaś automat mijania zepsuł się, to mógł się taki dziw nad dziwy przydarzyć raz — ale nie dwa razy, w odstępie kilkunastu zaledwie dni.

Tyle mniej więcej potrafiłby wymyślić laik, który nie wie, że w rakiecie może się podczas lotu wydarzyć wiele rzeczy daleko niebezpieczniejszych od napotkania meteorytu czy spróchniałej głowy kometowej. Rakieta, nawet tak mała jak AMU, składa się bez mała ze stu czterestu tysięcy ważnych części — ważnych, to znaczy takich, których awaria jest w skutkach katastrofalna. Bo mniej ważnych części liczy ponad milion. Jeżeli jednak coś tak fatalnego się zdarzy, to statek nawet po śmierci pilota nie roztrzaska się nigdzie ani się nie zaprzepaści, bo, jak powiada stare przysłowie, pilotów, w próżni nic nie ginie — i jeżeli zostawisz w niej papierośnicę, wystarczy tylko obliczyć elementy jej ruchu i przybyć na to samo miejsce we właściwym czasie, a papierośnica, podążając po swojej orbicie, wskoczy ci z astronomiczną dokładnością w przewidzianej sekundzie do ręki. Ponieważ każde ciało w nieskończoność krąży po swoim torze, wraki statków, które uległy awarii, można zawsze niemal prędzej czy później odnaleźć. Wielkie Kalkulatory Instytutu wykreśliły ponad czterdzieści milionów możliwych orbit, na których mogłyby się poruszać rakiety zaginionych pilotów, i wszystkie te szlaki zostały zbadane, to znaczy wysondowane punktowo skoncentrowanymi pęczkami najsilniejszych emitorów radarowych, jakimi dysponuje Ziemia. Z wiadomym rezultatem.

Oczywiście nie można powiedzieć, że po tym sondowaniu przeszukana została cała przestrzeń układu. Rakieta jest w jego objęciach czymś niewyobrażalnie małym — daleko mniejszym niż atom wobec kuli ziemskiej — ale szukano wszędzie, gdzie rakiety mogły się znajdować, zakładając, że piloci ich nie opuścili z maksymalną szybkością wnętrza patrolowanego sektora. Dlaczego by jednak mieli uciekać z głębi swojego sektora? Przecież nie dostali żadnego sygnału radiowego ani wezwania, nic nie mogło im się przytrafić — to zostało udowodnione.

Wyglądało na to, że Thomas i Wilmer razem ze swymi pociskami wyparowali, jak krople wody rzucone na rozpaloną płytę — albo że...

Laik z wyobraźnią, w przeciwieństwie do laika prozaicznego, wymieniłby — jako przyczynę tajemniczego zniknięcia — na pierwszym miejscu zagadkowe, czające się w próżni, obdarzone inteligencją, równie wielką co złośliwą, istoty z innych gwiazd.

Gdy jednak astronautyka rozwijała się od tak dawna, któż wierzył jeszcze w takie istoty, skoro nigdzie nie odkryto ich w zbadanym Kosmosie? Ilość kawałów o „istotach” przekraczała już chyba liczbę sześciennych kilometrów systemowej próżni. Oprócz najbardziej „zielonych”, którzy latali dotąd tylko w fotelu, zawieszonym pod sufitem sali laboratoryjnej, nikt nie dałby za ich istnienie kawałka starego papieru. Być może, że istnieją mieszkańcy odległych gwiazd — ale też tylko bardzo odległych.

Trochę prymitywnych mięczakowatych, nieco porostów, bakterii, wymoczków, nieznanych na Ziemi — to był właściwie cały plon wieloletnich wypraw. A zresztą, czy takie istoty — jeśli już nawet przyjąć, że istniały — doprawdy nie miały nic innego do roboty, jak tylko czyhać w jednym z najprzekłęcej jałowych miejsc próżni w oczekiwaniu malutkich raketek Patrolu? I jak mogłyby zbliżyć się do nich niepostrzeżenie?

Takich pytań, obracających całą hipotezę w absolutny, gigantyczny nonsens, było wiele — tak wiele, że gra doprawdy traciła resztki sensu. Pirx, skłonny w dziewiątej godzinie lotu do nie byle jakich kombinacji mózgowych, musiał sobie jednak — w świetle tych wszystkich, bezwzględnie trzeźwych prawd — zadawać gwałt, aby mimo wszystko choć przez chwilę umiejscowić w wyobraźni demoniczne istoty z gwiazd.

Od czasu do czasu, kiedy, mimo braku ciężenia, nużyć go zaczynała wciąż jednakowa pozycja, zmieniał nachylenie fotela, do którego był przykrępowany, potem spoglądał kolejno w prawą i lewą stronę, przy czym, co może wydać się dziwne, wcale nie widział trzystu jedenastu wskaźników, kontrolnych światełek, pulsujących tarcz i zegarów, albowiem wszystkie one, były dla niego tym, czym są dla przeciętnego człowieka rysy znajomej twarzy, tak dobrze i od tak dawna znanej, że wcale nie trzeba dopiero badać skrzywienia jej ust, rozchylenia powiek ani szukać na czole zmarszczek, aby wiedzieć, co ona wyraża. Tak więc zegary i kontrolki zlewały się w spojrzeniu Pirxa w jedną całość, która mówiła mu, że wszystko jest w porządku. Gdy zwracał potem głowę na wprost, widział oba przednie ekrany gwiazdowe, a między nimi swoją własną twarz w otoku pękatej, zakrywającej częściowo czoło i podbródek, żółtej hauby.

Pomiędzy dwoma ekranami gwiazdowymi znajdowało się lustro, niezbyt wielkie, ale umieszczone tak, że pilot widział w nim właśnie siebie — i nic więcej. Nie wiadomo było, po co właściwie jest to lustro i czemu ma służyć. To znaczy — było wiadomo, ale mądre racje, przemawiające za obecnością lustra, mało kogo przekonywały. Wynaleźli je psychologowie. Człowiek — twierdzą oni — jakkolwiek brzmi to dziwacznie, często, zwłaszcza jeżeli przez dłuższy czas przebywa w samotności, przestaje we właściwy sposób kontrolować stan swego umysłu i swoich emocji, i ni stąd, ni zowąd może się okazać, że popada w jakieś hipnotyczne odrętwienie, a nawet sen bez marzeń, z otwartymi oczami, z którego nie zawsze potrafi się .w porę ocknąć. Czasem znowu niektórzy dostają się pod władzę nie wiadomo skąd wypełzających omamów albo stanów lękowych, albo gwałtownego pobudzenia — a na wszystkie takie sensacje świetnym środkiem ma być kontrola własnej twarzy. Inna rzecz, że widzieć przed sobą w ciągu kilkunastu godzin własną twarz, jak wmurowaną, i śledzić przymusowo każdy jej wyraz — nie jest przyjemnie. O tym także mało kto wie, poza pilotami pocisków patrolowych. Zaczyna się to zwykle niewinnie, człowiek wytnie jakąś minę, wykrzywi się lekko albo uśmiechnie się do własnego odbicia, a potem idą już jeden za drugim grymasy coraz pokrętniejsze; tak to jest, kiedy sytuacja, tak bardzo przeciwna naturze, przeciąga się ponad zwykłą wytrzymałość.

Pirx robił sobie na szczęście bardzo niewiele z własnej twarzy, w przeciwieństwie do niektórych innych pilotów. Tego oczywiście nikt nie sprawdzał, bo to i niemożliwe, ale opowiadają, że niektórzy, w przystępie nudów czy jakiegoś nad wszelką przyzwoitość wyrastającego ogłupienia, zaczęli robić rzeczy, które ciężko opowiedzieć — na przykład pluli we własne odbicie, a potem, wstydząc się, musieli naturalnie robić to, co jest najsurowiej zakazane — odpinać pasy, wstawać i w pozbawionej ciężkości rakiiecie iść, a raczej płynąć do lustra, aby je jakoś oczyścić przed lądowaniem. Byli nawet tacy, co twierdzili uporczywie, że Wuertz, który wrąbał się na trzydzieści trzy metry w głąb betonowej płyty lądowiska, za późno przypomniał sobie o konieczności wytarcia lusterka i zajął się tym w momencie, kiedy rakietka wchodziła w atmosferę.

Pilot Pirx nigdy takich rzeczy nie robił, co ważniejsze — nie odczuwał nawet najmniejszej pokusy, aby — splunąć w lustro — a walka z nią też podobno doprowadzała niektórych do

ciężkich wewnętrznych zmaganiach — z czego mógłby się wyśmiewać tylko ten, kto nigdy nie był na samotnym patrolu. Pirx zawsze, nawet w czasie najcięższej nudy, potrafił w końcu wynaleźć sobie coś i wokół tego owijał wszystkie inne, poplątane i niewyraźne uczucia i myśli, jak bardzo długą i splątaną nitkę wokół twardego trzpienia.

Zegar — zwykły, mierzący czas — wskazywał jedenastą w nocy. Za trzynaście minut miał się znaleźć na najbardziej odległym od słońca odcinku swojej orbity. Kaszlnął parę razy, aby sprawdzić mikrofon, na chybił trafił zaproponował Kalkulatorowi, aby wyciągnął czwarty pierwiastek z 8769983410567396, nawet nie popatrzył na wynik, który Kalkulator podał z największym pośpiechem, mieląc w swoich okienkach cyferki i potrząsając nimi nerwowo, jakby od tego wyniku Bóg wie co zależało, pomyślał, że kiedy wyląduje, najpierw wyrzuci z rakiety przez klapę rękawice — tak sobie — następnie zapali papierosa i pójdzie do mesy, gdzie każe zaraz podać sobie coś smażonego, ostrego, z czerwoną papryką, i do tego duże piwo — lubił piwo — kiedy zobaczył światelko.

Patrzył w lewy przedni ekran pozornie niewidzącym wzrokiem i był już cały duchem w mesie, nawet czuł woń wysmażonych dobrze ziemniaczków — przyrządzano je specjalnie dla niego — a jednak, ledwo światelko wwędrowało w głąb ekranu, cały sprężył się, tak że gdyby nie pasy, na pewno pofrunąłby w górę.

Ekran miał okrągło metr średnicy i wyglądał jak czarna studnia — prawie w środku świeciła Ro Wężownika, a Drogę Mleczną rozcinał biegnący do samego brzegu ekranu ciemny, podwójny rozziw pustki; po obu jego stronach pełno było rozsypanego proszku gwiazd. W ten nieruchomy obraz wpłynął, sunąc miarowo, drobny świetlny punkt, drobny, ale daleko wyraźniejszy od każdej z gwiazd. Nie to, żeby świecił szczególnie mocno — Pirx dostrzegł go natychmiast, bo się poruszał.

W przestrzeni spotyka się świetlne, ruchome punkty. Są to pozycyjne światła rakiet. Normalnie rakiety nie zapalają swoich świateł, a czynią to tylko na wezwanie radiowe, celem identyfikacji. Rakiety mają różne światła — inne mają pasażerskie, inne towarowe, jeszcze inne — szybkie balistyczne, patrolowe, służby kosmicznej, tankowce i tak dalej. Są to wszystko światła rozmaicie rozmieszczone i przeróżnych barw, z jednym wyjątkiem — białej. Rakiety nie mają białych światełek, żeby je można zawsze odróżnić od gwiazd. Kiedy bowiem jedna rakietka leci dokładnie za drugą, białe światło pierwszej mogłoby się wydawać — widziane z drugiej — nieruchome, a tego należy uniknąć, bo lecący z tyłu pilot mógłby zostać wprowadzony w błąd.

Światelko, które wpłynęło leniwie w ekran, było jednak zupełnie białe — Pirx poczuł, że oczy wychodzą mu pomału z orbit. Nawet nie mrugał, tak się bał, że straci je z oczu. Kiedy go nareszcie zaczęły piec, mrugnął — ale nic się nie zmieniło. Biały punkt spokojnie sunął przed siebie — już tylko kilkanaście centymetrów dzieliło go od przeciwnego brzegu ekranu. Minuta — a zniknąłby z pola widzenia.

Ręce pilota Pirxa chwyciły same, bez pomocy wzroku, za właściwe dźwignie. Stos, pracujący dotąd jałowo, nagle wzbudzony, dał błyskawicznie odrzut. Przyspieszenie wgniotło Pirxa w głąb gąbczastego fotela; gwiazdy poruszyły się w ekranach, Droga Mleczna spływała skosem w dół, jakby naprawdę była mleczną drogą, za to ruchome światelko przestało się poruszać — dziób rakiety szedł za nim dokładnie, celował w nie, jak nos gończego w zapadłą w chaszczach kuropatkę — co znaczy jednak wprawa!

Cały manewr trwał niespełna dziesięć sekund.

Do tej pory pilot Pirx nie zdążył jeszcze w ogóle pomyśleć — teraz przyszło mu po raz pierwszy do głowy, że to, co widzi, musi być halucynacją, bo takie rzeczy się nie zdarzają. Myśl ta przynosiła mu zaszczyt. !Na ogół ludzie pokładają nadmierne zaufanie we własnych zmysłach i kiedy zobaczą na ulicy zmarłego znajomego, gotowi są raczej przypuszczać, że zmartwychwstał, aniżeli że sami zwariowali.

Pilot Pirx wsadził rękę do zewnętrznej kieszeni w obudowie fotela, wydobyl stamtąd mały

flakonik, wsadził sobie do nosa jego dwie szklane rurki i pociągnął, aż oczy zasły mu łzami. Psychran przerywał podobno nawet kataleptyczne stany jogów i widzenia świętych pańskich. Światelko jednak dalej sunęło w środku lewego ekranu przed oczami Pirxa. Ponieważ zrobił, co do niego należało — wpuścił flaszeczkę na swoje miejsce, pomanewrował leciutko sterami, a gdy się upewnił, że idzie za nim zbieżnym kursem, spojrzął na radar, żeby ocenić odległość tego świecącego przedmiotu.

I tu był drugi wstrząs — bo tarcza meteor radaru była pusta — zielonkawy promień wodzący, świecąc jak bardzo mocno nasłoneczniona smuga fosforu, biegł sobie po tarczy w koło, wciąż w koło, i nie pokazywał najmniejszej poświaty — nic, ale to zupełnie nic.

Pilot Pirx nie pomyślał oczywiście, że ma przed sobą ducha ze świecącą aureolą. W ogóle nie wierzył w duchy, chociaż w pewnych okolicznościach opowiadał o nich niektórym znajomym — kobietom — ale w tych wypadkach nie chodziło o spirytyzm.

Pirx pomyślał po prostu, że to, za czym leci, nie jest martwym ciałem kosmicznym, bo takie ciała z a w s z e odbijają wiązkę radarowych promieni. Tylko przedmioty sporządzone sztucznie i pociągnięte specjalną substancją, która pochłania, wygasza i rozprasza centymetrowe fale, nie dają żadnego echa optycznego.

Pilot Pirx odchrząknął i powiedział miarowo, czując, jak jego poruszająca się krtań delikatnie naciska umieszczony na niej laryngofon:

AMU sto jedenaście Patrol do obiektu lecącego w sektorze tysiąc sto dwa koma dwa, kursem przybliżonym na sektor tysiąc czterysta cztery, z jednym białym światłem pozycyjnym. Proszę podać swoje CQD. Proszę podać swoje CQD. Odbiór.

I czekał, co będzie dalej.

Mijały sekundy, minuty — nie było żadnej odpowiedzi. Pilot Pirx zauważył za to, że światelko blednie — więc się od niego oddala. Odległościomierz radarowy nie mógł mu nic powiedzieć, ale miał jeszcze, jako rezerwę, choć prymitywną — Odległościomierz optyczny. Wysunął nogę daleko w przód i nacisnął pedał. Odległościomierz zjechał z góry — był podobny do lornety. Pirx przyciągnął go lewą ręką do oczu i zaczął nastawiać ostrość.

Złapał światelko w obiektywie prawie natychmiast — a także coś więcej. W polu widzenia urosło mu teraz i było tak duże jak groszek, oglądany z pięciu metrów, a więc, jak na stosunki panujące w próżni, było po prostu olbrzymie. Poza tym przez jego okrągłą, ale jak gdyby odrobinę spłaszczoną powierzchnię przepływały z wolna od prawej strony ku lewej drobniutkie przyćmienia — jak gdyby, na przykład, ktoś poruszał grubym, czarnym włosem tuż przed samym obiektywem odległościomierza. Te przyćmienia były właśnie takie mgławce, niewyraźne, ale ich ruch pozostawał bez zmiany — wciąż przesuwały się od prawej ku lewej.

Pirx zaczął kręcić regulatorem, ale okazało się, że świetlna plamka nie chce się w ogóle dokładnie wyostrzyć — więc drugim pryzmatem, służącym specjalnie do tego celu, przepołowił ją i zaczął naprowadzać na siebie obie przesunięte połówki, a gdy mu się to; udało, zerknął na skalę — i osłupiał po raz trzeci. Świecący obiekt leciał o cztery kilometry od rakiety! To tak, jakby ktoś znalazł się, jadąc bardzo szybko samochodem wyścigowym, o pięć milimetrów od innego auta — odległość taką uważa się w próżni za równie niebezpieczną i niedozwoloną.

Pirxowi pozostawało już niewiele do zrobienia. Nakierował wskaźnik zewnętrznej termopary na światelko — zdalnie poruszaną dźwignią przesunął celownik, aż pokrył dokładnie mleczno jaśniejący punkt — i kątem oka chwycił wynik: 24 stopnie w skali Kelwina. Znaczyło to, że światelko ma temperaturę otaczającej próżni — wszystkiego o 24 stopnie wyższą od zera absolutnego.

Teraz był już właściwie zupełnie pewny, że światelko nie może istnieć, świecić, a tym bardziej poruszać się — ponieważ jednak pływało mu przed nosem, ciągnął za nim dalej.

Słabło coraz wyraźniej — i coraz szybciej. Po minucie stwierdził, że oddaliło się na sto kilometrów — i zwiększył szybkość.

Wtedy stała się rzecz bodaj że najdziwniejsza. Światelko najpierw dawało się doganiać. Miał je na 80, 70, 50, 30 kilometrów od dziobu. Potem znowu wyszło do przodu. Zwiększył szybkość — do 75 kilometrów na sekundę. Światelko robiło 76. Pirx znowu dodał ciągu — ale już nie jak kropłomierzem. Dał pół mocy w dysze i wystrzeliło go naprzód. Potrójne ciśnienie ziemskie wgniotło go w poduszki fotela. AMU miał małą masę spoczynkową, rozpędzał się w tempie samochodu wyścigowego. Za chwilę robił już 140. Światelko robiło 140,5.

Pilot Pirx poczuł, że zaczyna mu się robić gorąco. Dał pełny ciąg. AMU 111 zaśpiewał cały jak trącona struna ruchomego sklepienia gwiazd, pełzył szybko w górę: ,155 __ 168 — 177 — 190 — 200.

Przy dwustu Pirx spojrzął w odległościomierz, co było prawdziwym wyczynem, godnym lekkoatlety–dziesięcioboisty, bo przyspieszenie wynosiło 4 g.

Światelko wyraźnie zbliżało się — rosło — miał je najpierw na kilkunastu, potem na dziesięciu, wreszcie na sześciu kilometrach — chwila, a znalazło się na trzech. Było teraz większe, jak groszek widziany z odległości wyciągniętej ręki. Mgławce zaćmienia wciąż przesuwały się przez jego tarczę. Blask miało porównywalny z gwiazdami drugiej wielkości — ale było tarczka, nie punktem jak gwiazda.

AMU 111 dawał z siebie wszystko. Pirx był z niego dumny. W małej sterowni nic nie zdrząło nawet przy skoku na pełną moc — ani śladu wibracji! Odrzut był idealnie w osi, polerowanie dysz doskonałe, stos ciągnął jak szatan.

Światelko wciąż się zbliżało — teraz nadzwyczaj powoli. Było już o dwa kilometry — kiedy Pirx zaczął bardzo szybko myśleć.

Cała ta historia była bardzo dziwna. Światelko nie należało do żadnego ziemskiego statku. Kosmiczni korsarze? Śmiał się z nich. Nie ma żadnych kosmicznych korsarzy, a zresztą co by robili w sektorze bardziej pustym od starej beczki? Światelko poruszało się z wielką szybkością w szerokich granicach, miało zryw tak ostry jak hamowanie. Kiedy chciało, uciekało przed nim, a teraz dawało się z wolna doganiać. I to nie spodobało mu się najbardziej. Pomyślał, że tak zachowuje się — przynęta. Na przykład robaczek na haczyku przed samym nosem ryby.

I, oczywiście, natychmiast pomyślał o haczyku.

— Czekajże, kochany — powiedział do siebie Pirx i zniechęca dał takie hamowanie, jakby właśnie wyskoczyła przed nim co najmniej planetoida — chociaż radar wciąż był pusty, a ekrany nie wskazywały nic. Mimo że odruchowo zgął kark i przyciągnął brodę do piersi, jak mógł, czując zarazem, że automat błyskawicznie wypełnia jego kombinezon dodatkową porcją sprężonego tlenu, by przeciwdziałać szokowi deceleracji — na dobrą chwilę zamroczyło go.

Wskaźówka grawimetru skoczyła na minus 7, zachybotwała i spełzła powoli na minus 4. AMU 111 wytracił prawie trzecią część szybkości — robił już tylko 145 kilometrów na sekundę.

Gdzie było światelko? Przez moment zaniepokoił się, że w ogóle je zgubił. Nie, było. Ale daleko. Celownik optyczny pokazywał odległość — 240 kilometrów. Więcej przelatywał w dwu sekundach. A zatem — natychmiast po jego manewrze — ono też zredukowało gwałtownie szybkość!

Wtedy — później sam się dziwił, że dopiero wtedy — przyszło mu do głowy, że to jest pewno właśnie owo zagadkowe coś, które spotkali na swych patrolowych lotach Thomas i Wilmer.

Do tej chwili w ogóle nie myślał o niebezpieczeństwie. Teraz nagle zdjął go lęk. Trwało to bardzo krótko. Oczywiście, takie rzeczy nie mogą się zdarzać — ale gdyby to jednak było światło obcego statku, nie pochodzącego z Ziemi? Zbliżało się do niego wyraźnie, redukowało szybkość, miał je na 60 — 50 — 30 kilometrów — sam dodał odrobinę i aż się

zdumiał, jak momentalnie urosło — wisiało mu na dwu kilometrach przed dziobem, znowu było tuż!

Z drugiej strony fotela znajdowała się w kieszeni lorneta, nocna, dwudziestoczekrotna — używa się jej tylko wyjątkowo, kiedy na przykład popsuje się radar i trzeba podejść do jakiegoś satelity od jego ciemnej strony. Ale teraz bardzo się przydała. Powiększenie było takie, że miał światełko jakby niespełna sto metrów przed sobą — była to niewielka tarcza, biała jak mleko, ale jak mleko rozwodnione, mniejsza od widzianego z Ziemi Księżyca. Pływały przez nią pionowe smużki przyćmień. A gwiazdy, kiedy je zakrywała, nie znikwały od razu, ale dopiero po pewnej chwili, jak gdyby sam rąbek białej tarczki był trochę bardziej rozrzedzony i przezroczysty od jej środka.

Ale wokół mlecznej tarczki nic nie przesłaniało światła gwiazd. Na sto metrów — w lornecie — zobaczyłby statek wielkości szuflady. Nie było tam nic. Żadnego statku. Nie stanowiła niczyjego światła pozycyjnego ani wylotowego. Na pewno nie. Po prostu — samodzielne, latające, białe światełko. Można było zwariować.

Poczuł ogromną chęć strzelenia w mleczną tarczkę. Nie było to łatwe, ponieważ na AMU 111 nie ma żadnej broni. Regulamin nie przewiduje jej użycia. Pirx miał tylko dwie rzeczy, które mógł wystrzelić z kabiny: samego siebie i balonik-sondę. Statki patrolowe są tak skonstruowane, że pilot może wystrzelić siebie w hermetycznej osłonie na wstęgowym deceleratorze. Robi to tylko w ostateczności i, naturalnie, wystrzeliwszy się z rakiety, nie można już do niej wrócić. Pozostawał więc balonik-sonda. Jest to urządzenie bardzo proste — cienkościenny balon gumowy, pusty, zwinięty tak ciasno, że przypomina oszczep. Pokryty jest aluminiowym natryskiem, żeby go lepiej było widać. Często trudno jest polegać na wskazaniach aerodynamometru, czy wchodzi się już w atmosferę planety, czy jeszcze nie. Pilot chce zresztą wiedzieć, i to jest najważniejsze, czy rozrzedzony gaz nie rozpościera się właśnie przed nim — tam, dokąd leci. Wtedy wyrzuca balonik, który nadyma się automatycznie i pędzi z szybkością nieco większą od szybkości statku. Widać go jako jasną plamkę nawet na pięć — sześć kilometrów. Jeżeli wpadnie w rozrzedzony gaz, nawet bardzo rozrzedzony, zaczyna się grzać od tarcia i pęka. Wówczas pilot wie, że trzeba rozpocząć hamowanie. Pirx usiłował wycelować dziobem w mgławą tarczkę. Nie mógł mierzyć radarem, więc użył celownika optycznego. Trafić tak mały przedmiot na odległość prawie dwu kilometrów jest niezmiernie trudno. Mimo to usiłował strzelić — ale tarczka nie chciała mu się ustawić do strzału. Ilekroć zaczynał, manewrując delikatnie dyszą odchylającą, przesuwać dziób AMU — tarczka spokojnie odsuwała się w bok i znowu mknęła przed nim — w środku lewego ekranu gwiazdowego. Wykonała ten manewr cztery razy pod rząd — za każdym następnym nieco szybciej, jakby coraz lepiej orientowała się w jego zamiarach. Nie życzyła sobie mieć dziób AMU wycelowany w siebie dokładnie — leciała z drobnym, bocznym odchyleniem.

To było fantastyczne. Żeby dostrzec drobny ruch jego dzioba z odległości dwu kilometrów, tarczka musiałaby rozporządzać jakimś gigantycznym teleskopem — którego nie widział ani śladu. Mimo to wykonywała uniki może z półsekundowym opóźnieniem.

Niepokój jego rósł. Zrobił już wszystko, co mógł zrobić, żeby zidentyfikować ten niesamowity, latający obiekt — i nie posunął się ani o włos. I wtedy — siedząc nieruchomo, z rękami cierpnącymi pomału na dźwigniach — pomyślał naraz, że z tamtymi musiało być właśnie tak samo. Że spotkali światełko — usiłowali wywołać jego CQD, sądząc, że mają przed sobą jakiś dziwny statek — że, gdy nie odpowiadało, pogonili za nim — coraz szybciej — że pewno tak, jak on, badali je przez lornetę i dostrzegli smużące po tarczy, delikatne przyćmienia — może nawet strzelali do niego balonami—sondami, a potem — zrobili coś takiego, że już nie wrócili.

Kiedy sobie uświadomił, jak bliski jest tego samego losu, poczuł nie strach nawet, ale rozpacz. Było to całkiem jak w koszmarnym śnie — przez chwilę nie wiedział, czy jest sobą,

Pirxem, czy Wilmerem — albo Thomasem. Bo wtedy musiało być dokładnie tak samo jak teraz — nie miał najmniejszej wątpliwości. Siedział jak sparaliżowany, pełen dogłębnej pewności, że nie ma już ratunku. Najokropniejsze zaś było to, że żadnego niebezpieczeństwa nie mógł się nawet domyślić — przestrzeń pusta... Pusta?

Tak, sektor był pusty, ale gonił przecież za światelkiem przeszło godzinę, dochodząc do 230 kilometrów na sekundę! Być może — nie, nawet całkiem prawdopodobnie — znalazł się już na samej granicy sektora albo ją nawet minął. Co było dalej? Następny sektor — 1009, dalszych półtora tryliona kilometrów próżni. Próżnia, ze wszystkich stron na miliony kilometrów nic, tylko próżnia — a w odległości dwu kilometrów od jego dziobu tańczyło białe światelko. Zaczął ze wszystkich sił myśleć, co mogli zrobić teraz — właśnie teraz — Wilmer albo Thomas. Wilmer i Thomas. Bo on — musi zrobić coś całkiem innego. Inaczej nie wróci.

Nacisnął jeszcze raz hamownice. Strzałka drgała. Leciał coraz wolniej. Miał już tylko 30, 22, 13, 5 kilometrów na sekundę. Już tylko 0,9. Już ledwo kilkaset metrów na sekundę — wskaźnik drżał delikatnie nad zerem. W rozumieniu regulaminu — zastopował. W próżni zawsze ma się jakąś szybkość — względem czegoś. Stać jak słup wbity w ziemię — nie można. Światelko zmniejszało się. Zostawało coraz dalej i dalej — było coraz bledsze — potem przestało maleć.

Zacząło rosnać — znowu się powiększało — aż zatrzymało się — jak on. W odległości dwu kilometrów od jego dziobu.

Czego nie zrobiliby Wilmer i Thomas? Czego na pewno by nie zrobili? Nie uciekaliby przed takim małym, parszywym, idiotycznym światelkiem, przed głupią, mleczną plamką!

Nie chciał zawracać — gdyby zrobił zwrot, straciłby je z oczu — miałby je za rufą, a to, co dzieje się za rufą, trudniej jest obserwować — trzeba wykręcać głowę do bocznego ekranu. A zresztą — nie chciał go mieć za rufą. Chciał je dokładnie, bez przerwy widzieć. A więc ruszył tyłem — używając dysz hamowniczych jako napędowych. Takie rzeczy też musi się umieć — to należy do elementarnego pilotażu. Miał minus 1 g, minus 1,6, minus 2, rakieta nie szła tak idealnie jak na zwykłym ciągu. Dziób chodził odrobinę na boki — hamownice są do zwalniania, nie do napędzania statku.

Światelko — jak gdyby się zawahało. Zostawił je przez kilka sekund malejące w przestrzeni, zakryło na chwilę Alfę Eridana, zeszło z niej, płasało między małymi bezimiennymi gwiazdami — i pociągnęło za nim.

Nie chciało się odzepić.

— Tylko spokojnie — pomyślał — co mi może w końcu zrobić? Takie małe, świecące gówno. Co mnie to wszystko razem obchodzi? Mam patrolować sektor. Niech je cholera weźmie.

Myślał tak, ale, oczywista rzecz, ani na moment nie spuszczał oczu ze światelka. Od chwili spotkania upłynęły już prawie dwie godziny. Chwilami oczy zaczynały go piec i trochę łzały. Wyrzeszczał je, jak mógł, i wciąż leciał tyłem. Tyłem nie można lecieć za szybko. Hamownice nie są obliczone na ciągłą pracę. Leciał więc na ośmiu kilometrach na sekundę i pocił się.

Od pewnego czasu czuł, że coś się robi z jego szyją — jak gdyby ktoś odciągał mu szczypczykami skórę podgardla w dół, ku klatce piersiowej, i schło mu trochę w ustach — nie zwracał na to uwagi, miał coś ważniejszego na głowie od suchych ust i szczypania skóry na szyi. Potem parę razy zrobiło mu się dziwnie — przestał czuć położenie własnych rąk. Nogi czuł. Prawa naciskała pedał hamownicy.

Próbował poruszyć rękami, bo nie chciał spuścić oczu ze światelka. Podchodziło jak gdyby bliżej — może 1,9 kilometra od dziobu, może 1,8. Doganiało go?

Chciał podnieść rękę — nie mógł. Drugą — nie to nawet, żeby nie mógł! Nie czuł swoich rąk — jak gdyby w ogóle nie istniały. Chciał popatrzeć na nie — kark ani drgnął. Był napięty,

sztynny jak pień.

Chwyła go panika. Dlaczego do tej pory nie zrobił tego, co było jego świętym obowiązkiem? Dlaczego, po spotkaniu światelka, nie wywołał natychmiast przez radio Bazy i nie zameldował o nim?

Bo się wstydził. Wilmer i Thomas na pewno także się wstydzi. Mógł sobie wyobrazić śmiech, który wybuchłby w kabinie nasłuchu. Światelko! Białe światelko, które najpierw ucieka przed statkiem, a potem goni go! Rzeczywiście! Powiedzieliby mu, żeby się uszczypnął i zbudził.

Teraz było mu wszystko jedno — raz jeszcze spojrzął w ekran i powiedział: — AMU 111 Patrol do Bazy...

To znaczy: chciał powiedzieć. Ale nie mógł. Głos nie wydobył mu się z gardła — tylko jakiś nieartykułowany bełkot. Wyteżył wszystkie siły — z jego ust buchnął ryk. Wtedy — po raz pierwszy — oczy jego zeszyły z gwiazdowego ekranu i padły na lustro. Przed nim, w fotelu pilota, w okrągłej, żółtej haubie, siedział potwór. Miał olbrzymie, obrzękłe, wybałuszone oczy, pełne piekielnej grozy, rozdarte na boki i w dół żabie usta — bełtał się w nich ciemny język. Zamiast szyi drgały mu jakieś napięte struny, dygocące bez ustanku, tak że dolna szczeka tonęła w nich — i ta maskara o szarej, puchnącej gwałtownie twarzy, ryczała.

Usiłował zamknąć oczy — nie mógł. Chciał spojrzeć z powrotem w ekran — nie mógł. Potwór, przykrępowany do fotela, drgał coraz gwałtowniej, jakby chciał rozerwać pasy. Pirx patrzył na niego — bo nic innego nie mógł zrobić. Sam nie czuł żadnych drgawek — nic. Czuł tylko, że zaczyna się dusić — że nie może wciągnąć powietrza.

Słyszał gdzieś — tuż — potworne zgrzytanie zębów. Przestał już w ogóle być Pirxem — nic nie wiedział, nie miał nawet rąk ani ciała, została mu tylko noga, która naciskała hamownicę. Czuł, że zostaje mu tylko wzrok, coraz mętniejszy, i że zaczynają w nim pływać liczne, malutkie, białe światelka. Poruszył nogą. Zaczynała drżeć. Podniósł ją. Opuścił. Potwór w lustrze był szary jak popiół — toczył z gęby pianę. Oczy wylazły mu całkiem z orbit. Drgał.

Zrobił wtedy to jedyne, co jeszcze mógł. Zamachnął się nogą, wyrzucił ją w górę i z całej siły kopnął się kolanem w twarz. Poczuł okropny, świdrujący ból zmiażdżonych ust, krew buchnęła mu na brodę, oślepl. — Aaaaa — rzeził. — Aaaaa. To był jego głos.

Ból znikł gdzieś, znowu nic nie czuł. Co się działo? Gdzie był? Nie było go nigdzie. Nie było nic...

Tłukł, masakrował kolanem własną twarz, wierzgając jak obłąkany — ale ryk ustał. Usłyszał własny, łkający, krztuszący się krwią krzyk.

Miał już ręce. Były jak z drewna i bolały tak strasznie przy każdym ruchu, jakby popękały w nich wszystkie mięśnie — ale mógł nimi ruszać. Po omacku zgrabiętymi palcami zaczął odpinać pasy. Złapał się poręczy. Wstał. Nogi trzęsły się pod nim, całe ciało miał jak porozbijane młotem. Chwył się liny, przeciągniętej skosem przez sterownicę, i podszedł do lustra. Oburącz oparł się o jego ramę. W lustrze stał pilot Pirx.

Nie był już szary — twarz miał całą we krwi, z rozbitym, spuchniętym nosem. Krew leciała z rozciętych ust. Policzki były jeszcze sine, obrzękłe, pod oczami — czarne nabiegnięcia, na szyi drgało coś jeszcze pod skórą, ale coraz słabiej, słabiej — i to był on, Pirx. Wycierał długo krew z brody, płuł, kaszlał, oddychał głęboko, słaby jak dziecko.

Cofnął się. Spojrzął w ekran. Statek leciał wciąż tyłem — już bez ciągu. Samym rozpędem. Biała tarczka płynęła za nim, za dziobem, w odległości dwu kilometrów.

Podszedł, trzymając się liny, do fotela. Nie mógł w ogóle myśleć. Ręce zaczynały mu się trząść, dopiero teraz, ale to był zwykły efekt, jaki następuje po szoku — to znał, tego się nie bał. Coś zmieniło się przed samym fotelem...

Wierch kasety automatycznego nadajnika był wgnieciony. Pchnął pokrywę — spadła. W środku — pełno potrzaskanych części. Jak to się stało? Chyba on sam kopnął nadajnik.

Kiedy?

Usiadł w fotelu, włączył dyszę odchylającą, wszedł w skręt.

Biała tarczka zawahała się, popłynęła przez ekran, doszła do jego brzegu — i, zamiast zniknąć, odbiła się od niego jak piłka! Wróciła na środek!

— Ty, bydlę! — krzyknął z nienawiścią i obrzydzeniem.

I przez takie świństwo omal sam nie przeszedł na „stałą orbitę”!! Jeżeli światełko nie uciekało przy skręcie poza ekran — znaczyło to, rzecz prosta, że go w ogóle nie ma — że produkuje je sam ekran. Bo ekran nie jest przecież oknem — rakieta nie ma żadnych okien. Ma urządzenie telewizyjne — na zewnątrz, w panczerzu, są obiektywy, a w środku — aparatura, transformująca ich impulsy elektryczne w obraz — na ekranie katodowym. Popsuła się? W taki dziwny sposób? Czy u Wilmera i Thomasa też? Jak to było możliwe? I — co się z nimi potem stało? W tej chwili miał co innego na głowie. Włączył awaryjny nadajnik.

— AMU 111 Patrol do Bazy — powiedział. — AMU 111 Patrol do Bazy. Jestem na granicy sektorów 1009 i 1010, strefa równikowa, wracam po wykryciu awarii... Kiedy Pirx wylądował w sześć godzin później, rozpoczęły się wielkie badania, które trwały miesiąc. Najpierw specjaliści zabrali się do aparatury telewizyjnej. Była to nowa, udoskonalona aparatura — wszystkie AMU Patrolu miały taką. Zamontowano ją przed rokiem i sprawowała się świetnie. Nigdy nie było najmniejszego defektu.

Po wielu mękach elektronicy wykryli wreszcie mechanizm powstawania światełka. Próżnia w rurach katodowych ekranu psuła się po kilku tysiącach godzin pracy — na wewnętrznej powierzchni ekranu powstawał ładunek błędzący, który stwarzał, kiedy patrzyło się na ekran, obraz mlecznej plamki. Ładunek ten poruszał się w środku, podlegając dosyć skomplikowanym prawidłowościom. Kiedy statek ruszał przed siebie dużym zrywem — ładunek rozlewał się na nieco większej powierzchni, niejako rozplaszczony na wewnętrznym szkłe ekranu — wyglądało wtedy, jakby plamka zbliżała się do rakiety. Kiedy dawało się ciąg odwrotny — ładunek odpływał w głąb rury — a gdy przyspieszenie ustalało się i pozostawało niezmiennie, ładunek powracał z wolna ku środkowi tarczy. Mógł się też poruszać po niej we wszystkich kierunkach, ale najchętniej skupiał się w samym środku — jeżeli rakieta szła po orbicie trwałej, bez ciągu.

— I tak dalej, i tak dalej — badania ładunku przeciągały się, a jego dynamikę opisywały sześciopiętrowe wzory. Okazało się też, że silniejsze bodźce świetlne rozpraszają ładunek. Koncentrował się tylko, gdy natężenie impulsów, przyjmowanych przez rurę, było nadzwyczaj słabe — takie, jakie panuje w próżni kosmicznej, z dala od słońca. Wystarczyło, żeby promień słoneczny raz liźnął ekran — a ładunek rozplątał się i zniknął na całe godziny.

Mniej więcej tyle stwierdzili elektronicy — powstała z tego cała książka, gęsto upstrzona matematyką. Następnie wzięli się do dzieła lekarze, psychologowie, znakomitości w dziedzinie astroneuroz i astropsychoz. I znowu po długich tygodniach okazało się, że błędzący ładunek pulsował (nieuzbrojonemu oku przedstawiało się to jako drobne przyćmienia pełzające przez świetlną tarczkę), częstość zaś powstających rozbłysków, zbyt krótkich, aby oko mogło je zarejestrować pojedynczo, nakładała się na tak zwany rytm kory mózgowej „theta” i rozhuśtywała wahania potencjału kory tak długo, aż przychodził nagły atak, podobny do epileptycznego. Okolicznościami, które dodatkowo sprzyjały jego wystąpieniu, był zupełny spokój zewnętrzny, brak jakichkolwiek bodźców, poza świetlnymi, i długotrwałe, nieruchome wpatrywanie się w migające światełko.

Fachowcy, którzy wszystko to wykryli, stali się oczywiście sławni. Elektronicy znają dziś na całym świecie efekt Ledieux–Harpera, polegający na powstawaniu ładunków błędzących w wysokiej próżni katodowej, astrobiologowie zaś — zespolony syndrom ataktyczno–katatoniczno–kloniczny Nuggelheimera.

Osoba Pirxa pozostała nie znana światu nauki i tylko bardzo uważni czytelnicy gazet mogli dowiedzieć się ze wzmianek, umieszczonych *petitem* w niektórych wydaniach

popołudniówek, że to dzięki niemu los Wilmera i Thomasa, którzy, zwiększywszy do maksimum ciąg swoich statków i utraciwszy przytomność podczas pogoni za błędnym światełkiem, zaginęli w otchłaniach Kosmosu — nie grozi już żadnemu więcej pilotowi.

Tak więc sława ominęła Pirxa — ale on wcale się tym nie martwił. Nawet za sztuczny ząb, który wstawił sobie na miejsce wybitego kolanem, zapłacił z własnej kieszeni.

ALBATROS

Obiad składał się z sześciu dań — nie licząc przystawek. Wózki z winem toczyły się bezszelestnie po szklanych drózkach. Nad każdym stołem paliła się wysoko lampa punktowa. Przy żółtawej zupie światło było cytrynowe. Przy rybie prawie białe, z błękitnym odcieniem. Kurczęta zalał róż, zmieszany z jedwabistą, ciepłą szarością. Przy czarnej kawie nie zrobiło się na szczęście ciemno — Pirx był już najgorszej myśli. Zmęczył go ten obiad. Obiecywał sobie, że odtąd będzie jadał na dolnym pokładzie — w barze. Gali było dla niego stanowczo za wiele. Cały czas musiał pamiętać o łokciach. W dodatku — toalety! Sala była wgłębiona — obwód wyżej, dno wpuszczone chyba o pół kondygnacji. Wyglądała jak gigantyczny, kremowozłoty talerz, obłożony najbardziej kolorowymi kanapkami świata. Sztywne, półprzezroczyste suknie szumiały za jego plecami. Bawiono się tam świetnie. Muzyka przygrywała. Snuli się kelnerzy — prawdziwi kelnerzy, każdy wyglądał na dyrygenta filharmonii. „Transgalaktik” gwarantuje: żadnych automatów w obsłudze — intymność — dyskrecja — szczerą ludzką życzliwość — cała załoga żywa. Sami artyści swego fachu.

Pirx pił czarną kawę, palił papierosa i starał się znaleźć jakieś miejsce na sali, w które mógłby patrzeć. Spokojne miejsce, w sam raz dla odpoczynku. Sąsiadka podobała mu się. Na jej dekolcie czerniał płaski, chropawy kamyk. Nie żaden chryzopras, nie chalcedon. Nic ziemskiego, pewno coś z Marsa. Musiał kosztować majątek — wyglądał jak kawałek brukowca. Kobiety nie powinny mieć tyle pieniędzy.

Nie był zgorzony. Nie dziwił się. Obserwował. Z wolna rosła w nim ochota wyprostowania kości. Pokład spacerowy?

Wstał, skłonił się lekko, wyszedł. Przechodząc między graniastymi kolumnami, obłożonymi zwierciadlaną masą, zobaczył własne odbicie — spod węzła krawata widać było guzik. Kto zresztą nosił jeszcze takie krawaty? Poprawił kołnierzyk już na korytarzu. Wsiadł do windy. Pojechał na samą górę — na widokowy. Winda otwarła się bezgłośnie. Nie było tu ani żywej duszy. Ucieszył się z tego. Trzecia część zakłęsłego stropu przed szeregami leżaków ponad pokładem wyglądała jak gigantyczne, czarne okno, otwarte na gwiazdy. Leżaki ze stertami koców stały puste. W jednym z ostatnich tkwił ktoś, otulony po samą twarz — ten zdziwaczały staruch, który przychodził na obiad w godzinę po wszystkich i jadł sam w pustej sali, zakrywając twarz serwetką, kiedy poczuł czyjś wzrok.

Położył się. Niewidzialne paszcze klimatyzatorów pędziły w galerię pokładu nierówno falujący wicher, wrażenie było takie, jak gdyby wiało prosto z czarnych głębin nieba. Konstruktorzy, których zatrudniał „Transgalaktik”, znali się na rzeczy. Leżak był wygodny — wygodniejszy chyba od fotela pilotów, choć jego kształty opracowane były matematycznie. Pirx zaczął ziębnąć. Po to były koce. Owinął się nimi, jakby zapadł w puch.

Ktoś nadchodził. Schodami, nie windą. Sąsiadka z jadalnej. Ile mogła mieć lat? Miała na sobie jakąś całkiem inną suknię. A może to była w ogóle inna kobieta? Położyła się o trzy leżaki dalej. Otworzyła książkę. Wicher szeleścił kartkami. Pirx patrzył teraz prosto przed siebie. Bardzo ładnie widać było Południowy Krzyż. Obcięty ramą okna jaśniał koniuszek Małego Obłoku, jaśniejsza plamka na czarnym tle. Pomyślał, że lot będzie trwał siedem dni. Przez siedem dni może się stać mnóstwo rzeczy. Poruszył się umyślnie. Gruby, złożony we czworo papier zaskrzypiał w wewnętrznej kieszeni na piersiach. Było mu dobrze na świetle — miejsce drugiego nawigatora czekało już na niego, znał dokładnie drogę: z Ziemi Północnej samolotem do Eurazji, i dalej, do Indii. Bilety stanowiły całą książeczkę — można ją było czytać, każdy blankiet innego koloru, podwójny, z odcinkami, talonami, złote brzeżki, wszystko, co „Transgalaktik” dawał pasażerom do ręki, wprost kapało od srebra albo złota. Pasażerka na trzecim leżaku była bardzo ładna. Chyba jednak ta sama. Należało coś powiedzieć — czy raczej nie? Bo niby się przedstawił. Niestety mieć takie krótkie

nazwisko — zanim się zaczyna, już się kończy. „Pirx” brzmi całkiem jak „iks”. Najgorsze rzeczy działy się zawsze przy rozmowach telefonicznych. Powiedzieć coś? Co?

Zaczynał się znowu męczyć. Na Marsie wyobrażał sobie tę podróż całkiem inaczej. Armatorzy z Ziemi zapłacili mu przelot — mieli jakieś interesy z „Transgalaktikiem”, zdaje się, i nie był to z ich strony wyszukany gest. On zaś, choć przelatał już prawie trzy miliardy, nigdy jeszcze nie leciał czymś takim jak Tytan. Frachtowce wyglądają zupełnie inaczej! Sto osiemdziesiąt tysięcy ton masy spoczynkowej, cztery reaktory głównego ciągu, szybkość podróżna 65 na sekundę, tysiąc dwustu pasażerów w samych pojedynczych i podwójnych kajutach z łazienkami, apartamenty, stała grawitacja gwarantowana, z wyjątkiem startu i lądowania, najwyższy komfort, najwyższa bezawaryjność, czterdziestu dwu ludzi załogi i dwustu sześćdziesięciu obsługi. Ceramit, stal, złoto, pallad, chrom, nikiel, iryd, plastyki, marmury kararyjskie, dąb, mahoń, srebro, kryształy. Dwa baseny. Cztery kina. Osiemnaście stacji bezpośredniej łączności z Ziemią — tylko na użytek pasażerów. Sala koncertowa. Sześć głównych pokładów, cztery widokowe, automatyczne windy, zamawianie z pokładu miejsc na wszystkich raketach całego systemu — na rok naprzód. Bary. Sale gry. Dom towarowy. Uliczka rzemieślników — wierna kopia jakiegoś ziemskiego, staromiejskiego zaułka — z piwniczką win, gazowymi latarniami, księżycem, ślepym murem i kotami, które spacerują po tym murze. Palmiarnia. I diabli wiedzą, co jeszcze. Podróż musiałaby trwać miesiąc, żeby zdążył obejść to wszystko przynajmniej raz.

Pasażerka wciąż czytała książkę. Czy kobiety muszą farbować sobie włosy na taki kolor? Normalnemu człowiekowi robi się na taki widok trochę... Ale tej, tej było dobrze właśnie z tym kolorem. Pirx pomyślał, że gdyby miał w ręku palącego się papierosa, właściwe słowa od razu by się znalazły. Sięgnął do kieszeni.

Papierośnica, kiedy ją wyjmował — nigdy w życiu nie miał papierośnicy, tę dostał od Bomana, na pamiątkę, i nosił po przyjaźni — zrobiła się jakby trochę cięższa. Odrobinę. Ale był tego pewny. Przyspieszenie wzrosło? Nadstawił ucha. Aha.

Silniki ciągnęły mocniej. Zwykły pasażer wcale by tego nie usłyszał — maszynownia Tytana była oddzielona od mieszkalnej części kadłuba poczwórnymi grodziami izolacyjnymi.

Wybrał sobie bladą gwiazdkę w samym kącie ramy okiennej i dobrze miał ją na oku. Gdyby tylko przyspieszali, nie ruszyliby z miejsca. Ale jeżeli drgnie...

Drgnęła. Powoli — nadzwyczaj powoli — płynęła w bok.

Skręt w długiej osi — pomyślał. Tytan leciał „tunelem kosmicznym”, w którym na drodze nie było nic — żadnych pyłów, meteoroidów, nic, oprócz pustki. Tysiąc dziewięćset kilometrów przed nim pędził Pilot Tytana, którego zadaniem było dbać o wolną drogę dla olbrzyma. Po co? Na wszelki wypadek — chociaż i tak była wolna. Rakiety trzymały się ściśle rozkładu kursów, „Transgalaktik” miał gwarantowany lot bez zakłóceń po swoim wycinku paraboli — na zasadzie porozumienia, zawartego przez Zjednoczone Towarzystwa Astronawigacyjne. Nikt nie mógł mu wejść w drogę. Ostrzeżenia meteoroidowe przychodziły teraz o sześć godzin naprzód — od czasu kiedy bezludne sondy patrolowały tysiącami sektory transuranów, raketom przestało praktycznie grozić jakiejkolwiek niebezpieczeństwo z zewnątrz. Pas — orbita miliarda meteoroidów między Ziemią i Marsem — miał własną służbę patrolową, nadto zaś szlaki raketowe przebiegały poza płaszczyznę ekliptyki, w której obraca się wokół Słońca grzechoczący Pas. Postęp — nawet od czasu kiedy Pirx latał na patrole — był ogromny.

Tytan nie miał więc najmniejszej potrzeby lawirować — nie mógł wymijać żadnych przeszkód, bo ich nie było. A jednak skręcał. Teraz Pinc nie musiał nawet patrzeć w gwiazdowe niebo — czuł to całym sobą. Gdyby mu się chciało, mógłby obliczyć krzywiznę łuku, znając prędkość statku, jego masę i tempo przesuwania się gwiazd.

Coś się stało — pomyślał. — Ale co?

Nie było żadnego obwieszczenia dla pasażerów. Czy ukrywają coś? Dlaczego? Na

obyczajach panujących w luksusowych statkach pasażerskich znał się bardzo słabo. Znał się natomiast na tym, co może zdarzyć się w maszynowni, w sterowni... nie było tego znów tak wiele. W wypadku awarii statek utrzymałby poprzednią szybkość — alboby zwolnił. Tytan jednak...

Trwało to już cztery minuty. To znaczy — zwrot prawie o 45 stopni. Ciekawe. Gwiazdy znieruchomiały. Szli prostym kursem. Ciężar papierośnicy, którą Pirx wciąż trzymał w ręku, wzrósł.

Szli prostym kursem i zwiększali szybkość. Od razu wszystko stało się jasne. Przez sekundę siedział nieruchomo, potem wstał. Ważył teraz więcej. Pasażerka o szarych oczach spojrzała na niego.

— Czy coś się dzieje?

— Nic takiego, proszę pani.

— Coś się zmieniło. Nie czuje pan?

— To nic. Zwiększamy trochę szybkość — powiedział. Teraz można było rozpocząć normalną, wstępną rozmowę. Spojrzał na nią. Kolor włosów nic nie przeszkadzał. Była bardzo ładna.

Poszedł przed siebie. Przyspieszył kroku. Pewno pomyślała, że jakiś wariat. Do końca pokładu widokowego ciągnęły się różnobarwne freski na ścianach. Przeszedł przez drzwi z napisem KONIEC POKŁADU — NIE MA WEJŚCIA, przez długi, pusty, lśniąco metalicznie w świetle lamp korytarz. Szeregi drzwi z numerami. Poszedł dalej. Na słuch. Po schodkach dostał się na półpiętro — i stanął u innych drzwi. Stalowych.

WEJŚCIE TYLKO DLA PERSONELU GWIAZDOWEGO — brzmiała tabliczka. Ha! Jakie ładne nazwy wymyślał ten „Transgalaktik”!

Drzwi były bez klamki, otwierały się specjalnym kluczem, którego nie miał. Podniósł palec do nosa. Namyślał się sekundę.

— Tap — tap — tatatap — tap — tap — zapukał.

Czekał chwilę. Otworzyły się. Ponura, zaczerwieniona twarz ukazała się w szparze.

— Czego pan sobie życzy?

— Jestem pilotem z Patroli — powiedział. Drzwi otwarły się szerzej.

Wszedł. Była to amplifikatornia rezerwowej sterowni — wzdłuż ścian szedł dublowany rozrząd dysz odchylających. Z drugiej strony — ekrany kontroli optycznej. Przy aparatach stało kilka foteli, wszystkie puste. Jeden przysadko—waty automat baczyl na migotanie tarcz. Na wąskim stoliku pod ścianą stały w pierścieniowych uchwytach szklanki, opróżnione do połowy. W powietrzu unosił się zapach świeżo parzonej kawy i trudna do zidentyfikowania woń nagrzanego plastiku zmieszana z nikłym śladem ozonu. Drugie drzwi były nie domknięte. Dochodził stamtąd pisk przetwornicy.

— SOS? — spytał człowieka, który mu otworzył. Był to mężczyzna dosyć tęgi, z twarzą z jednej strony lekko opuchniętą, jakby go bolały zęby. Na włosach — pręga od słuchawek. Miał na sobie szary, z błyskawicami, mundur „Transgalaktiku”, nie dopięty. Ze spodni wyłaziła koszula.

— Tak.

Tamten jakby się wahał.

— Pan jest z Patroli? — powiedział.

— Z Bazy. Latałem dwa lata na Transuranie. Jestem nawigatorem. Nazywam się Pirx.

Tamten podał mu rękę.

— Mindell. Nukleonik.

Nic więcej nie mówiąc, poszli do drugiego pomieszczenia. Była to kabina radiowa — łączności bezpośredniej. Bardzo wielka. Z dziesięciu ludzi otaczało główny nadajnik. Dwu radiotelegrafistów siedziało ze słuchawkami na uszach — bez przerwy pisali, aparaty stukwały, prąd brzęczał cichutko, pod podłogą popiskiwało. Kontrolki paliły się na wszystkich ścianach.

Wyglądało tu jak we wnętrzu wielkiej, międzymiastowej stacji telefonicznej. Telegrafisci leżeli prawie na swoich pulpitych. Byli tylko w koszulkach i spodniach. Mieli spocone twarze — jeden był blady, drugi, starszy mężczyzna z blizną na głowie, wyglądał całkiem zwyczajnie. Pałąk słuchawki rozdzielał włosy i blizna była dobrze widoczna. Dwu ludzi siedziało trochę dalej — Pirx spojrzął na nich i poznał w jednym Pierwszego.

Znał go przelotnie. Dowódca Tytana był niskiego wzrostu, szpakowaty, z małą, nic nie mówiącą twarzą. Z nogą założoną na nogę zdawał się obserwować koniuszek własnego bucika.

Pirx podszedł cicho do ludzi stojących nad telegrafistami, pochylił się do przodu i zaczął czytać nad ramieniem tego z blizną:

...”sześć osiemnaście koma trzy idę pełnym ciągiem dojdę ósma zero dwanaście koniec”.

Telegrafista podsunął sobie lewą ręką blankiet i pisał dalej bez przerwy.

„Luna Główna do Albatrosa, cztery Aresluna. Czy macie skażenie na pokładzie stop odpowiadajcie Morse'em stop fonia nie dochodzi stop ile godzin możecie utrzymać ciąg awaryjny stop pelengowany dryf zero sześć koma dwadzieścia jeden stop odbiór.”

„Poryw dwa Aresluna do Luny Głównej. Idę pełnym ciągiem do Albatrosa sektor 64 stóp. Mam przegrzany reaktor mimo to idę dalej stop jestem sześć miliparseków od punktu zapelengowanego SOS koniec.”

Naraz drugi radiotelegrafista, ten blady, wydał jakiś nieartykułowany głos — wszyscy stojący pochyliłi się nad nim. Człowiek, który wpuścił Pirxa, podał pierwszemu nawigatorowi zapisane formularze. Drugi telegrafista pisał:

„Albatros cztery do wszystkich. Leżę w dryfie elipsa T 341 sektor 65 stop poszycie kadłuba otwiera się dalej stop grodzie rufowe puszczają stop ciąg awaryjny reaktora 0,3 g stop reaktor wychodzi z kontroli stop przegroda główna uszkodzona w wielu miejscach stop skażenie na pokładzie trzeciego stopnia wzrasta pod wpływem ciągu awaryjnego stop usiłuję cementować stop przeprowadzam załogę na dziób koniec”.

Radiotelegrafisci trzęsły się ręce, kiedy pisał. Jeden ze stojących wziął go za kołnierz koszuli, podniósł, wypchnął za drzwi, sam wyszedł, po chwili wrócił i usiadł na jego miejscu.

— Ma tam brata — powiedział wyjaśniająco, nie zwracając się specjalnie do nikogo. Pirx pochylił się teraz nad starszym, który zaczął nagle pisać:

„Luna Główna do Albatrosa cztery Aresluna. Idą ku wam Poryw sektor 64 Tytan z sektora 67 Balistyczny osiem z sektora 45 Kobold siedem zero dwa z sektora 94 stop cementujcie przeciek przegrody w skafandrach za tarczami przy naciśnięciu stop podajcie bieżący dryf awaryjny stop”...

Ten, który zastąpił młodego telegrafistę, powiedział głośno: „Albatros!” — i wszyscy pochyliłi się nad nim. Pisał:

„Albatros cztery do wszystkich. Dryf awaryjny nie opanowany stop wręgi kadłuba puszczają stop tracę powietrze stop załoga w skafandrach stop maszynownia pod roztworem tarcze przebite temperatura w sterowni 65 stop pierwszy przeciek w sterowni zacementowany stop roztwór wrze stop zalewa główny nadajnik stop odtąd będę miał łączność tylko na fonii czekamy na was koniec”.

Pirx chciał zapalić papierosa — prawie wszyscy palili i widać było, jak dym sinymi pasmami leci w górę, wysany zaraz przez wyloty odpowietrzników wentylacyjnych. Szukał po wszystkich kieszeniach i nie mógł znaleźć. Ktoś — nie wiedział nawet kto — wsunął mu w dłoń otwartą paczkę. Zapalił. Pierwszy odezwał się:

— Panie Mindell. Ugryzł się w dolną wargę.

— Pełny ciąg.

Mindell wydawał się w pierwszej chwili zaskoczony, ale nic nie powiedział.

— Ostrzeżenie? — spytał mężczyzna, siedzący obok Pierwszego.

— Tak. Ja sam. Dajcie.

Przyciągnął sobie mikrofon na wysięgowym ramieniu i zaczął mówić:

— Tytan Aresterra do Albatrosa cztery. Idziemy do was pełnym ciągiem. Jesteśmy na granicy waszego sektora. Będziemy za godzinę. Próbuje wyjść przez klapę awaryjną. Będziemy przy was za godzinę. Idziemy pełnym ciągiem. Trzymajcie się. Trzymajcie się. Koniec.

Odrzucił mikrofon i wstał. Mindell mówił do interkomu w przeciwległej ścianie:

— Chłopcy, za pięć minut pełny ciąg. Tak, tak — odpowiadał temu, kto znajdował się u drugiego końca przewodu. Dowódca wyszedł. Słysząc było jego głos z drugiego pokoju:

— Uwaga! Uwaga! Pasażerowie! Uwaga! Uwaga! Pasażerowie! Podajemy ważne obwieszczenie. Za cztery minuty statek nasz zwiększy szybkość. Otrzymaliśmy wezwanie SOS i spieszmy...

Ktoś zamknął drzwi. Mindell dotknął ramienia Pirxa.

— Złap się pan za coś. Będziemy mieli przeszło dwa.

Pirx skinął głową. 2 g — to było dla niego tyle co nic, ale nie uważał, że jest czas na przechwalanie się własną wytrzymałością. Posłusznie ujął poręcz fotela, na którym siedział starszy telegrafista. Czytał przez jego ramię.

„Albatros cztery do Tytana. Nie utrzymam się przez godzinę na pokładzie stop włącz awaryjny zaciśnięty pękającymi wręgami stop temperatura w sterowni 81 stop para wypełnia sterownię stop będę próbował przeciąć pancierz dziobowy i wyjść koniec”.

Mindell wyrwał mu zapisaną kartkę spod ręki i pobiegł do drugiego pokoju. Gdy otwierał drzwi, podłoga drgnęła leciutko i wszyscy poczuli, że ciała ich stają się naraz bardzo ciężkie.

Pierwszy nawigator wszedł — stapał z widocznym wysiłkiem. Usiadł na swoim fotelu. Ktoś podał mu mikrofon na kablu. Miał w ręku zmięty, ostatni radiogram Albatrosa. Rozpostarł go i patrzył nań długą chwilę.

— Tytan Aresterra do Albatrosa cztery — odezwał się wreszcie. — Będziemy przy was za pięćdziesiąt minut. Nadejdziemy kursem osiemdziesiąt cztery koma piętnaście stop osiemdziesiąt jeden koma dwa stop opuszczajcie statek. Opuszczajcie statek. Znajdziemy was na pewno. Trzymajcie się. Koniec.

Mężczyzna w rozpiętej bluzie mundurowej, który zastąpił młodszego telegrafistę, zerwał się nagle i spojrzał na Pierwszego, który podszedł do niego. Telegrafista zdjął z głowy słuchawki, Pierwszy nałożył je sobie, równocześnie tamten regulował charczący z wysiłkiem głośnik. Naraz wszyscy zdrętwieli.

W kabinie stali ludzie, którzy latali od lat, ale tego nikt z nich jeszcze nie słyszał. Ten, czyj głos wydobywał się z głośnika, zmieszany był z przeciągłym szumem, jakby odgradzony ścianą płomieni, krzyczał:

— Albatros — wszystkich — roztwór — sterowni — temperatura — niemożliwe — załoga do końca — żegnajcie — przewody...

Głos urwał się i słysząc było tylko szum.

Głośnik zaskrzypiał. Było ciężko ustać — wszyscy jednak stali, zgarbieni, opierając się o metalowe ściany.

— Balistyczny osiem do Luny Głównej — odezwał się silny głos. — Idę do Albatrosa cztery. Otwierajcie mi drogę przez sektor 67, idę pełnym ciągiem, niezdolny do manewru mijania. Odbiór.

Milczenie trwało kilka sekund.

— Luna Główna do wszystkich w sektorach 66, 67, 68, 46, 47, 48 i 96. Ogłaszam sektory zamkniętymi. Wszystkie statki, które nie idą pełnym ciągiem do Albatrosa cztery, mają natychmiast zastopować i postawić reaktory na jałowy bieg oraz zapalić światła pozycyjne. Uwaga, Poryw! Uwaga, Tytan Aresterra! Uwaga, Balistyczny osiem! Uwaga Kobold siedem zero dwa! Mówi do was Luna Główna. Otwieram wam wolną drogę do Albatrosa cztery. Cały ruch w sektorach promienia wodzącego punktu SOS zostaje wstrzymany. Zaczniecie

hamowanie na miliparseku przed punktem SOS. Uważajcie, aby wygasić hamownice na zasięgu optycznym Albatrosa, ponieważ załoga jego mogła już opuścić pokład. Powodzenia. Powodzenia. Koniec.

Teraz odezwał się Poryw — Morse'em. Pirx wsłuchiwał się w popiskiwanie sygnałów.

„Poryw Aresterra do wszystkich idących z pomocą Albatrosowi cztery. Wszedłem w sektor Albatrosa za 18 minut będę przy nim stop mam przegrzany reaktor chłodzenie uszkodzone stop po akcji ratunkowej będę potrzebował pomocy lekarskiej stop zaczynam hamować pełnym ciągiem wstecznym. Koniec.”

— Wariat — odezwał się ktoś, a wtedy wszyscy stojący dotąd jak posągi poszukali oczami tego, kto to powiedział. Rozległ się krótki, gniewny pomruk.

— Poryw będzie pierwszy — zauważył Mindell i spojrzał na dowódcę.

— Sam będzie potrzebował pomocy. Za czterdzieści minut...

Urwał. Głośnik chrząkał i chrząkał, nagle przez trzaski dało się słyszeć:

— Poryw Aresterra do wszystkich idących z pomocą Albatrosowi cztery. Jestem na optycznej Albatrosa. Albatros dryfuje w przybliżeniu elipsą T 348. Rufa żarzy się wiśniowo. Światła sygnałowych brak. Albatros nie odpowiada na wezwania. Stopuję i rozpoczynam akcję ratunkową. Koniec.

W drugim pokoju odezwały się brzęczyki. Mindell i jeszcze jeden mężczyzna wyszli. Pirx miał wszystkie mięśnie jak z drzewa. Boże! Jak chciał tam być! Mindell wrócił.

— Co tam? — spytał Pierwszy.

— Pasażerowie pytają, kiedy będą mogli tańczyć — odpowiedział Mindell. Pirx nie słyszał tego nawet. Patrzył w głośnik.

— Już niedługo — odparł spokojnie nawigator. — Przełączcie mi optyczną. Dochodzimy. Za parę minut powinniśmy ich zobaczyć. Panie Mindell, daj pan drugie ostrzeżenie — będziemy hamowali na overdrive.

— Tak jest — odpowiedział Mindell i wyszedł.

Głośnik zabuczał i rozległ się głos:

— Luna Główna do Tytana Aresterra, Kobol—da siedem zero dwa! Uwaga! Uwaga! Uwaga! Balistyczny osiem dostrzegł w centrum sektora 65 błysk o jasności minus cztery. Poryw ani Albatros nie odpowiadają na wezwania. Istnieje możliwość eksplozji reaktora na Albatrosie. Ze względu na bezpieczeństwo pasażerów Tytan Aresterra wezwany jest do zastopowania i natychmiastowego zgłoszenia się. Balistyczny osiem i Kobold siedem zero dwa działają dalej według własnego uznania. Powtarzam. Tytan Aresterra wezwany jest...

Wszyscy patrzyli na Pierwszego. — Panie Mindell — powiedział. — Zastopujemy na miliparseku?

Mindell patrzył na tarczę swego ręcznego zegarka.

— Nie, panie nawigatorze. Dochodzimy na optyczną. Potrzebowałbym sześciu g.

— To zmienimy kurs.

— I tak będziemy mieli co najmniej trzy — powiedział Mindell.

— Trudno.

Pierwszy wstał, podszedł do mikrofonu i odezwał się:

— Tytan Aresterra do Luny Głównej. Nie mogę zastopować, mam zbyt wielką szybkość. Zmieniam kurs manewrem mijania na połowie ciągu i wychodzę kursem dwieście dwa z sektora 65 do sektora 66. Proszę otworzyć mi drogę. Odbiór.

— Pan odbierze potwierdzenie — zwrócił się do mężczyzny, który siedział przedtem obok niego. Mindell wołał coś do interkomu. Brzęczyki odzywały się nieustannie. Światelka skakały na tablicach ściennych. Zrobiło się naraz jakby ciemniej — to tylko krew odpływała z oczu. Pirx rozstawił szeroko nogi. Szli na hamownicach, wyrabiając zakręt. Tytan wibrował delikatnie, słysząc było przeciągły wysoki śpiew silników.

— Siadać! — krzyknął Pierwszy. — Nie potrzebuję tu bohaterów! Mamy trzy!

Wszyscy posiadali na podłodze, a raczej zwalili się na nią. Była pokryta grubą warstwą pianoplastyku.

— No! Co tam się natłucze, nałamię! — mruknął mężczyzna siedzący obok Pirxa. Nawigator usłyszał to.

— Towarzystwo Ubezpieczeń zapłaci — odpowiedział ze swego fotela. Mieli chyba ponad trzy — Pirsowi trudno było podnieść rękę do twarzy. Pasażerowie leżeli pewno wszyscy w kajutach — ale co się musiało dzieć w kuchniach, w jadalniach, no! Wyobraził sobie palmiarnię. Przecież tego żadne drzewo nie wytrzyma! A na dole! Pełne wagony zbitej porcelany! Nieźle tam musiało teraz wyglądać!

Głośnik odezwał się.

— Balistyczny osiem do wszystkich. Jestem na optycznej Albatrosa. Jest w chmurze. Rufa żarzy się. Kończę hamowanie i wysyłam w przestrzeń ekipy do poszukiwania załogi Albatrosa. Poryw nie odpowiada na wezwania. Koniec.

Przyspieszenie malało. Ktoś pokazał się w drugich drzwiach i krzyknął. Można już było wstać. Wszyscy ruszyli w te drzwi. Pirx wszedł ostatni. Była to główna sterownia. Ekran osiem na szesnaście metrów zajmował całą przednią ścianę — zakłęśły — niczym w jakimś kino—teatrze olbrzymów. Wszystkie światła sterowni były wygaszone. W przestrzeni, na czarnym gwiazdowym tle, poniżej głównej osi Tytana, w lewym kwadrancie tłała cienka kreseczka, zakończona żarzącym się, wiśniowym węgielkiem, jak ognik papierosa. Stanowiła jądro bladego, przypłaszczonego z lekka pęczera z cieńszymi, rozchodzącymi się na wszystkie strony kolczastymi wypustkami; poprzez tę kulistą chmurę przecierało się coraz wyraźniej światło silniejszych gwiazd. Naraz wszyscy targnęli się do przodu — jakby chcieli wejść w ekran. Całkiem nisko, w prawym dolnym rogu błysnął między stałymi gwiazdami biały punkcik — i zaczął szybko migać. To był Poryw.

„W reaktorze Albatrosa zaszła nie kontrolowana reakcja łańcuchowa stop mam straty w ludziach stop oparzeni stop proszę lekarzy stop nadajnik uszkodzony wybuchem stop przeciek reaktora stop gotowy do odrzucenia reaktora jeśli nie opanuję przecieku stop” — odczytywał Pirx z miarowo rozbłyskującego punktu.

Albatrosa nie było już widać. Pośród gwiazd wisiał ciężki, bursztynowo-biało-bury kłęb, wypuczony z wierzchu grzywiastymi naroślami. Był coraz niżej i przesuwał się w dolny lewy róg ekranu — Tytan górował nad nim, wychodząc nowym kursem z sektora katastrofy.

W głąb mrocznej sterowni padła długa smuga światła z drzwi kabiny radiowej. Słychać było głos Balistycznego:

— Balistyczny osiem do Luny Głównej. Zastopowałem w centralnej części sektora 65. Poryw na miliparseku pode mną sygnalizuje optycznie straty w ludziach oraz przeciek reaktora, gotowy do odrzucenia reaktora, wzywa pomocy lekarskiej, której mu udzielię. Poszukiwanie załogi Albatrosa utrudnione skażeniami próżni chmurą radioaktywną o temperaturze powierzchni ponad 1200. Jestem na optycznej Tytana Aresterra, który mija mnie pełnym ciągiem wychodząc w sektor 66. Oczekuję przybycia Kobolda siedem zero dwa w celu podjęcia wspólnych działań ratowniczych. Koniec.

— Wszyscy na stanowiska! — rozległ się silny głos. Jednocześnie tylne światła sterowni zapłonęły. Zapanował ruch, ludzie szli pod ścianami w trzy strony, Mindell wydawał rozkazy stojąc przy pulpicie rozrządczym, brzęczyki odzywały się po kilka naraz, w końcu sala opustoszała i oprócz dowódcy, Mindella i Pirxa został w niej tylko młody telegrafista, który stał w kącie naprzeciw ekranu i patrzył w rozwiewający się powoli, coraz większy i ciemniejszy bąbel dymu.

— A, to pan — powiedział Pierwszy Tytana, jakby dopiero teraz zobaczył Pirxa, i podał mu rękę. — Czy Kobold zgłasza się? — spytał ponad jego głową kogoś w drzwiach radiowej.

— Tak, panie nawigatorze, idzie wstecznym.

— Dobrze.

Stali przez chwilę, patrząc w ekran. Ostatni strzęp brudnej chmury znikł. Ekran był znowu pełen czystej, gwiazdowej ciemności.

— Czy ktoś wyszedł? — spytał Pirx, jak gdyby dowódca Tytana mógł wiedzieć więcej od niego. Ale on był Pierwszym — a Pierwszy powinien wiedzieć wszystko.

— Musiały im się zaciąć blendy — odparł tamten. Był więcej niż o głowę niższy od Pirxa. Włosy miał jak z ołowiu — nie wiadomo było, czy posiwiały tak, czy też były takie zawsze.

— Mindell — rzucił Pierwszy w stronę przechodzącego inżyniera — ogłoś pan z łaski swojej koniec ostrzeżenia. Mogą tańczyć.

— Znał pan Albatrosa? — spytał zwracając się do milczącego Pirxa.

— Nie.

— Kompania Zachodnia. Dwadzieścia trzy tysiące ton. Co tam?

Radiotelegrafista zbliżył się i podał mu zapisany blankiet. Pirx odczytał pierwsze słowa: „Balistyczny do...”

Cofnął się. Teraz jednak przeszkadzał ludziom, którzy co chwila przechodzili przez sterownię, więc stanął pod samą ścianą w kącie. Nadbiegł Mindell.

— Jak tam? — spytał go. Mindell był spocony, wycierał chustką czoło. Pirx miał takie wrażenie, jak gdyby znał go już — od lat.

— Nie najgorzej — wysapał Mindell. — Dostali podmuchem. Chłodzenie reaktora puściło od wstrząsu — to świństwo zawsze leci pierwsze. Oparzenia pierwszego i drugiego stopnia. Lekarze tam już są.

— Z Balistycznego?

— Tak.

— Nawigatorze! Luna Główna! — zawołał ktoś od drzwi radiowej i Pierwszy odszedł. Pirx stał naprzeciw Mindella, który odruchowo dotknął spuchniętego policzka i schował chustką do kieszeni.

Pirx chciał dalej pytać Mindella — ale nic już nie powiedział, skinął mu tylko głową i poszedł do kabiny radiowej. Głośnik gadał dziesięcioma głosami, statki z pięciu sektorów dopytywały się o Albatrosa, o Poryw, Luna Główna nakazała wreszcie wszystkim milczenie i usiłowała rozplatać komunikacyjny węzeł, który powstał wokół 65 sektora po zablokowaniu otaczającej go przestrzeni, Pierwszy siedział obok telegrafisty i coś pisał. Naraz telegrafista zdjął słuchawki i odłożył je — jakby przestały już być potrzebne. Przynajmniej wydało się tak Pirxowi. Podszedł do niego z tyłu. Chciał spytać, co z ludźmi Albatrosa — czy udało im się wyjść. Radiowiec poczuł jego obecność, podniósł głowę i popatrzał mu w twarz. Pirx nie spytał go już o nic. Wyszedł przed drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU GWIAZDOWEGO.

TERMINUS

I

Od przystanku był jeszcze kawał drogi, zwłaszcza dla kogoś, kto, jak Pirx, niósł walizkę. Nad bielejącymi widmowo polami stał mglisty przedświt, asfaltem szły ze świstem opon ciężarówki, poprzedzane osrebrzonymi kłębami pary, ich tylna światła zapalały się czerwono przed zakrętem. Przekładając walizkę z ręki do ręki, spojrzął w górę. Mgła musiała być niska, bo zobaczył gwiazdy. Mimo woli poszukał kursowej dla Marsa. W tym momencie szary mrok zdrzął. Nieprawdopodobnie zielony ogień przeświecił na wylot mgłę. Odruchowo otworzył usta, już nadciągał grzmot, a za nim gorący podmuch. Grunt zadygotał. W jednej chwili nad równiną weszło zielone słońce. Śniegi rozgorzały jadowitym blaskiem aż po widnokrąg, cienie przydrożnych słupów zaczęły biec przed siebie, wszystko, co nie było jaskrawą zielenią, stało się czarne, jak zwęglone. Pirx, rozcierając pozieleniałe dłonie, patrzył, jak jeden z oświetlonych upiornie, strzelistych minaretów, które, jakby za dziwnym kaprysem budowniczego, wznosiły się pośrodku okolonej wzgórzami kotliny, odrywa się od ziemi, jak stojąc na kolumnie ognia poczyna majestatycznie iść w górę, a kiedy grzmot stał się materialną siłą, wypełniającą przestrzeń, zobaczył przez szpary między palcami dalekie wieże, budynki, cysterny, obwiedzione brylantową aureolą; szyby kapitanatu rozbłysły, jakby szalał za nimi pożar, wszystkie kontury poczęły falować i giąć się w rozżarzone powietrze, a sprawca tego widowiska, rycząc triumfalnie, zniknął już na wysokości, pozostawiając w dole ogromny, czarny krąg dymiącej ziemi. Po chwili z ugwieżdżonego nieba zaczął padać ciepły, grubokroplisty deszcz kondensacji.

Pirx podniósł swoje brzemie i poszedł dalej. Wzlot rakiety przełamał jak gdyby noc — z każdą chwilą robiło się jaśniej i widać było, jak osiada w rowach topniejący śnieg, a cała równina wynurza się spod obłoków pary.

Za siatkami, świecącymi od wody, szły długie mury ochronne dla załogi lotniska o skarpach okrytych darnią. Martwa, nasiąkła wilgocią zeszłoroczna trawa nie dawała dobrego oparcia stopom, ale spieszyło mu się, więc zamiast szukać schodków najbliższego przejścia, z rozbiegiem wspiął się na górę — i zobaczył ją z daleka.

Wyższa od wszystkich innych rakiet, stała osobno, wysoka jak wieża. Takich nie budowano od lat. Omijał rozlane na betonie płytkie kałuże wody, dalej już ich prawie nie było, wyparowała momentalnie od termicznego udaru, czworokątne płyty sucho i ostro, jak w lecie, dzwoniły pod krokami. Im był bliżej, tym bardziej musiał zadzierać głowę. Pancierz wyglądał, jakby go na przemian smarowano klejem i nacierano zmieszany z gliną szmatami. Kiedyś próbowano dodawać do powłokowych tungstenów włókna azbestowego karbidku. Kiedy się taki statek przypalił parę razy na hamowaniu atmosferycznym, wyglądał jak obdzierany ze skóry — cały w strzępach. Nie warto było ich zdzierać — wnet wyłaziły. Opory przy starcie, jasna rzecz, olbrzymie. Stateczność, sterowność — prosto przed Trybunał Kosmiczny: jeden kryminał.

Szedł nie spiesząc się, choć walizka porządnie już mu ciążyła, ale chciał dokładnie obejrzeć sobie statek z zewnątrz; ażurowa konstrukcja trapu rysowała się na tle nieba iście jakubową drabiną, ściana rakiety szara była jak kamień — wszystko zresztą było jeszcze szare: rozwłócone po betonie puste skrzynki, butle, łańchy porzuczonego żelastwa, dzwona metalowych węzów. Rozrzucone chaotycznie, świadczyły o pośpiechu, z jakim dokonano załadunku. Dwadzieścia kroków przed trapem postawił walizkę i rozejrzał się. Wyglądało na to, że ładunek jest już zakrętowany; rozkraczona na gąsienicach ogromna pochylnia towarowa została odsunięta i zaczepy jej wisały w powietrzu, ze dwa metry od kadłuba.

Wyminął stalową łapę, którą statek, niebotyczny i czarny teraz na tle zorzy, wspierał się o beton, i zszedł pod rufę. Wokół łapy żelbet osiadł pod strasznym ciężarem, strzeliwszy w otoczeniu rysami pęknięć.

— Nieźle zaplącą i za to — pomyślał o armatorach, wchodząc w obszar cienia, rzucanego przez rufę. Z odrzuconą w tył głową zatrzymał się pod lejem pierwszej wyrzutni. Obrzeże zięjące zbyt wysoko, by mógł go dosięgnąć, pokrywały grube nawarstwienia kopci. Wciągnął badawczo powietrze. Choć silniki milczały od dawna, wyczuł ślad ostrego, charakterystycznego swędu jonizacji.

— Chodź no tu — powiedział ktoś z tyłu. Odwrócił się, ale nie zobaczył nikogo. I znowu usłyszał ten sam głos — jakby z odległości trzech kroków.

— Hej, jest tu kto?! — krzyknął. Głos zabrzmiał głucho pod czarną, rozdziawioną dziesiątkami wylotów kopułą rufy. Odpowiedziała cisza. Przeszedł na drugą stronę i zobaczył krzątających się w odległości jakichś trzystu metrów ludzi — stojąc rzędem, wlekli po ziemi ciężki wąż paliwowy. Poza tym było pusto. Nasłuchiwał chwilę, aż doszły go, tym razem z wysoka, niewyraźne, bełkotliwe głosy. Musiał to być efekt wylotowych lejów: działały jak reflektor, skupiając dźwięki otoczenia. Wrócił po walizkę i ruszył z nią do trapu.

Sześciopiętrową drabinę przemierzył, nie wiedząc o tym nawet, zajęty myślami, choć jakie były — nie umiałby powiedzieć. U szczytu, na otoczonej aluminiową poręczą platformie nawet się nie obejrzał, żeby pożegnać wzrokiem okolicę. Nie przyszło mu to do głowy. Nim pchnął kłapę, powiódł palcami po pancerzu. Istna tarka. Jego chropowatość nasuwała myśl o zżartej kwasami skale.

— No, co mam robić, sam chciałem — mruknął. Kłapa otworzyła się ciężko, jakby przywalona głazami. Komora ciśnieniowa wyglądała jak wnętrze beczki. Powiódł palcami po rurach, roztarł suchy pył. Rdza.

Przeciskając się przez wewnętrzny właz, zdążył jeszcze zauważyć, że uszczelka jest polatana. W górę i w dół biegly pionowe studnie korytarzy, oświetlonych nocnymi lampami. Ich światło zlewało się w perspektywie w błękitną smużkę. Gdzieś szumiały wentylatory, nosowo cmokała niewidzialna pompa. Wyprostował się. Jak przedłużenie własnego ciała poczuł otaczający go masyw pokładów i pancerzy. Niech diabli wezmą — 19 000 ton!

Na drodze do sterowni nie spotkał nikogo. Korytarz wypełniała cisza tak ostateczna, jakby statek był już w próżni. Pneumatyczną wyściółkę ścian pokrywały plamy; liny, służące za oparcie przy braku ciężenia, zwisały nisko, sparciałe. Spawane i przecinane dziesiątki razy złącza rurociągów wyglądały niczym nadwęglone bulwy, wyciągnięte z popieliska. Pochylił, jedną i drugą, doszedł do sześciobocznego pomieszczenia z metalowymi drzwiami o zaokrąglonych kątach w każdej ścianie. Okręcone postronkiem, zamiast pneumatyków, miedziane klamki.

Okienka numeratorów ukazywały szklane bielma. Nacisnął taster informatora — przekaźnik trzasnął, w metalowej puszcze coś zaszeleściło, ale tarczka pozostała ciemna.

— No, co mam robić? — pomyślał. — Lecieć ze skargą do SPT?

Otworzył drzwi. Sterownia wyglądała jak sala tronowa. W szklach martwych ekranów zobaczył się jak w lustrze — kapelusz do reszty stracił fason od deszczu, z walizką, w jesionce, robił wrażenie zabląkanego mieszcza. Na wzniesieniu stały budzące rozmiarami szacunek fotele pilotów, zwaliste, z siedzeniem w kształcie głębokiego negatywu ludzkiego ciała — zapada się w nie po pierś. Postawił walizkę na podłodze i podszedł do pierwszego. Wypełnił go cień, niczym widmo ostatniego sternika. Uderzył dłonią w oparcie — buchnął kurz, zakręciło mu w nosie, zaczął kichać raz po raz, wściekły, aż nagle roześmiał się. Pianowa wyściółka poręczy zmurszała od starości. Kalkulatory — takich jeszcze nie widział. Ich twórca musiał się zapatrzeć w organy. Zegarów na pulpitych było jak maku — trzeba by mieć ze sto oczu, aby je naraz ogarnąć. Odwrócił się wolno. Szedł oczami od ściany do ściany, widział plątaninę łątanych kabli, skorodowane płyty izolacji, żelazne koła do ręcznego

opuszczania hermetycznych grodzi, wyświechtane od dotyku rąk, spłowiałą czerwień rozrządu gaśnic — wszystko było tak zakurzone, tak stare...

Kopnął amortyzatory fotela. Od razu pociekło z hydraulików.

— Inni latali, to i ja potrafię — pomyślał. Wrócił na korytarz, przeciwnymi drzwiami dostał się do burtowego przejścia i poszedł przed siebie. Tuż za szybą windy zauważył na ścianie ciemniejsze, wypuczone miejsce. Przyłożył dłoń — nie omylił się. Plomba po przestrzelinie. Poszukał w otoczeniu dalszych śladów przebicia, ale zmieniono widać całą sekcję — strop i ściany były gładkie. Wrócił oczami do plomby. Cement zastygł gruzłami, wydało mu się, że dostrzega w nim niewyraźne odbicie dłoni, które pracowały w gwałtownym pośpiechu. Wsiadł do windy i zjechał na sam dół, do stosu. Za szybą przesuwały się miarowo oświetlone cyfry pokładów: piąty... szósty... siódmy...

Na dole było chłodno. Korytarz skręcał łukiem, zbiegał się z innymi, poprzez wydłużony, niski przedsionek widział już drzwi komory stosu. Tu było jeszcze chłodniej; para oddechu białała w świetle zakurzonych lamp. Potrząsnął głową. Zamrażalniki? Musiały być gdzieś blisko. Nadstawił ucha. Blachy poszycia drgały, wstrząsane słabo dzwoniącym pulsem. Przeszedł pod nawisłymi ciężko stropami, które wtórowały głucho jego krokom, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia, że jest w głębi podziemi. Korba hermetycznych drzwi nie dawała się obrócić. Naparł mocniej — ani drgnęła. Już chciał stanąć na niej nogą, kiedy zorientował się w systemie zamkowym; musiał pierw wyciągnąć zabezpieczającą sztabkę.

Za tymi drzwiami były następne — dwuskrzydłowe, na pionowej osi, grube jak w skarbcu. Lakier łuszczył się ze stali, na wysokości oczu odczytywał resztkę czerwonych liter:

N.. BEZP..... STWO

Znalazł się w ciasnym przejściu — prawie zupełnie ciemnym. Kiedy postawił nogę na progu, coś szcęknęło i prosto w twarz buchnął mu biały blask; równocześnie zajaśniała tablica z czaszką na skrzyżowanych puszczelach. — Ależ bali się wtedy! — pomyślał. Blacha stopni zabębniła głucho, kiedy schodził do komory. Znalazł się jakby na dnie wyschłej fosy — naprzeciw, wypukła niczym blanka fortecznego muru, szarzała wysoka na dwa piętra ochronna ściana reaktora, pokryta zielonkawą i żółtą ospą niewielkich wybrzuszeń. To były plomby po starych promienistych przeciekach. Spróbował policzyć je — ale kiedy wszedł na pomost i zobaczył cały mur z wysoka, dał spokój; w niektórych miejscach nie widać już było spod nich betonu.

Pomost, stojący na żelaznych kolumnkach, oddzielały od reszty komory wielkie szyby — jakby nań nasadzono pudło ze szkła. Domyślił się, że to szkło ołowiowe, mające chronić przed twardym promieniowaniem, ale i tak wydał mu się ten zabytek atomowej architektury nonsensem.

Pod czymś w rodzaju niewielkiego daszka sterczały, wycelowane w brzuch stosu, rozcapierzone promieniście liczniki Geigera. W osobnej wnęce znalazł zegary — martwe, z wyjątkiem jednego. Stos na jałowym rozruchu.

Zeszedł na dół, ukląkł i zajrzał do studzienki pomiarowej. Lustra peryskopu były w czarnych plamach od starości. Trochę za dużo szlaki radioaktywnej, ale ostatecznie Mars nie Jowisz — można obrócić w dziesięć dni. Wyglądało, że paliwa jest na kilka takich rejsów. Uruchomił kadmowe blendy. Wskazówka zatrzęsała się i niechętnie przesunęła na drugi koniec skali. Sprawdził opóźnienie — ujdzie. Tyle, aby kontrola SPT przepuściła — z przymknięciem oka.

Coś poruszyło się w kącie. Dwa zielone światełka. Zapatrzył się w nie i drgnął, bo przesunęły się wolno. Podeszedł bliżej. To był kot. Czarny, chudy. Miauknął cicho i przywarł grzbietem do jego nogi. Uśmiechnął się i poszukał w otoczeniu wzrokiem, aż znalazł wysoko, na żelaznej półce, rząd klatek. Coś białawego mrowiło się w nich niespiesznie. Od czasu do czasu łysnął między drutami czarny paciorek oka. Białe myszy. Wożono je jeszcze czasem na starych statkach, jako żywe wskaźniki radioaktywnego przecieku. Pochylił się, żeby

pogłaskać kota, ale ten umknął mu i zwracając głowę ku najciemniejszej, zwężonej części komory, cicho miauknął, wygiął grzbiet i na wyprężonych łapach przesunął się ku betonowej skarpie, za którą czerniało coś, jakby czworokątne przejście. Koniec wyprężonego ogona zadrgał, zwierzę pełzało dalej, już ledwo widoczne w półmroku. Pirx, zaintrygowany, zajrzał tam, schylając głowę. W pochyłej ścianie widniały na wpół uchylone kwadratowe drzwiczki, wewnątrz refleks światła połyskiwał na czymś, co wziął za zwoje metalowego węża. Kot wpatrywał się w to, nastroszony, jego zeszywniały ogon wykonywał drobne ruchy.

— No, co znowu, tam nic nie ma — mruknął Pirx i przysiadając prawie na obcasach, zbliżył oczy do ciemnej wnęki. W środku siedział ktoś. Matowe błyski leżały na skulonym torsie. Kot zaczął zbliżać się do drzwiczek, miauczając cichutko. Oczy Pirxa przywykały do ciemności — coraz wyraźniej dostrzegał spiczaste, wysoko uniesione kolana, lśniący słabo metal nagolenników i opasujących je segmentowych ramion. Tylko głowa kryła się w cieniu.

Kot miauknął.

Jedno ramię poruszyło się z chrzęstem, wysunęło na zewnątrz i dotykając końcami żelaznych palców podłogi, utworzyło skośny most, po którym kot szmyrgnął błyskawicznie w górę i usadowił się na barku siedzącego.

— Hej, ty — powiedział Pirx nie wiadomo, do kota czy do tego stworu, który powoli, jakby pokonując ogromny opór, jął cofać rękę. Odezwanie się Pirxa sparaliżowało ten ruch. Żelazne palce stuknęły o beton.

— Kto tam to — odezwał się zniekształcony, jakby dobywający się z żelaznej rury głos — Terminus mówi — kto?

— Co tu robisz? — spytał Pirx.

— Terminus — tu — jestem — zimno — źle — widzę — dukał chrypliwie głos.

— Czy pilnujesz stosu? — spytał Pirx. Tracił już nadzieję, że dowie się czegoś od automatu, strupieszalego, jak cały statek, ale w obliczu zielonych ślepiów nie mógł jakoś zrejterować w pół słowa.

— Terminus — stosu — zabełkotało w betonowym schowku — ja — stosu. Stosu... — powtarzał jakby z głupkowatym zadowoleniem.

— Wstań! — krzyknął Pirx, bo nic innego nie przyszło mu do głowy. W środku zachrzęściło. Cofnął się o krok, widząc, jak z ciemności wysuwają się dwie żelazne rękawice o rozstawionych palcach, obracają się na zewnątrz, jak zaczepiają o framugę i zaczynają holować tułów, w którym przeciągle zachrobotało. Metalowy kadłub gibnął się, wyrzwał na światło i wstawał przy zgrzytaniu i pisku wszystkich stawów. Na poprzecznych złączach blachy, zaciemniając kurz, który ją pokrywał, wystąpiły krople oliwy. Podobny raczej do rycerza w zbroi aniżeli do automatu, chwiał się powoli na boki.

— Czy tu jest twoje miejsce? — spytał Pirx. Szklane oczy automatu rozeszły się na boki, krążąc wolno po otoczeniu, i ten zez nadał jego płaskiej, metalowej twarzy wyraz całkowitej tępoty.

— Plomby przygotowane — dwa, sześć, osiem funtów — źle — widać — zimno...

Głos wydobywał się nie z głowy, lecz z szerokiej tarczy piersiowej automatu.

Kot, zwinięty w kłębek, patrzył na Pirxa z wysokości jego barku.

— Plomby — goto — skrzeczał dalej Terminus. Wykonywał jednocześnie drobne ruchy, będące zaczątkami dobrze Pirxowi znanej operacji — jak gdyby nabierał czegoś z powietrza szufłowato ustawionymi garściami i pchnięciem umieszczał to gdzieś przed sobą — tak, naprzemiennymi ruchami, opatruje się radioaktywne przecieki. Oksydowany tors zachwiał się gwałtowniej, czarny kot zgrzytnął pazurami po blasze, nie utrzymał się i z gniewnym fuknięciem buchnął czarną smugą w dół, dotykając w przelocie nóg Pirxa. Automat jakby tego nie zauważył. Umilkł, tylko jego ręce wikłały się jeszcze w szczątkowych, gasnących ruchach, które stanowiły jak gdyby coraz słabsze, nieme echo jego słów — aż zamarł.

Pirx spojrział na całą w zaciekach, skamieniałą od starości ścianę reaktora, pokrytą raz koło raz ciemniejszymi plamami cementowych opatrunków, i wrócił oczami do Terminusa. Musiał on być bardzo stary — kto wie, czy nie starszy od statku. Prawy bark wyglądał na wymieniony, biodra i uda nosiły wyraźne ślady spawania, dokoła żelaznych szwów blacha, odpuszczona żarem, przybrała granitową niemal barwę.

— Terminus! — krzyknął, zupełnie jakby odzywał się do głuchego — idź na swoje miejsce!

— Słucham. Terminus.

Automat cofnął się tyłem, niczym rak, do otwartego schowka i zgrzytając jął wciskać się do środka. Pinc obejrzał się za kotem, ale nigdzie go nie było. Wrócił na górę, zamknął za sobą hermetyczne drzwi i pojechał windą na czwarty pokład — do kabiny nawigacyjnej.

Szeroka i niska, z poczerniałą, dębową boazerią i belkowanym stropem, przypominała kajutę okrętową. Miała okrętowe iluminatory w miedzianych pierścieniowych ramach, przez które padało dzienne światło. Jakies czterdzieści lat temu panowała taka moda; nawet plastikowe pokrycia ścian imitowały wówczas drewnianą klepkę. Otworzył okrągłe okno i omal nie stuknął czołem w głuchy mur. Złudzenie dziennego światła dawały ukryte jarzeniówki. Zatrzasnął okno i odwrócił się. Z gwiazdowych stołów aż na podłogę zwisały mapy nieba, bladoniebieskie jak morza w geografii, po kątach wały się rulony zużytej kalki, upstrzone kursowymi wykresami, rysownica pod punktowym reflektorkiem cała była podziobana ukłuciami cyrkli, w kącie stało biurko, przed nim — dębowy fotel, przyśrubowany do podłogi, pod siedzeniem miał kulowy przegub, żeby można je pochylać w dowolną stronę, obok ciągnęły się wpuszczone w boazerię, zwaliste szafy biblioteczne. Istna arka Noego.

Czy to dlatego agent, już po podpisaniu umowy, powiedział mu: „Dostaje pan historyczny statek”? Stary — to jeszcze nie historyczny.

Zaczął kolejno wysuwać szuflady biurka, aż znalazł książkę okrętową — wielką, w wyszlizganej skórzanej oprawie, z zaśnieżonymi okuciami. Wciąż stał, jakby nie mogąc się zdobyć na zajęcie tego wielkiego, wysiedzianego fotela. Odchylił okładkę. Na pierwszej stronie widniała data próbnego rejsu i fotogram aktu technicznego stoczni. Mrugnął powiekami; nie było go jeszcze wtedy na świecie. Poszukał ostatniego zapisu — ten był teraz najważniejszy. Zgadzał się z tym, co usłyszał od agenta — statek od tygodnia ładował maszyny i drobnicę dla Marsa, start, wyznaczony na 28, opóźnił się — od trzech dni liczy się postojowe. To dlatego tak się spieszyli — postojowe w ziemskim porcie może zrujnować milionera...

Kartkował wolno książkę, nie czytając wyblakłego pisma, chwycił tylko pojedyncze, stereotypowe zwroty, kursowe cyfry, wyniki obliczeń — nie zatrzymywał się nigdzie, jakby szukając w niej czegoś innego. Ze strumienia kartek wyłoniła się jedna — na górze:

Statek wprowadzony do stoczni Ampers-Hart na remont I kategorii.

Data pochodziła sprzed trzech lat.

I cóż takiego ulepszyli? Nie był taki znów ciekaw, ale przejrzał spis robót, dziwiąc się coraz bardziej — wymieniono pancerze dziobowe, szesnaście sekcji pokładów, wręgi obsady reaktora, grodzie hermetyczne...

Nowe grodzie i wręgi?

Prawda — agent mówił coś o jakiejś starej awarii. Ale to nie była zwykła awaria — raczej katastrofa.

Odwrócił stronę, żeby dowiedzieć się czegoś z zapisów poprzedzających remont. Najpierw znalazł port przeznaczenia: *Mars. Ładunek: drobница. Załoga: pierwszy oficer—inżynier Pratt, drugi — Wayne, piloci Poiter i Nolan, mechanik Simon...*

A dowódca?

Cofnął się jeszcze o stronę i drgnął.

Data przejęcia statku — sprzed dziewiętnastu lat. I podpis:

Pierwszy nawigator — Momssen.

Momssen!

Owionął go suchy żar.

Jak to Momssen? Przecież chyba nie ten Momssen! Przecież... przecież tamto — to był inny statek!

Ale data zgadzała się: upłynęło od niej dziewiętnaście lat. Zaraz. Tylko powoli. Powoli.

Wrócił do książki okrętowej. Zamaszyste, wyraźne pismo. Wyblakły atrament. Pierwszy dzień podróży. Drugi, trzeci. Mierny przeciek reaktora: 0,4 rtg/godzinę. Nałożono plombę. Obliczenia kursu. Gwiazdowy fix.

Dalej, dalej!

Nie czytał: skakał oczami po zwartych rzędkach pisma.

Jest!

Data, której uczył się w szkole jako chłopiec, i pod nią:

O godz. 16.40 Cz. L. odebrane Ostrzeżenie Met. Dejmosa przed pochodzącą z jowiszowej perturbacji Leonidów chmurą, idącą kursem kolizji z chyż. 40 km/sek. przez sektor własny. Odbiór O. M. potwierdzony. Ogłoszony alarm P—M dla załogi. Przy utrzymującym się przecieku reaktora 0.42 rtg/godz. podjęty manewr wymijający całą mocą z wyjściem przybliżonym na deltę Oriona.

Niżej, od nowej linii:

O godz. 16.51 Cz. L. na

Reszta karty była pusta.

Żadnych znaków, bazgrot, plam, nic — oprócz niepotrzebnie przedłużonej w dół, nie skręcającej wedle nakazów kaligrafii, pionowej kreseczki ostatniej litery — „a”.

Jej kilkumilimetrowe, nieco chwiejne przeciągnięcie, którym urywało się regularne pismo, wychodząc na biały obszar papieru, zawierało już wszystko: grzmot trafień, wyjąca ucieczkę powietrza, krzyk ludzi, którym pękały gałki oczne i gardła...

Ale tamten statek nazywał się przecież inaczej. Inaczej! Jak?

To było jak we śnie: nazwy tej, tak chyba sławnej jak nazwa statku Kolumba, nie mógł sobie przypomnieć!

Boże — jakże się nazywał ten statek, ostatni statek Momssena?!

Skoczył do biblioteki. Gruby tom rejestru Lloyda sam wskoczył mu w rękę. To było jakoś na K. Kosmonauta? Nie. Kondor? Nie. Coś dłuższego — jakiś dramat — bohater czy rycerz...

Rzucił tom na biurko i zwięzonymi oczami przypatrywał się ścianom. Między biblioteką a szafą z mapami wisiały na boazerii przyrządy — hygrometr, indykator promieniowania, wskaźnik dwutlenku węgla...

Odwrócił je po kolei. Żadnych napisów. Wyglądały zresztą na nowe.

Tam, w kącie!

Wkręcona w dębową płytę świeciła tabliczka radiografu. Takich już nie produkują — śmieszne, odlane w mosiądzu ozdóbki okalały tarczę... Odkręcał szybko śruby, ujmując ją ostrożnie końcami palców, szarpnął obsadę, została mu w dłoni — odwrócił metalowe pudełko. Na spodniej stronie wyryty był w złocistym mosiądzu jeden wyraz: KORIOLAN. To był ten sam statek.

Powiódł wzrokiem po kabinie. Więc to tu, na tym fotelu siedział wtedy — w tej ostatniej chwili — Momssen?

Rejestr Lloyda otwarł się na „K”. KORONA POŁUDNIOWA, KORSARZ, KORIOLAN. Statek Kompanii... 19000 ton masy spoczynkowej... wypuszczony ze stoczni w roku... reaktor uranowo-wodny, system... chłodzenie... ciąg... zasięg maksymalny... wprowadzony na linię Terra-Mars, utracony wskutek kolizji z potokiem Leonidów, po szesnastu latach

odnaleziony przez statek patrolowy w aphelium orbity... po remoncie I kat., przeprowadzonym w Ampers–Hart, wprowadzony przez Kompanię Południową na linię Terra–Mars... transport drobnicy... taryfa ubezpieczeniowa... nie, nie to... jest! ...pod nazwą Błękitna Gwiazda.

Przymknął oczy. Jak tu cicho. Zmienili nazwę. Pewno żeby nie mieć trudności z werbunkiem załogi. To dlatego ten agent... Zaczynał przypominać sobie, co mówiono o tym w Bazie. To ich statek patrolowy odkrył wrak. Ostrzeżenia meteorytowe przychodziły wtedy zawsze zbyt późno. Ogłoszony protokół komisji był lakoniczny: „Siła wyższa. Niczyjej winy”. A załoga? Odnaleziono ślady świadczące o tym, że nie wszyscy zginęli natychmiast — że wśród ocalałych był sam dowódca, który sprawił, że ci ludzie, odcięci od siebie częściami zgniecionych pokładów, mimo braku nadziei na ratunek, nie załamali się i żyli do ostatniej butli tlenu — stanowiąc załogę — do końca. Była tam jeszcze jakaś osobliwa rzecz, jakiś makabryczny szczegół, powtarzany przez całą prasę przez kilka tygodni, aż nowa sensacja zepchnęła wszystko w niepamięć — co to było? Naraz zobaczył wielką salę wykładową, tablicę zabazgraną wzorami, przy których biedził się Smiga, cały umączony kredą — a on, z głową schyloną nad wysuniętą szufladą stołu, czytał ukradkiem płasko rozłożoną na dnie szuflady gazetę. „Kto może przeżyć śmierć? Tylko martwy”. Ależ tak! Tak to było! Jeden ocalał w katastrofie, bo nie potrzebował tlenu ani żywności i spoczywał, przywalony gruzami, przez szesnaście lat — automat.

Wstał. Terminus! Na pewno, na pewno Terminus. Ma go tu, na pokładzie. Gdyby tylko chciał, gdyby odważył się...

Nonsens. To mechaniczny debil, maszyna do plombowania przecieków, głucha i ślepa od starości. To tylko prasa, w swoim wiecznym usiłowaniu wyciśnięcia maksimum sensacji z każdego zdarzenia, zrobiła z niego krzyczącymi nagłówkami tajemniczego świadka tragedii, którego Komisja miała przesłuchiwać przy zamkniętych drzwiach. Przypomniał sobie tępe skrzeczenie automatu. Bzdura, oczywista bzdura!

Zatrzasnął książkę okrętową, wrzucił ją do szuflady i spojrzął na zegarek.

Ośma, trzeba się spieszyć. Odszukał papiery ładunku. Luki były już zamknięte, kontrola portowa i sanitarna dokonana, deklaracje celne zawizowane, wszystko gotowe. Przejrzał przy biurku certyfikat towarowy i zdziwił się, że nie ma dokładnej specyfikacji frachtu. Maszyny, dobrze, ale jakie maszyny? Jaka tara? Dlaczego brak diagramu załadowania z wykreślonym środkiem ciężkości? Nic, oprócz wagi łącznej i schematycznego szkicu rozlokowania w ładowniach. W rufowych było ledwo 300 ton ładunku — dlaczego? Czyżby statek szedł na zmniejszonym udźwigu? I o czymś takim on dowiaduje się przypadkiem, w ostatniej niemal chwili?! W miarę jak coraz spieszej grzebał się w teczkach, w segregatorach, rozrzucał papiery, wciąż nie mogąc znaleźć tego, którego akurat szukał, tamta historia ulatniała mu się z pamięci, tak że spojrzawszy w pewnej chwili na wyjęty z oprawy radiograf, aż drgnął ze zdziwienia. Za chwilę jednak wpadł mu w ręce jakiś świstek, z którego wyczytał, że w ostatniej ładowni, przytykającej dnem do tarczy ochronnej stosu, znajduje się czterdzieści osiem skrzyń żywności. I znowu na specyfikacji widniało tylko ogólne określenie „łatwo psujące się środki żywnościowe”. Dlaczego zatem umieszczono je tam, gdzie wentylacja jest najgorsza, a temperatura podczas pracy silników najwyższa? Umyślnie, żeby się zepsuły, czy jak?

Rozległo się pukanie.

— Proszę — rzucił, usiłując na chybił trafił powkladać do teczek rozwłózione po całym biurku papiery. Weszło dwóch mężczyzn. Stojąc u progu, odezwali się:

— Boman, inżynier–nukleonik.

— Sims, inżynier–elektryk.

Pirx wstał. Sims był młody, szczupły, z wiewiórczym wyrazem twarzy, pokaszliwał i rzucał oczami. Boman — Pirx na pierwszy rzut oka poznał w nim weterana. Jego twarz

pokrywała opalenizna o charakterystycznym pomarańczowym odcieniu, jaki nadaje długotrwałe działanie drobnych, sumujących się dawek promieni kosmicznych. Siegał Pirxowi ledwo do ramienia: w czasach kiedy zaczynał latać, liczył się jeszcze każdy kilogram wagi na pokładzie. Choć chudy, twarz miał jakby rozlaną, a wokół oczu ciemne torby po obrzękach, jak zwykle u kogoś, przez całe lata poddawanego wielokrotnym przeciążeniom. Dolna warga nie osłaniała zębów.

— Ja też będę kiedyś tak wyglądał — pomyślał Pirx, idąc ku nim z wyciągniętą ręką.

II

Piekło zaczęło się o dziewiątej. Na lotnisku był normalny ruch — do startów kolejka, co sześć minut bełkotanie wielkich megafonów, ostrzegawcze race, potem huk, ryk, grzmot silników na próbie pełnego ciągu, po każdym starcie całymi kaskadami opadał wzbity wysoko kurz, jeszcze dobrze nie osiadł, jak z wieżyczki obwieszczano wolną drogę następnemu — wszystkim spieszyło się, każdy chciał urwać jeszcze parę minut, jak zwykle w towarowym porcie podczas szczytu: prawie każdy statek szedł na Marsa, który wołał rozpaczliwie o maszyny i zieleniny — ludzie nie widzieli tam kawałka jarzyny całymi miesiącami, hydroponiczne solaria dopiero się budowały.

Do podstawianych rakiet toczyły się tymczasem dźwigi, betoniarki, elementy kratowych konstrukcji, bele szklanej waty, cysterny z cementem, ropą, lekarstwa — na sygnał wszyscy ludzie kryli się, gdzie kto mógł, w rowach przeciwpromiennych, w pancierzonych ciągnikach, a jeszcze beton dobrze nie ostygł, kiedy wracali do roboty. O dziesiątej, kiedy słońce, całe w dymach, czerwone, jakby spuchnięte, wzniosło się nad widnokrąg, ochronne przypory betonowe między stanowiskami startowymi były poryte, okopcone, przeżarte ogniem, głębokie pęknięcia zachlapywano naprędce szybko schnącym cementem, który błotnistymi fontannami walił z węzów, tymczasem załogi antyradiacyjne wyskakiwały z transporterów w wielogłowych skafandrach, żeby strugami sprężonego piachu ścierać promieniste zanieczyszczenia, we wszystkie strony na syrenach pędziły pomalowane w czerwono-czarne szachownice łaziki kontroli, na wieży kapitanatu ktoś urywał sobie gardło przy megafonie, u szczytu ostrych wież młynkowały wielkie bumerangi radarów — jednym słowem, wszystko było tak, jak ma być. Pirx dwoił się i troił. Trzeba było przyjąć jeszcze na pokład dostarczone w ostatniej chwili świeże mięso, zatankować wodę do picia, sprawdzić aparaturę chłodni (minimalna wynosiła minus pięć, delegat SPT kręcił głową, ale w końcu zlitował się i podpisał), sprężarki, choć po generalnym remoncie, zaczęły na próbie łzawić spod zaworów, głos Pirxa upodabniał się z wolna do jerychońskiej trąby, naraz okazało się, że woda jest źle rozmieszczona — jakiś kretyń przerzucił zawór, nim wypełniły się denne zbiorniki — podpisywał papiery, wtykano mu po pięć naraz, nie wiedział, co podpisuje. Na zegarze była jedenasta — mieli godzinę do startu, i wtedy bomba.

Kapitanat nie da wolnej drogi, bo stary system dysz, zbyt niebezpieczny opad radioaktywny — statek powinien mieć pomocniczy napęd boro-wodorowy, tak jak Gigant — ten frachtowiec, który startował o szóstej — Pirx, już zachrypnięty od krzyku, naraz się uspokoił. Czy dyspozytor ruchu zdaje sobie sprawę z tego, co mówi? Czy dopiero teraz zauważył Błękitną Gwiazdę? Z tego mogą być wielkie — bardzo wielkie nieprzyjemności. O co chodzi? Dodatkowa osłona? Z czego? Worki z piaskiem. Ile? Bagatelka — trzy tysiące sztuk. Proszę bardzo — on i tak wystartuje w wyznaczonym czasie. Rachunek Kompanii zostanie obciążony. Proszę obciążać.

Pocił się. Wszystko jakby się sprzysięgło, żeby powiększyć jeszcze i tak panujący chaos: elektryk wymyśla mechanikowi, który nie sprawdził awaryjnego rozrządu, drugi pilot wyskoczył gdzieś na pięć minut, nie ma go na pokładzie, z narzeczoną się żegna, felczer w ogóle znikł, czterdzieści pancernych mamutów zajechało pod statek, okrążyło go i ludzie w czarnych kombinezonach biegiem układają worki z piaskiem, semafor na wieżycze nagli ich dzikimi łamańcami, przyszedł jakiś radiogram, zamiast pilota odebrał go elektryk, zapomniał wciągnąć do książki radiowej, zresztą to nie jego rzecz, Pirxowi kręciło się już w głowie, udawał tylko, że wie, co się dzieje — na dwadzieścia minut przed godziną zero powziął dramatyczną decyzję: kazał przepompować całą wodę z dziobowych zbiorników na rufę. Niech się dzieje, co chce — najwyżej zagotuje się, ale za to statyczność będą mieli lepszą.

O jedenastej czterdzieści — próba silników. Od tej chwili odwrotu już nie było. Okazało

się, że nie wszyscy ludzie są do niczego — zwłaszcza Boman przypadł mu do gustu — nie widziało się go ani słyszało, a wszystko szło jak w zegarku: przedmuch dysz, mały ciąg, pełny — na sześć minut przed zerem, kiedy kapitanat wyrzucił sygnał DO STARTU, byli gotowi. Wszyscy leżeli już na rozłożonych fotelach, gdy znalazł się felczer; drugi pilot, Mulat, wrócił, bardzo markotny, od narzeczonej, głośnik charczał, beczał, mruczał, nareszcie wskazówka automatu nakryła zero, dostali wolną drogę. Start.

Pirx wiedział oczywiście, że 19 000 ton to nie patrolowa skorupka, w której jest akurat tyle miejsca, żeby się szeroko uśmiechnąć, statek nie pchła, nie skoczy, trzeba wyrabiać ciąg — ale czegoś takiego się nie spodziewał. Mieli już pół mocy na zegarach, kadłub drżał od rufowych wyrzutni do szczytu, jakby się miał rozlecieć w kawałki, a wskaźnik obciążenia mówił, że jeszcze się nie oderwali od betonu. Przemknęło mu przez głowę, że Gwiazda może zaczepiła o coś — podobno taka rzecz zdarza się raz na sto lat — w tym momencie wskaźnik ruszył. Stali na ogniu, Gwiazda dygotała, wskazówka grawimetru tańczyła jak szalona po skali; z westchnieniem osunął się na poduszki, rozluźniając mięśnie — odtąd, choćby chciał, nic już nie mógł zrobić. Szli w górę. Od razu dostali radiowe upomnienie za start całą mocą — bo to daje nadmierne skażenie radioaktywne. Kompania będzie obciążona dodatkową, karną opłatą. Kompania? Bardzo dobrze, niech płaci, niech ją cholera weźmie! Pirx tylko się skrzywił, nie próbował nawet spierać się z kapitanatem, że startował połową ciągu. Czy miał może lądować, wzywać komisję i żądać protokolarnego odpięczętowania zapisu w uranografach?

Zresztą w tej chwili miał na głowie coś zupełnie innego: przebijanie atmosfery. W życiu nie siedział jeszcze na statku, który się tak trząsł. Podobnie mogli się czuć chyba tylko ludzie w głowicy średniowiecznego taranu, walącego mur. Wszystko wprost skakało, latali w pasach, że dusza z nich wychodziła, grawimetr nie mógł się zdecydować, pokazywał to 3,8 to 4,9, podpełzał bezwstydnie do piątki i jak przestraszony zlatywał nagle na trzy. Zupełnie, jakby kluski mieli w wyrzutniach! Szli już całą mocą, oczywista, Pirx obiema rękami przyciskał haubę do głowy, bo inaczej nie słyszał głosu pilota w słuchawkach — tak ryczała Gwiazda! Nie był to triumfalny grzmot balistyczny. Jej walka z ziemską grawitacją przypominała pełną rozpacz agonię. Przez dobre parę minut można było myśleć, że to nie oni startują z Ziemi, ale wiszą nieruchomo, odpychając planetę całą mocą odrzutu — tak wyczuwalny był pełen męczarni wysiłek Gwiazdy! Wszystkie blachy, złącza aż zamazało w konturach od wibracji i Pirxowi wydało się, że słyszy trzaskanie puszcających szwów, ale to było złudzenie — w tym piekle nie — złowiłby nawet trąb sądu ostatecznego.

Temperatura powłoki dziobu — o, to był jedyny wskaźnik, który się nie wahał, nie cofał, nie skakał ani nie zatrzymywał, ale spokojnie laźł w górę, jakby miał przed sobą jeszcze co najmniej metr miejsca na skali, a nie same końcowe, czerwone cyfry: 2500, 2800 — zostało ledwo parę kresiek, kiedy Pirx spojrział w tę stronę. Przy tym nie mieli nawet szybkości orbitalnej, wszystko, czego się dorobili, to było 6.6 km/sek. w czternastej minucie lotu! Przeszyła go okropna myśl, jak w koszmarze, który nawiedza czasem pilotów, że w ogóle się nie oderwał, a to, co bierze za śmigające w ekranach chmury, jest po prostu parą buchającą z pękniętych rur chłodzenia! Tak źle jednak nie było: lecieli. Felczer leżał bładny jak ściana i chorował. Pirx pomyślał sobie, że z opieki lekarskiej, którą ten nad nimi roztoczy, nie będzie wielkiej, pociechy. Inżynierowie trzymali się dobrze, a Boman nawet się nie spocił — leżał sobie siwy, spokojny, szczerpy, jak chłopczyk, z zamkniętymi oczami. Spod foteli, z amortyzatorów sikał na podłogę płyn hydrauliczny, aż miło — tłoki dobiegały niemal do końca, Pirx był tylko ciekaw, co się stanie, jak naprawdę dobiją.

Ponieważ był przyzwyczajony do całkiem innego, nowoczesnego układu zegarów, wciąż głowa obracała mu się w niewłaściwą stronę, kiedy chciał skontrolować ciąg, chłodzenie, szybkość, co tam z powłoką, no i przede wszystkim, czy siedzą na synergicznej.

Pilot, z którym porozumiewał się krzykami przez interkom, trochę jakby się stracił — to

wchodzili na kurs, to wychodzili, wahnięcia naturalnie drobne, ułamkowe, ale przy przebijaniu atmosfery wystarczą, żeby zaraz jedna burta zaczęła grzać się mocniej od drugiej — w panczeru powstają wtedy kolosalne napięcia termiczne, skutki mogą być fatalne — pocieszał się tylko nadzieją, że skoro ta kosmata skorupa wytrzymała setki startów, to wytrzyma i ten.

Wskazówka termopary naprawdę doszła do końca skali: 3500 stopni jak obszył, tyle mieli na zewnątrz, i gdyby to miało trwać jeszcze dziesięć minut, wiedział, że powłoka zacznie się rozłazić — karbidki też nie są niezniszczalne. Jaki gruby pancierz? Na to nie było żadnego wskaźnika, w każdym razie —porządnie nadpalony. Robiło mu się gorąco, ale tylko z wrażliwością, bo wewnętrzny termometr stał na dwudziestu siedmiu jak przy starcie. Byli na sześćdziesiątym kilometrze, atmosfera została praktycznie pod nimi, szybkość — 7,4 km/sek. Szli trochę równiej, ale wciąż na potrójnym niemal ciężeniu. Gwiazda ruszała się jak ołowiany kloc. W żaden sposób można jej było uczciwie rozpędzić — nawet w próżni. Dla czego? Pojęcia nie miał.

Pół godziny potem leżeli już na kursie Arbitra — dopiero za tym, ostatnim z pelengujących satelitów, mieli wejść szlak ekliptyczny Ziemia—Mars. Wszyscy popodnosili się, Boman masował sobie twarz, Pirx czuł, że i jemu też obrzękły trochę wargi, zwłaszcza dolna — ludzie mieli przekrwione, strzykane oczy, suchy kaszel i chrypkę, ale to były normalne objawy, przechodzące zwykle bez śladu po jakiejś godzinie.

Stos pracował jako tako, ciąg wprawdzie nie spadł, ale i nie urósł, a w próżni powinien się był właściwie zwiększyć — jakoś nie chciał. Nawet prawa fizyki zdawały się obowiązywać tylko mniej więcej na Gwieździe. Mieli prawie normalne, ziemskie! przyspieszenie i 11 kilometrów na sekundę. Oczekiwało ich jeszcze rozpędzenie Gwiazdy do normalnej kurierskiej, inaczej bowiem wlekliby się na Marsa miesiącami; na razie szli prosto na Arbitra.

Pirx, jak każdy nawigator, oczekiwał od niego samych tylko przykrości — a to ostrzeżenia, że statek ma nieprzepisowo wielki płomień wylotowy, a to, że odbiera mu się pierwszeństwo dla przepuszczenia jakiegoś ważniejszego, a to, że wyładowania jonizacyjne w dyszach zakłócają radiowy odbiór — tymczasem nic. Arbitr przepuścił ich od razu, dogonił ich jeszcze radiogram „wysokiej próżni”, Pirx odpowiedział i na tym skończyła się wymiana kosmicznych grzeczności.

Weszli na kurs bezpośredni, Pirx kazał zwiększyć ciąg, przyspieszenie wzrosło, można już było ruszać się, rozprostować kości, wstać — radiomonter, który był i kucharzem, poszedł do kambuza. Wszyscy byli przy apetytach, zwłaszcza Pirx, który nie jadł jeszcze nic, a przy starcie spociał się jak mysz; w sterowni temperatura teraz dopiero zaczęła rosnać, bo żar rozpalonego pancierza przenikał do wnętrza z opóźnieniem. Czuć było rzadki olej, który wyciekł z hydraulików i otoczył fotele całymi kałużami.

Jądrowiec zjechał do stosu sprawdzić, czy nie ma neutronowych przecieków. Pirx rozmawiał tymczasem z elektrykiem, przyglądając się gwiazdom. Okazało się, że mają wspólnych znajomych. Pirxowi pierwszy raz od chwili, kiedy stanął na pokładzie, poczęło robić się raźniej na duszy: jaka ta Gwiazda jest, taka jest, a 19 000 ton — nie w kij dmuchał. Zresztą prowadzić takiego trupa jest znacznie trudniej niż przeciętny frachtowiec, więc i honor większy, i doświadczenie się gromadzi.

Półtora miliona kilometrów za Arbitrem przeżyli pierwszy wstrząs: obiadu nie dało się jeść. Radiomonter zawiódł straszliwie. Najbardziej pieklił się felczer — okazało się, że jest chory na żołądek, przed samym startem kupił kilka kur, dał jedną monterowi — i rosół był pełen pierza. Dla reszty miały być befsztyki — można było zajmować się nimi przez resztę życia.

— Hartowane, czy co? — powiedział drugi pilot i tak dziabnął widelcem swoją porcję, że wyskoczyła z talerza.

Monter był niewrażliwy na docinki. Poradził felczerowi, żeby sobie ten rosół precedził.

Pirx czuł, że powinien wystąpić jako rozjemca, a właściwie jako zwierzchnik, ale nie wiedział, co robić. Chciało mu się śmiać.

Po obiedzie z puszki wrócił do sterowna. Kazał zrobić pilotowi kontrolny fix gwiazdowy i wpisawszy do książki okrętowej zapisy grawimetrów, spojrzął na zegary stosu. Gwizdnął cichutko. To nie był stos, ale wulkan. Miał osiemset stopni w obudowie — po czterech godzinach lotu. Chłodziwo krążyło pod maksymalnym ciśnieniem dwudziestu atmosfer. Pirx zastanowił się. Najgorsze jak gdyby już przeszli. Lądowanie na Marsie nie stanowiło problemu — ciążenie o połowę mniejsze, atmosfera rzadka. Jakoś się uda. Inna rzecz, że ze stosem trzeba coś zrobić. Podszedł do Kalkulatora i obliczył, jak długo muszą jeszcze iść obecnym ciągiem, żeby wleźć na kurierską. Przy szybkości mniejszej od 80 km/sek. wyrobiliby olbrzymie opóźnienie.

— Jeszcze siedemdziesiąt osiem godzin — odpowiedział Kalkulator.

Siedemdziesiąt osiem takich godzin musiało rozsądzić stos. Rozleciałby się jak jajko. O tym Pirx nie wątpił. Zdecydował, że wyrobią szybkość na raty — po trochu. Tyle, że to skomplikuje trochę kurs, no i lecieć trzeba będzie okresami bez ciągu, więc bez grawitacji — co nie należy do przyjemności. Innej rady jednak nie było. Kazał pilotowi nie spuszczać oka z astrokompasu, a sam zjechał windą na dół, do reaktora. Idąc ciemnym korytarzem między ładowniami, usłyszał przygłuszony łomot — jakby po żelaznych płytach szedł pancerny zastęp.

Przyspieszył kroku. Naraz kot przeleciał mu czarną smugą pod nogami, a równocześnie gdzieś blisko huknęły drzwi. Zanim oświetlona zabrudzonymi lampami czeluść głównego korytarza otworzyła się przed nim, wszystko ucichło. Miał przed sobą pustkę poczerniałych ścian, tylko w głębi jakaś jarzeniówka drgała jeszcze od wstrząsu, który rozchybotał ją przed chwilą.

— Terminus! — krzyknął na chybił trafił. Odpowiedziało tylko echo, Zawrócił i burtowym przejściem dostał się do przedsiionka stosu. Bomana, który zjechał tu przed nim, już nie było. Wysuszone na piasek powietrze szczypało w oczy. W lejach wentylatorów buszował gorący wiatr, szum i hałas był taki, jak w parowej kotłowni. Stos, jak każdy stos, pracował bezgłośnie — wyły obciążone do ostateczności agregaty chłodzenia. Zamurowane w betonie kilometry rurociągów, którymi śmigał lodowaty płyn, wydawały przedziwne, jakby skarżące się, bełkotliwe jęki. Strzałki pomp leżały za soczewkowatymi szklami pochylone jak jedna na prawo. Pośród zegarów jaśniał jak księżyc najważniejszy — gęstości strumienia neutronów. Wskazówka dotykała niemal czerwonej granicy — widok, który każdego inspektora SPT mógł przyprawić o udar serca.

Chropawa od cementowych łat, podobna do skały betonowa ściana zionęła martwym upałem, blachy pomostu delikatnie wibrowały, wsącżając w całe jego ciało nieprzyjemne drżenie, światło lamp połyskiwało tłusto w migocących tarczach wentylatorów; jedna z sygnałowych lampek, dotąd biała, poczęła mrugać, aż zgasła i wnet zapłonął w tym miejscu czerwony sygnał. Wszedł pod pomost, gdzie mieściły się wyłączniki rozrządu, ale Boman uprzedził go już: zegarowy automat nastawiony był na rozerwanie reakcji łańcuchowej za cztery godziny. Nie ruszył go, skontrolował tylko Geigery. Cykały spokojnie. Sygnalizator wskazywał drobny przeciek — 0,3 rentgena na godzinę. Zajrzał jeszcze w ciemny kąt komory. Był pusty. — Terminus! — krzyknął. — Hej, Terminus! Nie było odpowiedzi. W klatkach białymi plamkami skakały niespokojnie myszy — widać kiepsko się czuły w iście podzwrotnikowej temperaturze. Wrócił na górę i zaryglował za sobą drzwi. Dreszcz przeszedł go w chłodnym powietrzu korytarza — koszulę miał mokrą od potu. Nie wiadomo po co zapuścił się w zwięzające się ku tyłowi, ciemnawe korytarze rufy, aż drogę zamknął mu ślepy mur. Dotknął go dłonią. Mur był ciepły. Westchnął, zawrócił, pojechał windą na czwarty pokład, do nawigacyjnej i wziął się do wykreślenia kursu. Kiedy się z tym uporał, zegar wskazywał dziewiątą. Zdziwił się, bo ani spostrzegł, jak zleciał mu czas, Zgasił światło i

wyszedł.

Wsiadając do windy poczuł, że podłoga uchodzi mu miękko spod stóp. Automat wyłączył stos zgodnie z programem.

W słabo oświetlonym nocnymi lampkami korytarzu śródokręcia miarowo szumiały wentylatory. Iskry dalekich żarówek filowały w krzyżujących się prądach powietrza. Odepchnął się lekko od drzwi windy i popłynął przed siebie. Boczna sekcja korytarza była jeszcze ciemniejsza. W niebieskawym półmroku mijał drzwi kajut, do których ani dotąd nie zajrzał. Ujścia rezerwowych włazów, oznaczone rubinowymi lampkami, otwierały swe czarne leje. Ten tak płynny, że jak gdyby śniony ruch, jakim sunął, nieważki pod zakłętymi stropami, z wielkim, nie dotykającym stopą cieniem u stóp, wiódł go coraz dalej, aż przez uchylone drzwi wpłynął do wielkiej, nie używanej mesy. Pod nim, w smudze światła, długi stół flankowały rzędy foteli. Trwał w zawieszeniu ponad sprzętami, jak nurek, zwiedzający wnętrze zatopionego okrętu. W słabo połyskujących szklach u ściany zatańczyły odbicia lamp, rozsypały się niebieskimi płomyczkami i zgasły. Za mesą otwierało się następne, jeszcze ciemniejsze pomieszczenie. Tu nawet jego przywykłe do mroku oczy zawiodły. Po omacku dotknął końcami palców elastycznej powierzchni nie wiedząc, czy to strop, czy podłoga. Odepchnął się lekko, wykręcił jak pływak i pomknął bezgłośnie dalej. W aksamitnej czerni białą, promieniując własnym światłem, podługowate, szeregiem ustawione kształty. Poczul zimno gładkiej powierzchni — to były umywalnie. Najbliższą pokrywały czarne plamy. Krew?

Wyciągnął ostrożnie rękę. To był towot.

Jeszcze jedne drzwi. Otworzył je, wisząc skośnie w powietrzu, w szarawym półmroku przefrunęły przed jego twarzą widmowym korowodem jakieś papiery, książki, i zaszeleściwszy słabo, znikły. Znów odbił się, tym razem nogami, i przez otwarte drzwi wychynął na korytarz w kłębach kurzu, który otoczył go i zamiast spaść, ciągnął za nim rudawym welonem.

Sznur nocnych świateł płonął nieruchomo. Jakby niebieska woda wypełniała pokłady. Poszybował ku wiszącej u stropu linie; pętla, gdy wypuszczał je z rąk, poczynąły wężować leniwie, jakby zbudzone dotknięciem.

Podniósł głowę. Gdzieś, niedaleko, rozległo się stukanie. Ktoś uderzał młotkiem w metal. Płynął za tym dźwiękiem, to narastającym, to ginącym, aż dostrzegł wpuszczone w podłogę zardzewiałe szyny. Kiedyś wtaczano nimi lory do głównych ładowni. Leciał teraz szybko, z podmuchem powietrza na twarzy. Dźwięk kołatał głośnie. Naraz zobaczył pod stropem rurę. Wychodziła z poprzecznego korytarza. Stary, calowy przewód

rurociągu. Dotknął go. Rura zadrgała. Uderzenia łączyły się w grupy, po dwa, po trzy. Nagle zrozumiał. To był alfabet Morsego.

— Uwaga... Trzy uderzenia.

— Uwaga...

— Uwaga... Trzy uderzenia,

— J-e-s-t-e-m-z-a-g-r-o-d-z-i-a- — dudniła rura. Odruchowo składał litery, zgłoskę po zgłosce,

— L-o-d-w-s-z-e-d-z-i-e...

— Lód? — Nie rozumiał w pierwszej chwili. Może lód? Jaki lód? Co to znaczy? Kto...

— Z-b-i-o-r-n-i-k-p-e-k-n-i-e-t-y- — odezwała się rura. Trzymał na niej dłoń. Kto to nadaje? Gdzie? Usiłował uzmysłwić sobie przebieg rurociągu. Był to nie używany przewód awaryjny, szedł z rufy, oddając odgałęzienia na wszystkich pokładach. Ktoś ćwiczy się w Morsie? Co za pomysł! Pilot?

— P-r-a-t-t-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-p-r-a-t-t... Pauza.

Pirx przestał oddychać. To nazwisko trafiło go jak cios. Jakąś sekundę patrzył rozszerzonymi oczami na przewód, naraz rzucił się naprzód. — To ten drugi pilot! —

pomyślał, dopadł zakrętu, odepchnął się i leciał ku sterowni, nabierając szybkości, a rura dzwoniła nad nim:

— W-a-y-n-e-t-u-s-i-m-o-n...

Dźwięk oddalił się. Stracił rurę z oczu; rzucił się w bok — skręcała w poprzeczny korytarz. Z impetem odbił się od ściany i poprzez obłok kurzu wpatrzył się w zgięty kikut rury z wkręconą, zardzewiałą zaślepką. Urywała się tu. Nie szła do sterowni? Więc — więc to z rufy? Ale — tam — nikogo nie ma...

— P-r-a-t-t-w-s-z-o-s-t-y-m-z-o-s-t-a-t-n-i-a — dzwoniła rura. Wisiał pod stropem, zaczepiony zgiętymi palcami o rurę, jak nietoperz, tętna waliły mu w głowie. Po krótkiej pauzie poszły dalsze uderzenia:

— B-u-t-l-a-m-a-t-r-z-y-d-z-i-e-ś-c-i-d-o-z-e-r-a... Trzy uderzenia.

— M-o-m-s-s-e-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-m-o-m-s-s-e-n... Pauza.

Rozejrzał się. Było zupełnie cicho, tylko żaluzja wentylatora kłapała za zakrętem w podmuchach powietrza i wymiatane stamtąd śmieci ciągnęły wirując ospale w górę, rzucając ponad lampami cienie na strop, jakby całymi rojami polatywały tam

wielkie, niekształtne ćmy. Naraz posypały się gwałtowne uderzenia :

— P-r-a-t-t-p-r-a-t-t-p-r-a-t-t-m-o-m-s-e-n-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a-m-a-t-l-e-n-w-s-i-o-d-m-y-m-c-z-y-m-o-z-e-s-z-p-r-z-e-j-s-e-o-d-b-l-o-r...

Pauza. Światło lamp było wciąż jednakowe, śmieci i kurz krążyły powolnymi obrotami, Chciał puścić rurę, ale nie mógł.

Czekał. Odezwała się.

— S-i-m-o-n-d-o-m-o-m-s-s-e-n-a-p-r-a-t-t-w-s-z-o-s-t-y-m-z-a-g-r-o-d-z-i-a-z-o-s-t-a-t-n-i-a-b-u-t-l-a-m-o-m-s-s-e-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-m-o-m-s-s-e-n...

Ostatnie, ciężkie uderzenie. Rura wibrowała po nim długo. Pauza. Kilkanaście niezrozumiałych stuknięć i szybka seria:

— S-l-a-b-o-d-o-c-h-o-d-z-i-s-l-a-b-o-d-o-c-h-o-d-z-i...

Cisza.

— P-r-a-t-t-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-p-r-a-t-t-o-d-b-i-o-r...

Cisza.

Rura drgnęła. Jakby z bardzo daleka dochodziły oderwane stuknięcia. Trzy kreski. Trzy kropki. Trzy kreski. SOS. Każde następne uderzenie było słabsze. Jeszcze dwie kreski. I jeszcze jedna. I przeciągły, zamierający dźwięk, jakby ktoś skrobał czy drapał rurę — można go było słyszeć tylko w tej bezwzględnej ciszy.

Odepchnął się i głową naprzód poleciał wzdłuż rury, zakręcał, gdy ona zakręcała, unosił się, opadał, z podmuchem rozstępującego się powietrza na twarzy. Otwarty szyb. Pochylnia. Zwężające się ściany. Jedne, drugie, trzecie wrota ładowni. Zrobiło się ciemniej. Wiódł końcami palców po rurze, żeby jej nie zgubić, czarny, zapiekły kurz oskorupiał mu dłonie; był już poza pokładami, w pozbawionej stropów i podłóg przestrzeni, oddzielającej pancierz zewnętrzny od ładowni; między trawersami ciemniały napuchłe cielska rezerwowych zbiorników, z wysoka docierały tu pojedyncze, pełne kurzu smugi światła. W jakiejś chwili spojrzął w górę i zobaczył poprzez czarny szyb dwie ulice lamp, rude od prochu, który ciągnął się za nim wydłużonym obłokiem, jak dym niewidzialnego pożaru. Powietrze było tu zatechłe, duszne, o woni nagrzaných blach. Szybował pośród ledwo majaczących cieni żelaznej konstrukcji, rura dzwoniła przeciągle:

— P-r-a-t-t-p-r-a-t-t-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-p-r-a-t-t... Rura rozwidliła się. Zaciskał w rękach oba odgałęzienia, żeby wyczuć, skąd biegnie dźwięk, ale nie mógł odróżnić kierunku. Na chybił trafił puścił się w lewo. Jakiś właz. Zwężający się, czarny jak smoła tunel. Na końcu — okrągłe światło. Wypadł na wolną przestrzeń. Był w przedsiionku reaktora.

— T-u-w-a-y-n-e-p-r-a-t-t-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a — dzwoniła rura, kiedy

— Plombuję przeciek. Cztery dziesiąte rentgena na godzinę. Czy mogę plombować dalej ?

— Nadawałeś Morsem. Co nadawałeś?

— Morsem — powtórzył dokładnie tym samym tonem automat i dorzucił: — Nie rozumiem. Czy — mogę plombować dalej?

— Możesz... — mruknął Pirx. Patrzył na wielkie, powoli prostujące się ręce. — Tak, możesz...

Czekał. Terminus nie widział go już. Nabrał lewą ręką cementu i cisnął go błyskawicznym ruchem. Przytwierdził — rozpląszczył — wygładził: trzy uderzenia. Teraz prawa ręka pośpieszyła ku lewej i rura zabębniła:

— P-r-a-t-t-l-e-ż-y-w-s-z-o- s-t-y-m...

— M-o-m-s-s-e-n...

— O-d-e-z-w-i-j-s-i-e-m-o-m-s-s-e-n...

— Gdzie jest Pratt?!!! — krzyknął Pirx przeraźliwie.

Terminus, którego ręce stawały się w świetle połyskliwymi smugami, odpowiedział natychmiast:

— Nie wiem.

Równocześnie wystukiwał z taką szybkością, że Pirx ledwo chwycił:

— P-r-a-t-t-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a...

W tym momencie stało się coś zdumiewającego. Na tę serię, wybijaną prawą rękawicą, nałożyła się druga, daleko słabsza — wystukiwały ją palce lewej; sygnały zmieszały się i przez kilkanaście sekund rurociąg trząsł się z hałasem podwójnego kucia, z którego wychyłała zamierająca seria:

— Z-m-n-o-w-r-e-c-e-n-i-m-o-g-j-u-z...

— Terminus... — powiedział, samymi wargami, Pirx. Cofał się ku żelaznym schodkom. Automat nie usłyszał go. Jego tors, świecący od oliwy, drgał zgodnie z rytmem pracy. Nawet nie słuchając, z samych jego błysnięć mógł Pirx odczytać:

— M-o-m-s-s-e-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e...

III

Leżał na wznak. Ciemność roiała się od błysków, powstających w jego oczach. Pratt szedł w głąb statku. Tak? Kończył mu się tlen. Tamci dwaj nie mogli mu pomóc. A Momssen? Dlaczego nie odpowiadał? Może nie żył już? Nie, Simon słyszał go. Musiał być gdzieś blisko — o ścianę. O ścianę? To by znaczyło, że pomieszczenie, w którym był Momssen, zawierało powietrze. Inaczej tamten nic by nie słyszał. Co słyszał? Kroki? Dlaczego wzywali go? Dlaczego się nie odzywał?

Rozdzielone na kropki i kreski głosy agonii. Terminus. Jak to się stało? Odnaleziono go pod stosem zwalisk, na dnie komory. Zapewne w miejscu, gdzie rurociąg wychodzi z niej na zewnątrz. Zasypany rumowiskiem, mógł słyszeć stukanie — jak długo? Zapasy tlenu są znaczne. Mogą wystarczyć na miesiące. Żywność też. A więc spoczywał tam, pod gruzami... zarazi Nie było przecież ciężenia. Co go unieruchomiło? Chyba zimno. Automaty nie mogą poruszać się przy bardzo niskiej temperaturze. Olej ścina się w stawach. Płyn hydrauliczny zamarza i rozsadza przewody. Pozostaje tylko metalowy mózg — tylko mózg. Mógł słyszeć i utrwalac sygnały, coraz słabsze, zachowały się w elektrycznych zwojach jego pamięci, jakby to było wczoraj. A on sam o tym nie wie? Jak to może być? Nie wie, że modelują rytm jego pracy? Może kłamie? Nie — automaty nie kłamią.

Zmęczenie zalewało go jak czarna woda. Może nie należało tego słuchać? Było w tym coś ohydneho, tak przypatrywać się utrwalonej w każdym szczególe agonii, śledzić jej postępy, żeby analizować potem każdy sygnał, wołanie o tlen, krzyk. Nie wolno tego robić — jeśli nie można pomóc. Był już tak nieprzytomny, że nie wiedział, o czym myśli, ale powtarzał jeszcze wargami, bez głosu, jakby sprzeciwiając się komuś:

— Nie. Nie. Nie.

Potem nie było już nic.

Zerwał się w zupełnej ciemności. Chciał usiąść na łóżku, ale przypięta kołdra nie puściła, po omacku mocował się z pasami, zrobił światło.

Silniki pracowały. Narzucił płaszcz, oceniając jednocześnie kilkakrotnym ugięciem kolan wielkość przyspieszenia. Jego ciało ważyło dobrze ponad sto kilogramów. Z półtora g? Rakieta skręcała, czuł wyraźną wibrację, szafy w ścianach potrząskiwały przeciągle, ostrzegawczo, drzwi jednej otwały się z gniewnym krakaniem, wszystkie nie umocowane przedmioty, ubranie, buciki, posuwały się drobnymi ruchami w stronę rufy, jakby zjednoczone w jakimś skrytym zamiarze, który je znienacka ożywił.

Podszedł do szafki interkomu, otworzył drzwiczki, w środku stał aparat, podobny do starego telefonu.

— Sterownia! — krzyknął do słuchawki.

Aż skrzywił się od własnego głosu — tak bolała go głowa.

— Tu pierwszy. Co tam?

— Poprawka kursowa, nawigatorze — odpowiedział daleki głos pilota. — Zniosło nas trochę.

— Ile?

— Sze–siedem sekund.

— Jak stos? — zapytał powoli.

— Sześćset dwadzieścia w osłonie.

— A w ładowniach?

— Burtowe po pięćdziesiąt dwa. kilowe — czterdzieści siedem, rufowe — dwadzieścia dziewięć i pięćdziesiąt pięć.

— Jakie tam było odchylenie, Munro? Ile pan powiedział?

— Siedem sekund.

— Powiedzmy — odparł Pirx i rzucił słuchawkę. Pilot, oczywiście, ołgał go. Siedmiosekundowa poprawka nie wymagałaby takich przyspieszeń. Oceniał zejście z kursu na kilka stopni.

Paskudnie grzeją się te ładownie. Co jest w rufowej? Żywność? Usiadł przy biurku.

Błękitna Gwiazda Terra Mars do Kompo Ziemia. Pierwszy do armatora. Reaktor grzeje ładunek stop brak specyfikacji zagrożonego na rufie stop proszę wskazania stop nawigator Pirx koniec.

Pisał jeszcze, kiedy silniki umilkły, ciężenie znikło i od nacisku ołówka uniósł się w powietrze. Niecierpliwie odbił się od sufitu, by wylądowawszy z powrotem na fotelu, przeczytać jeszcze raz radiogram.

Po zastanowieniu się przedarł formularz i wrzucił kawałki do szuflady. Senność odeszła go na dobre, pozostał tylko ból głowy. Ubierać się nie chciał, była to, przy braku grawitacji, skomplikowana procedura, złożona z chwiejnych podskoków i szamotania się z poszczególnymi częściami garderoby, więc tak, jak stał, w płaszczu narzuconym na pidżamę, opuścił kajutę.

Błękit nocnego oświetlenia skrywał żalostny stan obić. W czterech najbliższych wnękach dyszały puste i czarne wyloty szybów wentylacyjnych, wałęsające się po kątach śmieci ścigało ku nim, niczym muł unoszony podmorskim prądem. Bezwzględna cisza wypełniała cały statek. Wsłuchany w nią, prawie nie poruszając się, zawisły przed wielkim własnym cieniem, który trwał skośnie pochylony na ścianie, przymknął oczy. Zdarzało się czasem, że ludzie zasypiali w takim zawieszeniu, ale było to niebezpieczne — byle zryw silników, uruchomionych dla manewru, mógł cisnąć bezbronnym o pokład czy strop. Nie słyszał już ani wentylatorów, ani szumu własnej krwi. Wydało mu się, że potrafiłby tę ciszę nocną statku odróżnić od każdej innej. Na ziemi czuło się ograniczenie ciszy, jej skończoność, chwilowość. Wśród księżycowych wydm człowiek niósł z sobą własne, małe milczenie, uwięzione we wnętrzu skafandra, który wyolbrzymiał każde skrzypnięcie rzemieni nośnych, każde chrupnięcie stawów, tętno, nawet oddech — tylko statek nocą zatracił się w czarnym, lodowym milczeniu. Podniósł zegarek do oczu; dochodziła trzecia. Jeżeli tak dalej pójdzie, wykończę się — pomyślał. Odbił się od wypukłej ścianki działowej i niczym gaszący szybkość ptak wylądował z rozpostartymi rękami na progu kajuty. Z daleka, jakby z żelaznych podziemi, dobiegł go ledwo słyszalny dźwięk.

Bang — bang — bang.

Trzy uderzenia.

Z przekleństwem zatrzasnął drzwi, zdjął płaszcz, i nie troszcząc się on, cisnął go w powietrze; płaszcz wydał się powoli, niczym groteskowe widmo, jał płynąć w górę. Zgasił światło, położył się i okrył głowę poduszką.

Wariat! Przeklęty żelazny wariat!!! — powtarzał z zaciśniętymi powiekami, drżąc z niezrozumiałej dla samego siebie wściekłości. Zmęczenie wzięło szybko górę: ani wiedział, kiedy

znów zasnął.

Otworzył oczy przed siódmą. Półprzytomny jeszcze, podniósł rękę — nie opadła. Ciężenia nie było. Ubrał się i wyszedł. Zmierzając do sterowni, mimo woli nasłuchiwał. Było cicho. Przed drzwiami zatrzymał się. Na matowych szybach leżały zielonkawe, jakby podwodne, refleksy radarowych ekranów. W środku panował półmrok. Pilot, na wpół leżąc w swoim fotelu, palił papierosa. Płaskie smugi dymu pływały przed ekranami, zapalając się od ich odbłasku. Słysząc było nikłe pobrzękiwanie jakiejś ziemskiej muzyczki, przerywane kosmicznymi trzaskami. Pirx usiadł z tyłu za pilotem; nie chciało mu się nawet sprawdzić zapisów grawimetrycznych.

— Kiedy ciąg? — spytał. Pilot był domyślny.

— O ósmej. Ale jeżeli pan się chce wykapać, nawigatorze, mogę dać zaraz — to żadna

różnica.

— E, nie. Niech już będzie porządek — mruknął Pirx. Zapadło milczenie, tylko głośnik bzyczał powtarzającym się w kółko, mechanicznym motywem melodii. Pirxa jął znowu morzyć sen. Ocykał się kilka razy, znowu zapadał w drzemkę, z ciemności występowały wielkie, zielone ślepie kotów, mrugał powiekami, zamieniały się w oświetlone zegary — balansował tak na granicy jawy i snu, wtem głośnik trzasnął i odezwał się:

— Tu mówi Dejmos. Jest godzina siódma trzydzieści. Nadajemy codzienny komunikat meteorytowy dla strefy wewnętrznej. Pod wpływem pola grawitacyjnego Marsa powstało w roju Drakonidów, który opuścił już strefę Pasa, za wicherzenie brzeżne. W dniu dzisiejszym będzie ono przechodzić przez sektory 83, 84 i 87. Stacja meteorytowa Marsa szacuje rozmiary chmury na 400 tysięcy kilometrów sześciennych. W związku z tym ogłasza się sektory 83, 84 i 87 za zamknięte dla żeglugi aż do odwołania. Obecnie podamy skład chmury, przekazany bezpośrednio przez sondy balistyczne Fobosa. Według otrzymanego ostatnio doniesienia chmurę tworzą mikrometeoryty klasy X, XY, Z...

— Dobrze, że to nie dla nas — zauważył pilot — dopiero co zjadłem śniadanie, nie posłużyłoby mi, jakby tak przyszło dać wszystko w dysze!

— Ile robimy? — spytał Pirx, Wstał.

— Ponad pięćdziesiąt.

— Tak? Nie najgorzej — mruknął Pirx. Sprawdził kurs, zapisy uranografów, wielkość przecieku — utrzymywał się na jednakowym poziomie — i poszedł do mesy. Byli tam już obaj j oficerowie. Pirx czekał, czy któryś nie wspomni o nocnych hałasach, ale rozmowa obracała się cały czas wokół loteryjnego ciągnięcia — niecierpliwie wyczekiwał go Sims i z tej racji opowiadał o kolegach i znajomych, którym udało się wygrać.

Po śniadaniu Pirx udał się do nawigacyjnej nakreślić przebyty odcinek drogi. W pewnej chwili wbił cyrkle w rysownicę, wyszarpnął szufladę, dobył z niej książkę okrętową i poszukał składu ostatniej załogi KORIOLANA.

Oficerowie: Pratt i Wayne, piloci: Nolan i Potter mechanicz: Simon...

Wpatrywał się uporczywie w zamaszyste pismo dowódcy. Na koniec wrzucił książkę do szuflady, dokończył kreślenia i z rulonem kalki pojechał do sterowni. W pół godziny obliczył dokładny czas przybycia na Marsa. Wracając, zajrzał przez szybę w drzwiach do mesy. Oficerowie grali w szachy, felczer siedział przed telewizorem z elektryczną grzałką na brzuchu. Pirx zamknął się w kajucie i przejrzał radiogramy, które wzięł od pilota. Ani się obejrzał, jak zmorzył go sen. Kilka razy w drzemce zdawało mu się, że silniki zaczynają ciągnąć, i usiłował się obudzić z takim skutkiem, że śnił, jak wstaje, idzie do sterowni, znajduje ją pustą i w poszukiwaniu kogokolwiek z załogi poczyna błądzić w ciemnym jak smoła labiryncie rufowych korytarzy. Ocknął się przy biurku, mokry od potu. zły, bo przeczuwał już, jaką będzie miał noc po tylu przespanych za dnia godzinach. Kiedy pod wieczór pilot włączył silniki, skorzystał z tego i wzięł gorącą kąpiel. Odświeżony, poszedł do mesy, wypił przygotowaną kawę i spytał przez telefon wachtowego o temperaturę reaktora. Podpełzała pod tysiąc, ale jakoś nie mogła przekroczyć krytycznej. Około dziesiątej wezwała go sterownia — mijali jakiś statek, który wywołał ich, pytając o lekarza. Pirx, dowiedziawszy się, że chodzi o ostry atak ślepej kiszki na pokładzie, wołał nie polecać swego felczera, tym bardziej że w odległości ledwo trzech milionów kilometrów szedł wielki pasażerski, który ogłosił gotowość zastopowania i przerzucenia lekarzy.

I tak leniwie, bez przygód, upłynął cały dzień. O jedenastej białe światło zmieniło na wszystkich pokładach, z wyjątkiem sterowni i komory stosu, mżenie błękitnawych lampek nocnych. W mesie świeciła jeszcze niemal do północy mała lampa nad szachownicą. Siedział tam Sims. Grał sam przeciw sobie. Pirx poszedł jeszcze sprawdzić temperaturę w dennych ładowniach i spotkał po drodze wracającego ze stosu Bomana. Inżynier był raczej dobrej myśli — przeciek nie wzrastał, a chłodzenie działało wcale sprawnie.

Inżynier pożegnał się i odszedł, zostawiwszy Pirxa w pustym, chłodnym korytarzu. Słaby wiew ciągnął w górę statku, resztki zakurzonych pajęczyn osnuwających wyloty wentylacyjne trzepotały bezgłośnie.

Pinc chodził jakiś czas wysokim jak nawa kościelna przejściem między głównymi ładowniami, aż kilka minut po północy silniki zamilkły.

Z różnych stron statku dobiegła go seria zmieszanych, ostrych i stłumionych, coraz dalszych i słabszych odgłosów — to nie przymocowane przedmioty, poruszając się z nadanym przyspieszeniem, uderzały o ściany, stropy, podłogi; echo tych ruchów, które na moment wypełniły nagle jakby ożywający statek, drżało chwilę w powietrzu, aż zgasło i znowu była cisza, podkreślona miarowym szumem wentylatorów.

Pirx przypomniał sobie, że szuflada biurka w nawigacyjnym jest spaczona, i w poszukiwaniu stolarskiego dłuta zeszedł długim, wąskim jak kiszka korytarzem między lewoburtową ładownią a tunelem kablowym do rupieciarni, najbardziej chyba zakurzonego miejsca statku; na dodatek kurz, w którym brodził wyżej głowy, nie opadał, tak że na pół uduszony ledwo trafił po omacku w wyjściowe drzwi.

Był już blisko śródkręcia, kiedy w korytarzu odezwały się kroki. Wobec braku ciężenia iść mógł tylko automat. W samej rzeczy donośnym stąpnięciem towarzyszył trzask przywierających do podłogi magnetycznych ssawek. Pirx zaczekał, aż w przejściu ukazała się czarna na tle dalekich świateł sylweta. Terminus szedł, chwiejąc się niepewnie, z wielkimi wymachami ramion.

— Hej. Terminus! — odezwał się, wychodząc z cienia.

— Słucham.

Ciężka postać zatrzymała się; korpus poszedł bezwładnością do przodu i powoli odzyskał pion.

— Co tu robisz?

— Myszy — odpowiedział głos zza piersiowej tarczy potęgując wrażenie, że z wnętrza pierściennej zbroi przemawia zachrypnięty karzeł. — Myszy mają niespokojny sen. Budzą się. Biegają. Są spragnione. Jeżeli są spragnione, trzeba im dać wody. Myszy dużo piją, jeżeli wysoka temperatura.

— A co ty robisz? — zagadnął Pirx. Automat zakołysał się.

— Wysoka temperatura. Chodzę. Wciąż chodzę, jeżeli wysoka temperatura. Wody myszom. Jeżeli wypiją i usną, dobrze.

Niejednokrotnie wydarzały się pomyłki na skutek wysokiej temperatury. Czuwam. Wychodzę, wracam do reaktora. Wody myszom...

— Niesiesz wodę myszom? — spytał Pirx.

— Tak. Terminus.

— Gdzie masz tę wodę?

Automat powtórzył jeszcze dwa razy „wysoka temperatura” i z ludzającym wrażeniem, że działa w nim ukryty człowiek — bo wykonał obu rękami gest zaskoczenia, szybki i nieporadny zarazem, podnosząc je kolejno do oczu, których obiektywy poruszyły się w oczodołowej oprawie, skierowane na wnętrze metalowych dłoni — powiedział:

— Nie ma wody. Terminus.

— Więc gdzie jest ta woda? — nalegał Pirx. Spod przymrużonych powiek obserwował górującego nad nim o głowę robota, który wydał kilka niezrozumiałych odgłosów i nieoczekiwanie wyrzekł basem:

— Za... pomniałem.

Pirx stracił się — tak bezbrinnie to zabrzmiało. Przez dobrą chwilę mierzył chwiejający się lekko korpus.

— Zapomniałeś, co? Idź do reaktora. Wracaj. Słyszysz?!

— Słucham.

Terminus zachrząścił. wykonał zwrot na miejscu i jał oddalać się tym samym, nadmiernie sztywnym ł przez to jakby starczym krokiem. Małał w perspektywie korytarza. Na jednym z ostatnich progów potknął się. zawiosłował ciężko barami, chwycił równowagę i znikł w poprzecznym przejściu. Jakaś chwilę ściany powtarzały echo jego marszu. Pirx zaczął wracać do siebie, naraz rozmyślił się i płynąc bezszelestnie nad podłogą, dotarł do szóstego wentylacyjnego. Poruszanie się szybami, nawet przy wyłączonych silnikach, było zabronione, ale zlekceważył zakaz. Odepchnął się silnie od relingów i w dziesięć sekund przesybował odległość siedmiu pięter, dzielącą śródkręcie od rufy. Nie wszedł do komory stosu. W połowie wysokości ściany widniała podłużna zasowa. Podpłynął ku mej. odryglował wąskie drzwiczki i odsunął je. Za drzwiczkami znajdowało się wpasowane w stal. prostokątne okienko z ołowiowego szkła. stanowiące tylną ścianę klatek z myszami. Dzięki temu można je było obserwować, nie wchodząc do komory. Zobaczył, tuż za szkłem, zanieczyszczone, puste dna klatek, a dalej, poprzez druciane siatki, w głębi komory, oświetlone z wysoka lampą. błyszczące reflektorami, złane wodą plecy robota, który wisiał niemal poziomo w powietrzu, ospale poruszając rękami. Całą jego zbroję oblażyły białe myszki; biegając truchcikiem po blachach naramienników, piersiowych tarcz, skupiając się tam. gdzie w zakłęśnościach rozczłonkowanego brzucha nagromadziła się grubymi kroplami woda. zlizywały ją. podskakiwały, polatywały w powietrzu, a Terminus łowił je, przemykały mu między żelaznymi palcami, ich ogonki zwijały się w esy i floresy — obraz był tak osobliwy, tak komiczny, że Pirxowi zachciało się śmiać. Terminus wtykał tymczasem schwyttane myszy do klatek, jego metalowa twarz niebezpiecznie zbliżyła się do oczu Pirxa, ale najwidoczniej nie dostrzegł go. Jeszcze dwie, trzy myszki polatywały w powietrzu. Terminus uporał się i z nimi, zamknął klatkę i znikł Pirxowi z oczu — tylko jego nadludzki cień, oparty o mufę głównego rurociągu, rozwianym krzyżem położył się na betonie reaktora.

Pirx zasunął cicho drzwiczki, wrócił do kajuty, rozebrał się i położył, ale nie mógł usnąć. Jakiś czas czytał pamiętniki astrogatora Irvinga, ale oczy piekły go, jak zasypane piaskiem, głowa ciążyła, zarazem jednak trzeźwy był jak pieprz. Pomyślał z rozpaczą o ilości godzin, dzielących go od dnia, i narzuciwszy płaszcz wyszedł.

Na skrzyżowaniu głównego korytarza z burtowym dobiegło go z wentylacyjnego szybu stąpanie. Przybliżył głowę do kraty otworu. Odgłos, zniekształcony echem żelaznej studni, płynął z dołu. Odepchnął się od kraty, szybując chwilę nogami naprzód, i najbliższym pionowym przejściem dostał się na poziom rufy. Kroki rozebrzmiały głośniejsz, zamarły, nasłuchiwał — odezwały się z nową siłą. Automat wracał. Pirx oczekiwał go pod samym stropem wysokiego w tym miejscu korytarza. W głębi pokładu zgrzytały powłócone podeszwy. Dźwięk zgasł. Tracił już cierpliwość, gdy stąpanie ponowiło się, z przejścia wychynął długi cień i w ślad za nim ukazał się Terminus. Przeszedł pod Pirxem tak blisko, że słyhać było bicie jego hydraulicznego serca. Kilkanaście kroków dalej przystanął i wydał przeciągły syk. Potem chybnął się parę razy w prawo i w lewo. jakby kłaniał się żelaznym ścianom, i ruszył przed siebie. U ciemnego wejścia w boczny korytarz znowu stanął. Zajrzał tam. Przeciągłe syczenie powtórzyło się. Pirx, ledwo dotykając końcami palców stropu, popłynął za ciężką postacią.

— Kcsss... kcsss... — dochodziło go coraz wyraźniej. Terminus jeszcze raz przystanął przed następnym szybem wentylacyjnym, usiłował wsadzić głowę przez kraty, ale nie udało mu się; zasyczał, wyprostował się wolno i pokuśtykał dalej. Pirx miał tego dość.

— Terminus!! — krzyknął, Automat, który właśnie się pochylał, zastygł w pół ruchu.

— Słucham — odpowiedział. — Co znowu tu robisz?

Patrzył w spłaszczoną metalową maskę, chociaż nie była twarzą — i nie mogła nic zdradzić.

— Szukam... — odezwał się Terminus. — Szukam... kota.

— Co?!

Terminus jął się prostować. Rósł w górę, z bezwładnie zwisającymi ramionami, jakby o nich zapomniał, a przez to, że w słabym poskrzypywaniu stawów robił to tak wolno, ruch ten miał w sobie coś groźnego.

— Szukam kota — powtórzył.

— Po co?!

Terminus milczał chwilę, zastygł w posąg z metalu.

— Nie wiem — powiedział cicho i Pirx zmieszał się. Przez swój martwy spokój, w słabym blasku lamp, z pordzewiałymi szynami torowiska u zamkniętych wrót, korytarz wyglądał jak sztolnia opuszczonej kopalni.

— Dostyc tego — odezwał się wreszcie. — Wracaj do reaktora i nie wychodź stamtąd, słyszysz?!

— Słucham.

Terminus odwrócił się i odszedł. Pirx został sam. Prąd powietrza unosił go, zawisłego między stropem i podłogą, milimetr po milimetrze, w stronę otwartej paszczy wentylatora. Odbił się stopą od ścian, skręcił ku windzie i poszybował w górę, mijając po drodze czarne ziewy szybów, w których, jak chód olbrzymiego zegara, dudniły coraz słabsze i dalsze kroki automatu.

IV

W ciągu następnych dni pochłonęła Pirxa matematyka. Za każdym nowym włączeniem stos grzał się coraz bardziej, zarazem jego wydajność malała. Boman przypuszczał, że neutronowe lustra są bliskie ruiny. Świadczył o tym wzrastający wolno, lecz nieubłaganie przeciek radioaktywny. Skomplikowanym rachunkiem starał się wydozować czasy napędu i chłodzenia, podczas przestojów reaktora przerzucał cyrkulację mrożącego płynu z burtowych ładowni w głąb rufowych, gdzie panowała istic tropikalna temperatura. To lawirowanie między sprzecznymi wielkościami wymagało cierpliwości — przesiadywał przy Kalkulatorze, szukając metodą prób i błędów najlepszego rozwiązania. W rezultacie przebyli czterdzieści trzy miliony kilometrów ze znikomym opóźnieniem. W piątym dniu podróży osiągnęli, na przekór pesymistycznym przewidywaniom Bomana, wymagany pułap szybkości. Wyłączając reaktor, który miał stygnąć aż do ładowania, Pirx odetchnął skrycie. Jedną z osobliwości dowodzenia starym frachtowcem było to, że widywał gwiazdy daleko rzadziej aniżeli na Ziemi. Nie był ich zresztą ciekaw — nawet czerwonej jak miedziak tarczki Marsa; wystarczyły mu kursowe wykresy.

Późnym wieczorem ostatniego dnia podróży, kiedy przerywana z rzadka błękitnymi lampkami ciemność powiększyła jak gdyby pokłady, przypomniał sobie o ładowniach. Dotychczas nawet do nich nie zajrzał.

Opuścił mesę, w której Sims grał, jak co dzień, w szachy z Bomanem, i zjechał windą na rufę. Od ostatniego spotkania nie widział ani nie słyszał Terminusa. Zauważył tylko, że kot przepadł gdzieś tak gruntownie, jakby go w ogóle nie było na statku.

Ledwo oświetlone śródkręcie oddychało szelestem płynącego bez końca powietrza. Gdy otworzył drzwi, w hali zapaliły się pod grubą warstwą kurzu lampy. Przemierzył ładownię z jednego końca w drugi. Sterty skrzyń, sięgające niemal stropu, rozdzielało wąskie przejście. Sprawdzał napięcie stalowych taśm, zakotwiczonych w podłodze, którymi ściągnięta była każda piramida ładunku, a wywołany otwarciem drzwi przeciąg wysysał z ciemnych katów kłęby trocin, śmieci, pakuły, falujące słabo, niby kozuch rzęsy na wodzie.

Był już na korytarzu, kiedy usłyszał miarowe, powolne dźwięki.

— Uwaga... Trzy uderzenia.

Dryfował chwilę w prądzie powietrza, który unosił go coraz wyżej. Czy chciał, czy nie chciał — musiał słuchać. Rozmawiało ich dwóch. Sygnały były słabe — jakby oszczędzali się, miarkując siłę uderzeń. Przychodziły raz wolniej, raz szybciej, jeden mylił się często, jakby zapomniał alfabetu Morsego. Czasem milczeli dłuższy czas, czasem zaczynali nadawać równocześnie. Czarny korytarz z rozrzuconymi rzadko lampami zdawał się nie mieć końca, jakby szumiący w nim wiatr pochodził z bezgranicznej pustki.

— S-i-m-o-n-s-l-y-s-z-y-s-z-g-o — powoli, nieregularnie stukało w rurze.

— N-i-e-s-l-y-s-z-e ————— n-i-e-s-l-y-s-z-e...

Z pasją odepchnął się od ściany i skulony, z podkurczonymi nogami, jak kamień pomknął w dół korytarzami coraz gorzej oświetlonymi; zbliżanie się rufy poznawał po rosnącej ilości delikatnego rudawego pyłu wokół lamp. Ciężkie drzwi stosu były nie domknięte. Zajrzał do środka.

W komorze było chłodno. Sprężarki, odstawione na noc, milczały, czasem tylko dziwnym, prawie ludzkim głosem zabelkotał ukryty w betonowym murze rurociąg, kiedy bańki gazu torowały sobie drogę przez gęstniejący płyn.

Terminus, ochlapany cementem, pracował. Nad jego poruszającą się wahadłowo czaszką furczał zawzięcie wentylator. Pirx, nie dotykając stopni schodów, zsunął się nad nimi z ręką na poręczy. Żelazne rękawice podzwiękiwały słabo, ich ciosy tłumiała warstwa świeżo narzuconego cementu. — N-i-e-s-l-y-s-z-e... o-d-b-i-o-r...

Czy sprawiał to przypadek, czy też nakaz spowolnienia uderzeń płynął z tego samego źródła, które wysyłało znaki Morsego, dość że rura odzywała się wciąż słabiej. Pirx stał tuż przy automacie. Rozczłonkowane segmenty jego brzucha, zachodzące na siebie, gdy się pochylał, przypominały karbowany odwłok owada. W szklanych oczach chwiały się miniaturowe odbicia lamp. Wpatrzony w nie Pirx poczuł, że jest w tej pustej komorze o stromych ścianach sam. Terminus nie wiedział, co robi, był maszyna, przekazująca utrwalone serie dźwięków, niczym więcej. Uderzenia wciąż słabły.

— S-i-m-o-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e — chwycił z wysiłkiem. Rytm rozpadał się. Dotknął rury jakies pół metra nad zgiętym torsem pracującego automatu — kiedy poprawiał chwyt, kostki palców stuknęły o żelazo i nadawana właśnie seria urwała się na mgnienie. Przeszyty nagłym impulsem, nim zdążył pomyśleć, jak szalona jest chęć wtrącenia się do rozmowy sprzed lat, począł szybko wybijać:

— C-z-e-m-u-m-o-m-s-s-e-n-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a... o-d-b-i-o-r...

Niemal w tej samej chwili, gdy uderzył pierwszy raz w rurę, stuknął w nią Terminus. Oba dźwięki zbiegły się, rękawica automatu zamarła, jakby usłyszawszy go, i kiedy skończył, po kilku sekundach zaczęła wtłaczać cement w szpary złącza. Rura zadźwięczała:

— B-o-m-a-p-r-a...

Pauza. Terminus schylił się, by zaczerpnąć cementowego ciasta. Czy to był początek odpowiedzi? Pirx czekał bez tchu. Automat prostował się, ciskając gwałtownie cement, i rurą poszły przyspieszające uderzenia:

— S-i-m-o-n-c-z-y-t-o-t-y...

— T-u-s-i-m-o-n-n-i-e-j-a... k-t-o-m-o-w-i-l... k-t-o-m-o-w-i-l...

Wcisnął głowę w ramiona; uderzenia leciały jak grad:

— K-t-o-m-o-w-i-l-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-k-t-o-m-o-w... k-t-o-m-o-w-i-l... k-t-o-m-o-w-i-l-k-t-o-m-o-w-i-l-t-u-s-i-m-o-n-t-u-w-a-y-n-e-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e...

— Terminus! — krzyknął. — Przestań! Przestań!

Dudnienie ustało. Terminus prostował się, a jego naramienniki, barki, rękawice podrygiwały, cały korpus drgał żelazną czkawką, i z tych spazmatycznych wstrząsów Pirx odczytywał dalej:

— K-t-o-m-o-w-i-l... k-t-o... k-t-o...

— Przestań!!! — krzyknął raz jeszcze. Widział go z boku; ciężkie plecy przeszywał dreszcz, i refleks światła, odbitego od pancerza, powtarzał:

— K-t-o...

Jak gdyby wyczerpany burzą, która przez niego przeszła, automat drętwiał. Unosząc się nad podłogą, zawadził z przeciągłym zgrzytnięciem o pozioma gałąź rurociągu i zawisł przy niej, jakby schwyty, w martwym spokoju, ale wpatrzywszy się weń. Pirx dostrzegł milimetrowe drganie bezwładnie opuszczonej ręki.

— K-t-o...

Nie wiedział, jak znalazł się na korytarzu. Wentylatory szumiały. Płynął przed siebie, pod idący z górnych pokładów, chłodny, suchy wiatr, światła lamp oświetlającymi kręgami przesuwają mu się po twarzy.

Drzwi kajuty były nie domknięte. Na biurku paliła się lampa, płaskie kliny światła docierały dołem do ścian; strop był ciemny.

Kto to był? Kto go tak wołał? Simon? Wayne? Ależ ich nie było! Nie żyli od dziewiętnastu lat!

Więc kto to był — Terminus? Ależ on uszczelniał tylko rurociągi. Wiedział dobrze, co usłyszysz, jeśli spróbuje go badać — gadaninę o rentgenach, przecieku i plombach. Nie podejrzewa nawet, że odgłos jego pracy układa się w widmowy rytm.

Jedno jest pewne: ten zapis — jeśli to zapis — nie jest martwy. Kimkolwiek są ci ludzie —

te głosy, te uderzenia — można z nimi mówić. Jeśli się tylko ma odwagę...

Odepchnął się od stropu i przepłynął chwiejnie do przeciwległej ściany. Do diabła! Chciało mu się chodzić, chodzić gwałtownymi krokami, mieć ciężar, uderzyć z całej siły pięścią w stół! Ten, pozornie tak wygodny stan, w którym przedmioty i własne ciało zmieniały się w niematerialne cienie, był jak koszmar. Wszystko, czego się tknął, usuwało się, odpływało, niepewne, pozbawione oparcia, stawało się wydętą pustką, pozorem, snem...

Snem?

Zaraz. Kiedy śni mi się ktoś i zadaje mu pytanie, nie znam odpowiedzi, dopóki nie padnie z jego ust. a przecież ten śniony człowiek nie istnieje poza moim mózgiem i jest tylko czasowo wyodrębnioną jego częścią. Każdy rozszczepia się tak niemal co dzień, a właściwie co nocy — dając początek chwilowym, na użytek jednego majaku powstałym pseudoosobowościom. Mogą to być istoty wymyślone — albo wzięte z jawy. Czy nie śnią nam się nieraz umarli? Czy nie prowadzimy z nimi rozmów?

Umarli.

Czyżby Terminus...

W swoim na pół świadomym krążeniu po kajucie, przepływając od jednej ściany do drugiej, odtrącany od twardych płaszczyzn, dotarł do drzwi i chwycił się ich. Widział ciemny wycinek korytarza z padającą w tę ciemność smugą światła.

Wrócić tam?

Wrócić i — pytać?

Jest to jakieś zjawisko fizykalne — bardziej skomplikowane od zwykłego zapisu; automat nie jest, w końcu, urządzeniem do utrwalania dźwięków. Powstał w nim zapis, obdarzony pewną autonomicznością, zmiennością, któremu — jakkolwiek brzmi to dziwnie — można stawiać pytania i dowiedzieć się — wszystkiego. Poznać losy Simona, Nolana, Pottera i to niezrozumiałe, przerażające — milczenie dowódcy.

Czy można wyobrazić sobie jakieś inne wytłumaczenie?

Chyba nie.

Był tego pewien, a jednak nie ruszał się z miejsca, jakby na coś czekał.

Koniec końców, nie ma w tym nic oprócz obiegu prądów wewnątrz żelaznego pudła. Nikogo żywego, żadnej istoty, ginącej w ciemności strzaskanego statku. Na pewno nic!

Wystukiwać, pod szklanymi oczami Terminusa, pytania? Ależ oni, zamiast wziąć się do składowego opowiadania swojej historii, zaczną krzyczeć do niego, wołać o tlen, o ratunek! Co odpowiedzieć? Że nie istnieją? Że są tylko „pseudoosobowosciami—mi”, wyizolowanymi wyspami elektrycznego mózgu, jego majaczeniem, jego czkawką? Że ich strach jest tylko imitacją strachu, a ich agonie, powtarzana każdej nocy, znaczy tyle, co zdarta płyta? Pamiętał jeszcze wywołany swym pytaniem gwałtowny zryw uderzeń, ten krzyk, którym, pełni zdumienia i zbudzonej nieoczekiwanej nadziei, przyzywali go, to powtarzające się bez końca, natarczywe, pospieszne błaganie: „Odezwij się! Kto mówi? Odezwij się!!!”

Miał jeszcze w uszach, czuł w końcach palców rozpacz i furję tych uderzeń.

Nie istnieli? A więc kto go wzywał — kto wołał pomocy? I co z tego, gdyby fachowcy powiedzieli, że za tym krzykiem nie ma nic oprócz wirowania ładunków i drżenia zbudzonych rezonansem blach? Usiadł przy biurku. Wysunął szufladę. Przydusił gniewnie wstające z szelestem papiery, odnalazł ten, którego szukał, rozpostarł go przed sobą i wygładził starannie, by nie fruwał w oddechu. Wpisywał kolejno w drukowane rubryki:

MODEL: *AST — Pm — 105/OO44*

TYP: *Uniwersalny Naprawczy*

NAZWA: *Terminus*

RODZAJ USZKODZENIA: *Rozpad funkcji*

WNIOSKI... Zawahał się. Przybliżył pióro do papieru i cofał je. Myślał o niewinności maszyn, które człowiek obdarzył zdolnością myślenia i uczynił je przez to uczestnikami

swych szaleństw. O tym, że mit Golema, maszyny zbuntowanej i powstającej przeciw człowiekowi, jest kłamstwem, wymyślonym po to, żeby ci, co niosą za wszystko odpowiedzialność, mogli ją z siebie zrzucić.

WNIOSKI: *Zdać na złom.*

I u dołu karty podpisał się z nieruchomą twarzą:

Pierwszy nawigator Pirx.

ODRUCH WARUNKOWY

Zdarzyło się to no czwartym roku, przed samymi wakacjami. Pirx, który przeszedł już wszystkie ćwiczenia praktyczne, miał zaliczone loty na symulatorach i dwa prawdziwe oraz „samodzielne kółko” to znaczy lot na Księżyc z lądowaniem i powrotem. Czuł się starym wyjadaczem kosmicznym, próżniowym wygą, którego domem są planety, a jedynym ulubionym odzieniem znoszony skafander: wyga taki w przestrzeni pierwszy dostrzega nadlatujące meteory i sakramentalnym okrzykiem „uwaga! rój!” oraz błyskawicznym manewrem ratuje od zagłady statek, siebie i mniej bystrych towarzyszy. Tak to sobie przynajmniej wyobrażał, z ubolewaniem konstatując przy goleniu, jak zupełnie nie znać po nim ogromu przeżytych doświadczeń. Nawet paskudny wypadek z aparatem Harrelsbergera, który eksplodował mu pod rękami podczas lądowania na Sinus Medii, nie przysporzył mu ni jednego choćby siwego włosa. Co tam — zdawał sobie sprawę z jałowości myślenia, o siwiźnie (wspaniale byłoby jednak mieć oszronione skronie), ale żeby się choć parę zmarszczek przy oczach zrobiło, wskazujących od pierwszego wejrzenia, że powstały przy wyteżonym wypatrywaniu kursowych gwiazd tymczasem, jaki był puciołowaty, taki został. Drapał więc tępawą żyłką tę swoją gębę, której się skrycie wstydył, i wymyślał coraz bardziej wstrząsające sytuacje po to, aby na samym końcu stać się ich panem.

Matters, który częściowo znał jego zmartwienia, o częściowo się ich domyślał, radził mu, żeby zapuścił wąsy. Czy rada była całkiem szczerą, trudno powiedzieć. W każdym razie Pirx w czasie porannej samotności przykładał przed lustrem kawałek czarnego sznurowadła do górnej wargi i aż się zatrząsał, tak to idiotycznie wyglądało. Zważył w Mattersa, choć ten może nie miał na myśli niczego złego, a już na pewno nie miała jego przystojna siostra, która powiedziała raz Pirxowi, że wygląda „szalenie pocziwie”. To go dobiło. W lokalu, w którym tańczyli, nie stało się co prawda nic z rzeczy, jakich się obawiał. Tylko raz pomylił taniec, a ona była na tyle dyskretna, że milczała, i dopiero po dobrej chwili zauważył, że wszyscy tańczą coś zupełnie innego niż on. Później jednak poszło jak z płatka. Nie deptał jej po nogach, jak mógł, starał się nie śmiać (bo od jego śmiechu ludzie odwracali się na ulicy), a potem odprowadził ją do domu. Od ostatniego przystanku szli dobry kawał pieszko i przez całą drogę zastanawiał się, co by też zrobić takiego, żeby pojęła, że wcale nie jest „szalenie pocziwy” te słowa załazły mu za skórę. Kiedy już dochodzili do celu, ogarnął go popłoch.

Niczego bowiem nie wymyślił, a jeszcze, wskutek wyteżonego namysłu, zamilkł jak pień : w głowie jego rozprzestrzeniała się pustka, tym tylko różniąca się od kosmicznej, że wypełniona rozpaczliwym wysiłkiem. W ostatniej chwili przez myśl przeleciały mu jak meteory dwa czy trzy pomysły: żeby się z nią umówić, żeby ją pocałować, żeby gdzieś o tym czytał uściskać jej rękę w sposób znaczący, subtelny, a zarazem przewrotny i namiętny. Ale nic z tego nie wyszło. Ani jej nie pocałował, ani się z nią nie umówił, ani jej ręki nie podał... i gdybyż tak się to skończyło! Kiedy powiedziawszy „dobranoc”, tym swoim przyjemnie łamiącym się głosem, odwróciła się do furtki i ujęła klamkę, ocknął się jego diabeł. A może stało się to po prostu dlatego, że w głosie jej wyczuł ironię, rzeczywistość lub wyobrażoną. Bóg raczy wiedzieć dość, że zupełnie odruchowo, kiedy się właśnie odwróciła taka pewna siebie, spokojna — oczywiście, dzięki urodzie nosiła się jak królowa jakaś (ładne dziewczęta zwykle tak się noszą), a więc dobrze — dał jej klapsa w tyłek, i to nawet , mocnego. Usłyszał lekki, stłumiony okrzyk: porządnie musiała się zdziwić! Ale nie czekał już na nic. Zawróciwszy na pięcie, zwiął, jakby w strachu, że będzie go goniła... Matters, do którego nazajutrz zbliżał się jak do bomby z czasowym zapalnikiem, nic o tym incydencie nie wiedział. Problem owego osobliwego postępkę nękał Pirxa. Nie myślał wtedy nic (z jakąż łatwością mu to niestety przychodziło!), ale przylepił jej klapsa. Czy tak postępują szalenie pocziwi faceci?

Nie był całkiem pewny, ale obawiał się, że raczej tak. Po historii z siostrą Mattersa (unikał

jej odtąd jak ognia) przestał w każdym razie robić rano miny do lustra. Przedtem bowiem upadł kilka razy tak nisko, że z pomocą drugiego lusterka szukał profilu swej twarzy, który by choć nieznacznie zaspokoił jego wielkie wymagania. Oczywiście, nie był zupełnym idiotą i zdawał sobie sprawę ze śmieszności tych małych grymasów, ale z drugiej strony, nie śladów urody jakiejś szukał przecież na miłość boską, lecz charakteru! Czytał bowiem Conrada i z wypiekami myślał o wielkim milczeniu galaktycznym, o samotnym męstwie — a czyż można sobie wyobrazić bohatera wiecznej nocy, samotnika z taką gębą? Wątpliwości pozostały, ale z wykręcaniem twarzy przed lustrem zrobił koniec, ukazując sobie, jaką ma twardą, niezłomną wolę.

Troski te, tak nurtujące, zbladły nieco wobec nadciągającego egzaminu u profesora Merinusa, zwanego popularnie Merynosem. Egzaminu tego, prawdę mówiąc, nie bał się prawie nigdy. Tylko trzy razy przychodził do gmachu Astrodezji i Astrognozji Nawigacyjnej, gdzie przed salą studenci zawsze czyhali na wychodzących od Merynosa, nie tyle, żeby fetować ich sukcesy, ile by się dowiedzieć, jakie też nowe, podchwytliwe pytanko wymyślił Złowrogi Baran. Bo i tak nazywano srogiego egzaminatora. Starzec ów, który w życiu nogi nie postawił nie to, że na Księżycu — progu rakiety żadnej nawet nie przekroczył — znał, mocą teoretycznej wszechwiedzy, każdy kamień wszystkich kraterów Morza Deszczów, grzbiety skalne planetoid i najbardziej niedostępne połacie jowiszowych księżyców; powiadano, że posiada wszechstronną znajomość meteorów i komet, które zostaną dopiero odkryte za lat tysiąc, ponieważ już teraz drogi ich matematycznie przewidział dzięki ulubionemu swemu zajęciu, analizie perturbacyjnej ciał niebieskich. Ogrom tej wiedzy czynił go zgryźliwym wobec mikroskopijnych wiadomości studentów.

Pirx nie bał się jednak Merinusa, bo odkrył jego klucz. Stary miał własną terminologię, której prócz niego nikt nie używał w fachowym piśmiennictwie. Pirx zatem, wiedziony przyrodzoną bystrością, zamówił w bibliotece wszystkie prace Merinusa i — nie, wcale ich nie czytał. Przekartkował je tylko wypisawszy sobie ze dwieście Merynosowych dziwołagów słownych. Profesor, usłyszawszy styl jego odpowiedzi, drgnął, podniósł strzępiaste brwi i zasłuchał się w Pirxa jak w słowika. Chmury, przeciągające mu zazwyczaj przez twarz, rozeszły się. Odmłodził prawie, bo było to, jakby słyszał siebie samego — a Pirx, uskrzydłony tą przemianą i własną beczelnością, parł dalej na całego z takim rezultatem, że gdy kompletnie zawałił się na ostatnim pytaniu (wymagało znajomości wzoru — cała Merynosowska retoryka nic nie mogła tu wskórać), profesor wpisał mu wielką czwórkę, wyrażając ubolewanie, że nie może dać piątki.

Tak, Merynosa osadził. Wziął go za rogi. Daleko większą treść odczuwał przed „wariacką kąpielą”, która była następnym i ostatnim etapem przed egzaminami dyplomowymi.

Na „wariacką kąpiel” nie było żadnych sposobów. Najpierw człowiek szedł do Alberta, niby tylko woźnego przy katedrze Astropsychologii Doświadczalnej, ale w rzeczywistości był on prawą ręką docenta i słowo jego ważniejsze było od opinii wszystkich asystentów. Albert, totumfacki jeszcze profesora Balle'a, który przed rokiem poszedł na emeryturę ku uciesze studentów i zasmuceniu woźnego (nikt go bowiem tak, jak profesor emeritus nie rozumiał), wiódł kandydata do małej salki w podziemiu, gdzie sporządził mu parafinowy odlew twarzy. Odlew ten, po zdjęciu, poddawał małemu zabiegowi: w negatyw nosa wstawiał dwie metalowe rurki. To było wszystko. Następnie kandydat szedł na piętro, do „łaźni”. Nie była to naturalnie żadna łaźnia, ale jak wiadomo, studenci nie nazywają nigdy rzeczy ich właściwym imieniem. Był to spory pokój, z basenem pełnym wody. Kandydat czy, znowu wedle gwary studenckiej, pacjent rozbierał się i wchodził do wody, którą ogrzewano dopóty, aż przestawał odczuwać jej temperaturę. To było indywidualne: dla jednych woda „przestawała istnieć” przy 29, dla innych dopiero przy 32 stopniach. Dość, że kiedy spoczywający na wznak a w basenie młody człowiek podniósł rękę, wodę przestawano ogrzewać, a jeden z asystentów nakładał mu na twarz parafinową maskę. Następnie dodawano do wody jakiejś soli (ale nie

cyjanku potasu, jak o tym poważnie zapewniali ci, co mieli już „wariacką kąpiel” za sobą), zdaje się zwykłej soli kuchennej. Dodawało się jej tyle, by „pacjent” (zwany też „topielcem”) pływał swobodnie tuż pod powierzchnią wody, nie wynurzając się, tylko metalowe rurki wystawały na wierzch, mógł więc swobodnie oddychać. To było w zasadzie wszystko. Uczona nazwa eksperymentu brzmiała „pozbawienie bodźców aferentnych”. W samej rzeczy, pozbawiony wzroku, słuchu, węchu, dotyku (bo obecność wody po bardzo krótkim czasie przestawało się wyczuwać), ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, niczym u mumii egipskiej, spoczywał „topielec” w nieważkim zawieszeniu przez kilka godzin. Jak długo? Jak długo mógł wytrzymać.

Jak gdyby nic szczególnego. Jednakże z człowiekiem w takim położeniu zaczynają dziać się dziwne rzeczy. Każdy mógł naturalnie czytać o przeżyciach „topielców” w podręcznikach psychologii eksperymentalnej. Ale też przeżycia te były bardzo zróżnicowane indywidualnie. Trzecia część kandydatów nie mogła wytrzymać nie to, że sześciu czy pięciu, ale nawet trzech godzin. Wytrwałość była wszakże godna zalecenia, bo praktyki wakacyjne rozdzielano podług listy lokat: kto miał pierwszą, dostawał praktykę „ekstra” na różnych stacjach okołoziemskich. Z góry nigdy nie było wiadomo, kto okaże się „twardy”, a kto nie, „kąpiel” bowiem poddawała nie byle jakiej próbie spoistość, konsolidację osobowości.

Pirx przeszedł początek dość gładko, jeśli nie liczyć tego, że bez wszelkiej potrzeby schował twarz pod wodą, zanim jeszcze asystent nałożył mu maskę, w związku z czym łyknął jakąś kwartę wody i przy okazji przekonał się, że jest najzwyczajniej w świecie ślona.

Po nałożeniu maski posłyszał zrazu lekki szum w uszach. Znajdował się w doskonałej ciemności. Jak należało, rozluźnił mięśnie; woda unosiła go bez ruchu. Oczu nie mógł otworzyć, gdyby nawet chciał, uniemożliwiała to przylegająca do policzków i czoła parafina. Najpierw zaczął go swędzić nos, potem prawe oko. Przez maskę nie mógł się, naturalnie, podrapać. O takim swędzeniu nic nie mówiły relacje innych „topielców” widocznie byt to jego prywatny wkład w psychologię eksperymentalną. Spoczywał doskonale bezwładny w wodzie, która ani nie grzała, ani nie chłodziła jego nagiego ciała. Po paru chwilach stracił świadomość jej istnienia. Mógłby oczywiście poruszyć nogami albo choćby palami i przekonać się, że są śliskie i mokre, ale wiedział, że czuwa nad nim u sufitu oko rejestrującej kamery: za każde poruszenie były punkty karne. Wsłuchawszy się w siebie, po niedługim czasie mógł już rozróżniać tony własnego serca nadzwyczaj słabe i dochodzące jakby z ogromnej odległości. Było mu wcale nieźle. Swędzenie ustało. Nic go nie uwierało. Albert umieścił rurki w masce tak zręcznie, że nawet ich nie czuł. Niczego w ogóle nie czuł. Ta pustka stawała się niepokojąca. Najpierw zatracił poczucie położenia ciała, pozycji rąk i nóg. Pamiętał jeszcze, jak leży, bo o tym wiedział, w białej parafinie na twarzy. Stwierdził ze zdziwieniem, że on, który umiał zwykle określić czas bez zegarka, z dokładnością do paru minut, nie ma nawet najsłabszego wyobrażenia o tym, ile minut — czy może już kwadransów? — upłynęło od zanurzenia się w „wariacką kąpiel”.

Kiedy się tak dziwił, zauważył, że nie ma już ciała ani twarzy, w ogóle niczego. Tak dobrze, jakby go w ogóle nie było. Wrażenia tego niepodobna nazwać przyjemnym. Raczej przerażało. Jakby rozpuszczał się po trosze w tej wodzie, której istnienie też doń wcale nie dochodziło. I serce nawet przestał słyszeć. Wyteżał słuch jak mógł — nic. Cisza za to, wypełniająca go dokładnie, stała się nieprzyjemnym, głuchym pomrukiem, białym, ciągłym szumem, że chciało się wprost zatkać uszy. W pewnym momencie pomyślał, że minął już chyba porządny kawał czasu i parę karnych punktów tak bardzo nie zaszkodzi. Chciał ruszyć rękami.

Nie miał czym poruszyć: nie było rąk. Nawet nie to, że się przeląkł; osłupiał raczej. Prawda, że coś tam pisano o „zatraceniu poczucia ciała”, ale któż by uwierzył, że może być tak zupełnie?

Widocznie tak ma być — uspokoił siebie. Grunt się nie ruszać — jak się chce mieć dobrą

lokate, trzeba wytrzymać to i owo. Ta maksyma podtrzymywała go przez jakiś czas. Jak długo? Nie wiedział.

Potem zaczęło się robić gorzej.

Zrazu ciemność, w której spoczywał czy też raczej, którą sam był, zaroila się od słabych migotań, polatujących na obrzeżu pola widzenia kręgów, właściwie bezświetlnych, mżących niewyraźnie. Poruszył gałkami ocznymi, ten ruch czuł, i to go pocieszyło. Ale dziwna rzecz: po kilku poruszeniach i oczy wymknęły się jego władzy...

Fenomeny wzrokowe i słuchowe, te migotania, mżenia, szумы i pomruki, były niewinnym wstępem, igraszką wobec tego, co zaczęło się z nim dziać zaraz potem.

Rozpadał się. Już nie to, żeby ciałem: o ciełe nie było mowy, ciało od wieków przestało istnieć, było czasem zaprzyszłym, czymś utraconym w sposób nieodwołalny. Może nigdy go nie miał?

Zdarza się czasem, że przyciśnięta, niedokrwiona, ręka na jakiś czas obumrze. Można dotykać jej drugą, czującą i żywą, jak kawałka drewna. Prawie każdy zna to dziwne uczucie, nieprzyjemne, na szczęście szybko przemijające. Ale człowiek wtedy jest cały normalny, czujący i żywy, tylko kilka palców czy dłoń ogarnął martwy bezwład, że stały się jakby uczepionym do reszty ciała przedmiotem. Pirxowi jednak nie pozostało nic: albo lepiej, prawie nic — prócz strachu. Rozpadał się — nie na żadne tam osoby, ale właśnie na strachy. Czego się bał? Pojęcia nie miał. Nie był ani trzeźwy, ani jawy nie przeżywał (jakaż może być jawa bez ciała!), ani snu. Bo nie śnił przecież: wiedział, gdzie jest, co z nim robią. To było coś trzeciego. I do upicia się też najzupełniej niepodobne.

Czytał i o tym. To się nazywało „dezorganizacja pracy kory mózgowej, spowodowana pozbawieniem mózgu impulsów dosłownych”.

Brzmiało to nie najgorzej. Doświadczenie jednak...

Był trochę tu, trochę tam i wszystko się rozlażyło. Kierunki: góra, dół, bok — nic z tego! Usiłował sobie przypomnieć, gdzie może być sufit. Ale jak mówić o suficie, kiedy nie ma ciała ani oczu?

Zaraz — rzekł sobie — zrobimy z tym porządek. Przestrzeń wymiary — trzy kierunki...

Te słowa nic nie znaczyły. Pomyślał o czasie, powtarzał „czas, czas” — jakby żuł kawałek papieru. Zlepek bez jakiegokolwiek sensu. Już nie on powtarzał, mówił to jakiś nikt, jakiś obcy, ktoś, kto wlażył w niego. Nie, on wlażył w kogoś. I ten ktoś rozdymał się. Puchnął. Zatracał wszystkie granice. Wędrował niepojętymi wnętrzami, objawił się olbrzymim jak balon, niemożliwym, słoniowatym palcem, był cały palcem, nie swoim, nie prawdziwym, ale jakimś wymyślonym, wziętym nie wiadomo skąd. Ten palec usamodzielniał się. Stawał się czymś przytłaczającym, nieruchomym, zgiętym karcąco i zarazem idiotycznie, a jego myślenie unosiło się raz z jednej, raz z drugiej strony tej bryły niemożliwej, cieplej, wstrętnej, żadnej — znikł. Wirował. Kręcił się. Spadał jak kamień, chciał krzyknąć. Migoty bez twarzy, okrągławe, wytrzeszczone, rozplywające się — gdy usiłował stawić im czoło — lały na niego, pchały się, rozpierały go, był jak cienkopowłokowy zbiornik grożący pęknięciem. I wybuchnął.

Rozpadł się na niezależne od siebie ciemności, które szybowały jak polatujące bezwładnie strzępy zwęglonego papieru. A w tych wahaniach i polatowaniach było niepojęte napięcie, wysiłek taki chyba, jak w śmiertelnej chorobie, kiedy poprzez mgły i pustki, która była kiedyś sprawnym ciałem, a teraz jest tylko znieczuloną, stygnącą pustynią, coś pragnie jeszcze ostatni raz odezwać się, dotrzeć do jakiegoś drugiego człowieka, zobaczyć go, dotknąć.

Zaraz — powiedziało coś zadziwiająco trzeźwo, ale to było obce, to nie był on. Może jakiś dobry człowiek zlitował się i mówił do niego? Do kogo?... Gdzie? Ale słyszał przecież... Nie, to nie był prawdziwy głos. Zaraz. Już inni to przeszli. Z tego się nie umiera. Trzeba się trzymać. Te słowa obracały się w kółko. Aż utraciły sens. Znowu wszystko rozlało się jak szara namarszczona bibuła. Jak śniegowa góra w słońcu. Wymywany, uciekł gdzieś bez

ruchu, nikł. Zaraz mnie nie będzie — pomyślał najzupełniej serio, bo to było jak śmierć, nie jak sen. Tylko to jedno wiedział jeszcze: że nie śni. Osaczyło go ze wszystkich stron. Nie, nie jego. Ich. Było ich kilku. Wielu? Nie mógł się doliczyć.

Co ja tu robię? — powiedziało w nim coś. — Gdzie ja jestem? W oceanie? Na Księżycu? Doświadczenie...

Nie wierzył, że to może być doświadczenie: jak to, trochę parafiny, jakaś słona woda, i człowiek przestaje istnieć? Postanowił z tym skończyć, za wszelką cenę. Zmagał się, sam nie wiedział z czym, jakby wyważał olbrzymi przywalający go kamień. Nie mógł nawet drgnąć. W ostatnim błysku przytomności zebrał resztkę sił i jęknął. Usłyszał ten jęk, stłumiony, oddalony, jak radiowy sygnał z innej planety. Na jakąś sekundę prawie ocknął się i skupił po to, żeby wpaść w następną, jeszcze czarniejszą, podmywającą wszystko agonię.

Nie czuł żadnego bólu. Ba, gdyby był ból ! Siedziałyby w ciele, dawałyby o nim znać, określałyby jakieś granice, targałyby nerwami. Ale to była agonია bezbolesna, narastający napływ nicości. Poczł, jak powietrze spazmatycznie chwywane wchodzi weń — jakby nie w płuca, ale w ten obszar drgających, pokurczonych myślowych strzępków. Jęknąć, jeszcze raz jęknąć, usłyszeć się...

Jak się komu chce jęczeć, nie trzeba myśleć o gwiazdach odezwał się ten jakiś nieznany, bliski, lecz obcy głos. Zastanowił się i nie jęknął. Zresztą nie było go już. Nie wiedział, kim był — wpływały weń zimne, lekkie strumienie a najgorsze było to (dlaczego żaden z bałwanów nawet o tym nie wspominał?), że wszystko szło przez niego na wylot. Zrobił się przezroczysty. Był dziurą, sitem, szeregiem krętych jaskiń czy przelotów.

Potem i to się rozpadło, został tylko strach i trwał nawet wtedy, gdy zniknęła wstrząsana jak dreszczem, mżącym migotaniem — ciemność.

Potem zrobiło się gorzej, o wiele gorzej. Jednakże tego już Pirx nie umiał opowiedzieć ani nawet wyraźnie, dokładnie przypomnieć sobie: na takie doświadczenia nie wynaleziono jeszcze słów. Nic nie potrafił o tym wykrztusić. Tak, tak, „topielcy” byli właśnie bogatsi o jedno cholerne doświadczenie, którego nikt z profanów nawet się nie domyślał. Inna rzecz, że nie było czego zazdrościć.

Pirx przeszedł wiele rzeczy i stanów. Nie było go jakiś czas, potem znów był, powielony, potem coś wyjadało mu cały mózg, potem działało się wiele zawiłych, bezsłownych potworności — spajał je strach, który przeżył i ciało, i czas, i przestrzeń. Wszystko.

Tego to się najadł do syta.

Doktor Grotius powiedział:

— Jęknął pan pierwszy raz w sto trzydziestej ósmej minucie, a drugi — w dwóchsetnej dwudziestej siódmej. Wszystkiego trzy karne punkty — i żadnych drgawek ! Proszę założyć nogę na nogę. Zbadam odruchy... Jak panu się udało wysiedzieć tak długo później?

Pirx siedział na złożonym poczwórnym ręczniku, piekielnie szorstkim i przez to bardzo przyjemnym. Był całkiem jak Łazarz. Nie w tym sensie, żeby tak wyglądał: ale czuł się prawdziwie zmartwychwstały. Wytrzymał siedem godzin. Miał pierwszą lokatę. W ciągu ostatnich trzech godzin umierał parę tysięcy razy. Ale nie jęknął. Kiedy wyciągali go, ociekającego, wytarli, wysmarowali, dali mu zastrzyk, łyk koniaku i prowadzili do pokoju badań, gdzie czekał doktor Grotius, po drodze zajrzał do lustra. Już przedtem wciąż dotykał piersi, rąk, nóg. Żeby się upewnić. Był kompletnie ogłuszony, otumaniony, jakby wstał z łóżka po wielomiesięcznej malignie. Wiedział, że już po wszystkim. Mimo to zajrzał do lustra. Nie żeby się spodziewał siwizny, ale tak sobie.

Zobaczył swoją szeroką gębę i, odwróciwszy się szybko, pomaszzerował dalej, zostawiając na posadzce mokre ślady stóp. Doktor Grotius długo usiłował wydobyć z niego jakieś opisy przeżytych stanów. Siedem godzin — to było nie byle co. Doktor Grotius patrzył na Pirxa inaczej niż przedtem: nie to, że z sympatią — raczej z lubością, jak entomolog, który odkrył nowy gatunek ćmy. Albo niezwykłego zgoła robaczka. Może widział w nim temat pracy

naukowej?!

Pirx okazał się, trzeba niestety powiedzieć, niezbyt wdzięcznym obiektem dociekań. Siedział i mrugał głupkowato oczami: wszystko było płaskie, dwuwymiarowe, kiedy sięgał po coś ręką, ta rzecz okazywała się dalej albo bliżej, niż sobie obliczył. To było objawem normalnym. Ale nie była nim jego odpowiedź na pytanie asystenta, kiedy usiłował wydobyć z niego jakieś dokładniejsze szczegóły.

— Pan leżał tam? — pytaniem odparował pytanie.

— Nie — zdziwił się doktor Grotius. — A co?

— To niech się pan położy — zaproponował mu Pirx. — Sam pan zobaczy, jak to jest.

Na drugi dzień czuł się już tak dobrze, że mógł nawet robić na temat „wariackiej kąpieli” dowcipy. Odtąd chodził stale do głównego gmachu, gdzie pod szkłem na desce ogłoszeń zawieszano listy z wykazem praktyk. Ale nie mógł znaleźć swego nazwiska. Potem była niedziela.

A w poniedziałek wezwał go Szeff.

Pirx od razu się zakłopotał. Wpierw zrobił rachunek sumienia. O to, że wpuścili do rakiety Ostensa mysz, nie mogło iść — to było dawno, poza tym mysz była mała i w ogóle nie było o czym mówić. Potem była ta historia z budzikiem, który sam włączał prąd do siatki łóżka Maebiusa. Ale to też właściwie głupstwo. Nie takie rzeczy robi się mając dwadzieścia dwa lata, a poza tym Szeff był wyrozumiały. Do pewnych granic. Czyżby się dowiedział o duchu? Duch był własnym, oryginalnym pomysłem Pirxa. Koledzy pomogli mu naturalnie: w końcu — ma się przyjaciół! Ale Bornowi należała się nauczka.

Operacja „duch” poszła jak zegarek. Proch był w tutce. prochową dróżkę przeciągnęło się trzy razy dokoła pokoju, a zakończyło ją pod stołem. Może istotnie za dużo tego prochu się tam wysypało? Wychodziła prochowa ścieżka na korytarz, przez szparę pod drzwiami, a Born był już „urobiony”: przez cały tydzień wieczorami o niczym innym nie rozmawiało się, tylko o duchach. Pirx, nie w ciemną bitą, rozdzielił role: część chłopców opowiadała straszliwe historie, a druga — odgrywała niedowiarków, żeby się Boru zbyt łatwo w podstępnie nie zorientował. Boru udziału w tych roztrząsaniach metafizycznych nie brał, tylko się podśmiewał czasem z najzagorzalszych zwolenników „tamtego świata”. Tak, ale trzeba go było widzieć, kiedy wyleciał u dwunastej w mocy ze swojej sypialni, rycząc jak goniony przez tygrysa bawół. Płomień wszedł szparą pod drzwiami, trzykrotnie obleciał pokój i buchnął pod stołem, że książki pospadały. Pirx przedobrzył jednak, bo się zaczęło trochę palić. Parę kubłów wody zlikwidowało ogień, ale została wypalona dziura, no i smród. Także w pewnym sensie nie udało się: Boru nie uwierzył niestety w duchy.

Pomyślał, że może chodzi o tego ducha. Pirx wstał rano wcześniej, włożył czystą koszulę, na wszelki wypadek zajrzał do książki lotów, do Teorii Nawigacji, i poszedł jak w dym. Gabinet Szefa był wspaniały. Tak przynajmniej wydawało się Pirxowi. Ścian nie było widać zza map nieba, konstelacje, żółte jak krople miodu, świeciły na granatowym tle. Mały, ślepy globus księżycowy na biurku, pełno książek, dyplomów, i drugi ogromny globus pod oknem. Ten drugi był istnym cudem, za naciśnięciem odpowiedniego guzika zapalały się i ruszały w obieg dowolnie wybrane sputniki, podobno były tam nie tylko istniejące, ale nawet te stare, włącznie z pierwszymi, już historycznymi, z 1957 roku.

Pirx w tym dniu nie miał jednak oka dla globusa. Kiedy wszedł, Szeff pisał. Powiedział, żeby siadł i poczekał. Potem zdjął okulary — nosił je dopiero od roku — i przyjrzał mu się, jakby go pierwszy raz w życiu zobaczył. To był taki jego sposób. Nawet święty, nie mający nic na sumieniu, mógł stracić pod tym wzrokiem rezon. Pirx nie był święty. Nie mógł usiedzieć w fotelu. To zapadał w głąb, przyjmując postawę nieprzyzwoicie swobodną, niczym milioner na pokładzie własnego jachtu, to znów zjeżdżał w kierunku dywanu i własnych pięt. Szeff wytrzymał milczenie i rzeki:

— Jak tam chłopcze u ciebie?”

„Tykał” go, nie było więc źle. Pirx wyjaśnił, że wszystko w porządku.

— Podobno kapałeś się?

Pirx przytaknął. A to co znowu? Podejrzliwość nie opuszczała go. Może za niegrzeczność wobec asystenta?

— Jest jedno wolne miejsce na praktykę w Mendelejewie. Wiesz, gdzie to jest?

— Stacja astrofizyczna na tamtej stronie... — odparł Pirx. Był trochę rozczarowany. Miał cichą nadzieję — tak cichą, że bojąc się spłoszyć jej urzeczywistnienie, samemu sobie nawet do niej się nie przyznał — otóż liczył na coś innego. Na lot. Tyle było raket, tyle planet, a on miał dostać zwykłe zadanie stacjonarne na „tamtej stronie”... Kiedyś był to jeszcze fason — nazywać odwrotną, niewidzialną z Ziemi półkulę księżycową — „tamtą stroną”. Ale teraz wszyscy tak mówili.

— Słusznie. Wiesz, jak wygląda? — spytał SzeF. Miał szczególny wyraz twarzy. Jakby ukrywał coś w zanadru. Pirx wahał się przez sekundę, czy skłamać.

— Nie — powiedział.

— Jeżeli przyjmiesz zadanie, dam ci całą dokumentację. SzeF położył rękę na stosie papierów.

— To mogę nie przyjąć? ! — z nie ukrywanym ożywieniem spytał Pirx.

— Możesz. Bo zadanie jest, to znaczy: może się okazać... niebezpieczne.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nie mógł. Specjalnie urwał, żeby się lepiej przyjrzeć Pirxowi, który wlepił się w niego rosnącymi oczami, powoli, solennie nabrał tchu — i tak już został, jakby zapomniał o potrzebie dalszego oddychania. Objęty łuną jak dziewczica, której objawił się królewicz, czekał dalszych upajających słów. SzeF chrząknął.

— No, no — rzekł trzeźwiaco. — Przesadziłem. W każdym razie, mylisz się.

— Jak, proszę? — wybełkotał Pirx.

— Powiadam, że ty nie jesteś tym jedynym człowiekiem na Ziemi, od którego wszystko zależy... Ludzkość nie oczekuje od ciebie ratunku. Na razie jeszcze.

Pirx, czerwony jak burak, męczył się nie wiedząc, co robić z rękami. SzeF, który znany był ze swych sposobów i który przed chwilą ukazał mu rajską wizję Pirxa — bohatera powracającego po dokonaniu Czynu przed zastygły na kosmodromie tłum szepczący z uwielbieniem: „To on! to on!!!” — teraz jakby całkiem nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, jął pomniejszać Zadanie, redukować rozmiary

Misji do zwykłej praktyki wakacyjnej, nareszcie wyjaśnił: — Pracownicy Stacji rekrutują się z astronomów, których przewozi się na tamtą stronę, żeby przesiedzieli swój miesiąc, i tyle. Normalna praca tam nie wymaga żadnych nadzwyczajności. Dlatego kandydaci poddawani byli zwykłym testom pierwszej i drugiej grupy. Teraz, po tym wypadku — potrzeba ludzi sprawdzonych dokładniej. Najlepszymi byłiby rozumie się piloci, ale sam pojmujesz, że nie można wsadzać pilotów do zwykłej stacji obserwacyjnej...

Pirx wiedział. Nie tylko Księżyc, cały system słoneczny wołał o pilotów, astrogatorów, nawigatorów — było ich wciąż za mało. Ale co to był za wypadek, o którym wspomniał SzeF? Rozsądnie milczał.

— Stacja jest bardzo mała. Zbudowano ją głupio, pod północnym szczytem, zamiast na dnie krateru. Z lokalizacją była cała historia, zamiast rozpoznania selenodezyjnego zadecydował prestiż — będziesz się z tym mógł zapoznać później. Dostępnym, że w ubiegłym roku część grani runęła i zniszczyła jedyną drogę. Dostęp jest teraz raczej trudny i możliwy tylko za dnia. Projektowano kolejkę linową, ale prace zostały wstrzymane, bo już jest decyzja przeniesienia Stacji na dół, w przyszłym roku. Praktycznie Stacja jest podczas nocy odcięta od świata. Łączność radiowa ustaje... Dlaczego?

— Proo... szę?

— Dlaczego pytam, ustaje łączność radiowa?

To był cały SzeF. Obdarzanie misją, niewinna rozmowa nagle przemieniła się w egzamin.

Pirx zaczął się pocić.

— Ponieważ Księżyc nie ma atmosfery ani strefy zjonizowanej, łączność radiową utrzymuje się na nim falami ultrakrótkimi... w tym celu wybudowano łańcuchy przekaźników, podobnych do telewizyjnych.

Szef, oparty łokciami o biurko, bawił się długopisem, dając poznać, że okazuje cierpliwość i będzie słuchał aż do skutku. Pirx zaś rozводził się nad rzeczami, znanymi każdemu dziecku, ponieważ zbliżał się, niestety, do obszarów, w których jego wiedza pozostawiała to i owo do życzenia. — Takie linie przesyłowe znajdują się zarówno na tej, jak i na tamtej stronie — rozpędał się, bo wpływał na znajome wody: — Na tej stronie jest ich osiem. Łączą one Lunę Główną ze stacjami Sinus Medii, Pelagus Somnii, Mare Imbrium.

— To możesz opuścić — przerwał mu wielkodusznie Szef.

— Jak również hipotezy o powstaniu Księżyca. Słucham...

Pirx zamrugął.

— Zakłócenia odbioru powstają, gdy łańcuch przekaźników dostaje się w strefę terminatora. Kiedy część przekaźników jest jeszcze w cieniu, a nad dalszymi wschodzi Słońce.

— Wiem co to jest terminator. Nie musisz objaśniać — rzekł serdecznie Szef.

Pirx zakaszał. Wysiadał nos. Nie mogło to jednak trwać w nieskończoność.

— Ze względu na brak atmosfery korpuskularne promieniowanie Słońca bombarduje skorupę, wywołuje — ee — zakłócenia fal radiowych. Te zakłócenia właśnie uniemożliwiają...

Ugrzązł.

— Zakłócenia zakłócają, całkiem słusznie — poddał Szef. — Ale na czym polegają?

— To jest wtórne promieniowanie wzbudzone, efekt. No... No...

— No?... — życzliwie poddał Szef.

— Nowińskiego! — wybuchnął Pirx. Przypomniawszy sobie. Ale i tego było Szefowi mało.

Na czym polega ten efekt?

Tego właśnie Pirx nie wiedział. To znaczy, kiedyś wiedział, ale zapomniał. Doniósł wykute wiadomości do progu sali egzaminacyjnej, jak żongler — piramidę spiętrzonych na głowie, najnieprawdopodobniejszych przedmiotów, ale teraz było już po egzaminie... Jego rozpaczliwe majaczenie o elektronach, promieniowaniu wymuszonym i rezonansie przerwało pełne ubolewania potrząsanie głowy Szefa.

— No, tak — rzekł ten bezwzględny człowiek. — A profesor Merinus postawił ci czwórkę... Czyżby się pomylił?

Fotel pod Pirxem zaczął przypominać coś w rodzaju wulkanicznego stożka.

— Nie chciałbym sprawić mu przykrości, więc niech lepiej nic nie wie... (Pirx odetchnął)... ale poproszę profesora Laaba, żeby przy egzaminie dyplomowym...

Urwał znacząco. Pirx zamarła Nie przez te słowa — ale ręka Szefa powoli zagarniała papiery, które miał otrzymać wraz ze swoją Misją.

Dlaczego nie stosuje się łączności kablowej: — zagadnął Szef nie patrząc na niego.

Ze względu na koszty. Kabel koncentryczny łączy na razie tylko Lunę Główną z Archimedesem. Ale w najbliższych pięciu latach planuje się skablowanie sieci przekaźnikowej wypalił Pirx.

Szef nie rozpogodzony wrócił do tematu.

No, tak. Praktycznie Mendelejew jest odcięty od świata przez dwieście godzin podczas każdej nocy. Dotąd praca szła tam normalnie. W ubiegłym miesiącu po zwykłej przerwie w łączności stacja nie zgłosiła się na wezwanie z Ciołkowskiego. Ekipa Ciołkowskiego wyruszyła o świcie, zastała główną kłapę otwartą, a w — komorze — człowieka. Był to dyżur Kanadyjczyków. Challiersa i Savage'a. W komorze leżał Savage. Miał pękniętą szybę hełmu. Uduślił się.

Challiersa znaleziono dopiero po dobie na dnie przepaści pod Bramą Słoneczną. Zginął wskutek upadku. Poza tym na Stacji panował porządek, aparatura pracowała, zapasy były nietknięte, nie wykryto żadnej awarii. Czytałeś o tym?

— Tak — powiedział Pirx. — Ale w gazetach było, że zaszedł nieszczęśliwy wypadek. Psychoza... podwójne samobójstwo w przystępie obłądu...

— Bzdura — rzekł Szeff. — Znałem Savage'a. Z Alp. Nie mógł się zmienić. No, nic. W gazetach były brednie. Przeczytasz sobie raport komisji mieszanej. Słuchaj. Chłopcy tacy jak ty są już zasadniczo przebadani z taką samą dokładnością jak piloci, ale dyplomów nie mają, więc nie mogą latać. Poza tym praktykę wakacyjną tak czy inaczej musisz przejść. Jeżeli się zgodzisz, polecisz jutro.

— A kto jest drugi?

— Nie wiem. Jakiś astrofizyk. W końcu — potrzeba tam astrofizyków. Obawiam się, że nie będzie miał z ciebie pociechy, ale może poduczysz się trochę astrografii. Czy orientujesz się, o co chodzi? Komisja doszła do przekonania, że był to nieszczęśliwy wypadek, pozostał jednak pewien cień, nazwijmy to niejasnością. Stało się tam coś niezrozumiałego. Nie wiadomo co. Pomyśleli więc, że podczas następnego dyżuru dobrze byłoby tam mieć człowieka, jednego przynajmniej, o psychicznych kwalifikacjach pilota. Nie widziałem powodu do odmowy. Z drugiej strony, na pewno nic tam nie zajdzie szczególnego. Oczywiście — oczy i uszy musisz mieć otwarte, ale nie masz żadnej misji detektywistycznej, nikt nie liczy na to, że wykryjesz dodatkowe okoliczności wyjaśniające tamten wypadek, i nie jest to twoim zadaniem. Czy jest ci niedobrze?

— Jak, proszę? Nie — odparł Pirx.

— Myślałem... Czy przypuszczasz, że będziesz się umiał zachować rozsądnie? Bo to ci już uderzyło, niestety, do głowy. Zastanawiam się...

Będę się zachowywał rozsądnie — rzekł Pirx najbardziej stanowczym ze swoich tonów.

— Wątpię — rzekł Szeff. — Posyłam cię bez entuzjazmu. Gdyby nie ta pierwsza lokata...

— To przez kąpiel? — nagle teraz dopiero zrozumiał Pirx. Szeff uśmiechnął się, że nie słyszy. Podał mu najpierw papiery, a potem rękę.

— Start masz jutro o ósmej rano. Rzeczy weź jak najmniej. Zresztą byłeś tam już, więc wiesz. Tu jest bilet na samolot, a tu rezerwacja Transgalaktyku. Polecisz do Luni Głównej, stamtąd przerzucą cię dalej... — Mówił coś jeszcze. Życzył mu czegoś? Żegnał go? Pirx nie wiedział. Nie słyszał nic. Nie mógł słyszeć, bo był bardzo daleko, już na „tamtej stronie”. W uszach miał grzmoty startowe, w oczach — białe, martwe płomienie księżycowych skał, a w całej twarzy — niemal to samo osłupienie, które o tak zagadkowy koniec przyprawiło dwu Kanadyjczyków. Robiąc zwrot w tył, wpadł na wielki globus. Schody wziął w czterech susach, jakby naprawdę był już na Księżycu gdzie ciężenie maleje sześciokrotnie. Przed gmachem o mało nie wpadł pod auto, które zahamowało z wrzaskiem opon, że aż ludzie zaczęli stawać, ale nawet tego nie zauważył. Na szczęście Szeff nie widział tych początków jego rozsądnego zachowania, bo wrócił do swoich papierów. W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin zdarzyło się z Pirxem, dokoła Pirxa, Pirxowi, ze względu na Pirxa tyle, że chwilami tęsknił niemal za letnią, osoloną kąpielą, w której nie działo się absolutnie nic.

Jak wiadomo, człowiekowi szkodzi zarówno niedobór, jak i nadmiar wrażeń. Ale Pirx nie formułował tego rodzaju wniosków. Wszystkie bowiem starania Szeffa, aby Zadanie pomniejszyć, zredukować, a nawet zlekceważyć, zdały się, co tu owijać w bawełnę, na nic. Pirx wchodził do samolotu z takim wyrazem twarzy, że przystojna stewardessa odruchowo cofnęła się o krok — co było zupełnym nieporozumieniem, bo w ogóle jej nie widział. Szedł jakby na czele żelaznej kohorty, zasiadł w fotelu jak Wilhelm Zdobywca, był po trosze nim. Kosmicznym Zbawcą Ludzkości. Dobrodziejem Księżyca. Odkrywcą Strasznych Tajemnic, Poskromicielem Zmór Tamtej Strony, a wszystkim — dopiero w przyszłości, „in spe”, co nie pogarszało bynajmniej jego samopoczucia, wprost przeciwnie, wypełniało go życzliwością i

pobłażliwością względem współpasażerów, którzy w ogóle pojęcia nie mieli, kto znajduje się wraz z nimi w brzuchu wielkiego odrzutowca ! Patrzył na nich jak Einstein u schyłku życia na igrające w piasku niemowlęta.

„Selene”, nowy pocisk Transgalaktyku, startowała z kosmodromu nubijskiego. Z serca Afryki. Pirx był kontent. Nie sądził wprawdzie, że gdzieś w tym miejscu będzie w przyszłości wmurowana tablica z odpowiednim napisem nie, tak daleko w marzeniach się nie posunął. Ale niewiele brakowało. Co prawda, w czarę spijanych rozkoszy jąła się z wolna wsączać gorycz. W samolocie mogli o nim nie wiedzieć. Ale na pokładzie rakiety? Okazało się, że będzie siedział na dole, w klasie turystycznej, wśród hałastry jakichś Francuzów, obwieszonych aparatami fotograficznymi, przekrzykujących się szalenie szybko w sposób całkowicie niezrozumiały. On — w tłumie hałaśliwych turystów?

Nikt się nim nie zajmował. Nikt nie odziewał go w skafander, nie pompował w niego powietrza, nie pytał, jak się czuje; nie zawieszał mu na plecach butli — chwilowo pocieszał się tym, że to dla niepoznaki.

Wnętrze klasy turystycznej wyglądało prawie jak kabina odrzutowca, tyle że fotele były większe, głębsze, a tabliczka, na której zapalały się rozmaite informujące napisy, tkwiła tuż przed twarzą. Napisy te zakazywały przeważnie różnych rzeczy: wstawania, poruszania się, palenia papierosów, daremnie usiłował Pirx przybieraniem bardziej fachowej postawy, zakładaniem nogi na nogę, lekceważeniem pasów bezpieczeństwa odróżnić się od tłumy profanów astronautyki. Już nie uroczą stewardessa, ale pomocnik pilota kazał mu się przypiąć, i to była jedyna chwila, w której ktoś z załogi zwrócił na niego uwagę. Nareszcie jeden z Francuzów, raczej przez pomyłkę, poczęstował go owocową pastylką. Pirx wziął ją, dokumentnie zakleił sobie lepką słodyczą zęby i osiadłszy z rezygnacją w nadymanej głębi fotela, oddał się rozmyślaniom. Z wolna utwierdził się raz jeszcze w przekonaniu o przeraźliwym niebezpieczeństwie swej Misji, której nadciągającą groźbę smakował bez pośpiechu, i tak zabierał się do jej próbowania jak nałogowy pijak, któremu dostała się w rękę mchem porośnięta butelka trunku z czasów wojen napoleońskich.

Miejsce miał przy oknie. Postanowił, rozumie się, w ogóle je zignorować — tyle razy już to widział!

Nie wytrzymał jednak. Kiedy „Selene” weszła na orbitę okołoziemską, z której miała dopiero ruszyć ku Księżycowi, przylepił się do szyby. Bo też fascynujący był ów moment, w którym podkreślona liniami dróg, kanałów, popstrzona osadami i miastami powierzchnia Ziemi oczyszczała się jak gdyby od wszelkich śladów ludzkiej obecności, a kiedy znikły ostatnie, pod statkiem leżała plamista, oblepiona kłaczkami chmur wypukłość planety, i wzrok, przechodząc z czerni oceanów na kontynenty, daremnie usiłował odnaleźć cokolwiek stworzonego przez człowieka. Z odległości kilkuset kilometrów Ziemia wyglądała pusto, przeraźliwie pusto, jakby życie dopiero się na niej rodziło, słabym nalotem zieleni znacząc jej cieplejsze obszary.

W samej rzeczy widział to już wiele razy. Ale przemiana zaskakiwała go zawsze na nowo — było w niej coś, z czym nie mógł się pogodzić. Czy może pierwsze unaocznienie mikroskopijności człowieka wobec próżni? Wejście w obręb innej skali wielkości — planetarnych? Obraz znikomości ludzkich tysiącletnich wysiłków? Czy na odwrót, triumf tejże znikomości, która pokonała martwą, obojętną na wszystko potęgę grawitacji tej bryły przeraźliwej i, pozostawiając za sobą dzikość masywów górskich i tarcze biegunowych lodów, wstąpiła na brzegi innych ciał niebieskich? Rozważania te — czy raczej pozbawiono słów uczucia — ustąpiły miejsca innym, bo statek zmienił kurs, aby przez „dziurę” stref promieniowania, rozwierającą się nad biegunem północnym, wystrzelić ku gwiazdom.

Ale gwiazd nie dało się długo oglądać, bo zapłonęły światła. Podano obiad, podczas którego silniki pracowały, aby wytworzyć namiastkę ciężenia, po czym pasażerowie ułożyli się z powrotem na fotelach, światła zgasły i można było teraz widzieć Księżyc.

Zbliżali się ku niemu od strony południowej. Ledwo paręset kilometrów pod biegunem ział odbitym światłem słonecznym Tycho, biała plama ze strzelającymi na wszystkie strony pasami promienistymi, których zdumiewającą regularność zadziwiała pokolenia ziemskich astronomów, aby na koniec, po rozwiązaniu ich zagadki, stać się przedmiotem studenckich kawałów. Bo czy nie wmawiano pierwszokursistom, że biały krążek Tychona to jest właśnie „dziurka osi księżycowej”, a jego promieniste pasma — to po prostu wyrysowane grubo południki”

Im bliżej podchodzili ku uwieszanej w czarnej pustce kuli, tym jawniejsza stawała się prawda, że jest to zastygły, utrwalony w stężonych masywach lawy obraz świata sprzed miliardów lat, kiedy gorąca Ziemia wędrowała ze swoim satelitą przez olbrzymie chmury meteorowe, szczątki planetogenezy, kiedy żelazny i kamienny grad walił bezustannie w cienką skorupę Księżyca, wyrzucał na powierzchnię fale magmy, a kiedy przestrzeń po nieskończeniu długim czasie oczyściła się i opustoszała, bezpowietrzny glob zamarł w pobojuwisko tej epoki katastrof górotwórczych. Aż jego masakrowana bombardowaniami, kamienna maska stała się natchnieniem poetów i lamp; liryczną zakochanych.

„Selene”, niosąca na swych obu pokładach czterysta ton ludzi i ładunku, odwróciła się rufą do rosnącej tarczy i rozpoczęła hamowanie, powolne i miarowe, aż delikatnie wibrując, osiadła na jednym z wielkich, zaklętych lejów kosmodromu.

Pirx był tu już trzy razy, z tego dwa — sam, to znaczy „siadał własnoręcznie” pośrodku ćwiczebnego pola, oddalonego od lądowiska pasażerskiego o pół kilometra. Teraz nie zobaczył go nawet, bo ogromny, ceramicznymi płytami obszyty korpus „Solone” przesunięty został na podstawę windy hydraulicznej i zjechał pod powierzchnię, do hermetyzowanego hangaru, gdzie odbyła się kontrola celna: narkotyki?, alkohol?, materiały wybuchowe, trujące, żrące? Pirx miał niewielką ilość trującego materiału, mianowicie płaską flaszeczkę z koniakiem, którą ofiarował mu Matters. Ukrył ją w tylnej kieszeni spodni. Potem była kontrola sanitarna — świadectwa szczepienia, sterylizacji bagażu, żeby nie zawlec na Księżyc jakichś zarazków — tę przeszedł od razu.

Za barierkami zatrzymał się, niepewny, czy go ktoś nie oczekuje. Stał na półpiętrze. Hangar był po prostu olbrzymią, wykutą w skale i wybetonowaną komorą o półkolistym stropie i płaskim dnie. Światła było w bród, sztucznego słonecznego, z jarzeniowych płyt, mnóstwo ludzi biegło w jedną i drugą stronę, na akumulatorowych wózkach jechały bagaże, butle sprężonych gazów, zasobniki, skrzynie, rury, szpule kablowe — a w głębi ciemniał nieruchomy powód całej tej gorączkowej krzątaniny, kadłub „Solone”, a właściwie jego środkowa część, podobna do olbrzymiego zbiornika gazowni, bo rufa spoczywała głęboko pod betonem, w obszernej studni, a wierzchołek opasłego cielska przechodził przez okrągły otwór na górną, wyższą kondygnację.

Pirx stał tak, aż przypomniał sobie, że ma własne sprawy do załatwienia. W kapitanacie przyjął go jakiś urzędnik. Dał mu bloczek noclegowy i powiedział, że rakieta na tamtą stronę leci za jedenaście godzin. Spieszył się gdzieś i właściwie nic więcej mu nie powiedział. Pirx wyszedł na korytarz z wrażeniem, że panuje tu bałagan. Nie wiedział nawet dobrze, którądy będzie lecieć, przez Morze Smytha czy wprost do Ciołkowskiego? I gdzie jest właściwie ten jego nieznany towarzysz księżycowy? A jakaś komisja? Program pracy?

Myślał tak, aż irytacja przeszła w uczucie bardziej materialne, skupione w żołądku. Poczuł głód. Wybrał więc odpowiednią windę, przestudiowawszy wprzód wszystko, co było wypisane na jej sześćojęzycznych tabliczkach, zjechał do kantyny pilotów i tam dowiedział się, że ma jeść w zwykłej restauracji, bo nie jest żadnym pilotem.

To było ukoronowaniem wszystkiego, Chciał już jechać do tej przeklętej restauracji, gdy sobie przypomniał, że nie odebrał swego plecaka. Więc na górę, do hangaru. Bagaż był już w hotelu. Machnął ręką i udał się na obiad. Dostał się w dwie fale turystów: Francuzi, z którymi przyleciał, szli jeść, a jacyś Szwajcarzy, Holendrzy i Niemcy wrócili właśnie z wycieczki

selenobusem do stóp Krateru Erathostenesa. Francuzi podskakiwali, jak to zwykle robią ludzie wypróbowujący pierwszy raz czary księżycowej grawitacji, latali pod sufit w śmiechach i piskach kobiet i rozkoszowali się powolnym opadaniem z trzymetrowej wysokości; Niemcy, bardziej rzeczowi, wlewali się do wielkich sal, obwieszali oparcia krzeseł aparatami fotograficznymi, lornetami, statywami, omal że nie teleskopami, i już przy zakupie pokazywali sobie okruchy skał księżycowych, które sprzedawały im na pamiątkę załogi selenobusów; Pirx siedział nad talerzem, tonąc we wrzawie niemiecko — francusko — grecko — holendersko — Bóg wie jakiej jeszcze i w powszechnym zachwyceniu, entuzjazmie był jedynym bodaj ponurym konsumentem drugiego już w tym dniu obiadu. Jakiś Holender usiłował się nim zająć, wyraził mianowicie przypuszczenie, że Pirx cierpi na chorobę przestrzeni po locie rakieta (pan pierwszy raz na Księżycu, co?) i ofiarował mu pigułki. To było kroplą, która przepelniła czarę. Pirx nie dojadł drugiego dania, kupił w bufecie cztery paczki keksów i pojechał do hotelu. Cała jego złość skupiła się na portierze, który zaoferował mu kawałek Księżycy, a mówiąc ściślej, okruch zeszlonego bazaltu.

— Odczep się, handlarzu! Byłem tu wcześniej od ciebie! — wrzasnął i trzęsąc się z wściekłości, odszedł, pozostawiając za sobą zdumionego tym wybuchem portiera.

W dwuosobowym pokoju siedział, pod zapaloną sufitówką, nieduży człowiek w wypłowiałej wiatrówce, trochę ryży, trochę siwy, z opadającym na czoło kosmykiem włosów, z twarzą spaloną słońcem: na jego widok zdjął okulary. Nazywał się Langner, doktor Langner, był astrofizykiem i miał lecieć z nim do Mendelejewa. To był ten nieznany towarzysz księżycowy. Pirx, już przygotowany na najgorsze, wymienił swoje nazwisko, mruknął coś pod nosem i usiadł. Langner miał ze czterdzieści lat, w oczach Pirxa był dobrze zakonserwowanym staruszkim. Nie palił, prawdopodobnie nie pił i jak gdyby nie mówił. Czytał trzy książki na raz, jedna była tablicą logarymiczną, druga — zadrukowana samymi formułami, w trzeciej były znów tylko fotografie widm spektralnych. W kieszeni miał małe arytmograf, którym posługiwał się przy obliczeniach z wielką zrecznością. Od czasu do czasu, nie podnosząc oczu znad swoich formuł, zadawał Pirxowi jakieś pytanie, Pirx odpowiadał ustami pełnymi keksów. Pokój był klitką z dwoma piętrowymi łózkami, tuszem, do którego nie wlaźłby grubas, i tabliczkami, upraszającymi wielojęzycznie o oszczędzanie wody i elektryczności. Dobrze, że nie zakazywali głębokiego wzdychania. W końcu przecież tlen także się dowoziło. Pirx popił keksy wodą z kranu, przekonał się, że jest zimna, aż cierpną zęby, widocznie zbiorniki mieściły się blisko wierzchniej skorupy bazaltowej. Było dość dziwnie. Według jego zegarka dochodziła jedenasta, według elektrycznego w pokoju była siódma wieczór, według zegarka Langnera było dziesięć minut po północy. Przystawili zegarki na czas Luny, z tym że było to tylko prowizoryczne, bo Mendelejew miał inny, własny czas. Cała tamta strona go miała.

Do startu rakiety zostało dziewięć godzin. Langner, nic nie mówiąc, wyszedł. Pirx usiadł w fotelu, potem przeniósł się pod sufitówkę, usiłował czytać jakieś stare, potargane pisma, które leżały na stoliku, nareszcie nie mogąc usiedzieć, też wyszedł. Korytarz przechodził za zakrętem w rodzaj małego hallu, stało tam kilka foteli naprzeciw wbudowanego w ścianę telewizora. Szedł program dla Luny Głównej z Australii jakieś zawody lekkoatletyczne. Nic go nie obchodziły, ale siadł i patrzył, aż zachciało mu się spać. Wstając, skoczył na pół metra w górę, bo zapomniał o małym ciężeniu. Jakoś zobojeźniał na wszystko. Kiedy będzie mógł zdjąć cywilne łachy? Kto mu da skafander? Gdzie są jakieś instrukcje?

I co to wszystko znaczy?

Może i poszedłby gdzieś pytać, nawet awanturować się, ale jego towarzysz, ten cały doktor Langner, uważał widać sytuację za najnormalniejszą w świecie, więc chyba należy trzymać język za zębami?

Program się skończył. Pirx wyłączył telewizor i wrócił do pokoju. Nie tak przedstawiał sobie ten pobyt na Księżycu! Wytuszczał się. Przez ciekłą ściankę słycać było dochodzące

z sąsiedniego pokoju rozmowy. Oczywiście, znajomi z restauracji : turyści, których Księżyc doprowadzał do rozkosznej euforii. Jego jakoś nie. Zmienił koszulę (coś trzeba w końcu zrobić), a kiedy położył się na łóżku, wrócił Langner. Z czterema innymi książkami.

Pirxa przeszedł dreszcz. Zaczynał się domyślać, że Langner jest fanatykiem nauki, czymś w rodzaju młodszego wydania profesora Merinusa. Langner rozłożył na stole nowe fotografie i oglądając je przez szkło powiększające z takim skupieniem, z jakim Pirx nie studiował nawet zdjęć pewnej ulubionej aktorki, spytał, wiele Pirx ma lat.

— Sto jedenaście — rzekł Pirx, a gdy tamten podniósł głowę, dodał: — W układzie dwójkowym.

Langner uśmiechnął się po raz pierwszy i stał się dość podobny Do człowieka. Miał białe, mocne zęby.

— Rosjanie przyślą po nas rakiety — powiedział. — Polecimy do nich.

— Do Ciołkowskiego?

— Tak.

To była stacja już na tamtej stronie. A więc jeszcze jedna przesiadka. Pirx zastanawiał się, jak też pokonają pozostałych tysiąc kilometrów. Chyba nie pojazdem terenowym, ale rakieta. O nic już nie pytał. Nie chciał zdradzić się z tym, że nic nie wie. Zdaje się, że Langner coś do niego mówił, ale Pirx zasnął. W ubraniu. Zbudził się nagle : Langner, pochylony nad łóżkiem, dotknął jego ramienia.

— Już czas — powiedział tylko.

Pirx usiadł. Wyglądało na to, że tamten przez cały czas czytał i pisał; stos papierów z obliczeniami urósł. W pierwszej chwili Pirx myślał, że Langner mówi o kolacji, ale chodziło o rakiety. Pirx władował na siebie wypchany plecak. Langner miał jeszcze większy, wyładowany jakby kamieniami, potem się okazało, że oprócz koszul, mydła i szczoteczki do zębów są w nim same książki.

Już bez żadnego cła czy kontroli przeszli na górny poziom, gdzie czekała na nich rakietka łączności księżycowej — niegdyś srebrna, teraz raczej szara, pękata, na trzech ugiętych kolanowato, rozstawionych nogach dwudziestometrowej wysokości. Nie aerodynamiczna, bo na Księżycu nie ma atmosfery. Pirx taką jeszcze nie latał. Miał się do nich dołączyć jakiś astrochemik, ale się spóźnił. Wystartowali więc punktualnie, sami.

Brak atmosfery był wielce kłopotliwy: nie można było używać żadnych samolotów, helikopterów — niczego prócz rakiet. Nawet tak wygodnych w ciężkim terenie ślizgowców na powietrznej poduszce, bo musiałyby dźwigać cały zapas powietrza, a to było niemożliwe. Rakietka jest szybka, ale nie wszędzie wylądować; rakietki nie lubią gór ani skał. Ten ich pękaty trójnogi owad zahaczał narastającym ciągiem, zagrzmiał i poszedł świecą w górę. Kabina była ze dwa razy większa od hotelowego pokoiku. W ścianach iluminatory. w stropie — okrągłe okno, kabina pilota była nie na wierzchu, ale w łanie pod spodem, prawie że między wylotowymi dyszami, żeby dobrze widział, na czym ląduje.

Pirx czuł się jak pakunek: posyłają gdzieś, nie wiadomo dobrze, dokąd ani po co, nie wiadomo, co będzie dalej... Znana piosenka.

Weszli na parabolę. Kabina pochylona skośnie, ciągnąc za sobą długie „nogi”, Księżyc sunął pod nimi olbrzymi, wypukły, wyglądał, jakby nigdy nie stąpiła nań ludzka noga. Jest taka strefa w przestrzeni między Ziemią i Księżycem, w której pozorna wielkość obu ciał jest jednakowa. Pirx dobrze pamiętał wrażenie wyniesione z pierwszego swego lotu: Ziemia błękitnawa, przymglona, z rozmytymi konturami lądów była jakby mniej realna od Księżyca, który wisiał kamienny, z ostro występującą rzeźbą skalną, a jego nieruchomy ciężar był prawie dotykalny. Lecieli nad Morzem Chmur. Krater Bullialdusa został już w tyle, na południowym wschodzie leżał Tycho w aureoli swych lśniących promieni, które przechodziły poprzez biegun, aż na tamtą stronę: jak zwykle ze znacznej wysokości dominowało wrażenie, trudne do ujęcia, nadrzędnej regularności, która ukształtowała tę czaszę skalną. Wypełniony

słonecznym światłem Tycho był jakby środkiem konstrukcji, białawymi swymi ramionami obejmował i przerzynał Mare Humorum i Mare Nubium, a jego wybieg północny, największy, znikł gdzieś aż za horyzontem, w stronie Mare Serenitatis, gdy jednak, pozostawiwszy na wschodzie Cyrk Claviusa, zaczęli się zniżać nad biegunem i już po tamtej stronie lecieli nad Morzem Marzenia, w miarę obniżania się rakiety złudzenie ładu nikło, pozornie gładka, ciemna powierzchnia „morza” ukazywała swoje pęknięcia i szczeliny. Na północo-wschodzie zajaśniała piłą grani Verne. Wciąż tracili wysokość i teraz Księżyc z bliska wyjawiał, czym był naprawdę: płaskowyże, równiny, cyrki kraterów i gór pierścieniowych jednakowo były zryte lejami kosmicznego bombardowania, kręgi szczątków skalnych i lawy zachodziły na siebie, przenikały się, jakby tych, co prowadzili ów ostrzał tytaniczny, wciąż jeszcze nie zadowalało wywołane zniszczenie.

Nim Pirx zdążył dostrzec masyw Ciołkowskiego, rakietę, pchniętą krótkim włączeniem silników, ustawiła się pionowo, tak że ostatnią rzeczą, którą zobaczył, był ocean ciemności pochłaniającej tatą półkulę zachodnią; już spoza linii terminatora sterczał, płonąc samym wierzchołkiem, szczyt Łobaczewskiego. Gwiazdy w górnym oknie stanęły nieruchomo. Zjeżdżali na dół, jak w windzie; a że nurkowali przez własny, skupiający się u rufy płomień silników, gazy wrzeszczały na wypukłościach zewnętrznego pancerza przypominało to nieco wchodzenie w atmosferę.

Fotele rozłożyły się same, przez górny iluminator Pirx widział wciąż te same gwiazdy, lecieli kulą w dół, ale czuł miękki, nieustępliwy opór, jaki temu upadkowi stawiały grzmiące w odwrotnym kierunku dysze. Nagle gruchnęły pełną mocą. Aha, stajemy na ogniu! — pomyślał Pirx, aby nie zapomnieć, że jest wszak prawdziwym astronautą, choć jeszcze bez dyplomu — uderzenie, coś zaklekotało, trzasnęło, jakby wielki młot walił w kamienie, kabina miękko zjechała w dół, wróciła do góry, w dół w górę, i tak chodziła dobrą chwilę na bulgocących wściekle amortyzatorach, kiedy trzy dwudziestometrowe, kurczowo rozstawione „nogi” na dobre już wpiły się w skalne rumowisko.

Te wahania wygasił wreszcie pilot, dodając trochę ciśnienia do przewodów olejowych, zasyczało i kabina zawisła nieruchomo.

Pilot wylazł do nich przez klapę w środku podłogi, otworzył ścienną szafę, w której, na koniec, ukazały się skafandry. W Pirxa wstąpiło coś w rodzaju animuszu, nie na długo jednak. Były cztery skafandry, jeden pilota, poza tym mały, średni i duży. Pilot wlaź w swój skafander w minutę, tylko hełmu nie założył i czekał na nich. Langner też uporał się szybko. A Pirx, czerwony, spocony i wściekły, nie wiedział, co robić. Średni skafander był nań za mały, a duży — za wielki. W średnim opierał się solidnie głową o wierzch hełmu. W dużym latał jak kokosowe ziarenko w wyschłej skorupie. Owszem, udzielano mu życzliwych rad. Pilot zauważył, że duży skafander jest zawsze lepszy od ciasnego, i zaproponował mu, żeby wypchał puste miejsce bielizną z plecaka. Ewentualnie gotów był mu nawet pożyczyć koc. Dla Pirxa jednak sama myśl o takim napychaniu skafandra miała w sobie coś bluźnierczego, przed czym cała jego astronautyczna dusza stanęła dęba. Owijać się jakimiś szmatami?

Włożył mniejszy skafander. Pilot ani Langner nic już nie mówili, ten pierwszy otworzył klapę służby wyjściowej, weszli we trzech, pilot zakręcił śrubowym kołem i z kolei odemknął klapę zewnętrzną.

Gdyby nie Langner. Pirx od razu wyskoczyłby i być może udałoby mu się już w pierwszym stąpieniu skrócić nogę, ponieważ od powierzchni dzieliło ich dwadzieścia metrów a choć ciężenie małe, skok, biorąc pod uwagę ciężar skafandra, jak gdyby z wysokości piętra na stopy głazów, w najwyższym stopniu chwiejnych.

Pilot opuścił składaną drabinkę i zeszli po niej — na Księżyc. I tu nikt nie oczekiwał ich z kwiatami ani bramami triumfalnymi. Nie było żywej duszy. Pancerna kopuła stacji Ciołkowskiego wznosiła się, oświetlona skośnymi promieniami straszego księżycowego słońca, w odległości niespełna kilometra. Ponad nią widniało wykute w skale małe lądowisko,

ale było zajęte: stały tam obok siebie w dwu rzędach rakiety, dużo większe od tej, którą przylecieli : transportowe.

Ich rakietą, osiadłszy trochę w jedną stronę, spoczywała w swym potrójnym rozkroku; głązy bezpośrednio pod lejami dysz pociemniały, osmalone odrzutowym ogniem. Teren był ku zachodowi prawie płaski, jeśli płaskim można było nazwać to nieskończone gruzowisko, z którego tu i ówdzie sterczały złomy wielkości kamienic. Ku wschodowi wybrzuszał się zrazu łagodnie, aby przejść szeregiem pionowych prawie uskoków w główny masyw Ciołkowskiego; ta pozornie bliska ściana leżała w cieniu i czarna była jak węgiel. Jakies dziesięć stopni nad grzbietem Ciołkowskiego płonęło słońce — nie można było patrzeć w tę stronę, tak oślepiało. Pirx spuścił od razu przesłonę na szybkę hełmu, ale niewiele to pomogło. Tyle, że nie musiał już mrużyć oczu. Stąpając ostrożnie po ruchomych gładach, ruszyli ku Stacji.

Rakietę stracili zaraz z oczu, bo trzeba było przejść płytką kotlinę. Stacja dominowała nad nią i nad całą okolicą, w trzech czwartych wpuszczona w lity mur skalny. Wyglądała jak pamiętająca mezozoik, rozwalona wybuchem, skalna forteca. Podobieństwo ostro ściętych naroży do baszt ochronnych było uderzające, ale tylko z daleka — im byli bliżej, tym wyraźniej „baszty” traciły foremność, rozchodziły się, a zbiegające po nich czarne pasy okazywały się głębokimi pęknięciami; jak na Księżycu teren był jednak stosunkowo równy i szło się po nim szybko. Każde stąpienie wzbijało chmurkę kurzu, tego osławionego kurzu księżycowego, który wznosił się wyżej pasa, otaczał ich mleczną, najbielszą chmurą i nie chciał opadać. Dlatego nie szli gęsiego, lecz obok siebie — i kiedy już pod samą Stacją Pirx odwrócił się, zobaczył całą przebytą drogę — znaczyły ją trzy obłe, nieregularne węże czy warkocze tego pyłu, jaśniejszego od wszystkich ziemskich.

Pirx wiedział o nim sporo pożytecznych rzeczy. Że pierwsi zdobywcy zdumieni byli tym zjawiskiem : pyłu oczekiwano, ale najdrobniejszy nawet powinien był natychmiast opadać w próżni bezpowietrznej. Księżycowy jakoś nie chciał. I co ciekawsze, tylko za dnia. Pod słońcem. Bo, jak się okazało, zjawiska elektryczne przebiegają na Księżycu inaczej niż na Ziemi. Na Ziemi są wyładowania atmosferyczne, błyskawice, pioruny, ogniki świętego Elma. Na Księżycu oczywiście nie ma ich. Ale bombardowane cząsteczkowym promieniowaniem skały ładują się takim samym ładunkiem, jak pokrywający je kurz. Więc, że jednakowe ładunki się odpychają, kurz, raz wzbity, utrzymuje się dzięki odpychaniu elektrostatycznemu czasem i godzinę. Kiedy na Słońcu jest więcej plam, Księżyc „kurzy się” bardziej. Podczas minimum — mniej. I zjawisko to znika dopiero w kilka godzin po zapadnięciu nocy — tej przeraźliwej nocy, której sprostać mogą tylko specjalne, dwuścienne, na podobieństwo termosów budowane, skafandry, ciężkie, nawet tutaj, jak wszyscy diabli.

Uczone te rozmyślenia przerwało przybycie do głównego wejścia Stacji. Przyjęto ich gościnnie. Naukowy kierownik Stacji, profesor Ganszyn, zaskoczył trochę Pirxa, który pewną przeciwwagę swej pucłowatości widział we wzroście. Ganszyn patrzył jednak na niego z góry — nie w przenośni. Dosłownie. A jego kolega, fizyk, doktor Pnin, był jeszcze wyższy. W pewnym sensie jego wysokość, w połączeniu z ogólnymi rozmiarami, kazała myśleć raczej o oddaleniu w pionie. Miał chyba dwa metry. Było tam jeszcze trzech innych Rosjan, a może i więcej, ale nie pokazywali się zapewne mieli służbę. Na wierzchu mieściło się obserwatorium astronomiczne, stacja radiowa, skośnie wybitym w skale i wycementowanym tunelem szło się do osobnej kopułki, nad którą wirowały wielkie kraty radarów, a przez iluminatory można było dostrzec ustawiony na samej grani Ciołkowskiego rodzaj oślepiająco srebrnej, regularnej pajęczyny — był to główny radioteleskop, największy na Księżycu. Dostać się tam można było w pół godziny, kolejką linową.

Potem wyjaśniło się, że Stacja jest jeszcze o wiele większa, aniżeli na to wyglądała. W podziemiach były olbrzymie zbiorniki wody, powietrza, żywności ; w niewidocznym z kotliny wbudowanym w pęknięcie skał skrzydle znajdowały się przetwornice energii

promienistej Słońca na elektryczną. I była tam też rzecz zupełnie wspaniała: olbrzymie solarium hydroponiczne, pod kopułą ze zbrojnego stałą kwarcu; oprócz sporej ilości kwiatów i wielkich zbiorników z jakimiś galonami dostarczającymi witamin i białka, rósł, w samym środku, bananowiec. Pirx i Langner zjedli po bananie, wyhodowanym na Księżycu. Śmiejąc się, doktor Pnin wyjawiał im, że banany nie należą do codziennej stawy załogi : są raczej dla gości.

Langner, który znał się trochę na księżycowym budownictwie, zaczął wypytywać o szczegóły konstrukcji kwarcowej kopuły, bo zadziwiła go bardziej od bananów; w samej rzeczy — budowla była oryginalna. Ponieważ na zewnątrz otwierała się próżnia, kopuła musiała wytrzymać stałe ciśnienie dziewięciu ton na metr kwadratowy, co przy jej rozmiarach sumowało się w imponującą liczbę dwóch tysięcy ośmiuset ton. Z taką siłą zawarte w solarium powietrze usiłowało wysadzić kwarcową banię we wszystkich kierunkach. Zmuszeni do rezygnacji z żelbetów, konstruktorzy wtopili w kwarc szereg zespawanych żeber, które całą moc parcia bez mała trzech milionów kilogramów przekazywały na irydową tarczę u szczytu: stamtąd rozchodziły się, już na zewnątrz, potężne stalowe liny, zakotwiczone głęboko w okolicznym bazalcie. Był to więc jedyny w swoim rodzaju „kwarcowy balon na uwięzi”.

Z solarium poszli prosto do sali jadalnej na obiad. Bo na Ciołkowskim przypadała właśnie pora obiadowa. Był to już trzeci z kolei obiad Pirxa: po drugim na Lunie i pierwszym w rakiecie. Wyglądało na to, że na Księżycu je się tylko obiady.

Jadalnia, zarazem pomieszczenie wspólne, była niezbyt wielka; ściany pokrywało drewno — nie boazeria, ale sosnowe belki. Nawet żywicą pachniało. Taka nadzwyczajna „ziemskość” była, po oślepiających krajobrazach księżycowych, szczególnie miła. Ale profesor Ganszyn zdradził im, że to tylko cienka, wierzchnia warstwa powłoki ściennej jest drewniana — żeby się mniej za domem tęskniło. Ani podczas obiadu, ani później nie mówiło się o Mendelejewie, o wypadku, o nieszczęśliwych Kanadyjczykach, ani o odlocie, zupełnie jakby przyjechali w gościnę i mieli tu siedzieć nie wiadomo jak długo, Rosjanie zachowywali się, jakby oprócz Pirxa i Langnera w ogóle nic nie mieli na głowie — pytali, co słychać na Ziemi, jak tam na Lunie Głównej ; w przyływie szczerości Pirx wyznał swą żywiołową niechęć dla turystów i ich manier; wyglądało na to, że znalazł przychylnych słuchaczy.

Dopiero po jakimś czasie można było zauważyć, że to ten, to inny z gospodarzy wychodzi, żeby niebawem wrócić. Później wyjaśniło się, że chodzili do obserwatorium, bo na Słońcu powstała bardzo piękna protuberancja. Kiedy to słowo padło, wszystko inne przestało dla Langnera istnieć. Właściwie naukowcom, im samym nieświadome, zapamiętanie ogarnęło cały stół. Przyniesiono fotografie, potem wyświetlano film nakręcony przez koronograf protuberancja była rzeczywiście wyjątkowa, miała trzy czwarte miliona kilometrów długości i wyglądała jak przedpotopowy stwór z płomienistą paszczką. Ale nie o to zoologiczne podobieństwo chodziło, Ganszyn. Pnim trzeci astronom i Langner po zapaleniu światła zaczęli rozmawiać z błyszczącymi oczami, głusi na wszystko — ktoś wspominał o przerwanych obiedzie — wrócili do jadalni, lecz i tu, odsunąwszy talerze, wszyscy zabrali się do rachowania na papierowych serwetkach, aż doktor Pnin zlitował się nad siedzącym niby na kazaniu tureckim Pirxem i zaprosił go do swego pokoju, malutkiego, ale wyposażonego w godną podziwu rzecz : duże okno, z którego otwierał się widok na wschodni szczyt Ciołkowskiego. Słońce, niskie, ziejące jak piekielne wrota, rzucało w chaos skalnych spiętrzeń drugi chaos, cieniów, pochłaniających czernią kształty, jakby się za każdą krawędzią oświetlonego głazu otwierała diabelska studnia, wiodąca do samego środka Księżycy. Jakby tam nicość rozpuszczała turnie, skośne wieże, igły, obeliski, które wyskakiwały dalej z atramentowych mroków niby jakiś ogień skamieniały, wstrzymany w locie, że oko traciło się wśród niemożliwych do scalenia form, znajdując wątpliwą ulgę tylko w okrągłych jamach czerni, niby oczodołach wylupionych to były, wypełnione po brzegi cieniem, oka małych

kraterów, szczególnie dobitne w tym skośnym, ponad rzeczywistość uplastyczniającym pustynię świetle.

Był to widok jedyny w swoim rodzaju. Pirx bywał już na Księżycu (co powtórzył ze sześć razy podczas rozmowy), ale nigdy o tej porze, dziewięć godzin przed zachodem. Siedzieli z Pninem długo. Pnin mówił mu „kolego”, a on nie wiedział, jak odpowiadać, lawirował więc w gramatyce jak się dało. Rosjanin miał fantastyczną kolekcję zdjęć, robionych w czasie wspinaczek — on, Ganszyn i trzeci ich towarzysz, znajdujący się chwilowo na Ziemi, zajmowali się w wolnych chwilach alpinistyką.

Byli tacy, co próbowali wprowadzić w obieg „lunistyka”, ale się nie przyjął, tym bardziej że istnieją przecież Alpy księżycowe.

Pirx, który jeszcze przed wstąpieniem do Instytutu chodził na wspinaczki, odkrywając w Pninie bratnią duszę, zaczął go wypytywać o różnice między techniką ziemską a księżycową.

— Musicie pamiętać o jednym, kolego — powiedział Pnin tylko o jednym. Róbcie wszystko „jak w domu”, dopóki się uda. Lodu tutaj nie ma, chyba w bardzo głębokich szczelinach, a i to niesłychanie rzadko, śniegów, rozumie się, też żadnych, więc niby jest bardzo łatwo, tym bardziej że można spaść z trzydziestu metrów i nic się człowiekowi nie stanie — ale o tym nawet myśleć nie wolno.

Pirx bardzo się zdziwił. Dlaczego?

— Bo tu nie ma powietrza — wyjaśnił astrofizyk. — I żebyście nie wiedzieć jak długo chodzili, nie nauczycie się oceniać prawidłowo odległości. Tu nawet dalmierz niewiele pomaga, a któż chodzi z dalmierzem? Wejdziecie na szczyt, zajrzycie w przepaść i wydaje się wam, że ma pięćdziesiąt metrów. Może ma pięćdziesiąt, może trzysta, a może pięćset. Zdarzało mi się... Zresztą, wiecie, jak to jest. Jak człowiek raz sobie powie, że może odpaść, to prędzej czy później poleci. Na Ziemi głowa się rozbija i zagoi, a tutaj jedno dobre stuknięcie w hełm, szybka pęknie, i po wszystkim. Tak że zachowujcie się jak w ziemskich górach. Na co byście sobie pozwolili tam, możecie sobie pozwolić tutaj. Z wyjątkiem skakania przez szczeliny. Choćby się wam zdawało, że jest ledwo dziesięć metrów, to jakby na Ziemi półtora, poszukajcie kamienia i przerzucie na drugą stronę. Obserwujcie jego lot, prawdę mówiąc jednak radziłbym, tak od serca, w ogóle nie skakać. No, bo jak sobie człowiek parę razy skoczy na dwadzieścia metrów, to mu już i przepaści nie straszne, i góry po kolana a wtedy najłatwiej o wypadek. Pogotowia górskiego tu nie ma... więc sami rozumiecie.

Pirx spytał o Mendelejewa. Czemu stacja jest pod granią, a nie na dole? I czy droga trudna? Podobno wspinaczka? — Prawdziwej wspinaczki nie ma, tylko trochę ekspozycji, a to dlatego, że poszła lawina kamienna. Spod Bramy Słonecznej. Zniosła drogę... Co do lokalizacji, niezręcznie mi o tym mówić. Teraz zwłaszcza, po tym nieszczęściu. Ale musieliście przecież czytać o tym, kolego?...

Pirx, okropnie zmieszany, wystękał, że miał wtedy sesję egzaminacyjną... Pnin uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał. — No cóż. Księżyc jest umiędzynarodowiony, ale każde państwo ma swoją strefę badań naukowych — a my mamy tę półkulę. Kiedy się okazało, że pasy van Allena zakłócają bieg promieni kosmicznych na półkuli skierowanej ku Ziemi, Anglicy zwrócili się do nas, żebyśmy im dali wybudować stację na naszej stronie. Zgodziliśmy się. Właśnie braliśmy się już sami do roboty, w Mendelejewie, więc zaproponowaliśmy im, żeby przejęli go po nas, z tym że odstąpimy im wszystkie zwiezione przez nas materiały budowlane, a rozliczać się będziemy potem. Anglicy najpierw zaakceptowali, a potem odstąpili Mendelejewowi Kanadyjczykom, jako należącym do Wspólnoty Brytyjskiej. Nam to nie robiło naturalnie różnicy. Ponieważ przeprowadzaliśmy już wcześniej wstępne rozpoznanie terenu, jeden z naszych, profesor Animcew, wszedł w skład projektującej grupy kanadyjskiej, z głosem doradcy, dobrze zorientowanego w lokalnych warunkach. Naraz dowiadujemy się, że Anglicy jednak biorą w tej historii udział. Przysłali Shannera, który

oświadczył, że na dnie krateru mogą powstawać wtórne pęki promieniowania i będą zakłócać uzyskiwane rezultaty. Wasi specjaliści uważali, że to niemożliwe, ale w końcu Anglicy zdecydowali : to miała być ich stacja. Postanowili przenieść ją pod grań. Koszty oczywiście wzrosły przerażająco. A całą nadwyżkę finansowali Kanadyjczycy. No, ale mniejsza o to. Nie zaglądamy do cudzych kieszeni. Zlokalizowano stację, zabrano się do wytyczania drogi. Animcew daje nam znać: Brytyjczycy chcieli najpierw przekroczyć dwie przepaście na szlaku projektowanej drogi żelbetowymi mostami, ale Kanadyjczycy nie godzą się, bo kosztorys wzrasta przez to niemal dwukrotnie. Więc chcą wgryźć się w wewnętrzny stok Mendelejewa, przebić dwa skalne żebra kierunkowymi wybuchami. Odradzamy im — to może naruszyć równowagę krystalicznego trzonu bazaltowego. Ale nie słuchają. Co robić?

Cóż mogliśmy zrobić? Przecież to nie dzieci. Mamy więcej doświadczenia selenologicznego, ale skoro nie chcą słuchać rad, nie będziemy się im narzucali. Animcew złożył votum separatum i na tym się skończyło. Zaczęli odstrzeliwać skałę. Pierwszy nonsens — lokalizacji, pociągnął za sobą drugi, a skutki, niestety, nie dały na siebie długo czekać. Anglicy zbudowali trzy mury przeciwlawinowe, uruchomili Stację, posłali transportery na gaśnicówkach — proszę bardzo, udało się. Stacja pracowała już trzy miesiące, kiedy u podnóża przewieszki pod Bramą Słoneczną, tą wielką szczyrbą zachodnią grani — pokazały się szczeliny...

Pnin wstał, wyjął z szuflady kilka dużych fotografii i pokazał je Pirxowi.

— O, w tym miejscu. To jest, a właściwie była półtorakilometrowa płyta, miejscami przewieszona. Droga szła mniej więcej w jednej trzeciej wysokości, jak ta czerwona linia. Kanadyjczycy wszczęli alarm. Animcew (wciąż tam siedział i perswadował) tłumaczy im: różnica temperatur dnia i nocy wynosi trzysta stopni. Pęknięcia będą się powiększały, na to nie ma rady. Przecież nie podeprze się niczym półtorakilometrowej ściany ! Drogi trzeba natychmiast zamknąć, a że Stacja już stoi, zbudować kolejkę linową. Oni zaś ściągają, jednego po drugim, ekspertów z Anglii, z Kanady — i odbywa się po prostu komedia eksperci, którzy mówią to samo, co nasz Animcew, natychmiast wracają do domu. Zostają tylko ci, którzy widzą jakąś radę na szczeliny. Zaczynają cementować. Głębokie zastrzyki, przypory, cementują i cementują bez końca, bo co zacementują za dnia, pęka po następnej nocy. Żlebem schodzą już małe lawinki, ale zatrzymują się na murach. Budują system klinów rozbijających większe lawiny. Animcew tłumaczy, że nie chodzi o lawiny: cała płyta może runąć! Nie mogłem wprost na niego patrzeć, kiedy do nas przyjeżdżał, ten człowiek ze skóry wychodził: widział nadchodzące nieszczęście i nic nie mógł na to poradzić. Lojalnie wam powiem: Anglicy mają doskonałych specjalistów, ale to nie był problem specjalistyczny, selenologiczny, to się zrobiła kwestia ich prestiżu: zbudowali drogę i nie mogą się wycofać. Animcew wreszcie złożył któryś tam protest i odszedł. Potem doszło nas, że między Anglikami a Kanadyjczykami wynikły spory, tarcia w związku z tą płytą; to jest krawędź tak zwanego Orlego Skrzydła. Kanadyjczycy chcieli ją wysadzić, całą: drogę zrujnuje, ale potem będzie można zbudować bezpieczną. Anglikom to nie odpowiadało — zresztą była to utopia; Animcew obliczył, że trzeba by sześciomegatonowego ładunku wodorowego, a konwencja ONZ zabrania użycia materiałów radioaktywnych jako środków wybuchowych.

I tak się tam spierali i kłócili, aż płyta runęła...

Anglicy pisali potem, że wszystko przez Kanadyjczyków; bo odrzucili pierwszy projekt, tych wiaduktów betonowych... Pnin patrzył chwilę na zdjęcie drugie, ukazujące powiększoną niemal dwukrotnie szczyrbę grani; czarnymi kropkami wyznaczone było miejsce obwału, który zabrał i zdruzgotał drogę wraz ze wszystkimi jej umocnieniami.

— W rezultacie Stacja jest okresowo niedostępna — bo przecież w dzień łatwo dojść, parę trawersów, tyle że duża ekspozycja, już wam mówiłem — za to w nocy praktycznie to niemożliwe. My tu nie mamy Ziemi, wiecie...

Pirx zrozumiał, o czym myśli Rosjanin : na tej stronie, podczas długich nocy

księżycowych, nie świeciła wielka lampa Ziemi.

— A podczerwienią nic nie można zrobić” — spytał. Pnin uśmiechnął się.

— Okulary infraczerwone? Jakaż tam podczerwień, kolego, kiedy w godzinę po zachodzie skała ma minus sto sześćdziesiąt stopni na powierzchni... Owszem, teoretycznie można by iść z radaroskopem, ale czyście próbowali kiedyś wspinać się w ten sposób?

Pirx wyznał, że nigdy.

— I nie radzę wam. Jest to wyjątkowo skomplikowany sposób popełnienia samobójstwa. Radar dobry jest w terenie płaskim, ale nie w ścianie...

Wszedł Langner z profesorem: musieli już lecieć. Do Mendelejewa mieli pół godziny lotu, droga wymagała dalszych dwóch, a za siedem godzin zachodziło słońce. Siedem godzin rezerwy to jakby zbyt wiele. Lecz tu znów wyjaśniło się, że polecą z nimi doktor Pnin. Zaczęło się tłumaczenie, że to niepotrzebne, ale gospodarze nie chcieli nawet o tym słyszeć.

Kiedy już mieli iść. Ganszyn spytał, czy nie mają jakichś wieści do przekazania na Ziemię — to ostatnia okazja. Bo wprawdzie Mendelejew ma z Ciołkowskim łączność radiową, ale za siedem godzin wejdą na terminator i będą silne zakłócenia.

Pirx pomyślał, że byłoby niezłe przesłać siostrze Mattersa pozdrowienia z „tamtej strony”, ale się na to nie odważył. Podziękowali zatem i zeszli na dół, gdzie znów wyszło na to, że Rosjanie odprowadzą ich do rakiety. Tu Pirx załamał się i opowiedział, jaki przypał mu w udziale skafander. Więc dobrali mu inny, a tamten został w komorze ciśnieniowej Ciołkowskiego.

Ten rosyjski skafander był trochę inny od znanych Pirxowi miał trzy, nie dwie przesłony, na wysokie słońce, na niskie słońce i na kurz — ciemnopomarańczową. W innych miejscach zawory powietrzne i bardzo zabawne urządzenie w butach — można było nadymać podeszwy, że chodziło się jak na poduszkach. Nie czuło się w ogóle skały, a zewnętrzna warstwa zelówki przylegała doskonale do najgładszej powierzchni. Był to model „wysokogórski”. Poza tym skafander był w połowie srebrny, a w połowie czarny. Kiedy się człowiek zwrócił czarną stroną ku słońcu, zaczynał potnieć, a kiedy srebrną — ogarniał go przyjemny chłód.

Pirxowi wydawało się to nie całkiem dobrym pomysłem, bo przecież nie zawsze wybiera się stront, z której świeci słońce. Trzeba iść wtedy tyłem czy jak?

Tamci zaczęli się śmiać. Pokazali mu pokręto na piersi, które powodowało przesunięcie srebra i czerni miejscami.

Można było mieć przód korpusu czarny, a plecy srebrne, albo na odwrót. Sposób, w jaki się te bary przemieszczały, był ciekawy. Między zewnętrzną przezroczystą, z twardego plastyku sporządzoną warstwą skafandra a właściwym jego korpusem ziała cieniutka szczelina, wypełniona dwoma rodzajami barwników, czy raczej mas półpłynnych, aluminiowanej i nawęglonej. Przepychało je po prostu ciśnienie tlenu z aparatury do oddychania.

Ale trzeba było już iść na statek. Przedtem, przychodząc ze słońca, Pirx nie widział nic w komorze ciśnieniowej, taki był oślepiiony. Teraz dopiero zauważył, że była osobiście urządzona — cała jedna ściana chodziła jak tłok. A to dlatego, wyjaśnił Pnin, żeby za jednym zamachem można wpuszczać albo wypuszczać dowolną ilość ludzi i niepotrzebnie nie tracić powietrza. Pirx poczuł coś w rodzaju zazdrości, bo komory w Instytucie były to wysłużone pudła, przestarzałe co najmniej o pięć lat, a pięć lat technologicznego zacofania — to cała epoka! Słońce pozornie wcale się nie opuściło. Dziwnie szło się w nadymany butach, jakby ponad gruntem, ale uczucie to znikło, nim doszli do rakiety.

Profesor przytknął hełm do hełmu Pirxa, wykrzyknął kilka pożegnalnych słów, podali sobie ręce w ciężkich rękawicach i wleźli za pilotem do brzucha rakiety, która odrobinę siadła pod zwiększonym ciężarem.

Pilot odczekał, żeby tamci mogli odejść na bezpieczną odległość, i zapuścił silniki.

Wewnątrz skafandra ponury grzmot narastającego ciągu brzmiał jakby zza grubej ściany. Ciężenie wzrastało, ale nawet nie poczuli, kiedy rakieta oderwała się od gruntu. Tylko gwiazdy zawahały się w iluminatorach, a widoczne przez ich niższy pas skalne pustkowie opadło w dół i znikło.

Lecieli teraz zupełnie nisko i dlatego nic nie widzieli tylko pilot obserwował przesuwający się pod rakieta upiorny krajobraz. Rakieta wisiała pionowo jak helikopter. Narastanie szybkości poznawało się po głośniejszym ciągu i delikatnej wibracji całego korpusu.

— Uwaga, schodzimy — dobiegły słowa z wnętrza hełmu. Pirx nie wiedział, czy to mówi pilot przez instalację pokładowego radia, czy Pnin. Fotele rozłożyły się. Odetchnął głęboko, stał się lekki, tak lekki, jakby miał popłynąć ku sufitowi; odruchowo ujął poręcze. Pilot zahamował ostro, dysze zabuzowały, zagrały skowyczącym tonem, wrzask odwróconych, wijących się wzdłuż ścian płomieni urósł nieznośnie, ciężenie wzrosło, zmałało, i Pirxa doszedł podwójny, suchy odgłos stuknięcia — siedli. W następnej chwili stało się coś nieoczekiwane. Rakieta, która weszła już w te swoje kołyszące się ruchy i hułała się w górę i w dół, chyba trochę tak, jak czasem owad wykonujący odwłokiem miarowe przysiady, pochyliła się i z narastającym grzechotaniem głazów zaczęła się najwyraźniej obsuwać... Katastrofa — przemknęło w myśli Pirxowi. Nie przestraszył się, ale odruchowo napiął wszystkie mięśnie. Tamci dwaj leżeli nieruchomo. Silnik milczał. Rozumiał doskonale pilota: pojazd chwiejnie, kulawo sunął wraz z osypiskiem i ciąg silników, zanimby go uniósł w górę, mógł — przy nagłym przechyle jednej z „nóg” — przewrócić ich lub rzucić na skały.

Grzechotanie i wizg przesuwających się pod stalowymi łapami brył kamiennych słabły, aż ustały. Jeszcze parę strumyków żwiru dźwięcznie uderzyło o stal, jeszcze jakiś odłam usunął się głębiej pod ciężarem przegubowej „nogi” i kabina powolutku osiadła, przekrzywiona o jakieś dziesięć stopni.

Pilot wylazł ze swojej studzienki trochę nieswój i zaczął tłumaczyć, że konfiguracja terenu zmieniła się: widocznie północnym żlebem zeszła nowa lawina. Lądował na piargu, pod ścianą, bo chciał, żeby mieli jak najbliżej.

Pnin odparł, że to nie jest najlepszy sposób skracania drogi, lawinisko — nie kosmodrom, i kiedy się nie musi, ryzykować nie wolno. Na tym się krótka wymiana zdań skończyła, pilot przepuścił ich do śluzu i zeszli po drabince na piarg. Pilot został w rakiecie, czekając na powrót Pnina, a oni ruszyli we dwóch za wielkim Rosjaninem.

Pirx sądził dotąd, że zna Księżyc. Mylił się jednak. Otoczenie Ciołkowskiego było rodzajem promenady w porównaniu z miejscem, w którym się znalazł. Rakieta, przechylona na maksymalnie rozstawionych „nogach”, ugrzęzłych w kamiennym lawinisku, stała jakieś trzysta kroków od cienia, rzucanego przez główny wał Mendelejewa. Rozżagwiona w czarnym niebie czeluść słoneczna dotykała niemal grani, która zdawała się w tym miejscu topnieć — ale to było złudzenie. Nie był nim obszar pionowych ścian, wychodzących z ciemności jakiś kilometr, a może dwa dalej; ku porzniętej głębokimi rowami równinie, stanowiącej dno krateru, zbiegały ze żlebów przeraźliwe białe stożki osypisk; miejsca świeżych obwałów można było poznać po zmętnieniu rysunku głazów, wywołanym osiadającą w ciągu godzin kurzawą. Samo dno krateru, z popękanej taflami lawy, także pokrywała warstwa jasnego pyłu; cały Księżyc upudrowany był mikroskopijnymi szczątkami meteorów, tego martwego deszczu, który od milionleci padał nań z gwiazd.

Po obu stronach ścieżki, a właściwie nagromadzenia brył i odłamów, równie dzikiego jak całe otoczenie, tej ścieżki, co nazwę swą zawdzięczać mogła tylko osadzonym w cemencie aluminiowym tykom, z których każda miała u szczytu rodzaj rubinowej kulki, po obu stronach tego w górę piargów wycelowanego szlaku stały, w połowie objęte światłem, w połowie czarne jak noc galaktyczna, ściany, z którymi nie mogły się równać olbrzymy Alp czy Himalajów.

Niewielkie ciężenie księżycowe pozwalało budulcowi skalnemu przybierać formy,

zrodzone jakby w koszmarnym śnie, i trwać w nich wiekami, że oko, choćby nawykłe do widoku przepaści, prędzej czy później gubiło się podczas wędrówki ku szczytom, a inne zmysły potęgowały jeszcze wrażenie nierzeczywistości, niemożliwości takiego krajobrazu: białe bryły pumeksu trącone stopą podlatywały w górę, jak pęcherze, najcięższy zaś bazaltowy okruch, rzucony na osypisko, leciał niesamowicie powoli i długo, aby upaść bezdźwięcznie — tak właśnie, jakby to było tylko we śnie. Kilkaset kroków wyżej barwa skały zmieniała się. Rzeki różowawego porfiru dwoma obwałowaniami obejmowały żleb, ku któremu szli. Głazy, spiętrzone gdzieniegdzie na wysokość kilku pięter, szczone brzytwowatymi krawędziami, jak gdyby czekały tylko dotknięcia, które puści je niepovstrzymanym kamieniospadem.

Pnin prowadził ich przez ten las skamieniałych wybuchów idąc niezbyt szybko, lecz nieomylnie. Czasem płyta, na której postawił nogę w ogromnym bucie skafandra, zachybotowała. Wówczas zamierał na mgnienie i albo szedł dalej, albo omijał to miejsce, poznając po sobie tylko wiadomych oznakach, czy gład wytrzyma ciężar człowieka, czy nie.

A przy tym dźwięk, tak wiele mówiący wspinaczowi, tutaj nie istniał.

Jedna z pałub bazaltowych, które omijał, bez najmniejszej przyczyny obruszyła się w dół stoku, lecąc ruchem jakby sennym, zwolnionym — aż porwała za sobą gromadę kamieni, które wściekłymi susami sadziły coraz szybciej, nareszcie biała jak mleko kurzawa okryła dalszą drogę lawiny. Widowisko to było właśnie jak z majaczenia, maligny — zderzające się bryły nie wydawały głosu i nawet drżenia gruntu nie czuło się przez pękate podeszwy butów; kiedy ostro zakręcili przy następnym zakosie, Pirx zobaczył ślad zejścia lawiny i ją samą, już jako chmurę łagodnie ścielących się fal. Odruchowo, z niepokojem poszukał oczami rakiety, ale była bezpieczna — stała jak przedtem oddalona może o kilometr, może o dwa, widział jej lśniący odwłok i trzy kreseczki nóżek. Niby dziwny owad księżycowy spoczywała na starym lawinisku, które przedtem wydawało mu się spadziste, teraz zaś płaskie niczym stół.

Gdy zbliżyli się do strefy cienia. Pirx przyspieszył kroku. Zaciekłość i groza bijące z otoczenia tak absorbowały Pirxa, że nie miał wprost czasu, by obserwować Langnera. Teraz doszło do niego, że mały astrofizyk idzie pewnie i nigdy się nie potyka.

Trzeba było przeskoczyć czterometrową szczelinę. Pirx włożył w skok zbyt wiele siły; poszybował w górę i opadł poruszając bezsensownie nogami dobrych osiem metrów za krawędzią przeciwnego brzegu. Dopiero w takim skoku księżycowym otwierało się człowiekowi nowe doznanie, które nie miało nic wspólnego z błaznowaniem turystów hotelowych Luny. Weszli w cień. Dopóki znajdowali się względnie blisko osłonecznionych płyt skalnych, ich odbłask rozjaśniał trochę otoczenie i grał w wypukłościach skafandrów. Ale rychło mrok jał gęstnieć, aż stał się taki, że znikli sobie z oczu. W tym cieniu była noc. Pirx poczuł jej mróz przez wszystkie warstwy antytermiczne skafandra; mróz nie docierał bezpośrednio do ciała, nie kasał skóry, był tylko jakby objawieniem nowej milczącej, lodowatej obecności poszczególne płyty pancerne skafandra najwyraźniej zadrgały, ochłodzone o dwieście kilkadziesiąt stopni. Gdy oczy nawykły, Pirx zobaczył, że kule na szczytach aluminiowych masztów wydzielają wcale silne, czerwone światło; paciorki tego rubinowego naszyjnika zakręcały wzwyż i znikły w słońcu — tam rozpekły grzbiet skalny sadił ku równinie trzema przepaściami; przedzielały je wąskie, poziome przesunięcia tafli ściennych, tworząc rodzaj ostrych gzymsów. Wydawało mu się, że nikaący szereg masztów prowadzi do jednej z owych półek, ale pomyślał, że to chyba niemożliwe. Wyżej, przez rozwalony jakby piorunowymi ciosami główny wał Mendelejewa, szedł słup poziomego prawie światła słonecznego. Wyglądało ino jak rozpoczynający się w głuchym milczeniu wybuch, bryzgający rozpaloną bielą na skalne filary i kominy.

— Tam jest Stacja — usłyszał w helmie bliski głos Pnina. Rosjanin zatrzymał się na granicy nocy i dnia, mrozu i żaru, pokazując coś w górze, lecz Pirx oprócz czarniawych nawet w słońcu zerw niczego nie zobaczył.

— Widzicie Orła... Tak nazwaliśmy ten grzbiet... to jest głowa, to dziób, a to — skrzydło...

Pirx widział tylko nagromadzenie światła i cieni, nad wschodnią roziskrzoną granią sterczała pozornie bliska, bo nie rozmyta powietrzną mgiełką, przechylona turnia. Nagle zobaczył całego Orła — skrzydło to była właśnie ta ściana, ku której zmierzali: wyżej z grani wyłaniała się głowa na tle gwiazd, turnia była dziobem.

Spojrzał na zegarek. Szli już czterdzieści minut. A więc chyba co najmniej jeszcze drugie tyle.

Przed następną strefą cienia Pnin zatrzymał się, żeby przestawić swój klimatyzator. Pirx skorzystał z tego i spytał, którądy szła droga.

— Tędy — wskazał ręką w dół. Pirx widział tylko pustkę, a na jej dnie stożek osypiska, z którego sterczały wielkie odłamy skalne.

— Stamtąd oberwała się płyta — tłumaczył Pnin, zwracając się teraz ku wgłębieniu grani. — To jest Brama Słoneczna. Nasze sejsmografy w Ciołkowskim zarejestrowały wstrząs; przypuszczalnie zeszło około pół miliona ton bazaltu...

— Zaraz — powiedział oszołomiony Pirx — a jak się teraz dostarcza na górę zapasy?

— Sami zobaczycie, jak tam przyjdziemy — rzekł tamten i ruszył z miejsca. Pirx podążył za nim, łamiąc sobie głowę nad rozwiązaniem tej zagadki, ale nic nie wymyślił. Czyżby wynosili każdy litr wody, każdą butlę tlenu na plecach?

To było niemożliwe.

Teraz szli szybciej. Ostatnia aluminiowa tyka tkwiła u przepaści. Ogarnęła ich ciemność. Zaświecili czołowe reflektory, których płamy błędnie podrygiwały, przeskakując z jednych garbów ściany na inne: kroczyli po gzymsie, zwiężającym się miejscami do szerokości dwóch dłoni, gdzie indziej tak szerokim, że można było stanąć na nim w rozkroku. Szli jak po linie, tą półką lekko pofałdowaną, ale zupełnie płaską, jej chropowatość dawała dobre oparcie. Co prawda wystarczyłby jeden fałszywy krok, zawrót głowy.

Dlaczego nie związaliśmy się? — pomyślał Pirx. W tej chwili plama świetlna przed nim znieruchomiała. Pnin stanął.

— Lina — powiedział.

Podał koniec Pirxowi, a ten z kolei — przełożywszy linę przez karabinki pasa — rzucił ją do Langnera. Nim ruszyli, Pirx mógł, oparty o skałę, patrzeć przed siebie.

Całe wnętrze krateru leżało pod nim jak na dłoni — czarne wąwozy lawy stały się siateczką pęknięć, przysadkowaty stożek centralny rzucał długi pas cienia.

Gdzie była rakietka? Nie mógł jej znaleźć. Gdzie droga? Te zakosy, znaczone szeregami aluminiowych tyk? Także znikły.

Była tylko przestrzeń skalnego cyrku w blasku oślepiającym i smugach czerni, ciągnących się od rumowisk do rumowisk; jasna mąka skalna podkreślała rzeźbę terenu, z jej groteskowymi rojami kraterów coraz to mniejszych w samym tylko obrębie wałów Mendelejewa musiały ich być setki, od półkilometrowych do ledwo widocznych; każdy był ściśle okrągły, z pierścieniem o łagodnym stoku zewnętrznym i bardziej spadzistym ku środkowi, z centralną górką lub stożkiem, a przynajmniej drobnym punktem, na kształt pępka — mniejsze były wiernymi kopiami małych, małe średnich, a wszystkie razem obejmowały ogrom ścian skalnych tego koliska trzydziestokilometrowego.

To sąsiedztwo chaosu i precyzji drażniło umysł ludzki; była w tym stwarzaniu i niszczeniu form według jedynego wzoru zarazem doskonałość matematyczna i zupełna anarchia śmierci. Spojrzał w górę i w ty: — przez Bramę Słoneczną wciąż buchały potoki białego żaru.

Kilkaset kroków za wąskim żlebem ściana cofnęła się, wciąż szli cieniem, rozjaśnionym jednak światłem odbijanym przez pionową maczugę skalną, która wzbijała się z mroków chyba na dwa kilometry; przetrawersowali język piargu i ukazał się, zalany słońcem, stok niezbyt stromy; Pirx zaczynał odczuwać dziwne odrętwienie, nie mięśni, lecz umysłu,

zapewne od nieustającego napięcia uwagi — bo wszystko miał tu naraz i Księżyc, i jego dzikie góry, i noc lodowatą na przemian z przepływami nieruchomego upału, i to olbrzymie, pochłaniające wszystko milczenie, w którym odzywający się od czasu do czasu w helmie głos ludzki był czymś nieprawdopodobnym, niewłaściwym... Jakby ktoś na szczyt Matterhornu niósł złotą rybkę w akwarium : tak odcinał się ów głos od zamarłego otoczenia.

Pnin skręcił za rzucającą ostatni cień iglicę i cały zapalił się, jakby obłany ogniem — Pirxowi ten sam ogień chlusnął w oczy, nim zdążył jeszcze pojąć, że to słońce, że wstąpili na górną, ocalałą część drogi.

Szli teraz obok niebie szybko z opuszczonymi obiema zasłonami przeciwsłonecznych hełmów.

— Zaraz będziemy — powiedział Pnin.

Tej drogi rzeczywiście mogły używać pojazdy. Była wryta w skale, a właściwie otwarta sterowanymi eksplozjami: wprowadzała, pod nawisem Orlego Skrzydła, na samą grań; był tam rodzaj niewielkiej przełączki, z naturalnym, podciętym od dołu kotłem skalnym. Ten kocioł umożliwił zaopatrywanie stacji po katastrofie. Ciężarowa rakietka przewoziła zapasy i specjalny mózdzierz najpierw wstrzeliwał się do celu — tego basenu skalnego — a potem zaczynał strzelać pojemnikami. Kilka ulegało zwykle strzaskaniu, lecz większość wytrzymywała strzał i zderzenie ze skałą, bo ich pancerne korpusy były nad wyraz odporne. Dawniej, kiedy nie było jeszcze nawet Luny Głównej ani żadnych w ogóle stacji, jedynym sposobem dostarczania zapasów ekspedycjom zagłębiającym się w okolice Sinus Medii było właśnie zrzucanie z raket zasobników, a że spadochrony na nic by się nie zdały, musiano konstruować te duralowe czy stalowe pudła tak, by wytrzymały gwałtowny upadek.

Ciskano je, niby bomby jakiegoś, a ekspedycja zbierała później rozproszone nieraz i na przestrzeni kwadratowego kilometra. Pojemniki te przydały się teraz na nowo.

Od przełęczy szlak wiódł pod samą granią ku północnemu szczytowi Orlej Głowy; jakieś trzysta metrów pod nim błyszczał pancerny kołpak Stacji. Od strony stoku otaczał go półpierzścień głazów, staczających się w przepaść i opasujących stalową banie, która stała na ich drodze. Kilka takich głazów spoczywało na betonowej platformie w pobliżu wejścia.

— To już nie można było znaleźć lepszego miejsca! — wyrwał się Pirxowi okrzyk.

Pnin, który stawiał już nogę na pierwszym stopniu platformy, zatrzymał się.

— Zupełnie jakbym słyszał Animcewa — powiedział i Pirx wyczuł w jego głosie uśmiech.

Pnin odszedł — sam — cztery godziny przed zachodem słońca. Ale właściwie odszedł w noc, bo prawie cała droga, którą musiał przebyć, ogarnięta już była nieprzeniknioną ciemnością, i Langner, który znał Księżyc, powiedział Pirxowi, że kiedy tamtędy szli, nie było jeszcze naprawdę zimno; skała dopiero stygła. Rzetelny mróz brał jakąś godzinę po zapadnięciu mroków.

Umówili się z nim, że da znać, gdy dotrze do rakiety.

I rzeczywiście, w godzinę i dwadzieścia minut później ich radiostacja odezwała się, mówił Pnin. Zamienili tylko parę słów, bo był już najwyższy czas, tym bardziej że start odbyć się musiał w trudnych warunkach — rakietka nie miała pionu, a łapy jej dość głęboko weszły w rumowisko i działały jak rodzaj obciążonych balastem kotwic.

Widzieli ten start, osunąwszy stalową okiennicę — nie sam jego początek, gdyż miejsce postoju zasłaniały żebra głównej grani. Ale naraz mrok, gęsty i bezpostaciowy, przeszła linia ognista, której z dołu zawtórował rudawy brzask, było to światło odrzutu, odbijane kurzawą, wydmuchniętą spomiędzy głazów lawiniska. Ognisty grot szedł wyżej i wyżej, i nie widać było wcale rakiety, tylko tę strunę pałającą, coraz cieńszą, rozedrganą, rozpadającą się na pasma — normalna pulsacja silnika idącego całą mocą. Potem — a głowy ich uniesione były ku niebu i wypisujący na nim odlot tor ogniowy spoczywał już wśród gwiazd — prosta pochyliła się łagodnie i pięknym łukiem poszybowała za horyzont. Zostali sami, w ciemności,

bo umyślnie zgasili wszystkie światła, żeby pewniej widzieć start. Zasunęli pancerną klapę okna, zaświecili lampy i spojrzeli na siebie. Langner lekko się uśmiechnął i, zgarbiony, w kraciastej flanelowej koszuli podszedł do stołu, na którym spoczywał jego plecak. Zaczął wydobywać z niego książki, jedną po drugiej, Pirx, oparty o zakłęsłą ścianę, stał na rozstawionych nogach, jak na pokładzie odlatującego daleko statku.

Miał w sobie wszystko naraz, chłodne podziemia Luny Głównej, wąskie korytarze hotelowe, ich windy, turystów skaczących pod sufit i wymieniających kawałki nadtopionego pumeksu, lot do Ciołkowskiego, wielkich Rosjan, srebrną siateczkę radioteleskopu pomiędzy granią i czarnym niebem, opowiadanie Pnina, drugi lot i tę drogę niesamowitą, poprzez skalny mróz i żar, z otchłaniami zagładającymi w szybką hełmu. Nie mógł uwierzyć, że tak wiele pomieściło w sobie kilka zaledwie godzin — czas zolbrzymiał, ogarnął te obrazy, pochłonął je, a teraz wracały, jakby walcząc o pierwszeństwo. Zamknął na chwilę rozpalone, suche powieki i znów je otworzył.

Langner systematycznie układał książki na półce i Pirxowi wydało się, że pojął tego człowieka, jego spokojne ruchy, gdy stawiał tom obok tomu, nie wynikały z tępoty ani obojętności, nie przytłaczał go ten martwy świat, bo mu służył: przybył na Stację, ponieważ tego chciał, nie tęsknił za domem, jego domem były spektrogramy, wyniki obliczeń i miejsce, w którym powstawały, wszędzie mógł być u siebie, skoro potrafił tak skoncentrować swoją zachłanność: wiedział, po co żyje — był ostatnim człowiekiem, któremu Pirx wyznałby swoje romantyczne marzenia o wielkim czynie. Pewno by się nawet nie uśmiechnął, jak przed chwilą, wysłuchałby go i wrócił do swojej pracy. Pirx przez mgnienie zazdrościł mu tej pewności, samowiedzy, ale czuł zarazem obcość Langnera, nie mieli sobie nic do powiedzenia i musieli przeżyć razem tę rozpoczynającą się noc i dzień po niej.

Obszedł oczami kabinę, jakby widział ją po raz pierwszy. Kryte plastykiem, zakłęsłe ściany. Zamknięte klapą pancerną okno. Podsufitowe, wpuszczone w plastik lampy. Kilka kolorowych reprodukcji między półkami z fachową lekturą i wąska tabliczka w ramce, z wpisanymi pod sobą w dwóch rzędach nazwiskami tych wszystkich, którzy byli tu przed nimi. Po kątach puste butelki tlenowe, skrzynki po konserwach, wypełnione okruchami różnobarwnych minerałów, metalowe, lekkie krzesła z nylonowymi siedzeniami. Mały stół, nad nim chodząca na ramieniu lampa do pracy. Przez uchylone drzwi widać było aparaturę radiostacji.

Langner robił porządki w szafie, pełnej klisz fotograficznych. Pirx wyminał goi wyszedł. Z korytarzyka na lewo szły drzwi do kuchenki, na wprost — do komory wyjściowej, na prawo — do dwu miniaturowych pokoików. Otworzył swój. Oprócz łóżka, składanego krzesła, wsuwanego w ścianę pulpitu i półeczki — nie było tam nic. Strop z jednej strony nad łóżkiem opadał skośnie jak w mansardzie, nie płasko jednak, lecz półkuliście, zgodnie z krzywizną zewnętrznego pancerza. Wrócił na korytarz. Drzwi komory ciśnieniowej miały owalnie zaokrąglone naroża, brzegi ujęte grubą warstwą hermetyzującego plastyku, koło szprychowe i lampkę, świecącą, gdy przy otwartej klapie zewnętrznej w komorze panowała próżnia. Teraz lampka była ciemna. Otworzył drzwi. Dwie lampy zaświeciły się automatycznie, ukazując ciasną przestrzeń o nagich metalowych ścianach, z pionową drabinką pośrodku; dochodziła do klapy w stropie. Pod ostatnim szczeblem widniał jeszcze, zatarty licznymi stągnięciami, kontur obrysowany kredą. W tym miejscu znaleziono Savage'a; leżał skulony, trochę na boku, i nie można go było podnieść, bo przymarzył do chropowatych płyt własną krwią, która rozerwała mu oczy i twarz.

Pirx patrzył na ten obrys białawy, zaledwie przypominający sylwetę człowieka, potem cofnął się i zamknawszy hermetyczne drzwi, podniósł głowę; usłyszał kroki na górze. To Langner wszedł po drabince, przystawionej do przeciwległej ściany korytarza, i krzątał się w obserwatorium. Wetknawszy głowę przez okrągły otwór podłogi, Pirx ujrzał pokrowcem osłonięty, podobny do niewielkiego działa teleskop, kamery astrografów i dwa spore aparaty

— była to komora Wilsona i druga, olejowa, wraz z błyskowym urządzeniem do fotografowania śladów. Stację przeznaczono do badania promieni kosmicznych, i klisze, których się do tego używa, były wszędzie: ich pomarańczowe paczki leżały między książkami, pod półkami, w szufladach, obok łóżek, nawet w kuchence. I to było już wszystko? Właściwie tak, jeśli nie liczyć wielkich zbiorników wody i tlenu, umieszczonych pod podłogą, głucho osadzonych w skale księżycowej, w samym masywie Mendelejewa.

Nad drzwiami każdego pomieszczenia znajdował się okrągły czujnik, wskazujący stężenie dwutlenku węgla. Nad nim widniało dziurkowane sitko klimatyzatora. Aparatura pracowała bezgłośnie. Wsysała powietrze, oczyszczała je z dwutlenku węgla, dodawała właściwą ilość tlenu, zwilżała lub osuszała i tłoczyła z powrotem do wszystkich kabin. Pirx rad był każdemu stuknięciu dochodzącemu z obserwatorium; gdy milkły, cisza rozrastała się, że zaczynał słyszeć szelest własnej krwi, jak w tym basenie eksperymentalnym, w „kąpieli wariackiej”, ale z niej w każdej chwili można było wyjść.

Langner zeszedł na dół i przyrządził kolację — tak cicho i sprawnie, że kiedy Pirx wszedł do kuchenki, wszystko było już gotowe. Jedli, nie odzywając się prawie. „Poproszę sól. Chleb jest w puszkach? Jutro trzeba będzie otworzyć nową. Kawy czy herbaty?”

Tylko tyle. Pirxowi odpowiadała teraz małomówność. Co właściwie jedli? Trzeci obiad w tym dniu? Czy może czwarty? A może już śniadanie następnej doby? Langner powiedział, że musi wywołać naświetlone klisze. Poszedł na górę. Pirx nie miał nic do roboty. Nagle to zrozumiał. Przysłali go po to, żeby Langner nie był sam. Nie znał się przecież na astrofizyce, na promieniach kosmicznych. Gdzieżby tam Langnerowi chciało się go uczyć posługiwania się astrografem! Zdobył pierwszą lokatę, psychologowie stwierdzili, że nie może zwariować, ręczyli za niego.

Więc miał przesiedzieć w tym garnku dwa tygodnie nocy, a potem dwa tygodnie dnia, oczekując nie wiadomo czego, bacząc nie wiadomo na co.

To „zadanie”, ta „misja”, która przed kilkunastu godzinami wydała mu się niewiarygodnym szczęściem, naraz ukazała mu swoje właściwe oblicze bezkształtnej pustki. Przed czym miał bronić Langnera i siebie? Jakich szukać śladów?

I gdzie? Czy sądził może, że odkryje coś, co przegapili wszyscy świetni specjaliści wchodzący w skład komisji, ludzie znający Księżyc od lat? Ależ był idiotą!

Siedział przy stole. Trzeba było zmyć naczynia. I zakręcić kurek, bo woda, bezcenna woda, którą przywożono w postaci zamrożonych bloków i strzelano nią z moździerza, dwu i półkilometrową parabolą, w kocioł u stóp Stacji, ta woda uciekała, kapiąc.

Nie ruszał się. Ręki nawet nie podniósł, gdy opadła bezwolnie na krawędź stołu. W głowie miał żar i pustkę, ciemność i milczenie, które otaczały stalową skorupę ze wszystkich stron. Przetarł oczy, piekące jak zasypane piaskiem. Wstał, jakby ważył dwa razy więcej niż na Ziemi. Zaniósł brudne talerze do zmywaka, rzucił je z hałasem, puścił na nie strumyk ciepłej wody. I myjąc je, obracając, zdrapując zastygłe resztki tłuszczu, uśmiechnął się nad swoimi marzeniami, które odpadły odeń gdzieś, na tej drodze ku grani Mendelejewa, i zostały tak daleko, takie śmieszne i obce, takie dawne, że nie musiał się ich wstydzić.

Z Langnerem można było przeżyć dzień albo rok i niczego to nie zmieniało. Pracował chętnie, ale miarowo. Nigdy się nie spieszył. Nie miał żadnych nałogów, żadnych dziwactw, śmiesznośtek. Kiedy się z kimś żyje w takiej ciasnocie, byle głupstwo zaczyna drażnić. Że ten drugi przesiaduje pod tuszem, że nie chce otwierać puszek ze szpinakiem, bo nie lubi szpinaku, że miewa humory, że pewnego dnia przestaje się golić i straszy kolącą szczecina, albo kiedy się goli i zadrapie, godzinę będzie się przeglądał w lustrze, robiąc miny, jakby był sam. Langner taki nie był. Jadł wszystko, choć bez zapału. Nie miał humorów, kiedy miał myć naczynia, mył je. Nie opowiadał długo i szeroko o sobie i swoich pracach. Zapytany o coś, odpowiadał. Nie unikał Pirxa. Nie narzucał mu się.

Właściwie ta nijakość może i zaczęłaby Pirxa drażnić, bo wrażenie pierwszego wieczoru — kiedy fizyk ustawiający na półce książki wydał mu się wcieleniem skromnego bohaterstwa, a właściwie nie bohaterstwa, lecz godnej zazdrości, po stoicku mężnej postawy naukowej — to wrażenie znikło i Pirxowi wydawał się ten towarzysz przymusowy człowiekiem szarym do znudzenia. Ale Langner mimo wszystko nie nudził go ani drażnił, okazało się bowiem, że on, Pirx, ma, na razie przynajmniej, i tak aż nadto zajęcia. Było to zajęcie pochłaniające. Teraz kiedy znał Stację i jej otoczenie, jeszcze raz wziął się do studiowania wszystkich dokumentów.

Katastrofa zaszła w cztery miesiące po uruchomieniu Stacji. Wbrew spodziewaniom nie nastąpiła zresztą o świcie czy o zmierzchu, lecz w samo niemal księżycowe południe. Trzy czwarte przewieszanej płyty Orlego Skrzydła runęło bez jakichkolwiek zwiastunów. Widowisko to miało naocznych świadków, w powiększonej chwilowo do czterech osób załodze Stacji, która oczekiwała właśnie kolumny transporterów z zapasami.

Późniejsze badania wykazały, że wcięcie w głąb wielkiego filaru Orła rzeczywiście naruszyło krystaliczny trzon skał i jego równowagę tektoniczną. Anglicy zrzucili odpowiedzialność na Kanadyjczyków, Kanadyjczycy na Anglików, lojalność zaś partnerów Wspólnoty Brytyjskiej przejawiała się w tym, że ostrzeżenia profesora Animcewa obie strony konsekwentnie przemilczały. Jakkolwiek rzecz się miała, skutki były tragiczne. Czterej ludzie stojący przed Stacją, oddaloną w linii prostej od miejsca katastrofy o niecałą milę, widzieli, jak osłepiająca ściana rozdwa się, jak pęka na kawały system klinów i murów przeciwlawinowych, które ścięły następne uderzenia; jak ta cała masa pędzących brył znosi drogę wraz z podpierającą ją formacją i schodzi w dolinę, która przez trzydzieści godzin była morzem łagodnie falującej bieli — pędzony straszliwym impetem, zalew tej kurzawy osiągnął w ciągu kilku minut przeciwległą ścianę krateru.

W zasięgu zniszczenia znalazły się dwa transportery. Tego, który zamykał kolumnę, w ogóle nie udało się znaleźć. Szczątki pogrzebała dziesięciometrowa warstwa rumowiska. Drugi próbował uciec. Znajdował się już poza nurtem lawiny, na górnym ocalałym odcinku drogi, ale jedna ogromna bryła, przeskoczywszy zachowaną resztkę muru lawinowego, taranowała go i zmiotła w trzystametrową przepaść. Jego kierowca zdołał otworzyć luk i wypadł na toczące się piargi. On jeden przeżył swych towarzyszy, zresztą o kilka zaledwie godzin. Ale tych kilka godzin stało się piekłem dla pozostałych. Ów człowiek, Francuz kanadyjski, nazwiskiem Roget, nie stracił przytomności czy też odzyskał ją tuż po katastrofie — i z wnętrza białej chmury, która okryła całe dno krateru, wzywał pomocy. Jego odbiornik radiowy był zepsuty, ale nadajnik działał. Niepodobna go było odnaleźć. Wskutek wielokrotnego załamywania fal, odbitych od głazów (a były one wielkości kamienic — ludzie poruszali się w labiryncie wypełnionym mlekiem kurzu jak w ruinach miasta), próby pelengowania tylko wprowadzały w błąd. Zawartość siarczków żelaza w skale czyniła radar bezużytecznym. Po godzinie, gdy spod Bramy Słonecznej zszedł drugi kamieniospad, przerwano poszukiwania. Ta druga lawina była niewielka, ale mogła wszakże zwiastować następne obrywy. Czekano więc, a głos Rogeta słychać było dalej, szczególnie dobrze na górze, na samej Stacji; kamienny kocioł, w którym tkwił, działał jak rodzaj wzwyż wycelowanego reflektora. Po trzech godzinach przybyli Rosjanie z Ciołkowskiego i wjechali w pyłową chmurę gaśnicówkami, które stawały dęba i groziły wywróceniem na ruchomym stoku: wskutek niewielkiej ciężkości kąta nachylenia pół piarzystych jest na Księżycu większy niż na Ziemi. Tyraliery ratowników, spieszone tam, gdzie i gaśnicówki przejść nie mogły, trzykrotnie przeczesaly ruchomy obszar osypiska.

Jeden z ratowników wpadł do szczeliny i tylko natychmiastowe przewiezienie na Ciołkowskiego, z niezwłoczną akcją lekarską, uratowało mu życie.

I wówczas nie wycofano się z wnętrza chmury, ponieważ głos Rogeta, coraz słabszy, słyszeli wszyscy.

W pięć minut po wypadku zamilkł. Żył jeszcze. Wiedziano o tym. Każdy skafander posiadał bowiem, oprócz radia, służącego do komunikacji głosem, miniaturowy automatyczny nadajnik, połączony z aparatem tlenowym. Każdy wdech i wydech przekazywany falami elektromagnetycznymi rejestrował na Stacji specjalny wskaźnik, rodzaj oka magicznego, jako miarowe rozszerzanie się i kurczenie zielono świecącego motylka, i ten fosforyzujący ruch wskazywał, że nieprzytomny, konający Roget wciąż jeszcze dyszy; pulsacja ta stawała się coraz wolniejsza — nikt nie mógł wyjść z radiostacji, stłoczeni w niej ludzie bezsilnie czekali na śmierć.

Roget oddychał jeszcze dwie godziny. Potem zielony płomyk w oku magicznym zamigotał, skurczył się i tak już został. Pogruchotane ciało odnaleziono dopiero po trzydziestu godzinach, stężełe na kamień, i pochowano je, tak okaleczone, że nie otwarto nawet skafandra, w tym na pół zgniecionym pokrowcu metalicznym, jak w trumnie.

Potem wytyczono nową drogę, a właściwie tę ścieżkę skalną, którą przybył na Stację Pirx. Kanadyjczycy gotowali się porzucić Stację, lecz ich uparci koledzy angielscy nie dawali za wygraną.

Echo katastrofy obiegło całą Ziemię w licznych, nieraz całkowicie sprzecznych wersjach, na koniec wrzawa ta ucichła. Tragedia stała się częścią kronik o zmaganiu z pustyniami Księżyca. Na Stacji zmieniali się dyżurni astrofizycy.

Tak minęło sześć księżycowych dni i nocy. I kiedy wydawało się, że to niedawno tak doświadczone miejsce nie zrodzi już żadnej sensacji, raptem radio Mendelejewa nie odpowiedziało ze świtem na wezwanie Ciołkowskiego.

I tym razem na ratunek, czy raczej na zwiad, wobec niezrozumiałego milczenia Stacji, wyruszyła ekipa z Ciołkowskiego. Przybyła rakieta, która wylądowała u stóp wielkiego lawiniska pod Orlim Szczytem.

Do kopuły Stacji dotarli, kiedy cały niemal krater wypełniała jeszcze nie rozwidniona żadnym promieniem słonecznym ciemność. Tylko pod szczytem stalowy czerep iskrzył się w poziomym świetle. Kłapa wyjściowa była szeroko otwarta. Pod nią, u stóp drabinki, spoczywał Savage, w takiej pozycji, jakby osunął się z jej szczytów. Przyczyną zgonu było uduszenie — pancerne szkło jego hełmu pękło.

Później wykryto na wewnętrznej powierzchni jego rękawic nikiłe ślady skalnego pyłu, jakby wracał ze wspinaczki. Ale ślady te mogły pochodzić sprzed jakiegoś czasu. Drugiego Kanadyjczyka, Challiersa, znaleziono dopiero po systematycznym przepatrzeniu wszystkich okolicznych żlebow i rynien. Ratownicy, spuściwszy się na trzystumetrowych linach, wydobyli jego ciało z dna przepaści pod Bramą Słoneczną. Spoczywało o kilkadziesiąt zaledwie kroków od miejsca, w którym zginął i pochowany został Roget.

Próby odtworzenia wypadków wyglądały zrazu beznadziejnie. Nikt nie umiał wysunąć prawdopodobnie brzmiącej hipotezy. Na miejsce przybyła mieszana komisja angielsko — kanadyjska. Zegarek Challiersa stanął na godzinie dwunastej, ale nie wiadomo było, czy strzaskał się o północy, czy w południe. Zegarek Savage'a stanął na drugiej. Dokładne badania (a badano tak dokładnie, jak na to pozwalały ludzkie możliwości) stwierdziły, że sprężyna rozkręciła się do końca. A zatem zegarek Savage'a nie stanął zapewne w chwili jego śmierci, lecz szedł jeszcze jakiś czas po niej.

We wnętrzu Stacji panował zwykły ład. Książka stacyjna, do której zapisywano wszelkie istotne wydarzenia, nie zawierała niczego, co mogłoby rzucić na wypadki choć odrobinę światła. Pirx przestudiował ją zapis po zapisie. Były lakoniczne. O tej a tej godzinie dokonano pomiarów astrograficznych, naświetlono tyle a tyle płyt w takich to warunkach, przeprowadzono następujące obserwacje wśród tych stereotypowych notatek żadna nie odnosiła się, choćby pośrednio, do tego, co zaszło na Stacji podczas ostatniej księżycowej nocy Challiersa i Savage'a:

We wnętrzu Stacji panował nie tylko ład : wszystko w niej świadczyło o tym, że śmierć

zaskoczyła mieszkańców w sposób nagły. Znalaziono otwartą książkę, na której marginesie Challiers robił notatki; leżała przyciśnięta drugą, aby się kartki nie zamknęły, pod świecą wciąż lampą elektryczną. Obok leżała fajka, która przechyliła się, i wypadający z niej żużelek osmałił lekko plastikowy blat stołu... A znów Savage gotował wtedy kolację. W kuchence otwarte były puszki konserw, w misce — rozmieszana z mlekiem papka omletowa, uchylone drzwi lodówki, rozstawione na białym stoliku dwa talerze, dwie pary sztućców, nakrojony, szczerstwiały chleb...

Więc jeden z nich porzucił lekturę, odłożył palącą się fajkę, tak jak to się robi, gdy ktoś chce opuścić pokój na kilka minut i zaraz wrócić. A drugi odszedł od kuchennych przygotowań, od patelni z roztopionym tłuszczem, nie zatrzasnąwszy nawet drzwi lodówki.

Nałożyli skafandry i wyszli, w noc. Równocześnie? Czy jeden po drugim? Po co? Dokąd?

Ich pobyt na Stacji trwał już dwa tygodnie. Doskonale znali jej otoczenie. Zresztą, noc miała się ku końcowi. Za kilkanaście godzin miało wzejść słońce. Czemu nie poczekać na wschód; skoro obaj — czy jeden z nich — chciał schodzić na dno krateru? O tym, że taki był jak gdyby zamiar Challiersa, świadczyło miejsce, w którym go znalaziono. Wiedział, jak i Savage, że zapuszczenie się na płytę skalną pod Słoneczną Bramą, gdzie droga urywa się nagle, jest szaleństwem. Łagodna jej pochyłość przechodziła tu w stok coraz ostrzejszy, jakby zapraszając do zejścia w dół, ale kilkadziesiąt kroków niżej ziały już utworzone katastrofą zerwy. Nowa droga omijała to miejsce, szła prosto dalej, wzdłuż linii aluminiowych prętów. Wiedział o tym każdy, kto choć raz był na Stacji. I oto jeden ze stałych jej pracowników poszedł właśnie tam, zaczął zstępować po taflach idących w otchłań, dlaczego? Żeby się zabić?

Czy ktoś, kto chce popełnić samobójstwo, wstaje od ciekawej lektury, zostawia rozłożoną książkę, odkłada palącą się fajkę i idzie na spotkanie śmierci?

A Savage? W jakich okolicznościach pękło szkło jego hełmu? Czy dopiero wychodził ze Stacji, czy też do niej wracał? Chciał szukać Challiersa, który nie wracał? Ale dlaczego nie poszedł z nim razem? A jeżeli poszedł, to jak mógł pozwolić mu zejść ku przepaści?

Tyle było pytań bez odpowiedzi.

Jedyna rzecz, wyraźnie znajdująca się nie na swoim miejscu, to była paczka klisz fotograficznych, służących do utrwalania kosmicznych promieni. Leżała w kuchni, na białym stoliku, obok czystych, pustych talerzy.

Komisja doszła do następującego wniosku. W tym dniu pełnił dyżur Challiers. Zagłębiając się w lekturze, w pewnym momencie spostrzegł, że dochodzi jedenasta.

O tej porze powinien był wymienić naświetlone klisze nowymi. Klisze poddawano naświetlaniu poza obrębem Stacji. Jakies sto kroków w górę zbocza znajdowała się wykuta w skale studzienka, niezbyt głęboka, o ścianach pokrytych ołowiem, aby klisze trafiane były wyłącznie promieniami, biegnącymi z zenitu. To był jeden z przestrzeganych warunków ówczesnych prac. Challiers wstał zatem, odłożył książkę i fajkę, wziął nową paczkę klisz, włożył skafander, opuścił Stację przez komorę ciśnieniową, udał się do studzienki, wszedł do niej po wpuszczonych w cembrowinie szczeblach, zmienił klisze i zabrawszy naświetlone, wracał.

Wracając, zboczył z drogi. Nie zepsuł mu się aparat tlenowy, więc nie zamąciła mu przytomności anoksja, brak tlenu. Tyle co się dało stwierdzić, gdy badano strzaskany skafander — po wydobyciu go z dna przepaści.

Członkowie komisji doszli do przekonania, że Challiers musiał ulec nagłemu zamroczeniu, w przeciwnym razie nie zmyliłby drogi. Znał ją zbyt dobrze. Może zasłabł chwilowo i omdlał, może uległ zawrotowi głowy, stracił orientację dość, że posuwał się naprzód sądząc, że wraca, gdy w rzeczywistości kierował się prosto w oczekującą go sto metrów dalej otchłań.

Savage, nie mogąc doczekać się jego powrotu, zaniepokojony, porzucił kolacyjne przygotowania, usiłował nawiązać z nim łączność radiową (stacja radiowa była włączona na

ultrakrótkim zakresie fal łączności lokalnej ; mogła zostać naturalnie włączona wcześniej, gdy ktoś z dyżurujących usiłował pomimo zakłóceń nawiązać łączność z Ciołkowskim, ale po pierwsze — radio Ciołkowskiego nie odebrało żadnych sygnałów, nawet zniekształconych do niezrozumiałości, po drugie zaś — taka możliwość była mało prawdopodobna i z tego powodu, że tak Savage, jak i Challiers doskonale pojmowali daremność prób skomunikowania się w porze właśnie największych zakłóceń, przy nadchodzącym świcie), a gdy to się nie powiodło, bo Challiers w tym czasie już nie żył, Savage włożywszy skafander wybiegł w ciemność i począł szukać towarzysza.

Być może, wskutek zdenerwowania milczeniem Challiersa i niepojętym jego tak nagłym zniknięciem, zmylił drogę, albo raczej — gdyż on był z nich dwóch bardziej wprawnym i doświadczonym górolazem — usiłując systematycznie przeszukać poblizze Stacji, niepotrzebnie i nadmiernie ryzykował — dość na tym, że w trakcie tych poszukiwań karkołomnych upadł, strzaskawszy szkło hełmu. Miał jeszcze dość sił, aby, zaciskając ręką powstały otwór, dobiec do Stacji i wspiąć się ku klapie. Ale nim zamknął ją, nim wpuścił do komory powietrze, ostatek tlenu uciekł i Savage runął z ostatniego szczebla drabinki w omdlenie, które następne sekundy obróciły w śmierć.

To wyjaśnienie podwójnej tragedii nie przemawiało Pirxowi do przekonania. Zapoznał się dokładnie z charakterystyką obu Kanadyjczyków. Szczególną uwagę poświęcił przy tym Challiersowi, gdyż to on miał być mimowolnym sprawcą śmierci własnej i swego towarzysza. Challiers miał trzydzieści pięć lat. Był znanym astrofizykiem, ale i wprawnym alpinistą. Cieszył się doskonałym zdrowiem, nie chorował; nie znał zawrotów głowy — przedtem pracował na „ziemskiej” półkuli Księżyca, gdzie stał się jednym z założycieli klubu gimnastyki akrobacyjnej, tej osobliwej dyscypliny, której adepci potrafią wykonać dziesięć salt z jednego odbicia przed pewnym lądowaniem na ugiętych nogach albo utrzymać na swych barkach piramidę dwudziestu pięciu ludzi !

I ten Challiers miał nagle bez żadnej przyczyny zasłabnąć czy dostać rozstroju jakiegoś, sto kroków od Stacji, i nie potrafiłby, nawet gdyby mu się coś takiego przytrafiło, zejść ku niej szerokim zboczem, lecz poszedłby pod prostym kątem, w fałszywym kierunku, przy czym musiał, przed dotarciem na ocalałą część drogi, pokonać w mrokach to wzgórze głazów, które ciągnęło się na tyłach Stacji właśnie w tym miejscu?

I był jeszcze drugi szczegół, który według Pirxa (ale nie tylko według niego) zdawał się, już bezpośrednio, przeczyć wersji przyjętej w oficjalnym protokole.

Na Stacji panował ład. Ale znaleziono jedną rzecz nie na miejscu: ową paczkę klisz na stole kuchennym.

Wyglądało na to, że Challiers wyszedł, aby zmienić klisze. Że zmienił je. Że wcale nie poszedł ku przepaści, nie darł się ku niej przez wał piargów, lecz najzwyczajniej wrócił do wnętrza Stacji. Świadczyły o tym klisze. Położył je na stole kuchennym.

Dlaczego tam?

I gdzie był wtedy Savage?

Naświetlone klisze, leżące w kuchni — orzekła komisja — musiały pochodzić z ekspozycji poprzedniej, porannej. Jeden z naukowców położył je na stole przypadkiem. Jednakże żadnych klisz przy ciele Challiersa nie znaleziono.

Komisja uznała, że paczka klisz mogła wysunąć się z kieszeni skafandra czy z rąk padającego w przepaść i zniknąć w jednej z tysięcznych szczelin skalnego rumowiska. Pirxowi wyglądało to na naciąganie faktów do przyjętej hipotezy.

Schował protokoły do szuflady. Nie musiał do nich już zaglądać. Znał je na pamięć. Powiedział sobie wtedy, a właściwie nie wyraził tej myśli słowami, bo była niewzruszoną pewnością — że rozwiązanie tajemnicy nie kryło się w psychice obu Kanadyjczyków. To znaczy, że nie było żadnego omdlenia, zasłabnięcia, zamroczenia przyczyna tragedii była inna. Kryła się w samej Stacji albo na zewnątrz niej. Zaczął od badania Stacji. Nie szukał

żadnych śladów : chciał tylko dokładnie poznać wszystkie szczegóły urządzeń. Spieszyć się nie musiał, czasu było dość. Najpierw obejrzał komorę ciśnieniową. Kredowy kontur wciąż jeszcze widniał u stóp drabinki. Pirx zaczął od drzwi wewnętrznych. Jak zwykle w małych komorach tego typu urządzenie pozwalało otworzyć albo drzwi, albo klapę górnego wjazdu. Przy otwartej klapie drzwi nie można było odemknąć. Wykluczało to nieszczęśliwe wypadki, spowodowane na przykład tym, że ktoś otwiera klapę, gdy równocześnie ktoś inny odmyka drzwi. Wprawdzie otwierały się do środka i panujące wewnątrz Stacji ciśnienie samo zatrzaskałoby je z siłą niemal osiemnastu ton, ale między skrzydłem drzwi i framugą mogła się znaleźć na przykład czyjaś ręka albo twardy jakiś przedmiot czy narzędzie wtedy nastąpiłaby wybuchowa ucieczka powietrza w próżnię. Z klapą sprawa była o tyle bardziej skomplikowana, że jej położenie sygnalizował centralny aparat rozrządczy, mieszczący się w radiostacji. Przy otwarciu klapy zapalał się na jego pulpicie czerwony wskaźnik. Równocześnie włączał się samoczynnie odbiornik „zielonego sygnału”. Było to szklane oko w niklowym pierścieniu, umieszczone w centrum również w oszklonej tarczy lokatora. Wachlowanie „motylka” w oku powiadamiało, że znajdujący się na zewnątrz Stacji człowiek oddycha normalnie; ponadto świecąca smużka na tarczy lokatora, pokalibrowanej w segmenty, wskazywała, gdzie ten człowiek się znajdował.

Owa świecąca smużka wirowała zgodnie z obrotami umieszczonej na kopule anteny radarowej i ukazywała, pod postacią fosforycznie mżących konturów, poblizko Stacji.

W ślad za biegnącym jak wskazówka zegarowa promieniem, ekran wypełnia charakterystyczna poświata, powstająca przez odbicie fal radarowych od wszelkich materialnych obiektów — a odziane w metaliczny skafander ciało człowieka przedstawiało się jako rozbłysk szczególnej siły. Obserwując ową szmaragdową, wydłużoną plamkę, można też było dostrzec jej ruchy — gdyż poruszała się po słabiej świecącym tle — i tym samym kontrolować tempo i kierunek, w jakim się człowiek na zewnątrz Stacji posuwał. Górna część ekranu odpowiadała terenom pod szczytem północnym, gdzie znajdowała się studzienka badawcza; dolna połowa, oznaczająca południe, więc strefę podczas nocy zakazaną, była drogą ku przepaściom.

Mechanizmy „oddychającego motylka” i lokacji radarowej były od siebie niezależne. „Oko” uruchamiał nadajnik połączony z zaworami tlenowymi skafandra, pracujący na częstotliwości bliskiej podczerwieni, a promień lokatora półcentymetrowe fale radiowe.

Aparatura posiadała jeden lokator i jedno oko, ponieważ instrukcja przewidywała, że tylko jeden człowiek może znajdować się na zewnątrz Stacji. Drugi, wewnątrz niej, śledził jego stan; w razie wypadku obowiązany był oczywiście natychmiast pospieszyć mu z pomocą.

W praktyce, przy wycieczce tak niewinnej i krótkiej, jaką była wymiana klisz w studzience, ten, który zostawał, mógł, otwórzony dwoje drzwi — kuchenki i radiostacji — obserwować wskaźniki, nie przerywając kucharzenia. Można było też utrzymywać łączność głosową, bo przybliżanie się terminatora, linii granicznej dnia i nocy, oznajmiały ulewy trzasków, praktycznie uniemożliwiających rozmowę.

Pirx badał sumiennie grę sygnałów. Przy otwarciu klapy czerwona lampka zapalała się na pulpicie. Seledynowy wskaźnik jaśniał, lecz był nieruchomy, a jego „skrzydełka” stulone do martwych nitek, gdyż brakowało zewnętrznych sygnałów, które by je rozpostarły. Promyk lokatora krążył miarowo po jego tarczy, wywołując na niej kształt skamieniałych duchów — nieruchome sylwety skalnego otoczenia. Nie rozbłyskiwał w żadnym miejscu swego obiegu, czym potwierdzał doniesienie oddechowego wskaźnika, że żadnego skafandra w promieniu jego działania na zewnątrz Stacji nie ma.

Pirx obserwował też, naturalnie, zachowanie aparatury, kiedy Langner wychodził zmieniać klisze.

Czerwona lampka zapalała się i prawie natychmiast gasła; gdy już z zewnątrz zamykał klapę. Zielony motylek zaczynał miarowo pulsować. Pulsowanie to przyspieszało nieznacznie

po kilku minutach, bo Langner szedł w górę stoku dość szybko — nic dziwnego, że oddech jego przyspieszał. Jasny błysk jego skafandra widniał na ekranie znacznie dłużej od gasnących zaraz po przejściu promienia wodzącego konturów skał. Potem motylek nagle kurczył się i zamykał, ekran zaś stawał się pusty — rozbłysk skafandra nikł. To było wtedy, gdy Langner wchodził do studzienki. Jej wyłożone ołowiem ściany odcinały strumień sygnałów. Równocześnie na głównym pulpicie zapalał się purpurowy Alarm, a obraz widziany w lokatorze zmieniał się. Antena radaru, wirując wciąż tym samym ruchem, zmniejszała swe nachylenie, aby kolejno przeczesywać coraz to dalsze segmenty terenu. To działo się, ponieważ aparatura „nie wiedziała”, co się stało: człowiek nagle znikł z zasięgu jej elektromagnetycznej władzy. Po trzech, czterech minutach motylek zaczynał znów wachlować, radar odnajdował zaginionego, oba niezależne układy rejestrowały jego ponowną obecność. Langner, opuściwszy studzienkę, wracał. Alarm płonął jednak dalej trzeba go było dopiero wyłączyć. Gdyby się tego nie zrobiło, czasowy wyłącznik czynił to sam po dwu godzinach. Żeby, w przypadku zapomnienia, aparatura niepotrzebnie nie pochłaniała zbyt wiele prądu. Bo podczas nocy czerpali go tylko z akumulatorów. W dzień ładowało je Słońce. Zorientowawszy się w działaniu tych urządzeń, Pirx uznał, że nie jest specjalnie skomplikowane. Langner do jego eksperymentów się nie wtrącał. Uważał, że wypadek Kanadyjczyków miał przebieg podobny do przedstawionego w protokołach Komisji, poza tym sądził, że wypadki muszą się zdarzać.

— Te klisze? — odparł na zarzut Pirxa. — Te klisze nie mają żadnego znaczenia. Człowiek nie takie rzeczy robi w zdenerwowaniu. Logika opuszcza nas dużo wcześniej niż życie. Wtedy każdy zaczyna postępować bezsensownie... Pirx zrezygnował z dalszej dyskusji.

Kończył się drugi tydzień księżycowej nocy. Pirx po wszystkich badaniach wiedział tyle, co na początku. Może naprawdę tragiczny wypadek miał zostać nie wyjaśniony na zawsze? Może był jednym ze zdarzeń trafiających się raz na milion — których zrekonstruować niepodobna? Wciągnął się z wolna do współpracy z Langnerem. Coś w końcu trzeba było robić, zapłacić czymś długie godziny. Nauczył się posługiwania dużym astrografem (a więc jednak była to zwykła praktyka wakacyjna...), potem zaciął chodzić na zmianę z towarzyszem do studzienki, w której poddawano klisze wielogodzinnej ekspozycji.

Zbliżał się oczekiwany z niecierpliwością świt. Spragniony wiadomości ze świata, Pirx manipulował przy radiostacji, lecz wydobył z głośnika tylko zwiastujące niedaleki wschód słońca burze trzasków i gwizdów. Potem było śniadanie, po śniadaniu — wywoływanie płyt, nad jedną Langner śleczął długo, bo znalazł wspaniałą ślad jakiegoś rozpadu mezonowego, Pirxa nawet przywołał do mikroskopu, ale ten okazał się obojętny na uroki przemian jądrowych. Potem był obiad, godzina przy astrografach, wizualne obserwacje gwiazdowego nieba, zbliżała się pora kolacji. Langner krzątał się już w kuchni, gdy Pirx — to był jego dzień — wetknął w przejściu głowę przez drzwi i powiedział, że wychodzi. Langner, zajęty odczytywaniem skomplikowanej receptury na pudełku z proszkiem omletowym, mruknął mu, żeby się spieszył. Omlety będą za dziesięć minut.

Więc Pirx, z paczką klisz w garści, już w skafandrze, sprawdziwszy, czy ściągacze dobrze dociskają hełm do obsady kołnierzykowej, otworzył na oścież oboje drzwi kuchenne i z radiostacji — wszedł do komory, zatrzasnął drzwi hermetyczne, otworzył kłapę, wylazł na wierzch, ale jej nie zamknął — właśnie, żeby szybciej wrócić. Langner i tak nie wybiera się na zewnątrz, więc w takim postępowaniu nie było nic złego.

Ogarnęła go ta sama ciemność, która jest wśród gwiazd. Ziemska nie dorównuje jej, bo atmosfera zawsze świeci słabym, pobudzonym promieniowaniem tlenu. Widział gwiazdy i tylko po tym, jak tu i ówdzie urywały się wzory znacznych konstelacji, po tej czerni bezgwiazdnej poznawał dookolną obecność skał. Zaświecił reflektor czołowy i z miarowo kołyszającą się przed sobą bladą plamą jasności dotarł do studni. Przełożył nogi w ciężkich

butach przez cembrowinę (do księżycowej lekkości szybko się przywyka, trudniej do prawdziwego ciężaru po powrocie na Ziemię), zmacał na oślep pierwszy szczebel, zlął na dół i zabrał się do zmieniania klisz. Gdy kucnął i pochylił się nad stojakami, światło jego reflektora zamrugalo i zgasło. Poruszył się, trącił ręką hełm — zapłonęło na powrót. A więc żarówka była cała, tylko nie kontaktowała dobrze. Zaczął zbierać naświetlone płyty — reflektor błysnął parę razy i znowu zgasł. Pirx ślęczał kilka sekund w absolutnej ciemności, niepewny, co począć. Droga powrotna nie stanowiła problemu — znał ją na pamięć, a poza tym na szczycie Stacji płonęły dwa światełka, zielone i niebieskie. Ale mógł po omacku potłuc klisze. Raz jeszcze uderzył pięścią w hełm — reflektor zajaśniał. Szybko zanotował temperaturę, wetknął naświetlone klisze do kaset, przy wkładaniu kaset do futerału przekłęty reflektor znów zgasł. Musiał odłożyć klisze, żeby kilkakrotnym uderzeniem w hełm zapalić go na powrót. Zauważył, że kiedy jest wyprostowany, reflektor płonie, a kiedy się nachyla — gaśnie. Musiał więc pracować w bardzo nienaturalnej pozycji. Nareszcie światło wysiadło już na dobre i żadne uderzenia nie pomagały. Teraz już o wracaniu na Stację, gdy miał wokół siebie porozkładane klisze, nie było mowy. Oparł się plecami o najwyższy szczebel, odkręcił zewnętrzną pokrywę, wtłoczył rtęciowy palnik mocniej w obsadę i założył pokrywę z powrotem. Światło już miał, ale, jak to czasem bywa, gwint nie chciał chwycić. Pirx próbował i tak, i owak — nareszcie, zniecierpliwiony, wetknął pokrywę z zewnętrznym szkłem reflektora do kieszeni, szybko zebrał klisze i rozłożywszy nowe, jął leżeć na górę. Był może pół metra od otworu studni, gdy wydało mu się, że w białe światło jego reflektora wmieszał się inny blask, chwiejny, krótkotrwały — spojrzał w górę, ale zobaczył tylko gwiazdy w wylocie studni.

Zdawało mi się — pomyślał.

Wylął na wierzch, ale zdjął go jakiś niejasny niepokój. Nie szedł, biegł wielkimi susami, chociaż te księżycowe skoki wbrew temu, co niejedni sądzą, wcale nie przyspieszają biegu; są długie, ale też i leci się sześć razy wolniej aniżeli na Ziemi. Gdy był przy samej Stacji i rękę kładł na poręczy, zobaczył drugi błysk. Jak gdyby ktoś wystrzelił raketę w stronie południowej. Rakiety nie zobaczył, cały widok zasłaniała mu bania Stacji, tylko upiorny odbłask wiszarów skalnych: wyłoniły się na sekundę z czerni i znikły.

Jak małpa wlał błyskawicznie na szczyt kopuły. Panowała ciemność. Gdyby miał raketnicę, strzeliłby, ale jej nie miał. Włączył swoje radio. Trzaski. Piekielne trzaski. Kłapa była otwarta. Więc Langner siedział w środku.

Nagle pomyślał, że jest idiotą. Jaka rakietka? To na pewno był meteor. Meteory nie świecą w atmosferze, bo Księżyc jej nie ma : świecą, gdy z kosmiczną szybkością roztrzaskują się o skały.

Skoczył do komory, zamknął kłapę, wpuszczenie powietrza zajęło chwilę, wskazówki pokazywały właściwe ciśnienie: 0,8 kg na centymetr kwadratowy ; otworzył drzwi i, ściągając w biegu hełm, wpadł do korytarzyka.

— Langner!! — zawołał.

Odpowiedziało mu milczenie. Tak jak stał, w skafandrze, wpadł do kuchni. Ogarnął ją jednym spojrzeniem. Była , pusta. Na stole — talerze, przygotowane do kolacji, w rondelku rozbełtana papka omeletowa, patelnia obok już włączonego grzejnika.

— Langner! — ryknął, rzucając trzymane w rękę klisze i skoczył do radiostacji. Była również pusta. Nie wiadomo skąd, wezbrała w nim pewność, że nie ma co szukać w obserwatorium, że Langnera nie ma na Stacji. Więc to jednak były rakiety, te błyski? Langner strzelał? Wyszedł? Czemu? Szedł w stronę przepaści!

Nagle zobaczył go. Zielone oko mrugało : oddychał.

A obracający się promień radaru wyławiał z ciemności mały, ostry błysk — w najniższej części ekranu'. Langner szedł ku przepaści...

— Langner! Stój! Stój!!! Słyszysz? Stój!!! — krzyczał w mikrofon, nie spuszczając z oka

ekranu. Głośnik chrobotał. Trzaski zakłóceń, nic więcej. Seledynowe skrzydełka wachlowały, ale nie jak przy normalnym oddechu: poruszały się powoli, niepewnie, czasem zamierały na długą chwilę... jakby aparat tlenowy Langnera przestawał pracować. A ten ostry błysk w radarze był bardzo daleko pojawiając się na wrysowanej w szkło siatce współrzędnych u samego dołu ekranu, oddalony o półtora kilometra w linii prostej... więc już gdzieś pośród stojących dęba wielkich pionowych płyt pod Bramą Słoneczną. I nie poruszał się wcale. Jaśniał, przy każdym obrocie promienia wodzącego, w tym samym dokładnie miejscu, Langner upadł? Leży tam, nieprzytomny?

Pirx wybiegł na korytarz. Do komory ciśnień, na zewnątrz! Dopadł drzwi hermetycznych. Ale gdy biegł obok kuchni coś mignęło mu, czarnego, na białym nakrytym stole. Te klisze fotograficzne, które przyniósł i machinalnie rzucił, przerażony nieobecnością towarzysza. To go jakby sparaliżowało. Stał na progu komory z hełmem w rękach i nie ruszał się z miejsca.

To jest to samo, jak wtedy. To samo — pomyślał Przygotowywał kolację: nagle wyszedł. Teraz ja wyjdę za nim i... obaj nie wrócimy. Kłapa zostanie otwarta. Za kilka godzin Ciołkowski zacznie wzywać przez radio. Nie będzie odpowiedzi...

Coś krzychało w nim: „Wariacie, idź! Na co czekasz! On tam leży! Może porwała go lawina, zeszła ze szczytu, nie słyszałeś, bo tu nic nie słysząc, on jeszcze tyje, nie rusza się, nie spadł, ale żyje, oddycha, pędziej.. „

A jednak stał bez ruchu. Nagle zawrócił, wpadł do radiostacji, przyjrzał się dobrze wskaźnikom.

Wszystko było bez zmiany. Raz na cztery, pięć sekund powolne rozszerzenie „motylka”, drgające, niepewne. I błysk w radarze — na skraju przepaści...

Sprawdził kąt nachylenia anteny. Był minimalny. Nie ogarniała już pobliza Stacji, wysyłała impulsy na maksymalny zasięg.

Zbliżył twarz do oddechowego wskaźnika, tak że miał go tuż przed oczyma. Zobaczył wtedy coś dziwnego. Zielonkawy „motyl” nie tylko rozkładał i związał skrzydełka, ale zarazem drgał cały miarowo, jakby na rytm oddechowy nałożony był drugi, daleko szybszy. Drgawki agonizacyjne? Konwulsje?

Tamten konał, a on, z wpółotwartymi ustami, wpatrywał się chciwie w ruchy katodowego płomyczka wciąż takie same, powolne, ząbkowane drugim rytmem... Nagle, sam dobrze nie rozumując, dlaczego to robi, chwycił kabel antenowy i wyrwał go z kontaktu. I stała się zdumiewająca rzecz: wskaźnik, z odłączoną anteną, oderwany od impulsów zewnętrznych, zamiast znieruchomieć, wachlował ciągle to samo...

Wciąż w tym niepojętym osłupieniu Pirx dopadł do pulpitu i zwiększył nachylenie anteny radarowej. Daleki błysk, trwający pod Bramą Słoneczną, począł wędrować ku krawędzi ekranu. Radar wychwytywał coraz bliższe sektory otoczenia, aż nagle pojawił się w nim drugi rozbłysk, daleko większy i silniejszy. Drugi skafander! To na pewno był człowiek. Poruszał się. Powoli, miarowo schodził w dół, wymijając na swej drodze jakieś przeszkody, bo skręcał raz w lewo, raz w prawo — i zmierzał prosto ku Bramie Słonecznej, ku tej drugiej, dalekiej iskierce — ku drugiemu człowiekowi?

Pirxowi omal oczy nie wyszły z głowy. Iskry były naprawdę dwie, bliska — ruchoma, i daleka — bezwładna.

W Mendelejewie było dwu ludzi, Langner i on. Aparatura mówiła, że jest ich trzech. Nie mogło być trzech. Więc kłamała.

W czasie krótszym od potrzebnego, aby to wszystko przemyśleć, był już w komorze z raketnicą i nabojami. Po następnej minucie stał na wypukłości kopuły i raz po raz strzelał sygnałowymi raketami, mierząc stromo w dół, wciąż w jednym kierunku — Bramy Słonecznej. Ledwo nadażał z wyrzucaniem gorących łusek. Ciężka kolba raketnicy skakała mu w rękę. Nie słysząc było nic, po spuszczeniu cyngla przechodził lekki cios odrzutu, wykwitwały smugi ognia, zieleń brylantowa i purpurowy płomień, strzelający kroplami

czerwieni, i wytrysk gwiazd szafirowych — walił raz za razem, nie przebierając w kolorach... Aż z dołu z nieskończonych mroków błysnęło w odpowiedzi, i pomarańczowa gwiazda, wybuchając nad jego głową, oświetliła go i obsypała, jakby w nagrodę, deszczem płonących strusich piór. I druga deszczem szafirowego złota.

Strzelał. I tamten strzelał, wracając: błyski odpaleń zbliżały się. Aż w którymś zobaczył widomą sylwetkę Langnera. Poczł nagłą słabość. Całe jego ciało pokryło się potem. Nawet głowa. Ociekał, jakby wylazł z kąpieli. Nie puszczając raketnicy, usiadł, bo nogi zrobiły się nieprzyjemnie miękkie w kolanach. Zwiesił je w dół przez otwartą klapę do wnętrza komory i czekał, dysząc, na Langnera, który był tuż.

To było tak. Kiedy Pirx wyszedł, Langner, zajęty w kuchni, nie patrzył na wskaźniki. Zobaczył je dopiero po kilku minutach. Nie wiadomo dokładnie, po ilu. W każdym razie musiało to być wtedy, gdy Pirx manipulował przy gasnącym reflektorze. Kiedy znikł z pola widzenia radaru, automat zaczął zmniejszać nachylenie anteny i czynił to tak długo, aż wirująca wiązka promieni dotknęła podnóża Bramy Słonecznej. Langner zobaczył tam rozbłysk, który wziął za obraz skafandra, tym bardziej że nieruchomość rzekomego człowieka tłumaczyły wskazania oka magicznego : tamten (oczywiście pomyślał, że to Pirx) oddychał jak nieprzytomny — jakby się dusił. Langner, na nic już nie czekając, natychmiast włożył skafander i pobiegł na ratunek.

Obraz w radarze ukazywał w rzeczywistości najbliższą z szeregu aluminiowych tyk, tę, która stoi nad samą przepaścią. Langner może by się w pomyłce zorientował, ale było wszak jeszcze wskazanie „oka”, które zdawało się wspierać i potwierdzać radarowe.

Gazety pisały potem, że „okiem” i radarem zawiadywała elektronowa aparatura, rodzaj mózgu elektronowego, w którym podczas katastrofy Rogeta utrwalił się rytm oddechowy tego konającego Kanadyjczyka i „mózg” powtarzał go, ów rytm, gdy zachodziła „podobna sytuacja”.

Że to był rodzaj odruchu warunkowego na pewien określony stan „wejść” elektrycznej sieci.

W rzeczywistości rzecz miała się daleko prościej. Na Stacji nie było żadnego „mózgu elektronowego”, a tylko zwykły automatyczny rozrząd, pozbawiony jakiegokolwiek „pamięci”. „Agonalny rytm oddechowy” powstawał wskutek przebicia małego kondensatora; dawało ono znać o sobie tylko wówczas, kiedy otwarta była kłapa wyjściowa. Napięcie przeskakiwało wtedy z jednego obwodu w drugi i na siatce „oka magicznego” powstawało „dudnienie”. Tylko na pierwszy rzut oka przypominało „agonalny oddech”, gdyż przyjrząwszy się lepiej, można było bez trudu dostrzec nienaturalne drżenie seledynowych skrzydełek. Langner szedł już ku przepaści, gdzie, jak sądził, znajduje się Pirx — oświetlał sobie drogę reflektorem, a w miejscach nieprzejrzystych raketami. Dwa ich odpalenia zauważył Pirx, gdy wracał do Stacji. Pirx z kolei po czterech czy pięciu minutach zaczął przyzywać Langnera strzałami z raketnicy — i na tym się ich przygoda skończyła.

Z Challiersem i Savage'em stało się inaczej. Savage też może powiedział wychodzącemu Challiersowi: „Wróć szybko”, tak jak to powiedział Pirxowi Langner. A może Challiers spieszył się, bo się zaczytał i wyszedł później niż zwykle. Dostyc, że nie zamknął klapy. Potrzebne było, aby błąd aparatury mógł dać zgubne rezultaty — drugie jeszcze przypadkowe skojarzenie czynników: coś musiało idącego po klisze zatrzymać w studziencie tak długo, aby antena radaru wznosząca się o kilka stopni przy każdym następnym obrocie odnalazła wreszcie aluminiową tykę nad przepaścią. Co zatrzymało Challiersa? Nie wiadomo. Awaria reflektora prawie na pewno nie: zdarza się zbyt rzadko. Coś jednak opóźniło jego powrót dostatecznie długo, aż pojawił się w ekranie fatalny rozbłysk, który Savage, jak potem Langner, wziął za obraz skafandra.

Opóźnienie musiało wynosić co najmniej trzynaście minut: stwierdziły to wykonane potem

próby.

Savage poszedł ku przepaści, by szukać Challiersa. Challiers, wróciwszy ze studzienki, zastał Stację pustą, zobaczył ten sam obraz, co Pirx — i sam z kolei wyszedł, na poszukiwanie Savage'a. Być może Savage, dotarłszy do Bramy Słonecznej, ponieważ zorientował się w tym, że radar ukazywał tylko obraz metalowej rurki wbitej w piarg, ale w drodze powrotnej upadł i rozbił szybkę skafandra. Może i nie dociekł mechanizmu zjawiska, a tylko po daremnych poszukiwaniach, nie mogąc znaleźć Challiersa, zapędziwszy się w jakieś przepaściste miejsce, upadł — tych wszystkich szczegółów nie dało się wyświetlić. Dostyc, że obaj Kanadyjczycy zginęli. Katastrofa mogła się wydarzyć tylko o świcie. Bo gdy nie było radiowych zakłóceń, pozostający na Stacji człowiek mógł prowadzić rozmowę z wychodzącym, nawet nie opuszczając kuchni

Katastrofa mogła się wydarzyć tylko wtedy, gdy wychodzący się spieszył. Zostawiał wtedy klapę otwartą : jedynie wtedy, przy takiej konfiguracji połączeń, ujawniał się błąd aparatury. Ale poza tym temu, kto się spieszy, łatwiej na ogół może się przytrafić, że wróci później, właśnie dlatego, bo chciał wrócić wcześniej. Że upuści w pośpiechu paczkę klisz, że coś potrafi — takie rzeczy zdarzają się przy pośpiechu. Obraz radarowy jest mało wyraźny : z odległości tysiąca dziewięciuset metrów metalową tykę łatwo wziąć za skafander stojącego człowieka. Gdy zachodzi zbieg wszystkich okoliczności, katastrofa była możliwa, a nawet prawdopodobna. Pozostający — dodajmy dla zupełności — musiał być w kuchni czy gdziekolwiek indziej, w każdym razie nie w radiostacji, gdyż wtedy widziałby, że jego towarzysz odchodzi we właściwym kierunku, i nie wziąłby potem pojawiającego się na południu drobnego rozbłysku za skafander.

Challiers, oczywiście, nie przez przypadek znaleziony został tak blisko miejsca, w którym zginął Roget. Spadł w przepaść otwierającą się pod miejscem, oznaczonym aluminiową tyką. Tyka znajdowała się tam, aby ostrzegać przed przepaścią; Challiers szedł w tym kierunku, bo myślał, że zmierza do Savage'a.

Mechanizm fizyczny zjawiska był trywialnie prosty. Wymagał tylko określonego następstwa kilku wypadków i obecności takich czynników, jak zakłócenia radiowe i otwarta kłapa komory ciśnieniowej.

Bardziej może godny uwagi był mechanizm psychologiczny. Kiedy aparatura, pozbawiona impulsów zewnętrznych, wprawiała w ruch „motyłka oddechowego” oscylacją wewnętrznych napięć, a na radarze pojawiał się obraz fałszywego skafandra, najpierw pierwszy, a potem drugi przychodzący człowiek brał to za wskazania stanu realnego. Najpierw Savage myślał, że widzi u przepaści Challiersa, potem — Challiers, że Savage'a. To samo zdarzyło się potem Pirxowi i Langnerowi.

Dojście do podobnego wniosku ułatwione było przez to, że każdy z ludzi na Stacji znał doskonale szczegóły katastrofy, która pochłonęła życie Rogeta, i pamiętał, jako rys specjalnie dramatyczny, historię długiej agonii tamtego nieszczęśnika, do końca wiernie przekazywanej obserwatorium na Stacji przez „oko magiczne”.

Jeśli więc — jak ktoś zauważył — można było w ogóle mówić o „odruchu warunkowym”, to przejawiała go nie aparatura, lecz sami ludzie. Na pół świadomie dochodzili do przeświadczenia, że w niepojęty jakiś sposób nieszczęście Rogeta powtórzyło się, wybierając tym razem za ofiarę jednego z nich.

— Teraz, kiedy wiemy już wszystko — powiedział Taurow, cybernetyk z Ciołkowskiego — powiedzcie nam, kolego Pirx, jak zorientowaliście się w sytuacji? Mimo że jak sami powiadacie, nie zrozumieliście mechanizmu zjawiska... — Nie wiem — powiedział Pirx. Przez okno biła białość osłonecznionych szczytów. Ich ostrza, jak kości wyprażone w ogniu, tkwiły w gęstej czerni nieba. — Chyba przez klisze. Kiedy je zobaczyłem, zrozumiałem, że rzuciłem je tak samo, jak Challiers. Może bym jednak poszedł, gdyby nie jeszcze jedna rzecz. Z kliszami, to, w końcu, mógł być przypadkowy zbieg okoliczności. Ale mieliśmy na kolację

omlety — tak samo jak oni, w ten ich ostatni wieczór. Pomyślałem, że za wiele już tych przypadków: że to jest coś więcej niż ślepy traf. Te omlety... myślę, że to one nas uratowały...

— Otwarta kłapa była funkcją przyrządzania omletów, jako wezwanie do pośpiechu, rozumowaliście więc całkiem prawidłowo, ale to by was nie uratowało, gdybyście całkowicie zaufali aparaturze — powiedział Taurow.

Z jednej strony musimy jej ufać. Bez elektronowych urządzeń kroku nie zrobilibyśmy na Księżycu. Ale... za takie zaufanie czasem trzeba płacić...

— To prawda — odezwał się Langner. Wstał. — Muszę wam powiedzieć, panowie, czym najbardziej zaimponował mi mój towarzysz gwiazdowy. Co do mnie, z tej karkołomnej przechadzki wróciłem raczej bez apetytu. Ale on — położył rękę na ramieniu Pirxa — po wszystkim, co zaszło, usmażył te omlety i zjadł co do jednego. Tym zadziwił mnie! Bo wprawdzie przedtem już widziałem, że jest bystry i zacny do pocziwości...

— Jaki?! — spytał Pirx.

POLOWANIE

Wyszedł z kapitanatu zły jak wszyscy diabli. Akurat jemu musiało się to przytrafić! Armator nie dostarczył ładunku — po prostu nie dostarczył — i kwita. W kapitanacie nic nie wiedzieli. Owszem, była depesza: „Opóźnienie 72 godziny — karę umowną wpłacam na wasze konto — Enstrand”. Ani słowa więcej. W biurze radcy handlowego też nic nie wskórał. W porcie robiło się ciasno i kapitanatowi nie wystarczała kara umowna. Postojowe postojowym, a najlepiej byłoby, gdyby nawigator zechciał wystartować i wejść na okrężną. Silniki można zastopować, żadnego rozchodu paliwa, poczeka pan te trzy dni i wróci. Cóż to panu szkodzi? Trzy dni kręcić się dokoła Księżyca tylko dlatego, że armator nawalił! Pirx po prostu nie wiedział, jak zareplikować, ale przypomniał sobie o umowie zbiorowej. No i kiedy wyjechał z normami przebywania w przestrzeni, ustalonymi przez związek zawodowy, tamci zaczęli się wycofywać. Rzeczywiście, tonie Rok Spokojnego Słońca. Dawki promieniste nie są obojętne. Więc trzeba by manewrować, chować się przed Słońcem za Księżyc, wyrabiać tę ciuciubabkę ciągiem; kto zapłaci za to? — wiadomo, że armator nie, może kapitanat? Czy panowie zdają sobie sprawę z tego, co kosztuje dziesięć minut pełnego ciągu, przy reaktorze o siedemdziesięciu milionach kilowatów?! W końcu dostał zezwolenie na postój, ale właśnie tylko na siedemdziesiąt dwie godziny plus cztery godziny na przeładowanie tej cholernej drobnicy — ani minuty więcej! Można było pomyśleć, że robią mu łaskę. Jakby to była jego wina. A przyleciał z dokładnością do minuty, chociaż nie szedł prosto z Marsa — a że armator...

Z tego wszystkiego zapomniał prawie, gdzie jest i tak pocisnął klamkę drzwi wychodząc, że podskoczył pod sufit. Zrobiło mu się głupio, rozejrzał się, ale nikogo nie było. W ogóle cała Luna wydawała się pusta. Prawda, że rozpoczęto wielkie roboty paręset kilometrów na północ, między Hypatią i Toricellim. Inżynierowie i technicy, od których miesiąc temu aż się tu roiło, wyjechali już na budowę. Wielki projekt ONZ, Luna II, przyciągał coraz więcej ludzi z Ziemi. — Przynajmniej tym razem nie będzie kłopotów z hotelem — pomyślał jadąc ruchomymi schodami na ostatnią kondygnację podziemnego miasta. Światłówki jarzyły się zimnym, dziennym blaskiem. Co druga była wygaszona. Oszczędzają! Pchnąwszy szklane drzwi, wszedł do niewielkiego hallu. Pokoje były, a jakże! Ile kto chciał. Zostawił swoją małą walizkę, właściwie neseser, w portierni, i zastanowił się: Czy Tyndall dopilnuje, żeby mechanicy przeszlifowali centralną dyszę? Bo jeszcze na Marsie zachowywała się jak średniowieczna kartaczownica! Właściwie należałoby samemu dopatrzeć, pańskie oko, wiadomo... Nie chciało mu się jednak wracać windami dwanaście pięter w górę, tym bardziej że teraz i tak wszyscy się chyba porozłazili. Siedzą pewno w domu towarowym lotniska i przesłuchują ostatnie nagrania. Szedł, nie wiedząc właściwie — dokąd; restauracja hotelowa była pusta, jakby nieczynna — ale za bufetem siedziała jednak ruda dziewczyna i czytała książkę. A może zasnęła nad nią?

Bo papieros zamienił się jej w długi wałeczek popiołu na marmurowym blacie... Pirx usiadł, przestawił zegarek na lokalny czas i raptem zrobiło się późno: dziesiąta wieczór. A na pokładzie dopiero co, przed paru minutami, było południe. Ten wieczny kołowrót z nagłymi przeskokami czasu był tak samo męczący jak na początku, kiedy dopiero uczył się latać. Jadł obiad, zmieniony w kolację, popijając go wodą mineralną, która była chyba cieplejsza jednak od zupy. Kelner, smutny i senny jak prawdziwy lunatyk, pomylił się przy rachunku na własną niekorzyść, co stanowiło już niepokojący objaw. Pirx poradził mu, żeby spędził urlop na Ziemi, wyszedł cicho, by nie budzić śpiącej bufetowej, wziął od portiera klucz i pojechał do swego pokoju. Nie popatrzał od razu na blaszkę i dziwnie mu się zrobiło, kiedy zobaczył numer: 173. W tym samym pokoju mieszkał już kiedyś, gdy po raz pierwszy leciał na „tamtą stronę”. Ale kiedy otworzył drzwi, przekonał się, że albo to inny pokój, albo gruntownie go

przebudowali. Nie, musiał się jednak pomylić, ten był większy; przekreślił wszystkie kontakty, bo dość miał ciemności, zajrzał do szafy, wyciągnął szufladę małego biurka, ale nie rozpakował nawet walizki, tyle że cisnął piżamę na łóżko, a szczoteczkę i tubę z pastą położył na umywalce. Umył ręce — woda była zawsze tak piekielnie zimna, aż dziw, że nie zamarzała. Odkręcił kurek ciepłej — pociurkało kilka kropel. Podszedł do telefonu, żeby wezwać recepcję, ale i tego mu się odechciało. Inna rzecz, że skandal — już się Księżyc zagospodarowało, a nie można się doprosić, żeby w pokoju hotelowym zawsze była ciepła woda! Włączył radio. Szedł właśnie dziennik wieczorny — wiadomości księżycowe. Nie słuchał prawie rozważając, czy wysłać depezę do armatora. Rozumie się — na jego koszt. Ale to przecież i tak nic nie da. To nie romantyczne czasy kosmonautyki! Dawno już minęły, teraz człowiek jest po prostu furmanem, zależnym od tych, co ładują mu towary na wóz! Fracht, ubezpieczenie, postojowe... Radio bormotało niewyraźnie. Zaraz — co tam?... Przechylił się przez łóżko i poruszył gałką aparatu.

„...prawdopodobnie ostatek roju Leonidów” — wypełnił pokój miękki baryton spikera. — „Tylko jeden budynek mieszkalny został uszkodzony bezpośrednim trafieniem i utracił hermetyczność. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności mieszkańcy jego znajdowali się w pracy. Pozostałe meteoryty nie wyrządziły większych szkód z wyjątkiem tego, który przebił tarczę osłaniającą magazynów. Jak donosi nasz korespondent, sześć automatów uniwersalnych, przeznaczonych do prac na terenie budowy, uległo zupełnemu zniszczeniu. Uszkodzona została również linia wysokiego napięcia oraz przerwane połączenie telefoniczne, które jednak w ciągu trzech godzin przywrócono. Obecnie powtórzymy najważniejsze wiadomości. Dziś rano nastąpiło otwarcie kongresu panafrykańskiego”...

Wyłączył radio i usiadł. Meteoryty? Jakiś rój? No tak, pora Leonidów, ale przecież prognozyki — ci meteorologowie zawsze naknoć, zupełnie jak na Ziemi synoptycy... Budowa — to chyba ta na północy. Jednak co atmosfera, to atmosfera: jej brak porządnie daje się tu we znaki. Sześć automatów... proszę. Dobrze, że choć ludzie cali. Głupia historia jednak — przebiło tarczę! Tak, ten projektant, to dopiero...

Był zmęczony. Czas mu się już zupełnie pokiełbał. Między Marsem a Ziemią musieli połknąć wtorek. Po poniedziałku zrobiła się od razu środa; w efekcie zabrakło także jednej nocy. — A zatem należy się wyspać i to na zapas — pomyślał, wstał i odruchowo ruszył w stronę malutkiej łazienki, ale na wspomnienie lodowatej wody aż się wzdrygnął, zawrócił na pięcie i po minucie leżał już w łóżku. Ani się umywało do koi okrętowej. Ręka sama poszukała pasów do przypięcia kołdry, uśmiechnął się lekko, gdy ich nie znalazł, bo przecież był w hotelu, gdzie nie groził nagły zanik grawitacji... To była jego ostatnia myśl. Kiedy otworzył oczy, nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Panowały egipskie ciemności. — Tyndall! — chciał zawołać i nagle, zupełnie nie wiedząc czemu, przypomniał sobie, jak tamten wypadł raz przestraszony z kajuty, w samych spodniach piżamowych, i rozpaczliwie wołał do wachtowego: „Ty! Błagam cię! Powiedz, jak ja się nazywam?!” Biedak urznął się, bo uroiwszy sobie jakąś żołądkową historię, wypił całą flaszkę rumu. Ale tą okrężną drogą myśl Pirxa wróciła zaraz do rzeczywistości. Wstał, zaświecił lampę, wszedł pod tusz, przypomniał sobie o wodzie, puścił więc z ostrożności najpierw mały strumyk — była letnia, westchnął więc, bo tęsknił za gorącą kąpielą, lecz po chwili, w strumieniach bijących po twarzy i torsie, zaczął nawet podśpiewywać.

Wkładał właśnie czystą koszulę, gdy głośnik — nie miał pojęcia, że coś takiego w ogóle jest w pokoju, odezwał się basem:

„Uwaga! uwaga! Podajemy ważne zawiadomienie. Wszyscy mężczyźni, zdolni do noszenia broni, proszeni są o niezwłoczne stawienie się w kapitanacie portu, pokój 318, u komandora-inżyniera Achaniana. Powtarzam. Uwaga, uwaga...” Pirx tak się zdziwił, że przez chwilę stał nieruchomo, w skarpetkach i jednej koszuli. Co to? Może prima aprilis? Zdolni do noszenia broni? Może to jeszcze sen? Ale wymachując rękami, aby prędzej

naciągnąć koszulę, palnął ręką o brzeg stołu, aż mu się ciepłej zrobiło. Nie, to nie sen. Więc co? Inwazja? Marsjanie zdobywają Księżyc? Co za bzdura! W każdym razie trzeba iść...

A coś szeptało mu, kiedy wskakiwał w spodnie: „Tak, to się musiało stać, bo właśnie tu jesteś. Masz już takie szczęście, że przyciągasz przygody”... Kiedy wychodził z pokoju, zegar wskazywał ósmą. Chciał spytać pierwszego napotkanego, co się właściwie stało, ale korytarz był pusty, ruchome schody też, jakby już było po generalnej mobilizacji, jakby wszyscy już gdzieś, diabli wiedzą gdzie, kotłowali się na pierwszej linii... Biegł w górę schodów, chociaż i tak sunęły szparko, spieszył się, jakby naprawdę mógł stracić szansę bohaterskich czynów. Na górze zobaczył jasno oświetlony, szklany kiosk z gazetami, podbiegł do okienka, aby wreszcie spytać, ale budka była pusta. Gazety sprzedawał automat. Kupił więc paczkę papierosów i dziennik, który przejrzał nie zwalniane kroku, nic w nim jednak nie było poza opisem meteorytowej katastrofy. Może to to? Ale z tą bronią? Nie, nie! Długim korytarzem doszedł do kapitanatu. Nareszcie zobaczył pierwszych ludzi. Ktoś wchodził właśnie do pokoju z numerem 318, ktoś inny zbliżał się tam, idąc z przeciwnego końca korytarza.

— Nic się już nie dowiem, nie zdążę — pomyślał, obciągnął na sobie marynarkę i wszedł. Był to niewielki pokój, z trzema oknami, za którymi płonął sztuczny krajobraz księżycowy, o nieprzyjemnej barwie rozpalonej rtęci. W węższej części trapezowatego pokoju stały dwa biurka, cała zaś przestrzeń przed nimi zastawiona była krzesłami, zniesionymi chyba naprędce, bo każde niemal było inne. Znajdowało się tu jakichś czternaście, piętnaście osób, przeważnie mężczyzn w średnim wieku oraz kilku chłopców z naszywkami kadetów żeglugi kosmicznej. Osobno siedział jakiś : starszy komandor — reszta krzeseł stała pusta. Pirx usiadł obok jednego z kadetów który mu zaraz opowiedział, jak przylecieli w sześciu poprzedniego dnia dla odbycia praktyki na „tej stronie”, ale do ich dyspozycji był tylko mały aparat, tak zwana pchła, więc zabrał ledwo trzech, reszta musiała czekać na swoją kolej, aż tu nagle taka historia. Czy pan nawigator nie wie...? Ale pan nawigator sam nic nie wiedział. Po minach siedzących można się było zorientować, że i oni są zaskoczeni niezwykłym komunikatem — wszyscy bodaj przyszli z hotelu. Kadet, przypomniawszy sobie, że należy się przedstawić, wykonał kilka ćwiczeń gimnastycznych, omal nie przewracając krzesła. Pirx chwycił je za oparcie, wtedy drzwi otwarły się i wszedł niewysoki, czarnowłosy mężczyzna o z lekka szpakowatych skroniach; miał wygolone, ale sine od zarostu policzki, nastrzępione brwi i małe, przenikliwe oczy; nic nie mówiąc przeszedł między krzesłami, za biurkiem spuścił z rolki podsufitowej mapę „tej strony” w skali 1 : 1 000 000 i potarłszy grzbietem ręki silny, mięsisty nos, rzekł bez żadnych wstępów:

— Proszę panów, jestem Achanian, delegowany chwilowo przez kierownictwo połączone Luny I i Luny II do sprawy unieszkodliwienia Setaura.

Wśród siedzących nastąpiło lekkie poruszenie, ale Pirx dalej nic nie rozumiał — nie wiedział nawet, co to jest Setaur.

— Ci z panów, którzy słuchali radia, wiedzą, że tutaj — pokazał linijką okolice Hypatii i Aifraganusa — wypadł wczoraj rój meteorów. Mniejsza o skutki upadku innych, ale jeden, bodaj że największy, strzaskał ochronną tarczę magazynów B 7 i R 7, przy czym w tym ostatnim znajdowała się partia Setaurów, dostarczonych ledwo cztery dni temu z Ziemi. W komunikatach podano, że wszystkie uległy zniszczeniu. Otóż to nie jest, proszę panów, prawdą.

Kadet; siedzący obok Pirxa, słuchał z czerwonymi uszami, nawet usta otworzył, jakby się bał, że uroni jakieś słowo; Achanian zaś mówił dalej:

— Pięć robotów zdruzgotał walący się strop, ale szósty ocalał. A właściwie — uległ uszkodzeniu. Sądźmy tak na tej podstawie, że wydostał się spod ruin magazynu i zaczął się od tej chwili zachowywać, jak... jak...

Achanian nie znalazł właściwego słowa, więc nie dokończywszy ciągnął:

— Magazyny znajdują się przy boczniczy wąskotorówki, o pięć mil od prowizorycznego lądowiska. Natychmiast po katastrofie rozpoczęto akcję ratunkową i w pierwszej kolejności sprawdzano stany załogi, by wykryć, czy nikt nie został pogrzebany pod zburzonymi budynkami. Akcja ta trwała około godziny, ponieważ zaś okazało się tymczasem, że od wstrząsu straciły pełną hermetyczność budynki centralnego sterowania robót, przedłużyła się do północy. Około pierwszej wyjaśniono, że awaria sieci, zasilającej cały teren budowy, jak również przerwanie łączności telefonicznej, nie zostały spowodowane przez meteory, lecz kable uległy przecięciu... promieniem lasera.

Pirx mrugnął. Miał nieodparte wrażenie, że uczestniczy w jakimś przedstawieniu, w maskaradzie — bo takie rzeczy nie mogły się zdarzać. Laser! Doprawdy! Może przywiózł go marsjański szpieg? Ale komandor-inżynier nie wyglądał na człowieka, który ściąga rankiem gości hotelowych, aby płać im głupie kawały.

— Linie telefoniczną naprawiono w pierwszej kolejności — mówił Achanian — a w tym samym czasie mały transporter brygady awaryjnej, który dotarł do miejsca, gdzie kable uległy przerwaniu, utracił łączność radiotelegraficzną z kierownictwem Luny; po trzeciej nad ranem okazało się, iż transporter ów został zaatakowany laserem i pod wpływem kilku trafień stanął w płomieniach. Kierowca i jego pomocnik zginęli, a dwaj ludzie obsługi, którzy szczęśliwie byli w skafandrach, szykowali się bowiem do wyjścia dla naprawy linii, zdążyli wyskoczyć i ukryli się na pustyni, to jest na Marę Tranquilitatis — mniej więcej tu... — Achanian pokazał linijką punkt Morza Spokoju, oddalony o jakieś czterysta kilometrów od niewielkiego krateru Arago. — Żaden z nich, o ile wiem, nie widział napastnika. Po prostu w pewnej chwili poczuli bardzo silny udar termiczny i transporter zapalił się. Wyskoczyli, zanim wybuchły zbiorniki ze zgęszczonym gazem; uratował ich brak atmosfery, ponieważ eksplodowała tylko ta część paliwa, która mogła się wewnątrz transportera połączyć z tlenem. Jeden z tych ludzi zginął w nie ustalonych dotąd okolicznościach, a drugi zdołał powrócić na teren budowy po przebyciu około stu czterdziestu kilometrów, że zaś biegł w skafandrze, zużył cały swój zapas powietrza i dostał anoksji — jednakże, na szczęście, dostrzeżono go i obecnie przebywa w szpitalu. Nasze wiadomości o tym, co zaszło, opierają się tylko na jego relacji, więc będą wymagały jeszcze sprawdzenia.

Panowała teraz martwa cisza. Pirxowi też świeża już, co to wszystko znaczy, ale nie wierzył jeszcze, nie chciał jeszcze wierzyć...

— Zapewne domyślacie się, panowie — ciągnął równym głosem ciemnowłosa mężczyzna, odcinający się czarną jak węgiel sylwetką od tła palających rtęciowo pejzaży Księżyca — że tym, kto przeciął kable telefoniczne i linię wysokiego napięcia, a także zaatakował transporter, był ocalały Setaur. Jest to jednostka jeszcze mało znana, bo wprowadzona do seryjnej produkcji ledwo w ubiegłym miesiącu. Miał tu przyjść ze mną inżynier Klamer, jeden z projektantów Setaura, aby wyjaśnić panom dokładnie zarówno możliwości tego modelu, jak i środki, których należy użyć obecnie celem jego unieszkodliwienia bądź zniszczenia... — Kadet, siedzący obok Pirxa, cicho jęknął. Był to jęk najwyższego zachwytu, nawet nie próbującego udawać zgrozy. Młodzieniec nie zauważył strofującego wzroku nawigatora. Nikt zresztą nie dostrzegał niczego i nie słyszał nic poza głosem komandora-inżyniera.

— Nie jestem inżynierem i dlatego nie mógłbym panom powiedzieć wiele o Setaurze. Ale wśród obecnych powinien znajdować się doktor McCork. Czy jest obecny?

Wstał szczupły mężczyzna w okularach: — Jestem. Nie brałem udziału w projektowaniu Setaurów, znam tylko nasz angielski model, zbliżony do amerykańskiego, ale nie identyczny. Niemniej różnice są niezbyt wielkie. Mogę więc służyć...

— Doskonale. Doktorze, poproszę pana do mnie. Przedstawię jeszcze tylko sytuację bieżącą: ten Setaur znajduje się gdzieś tutaj — Achanian obwiodł końcem linijki brzeg Morza Spokoju. — To znaczy znajduje się w odległości trzydziestu do osiemdziesięciu kilometrów

od terenu budowy. Przeznaczony był, jak w ogóle wszystkie Setaury, do prac górniczych w bardzo ciężkich warunkach, w wysokiej temperaturze, przy znacznej możliwości obwałów, dlatego też modele te posiadają masywną budowę i gruby pancerz... Ale o tym powie panom dokładniej doktor McCork. Co się tyczy środków, jakimi dysponujemy, aby go unieszkodliwić — to kierownictwa wszystkich baz księżycowych dały nam przede wszystkim pewną ilość materiałów wybuchowych, dynamitu i oksylikwitów oraz lasery ręczne bezpośredniego rażenia i górnicze — przy czym ani te materiały wybuchowe, ani lasery nie mają, rozumie się, charakteru środków bojowych. Dla poruszania się grupy operujące w celu zniszczenia Setaura będą miały transportery małego i średniego zasięgu, w czym dwa posiadające lekki pancerz przeciw-meteorowy. Tylko taki pancerz może wytrzymać rażenie laserem z odległości około kilometra. Co prawda, dane te dotyczą Ziemi, gdzie pochłaniające energię działanie atmosfery jest bardzo istotne. Tutaj jej nie mamy, więc owe transportery będą niewiele tylko mniej narażone od innych. Dostaniemy też znaczną ilość skafandrów, tlenu i to, obawiam się, będzie wszystko. Około południa z sektora radzieckiego, przyleci „pchła” z trójosobową załogą; może ona wziąć ewentualnie dla krótkiego lotu czterech ludzi, aby dostarczyć ich w głąb obszaru, w którym lokalizowany jest Setaur. Na razie na tym kończę. Dam teraz panom arkusz papieru, na którym proszę wyraźnie wypisać nazwiska oraz specjalności zawodowe. Tymczasem może doktor McCork zechce powiedzieć kilka słów o Setaurze. Najważniejsze jest, jak sądzę, przedstawienie jego pięty achillesowej...

McCork stał już obok Achaniana. Był jeszcze bardziej chudy, niż się przedtem wydało Pirxowi; miał odstające uszy, z lekka trójkątną czaszkę, niemal niewidoczne brwi, czuprynę nieokreślonego koloru i z tym wszystkim wydawał się dziwnie sympatyczny.

Nim zaczął mówić, zdjął okulary w stalowej oprawie, jakby mu przeszkadzały, i położył je na biurku przed sobą.

— Skłamałbym, gdybym powiedział, że dopuszczaliśmy możliwość takiego wypadku, jaki się tu wydarzył. Ale oprócz matematyki cybernetyk musi mieć w głowie jeszcze jakąś szczyptę intuicji. Właśnie przez to nie zdecydowaliśmy się dotąd oddać naszego modelu do produkcji seryjnej. Testy laboratoryjne wykazały doskonałą sprawność Mefista — tak się nazywa nasz model. Setaur ma się od niego różnić lepszym zrównoważeniem hamowania i pobudzania. Tak przynajmniej sądziłem dotąd w oparciu o literaturę — teraz nie jestem już tego taki pewny. Nazwa zatracą o mitologię, ale jest tylko skrótem, pochodzi od słów Samoprogramujący się Elektronowy Trójkowy Automat Racemiczny, ponieważ do konstrukcji jego mózgu używa się zarówno prawo- jak i lewoskrętnych monopolimerów pseudokrystalicznych. To chyba w tej chwili nie jest ważne. Jest to automat zaopatrzony w laser do prac górniczych, laser fioletowy, zaś energii do wysyłania impulsów dostarcza mu mikrostop, pracujący na zasadzie zimnej reakcji łańcuchowej, dzięki czemu Setaur, o ile pamiętam, może w impulsach rozwijać dzielność czterdziestu pięciu tysięcy kilowatów.

— Jak długo? — spytał ktoś.

— Z naszego punktu widzenia — przez wieczność — odparł natychmiast chudy doktor. — W każdym razie przez wiele lat. Co się właściwie mogło stać z tym Setaurem? Mówiąc po prostu myślę, że dostał po głowie. Cios musiał być nadzwyczaj silny, ale w końcu nawet tutaj walący się budynek może uszkodzić chromoniklową czaszkę. Co się więc stało? Podobnych doświadczeń nigdyśmy nie przeprowadzali, kosztowałyby zbyt drogo — McCork uśmiechnął się niespodziewanie, ukazując małe, równe zęby — ale wiadomo ogólnie, że wyraźnie zlokalizowane uszkodzenie małego, to jest względnie prostego mózgu czy zwykłej maszyny cyfrowej powoduje kompletny rozpad funkcji. Natomiast im bardziej zbliżamy się w naśladowaniu procesów do mózgu ludzkiego, w tym większym stopniu taki złożony mózg staje się zdolny funkcjonować, pomimo tego, że częściowo uległ uszkodzeniu. Mózg zwierzęcy, na przykład kota, posiada pewne ośrodki, których drażnienie wywołuje reakcję ataku, przedstawiającego się jako wybuch agresywnej wściekłości. Mózg Setaura jest

zbudowany inaczej, ale posiada pewien generalny napad, motor aktywności, która może być w rozmaity sposób kierowana i kanalizowana. Otóż nastąpiło jakieś krótkie zwarcie tego centrum aktywności z uruchomionym programem destrukcji. Mówię naturalnie w przeraźliwym uproszczeniu.

— Ale skąd ta destrukcja? — spytał ten sam głos co przed chwilą.

— Bo to automat przeznaczony do prac górniczych — wyjaśnił doktor McCork. — „Zadaniem” jego miało być przebijanie sztolni, chodników, wiercenie skały, kruszenie szczególnie twardych minerałów, najogólniej mówiąc — niszczenie materialnej spistości, oczywiście nie wszędzie i nie wszystkiego, ale w rezultacie urazu doszło do takiej generalizacji. Moja hipoteza może być zresztą zupełnie fałszywa. Ta strona, czysto teoretyczna, będzie dla nas istotna później, kiedy się z niego zrobi już dywanik. Na razie najważniejsze jest, co Setaur potrafi. Może poruszać się z szybkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, właściwie w każdym terenie. Nie ma żadnych punktów smarowniczych, wszystkie powierzchnie stawowo—cierne pracują na teflonie. Ma zawieszona magnetyczna, pancerza jego nie przebije żaden pocisk rewolwerowy czy karabinowy, nie robiono takich prób, ale sądzę, że dopiero chyba działa przeciwpancerne... A takich nie mamy, prawda?

Achanian pokręcił przecząco głową. Wziął listę, która do niego wróciła, i czytał robiąc koło nazwisk drobne znaczki.

— Oczywiście, wybuch porządnego ładunku wybuchowego rozerwie go — ciągnął McCork spokojnie, jakby mówił o najzwyczajszej w świecie rzeczy. — Ale najpierw trzeba ten ładunek do niego zbliżyć, a obawiam się, że to nie będzie łatwe.

— Gdzie on właściwie ma ten laser? W głowie? — spytano z audytorium.

— On nie ma głowy, tylko rodzaj wybrzuszenia, wypukłości pomiędzy ramionami. Miało to zwiększyć jego odporność na zasypanie. Setaur liczy sobie dwieście dwadzieścia centymetrów wzrostu, więc razi z wysokości jakichś dwu metrów; wylot lasera osłonięty jest przesuwaną klapą; przy nieruchomym torsie może razić w kącie szerokim na trzydzieści stopni, a większe pole rażenia powstaje dzięki obrotom całego torsu. Laser ma moc szczytową czterdzieści pięć tysięcy kilowatów; każdy fachowiec zorientuje się, że to jest moc bardzo wielka, przebija łatwo kilkucentymetrową stalową blachę...

— W jakim zasięgu?

— To jest laser fioletowy, więc o bardzo małym kącie rozchodzenia się świetlnego pęku... Dlatego zasięg będzie praktycznie ograniczony polem widzenia; ponieważ horyzont jest tu odległy na równinie o dwa kilometry, a zatem co najmniej taki będzie zasięg rażenia.

— Dostaniemy specjalne lasery górnicze o sześciokrotnie większej mocy — wtrącił Achanian.

— Ale to jest tylko to, co Amerykanie nazywają overkill — odparł McCork, uśmiechając się. — Bo ta zwiększona moc nie da w pojedynku z laserem Setaura żadnej przewagi...

Ktoś spytał, czy nie dałoby się zniszczyć automatu z pokładu jakiegoś statku kosmicznego. McCork uznał się niekompetentnym, Achanian zaś, spojrzawszy na listę obecnych, rzekł:

— Jest tu obecny nawigator pierwszej klasy Pirx... Może pan zechce wyjaśnić tę sprawę?

Pirx wstał.

— Teoretycznie biorąc, statek średniego tonażu, jak mój Cuivier, więc o szesnastu tysiącach ton masy spoczynkowej, mógłby zapewne zniszczyć takiego Setaura, gdyby go dostał w swój odrzut. Temperatura gazów wylotowych przekracza sześć tysięcy stopni w odległości dziewięciuset metrów, więc to by chyba wystarczyło...?

McCork skinął głową.

— Ale to czysta spekulacja — podjął Pirx. — Statek trzeba by jakoś naprowadzić, a tak mały cel, jaki przedstawia Setaur, nie większy przecież od człowieka, zawsze się zdąży usunąć, o ile nie jest unieruchomiony, ponieważ boczna szybkość statku, manewrującego przy

powierzchni planety, w jej polu ciężenia, jest bardzo mała i nie może być nawet mowy o nagłych manewrach pościgowych. Pozostawałaby więc tylko ewentualność użycia małych jednostek, powiedzmy: własnej flotylli Księżyca. Tylko że odrzut jest tu słaby i o niezbyt wysokiej temperaturze, więc chyba gdyby użyć takiego stateczku jako bombowca... Lecz dla precyzyjnego bombardowania trzeba specjalnych przyrządów, celowników, których Luna nie posiada. Nie widzę takiej możliwości. Owszem, trzeba, nawet należy użyć takich małych maszyn, ale tylko w celach rozpoznania, to jest zlokalizowania tego automatu.

Chciał już usiąść, kiedy nagle przyszła mu nowa myśl.

— A, prawda! — powiedział. — Olstra skokowe. Tych można by użyć. To znaczy — mogą ich użyć tylko ludzie, umiejący się nimi posługiwać.

— To są te małe rakiety indywidualne, które się przymocowuje do pleców? — spytał McCork.

— Tak. Można przy ich pomocy wykonywać skoki albo nawet szybować nieruchomo; zależnie od modelu i typu uzyskuje się od jednej do kilku minut lotu i od pięćdziesięciu do czterystu metrów wysokości...

Achajian wstał.

— To chyba ważne. Kto z obecnych przeszedł trening w używaniu tych aparatów?

Podniosły się dwie ręce. Potem jeszcze jedna.

— Tylko trzech? — powiedział Achajian. — A, i pan? — dodał widząc, że Pirx, zorientowawszy się, teraz dopiero podniósł rękę. — A więc czterech. No, raczej mało... Poszukamy jeszcze wśród obsługi lotniska. Panowie! Chodzi, rzecz jasna, o akcję dobrowolną. Właściwie powinienem był od tego nawet zacząć. Kto z panów zechce wziąć udział w operacjach?

Zrobił się mały rumor, bo wszyscy obecni zaczęli wstawać.

— Dziękuję w imieniu kierownictwa — powiedział Achajian. — To dobrze... A więc mamy siedemnastu ochotników. Będziemy mieli wsparcie trzech jednostek f loty li księżycowej, ponadto dysponujemy dziesięcioma kierowcami i radiowcami do obsługi transporterów. Proszę obecnych o pozostanie na miejscu, a panów — zwrócił się do McCórka i Pirxa — proszę ze mną, do kierownictwa...

* * *

Okolo czwartej po południu Pirx siedział w wieżycze wielkiego transportera gąsienicowego, podrzucany jego gwałtownymi ruchami, mając na sobie pełny skafander, na kolanach gotowy do włożenia z pierwszym alarmem hełm, a skosem przez piersi przewieszony ciężki laser, którego kolba tłukła go niemiłosiernie; w lewej ręce trzymał mikrofon, a prawą obracał peryskopem, obserwując rozciągnięte w długi łańcuch inne transportery, które, niczym łodzie, kołysały się na piarzystych rozłogach Morza Spokoju. Pustynne to „morze” pałało blaskiem słonecznymi puste od jednego czarnego widnokregu po drugi; Pirx przyjmował i przekazywał meldunki, rozmawiał z Luną I, z dowódcami innych maszyn, z pilotami stateczków rozpoznawczych, których mikroskopijne płomyki odrzutowe kiedy niekiedy pojawiały się wśród gwiazd czarnego nieba, a przy tym wszystkim nie mógł się chwilami oprzeć wrażeniu, że jest to rodzaj bardzo zawiłego i niemądrego snu.

Wypadki toczyły się coraz gwałtowniej. Nie tylko jemu wydało się, że kierownictwo budowy uległo czemuś w rodzaju paniki, cóż bowiem w końcu mógł zdziałać jeden automat — półgłówek, nawet uzbrojony w miotacz światła? Więc gdy na drugiej naradzie „najwyższego szczebla”, w samo południe, zaczęto mówić o zwróceniu się do ONZ, a przynajmniej do Rady Bezpieczeństwa, po „specjalną sankcję”, zezwolenie na przywóz broni artyleryjskiej (najlepiej raketowych miotaczy), a może nawet atomowych pocisków —

zaprotestował wraz z innymi, mówiąc, że takim sposobem, nim cokolwiek zwojują, ośmieszają się gruntownie przed całą Ziemią. Zresztą jasne było, że na podobną decyzję międzynarodowego ciała trzeba by czekać co najmniej wiele dni, jeśli nie tygodni, tymczasem zaś „szalony robot” mógł zawędrować Bóg wie gdzie i zaszytego w niedostępnych szczelinach księżycowej skorupy nie dosięgliby już wszystkimi razem armatami; tak więc należało działać zdecydowanie i szybko. Wyjaśniło się wówczas, że największym szkopułem będzie problem łączności, która zawsze była bolączką księżycowych przedsięwzięć. Istniało ponoć około trzy tysiące patentów na wynalazki mające tę łączność usprawnić, od telegrafu sejsmicznego (z użyciem mikrowybuchów jako sygnałów) aż po „trojańskie” satelity stacjonarne. Satelity takie umieszczono na orbitach już w ubiegłym roku — co jednak wcale nie polepszało aktualnej sytuacji. Praktycznie problem był rozwiązany dzięki systemom ultrakrótkich przekaźników, osadzonych na masztach; bardzo to było podobne do dawnych ziemskich linii przesyłkowych przedspudnikowej telewizji. Było to nawet pewniejsze od łączności satelitarnej, ponieważ inżynierowie wciąż jeszcze łamali sobie głowy nad uczynieniem przekaźników orbitalnych niewrażliwymi na „wichry słoneczne”. Każdorazowy skok aktywności słońca i spowodowane nim „huragany” elektrycznie naładowanych cząstek o wysokiej energii, które przesywały próżnię, natychmiast wywoływał zakłócenia utrudniające utrzymanie łączności i to nieraz przez kilka nawet dni. Trwał właśnie jeden z takich „tajfunów słonecznych”, dlatego wiadomości między Luną I a budową szły linią przekaźników naziemnych i powodzenie „operacji Setaur” zależało od tego, w dużej przynajmniej mierze, czy „zbuntowanemu” nie przyjdzie ochota niszczenia kratowych masztów, których czterdzieści pięć znajdowało się na pustyni, oddzielającej Lunę—miasto z kosmodromem od terenów budowy. Zakładając, oczywiście, że automat nadal będzie grasował w tej okolicy. Miał przecież całkowitą swobodę manewru, nie potrzebując paliwa ani tlenu, ani snu czy odpoczynku, tak samowystarczalny, że niejeden z inżynierów teraz dopiero na dobre uświadomił sobie, jak doskonałą wysiłkiem własnych rąk zbudowano maszynę — której dalszych kroków nikt nie umiał przewidzieć. Bo, rozumie się, trwały wszczęte jeszcze o świcie rozmowy bezpośrednie Księżyc—Ziemia między kierownictwem akcji a firmą Cybertronics ze sztabem projektantów Setaura — ale nie dowiedziano się od nich nic, czego by już przedtem nie powiedział mały doktor McCork. Tylko laicy próbowali jeszcze namówić specjalistów, aby przy pomocy jakiegoś wielkiego kalkulatora przepowiedzieli taktykę automatu. Czy był inteligentny? Ależ tak, choć po swojemu! Owa „zbędna”, w tej chwili nawet wielce szkodliwa „mądrość” maszyny gniewała wielu uczestników akcji — nie mogli pojąć, po kiego diabła inżynierowie obdarzyli maszynę, przeznaczoną do prac ściśle górniczych, taką swobodą i autonomią działania? McCork wyjaśniał im spokojnie, że „nadmiarowość intelektualna” jest — w obecnej fazie rozwoju technicznego — tym samym, czym nadmiar mocy, jakim z reguły dysponują wszystkie maszyny i silniki konwencjonalne; jest to rezerwa awaryjna, mająca zwiększyć bezpieczeństwo i pewność działania; niepodobna bowiem z góry przewidzieć wszystkich sytuacji/ w jakich się maszyna, czy to energetyczna, czy informacyjna, znajdzie. O tym więc, co może przedsięwziąć Setaur, nikt w gruncie rzeczy nie miał zielonego pojęcia. Oczywiście fachowcy, także i ziemscy, przysyłali swe telegraficzne opinie, bieda była tylko w tym, że się te opinie diametralnie różniły. Jedni przypuszczali, że Setaur będzie usiłował niszczyć obiekty o charakterze „sztucznym”, jak właśnie maszty przekaźnikowe lub wysokiego napięcia, inni natomiast, że będzie wyładowywał swą energię w bezproduktywnym rażeniu wszystkiego, co mu stanie na drodze, czy będzie to księżycowa skała, czy transporter z ludźmi. Pierwsi przychylali się raczej ku koncepcji natychmiastowego ataku, aby go zniszczyć, drudzy doradzali taktykę wyczekiwania. Zgodni byli w tym tylko, że należy koniecznie kontrolować jego ruchy.

Jakoż flotylla księżycowa w liczbie dwunastu małych jednostek od rana patrolowała Morze Spokoju i przysyłała nieustannie meldunki grupie obrony terenów budowy, która z

kolei znajdowała się w stałej łączności z kierownictwem kosmodromu. Nie było rzeczą łatwą dostrzec Setaura, okruch metalu w olbrzymiej skalnej pustyni, rojącej się od piargowych pól, pęknięć i na wpół zasypanych szczelin, całej pokrytej nadto ospą miniaturowych kraterów. Gdybyż więc te meldunki były przynajmniej negatywne! Ale patrolujące załogi wielokrotnie już alarmowały personel ziemny doniesieniami o dostrzeżeniu „szalonego”, po czym okazywało się, że był to jakiś szczególnej formy głaz albo kawał lawy, iskrzący się w promieniach słońca, i nawet zastosowanie radaru wraz ze wskaźnikami ferromagnetycznymi niewiele pomogło, ponieważ po dawniejszych akcjach eksploracyjnych z pierwszego okresu opanowania Księżyca na jego skalistych pustyniach pozostało całe mnóstwo metalowych pojemników, jak również wyżarzonych łusek patronów rakietowych i najrozmaitszego blaszanego rupiecia, które co jakiś czas stawało się przyczyną nowych alarmów. Tak że kierownictwo operacji poczyniło coraz goręcej życzyć sobie, aby Setaur zaatakował wreszcie jakiś obiekt, aby się pojawił — on jednak dał o sobie znać po raz ostatni przed dziewięcioma godzinami atakiem na mały transporter pogotowia technicznego elektryków i odtąd jakby się zapadł w grunt księżycowy. Ponieważ jednak uznano, że czekać nie można, zwłaszcza że budowa musiała odzyskać dopływ energii elektrycznej, akcja, obejmująca około dziewięć tysięcy kilometrów kwadratowych, polegała na przeczesaniu ich przez dwie, zbieżące ku sobie ze stron przeciwnych, to jest z pomocy i południa, fale pojazdów. Od strony budowy szła jedna ich tyraliera pod dowództwem głównego technologa Strzibra, a od kosmodromu Luny — druga i w niej właśnie rolę koordynatora działań obu stron przy dowódcy, którym był komandor nawigator Pleydar, pełnił Pirx. Pojmował on doskonale, że w każdej chwili mogą minąć Setaura, chociażby ukrytego w którymś z głębokich rowów tektonicznych, a nawet tylko zamaskowanego jasnym piachem księżycowym, i ani go zauważą; McCork, który jako „doradca–inteletronik” jechał razem z nim, był tego samego zdania.

Transporterem rzuciło wprost straszliwie, bo jechali z szybkością, od której, jak uprzedził ich spokojnie kierowca, „po jakimś czasie wypływają oczy”. Znajdowali się w sektorze wschodnim Morza Spokoju i niecała godzina jazdy dzieliła ich od obszaru, w którym mógł — z większym prawdopodobieństwem — przebywać automat. Po przekroczeniu owej umownej granicy mieli wszyscy nałożyć hełmy, aby, w razie niespodzianego rażenia i utraty hermetyczności lub pożaru, natychmiast opuścić pojazd.

Transporter został zamieniony w maszynę bojową, bo mechanicy zamontowali na jego kopulastej wieżyczce górniczy laser wielkiej mocy, ale z jego celnością było raczej kiepsko. Pirx miał ją za całkiem iluzoryczną, zwłaszcza wobec Setaura. Ów posiadał celownik automatyczny, gdyż jego fotoelektryczne oczy były sprzężone z laserem i mógł natychmiast razić to, co znajdowało się w centrum pola widzenia. Oni natomiast mieli jakiś dziwny celownik, bodaj ze starego odległościomierza kosmonautycznego, który wypróbowano w ten sposób, że przed opuszczeniem Luny postrzelali trochę do skałek na horyzoncie. Skały były spore, odległość nie większa od mili, a i tak udało się trafić dopiero za czwartym razem. I tu raz jeszcze dawały się we znaki warunki księżycowe, bo promień lasera jest widoczny jako oślepiająca smuga tylko w ośrodku rozpraszającym, na przykład w atmosferze ziemskiej; (w próżni natomiast pęk światła, dowolnie wielkiej nawet mocy, jest dopóty niewidzialny, dopóki nie trafi w jakąś materialną przeszkodę. Dlatego na Ziemi można strzelać laserem tak, jak się strzela pociskami smugowymi, kierując się widoczną linią ich lotu. Bez celownika na Księżycu był laser pozbawiony praktycznej wartości. Pirx nie krył tego przed McCorkiem, kiedy ledwo parę minut jazdy dzieliło ich od hipotetycznej strefy zagrożenia.

— Nie myślałem o tym — rzekł inżynier. Potem dodał z uśmiechem:

— Czemu właściwie pan mi to mówi?

— Aby pozbawić pana złudzeń — odparł Pirx, nie odrywając oczu od okularów peryskopu. Choć miały pianogumowe poduszeczki, czuł, że przez dłuższy czas (o ile, rozumie się, wyjdzie żywy z tej historii), będzie chodził z podsinionymi oczami. — A także, aby

powiedzieć panu, po co wieziemy ten kram z tyłu.

— Te butle? — spytał McCork. — Widziałem, jak je pan brał z magazynu. Co w nich jest?

— Amoniak, chlor i jakieś tam węglowodory — rzekł Pirx. — Myślę, że się może przydadzą...

— Zasłona gazowo-dymna? — domyślił się inżynier.

— Nie, myślałem raczej o jakimś sposobie celowania. Skoro nie ma atmosfery, trzeba ją stworzyć, przynajmniej chwilową...

— Obawiam się, że na to nie będzie czasu...

— Może i nie... Wziąłem to na wszelki wypadek. Przeciwno wariatom najlepsze są taktyki zwariowane...

Zamilkli, bo transporterem zaczęło rzucać jak piłką; amortyzatory dudliły i piszczały, jakby lada chwila olej miał się w nich zagotować. Pędzili pochyłością usłaną ostrokończystymi głazami. Przeciwnie stok jaśniał pumeksową bielą.

— Wie pan, czego się najbardziej boję? — podjął Pirx, gdy podrzuty transportera nieco złagodniały; dziwnie był jakoś rozmowny. — Nie Setaura — wcale nie... Tych transporterów budowy — bo jeśli choć jeden weźmie nas za Setaura i zacznie prac laserem, będzie wesoło.

— Widzę, że pan wszystko przewidział — mruknął inżynier. Kadet, siedzący obok radiowca, przechylił się przez oparcie swego fotela i podał Pirxowi nabazgrany ledwo czytelnie radiogram.

„Weszliśmy w teren zagrożenia przy dwudziestym przekątniku na razie nic stop Strzibr stop koniec” — odczytał Pirx głośno. — No, i my będziemy zaraz musieli nałożyć hełmy...

Maszyna zwolniła trochę, włączając na pochyłość. Pirx zauważył, że nie widzi już lewego sąsiada — tylko prawy transporter poruszał się ciemną plamką w górę zbocza. Kazał wezwać lewą maszynę przez radio, ale nie było odpowiedzi.

— Zaczynamy się rozsypywać — rzekł spokojnie. — Tak właśnie to sobie wyobrażałem. Czy nie można wyżej wysunąć anteny? Nie? To trudno.

Byli już na szczycie łagodnego wzniesienia. Spoza widnokregu, odległy o dwieście bez mała kilometrów, wysunął się piłą osłonecznioną grani krater Toricellego, ostro zarysowany na czarnym tle nieboskłonu. Równinę Morza Spokoju mieli już, całą prawie, za sobą. Pojawiły się głębokie rowy tektoniczne, spod piachu wystawały gdzieśgdy zastygłe płyty magmy, przez które transporter przełaził z wysiłkiem, podnosząc się najpierw niczym łódź na fali, a potem waląc się ciężko w dół, jakby miał lecieć na łeb, na szyję w niewiadomą głębię. Pirx dostrzegł maszt kolejnego przekątnika, rzucił okiem na przyciśnięty do kolana mapnik pod celuloidową szybką i kazał wszystkim nałożyć hełmy. Odtąd mogli się porozumieć już tylko przez wewnętrzny telefon; okazało się, że transporter potrafi trząść jeszcze bardziej niż dotąd — głowa latała mu w hełmie jak jądro orzecha w pustej łupinie.

Kiedy, zjeżdżając z pochyłości, znaleźli się niżej, piła Toricellego znikła, zakryta bliższymi wzniesieniami; prawie równocześnie zgubił im się prawy sąsiad. Jeszcze przez parę minut słyszeli jego sygnały wywoławcze, potem zniekształciły je odbicia fal od płyt skalnych i nastąpiła tak zwana „pełna radiocisza”. Bardzo niewygodnie było patrzeć przez peryskop, mając na głowie hełm; Pirxowi zdawało się, że albo wy tłucze jego szybkę, albo zmiażdży okular. Robił, co mógł, aby nie tracić z oczu pola widzenia, które chodziło całe w takt przechyłów maszyny, usiane skalnymi blokami. Gmatwanina czarnych jak smoła cieni i oślepiąco rozjarzonych płaszczyzn kamiennych aż mrowiła w oczach. Naraz mały, pomarańczowy płomyk wyskoczył w mrok dalekiego nieba, zamigotał, skurczył się i znikł. Drugi błysk, nieco silniejszy. Pirx krzyknął: — Uwaga wszyscy! Widzę jakieś eksplozje! — i kręcił gorączkowo korbą peryskopu, odczytując azymut na wyrysowanej w szklach, przezroczyściej skali.

— Zmieniamy kurs! — ryknął. — Czterdzieści siedem koma osiem, pełnym ciągiem naprzód!

Właściwie komenda stosowała się do statku kosmicznego, ale kierowca i tak pojął; blachy i wszystkie złącza transportera zatrzęsły się spazmatycznie i, skręciwszy niemal na miejscu, maszyna runęła przed siebie. Pirx uniósł się z siedzenia, bo jego podrzuty odrywały mu głowę od okularu. Znowu błysnęło — tym razem czerwono-fioletowym, wachlarzowatym płomieniem. Ale źródło owych błysków czy wybuchów znajdowało się za polem widzenia, przesłonięte grzbietem, na który wjeżdżali.

— Uwaga wszyscy! — powiedział Pirx. — Przygotować osobiste lasery! Doktorze McCork, proszę do klapy, jeśli powiem albo w wypadku trafienia, otworzy ją pan! Kierowca! Zmniejszyć szybkość!...

Wzniesienie, na które darła się maszyna, wynurzało się z pustyni jak goleń jakiegoś potwora księżycowego, do połowy utopiony w grubym piachu; skała ta w samej rzeczy przypominała gładkością wypolerowany szkielec czy olbrzymi czerep; Pirx kazał kierowcy wjechać na szczyt. Gąsienice zaczęły jazgotać, jakby stał drapała po szkłe. — Stop! — krzyknął Pirx, transporter, nagle zatrzymany, opadł nosem ku skale, zahuszał się, amortyzatory jęły z wysiłku i znieruchomieli.

Pirx patrzył w płytką kotłnię, z dwu stron ujętą w promienisto wyciągnięte, obłe wały starych potoków magmatycznych; dwie trzecie obszernego zakłębienia leżały w jaskrawym słońcu, trzecią okrywał całun absolutnej czerni. Na tym aksamitnym mroku, jak niesamowity klejnot, żarzył się, gasnąc rubino—wo, na wpół rozpruty szkielec jakiegoś pojazdu. Tylko kierowca widział go wraz z Pirxem, bo pancerne klapy okien były opuszczone. Pirx, prawdę mówiąc, nie wiedział, co robić. — To jakiś transporter — myślał. — Gdzie jego przód? Od południa? Więc jakby z grupy budowy. Ale kto go dostał, Setaur? W takim razie stoję tu, na widoku, jak kretyn — trzeba się schować. Ale gdzie są wszystkie inne? Tamte i moje?

— Jest! — krzyknął radiotelegrafista. Przełączył aparat transportera na sieć wewnętrzną, tak że wszyscy mogli słyszeć w hełmach odbierane sygnały.

— Aksymo—portatywny zwał! Ściana otorbielona — powtórzenie z nawrotu zbędne — dojście według azymutu — metamorfizacja wleokrystaliczna... — wypełnił słuchawki Pirxa głos, wypowiadający słowa wyraźnie, monotonicznie i bez żadnej intonacji.

— To on! — ryknął. — Setaur! Halo, radio! Pelengować, prędko pelengować! Proszę podać peleng! No, do wszystkich diabłów! Póki jeszcze nadaje! — Ryczał, aż ogłuszył go własny krzyk, wzmocniony zamkniętą przestrzenią hełmu; nie czekając, kiedy telegrafista ocknie się, skoczył, pochylony, pod szczyt kopułki, chwycił podwójny uchwyt ciężkiego lasera i zaczął obracać nim razem z kopułką, mając już oczy przy celowniku. Tymczasem w hełmie ciągnął ów niski, jakby smutny trochę, miarowy głos:

— Trudnodwutliwe niedobarwienie wiskozalne — nie okorowane segmenty bez ponownych wtrętów siodlastych — i ta bezsensowna gadanina zdawała się słabnąć.

— Co jest z tym pelengiem, do cholery?!!

Pirx, nie odrywając oczu od celownika, usłyszał niewyraźny rumor — to McCork skoczył do przodu, odtrącił radiowca, coś się tam szamotoło...

Nagle usłyszał w słuchawkach spokojny głos cybernetyka:

— Azymut 39,9... 40,0... 40,1... 40,2...

— On się porusza! — zrozumiał Pirx. Kopułką trzeba było obracać, kręcąc korbami, i mało mu ramię nie wyskoczyło ze stawu — tak kręcił. Cyferki przesuwwały się leniwie. Czerwona linia przeskoczyła czterdziestkę.

Nagle głos Setaura zwinął się w przeciągły pisk i umilkł. W tej samej chwili Pirx nacisnął spust i o pół kilometra niżej, na samej granicy światła i cienia, skała bluznęła nadsłonecznym ogniem.

Przez grube rękawice okropnie trudno było utrzymać nieruchomo rękojeści. Płomień, jaśniejszy od słonecznego, wświdrował się w ciemność dna kotliny, o kilkadziesiąt metrów od gasnącego wraku, stanął i — rozbryzgującą płaty żaru linią wciął się dalej, strzeliwszy dwa

razy pękami iskier. Coś bełkotało w słuchawkach. Pirx nie zważał na to, pruł dalej tą linią najcieńszego, najstraszliwszego ognia, aż rozbiła się na tysiąc odśrodkowych rykoszetów o jakiś skalny filar. W oczach narastały mu czerwono wirujące kręgi — ale zobaczył przez ich wiry oślepiająco błękitne oko, mniejsze od końca igły, które otwarło się na samym dnie ciemności, gdzieś z boku, nie tam, gdzie strzelał — i nim zdążył poruszyć rękojeściami lasera, aby przesunąć go razem z obrotnicą, skała przy samej maszynie wybuchła płynnym słońcem.

— Cała wstecz! — ryknął, uginając odruchowo nogi, skutkiem czego przestał widzieć cokolwiek, ale i tak niczego by już nie zobaczył, prócz tych czerwonych, pełzających wolno kręgów, które stawały się na przemian czarniawe i złote.

Silnik zagrzmiał, rzuciło nimi tak, że Pirx upadł na sam dół i poleciał do przodu, między kolana kadeta i radiowca; wszystkie butle, które wieźli na pancerzu, choć dobrze przymocowane, przeraźliwie zadzwoniły. Lecieli tyłem, coś chrupnęło potwornie pod gaśnicą, obróciło ich, zarzuciło w drugą stronę, przez jedno mgnienie wydawało się, że transporter zaczyna się już walić na grzbiet... Kierowca, rozpaczliwie dusząc gaz, hamulce, sprzęgło, jakoś opanował ten wściekły poślizg, maszynę przeszedł długi dreszcz i stanęła.

— Jest hermetyczność?! — krzyknął Pirx, zbierając się z podłogi. — Szczęście, że gumowana — zdążył pomyśleć.

— Jest!

— No, to było dosyć blisko — rzekł już całkiem innym głosem, wstając i rozprostowując grzbiet. I nie bez żalu dodał ciszej: — Jakieś dwie setne więcej w lewo i byłbym go już miał...

McCork wracał na swoje miejsce.

— Doktorze, dziękuję panu! — zawołał Pirx, już przy peryskopie. — Halo, kierowca, proszę zjechać na dół tym samym szlakiem, którym wjeżdżaliśmy. Tam są takie małe skałki, coś w rodzaju bramy — o, to, to! — proszę wjechać w cień między nimi i zastopować...

Transporter powoli, jakby z przesadną ostrożnością, wszedł między częściowo zasypane piaskiem bloki skalne i zastygł w ich cieniu, który uczynił go niewidzialnym.

— Doskonale! — rzekł prawie wesoło Pirx. — Teraz potrzebuję dwu ludzi, którzy pójdą ze mną na mały zwiad...

McCork zgłosił się równocześnie z kadetem.

— Dobrze! Uwaga, wy — zwrócił się do reszty — zostaniecie tutaj. Nie ruszajcie się z cienia, nawet gdyby Setaur wyszedł prosto na was — siedźcie cicho. No, chyba żeby niemal włąził na transporter, wtedy musicie się bronić, macie laser — ale to mało prawdopodobne... Pan — zwrócił się do kierowcy — pomoże temu młodemu człowiekowi zdjąć z pancerza te butle z gazem, a pan — to było do telegrafisty — będzie wywoływał Lunę, kosmodrom, budowę, patrole i pierwszemu, kto się zgłosi, powie pan, że on zniszczył jeden transporter, zdaje się budowy, i że trzech ludzi z naszej maszyny poszło na niego zapolować. Więc żeby tam nikt nie pchał się z laserami, nie strzelał na oślep i tak dalej... A teraz idziemy!

Ponieważ każdy z nich mógł wziąć tylko jedną butlę, zabrali cztery. Pirx poprowadził towarzyszy nie na szczyt „czerepu”, lecz nieco dalej, gdzie widoczny był wiodący pod górę, płytki wąwozik. Doszli jak daleko się dało, ustawili butle pod wielkim głazem i Pirx polecił kierowcy, aby wracał. Sam, wychyliwszy się nad powierzchnię głazu, lornetował wnętrze kotliny. McCork i kadet przycupnęli obok niego; po dobrej chwili odezwał się:

— Nie widzę go. Doktorze, czy to, co on mówił, miało jakiś sens?

— Raczej nie. Zlepki słów — coś w rodzaju schizofrenii...

— Ten wrak już dogasa — rzekł Pirx.

— Dlaczego pan strzelał? — spytał McCork. — Tam mogli być ludzie.

— Nie było nikogo.

Pirx przesuwiał lornetę milimetr po milimetrze, lustrując każdy załom oświetlonej słońcem

przestrzeni.

— Nie zdążyli wyskoczyć.

— Skąd pan to może wiedzieć?

— Bo przeciął maszynę na pół. To nawet jeszcze teraz widać. Musieli chyba prawie najechać na niego. Raził z kilkudziesięciu metrów. A poza tym obie klapy zostały zamknięte. Nie — dodał po kilku sekundach — w słońcu go nie ma. A wymknąć się raczej nie zdążył... Spróbujemy go wywabić.

Schyliwszy się, dźwignął ciężką butlę na szczyt głazu i, pchając ją przed sobą, mruknął przez zęby:

— To są właśnie te indiańskie historie, o których zawsze marzyłem...

Butla pochyliła się; trzymał ją za wentyle i rozplaszczony na kamieniach, powiedział:

— Jeżeli zobaczycie błękitny błysk, strzelajcie od razu — w to jego laserowe oko...

Pchnął z całej siły butlę, która najpierw wolno, a potem z rosnącą chyżością poczęła się toczyć po pochyłości. Wszyscy trzej złożyli się do strzału, butla przebyła już ze dwieście metrów i toczyła się wolniej, bo pochyłość malała. Parę razy zdawało się, że zatrzymają ją wystające kamienie, ale przewalała się przez nie i, coraz mniejsza, już jako ciemno błyszcząca plamka, zbliżała się do dna kotliny.

— Nic? — rzekł rozczarowany Pirx. — Albo jest mądrzejszy, niż myślałem, albo nie zwraca na nią uwagi, albo...

Nie dokończył. Na stoku pod nimi łysnęło oślepiająco. Płomień przekształcił się niemal natychmiast w ciężką, brudnożółtą chmurę, której środek jarzył się jeszcze ponurym ogniem, a brzegi rozpyływały się, uczezione odnogami głazów.

— Chlor... — rzekł Pirx. — Czemuście nie strzelali? Nic nie było widać?

— Nic — jednym głosem odparli kadet i McCork.

— Łajdak! Ukrył się pod jakimś załomem albo razi z flanki. Teraz to już naprawdę wątpię, aby coś z tego było, ale spróbujemy...

Podniósł drugą butlę i wyprawił ją w ślad za pierwszą.

Potoczyła się zrazu tak samo, ale gdzieś w połowie zбочa zakręciła i znieruchomiła. Pirx nie patrzył na nią — całą uwagę skoncentrował na trójkątnym płacie mroków, w którym czaił się gdzieś Setaur. Sekundy mijały powoli. Naraz krzaczasty wybuch rozsądził zбочe. Miejsca, w którym ukrył się automat, nie udało się Pirxowi zobaczyć, ale dostrzegł linię strzału, a właściwie jej część, bo zmaterializowała się na kształt słonecznie płonącej nici, kiedy przeszła przez resztki pierwszej gazowej chmury. Natychmiast powiódł celownikiem wzdłuż owej świecącej trajektorii, która już gasła, i kiedy na skrzyżowaniu nitek miał skraj ciemności, nacisnął spust. Chyba równocześnie to samo zrobił McCork, a po mgnięciu przyłączył się do nich kadet. Trzy ostrza słoneczne przeorały czarne dno kotliny i zarazem jakby jakieś olbrzymie, gorące wieko zatrzasnęło się tuż przed nimi — chroniący ich głaz cały zadrgał, z jego krawędzi sypnęło miriadam gwałtownych tęcz, płonący kwarc osypał im skafandry i hełmy, stygnąc momentalnie w mikroskopijne łezki; leżeli już rozplaszczeni w cieniu skały, a nad ich głowami, niczym rozżarzona do białości klinga, śmignęło drugie i trzecie wyładowanie, muskając powierzchnię głazu, która pokryła się natychmiast szklisto zastygającymi bąblami.

— Wszyscy cali? — spytał Pirx, nie podnosząc nawet głowy.

— Tak! — Ja też! — posłyszał w odpowiedzi.

— Proszę zejść do maszyny i powiedzieć telegraficznie, żeby wzywał wszystkich, bo mamy go tu i postaramy się go przytrzymać, jak długo się da — zwrócił się Pirx do kadeta, który odczołgał się wstecz i zbiegł, pochylony, w stronę skał, wśród których stała gąsienicówka.

— Zostały nam dwie butle, po jednej dla każdego. Doktorze, zmienimy teraz stanowisko. A proszę uważać i dobrze się kryć, bo on już wstrzelał się w ten nasz grzbiecik...

Z tymi słowami Pirx podniósł jedną butlę i, wykorzystując cienie, rzucane przez duże bloki

skalne, ruszył, jak mógł najszybciej, przed siebie. Jakies dwieście kroków dalej usadowili się w szczybie magmatycznego obwałowania. Kadetowi, który wracał od transportera, nie od razu udało się ich znaleźć. Dyszał, jakby przebiegł co najmniej milę.

— Spokojnie, nie pali się! — rzekł Pirx. — No, co tam słycać?

— Łączność nawiązana... — Kadet kucnął przy Pirxie, który widział mrugające za szybką hełmu oczy chłopca. — W tej maszynie, co zginęła... było czterech ludzi budowy. Druga musiała się wycofać, bo miała defekt lasera... a reszta przeszła bokiem i niczego nie zauważyła... — Pirx skinął głową, jakby mówił: „tak właśnie sobie myślałem”.

— Co więcej? Gdzie nasza grupa?

— Prawie cała jest dwadzieścia mil stąd, był tam fałszywy alarm, jakiś patrol raketowy doniósł, że widzi Setaura i wszystkich tam ściągęli. A trzy maszyny nie odpowiadają na wezwania.

— Kiedy tu będą?

— Na razie jest tylko odbiór... — nieśmiało powiedział kadet.

— Tylko odbiór? Jak to?!

— Telegrafista mówi, że albo coś się stało z nadajnikiem, albo w tym miejscu wygasa mu się emisja. Pyta się, czy może zmienić miejsce postoju, żeby spróbować...

— Niech zmieni to miejsce, jeżeli musi — odparł Pirx. — A proszę nie pędzić tak! Patrzeć pod nogi!

Ale tamten już chyba nie bardzo słyszał, bo gnał z powrotem.

— W najlepszym razie będą tu za pół godziny, jeśli uda się nawiązać łączność — powiedział Pirx. McCork milczał. Pirx rozważał, co począć. Czekać czy nie czekać? Forsowanie kotliny transporterami zapewniłoby chyba sukces, ale nie bez strat. Maszyny w przeciwieństwie do Setaura były celami wielkimi, powolnymi i musiały wystąpić razem, bo pojedynki skończyłyby się tak samo jak tamten z gąsienicówka budowy. Usiłował wykombinować jakiś manewr, który wywabiłby Setaura na oświetloną przestrzeń. Gdyby tak można puścić jeden bezludny, zdalnie kierowany transporter na wabia, a porazić automat skądinąd, powiedzmy z góry...

Przyszło mu do głowy, że właściwie wcale nie musi czekać na nikogo, skoro ma jeden transporter. Ale plan nie konkretyzował się jakoś. Tak puścić po prostu maszynę na oślep — to by nie miało sensu. Rozniesie ją w strzępy, a sam nie będzie wcale musiał ruszyć się z miejsca. Czyżby się orientował, że strefa cienia, w której tkwi, daje mu taką przewagę? Ale to nie jest przecież maszyna, stworzona do walki z całą jej taktiką... Jest w tym szaleństwie jakaś metoda, ale jaka? Siedzieli, skuleni, u stóp kamiennej płyty, w jej gęstym, chłodnym cieniu. Naraz Pirxowi wydało się, że postępuje jak ostatni osioł. Gdyby był na miejscu tego Setaura — tam — co by zrobił? Od razu poczuł niepokój, ponieważ był pewny, że usiłowałby atakować. Bierne oczekiwanie wypadków nie mogło przynieść żadnej korzyści. Więc może on posuwa się ku nim? Właśnie teraz? Może przecież dojść aż do zachodniego urwiska, cały czas poruszając się pod osłoną ciemności, a dalej jest tam tyle ogromnych głazów i popękanej lawy, że w tym labiryncie można kryć się Bóg wie jak długo...

Był już niemal pewien, że Setaur postąpi tak właśnie i że mogą się go spodziewać w każdej chwili.

— Doktorze, obawiam się, żeby nas nie zaskoczył — powiedział szybko, zrywając się na nogi. — A jak pan myśli?

— Sądzi pan, że on może nas podejść? — spytał McCork i uśmiechnął się. — I mnie to przyszło do głowy. Owszem, to nawet logiczne, ale czy on postępuje logicznie? Oto pytanie...

— Musimy jeszcze raz spróbować — mruknął Pirx. — Trzeba spuścić te butle na dół; zobaczymy, co zrobi...

— Rozumiem. Czy już?...

— Tak. Uwaga!

Wciągnęli je na szczyt wzniesienia, i, starając się pozostać niewidzialnymi z dna kotliny, pchnęli prawie razem oba metalowe cylindry. Niestety, brak powietrza nie pozwalał usłyszeć, czy i jak się toczą. Pirx zdecydował się i czując się dziwnie nagi — zupełnie jakby nie miał na głowie stalowej kuli, a na całym ciele trójwarstwowego, wcale nielekkiego skafandra — przywarłszy płasko do skały, ostrożnie wychylił głowę.

W dolinie nic się nie zmieniło. Tyle że wrak maszyny przestał być widoczny, bo jego ostygłe szczątki zlały się z otaczającą ciemnością. Cień zajmował tę samą przestrzeń o kształcie nieregularnego, bardzo wydłużonego trójkąta, opartego podstawą o urwiska najwyższego, zachodniego grzebienia skał. Jedna butla zatrzymała się jakieś sto kroków pod nimi, bo trafiła na kamień, który ustawił ją podłużnie. Druga toczyła się jeszcze, coraz wolniej, coraz mniejsza, aż znieruchomiła. I to, że na tym się skończyło, wcale nie spodobało się Pirxowi. — On naprawdę nie jest głupi — pomyślał. — Nie chce strzelać do celu, który mu się podtyka. — Usiłował odnaleźć miejsce, z którego Setaur przed jakimś dziesięcioma minutami ostatni raz dał znać o sobie błysnięciem laserowego oka, ale było to bardzo trudne.

— Może go tam już nie ma — rozważał. — Może cofać się po prostu na północ; może iść równolegle, dnem kotliny, albo jednym z tych pęknięć magnetycznego potoku... Jeżeli dostanie się w strefę urwiska, w ten labirynt, to przepadnie jak kamień w wodzie...

Powoli, po omacku, unióś kolbę lasera i rozluźnił mięśnie.

— Doktorze McCork! — powiedział. — Proszę do mnie!

A kiedy doktor podczołgał się do niego, rzekł:

— Widzi pan obie butle? Jedna na wprost, pod nami, a druga dalej...

— Widzę.

— Strzeli pan najpierw do bliższej, potem do dalszej, w odstępie — powiedzmy — czterdziestu sekund... Ale nie stąd! — dodał szybko. — Musi pan znaleźć lepsze miejsce. O! — pokazał ręką. — Tam jest niezłe stanowisko, w tym wgłębieniu. A kiedy pan strzeli, proszę natychmiast odczołgać się w tył. Dobrze?

McCork o nic nie pytał, lecz od razu ruszył, nisko schylony, we wskazaną stronę. Pirx czekał niecierpliwie. Jeżeli jest choć trochę podobny do człowieka, musi być ciekawy. Każde inteligentne stworzenie jest ciekawe — i ta ciekawość popycha je do działania, gdy zdarzy się coś niezrozumiałego... Nie widział już doktora. Zakazał też sobie patrzenia na butle, które miały eksplodować pod jego strzałami; całą uwagę skupił na pasie osłonecznionego rumowiska między strefą cienia a zerwą. Przyłożył do oczu lornetę i skierował ją w ten obszar lawospadu; w szklach przepływały wolno groteskowe kształty, uformowane niczym w pracowni jakiegoś rzeźbiarza—abstrakcjonisty: ścieńczące, śrubowo poskręcane obeliski, tafle zryte wężowiskami pęknięć — od gmatwaniny jaskrawych płaszczyzn i zygzakowatych cieni coś aż łaskotało dno oka. Samym skrajem spojrzenia zauważył pęczniejący nisko pod sobą, na stoku, błysk. Po dłuższej chwili strzelił drugi. Cisza. Tylko pulsy łomotały w helmie, przez który słońce starało się wświdrować promieniami w jego czaszkę. Wodził obiektywem po tym pasie chaotycznie poszczepianych odłamów.

Coś tam drgnęło. Zastygł. Nad brzytwowatym ostrzem płyty, podobnej do rozpękłego brzeszczotu jakiejś olbrzymiej siekiery kamiennej, wysunął się półkulisty kształt, kolorem zbliżony do ciemnej skały, ale ten kształt miał ramiona, które chwyciły się z obu stron głazu i teraz widział go już — do połowy torsu. Nie wyglądał jak bezgłowy, raczej jak człowiek, któremu nałożono nadnaturalną maskę afrykańskiego czarownika, zakrywającą twarz, szyję i kark, jakby rozplaszczoną i przez to trochę monstualną... Łokciem prawej ręki czuł kolbę lasera, lecz ani mu w głowie było teraz strzelać. Ryzyko było zbyt wielkie — szansa trafienia z broni stosunkowo słabej, na podobną odległość, nikła. Tamten, znieruchomiły, zdawał się wpatrywać tym swoim ledwo wystającym nad barki łbem w resztki dwóch chmur gazowych,

które ściekały po stoku, rozprężając się bezsilnie w próżni. To trwało dość długo. Wyglądało na to, że nie wie, co się stało, że waha się, co robić. W tym jego wahaniu, w owej niepewności, którą Pirx doskonale pojmował, było coś tak niesamowicie bliskiego, ludzkiego, że mu się gardło ścisnęło. Co ja bym robił na jego miejscu, co bym pomyślał? Że ktoś strzelił do takich samych przedmiotów, do których ja poprzednio strzelałem, a więc że to chyba nie jest przeciwnik, wróg, ale raczej jakby sojusznik. Ale wiedziałbym chyba, że nie mam żadnego sojusznika? A gdyby to był ktoś taki jak ja sam?

Tamten drgnął. Ruchy miał płynne i niezwykle szybkie. Pojawił się naraz cały, wyprostowany na owym dęba stojącym głazie, jakby wciąż jeszcze wypatrywał tajemniczej przyczyny dwóch eksplozji. Potem odwrócił się i zeskoczywszy w dół, zaczął, lekko pochylony do przodu, biec — chwilami ginał Pirsowi z oczu, ale nigdy na dłużej niż kilka sekund, by znowu wychynąć na światło słoneczne w którejś z odnóg magmatycznego labiryntu. W ten sposób zbliżał się do Pirxa, tyle że biegnąc cały czas u dna kotliny; dzieliła ich już ledwie przestrzeń stoku i Pirx zastanawiał się, czy jednak nie strzelić. Ale tamten migał mu tylko w wąskich pasach światła i znowu roztapiał się w czerni — a że wciąż musiał zmieniać kierunek, bo wybierał drogę między zwaliskami, nie dawało się z góry przewidzieć, gdzie jego, pracujące dla utrzymania równowagi jak u biegnącego człowieka, ramiona i jego bezgłowy tors wynurzą się w następnej chwili, aby łysnąć metalicznie i raz jeszcze szczeznąć. Wtem piorunowy zygzak rozciął mozaikę rumowiska, krzesząc długie pióropusze iskier wśród bloków, tam gdzie Setaur biegł właśnie. Kto to strzelił? Pirx nie widział McCorka, ale linia ognia przyszła z przeciwnej strony — chyba tylko kadet, ten smarkacz, ten osioł! Klął go, wściekły, bo nic oczywiście nie wskórał — grzbiet z metalu mignął już dalej, na ułamek sekundy, i znikł na dobre. — I do tego jeszcze strzelał mu w plecy! — pomyślał Pirx z wściekłością, nie czując wcale bezsensowności tego zarzutu. A Setaur nie spróbował nawet odpowiedzieć ogniem — czemu? Usiłował go dojrzeć — daremnie. Czyżby go już zakrył stok swoją wypukłością? To całkiem możliwe... W takim razie można się tu teraz bezpiecznie poruszać... Pirx zsunął się ze swego głazu widząc, że z tego miejsca nic już nie wypatrzy. Pobiegł, lekko schylony, samą granią, minął kadeta, który leżał jak na strzelnicy — z płasko rozrzuconymi i przyciśniętymi do skały stopami, i poczuł niezrozumiałą chętkę, aby go kopnąć w tyłek, śmiesznie wystający i powiększony jeszcze nie dopasowanym skafandrem. Zwolnił, ale tylko, aby zawołać:

— Nie waż mi się strzelać, słyszysz?! Odlóż ten laser!

I nim tamten, przewracając się na bok, ogłupiałym ze zdziwienia spojrzeniem zaczął go szukać — bo głos ów doszedł go ze słuchawek, nie zdradzając kierunku ani miejsca, w którym znajdował się Pirx — pobiegł już dalej; w obawie, że marnuje czas, przyspieszał, jak mógł, aż znalazł się naprzeciw szerokiego pęknięcia, które otwarło mu nagle widok aż po dno kotliny.

Był to rodzaj rowu tektonicznego, tak starego, że brzegi jego skruszały, straciły ostrość i upodobniły się do rozszerzonego erozją górskiego żlebu. Zawahał się. Nie widział Setaura, zresztą chyba nie mógłby go stąd zobaczyć. Zapуścił się więc w ów żleb z laserem gotowym do strzału, czując dobrze, że popełnia szaleństwo, a jednak nie mógł oprzeć się temu, co go tam popychało; mówił sobie, że go chce tylko zobaczyć, że zatrzyma się w pierwszym miejscu, z którego dobrze będzie mógł wpenetrować ostatni odcinek zerwy i cały labirynt rumowiska pod nią, i może nawet w chwili, kiedy tak biegł, wciąż pochylony, a kamyki gradem tryskały mu spod butów, wierzył w to; zresztą nie zastanawiał się w tych sekundach nad niczym. Był na Księżycu, ważył więc ledwo piętnaście kilogramów, ale i tak rosnąca pochyłość podcinała mu nogi, gnał ośmiometrowymi susami, hamując, jak tylko mógł, przebył już połowę długości stoku, żleb kończył się płytkim wybiegiem — w słońcu, czarne od przeciwsłonecznej, a roziskrzane od południowej strony, trwały jakieś sto metrów niżej pierwsze bloki lawospadu. — Wpakowałem się — pomyślał; do obszaru, w którym krążył

Setaur, można było stąd niemal ręką sięgnąć. Popatrzał błyskawicznie w lewo i w prawo. Był sam — grzbiet został wysoko nad nim rozprazoną stromizną u czarnego nieba — przedtem mógł zaglądać do przesmyków między głazami jakby z lotu ptaka, teraz sieć międzyskalnych szczelin zasłoniły mu najbliższe bloki kamienne. — Niedobrze — pomyślał — może wrócić? — Nie wiadomo dlaczego wiedział, że tego nie zrobi.

Nie mógł jednak tak stać. Kilkanaście kroków niżej znajdował się samotny odłam magmy, najwyraźniej koniec tego jej jęzora, który ongiś wylewał się rozżarzoną potokiem z wielkich zwisów podnóża Toricellego — i dosięgnął, ostatnim wybiegiem, tego zapadliska. W braku innego to było jśszcze najlepsze ukrycie. Dopadł go jednym skokiem, przy czym szczególnie niemiłe było owo długie księżycowe szybowanie, spowolniony lot, jak we śnie, do którego nigdy naprawdę się nie przyzwyczaił. Skulony za tą kanciastą bryłą wyjrzał spoza niej i zobaczył Setaura, który wychynał spoza dwóch ostrokończystych igliczek, obszedł trzecią, musnąwszy ją metalowym barkiem i zatrzymał się. Pirx widział go z boku, oświetlonego tylko częściowo, bo jedynie prawe ramię świeciło ciemno i tłusto, jak dobrze nasmarowana część maszyny — resztę korpusu okrywał cień. Podnosił już laser do oka, kiedy tamten, jakby w nagłym przeczuciu, znikł niczym zdmuchnięty. Stał tam chyba dalej, cofnął się tylko w cień? Więc może strzelić w ten cień? Miał go już na muszce, ale nie położył nawet palca na cynglu. Rozluźnił mięśnie, lufa opadła. Czekał. Setaura nie było. Rumowisko rozpościerało się tuż pod nim istic piekielnym labiryntem, można się tam było bawić w chowanego godzinami — zeszkłona lava popękała w geometryczne, a zarazem niesamowite kształty. — Gdzie on jest? — myślał. — Żeby chociaż dało się cokolwiek usłyszeć, ale ta przekłeta bezpowietrzna okolica, jak w koszmarze jakimś... Gdybym spuścił się w dół, mógłbym na niego zapolować. Nie, nie zrobię tego, ja nie jestem przecież wariatem... Ale pomyśleć wolno przecież wszystko — zerwą nie ma więcej niż dwanaście metrów, to jakby skok z dwóch na Ziemi; znalazłbym się w cieniu pod nią, byłbym niewidoczny i mógłbym posuwać się wzdłuż niej, cały czas mając plecy chronione skałą, a on prędzej czy później wyjdzie mi prosto na łufę... Nic się w kamiennym labiryncie nie działo. Na Ziemi przez ten czas słońce porządnie by się już przesunęło, ale panował tu długi dzień księżycowy, więc trwało wciąż jakby na tym samym miejscu, wygaszając najbliższe gwiazdy, że otaczała je czarna pustka, przerośnięta jakby pomarańczową, krzaczastą mgiełką... Wysunął się do połowy spoza swego głazu. Nic. Zaczynało go to już gniewać. Dlaczego tamci nie nadjeżdżają? Niemożliwe, żeby dotąd nie było radiołączności... Może wypłoszą go wreszcie z tych gruzów... Spojrzał na zegarek pod grubym szkłem przegubu i zdumiał się — od ostatniej rozmowy z McCorkiem minęło ledwo trzynaście minut.

Gotował się już do opuszczenia swego stanowiska, kiedy stały się naraz dwie rzeczy, jednakowo niespodziewane. W bramie skalnej, między oboma magmatycznymi obwałowaniami, które zamykały kotlinę od wschodu, zobaczył sunące, jeden za drugim, transportery. Były jeszcze daleko, ponad kilometr chyba, i szły całą mocą, ciągnąc za sobą długie, pozornie sztywne kity skłębionego kurzu. Zarazem dwoje jakby ludzkich, tyle że w metalowe rękawice odzianych, wielkich rąk pokazało się na samym brzegu urwiska, a w ślad za nimi, tak szybko, że nie zdążył się cofnąć, wychynał Setaur. Dzieliło ich nie więcej niż dziesięć metrów. Pirx zobaczył zastępującą głowę, masywne wybrzuszenie torsu między potężnymi barami, w którym lśniły nieruchomo szkła otworów optycznych, jak dwoje czarnych, szeroko rozstawionych oczu, wraz ze środkowym, trzecim, straszliwym pod zamkniętą w tej chwili powieką laserowego miotacza. On sam miał wprawdzie laser w rękę, ale reakcje maszyny były niezrównanie szybsze od jego własnych, zresztą nawet nie próbował się złożyć — po prostu zamarł w pełnym słońcu, na ugiętych nogach, tak jak zastało go, kiedy podrywał się z ziemi, nagle pojawienie się tamtego, i patrzyli na siebie: posąg człowieka i posąg maszyny, oba obleczone w metal. Wtedy straszliwy blask rozdarł całą przestrzeń przed Pirxem, który, pchnięty ciosem żaru, runął w tył. Lecąc nie stracił przytomności i w owym

ułamku sekundy czuł tylko zdziwienie, bo przysięgłby, że to nie Setaur go poraził, gdyż do końca widział ciemne i ślepe jego laserowe oko.

Upadł na wznak, bo wyładowanie poszło bokiem — ale najwidoczniej w niego celowano, ponieważ potworny rozbłysk powtórzył się w oka mgnieniu i odłupał część kamiennej iglicy, która go przedtem chroniła; bryznęła kroplami płynnego minerału, w locie zmieniającymi się w oślepiającą pajęczynę. Ale teraz uratowało go to, że celowali na wysokość wzrostu, a on leżał — to była pierwsza maszyna, to z niej bili laserem. Przekręcił się na bok i zobaczył wtedy plecy Setaura, który, nieruchomy, jak odlany z brązu, dwa razy łysnął liliowym słońcem. Nawet z tej odległości widać było, jak przedniemu transporterowi odwaliło całą gaśnicę razem z rolkami i kołem wiodącym; podniosła się tam taka chmura kurzu i świecących gazów, że drugi transporter, oślepiiony, nie mógł już strzelać. Dwu- i półmetrowy olbrzym popatrzał niespiesznie na leżącego człowieka, który ścisnął jeszcze swoją broń, odwrócił się i ugiął lekko nogi, chcąc skoczyć na powrót tam, skąd przyszedł, lecz Pirx, niewygodnie, bokiem, strzelił do niego — chciał tylko podciąć mu nogi, ale łokieć zachwiał się, kiedy ciągnął za spust, i płomienny nóż rozplątał olbrzymia od góry do dołu, tak że już jako masa żarzącego się żelastwa runął na dno rumowiska.

* * *

Załoga zniszczonego transportera wyszła z niego cało — nawet bez poparzeń i Pirx dowiedział się, co prawda dużo później, że strzelali do niego, bo Setaura, ciemnego na ciemnym tle urwiska, w ogóle nie dostrzegli. Niedoświadczony celowniczy nie zwrócił uwagi nawet na to, że sylwetka, którą bierze na muszkę, ma jasną barwę aluminiowego skafandra. Pirx był prawie pewny, że następnego strzału już by nie przeżył.

Uratował go Setaur — ale czy zdawał sobie z tego sprawę? Wiele razy wracał myślą do tych kilku ostatnich sekund i za każdym razem umacniał się w przekonaniu, że tamten znajdował się w miejscu, z którego mógł ocenić, kto jest właściwym celem dalekiego ognia. Czy to miało znaczyć, że chciał go ocalić? Na to nikt nie umiał udzielić odpowiedzi. Intellektonicy uważali wszystko za „zbieg okoliczności” — żaden nie potrafił uzasadnić tego gołosłownego twierdzenia. Z niczym podobnym dotąd się nie spotkano, fachowa literatura nie notowała takich wypadków. Wszyscy uznali, że Pirx działał tak, jak musiał działać — ale to mu nie wystarczyło. Na długie lata został mu w pamięci obraz ułamkowych chwil, kiedy otarł się o śmierć i wyszedł cało po to, by nigdy nie poznać całej prawdy — i gorzka była świadomość, że w sposób tyleż podstępny, co nikczemny zabił, ciosem w plecy, swego zbawcę.

WYPADEK

Aniel nie wrócił o czwartej, lecz nikt jakby tego nie zauważył. Przed piątą zapadał już mrok i Pirx, nie tyle niespokojny co zdziwiony, chciał spytać Krulla, co to może znaczyć. Powstrzymał się jednak — nie był dowódcą grupy i takie pytanie, chociaż nawet uprawnione i całkiem niewinne, mogło wywołać istną reakcję łańcuchową zadrażnień. Znał ten objaw dobrze, powtarzało się to nieraz, zwłaszcza kiedy zespół był tak przypadkowy jak właśnie ten. Trzech ludzi o specjalnościach rozstrzelonych, jak to tylko możliwe, w sercu gór na nic nikomu niepotrzebnej planety, wypełniających zadanie, które wszyscy, jak i on, uważali chyba za bezsensowne. Przywieziono ich małym, starym grawistatem, który miał tu już zostać, bo i tak nadawał się tylko na złom, razem ze składanym, aluminiowym barakiem, garścią sprzętu i radiostacją, tak spracowaną, że więcej było z nią kłopotu niż pożytku, za czym w siedem tygodni mieli dokonać „ogólnego rozpoznania”, jakby to było możliwe. Pirx nigdy by nie przyjął takiego zadania, rozumiejąc, że chodzi tylko o powiększenie zasięgu badań, dokonywanych przez eksploracyjny pion Bazy, o jeszcze jedną cyferkę w raportach, którymi karmiono jej maszyny informacyjne, co zapewne mogło mieć niejakie znaczenie przy rozdziale środków, ludzi i mocy na rok następny. I po to, żeby na taśmach pamięciowych pojawiła się owa rozbita w dziurki cyfra, siedzieli przez pięćdziesiąt bez mała dni w pustkowiu, które w innych okolicznościach byłoby może atrakcyjne, chociażby jako teren wspinaczkowy. Przyjemności alpinistyczne były jednak, rozumie się, najsurowiej zakazane, i Pirx mógł sobie najwyżej wyobrazić trasy pierwszych przejść podczas pomiarów sejsmicznych i triangulacyjnych.

Planeta nie miała nawet nazwy innej jak Jota łamane przez 116, łamane przez 47, Proxymy Wodnika. Była najbardziej podobna do Ziemi ze wszystkich, jakie Pirx kiedykolwiek widział, z małym, żółtym słońcem, słonymi oceanami, buraczkowo-zielonymi od pracowitych glonów, sycących atmosferę tlenem, i wielkim, trójplatowym kontynentem, pokrytym pierwocinami roślinności. Nadawałaby się doskonale do kolonizacji, gdyby nie to, że słońce jej było typu G, nowo odkrytej podmiiany G VII, a więc niepewne, bo podejrzanе o chwiejność emisji; skoro zaś astrofizycy wypowiedzieli swoje veto, to choć przemiana w Nową mogła nastąpić dopiero za sto milionów lat, wszelkie plany zagospodarowania tej Ziemi Obiecanej należało przekreślić.

Pirx żałował niekiedy, że dał się nabrać na tę ekspedycję, ale nie był to żal całkiem szczery. Tak czy owak musiał tkwić w Bazie przez trzy miesiące wobec braku wcześniejszego połączenia z systemem słonecznym, więc mając w perspektywie wysiadywanie w podziemnych ogrodach klimatyzowanych Bazy i ogłupiające seanse telewizyjne (była to rozrywka puszkowana, licząca sobie co najmniej dziesięć lat), przystał chętnie na propozycję przełożonego, który znowuż rad był, że może się przysłużyć Krullowi — nie miał bowiem żadnych wolnych ludzi, a regulamin zakazywał wysyłania tylko dwóch. Tak więc Pirx spadł kosmografowi jak z nieba. Zresztą Krull nie okazał zachwyty ani wtedy, ani później; początkowo Pirx myślał nawet, że tamten podejrzewa go o „wielkopańską zachciankę”, skoro z dowódcy statków zgodził się zostać szeregowym eksploratorem; wyglądało to tak, jakby Krull żywił doń skrytą urazę. Ale to nie była uraza, po prostu Krull stał się w środku życia (przekroczył czterdziestkę) gorzki, jakby go niczym innym oprócz piołunu nigdy nie karmiono. A że się w takim odosobnieniu nic nie da ukryć i ludzie ze wszystkimi małostkami i cnotami stają się wnet przejrzysti jak szkło, Pirx pojął rychło, skąd brała się ta zadra w charakterze Krulla, w końcu wytrwałego, twardego nawet człowieka, jeśli miał za sobą ponad dziesięć lat służby pozaziemskiej. Otóż Krull został nie tym, kim chciał, ale kim musiał, ponieważ się do wymarzonego zawodu nie nadawał. A o tym, że nie kosmografem, lecz intelektronikiem chciał kiedyś zostać, przekonał się Pirx widząc, jak kategorię stawał się

Krull w rozmowach z Masseną, jeśli tylko zeszło na tematy intelektualne („intelektualne” — mówił zresztą Krull, bo taki był żargon zawodowy).

Massenie brakło, niestety, wyrozumiałości, a może po prostu motywy Krulla nic go nie obchodziły, dosyć, że kiedy tamten uparł się przy jakimś błędnym rozwiązaniu, nie ograniczał się do zaprzeczenia, ale z ołówkiem w ręku rozkładał Krulla na obie łopatki, krok po kroku budując matematyczny wywód, i kończył go taki zadowolony, jakby nie tyle racji własnej dowiódł, ile tego, że Krull jest zadufanym osłem. Ale to nie było prawdą. Nie był zadufany — był tylko nienormalnie wrażliwy jak właśnie ktoś, kto ambicję ma osadzoną w innym miejscu aniżeli zdolności.

Pirx, który był mimowolnym świadkiem takiej rozmowy — trudno zresztą, aby nim nie był, skoro zajmowali wspólnie czterdzieści metrów kwadratowych baraku, a dźwiękoszczelność przepierzeń była zupełną fikcją, wiedział, czym się to skończy. I rzeczywiście: Krull, który nie śmiał okazać Massenie, jak bardzo zabolą go porażka, całą niechęć skupił na Pirxie, zresztą we właściwy sobie sposób. Poza okolicznościami, kiedy było to konieczne, przestał się do niego odzywać.

Wówczas już tylko Massena pozostał mu bliski — bo rzeczywiście można się było zaprzyjaźnić z tym czarnowłosym i jasnookim nerwowcem — ale Pirx miał zawsze trudności z nerwowcami, ponieważ w głębi ducha nie żywił do nich zaufania. Massenie zawsze coś było: kazał sobie zaglądać do gardła, twierdził, że nadchodzi zmiana, bo go w kościach łupie (żadna nie przyszła, ale wciąż ją przepowiadał), rzekomo cierpiał na bezsenność i co wieczora szukał ostentacyjnie pigulek, których bodaj nigdy nie zażywał — kładł je tylko na wszelki wypadek obok posłania, a rano tłumaczył Pirxowi, który, czytając do późna, doskonale słyszał jego chrapanie, że nawet nie zmrużył oka (w co, zdaje się, wierzył). Poza tym był to doskonały specjalista i błyskotliwy matematyk, z talentami organizatora, któremu poruczano bieżące programowanie automatycznej, więc bezludnej eksploracji. Jeden z takich programów wziął ze sobą dla opracowania „w wolnych chwilach”, a Krull cierpiał, bo Massena robił to, co do niego należało, bardzo szybko i dobrze, tak że naprawdę miał sporo wolnego czasu, brakło zatem podstaw do pretensji, że nie spełnia należycie swych obowiązków. Massena przydał im się więc tym bardziej, że — jakkolwiek było to paradoksalne — ta miniaturowa wyprawa planetologiczna nie liczyła ani jednego planetologa z prawdziwego zdarzenia, bo wszak i Krull nim nie był.

Tyleż podziwu co rozpaczy godny jest ów poziom komplikacji, do jakiego mogą, bez specjalnych wysiłków z czyjejkolwiek strony, dojść stosunki łączące trzech, w końcu dość normalnych, zwykłych ludzi, na takim skalnym pustkowiu, jakie przedstawiał południowy płaskowyż Joty Wodnika.

Była tam jeszcze jedna osoba, choć nieczłowiek — wspomniany Aniel, czyli Automat Nieliniowy, jeden z najnowszych modeli produkowanych na Ziemi dla badań o wysokim stopniu samodzielności. Massena był z nimi — w charakterze cybernetyka — jedynie przez anachronizm, ponieważ regulamin przewidywał, że gdzie jest automat, powinien być też ktoś, kto by go mógł w razie potrzeby naprawić. Regulamin jednak pochodził sprzed dziesięciu lat — jak wiadomo, nie zmieniają się one zbyt często — natomiast Aniel — jak mawiał nieraz sam Massena — raczej by jego mógł w razie potrzeby naprawić. Nie tylko z tej przyczyny, że jego niezawodność nie pozostawiała nic do życzenia, ale i dlatego ponieważ miał elementarne wiadomości lekarskie. Pirx dawno już spostrzegł, że człowieka często łatwiej jest poznać po jego stosunku do robotów aniżeli do innych ludzi. Jego pokolenie przyszło na świat, którego naturalną część tworzyły automaty, tak samo jak statki kosmiczne, ale sfera ta zachowała szczególnie odcień, jakby nacechowany pozostałościami irracjonalizmu. Niektórym łatwiej przychodziło polubić zwykłą maszynę, ot — choćby własny samochód, niż maszynę myślącą. Okres szerokiego eksperymentatorstwa konstruktorów chylił się już ku końcowi — tak to przynajmniej wyglądało. Budowano tylko automaty dwu typów: wąsko wyspecjalizowane i

uniwersalne. Jedyne mała grupa tych ostatnich była oblekana w kształty zbliżone do ludzkich, a i to tylko dlatego, ponieważ ze wszystkich wypróbowanych konstrukcja zapożyczona od natury okazała się najsprawniejsza, szczególnie w trudnych warunkach planetarnych bezdroży.

Inżynierowie byli niezbyt szczęśliwi, kiedy produkty ich zaczęły przejawiać taką spontaniczność, która nasuwała mimo woli myśl o życiu wewnętrznym. Powiadało się na ogół, że automaty myślą, ale „nie mają osobowości”. Prawda, nikt nie słyszał o automacie, który by wpadał w gniew, zachwyty, śmiał się lub płakał; były zrównoważone doskonale, jak tego sobie życzyli konstruktorzy. Ponieważ jednak mózgi ich nie powstawały na taśmie montażowej, lecz w procesie powolnej hodowli monokryształów, z jej rozrzutem statystycznym nie do opanowania, mikroskopijne skądinąd przesunięcia molekuł powodowały takie różnice końcowe, że na dobrą sprawę nie istniały dwa identyczne automaty. A więc jednak indywidualności? Nie — odpowiadał cybernetyk — rezultaty procesu probabilistycznego; tak też myślał sobie Pirx jak każdy chyba, kto miał z nimi wiele do czynienia, kto całymi latami wyczuwał obok siebie ich milczącą, zawsze celową, zawsze logiczną krzątanicę. Zapewne, były wszystkie bardziej do siebie wzajem podobne aniżeli do ludzi, ale i one miały swoje narowy, predylekcje, a bywały i takie, które, wykonując rozkazy, praktykowały coś w rodzaju „biernego oporu” — objaw, który, jeśli się nasilał, kończył się generalnym remontem.

Pirx, i na pewno nie on jeden, miał wobec tych osobliwych maszyn — które tak dokładnie wykonywały polecenia i taką nieraz wykazywały przy tym inwencję — sumienie niezbyt czyste. Może datowało się to od czasu, kiedy dowodził „Koriolanem”, dość, że same podstawy sytuacji, w której człowiek stworzył myślenie poza sobą i uzależnił je od siebie, sam fundament takich stosunków uważał za nie całkiem uczciwy. Zapewne nie potrafiłby powiedzieć, co powodowało ów lekki niepokój, jakby świadomość niewyrównanego rachunku, fałszywie powziętej decyzji, czy może po prostu — choć to grubo powiedziane — jakiegoś, prawda, że z ręcznie, ale jednak — popełnionego świństwa. Było przewrotne wyrafinowanie w owym rozsądnym umiarze, z jakim człowiek tchnął zdobytą o sobie samym wiedzę w zimne maszyny, pilnując, by miały tylko tyle duchowości, ile to niezbędne, bez szansy na stanie się konkurentem swego twórcy do łask świata. Maksyma Goethego: *In der Beschränkung zeigt sich erst der Meister* — nabierała, w odniesieniu do zmyślnych konstruktorów, niespodziewanego posmaku pochwały, obracającej się w szydercze potępienie, bo nie siebie wszak postanowili ograniczyć, lecz swoje dzieła, i to z okrutną precyzją. Rzecz jasna, Pirx nie ważył się nigdy wypowiadać głośno takiej myśli, bo zdawał sobie sprawę z tego, jak śmiesznie by brzmiała; automaty nie swoją egzystencjalną sytuacją były upośledzone czy wyzyskiwane, rzecz stała się zarazem prostsza, moralnie trudniejsza do zaatakowania, ale i gorsza: ograniczono je, jeszcze nim powstały, na papierze kreślarskim.

W owym dniu, przedostatnim ich pobytu na planecie, prace były już właściwie zakończone. Gdy jednak przyszło do sprawdzania taśm z wynikami, okazało się, że jednej brakuje. Najpierw przeszukano pamięć maszynową, potem przetrząśnięto wszystkie schowki i szuflady, przy czym Krull dwukrotnie zlecił Pirxowi, aby dokładnie spenetrował własne rzeczy, co zakrawało na złośliwość, bo Pirx nie miał z brakującą taśmą w ogóle styczności i nie chowałby jej przecież w walizce. Pirxa aż język świerzbiał, by coś wreszcie odpowiedzieć, tym bardziej że dotąd zawsze kładł uszy po sobie, usprawiedliwiając w duchu szorstkie, obraźliwe nawet zachowanie Krulla. Jak umiał. Aniel i tym razem powściągnął ostrzejsze słowo — zamiast tego zauważył, że jeśli trzeba powtórzyć pomiary, chętnie zrobi to sam, wzięwszy Aniela za pomocnika.

Krull uznał jednak, że pomoc Pirxa zupełnie nie będzie Anielowi potrzebna, obarczyli więc robota aparatem, szpulami fotograficznymi i, założywszy mu do olstrów pasa odrzutowe patrony, wysłali go w par szczytową masywu podgórskiego.

Robot wyszedł o ósmej rano — Massena wyraził głośno przekonanie, że zrobi swoje do obiadu. Minęła jednak druga, trzecia, potem czwarta, zapadł wreszcie zmrok, Aniel zaś nie wracał.

Pirx siedział w kącie baraku pod kadmową lampą ścienną i czytał dokumentnie roztrzępaną, starą książkę, którą pożyczył jeszcze w Bazie od jakiegoś pilota, ale treść jej prawie doń nie dochodziła. Było mu niezbyt wygodnie. Żebrowana ścianka aluminiowa gniotła w plecy, a powietrze uciekło całkiem z poduszki nadymaka i czuł, jak w pośladki wpijają mu się przez gumowaną tkaninę ostre mutry konstrukcji. Mimo to nie zmieniał pozycji, ponieważ niewygodą jej dziwacznie godziła się z rosnącym gniewem, jaki w nim wzbierał. Ani Krull, ani Massena jak gdyby nie dostrzegli dotąd nieobecności Aniela. Krull, który doprawdy nie był człowiekiem dowcipnym ani też się na humor ni silił, nie wiadomo czemu od samego początku uparł się przy nazywaniu robota Aniołem albo nawet Żelaznym Aniołem, inaczej się do niego nie odzywał i ta w gruncie rzeczy zupełna bzdura tyle razy już irytowała Pirxa, że przez to jedno znieubił kosmografa. Massena miał do robota stosunek zawodowy: wszyscy intelektownicy wiedzą, a przynajmniej udają, że wiedzą, jakie to molekularne procesy i prądy wywołują takie, a nie inne reakcje czy odpowiedzi automatu, przez co wszelkie napomknienia o ich rzekomym psychiźmie przygważdżają jako zupełne bzdury. Niemniej zachowywał się wobec Aniela jak lojalny mechanik wobec swego Diesla: nie dawał przeciągać, lubił za sprawność i dbał o niego, jak mógł.

O szóstej Pirx nie potrafił już wytrzymać w swym kącie, bo mu noga zdrętwiała, zaczął się więc przeciągać, aż kości trzeszczały, poruszać stopą i zginać nogę w kolanie, by przywrócić krążenie krwi, potem zaś puścił się na przechadzkę po przekątnej baraku, wiedząc dobrze, że niczym bardziej nie zdoła zirytować Krulla, zatopionego w podsumowywaniu obliczeń.

— Doprawdy, moglibyście tak nie hałasować! — rzekł wreszcie Krull jakby do nich obu, jakby nie wiedząc, że to Pirx chodzi, Massena bowiem ze słuchawkami na uszach bawił się jakąś audycją, rozwalony na fotelu pneumatycznym, ze śmiesznie rozmarzonym wyrazem twarzy. Pirx otworzył drzwi, którymi szarpnął silny wiatr zachodni i kiedy oczy przywykły trochę do ciemności, mając za plecami dygocącą w podmuchach blachę ściany, wpatrzył się w stronę, z której powinien był nadejść Aniel. Widział tylko nieliczne gwiazdy, drgające silnie w powietrzu, którego wysoko poczęte, nierówne wycie obejmowało mu głowę zimnym nurtem, wicherzyło włosy, a nozdrza i płuca aż rozdymało pod wiatr — musiał mieć ze czterdzieści metrów na sekundę. Stał tak, a gdy mu się zimno zrobiło, wrócił do baraku, gdzie Massena, ziewając, zdejmował z głowy słuchawki i palcami przeczesywał włosy, Krull zaś, zmarszczony, suchy, cierpliwie składał papiery w teczkach, postukując plikiem arkuszy, aby je wyrównać.

— Nie ma go! — powiedział Pirx i sam się zdziwił, tak to zabrzmiało — rzucił te słowa prawie jak wyzwanie. Oni zaś musieli dostrzec ich szczególny ton, bo Massena popatrzył bystro na Pirxa i zauważył:

— To nic. Trafi, choć ciemno, wróci na podczerwieni...

Pirx spojrział na niego, ale nic nie odpowiedział. Przechodząc obok Krulla podjął z krzesła pozostawioną książkę i, siadłszy w swoim kącie, udawał, że czyta. Wiatr wzrósł się. Zaokienne odgłosy narastały, wznosiły się do wycia, w pewnej chwili coś miękko pacnęło w ścianę, jakby niewielka gałąź; i znów mijały minuty milczenia. Massena, który najwyraźniej czekał na to, że Pirx, ofiarny jak zwykle, weźmie się do przygotowań kolacyjnych, wstał wreszcie i zabrał się do otwierania puszek z samogrzejącym patronem, uważnie wprzód odczytawszy nazwy na etykietkach, jakby spodziewał się znaleźć wśród zapasów jakiś nie odkryty dotąd przysmak. Pirxowi nie chciało się jeść. A właściwie nawet był głodny, ale nie ruszał się z miejsca. Z wolna zaczynała go brać niedobra, chłodna pasja, skierowana, Bóg raczy wiedzieć czemu, przeciw obu towarzyszom, którzy nie byli w końcu najgorsi z możliwych. Czy sądził, że coś przytrafiło się Anielowi? Że, dajmy na to, robot został

zaatakowany przez „tajemniczych mieszkańców” planety, a więc przez stworzenia, w które nie wierzy nikt prócz bazarzy? Gdyby istniała choć jedna szansa na sto tysięcy, że planetę zamieszkują jakiegokolwiek istoty, na pewno nie siedzieliby tak, oddani swym drobnym sprawom, ale niezwłocznie podjęliby wszystkie kroki, przewidziane przez regulamin w punktach drugim, piątym, szóstym i siódmym osiemnastego paragrafu wraz z trzecią i czwartą sekcją przepisów postępowania specjalnego. Ale nie było takiej szansy; nie było żadnej. Już prędzej wybuchłoby niepewne słońce Joty. Tak, to było o wiele bardziej prawdopodobne. Więc co się mogło stać?

Pirx czuł, że spokój, wypełniający barak, który drżał w porywach wichury, jest pozorny. Nie tylko on udawał, że czyta i nie chce jeść kolacji, jakby o niej zapomniał. Tamci dwaj także prowadzili grę, tyleż trudną do określenia, co wyrażniejszą z upływem każdej minuty.

Aniel podlegał, by tak rzec, „w pionie” obsługi technicznej Massenie jako inżynierowi, a Krullowi znowuż, w charakterze „członka wyprawy”, jako dowódcy. Otóż ewentualny defekt mógł być zawiniony przez każdego z nich. Może Massena czegoś nie dopatrzył, a może Krull niewłaściwie wyznaczył trasę, jaką miał przejść Aniel? Ale to w końcu nie byłoby trudno wykryć i nie taka przyczyna powodowała rosnącą sztuczność powszechnego milczenia.

Krull od samego początku jakby umyślnie pomiatał robotem, bo i przezwiał go w sposób godny sztubaka, i nieraz wydawał mu polecenia, od jakich tamci się powstrzymywali, choćby dlatego, że uniwersalny automat nie jest lokajem. A robił to pewnie dlatego, że przez Aniela usiłował nieudolnie, ale uporczywie osiągnąć Massenę, którego wprost nie ważył się zaczepiać.

Odbywała się teraz licytacja nerwów i ten, kto pierwszy wyjawiałby niepokój o losy Aniela, przyznałby się jak gdyby do przegranej. Pirx czuł zresztą, że sam został wciągnięty w ową milczącą rozgrywkę, tak głupią i zarazem tak w tej chwili napiętą. Zastanowił się, co on sam zrobiłby, gdyby był dowódcą grupy. Teraz pewno niewiele, bo w taką noc nie można było wyruszyć na poszukiwania. Tak czy owak należało czekać do rana, najwyżej można by spróbować radiołącności z minimalną zresztą szansą sukcesu, ponieważ zasięg fal ultrakrótkich był w nieprzejrystym terenie górskim niewielki. Dotąd nigdy go jeszcze nie posyłali samego, choć tego nie zabraniał, obwarowywał podobne przedsięwzięcie licznymi paragrafami, pełnymi zastrzeżeń. Zresztą pal diabli regulamin! Pirx uważał, że Massena mógł, zamiast w irytujący sposób wydrapywać resztki przypalonej konserwy z puszki, spróbować jednak radiowezwania. Zastanawiał się, jakby to wyglądało, gdyby on sam to zrobił. Coś w końcu musiało się stać. Czy robot może złamać nogę? Nigdy o czymś takim nie słyszał.

Wstał, podszedł do stołu i czując na sobie ukradkowe, niby to obojętne spojrzenia tamtych, uważnie obejrzał mapę, na której rano Krull sam wykreślił Anielowi marszrutę. Czy wyglądało na to, że kontroluje dowódcę? Podniósł nagle głowę, spotkał oczy Krulla, który chciał mu coś powiedzieć, bo najwyraźniej otwierał już usta. Ale kiedy zimny i ciężki wzrok Pirxa trafił go, tylko odchrząknął i, przygarbiwszy się, dalej sortował swoje papiery. Musiał mu Pirx dobrze zaświecić oczami, nie umyślnie jednak, a tylko dlatego, że w podobnych chwilach budziło się w nim coś, co zjednywało mu na pokładzie posłuch i respekt podszyty niepokojem.

Odłożył mapę. Marszruta podchodziła tylko do wielkiej ściany skalnej z trzema podciętymi urwiskami, ale wyznaczona droga omijała je. Czy robot mógł nie wykonać zadania? To było niemożliwe.

— Ale można przecież zwichnąć nogę nawet w byle rozpadlinie! — pomyślał. Nie, to nonsens. Robot, taki jak Aniel, wytrzyma upadek i z czterdziestu metrów, nie z takich opresji wychodzą cało, mają coś lepszego od kruchych kości. Więc co się stało, u licha?

Wyprostował się i ze swej okazałej wysokości spojrział najpierw na Massenę, który krzywił się i dmuchał, pijąc zbyt gorącą herbatę, potem na Krulla, by wreszcie, odwróciwszy się

ostentacyjnie, wyjść do malutkiej sypialni, gdzie zbyt gwałtownie wyszarpnął swoje składane łóżko ze ściany i, zrzuciwszy z siebie czterema wprawnymi ruchami ubranie, wpełznął do śpiwora. Wiedział, że niełatwo przyjdzie mu zasnąć, ale miał dosyć na dziś towarzystwa tamtych. Kto wie zresztą, czy gdyby został z nimi dłużej, nie nagadałby im czegoś, na pewno niepotrzebnie, bo i tak mieli się jutro rozstać na pokładzie Ampere'a; z chwilą gdy wejdą na statek, przestanie istnieć grupa operacyjna Joty Wodnika.

Zaczynało mu się już zwidywać to i owo, jakieś wpółsrebrne smużki ściekały pod powiekami, puszyste jak jaskry światełka kłoniły do snu, przewrócił jeszcze poduszkę na drugą, chłodniejszą stronę — i naraz jakby namacalną i bliską zobaczył postać Aniela — tak jak widział go po raz ostatni w tym dniu, kilka minut przed ósmą. Massena ładował mu właśnie patrony odrzutowe, dzięki którym można przez kilka minut szybować w powietrzu, jak gdyby wbrew grawitacji; urządzenia tego używali zresztą wszyscy, rozumie się w okolicznościach przewidzianych przez wszechstronnie surowy regulamin. Dziwna była ta scena, jak zawsze, gdy człowiek pomagał w czymkolwiek robotowi, bo normalnie działa się akurat na odwrót, Aniel nie mógł jednak dosięgnąć ręką olstrów pod wyładowanym jak garb plecakiem. Bo też dźwigał ładunek dostateczny dla dwu ludzi. Pewno, że nie działa mu się krzywda, w końcu był tylko maszyną, rozwijał w razie potrzeby dzielność szesnastu koni mechanicznych dzięki mikroskopijnej baterii strontu, która zastępowała mu serce. Teraz jednak, pewno wskutek przedsennego zamroczenia, wszystko to razem bardzo się Pirxowi nie widziało, był całą duszą po stronie milkliwego Aniela, skłonny uwierzyć, że tamten, właśnie jak on sam, wcale nie jest spokojny z natury, a wydaje się taki tylko dlatego, ponieważ uznał, że tak właśnie trzeba. Przed samym zaśnięciem myślał sobie coś jeszcze. Były to owe najbardziej intymne rojenia, jakim człowiek w ogóle może się oddawać, pewno dlatego, że po przebudzeniu zwykle o nich nie pamięta i owa jutrzejsza niepamięć rozgrzesza dziś ze wszystkiego. Wyobraził sobie bez słów tę bajkową, mityczną sytuację, która — od dawna wiedział o tym jak wszyscy — nigdy nie mogłaby się ziścić: bunt robotów. I czując głuchą, milczącą pewność, że znalazłby się wtedy po ich stronie, zasnął natychmiast, jakby oczyszczony.

Obudził się wcześniej i nie wiadomo czemu pierwsze, co pomyślał, było, że ustał wiatr. Potem przypomniał sobie Aniela i własne rojenia z nocy, przed snem; zmieszało go trochę to, że coś podobnego mogło mu w ogóle przyjść do głowy. Leżał jeszcze dobrą chwilę, aż doszedł do przeświadczenia nieco uspokajającego, że te przedsenne, chwiejne obrazy naszły go wprawdzie nie na jawie, ale — w przeciwieństwie do snu, który śni się sam — wymagały nieznaczej tylko, na wpół świadomej pomocy z jego strony. Takie psychologiczne roztrząsania były mu obce, więc z kolei zdziwił się, czemu zaprzęta sobie nimi głowę, podniósł się lekko na łokciu i nasłuchiwał; panowała zupełna cisza. Odsunął zasłonę małego okienka tuż przy głowie. Przez mętną szybkę zobaczył mrok przedświt i wtedy dopiero pojął, że trzeba będzie iść w góry. Zeskoczył z łóżka, by zajrzeć jeszcze do wspólnego pomieszczenia. Robota nie było. Tamci już wstawali. Przy śniadaniu Krull powiedział mimochodem, jakby to jeszcze wczoraj zostało postanowione, że muszą wyruszyć zaraz, bo pod wieczór wylądować Ampere, a składanie baraku i pakowanie rzeczy zajmie co najmniej półtorej godziny, jeśli nie więcej. A powiedział to umyślnie chyba tak, aby nie było jasne, czy mają iść głównie przez brak danych, czy przez Aniela.

Pirx jadł za trzech, ale w ogóle się nie odzywał. Kiedy tamci dopijali jeszcze kawę, wstał i, poszperawszy w swoim worku, wyjął zeń zwój białej liny nylonowej, młotek i haki. Po namyśle dorzucił jeszcze do plecaka swoje wspinaczkowe pantofle — na wszelki wypadek.

Wyszli na zewnątrz, gdy świt ledwo wstawał. Gwiazd nie było już widać na niebie pozbawionym barwy. Ciężka, fioletowa szarość na ziemi, twarzach, w samym powietrzu, była nieruchoma i mroźna, góry na północy stanowiły czarną masę, zastygłą w ciemności, południowy grzbiet, bliższy, stał jak nadtopiona maska bez rysunku, z jaskrawym pasem

pomarańczowego światła nad szczytami. Ten blask, odległy i nierzeczywisty, utrwał w powietrzu skłębione kity oddechów, bijące z ust trzech ludzi. Chociaż atmosfera była rzadsza od ziemskiej, oddychało się dobrze. Przystanęli na końcu równiny. Ostatki trawy, brudnej w zmieszonym półmroku cofającej się nocy i napelzającego zza gór dnia, znikły. Przed nimi rozpościerała się morena lodowcowa, zwały głazów majaczyły jak widziane przez płynącą wodę. Kilkaset kroków wyżej pojawił się wiatr; zaskakiwał krótkimi porywami. Szli, przekraczając lekko mniejsze głazy, wstępowali na wielkie, czasem płyta skały stuknęła sucho o drugą, czasem ziarno żwiru strzeliło spod buta i toczyło się po zboczu w rozgonionych pogłosach, jakby ktoś się tam budził. Czasem zaskrzypiał pas naramienny, zgrzytnęło okucie; owe skąpe dźwięki nadawały ich marszowi charakter zgody i sprawności, jakby byli ożywioną jednym duchem ekipą alpinistów. Pirx szedł za Masseną jako drugi. Było wciąż jeszcze zbyt ciemno, aby dojrzeć rzeźbę odległych ścian; wpatrywał się w dalekie plany z wytężeniem, raz i drugi nie dość uważnie stawiana noga obsunęła się po głazie, mimo to dalej powierzył całą uwagę wypatrującym oczom, jakby chciał uciec nie tylko od pobliza, ale i od siebie, od wszelkich myśli. Nie myślał wcale o Anielu, a tylko uczestniczył wzrokiem w tej krainie bezwiecznych skał, doskonałej obojętności, jedynie przez wyobraźnię ludzką przystrajanej w znaczenie grozy i wyzwania.

Planeta miała silnie wyrażone pory roku. Przybyli u schyłku lata, a teraz jesień górską, cała w czerwieni i żółci, dogasała już w dolinach, lecz jakby na przekór masom liści, pędzących w pianie górskich potoków, słońce wciąż jeszcze było ciepłe i w bezobłoczne dni przypiekało nawet na tym płaskowyżu. Tylko gęstniejące mgły zwiastowały nadejście śniegu i mrozów. Ale wtedy na planecie nie miało już być nikogo; i owa przyszła, w biel obrócona, doskonała pustka wydała się nagle Pirxowi czymś nad wszystko godnym pożądaniam.

Naocznie dojrzeć, że ciemność rzędzie, było nie sposób, a jednak z każdą chwilą wzrok odkrywał nowe szczegóły krajobrazu. Niebo już całkiem poblądło, ani z nocy, ani z dnia, żadnych zórz w tym dniu rozpoczynającym się tak czysto i tak spokojnie, jakby cały był zamknięty w kuli ze szkła przechłodzonego. Nieco wyżej przeszli przez pasmo mlecznej mgły, czepiającej się wiotkimi skrętami gruntu, a kiedy z niego wyszli, Pirx zobaczył bezsłoneczny jeszcze, ale w białym świtaniu cel drogi. Było nim ramię skalne, dochodzące do głównego łańcucha górskiego, prawie pod miejscem, gdzie, kilkaset metrów wyżej, czerniał dwugłowy szczyt, najwyższy ze wszystkich. Na bułowatym rozszerzeniu owej grani miał Aniel dokonać ostatnich pomiarów. Droga w obie strony była łatwa — żadnych niespodzianek, szczelin, nic — prócz jednostajnej szarości osypiska, gdzieniegdzie cętkowanej pisklęcą żółtą pleśnią. Pirs, wciąż stąpając lekko z jednych klekocących głazów na drugie, patrzył na czarną zupełnie ścianę na niebie i może dlatego, że wołał nie myśleć o niczym innym, jał sobie wyobrażać, że idzie na zwykłą wspinaczkę, jak na Ziemi. Od razu inaczej zobaczył skały — naprawdę można było pomyśleć, że celem ich jest zdobycie szczytu, skoro idą prosto ku grzbietowi ciężko wynurzającemu się z masy piargów. Dochodził do ściany w jednej trzeciej jej wysokości i kończył się tam serią zaklinowanych płyt, odtąd zaś olbrzymia płaszczyzna szła już w górę jak poderwana do martwego lotu; jakieś sto metrów wyżej ścianę przerzywał inny gatunek skały — to diabaz, czerwony, jaśniejszy od granitów — wydostawał się na powierzchnię i smugą niejednakowej szerokości przecinał skosem całą flankę urwiska.

Jakiś czas szczyt wyzywał oczy Pirxa swą patetyczną linią, lecz w miarę jak szli ku niemu, stało się z nim to, co zwykle dzieje się z górą: ginął, rozpadły w gwałtownych skrótach perspektywy na poszczególne, już wzajem przesłaniające się partie, przy czym podnóże traciło dotychczasową płaskość, wysuwało filary, ukazywało całe bogactwo uskoków, półek, ślepo kończących się kominów, chaos starych pęknięć, a nad tym bezładem gruzłowatych spiętrzeń przez jakiś czas, ozłocony pierwszym słońcem, wystygły i dziwnie łagodny, jaśniał sam wierzchołek, aż i on znikł wreszcie, zasłonięty; Pirx nie mógł już oczu oderwać od kolosa

— tak, nawet na Ziemi byłaby to ściana godna uwagi i wysiłku, szczególnie przez ów brutalnie występujący wał diabazów. Od niego do szczytu, oblanego złotem słonecznym, droga zdawała się krótka i łatwa, problemem były jednak przewieszki, zwłaszcza największa ze spodnią częścią, lśniąca od wilgoci czy lodu, czarniawa raczej niż czerwona, jak skrzepła krrew.

Pirx puścił wodze fantazji. Mogła to przecież być nie zerwą anonimowego szczytu pod obcym słońcem, ale góra wslawiona atakami i porażkami, taka, która budzi w alpinistcie poczucie odrębności, podobne do tego, jakie odczuwa się wobec dobrze znanej twarzy, gdzie każda zmarszczka i szrama ma swoją historię. Drobne, na granicy widzialności, wężyki pęknięć, ciemne nitki półek, płytke rysy mogły stanowić najwyższy punkt, osiągnięty w którymś tam z rzędu oblężeniu, miejsca długich postojów, milczących narad, gwałtownych ataków i ponurych odwrotów, klęsk, poniesionych mimo zastosowania wszelkich chwytów taktycznych i technicznych — góra tak już przez to zespolona z losami ludzkimi, że każdy wspinacz, którego pokonała, wracał do niej raz i jeszcze raz, z tym samym zapasem wiary i nadziei w zwycięstwo, i przymierzał podczas kolejnego szturmego wynoszoną w pamięci marszrutę do martwej rzeźby skalnej. Mogłaby ta ściana mieć bogatą historię przejść okólnych, rozmaitych ich wariantów z kroniką sukcesów i ofiar, fotografie poznaczone drobnymi kropkami szlaków i krzyżykami oznaczającymi najwyższe osiągnięte miejsca — Pirx potrafił to sobie przedstawić z największą łatwością, co więcej: wydawało mu się dziwne, że tak nie jest.

Massena szedł przed nim lekko zgarbiony, w świetle coraz ostrzejszym, które niweczyło wszelką iluzję „łatwych miejsc” ściany — to złudzenie rzekomej lekkości, braku oporów i partii śmiertelnego zagrożenie wywoływała błękitnawa mgiełka odległości, tak spokojnie obejmująca każdy fragment połyskującej skały Dzień, pełny i czysty, dotarł już do nich, rzucali długie, chwiejące się cienie pod szczytem osypiskowego stożka. Ściana zasilana go dwoma wielkimi żlebami, pełnymi Jeszcze nocy; martwy dopływ piargu spiętrzał się tam i nikł nagle, pochłonięty doskonałą czernią.

Od dawna nie można już było ogarnąć masywu jednym spojrzeniem. Proporcje przemieniły się, ściana, z odległości podobna do każdej innej, ukazywała niepowtarzalną indywidualność ukształtowania, olbrzymiejąc wysuwał się ku nim potężny filar, który sponad rozsypanej talii płaskich płyt wystrzelał w górę, poszerzał się, rósł, aż odepchnął i zasłonił wszystko inne i został sam, w zimnym, ponurym cieniu miejsc nigdy nie oświetlonych. Weszli właśnie na płat wiecznego śniegu, pokryty odpryskami lecących z wysokości kamieni, kiedy Massena zwolnił kroku, a potem przystanął, jakby nasłuchiwał. Pirx, który dopędził go pierwszy, zrozumiał — tamten pokazał mu palcem na własne ucho, w którym tkwiła oliwka mikrofonu.

— Był tu?

Tamten tylko skinął głową i zbliżył ku brudnej, stwardniałej powierzchni śniegu metalowy pręcik czujnika. Podeszwy butów Aniela przesycone były izotopem radioaktywnym i czujnik wykrył jego ślad. Robot musiał przejść tędy poprzedniego dnia, nie wiadomo tylko — idąc w górę czy już wracając. W każdym razie odnaleźli jego trasę. Od tego miejsca szli już wolniej.

Wydawało się, że ciemny filar stoi tuż, ale Pirx wiedział, jak myląca jest ocena odległości w górach. Jakoż szli i szli, teraz już ponad śniegiem i głazami rumowiska, starą, obło opiłowaną grańką, i Pirxowi zdawało się, że w zupełnej ciszy dochodzi go popiskiwanie słuchawek Masseny, ale to było chyba niemożliwe. Tamten kilkakrotnie zatrzymał się, poruszał końcem aluminiowego pręta, obniżał go dotykając niemal skały, rysował nim w powietrzu pętle i ósemki, niby różdżkarz, aż, odnalazwszy trop, ruszał dalej. Byli już niedaleko miejsca, w którym Aniel miał dokonać pomiarów; Pirx uważnie przetrząsał wzrokiem otoczenie, jakby szukał śladów przejścia zaginionego.

Ale skała była pusta. Najłatwiejszą część drogi mieli poza sobą — przed nimi wznosiły się

rozmaicie nachylone płyty, sterzące spod pięty filaru; był to jak gdyby umyślny, gigantyczny przekrój skalnych warstw i częściowo obnażone wewnątrz kamiennej zerwy ukazywało najstarsze formacje górskiego rdzenia, miejscami strzaskane, bo docięnięte straszliwą masą całej, na kilometry wydzwigniętej w niebo, ściany. Jeszcze sto, jeszcze pięćdziesiąt kroków — dalej nie można było iść.

Massena chodził wkoło poruszając przed sobą opuszczonym końcem czujnika, z przymrużonymi oczami, ciemne okulary odsunął na czoło, z pozbawioną wyrazu twarzą krążył tak, niby bez ładu i składu, aż zatrzymał się o kilkanaście metrów od nich i powiedział:

— Był tu. Dostyc długo.

— Skąd wiesz? — spytał Pirx.

Tamten wzruszył ramionami, wyjął oliwkę z ucha i podał ją Pirxowi, dyndającą na cienkiej nitce przewodu razem z prętem czujnika. Pirx sam z kolei usłyszał poćwierkiwania i popiskiwanie, rozlewające się chwilami w beczące tony. Na skale nie było żadnych odcisków, śladów, nic — tylko ów ton, wypełniający czaszkę jadowitym pobrzękiem wyjawiał, że Aniel musiał w samej rzeczy długo krzątać się w tym miejscu, skoro każdy niemal metr kamienia zdradzał jego przejście. Powoli z pozornego chaosu Pirx zdołał nawet wyłowić jakiś sens — Aniel przyszedł widać tą samą drogą co oni, rozstawił trójnog aparatu i, robiąc namiary i zdjęcia, obracając kamerą, musiał chodzić wokół niej, potem kilkakrotnie ją przesunął, szukając dogodniejszych punktów obserwacyjnych. Tak, układało się to w zrozumiałą całość. Ale co się stało potem?

Pirx jął obchodzić to miejsce coraz szerszymi kręgami, po spirali, aby odnaleźć trop wychodzący odśrodkowo, ślady marszu powrotnego, ale nie było ich. Zupełnie jakby Aniel wrócił dokładnie po własnym śladzie, co wyglądało jednak całkiem nieprawdopodobnie. Nie miał przecież wrażliwego na radioaktywność czujnika, nie mógł zatem wiedzieć, którędy przyszedł, z dokładnością do centymetrów; Krull mówił coś do Masseny, ale Pirx nie zważał na nich, wciąż krążąc, aż nagle wydało mu się, że słuchawka odezwała się raz jeden, krótko, lecz wyraźnie. Cofał się teraz niemal milimetr po milimetrze. Tak, to było tu. Rozejrzał się, otwierając oczy, które przymrużył, aby całą uwagę skupić na śpiewie czujnika. Odnaleziony ślad znajdował się pod ścianą, jakby robot nie zawrócił w stronę obozu, lecz, przeciwnie, ruszył ku pionowemu filarowi.

To było dziwne. Czego mógł tam chcieć?

Pirx szukał następnego śladu, głazy milczały jednak, a musiał badać wszystkie potrzaskane płyty, spiętrzone u nasady filaru; trudno było przewidzieć, na której Aniel postawił stopę w kolejnym kroku. Wreszcie znalazł ślad, oddalony od poprzedniego o pięć metrów; czyżby Aniel skoczył aż tak daleko? Ale po co? Znowu cofnął się i po chwili odkrył opuszczony ślad — robot po prostu przeskakiwał z kamienia na kamień. Pirx, pochylony, płynnie poruszając prętem, drgnął nagle, bo w głowie jakby eksplodował nabój wybuchowy, takim tonem odezwały się słuchawki, aż się skrzywił — dźwięk był prawie bolesny. Spojrzał za tafle głazu i osłupiał. Wklinowany między dwa kamienie, ukryty na dnie naturalnej, płytkiej studzienki, jaką tworzyły, spoczywał nie uszkodzony aparat wraz z kamerą fotograficzną. Po drugiej stronie stał, oparty o głaz, plecak Aniela z rozpiętymi pasami, ale porządnie spakowany. Zawołał tamtych. Przybiegli i zdziwili się, jak on, tym znaleziskiem. Krull sprawdził kasety — wyglądało na to, że wszystkie pomiary zostały zrobione. Nie musieli powtarzać pracy. Pozostawało tylko wyjaśnienie losu Aniela. Massena przyłożył ręce do ust i zawołał go kilkakrotnie, aż dalekie, przeciągłe echo wróciło od skał. (Pirx aż drgnął, bo tak mu zabrzmiało to wołanie, jakby szukali człowieka zaginionego w górach. Intellektronik wyjął po chwili z kieszeni płaską kasety nadajnika, przysiadł i zaczął wywoływać robota, nadając jego sygnał, lecz widać było, że robi to raczej z obowiązku niż z przekonania. Tymczasem Pirx wciąż szukał dalszych śladów. Wyglądało na to, że robot dość długo krążył po owym miejscu — tyle ulotnych piśnień wydawała słuchawka i nadmiar ów do reszty zdeorientował Pirxa.

Nareszcie wyznaczył z grubsza zewnętrzne granice okręgu, którego robot na pewno nie przekroczył i obchodząc je systematycznie liczył na to, że znajdzie nowy ślad, który wskaże kierunek dalszych poszukiwań.

Po pełnym okrążeniu wrócił pod filar. Między skalnym występem, na którym stał, a wznoszącą się, całkiem już pionową ścianą, ziała około półtorametrowa szczelina; dno jej pokrywał drobnymi, ostrokanciastymi odłamkami odstrzelony z wysokości piarg. Pirx sumiennie zbadał i to miejsce, ale słuchawka milczała. Stał wobec zagadki zupełnie niezrozumiałej: wyglądało, jakby Aniel dosłownie rozpułnął się w powietrzu. Tamci naradzali się półgłosem za jego plecami, a on podniósł z wolna głowę i po raz pierwszy z takiej bliskości spojrzął na wstępujący w górę filar. Niezwykła była siła wyzwania, jaką czuł w kamiennym spokoju ściany; a właściwie nie było to wyzwanie, lecz coś podobniejszego raczej do wyciągniętej otwarcie ręki — z pojawiającą się natychmiast pewnością, że trzeba ją przyjąć, że to jest początek drogi, na którą musi się wejść. Zupełnie odruchowo szukał oczami pierwszych chwytów; były pewne. Jednym długim, obliczonym krokiem można było przekroczyć szczelinę i stanąć od razu na małym, lecz dobrym stopniu; po owym rozkroku należało bez żadnych wątpliwości ruszyć skosem, wzdłuż prawdziwie geometrycznego pęknięcia, pogłębiającego się kilka metrów wyżej w kształt płytkiego kominka. Nie wiedząc właściwie, po co to robi, Pirx podniósł czujnik i wychyliwszy się, jak daleko mógł, zbliżył go do owego kamiennego stopnia po drugiej stronie szczeliny. Słuchawka odezwała się. Pirx powtórzył dla pewności tę operację, balansując z trudem, by nie stracić równowagi — tak bardzo musiał się wychylić w pustkę — i znowu usłyszał krótki pisk. Teraz nie miał już wątpliwości. Wrócił do tamtych.

— On poszedł w górę — powiedział spokojnie, wskazując na filar. Krull zdawał się nie rozumieć, a Massena powtórzył:

— W górę poszedł? Jak to? Po co w górę?

— Nie wiem. Tam jest ślad — odparł z pozorną obojętnością Pirx. Massena skłonny był sądzić, że Pirx się omylił, ale zaraz sam przekonał się, że to jednak prawda. Aniel jednym, długim krokiem przeprawił się najwidoczniej ponad szczeliną i poszedł wzdłuż odpułkniętego częściowo, kamiennego zwału — na filar. Zapanowała konsternacja. Krull oświadczył, że pomiary zostały wykonane, a robot, widocznie wskutek jakiegoś defektu, „rozprogramował się”; Massena obstawał przy tym, że to niemożliwe, przecież zostawił wszystkie aparaty i plecak, zupełnie jakby przygotowywał się planowo do trudnej wspinaczki, więc musiało zajść coś, co go do niej skłoniło.

Pirx milczał. Postanowił już w duchu, że pójdzie na filar, choćby nie miał z nim iść żaden z towarzyszy; Krull nie mógłby i tak, bo rzecz wymagała kwalifikacji alpinistycznych, i to nie byle jakich. Od Masseny słyszał przedtem, że chodzi sporo i podobno niezgorzej znał się na technikach hakowych; kiedy więc tamci zamilkli, powiedział po prostu, że zamierza iść — czy Massena gotów jest mu towarzyszyć?

Krull natychmiast zaoponował. Regulamin zakazuje narażania się na niebezpieczeństwo; po południu przyleci po nich Ampere; muszą przedtem złożyć barak i spakować się; pomiary zostały wykonane; robot najwyraźniej uległ jakiejś awarii, należy więc po prostu uznać, że zaginął, to znaczy wyjaśnić okoliczności w końcowym sprawozdaniu.

— Czy to znaczy, że mamy go tu zostawić i odlecieć? — spytał Pirx.

Jego spokój zdawał się drażnić Krulla, który, powściągnąwszy się z widocznym wysiłkiem, odparł, że w sprawozdaniu przedstawi się dokładnie wypadki oraz opinie członków grupy wraz z najbardziej prawdopodobnym wnioskiem: uszkodzenia mnestronów pamięciowych lub kierunkowego obwodu motywacyjnego albo desynchronizacja...

Massena zauważył, że jedno, drugie ani trzecie nie jest możliwe, ponieważ Aniel nie ma w ogóle żadnych układów mnestronów, a tylko jednorodny, monokrystaliczny układ, wyhodowany molekularnie z przechłodzonych roztworów diamagnetycznych, śladowo

zapłodnionych pierwiastkami izotopowymi...

Najoczywieściej chciał pognać Krulla, wykazując mu, że mówi o rzeczach, na których w ogóle się nie zna; Pirx przestał ich słuchać. Odwrócony plecami, ponownie zmierzył okiem stopę filaru, ale już inaczej niż przedtem — wyobrażone stało się realnym i jakkolwiek było mu z tym trochę niezręcznie, Czuł jawną satysfakcję, że będzie się mógł z tą górą spróbować.

Massena postanowił iść z Pirxem, być może, aby się w ten sposób ostatecznie przeciwstawić Krullowi. Pirxa dochodziło piąte przez dziesiąte z tego, co mówił: że zagadkę należy koniecznie wyjaśnić, bo jeśli po prostu wróca, to, być może, przeoczone zostanie jakieś równie ważne co tajemnicze zjawisko, które wywołało tak nieoczekiwaną reakcję robota i gdyby było tylko pięć szans na sto, że takie zjawisko zaszło, usprawiedliwia to całkowicie podjęcie ryzyka wspinaczki.

Krull, to należało przyznać, potrafił przyjąć przegraną i nie tracił już więcej słów. Zapanowało milczenie. Massena zaczął zdejmować z pleców aparaty, a Pirx, który tymczasem przyszykował już swoją linę, młotek, haki i zmienił ciężkie buty na pantofle, zerkał na niego ukradkiem. Massena był trochę zdenerwowany; Pirx widział to. Nie tyle sprzeczkę z Krullem — rzecz prosta, ile tym, że może w nie bardzo przemyślany sposób wpędził się sam w sytuację, z której nie miał już wyjścia. Pirx pomyślał, że Massena, gdyby mu zaproponować pozostanie, kto wie, czyby na to nie przystał, chociaż czynnik podrażnionej ambicji był nie do obliczenia. Nie mówił jednak nic, bo chociaż wspinaczka zapowiadała się u początku łatwo, nie wiadomo było, co czeka ich w ścianie wyżej, tam zwłaszcza, gdzie jej sporą część przesłaniały przewieszki. Przecież nie wypenetrował nawet ściany przez lornetkę, bo nie brał pod uwagę takiej eskapady. A jednak wziął linę i haki — po co? Zamiast analizować te sprzeczności, stał i czekał na Massenę. Potem ruszyli bez pośpiechu do podnóża skały.

— Pójdę pierwszy — powiedział Pirx — na razie na całą linę; potem się zobaczy.

Massena skinął głową. Pirx odwrócił się raz jeszcze aby zobaczyć, co robi Krull, z którym rozstali się be: słowa. Stał tam, gdzie go zostawili, przy porzuconych plecakach. Byli już tak wysoko, że spoza północnych grzbietów górskich oliwkową plamą wychynał kraj obraz dalekich nizin. Dół piarzystego osypiska spoczywał jeszcze w cieniu, tylko szczyty jaśniały oślepiająco i blask ów rozproszoną aureolą wchodził w szczyby grani, królującej nad nimi wysoko w niebie.

Pirx zrobił duży krok, stopa znalazła występ, dźwignął się i poszedł lekko w górę. Pierwsze metry był; naprawdę łatwe. Posuwał się miarowo, jakby leniwie tuż przed oczami przesuwały się chropawe warstwy skały, nierówne, z zakłębieniami ciemniejszego koloru. Opierał się, podciągał ciało, przesuwał w górę, czując nieruchome, mroźne tchnienie nocy, promieniując z calizny. Serce uderzało nieco szybciej, ale oddycha swobodnie i dobrze mu było z pewnym rozgrzaniem jakie przyniosła praca mięśni. Popuszczana z dołu lina szła za nim, w czystym powietrzu jej szmer rozlega się jakby powiększony, gdy tarła o skałę — wreszcie nim się skończyła, Pirx znalazł dobre miejsce dla asekuracji; kogoś innego prowadziłby z lotnej, ale wolał wprawdzie przekonać się, co też wart jest Massena. Stał wklinowany w szczelinę, która szła ukośnie przez cały filar, i mógł, czekając na Massenę, przypatrzeć się wielkiemu kominowi, który omijali, wznosząc się równolegle do niego — rozszerzał się tu właśnie na kształt szarego kamieniospadu, tworząc amfiteatralne wklęsnięcie zbocza; z dołu wyglądało to miejsce zupełnie nieciekawie, płasko, teraz dopiero wystąpiło bogatą rzeźbą w całej swej okazałości. Pirx tak doskonale czuł się tu sam, że jakby ocknął się, kiedy zobaczył obok Massenę; zaraz też ruszył dalej. Tak się to powtarzało, rytmicznie i w spokoju, na każdym następnym stanowisku sprawdzał czujnikiem, czy sygnał w słuchawce zaświadczy o obecności Aniela — tylko raz jeden zgubił go i musiał wycofać się z łatwego kominka, bo tamten przetrawersował to miejsce; nie był przecież wspinaczem, mimo to Pirxowi łatwo przychodziło odgadywanie wszystkich jego kolejnych decyzji, tak — chciałoby

się powiedzieć — konieczna, tak logiczna była ta droga w skałę, umożliwiająca najszybsze zdobywanie wysokości. W każdym razie pewne było, że Aniel naprawdę poszedł na wspinaczkę. Pirx nawet przez chwilę nie zastanawiał się, czemu to zrobił. Umiał zakazać sobie jałowej spekulacji. Powoli poznawał przeciwnika — zarazem zaś pozornie zapomniane sposoby i chwyt, ocknąwszy się w pamięci, podpowiadały nieomylnie, co i kiedy robić; nawet to, że musiał dosyć często oswobadzać jedną rękę, aby poszukać czujnikiem radioaktywnego śladu, nie sprawiało mu żadnego kłopotu. Raz, sponad odpękniętego głazu, który siedział jednak jak zamurowany, rzucił okiem w dół. Byli wcale wysoko, chociaż szli niby wolno, Krull stał się już malutką plamką zielonkawego kombinezonu na płaskiej szarości osypiska, nie od razu dostrzegł go na dnie tej powietrznej studni, która otwierała się u stóp.

Dalej był ładny, mały trawers; robiło się trudniej, ale i on odzyskiwał z każdą chwilą dawno nie praktykowaną umiejętność, do tego stopnia, że chwilami lepiej się było zdawać na instynkt ciała, aniżeli świadomie rozważać wybór chwytów; a o tym, że stało się trudniej, przekonała go pewna sekunda, gdy, jak poprzednio, chciał uwolnić prawą rękę, by ująć zwisający z pasa czujnik — i nie mógł tego zrobić. Miał tylko jeden chwyt dla lewicy i coś bardzo niewyraźnego pod czubkiem prawego pantofla; odsunąwszy się, jak mógł, od skały, z tego dystansu szukał oparcia dla drugiej stopy, ale go nie było. Zrezygnował więc z czujnika, bo wyżej zapowiadała się jakby mała półeczka.

Co prawda była pokryta lodowym szkliwem i pochylona ku przepaści, ale w jednym miejscu lód został zerwany z kamienia jakby silnym ciosem. Pantofel Pirxa nigdy by tego nie dokonał — przyszło mu do głowy, że to był but Aniela, robot ważył przecież około ćwierć tony. Massena, który szedł dotąd całkiem dobrze, teraz jakoś zwlekał.

Byli już w górnej partii filaru. Skała, nadal chropawa, zaczynała powoli, a przez to jak gdyby podstępnie odpychać, coraz wyraźniej przewieszona i bez uczciwych zaklinowań nie dałoby się tak iść; kilka metrów wyżej szczelina, do tego miejsca wyraźna, zasklepiła się, Pirx miał jeszcze jakieś pięć metrów swobodnej liny, lecz kazał ją ściągnąć Massenie, by się rozejrzeć. Robot przeszedł tędy — bez haków, bez liny i bez asekuracji. — A więc i ja to potrafię — pomyślał. Szukał po omacku nad sobą; kostka prawej stopy, zaklinowanej w ostatnim koniuszku szczeliny, która go dotąd prowadziła, ostro zakłuła od forsownego skręcenia; mimo to nie ustawał w wysiłkach. Naraz samymi czubkami palców zmacał listewkę, węższą od opuszki; można się było na niej podciągnąć, ale co dalej?

To już nie była tylko rywalizacja ze skałą, ale zarazem jakby i z Anielem, który przeszedł tędy — i to sam. Prawda, że palce miał stalowe... Pirx zaczął już wyswobadzać stopę ze szczeliny, kiedy przy tym ruchu jakiś mały kamyk wyskoczył spod podeszwy i pomknął w dół. Doszedł go wyraźnie syk rozcinanego powietrza, a w długą, długą chwilę potem — jedno wyraźne, ostre stuknięcie. — Owszem, ekspozycja jest — pomyślał. Zrezygnował z podciągania się i szukał miejsca, aby wbić hak. Skała była jednak bez najmniejszych pęknięć; wychylił się w obie strony, jak daleko mógł — nic jednak nie znalazł.

— Co tam? — doszedł go z dołu głos Masseny.

— W porządku, rozglądam się — powiedział. Kostka dawała mu się we znaki, czuł, że długo w tej pozycji nie ustoi. Ba, gdyby można porzucić tę drogę! Ale jeśli raz utraci ślad przejścia, nie odnajdzie go już w tej kilometrowej ścianie. Usiłował zobaczyć cokolwiek nad sobą. W ostrym skrócie płyta zdawała się obfitować we wcale przyzwoite chwyt, ale były to wklęsnięcia płytsze od dłoni; pozostawała tylko owa listewka. Kiedy wydobył stopę ze szczeliny, dźwigając się oburącz w górę, błysnęła mu myśl, że odwrotu już nie ma: skała od razu odepchnęła go, wisiał, końce butów oddaliły się od niej o jakichś trzydzieści centymetrów. W górę! Coś mignęło mu powyżej głowy. Rysa? Ale trzeba się było wyciągnąć. Jeszcze trochę! W następnej sekundzie utracił zdolność myślenia; trzeba było puścić lewą rękę, zawisnąć na końcach czterech palców prawej i sięgnąć lewą do rysy czy też pęknięcia niewiadomej głębokości. — Tego nie wolno było robić! — przemknęło mu, zupełnie bez

słów, kiedy z pękającymi omal mięśniami znalazł się nagle o dwa metry wyżej, przywierając do skały; chwycił gwałtownie powietrze, trochę na siebie zły; stał teraz obiema nogami na listewce i mógł wbić hak, nawet dwa, dla pewności, bo pierwszy wszedł dosyć płytko. Zrobił to, z przyjemnością wsłuchując się w czysty, coraz to wyższy dźwięk, który wreszcie ustał. Lina wskoczyła w karabinki, wiedział, że będzie musiał pomóc Massenie; nie była to czysta robota, ale też nie znajdowali się w Alpach; w każdym razie stanowisko miał zupełnie przyzwoite. Nad filarem był wąski, całkiem łatwy komin, w którym Pirx wziął krótki pręt czujnika w zęby, bo się bał, że uderzy nim, wystającym zza pasa, o skałę; wyżej barwa otoczenia zmieniła się.

Ściana nie była już czarniawa, z zaciekami brunatnej, jak gdyby bardzo starej szarości. Miejsce jej zajęła ruda, cętkowana buro czerwień słabo iskrzącego się z bliska diabazu. Kilkanaście dobrych metrów — ale ta droga królów zaraz się skończyła; nad sobą miał już nową przewieszkę, nie do pokonania z tak małą ilością haków, no i bez półeczki; Aniel nie miał jednak nic; sprawdził czujnikiem: nie poszedł tamtędy a więc? Pozostawał tylko trawers.

Kiedy sobie to obejrzał, zrazu nie wydała mu się rzecz specjalnie trudna czy groźna. Powracała tu jakby forma zgubionego w diabazach filaru; stał na wąskiej ale przyzwoitej półeczce, która dochodziła do załomu i kończyła się tam; wychyliwszy się zobaczył dalszy jej ciąg za wybrzuszeniem skały, jakies półtora me trą dalej — dwóch nie było na pewno. Należało zatem owinąć się ciałem wokół odpychającego wybrzuszenia i, tracąc oparcie dla prawej stopy, odepchnąć się lewą tak, by — poprzez powietrze — prawa trafić mogła na dalszy ciąg półki. Poszukał miejsca na wbicie haków; z asekuracją byłoby to niezbyt trudne. Ale złośliwa ściana była i tu bez najmniejszych rys; spój rżał w dół: ze stanowiska, które mógł zająć Massena asekuracja była kompletną fikcją. Odpadłszy, leciałby co najmniej piętnaście metrów; nawet porządnie wbite te haki mogło wyrwać szarpnięcie. A jednak czujnik mówił, że robot przeszedł — sam! — Co to znaczy, do stu diabłów?! — powiedział sobie. — Po drugiej strony jest półka! Jeden duży krok! Jazda, niedołego! — Ale stał dalej. Żeby choć dało się napiąć linę — gdzie tam! Wychylił się i patrzył przez sekundę na półkę, dłużej nie mógł — mięśnie zaczynały drżeć. Jeśli podeszwa nie chwyci? Aniel miał stalowe. Coś tam świeciło — topiący się lód. Ślisko jak wszyscy diabli. Należało wziąć ze sobą wibrany...

— I spisać testament — mruknął bezgłośnie, oczy zwięziły mu się, wzrok znieruchomiał, przygarbiony, rozpostarłszy ręce, szukając oparcia w samej szorstkości skały, przewinął się i zrobił ten krok, który go tyle kosztował. Kiedy znalazł się po drugiej stronie, nie poczuł nawet satysfakcji, bo zobaczył, jak się wpakował. Półka po tej stronie była niższa, więc, chcąc wracać, musiałoby się skoczyć w górę. I jeszcze z tym przewinięciem — to już nie była wspinaczka ani akrobacja nawet, ale diabli wiedzą co! Zjazd na linie? Bo jeśli nie...

Widział, że to zupełny klops, a jednak trawersował dalej, póki się dało. O sytuacji mówiło wystarczająco to, że zapomniał całkiem o Anieli; nie do niego mu było. Lina, wyciągnięta ponad cały jego trawers, chwiała się pod nim, lekko napięta i nadnaturalnie wyraźna, przesadnie bliska i konkretna, bo widoczna cały czas na tle osypiska, rozmazującego się w niebieskawym powietrzu u stóp ściany. Półka kończyła się i nie było z niej drogi ani w górę, ani w dół; odwrotu też nie. — Nie widziałem jeszcze czegoś tak gładkiego — pomyślał z jakimś osobliwym spokojem, który był jednak zupełnie inny od poprzedniego: albowiem gorzej nie mogło już być — więc zdenerwowanie stało się całkowicie zbędne. Rozejrzył się. Pod stopami miał czterocentymetrowy występ, a dalej nic — aż do niewyraźnej, ciemnej plamy komina, który zdawał się zapraszać do wnętrza; dzieliły go od niego cztery metry powietrza u ściany tak spoistej, tak lecącej, jak to tylko możliwe. — I to ma być granit?! — przemknęło mu w formie wyrzutu. Musiała tedy płynąć okresami woda — tak, jej ślady, od których płyta pociemniała, widział nawet, i poszczególne krople; wziął czujnik w prawą rękę i wodził nim, szukając śladu. Popiskiwało słabo. Był. Aniel przeszedł tędy. Ale jak? Naraz

zobaczył malutką plamkę szarego jak skała mchu. Zdrapał go. Malutka ryska nie większa od paznokcia. Hak nie chciał wejść głębiej niż do połowy, ale i to było zbawieniem. Szarpnął oczkiem — jak siedzi? Jakoś siedział. A więc — teraz lewą ręką za hak i powoli... Wychylony do połowy w powietrze ześliznął się jakoś oczami z komina, który kusił do skoku, wpółotwarty, zupełnie jakby stworzony przed wiekami dla tej jednej sekundowej chwili, która musiała nadejść; wzrok jego poleciał wtedy w dół jak kamień — aż dotarł do niebieskawej iskry na mżącym szaro rysunku osypiska. Decydujący krok nie został zrobiony.

— Co tam?! — rozległ się głos Masseny.

— Zaraz! Za chwilę! — odkrzyknął, przerzucając linę przez karabinek. Musiał tam zajrzeć, ale dokładniej. Znow wychylił się, zwiśł trzema czwartymi ciężaru na haku, zupełnie jakby usiłował wyrwać go ze ściany, ale musiał koniecznie popatrzeć w dół, sprawdzić...

Tak, to był on. Nic innego nie mogłoby tak błyszczeć — z takiej wysokości. Bo droga odchyliła się już dawno od pionu i znajdował się teraz ze trzysta metrów w bok od miejsca, w którym rozpoczęli wspinaczkę. Szukał jakichś wyraźniejszych znaków orientacyjnych tam, w dole. Lina ścisnęła go nieprzyjemnie, źle się oddychało i krew pulsowała w oczach. Jak mógł, zapamiętywał konfigurację terenu; ten wielki głaz — da się go poznać, chociaż teraz widoczny jest w pionowym skrócie. Mięśnie drżały mu, kiedy wrócił do pionu. — Trzeba będzie zjechać — powiedział sobie i jakoś całkiem bezmyślnie ujął hak, który wyszedł od razu, jakby siedział w maśle; dziwnie mu się zrobiło, ale schował go do kieszeni i zaczął rozważania, jak się stąd wydostać. Udało się to, chociaż nie bardzo czysto: Massena wbił, ile się dało, haków na swoim stanowisku, skrócił linę, a Pirx po prostu przeszorował z osiem metrów po płycie, aż zawisł; tuż niżej był inny kominek i odtąd zjeżdżali już na przemian; kiedy Massena spytał go o powód odwrotu, powiedział:

— Znalazłem go.

— Aniela?

— Tak. Odpadł. Leży tam, na dole.

Powrotna droga nie trwała ani godziny; Pirx bez żalu rozstawał się z hakami; owszem, było to szczególne uczucie — pomyśleć, że nigdy już nie postawi tu nogi, ani on, ani żaden inny człowiek, a w tej skale będą tkwiły kawałki żelaza, obrobionego na Ziemi, i że to będzie już na wieki — a właściwie na zawsze.

Krull podbiegł do nich, kiedy, stanąwszy równymi nogami na głazach, zrobili kilka niepewnych jeszcze kroków, jakby odwykli od normalnego chodzenia, i z daleka już zawołał, że znalazł porzucone nieco opodal odrzutowe olstra Aniela; robot musiał zdjąć je umyślnie, nim wszedł w ścianę, co było już pewnym dowodem jego aberracji, gdyż stanowiły — w razie upadku — jedyną szansę ocalenia.

Massena zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi na te rewelacje Krulla — nie krył się wcale z tym, ile kosztowała go ta droga; przeciwnie — z jakąś ostentacją usiadł na głazie, rozstawiwszy szeroko nogi, jakby się rozkoszował pewnością podstawy, i nad potrzebę wycierał chustką twarz, czoło i kark.

Pirx powiedział Krullowi, że Aniel spadł; po paru minutach poszli go szukać. Nie trwało długo, nim go znaleźli. Musiał lecieć co najmniej trzysta metrów. Pancierz tułowia rozprysnął się, metalowa czaszka też i jego monokrystaliczny mózg był miałkim szkliwem rozbryzniętym na wszystkie strony — świecił jak mika na białawych głazach. Krull nie okazał się, na szczęście, aż tak małostkowy, by dowodzić, że wspinali się całkiem niepotrzebnie. Powtórzył tylko, nie bez satysfakcji, że Aniel musiał się „rozprogramować” — pozostawione olstra są dowodem stuprocentowym. Massena był jakby odmieniony wspinaczką, ale nie na lepsze; nie próbował nawet oponować, a w ogóle wyglądało na to, że tym bardziej będzie zadowolony, im szybciej ekipa ulegnie rozwiązaniu i rozstaną się na dobre. Wracali więc w milczeniu, tym bardziej że Pirx nie uważał za wskazane dzielić się z towarzyszami własnym osądem wypadku. Był pewny, że Aniel nie uległ żadnemu defektowi,

że to, co się stało, nie miało nic wspólnego z jakimiś monokryształami czy mnestronami, bo czyż on, Pirx, uległ defektowi, że tak bardzo chciało mu się pokonać tę ścianę? Aniel był po prostu bardziej podobny do swych konstruktorów, niż oni gotowi byli przyznać. Kiedy wykonał swoje zadanie, zostało mu jeszcze sporo czasu do powrotu — był przecież taki sprawny i szybki. Nie tylko widział, ale pojmował otoczenie; był stworzony do rozwiązywania trudnych zadań, to znaczy do gry, a tam objawiła mu się nie byle jaka — iż najwyższą stawką. Pirx nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, gdy pomyślał o zaślepieniu Krulla i Masseny: to, że znaleźli odłożone rozmyślnie, odrzutowe olstra, wzięli za dowód — już zupełnie pewny — aberracji. Ale przecież każdy człowiek postąpiłby tak samo, w przeciwnym razie rzecz nie miała w ogóle sensu, stanowiąc szczególną odmianę gimnastyki. O, nie o to chodziło i żadne wywody, równania, żadne wykresy nie zdołałyby go już przekonać. Zdziwiło jedno tylko — że nie odpadł wcześniej, skoro szedł sam, bez umiejętności, bez treningu, skoro się na tym nie znał, bo nie budowano go przecież po to, by walczył ze skałami. Co by się stało, gdyby wrócił? Pirx znów, nie wiedzieć czemu, był pewny, że by się o tym nigdy nie dowiedzieli. Od Aniela na pewno nie. A w owym miejscu, skoro nie miał towarzysza ani haka, a może nawet nie wiedział o ich istnieniu, zaryzykował skok. Co wtedy myślał? Pewno nic, jak on sam. Czy dosięgnął, choć na mgnienie, brzegów komina? Jeśli tak, musiał tam pozostać ślad, szczypta radioaktywnych atomów, które będą się powoli rozkładały, aż wyparują i znikną.

Wiedział jeszcze jedno: że nikomu o tym nie powie. Każdy człowiek trzymałby się kurczowo hipotezy defektu, najprostszej i najbardziej naturalnej, jedynej, która nie zmieniała obrazu świata.

Do obozowiska doszli po południu. Ich wydłużone cienie poruszały się żwawo podczas pracy; pospiesznie składali barak, który zniknął całymi sekcjami, aż została po nim tylko udeptana, czworokątna pustka; obłoki przepływały, a Pirx przenosił skrzynie, zwijał płachty, robił to wszystko, co należało przedtem do Aniela — na tę myśl, gdy ją sobie, uświadomił, zatrzymał się, nim podał ciężar wyciągającemu ręce Massenie.

OPOWIADANIE PIRXA

— Książki fantastyczne? Lubię, owszem, ale tylko złe. To jest, nie tyle złe, ile nieprawdziwe. Na pokładzie zawsze mam coś takiego pod ręką, żeby poczytać w wolnej chwili, choćby i parę stron ze środka, a potem odłożyć. Z dobrymi zupełnie inna historia — czytam je wyłącznie na Ziemi. Dlaczego? Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem. Nie zastanawiałem się nad tym. Dobre książki są zawsze prawdziwe, nawet gdyby opisywały rzeczy, które nigdy nie wydarzyły się i nie wydarzą. Są prawdziwe w innym sensie — jeśli mówią, powiedzmy, o kosmonautyce, to tak, że poznaje się coś z tej ciszy, która jest zupełnie inna od ziemskiej, z tego spokoju, tak doskonale nieruchomego... Cokolwiek przedstawiają, mówią zawsze to samo, że człowiek, tam, nigdy nie będzie u siebie. Na Ziemi wszystko jest takie przypadkowe, byle jakie, drzewo, ściana, ogród, jedno można wymienić na drugie, za horyzontem jest inny horyzont, za górą — dolina, a tam jest całkiem inaczej. Na Ziemi nigdy nie przychodziło ludziom do głowy, jakie to okropne, że gwiazdy nie poruszają się; choćbyś leciał pełnym ciągiem przez rok, nie zauważysz zmiany. Latamy, jeździmy po Ziemi i wydaje się nam, że wiemy, co to — przestrzeń. Tego się nie da wyrazić. Pamiętam, raz, kiedy wracałem z patrolu, gdzieś pod Arbitrem słuchałem dalekich rozmów, ktoś kłócił się z kimś o pierwszeństwo lądowania i przypadkiem zobaczyłem inną wracającą raketę. Gość myślał, że jest sam. Ciskał swoją beczułką, jakby dostała ataku epileptycznego. Każdy z was wie, jak to jest — po paru dniach nachodzi człowieka taka szalona chęć, żeby coś zrobić, wszystko jedno co, dać pełny ciąg, pognać gdzieś, pokrećć na wielkim przyspieszeniu, żeby język wyszedł... Dawniej myślałem, że to jakieś nieprzyzwoite — człowiek nie powinien sobie tak folgować. Ale to jest w gruncie rzeczy tylko rozpacz, tylko chęć pokazania tego języka — kosmosowi. Bo on nie jest wymienny jak drzewo i chyba przez to właśnie tak ciężko dać sobie z nim radę. Otóż dobre książki o tym właśnie mówią. A ponieważ umierający nie lubią czytać o agonii, to i my wszyscy przecież po trochu bojąc się gwiazd nie chcemy, między nimi, słyszeć o nich prawdy. Pewno — dobre jest wtedy to, co odwraca uwagę, ale dla mnie przynajmniej najlepsze są właśnie te inne gwiazdowe historie, czytankowe, bo w nich wszystko, z całym kosmosem, staje się takie pocziwe... To pocziwość dla dorosłych, więc tam są katastrofy i morderstwa, i inne okropności, ale jednak pocziwe, niewinne, bo od początku do końca skłamane: próbują straszyć, a człowiek się tylko uśmiecha. To, co wam opowiem, jest taką historią. Zdarzyła mi się naprawdę. Mniejsza o to jednak. Było to w Roku Spokojnego Słońca. Jak zwykle w takim czasie odbywały się wielkie porządki dokoła — słoneczne, zmiatanie i wymiatanie mas żelastwa, kręcących się na wysokościach orbity Merkurego; przez sześć lat budowania wielkiej stacji w jego peryhelium porzucono w próżni kupę starych wraków, bo roboty prowadzono wówczas systemem Le Mansa i zamiast oddawać raketowe trupy na złom, używano ich jako rusztowań. Le Mans był lepszym ekonomistą niż inżynierem; wprawdzie stacja z wraków była trzy razy tańsza od zwykłej montowanej w przestrzeni, ale sprawiała taką masę kłopotów, że po Merkurym nikt się już do takich „oszczędności” nie brał. Wówczas jednak Le Mans wpadł na nową ideę — sprowadzenia tej trupiarni na Ziemię, bo po co ma kręcić się do dnia Sądu Ostatecznego, kiedy można ją przetopić w martenach? Ale żeby to było w ogóle opłacalne, musiał jako holowników użyć raket, niewiele lepszych od tych trupów. Byłem wtedy pilotem patroli z wylatanymi godzinami, to znaczy: byłem nim już tylko na papierze i każdego pierwszego, gdy brałem pensję. A latać chciało mi się tak, że zgodziłem się nawet na piec żelazny, byle miał choć trochę ciągu; nic dziwnego, że zgłosiłem się w brazylijskim biurze Le Mansa, ledwo przeczytałem jego ogłoszenie. Nie chciałbym twierdzić, że załogi, formowane przez Le Mansa, a właściwie przez jego agentów, były jakimś rodzajem Legii Cudzoziemskiej czy zbieraniną oprychów, bo tacy w ogóle nie latają. Ale ludzie rzadko kiedy idą teraz w kosmos

szukając przygód; nie ma ich tam, przynajmniej na ogół ich nie ma, i decydują się na to nieraz w skutek nieszczęścia albo tak jakoś, z przypadku; jest to najgorszy materiał, bo służba wymaga większej odporności niż morska i dla tych, którym jest wszystko jedno, na pokładzie nie ma miejsca. Nie bawię się w psychologię, chcę tylko wyjaśnić, czemu już po pierwszym rejsie straciłem połowę załogi. Musiałem zwolnić techników, bo rozpił mi ich telegrafista, mały Metys, który wymyślał najgenialniejsze sposoby przemycania alkoholu na pokład. Ten facet bawił się ze mną w chowanego. Wpuszczał plastikowe kieszki do kanistrów... A zresztą — mniejsza o to. Przypuszczam, że włożyłby whisky do reaktora, gdyby to tylko okazało się możliwe. Wyobrażam sobie, jakby takie historie oburzyły pionierów astronautyki. Nie pojmuję, czemu wierzyli w to, że samo wejście na orbitę zmienia człowieka w anioła. Może kołatało im w głowie, o czym sami nie wiedzieli, to niebieskie, rajskie niebo, które tak prędko kończy się podczas startu? Zresztą moje pretensje są głupie. Ten Meksykanin urodził się właściwie w Boliwii, dorabiał na boku, sprzedając marihuanę, a robił mi na złość, bo go to bawiło. Miałem gorszych od niego. Le Mans był wielkim człowiekiem, nie wchodził w szczegóły, ustalał tylko swoim agentom limity finansowe i nie dość, że załogi nie potrafiłem sobie skompletować, ale musiałem trząść się nad każdym kilowatem ciągu; żadnych gwałtownych manewrów, uranografy kontrolowali po każdym rejsie jak księgi finansowe, czy broń Boże gdzieś nie uciekło dziesięć dolarów, zamienionych w neutrony. Tego, co robiłem wtedy, nie uczono mnie nigdzie — być może, podobne rzeczy działy się sto lat temu na starych trampach, kursujących między Glasgow i Indiami. Zresztą nie skarżyłem się, a teraz wspominam to, wstyd powiedzieć, z rozrzewnieniem. Taka Perła Nocy — co za nazwa! Statek rozpadał się po trochu, żegluga polegała na szukaniu wszelkich możliwych przecieków i zwarć. Każdy start i lądowanie zachodziły wbrew prawom — nie tylko fizyki; zdaje się, że ten agent Le Mansa miał znajomości w porcie merkuryjskim, bo inaczej każdy inspektor kontroli natychmiast opieczętowałby wszystko, od sterów po stos. Więc wychodziliśmy sobie ma łowiska w perihelium, szukaliśmy radarem wraków, a potem ściągało się je i formowało „pociąg” — miałem tam wszystko na raz: awantury z technikami, wyrzucanie w próżnię wódki (jeszcze do dzisiaj krąży tam pełno London Dry Ginu) i piekielną matematykę, bo nawigacja polegała na wynajdywaniu przybliżonych rozwiązań problemu wielu ciał. Jednakże najczęściej, jak zawsze, było pustki. W przestrzeni i w czasie. Zamykałem się w kajucie i czytałem. Autora nie pamiętam, był to jakiś Amerykanin, w tytule było coś o piasku gwiazd, jakoś tam. Nie wiem, jaki był początek, bo zacząłem mniej więcej w połowie; bohater znajdował się w komorze reaktora i rozmawiał z pilotem przez telefon, kiedy rozległ się okrzyk: „Meteory z rufy!” Do tego momentu nie było ciężenia, aż nagle zobaczył, że ogromna skarpa reaktora, świecąca żółtymi oczami zegarów, najeżdża na niego z rosnącą chyżością; to silniki dały ciąg i statek skoczył, podczas kiedy on, wisząc w powietrzu, miał jeszcze poprzednią szybkość. Na szczęście odbił się jakoś nogami, ale akceleracja wyrwała mu z ręki słuchawkę; przez moment wisiał na sznurze telefonu; gdy upadł, rozplaszczony, ta słuchawka wahała się nad nim, a on robił nieludzkie wysiłki, żeby ją chwycić, ale rozumie się, ważył tonę i nie mógł palcem ruszyć, dopiero jakoś zębami ją złapał i wydał komendę, która ich uratowała. Tę scenę dobrze zapamiętałem, a jeszcze więcej podobał mi się opis przejścia przez rój. Obłok kurzawy powlókł, uważacie, trzecią część nieba, tylko najsilniejsze gwiazdy przebłyskiwały przez pyłową chmurę, ale to nic, bo w pewnej sekundzie bohater zobaczył w ekranach, że z tego tajfunu żółtego idzie blade świecąca smuga o czarnym jądrze — nie wiem, co to miało być, ale popłakałem się ze śmiechu. Jak on to sobie wszystko ślicznie wyobraził! Te chmury, tajfun, ta słuchawka — po prostu widziałem, jak facet dynda na sznurze telefonicznym, no bo to, że w kajucie czekała bardzo piękna kobieta, to się rozumiało samo przez się. Była ona tajnym agentem jakiejś tyranii kosmicznej — czy może walczyła z tą tyranią, już nie pamiętam. W każdym razie była piękna, jak należy. Czemu tak się rozwodzę nad tym? Bo ta lektura była moim zbawieniem. Meteory? Przecież ja wraków

po dwadzieścia, trzydzieści tysięcy ton szukałem tygodniami i połowy nawet nie zobaczyłem w radarze. Łatwiej można zobaczyć lecącą kulę rewolwerową. Musiałem raz wziąć za kołnierza mego Metysa, kiedy nie mieliśmy ciągu; to pewno trudniejsze niż ze słuchawką, bośmy sobie obaj fruwali, ale nie tak efektowne. Wygląda na to, że gładzę. Wiem. Historia jednak tak się właśnie rozwijała. Dwumiesięczne polowanie skończyło się, miałem na hoku sto dwadzieścia czy sto czterdzieści tysięcy ton martwego metalu i szedłem w płaszczyźnie ekliptyki na Ziemię.

Wbrew przepisom? Ależ tak. Nie miałem paliwa na manewry. Mówiłem przecież. Musiałem wlec się bez ciągu przeszło dwa miesiące. Wtedy przyszła katastrofa. Nie, nie meteory, to nie była przecież powieść. Mums. Najpierw technik stosu, potem obaj piloci naraz, potem reszta; spuchły im gęby, oczy jak szparki, wysoka gorączka, o wachtach nie było nawet mowy. Jakiegoś wściekłego wirusa przyniósł na pokład Ngey, Murzyn, który był na Perle Nocy kucharzem, stewardem, ochmistrem i czymś tam jeszcze. On też chorował, a jakże! Czy dzieci nie przechodzą świnki w Ameryce Południowej? Nie wiem. Dosyć, że miałem statek bez załogi. Zostali mi telegrafista z drugim inżynierem; telegrafista od rana, od śniadania, był już pijany. A właściwie nie pijany — czy miał taką mocną głowę, czy sączył po trochu, dosyć, że ruszał się całkiem nieźle i to zwłaszcza, kiedy nie było grawitacji (a nie było prawie cały czas, nie licząc drobnych poprawek kursowych), ale miał alkohol w oczach, w mózgu, każde zlecenie, każdy rozkaz trzeba było dokładnie kontrolować marzyłem o tym, jak go stłukę, kiedy wylądujemy, tam nie mogłem sobie na to pozwolić, zresztą — jak bić pijanego? Bez alkoholu był to typowy szczur, szary, zgaszony, nie domyty i miał miły zwyczaj przeklinania najokropniejszymi słowami upatrzonych osób — przy stole w messie — Morse. Tak nadawał sobie Morse, postukując palcem w stół i parę razy omal nie doszło przez to do bitek, bo przecież wszyscy rozumieli, a on, przyparty do muru, twierdził, że to jest taki tik. Z nerwów. Że to się samo robi. Kazałem mu trzymać łokcie przyciśnięte do ciała, nadawał wtedy nogą albo widelcem w pewnym sensie był artystą. Jedynym człowiekiem zupełnie zdrowym, normalnym, był inżynier. Tak, ale okazało się, wiecie, że on był inżynierem drogowym. Naprawdę. Podpisał kontrakt, bo zgodził się na pół stawki i agentowi to zupełnie wystarczało, a mnie nie przyszło do głowy egzaminować go, kiedy przyszedł na pokład. Agent spytał go tylko, czy zna się na konstrukcjach, na maszynach; powiedział, że tak, znał się przecież. Na drogowych. Kazałem mu pełnić wachty. Nie odróżniał planet od gwiazd. Teraz już wiecie mniej więcej, w jaki sposób Le Mans robił wielkie interesy. Co prawda i ja mogłem się okazać nawigatorem łodzi podwodnych, i gdybym mógł, może nawet bym takiego udawał. Zamknąłbym się w kajucie, ale nie mogłem. Agent nie był wariatem. Liczył, jeśli nie na moją lojalność, to na mój instynkt samozachowawczy. Chciałem wrócić, a ponieważ tych sto tysięcy ton nic w próżni nie ważyło i odczepienie ich nie zwiększyło naszej szybkości ani o milimetr na sekundę, nie byłem aż taki złośliwy, żeby to jednak zrobić. Bo i takie myśli chodziły mi po głowie, kiedy nosiłem rano od jednego do drugiego watek, olejek, bandaż, spirytus, aspirynę — całą moją przyjemnością była ta książka o miłości w próżni, wśród tajfunów meteorytowych. Przeczytałem niektóre ustępy po dziesięć razy. Były tam wszystkie możliwe rodzaje potwornych wydarzeń, mózgi elektryczne buntowały się, ajenci piratów mieli nadajniki wbudowane w czaszki, piękna kobieta pochodziła z innego systemu słonecznego, ale o mumsie nie znalazłem ani słowa. Tym lepiej dla mnie rzecz jasna. Miałem go dosyć. Zdawało mi się nawet chwilami, że kosmonautyki też.

W wolnych chwilach starałem się wysledzić, gdzie telegrafista ukrywa swoje zapasy. Nie wiem, może go przeceniłem, ale zdaje mi się, że naprawdę zdradzał niektóre miejsca rozmyślnie, kiedy się w nich wódka kończyła, po prostu po to, abym nie osłabł w mojej decyzji i nie machnął ręką na jego pijaństwo. Bo tego, gdzie miał swoje główne źródło, nie wiem do dziś. Może był już taki przesycony alkoholem, że podstawowy zapas nosił w sobie? Dosyć, że szukałem, łażąc po statku jak mucha po suficie, pływałem sobie po rufie, po

śródkręciu, jak to czasem zdarza się w snach, czułem się sam jak palec — całe bractwo leżało zapuchnięte w kajutach, inżynier tkwił w sterowni, ucząc się z lingwafonu francuskiego, było cicho jak na statku zadżumionych, czasem tylko przewodami wentylacyjnymi dochodził płacz albo śpiew. Tego boliwijskiego Meksykanina. Pod wieczór rozbierało go, odczuwał ból istnienia. Z gwiazdami miałem mało do czynienia, jeśli nie liczyć tej książki. Niektóre kawałki umiałem na pamięć, na szczęście wywietrzały mi już z głowy. Czekałem, kiedy się ten mums skończy, bo talie życie Robinsona na dłuższą metę zbytnio dawało się we znaki. Inżyniera drogowego unikałem, chociaż po swojemu był to nawet dość porządny chłop i przysięgał mi, że gdyby nie okropne tarapaty finansowe, w które wciągnęła go żona ze szwagrem, nigdy by umowy nie podpisał.

Był to jednak człowiek z gatunku tych, których nie znoszę — zwierających się bez żadnych ograniczeń i hamulców. Nie wiem, czy tylko do mnie czuł takie nadzwyczajne zaufanie — chyba nie, bo pewne rzeczy po prostu nie przechodzą ludziom przez usta, a on mógł mówić wszystko, aż się skręcałem — na całe szczęście Perła Nocy była wielka: dwadzieścia osiem tysięcy ton spoczynkowej, było się gdzie schować.

Domyślicie się pewno, że to był mój pierwszy i ostatni rejs dla Le Mansa. Od tego czasu nie dałem się już więcej aż tak nabrać, chociaż bywałem w rozmaitych tarapatkach. Nie opowiadałbym o tym, dość w końcu wstydliwym, fragmencie mojej biografii, gdyby nie wiązał się z tą drugą, nie istniejącą stroną kosmonautyki. Pamiętacie może uprzedzałem na wstępie, że to będzie prawie taka historia jak z tej książki.

Ostrzeżenie meteorytowe dostaliśmy na wysokości orbity Wenus, ale telegrafista spał czy po prostu nie odebrał go, dosyć, że dopiero na drugi dzień rano usłyszałem tę nowinę w wiadomościach nadawanych przez kosmologiczną stację Luni. Prawdę mówiąc, w pierwszej chwili wydało mi się to całkiem nieprawdopodobne. Drakonidy skończyły się już dawno, przestrzeń była czysta, roje chodzą w końcu regularnie, prawda, że Jowisz lubi robić perturbacyjne kawały, ale nie mógł być tym razem autorem żartu, bo radiant był zupełnie inny. Ostrzeżenie było zresztą tylko ósmego stopnia, pyłowe, gęstość chmury bardzo mała, procent odłamów większych znikomy, szerokość czoła co prawda znaczna kiedy popatrzyłem na mapę, zorientowałem się, że siedzimy już w tym tak zwanym roju od dobrej godziny, może i dwóch. Ekran były puste. Nie zaniepokoiłem się też specjalnie i jedyną rzeczą niezwykłą było dopiero drugie, południowe doniesienie: sondy zdalnie ustaliły bowiem, że chodzi o rój pozasystemowy!

Był to drugi taki rój od czasu powstania kosmologii. Meteory są szczątkami komet i chodzą sobie po wyciągniętych elipsach, uwiązane grawitacją do słońca, jak zabawki na nylonowych sznurach; rój pozasystemowy, to znaczy wchodzący w nasz układ z obszaru Wielkiej Galaktyki, jest sensacją, inna rzecz, że dla astrofizyków raczej niż dla pilotów. Jest, pewno, i dla nas różnica, choć niewielka na ogół: szybkości. Roje systemowe nie mogą mieć w okolicy Ziemi wielkich szybkości. Nie mogą posiadać szybkości większej niż paraboliczna lub eliptyczna. Natomiast wchodzący z zewnątrz systemu rój może mieć — i ma z reguły — hiperboliczną. Ale w praktyce wychodzi na jedno; podniecenie ogarnie więc meteorytologów i astrobalistyków, a nie nas.

Wiadomość o tym, że tkwimy w roju, nie zrobiła na telegrafście żadnego wrażenia; mówiłem o tym podczas obiadu — wyłączywszy, jak zwykle, silniki na mały ciąg; wyrabiały nam poprawkę kursową, a równocześnie ślad ciężenia ułatwiał życie. Nie trzeba było ssać zupy przez słomkę ani wciskać sobie przerobionej na pastę do zębów baraniny z tubki w usta. Zawsze byłem zwolennikiem normalnych, ludzkich posiłków.

Inżynier natomiast bardzo się przeraził. To, że mówiłem o roju jak o letnim deszczu, skłonny był uznać za dowód mego pomieszania. Łagodnie wyjaśniałem mu, że — po pierwsze — rój jest pyłowy i bardzo rozrzedzony, a szansa spotkania odłamków, które mogłyby uszkodzić statek, mniejsza niż szansa śmierci wskutek spadnięcia na głowę

zyrandola w teatrze; po drugie: i tak nie można nic zrobić, bo Perła jest niezdolna do manewrów mijania, po trzecie: kurs mamy, czystym trafem, niemal zbieżny z trajektoria roju, więc niebezpieczeństwo zderzenia zmniejsza się jeszcze o dalszych paręset razy.

Jakaś nie bardzo wydawał się przekonany, ale ja miałem już dość psychoterapii i wolałem skoncentrować się na telegrafistcie, to jest — odciąć go choć na parę godzin od jego źródeł, bo w roju był, w końcu, bardziej potrzebny niż poza nim. Najbardziej obawiałem się jednej tylko rzeczy wezwania S O S. Statków było w tej przestrzeni sporo, przekroczyliśmy już perymetr Wenery i w obszarze tym panował wcale znaczny ruch, nie tylko towarowy; siedziałem przy nadajniku, mając telegrafistę pod bokiem, do szóstej czasu pokładowego, więc przeszło cztery godziny, na biernym nasłuchu, szczęśliwie bez jakichkolwiek alarmów. Rój był tak rzadki, że trzeba się było dosłownie godzinami wpatrywać w ekrany radarowe, aby dostrzec jakieś mikroskopijne, najłabsze mrowienia — ale znów nie przysięgłbym, czy te zielone widemka nie były po prostu złudzeniem wzroku przemęczonego nieruchomą fiksacją. Tymczasem nie tylko radiant, ale cały tor owego hiperbolicznego roju, który był już nawet ochrzczony Kanopijskim (od gwiazd radiantu), obliczono na Lunie i na Ziemi, i wiadomo było, że nie dojdzie do orbity Ziemi, ale mijając ją bokiem opuści system z dala od wielkich planet, które akurat były w innej stronie i, jak się pojawił, zniknie w otchłaniach galaktyki, aby nigdy już do nas nie wrócić.

Inżynier drogowy, wciąż niespokojny, zaglądał do radiostacji, chociaż wyganiałem go stamtąd żądając, by pilnował sterów; rozumie się, było to czystą fikcją; najpierw nie mieliśmy ciągu, a bez ciągu nie ma sterowania, dalej on nie potrafił wykonać najbardziej elementarnego manewru, którego bym mu zresztą nigdy nie powierzył, ale chciałem go czymś zająć, a siebie uwolnić od nieustannych molestowań. Pragnął bowiem wiedzieć, czy przechodziłem już przez roje, ile razy, czy przeżyłem w związku z tym katastrofy, czy poważne, jakie są szanse ratunku w wypadku trafienia... Dałem mu zamiast odpowiedzi „Podstawy kosmologii i kosmodromii” Kraffta, książkę wziął, ale nawet jej, zdaje się, nie otworzył, łaknął bowiem zwierzeń, a nie suchych informacji. Wszystko to działo się, przypominam, na statku pozbawionym ciężenia; w okolicznościach takich ruchy osób, nawet trzeźwych, są dosyć goteskowo zmienione — trzeba zawsze pamiętać o jakimś pasie, przypięciu się, inaczej od naciśnięcia ołówka przy pisaniu można wyfrunąć pod sufit albo i nabić sobie guza. Telegrafista mój miał jednak inny system: nosił w kieszeniach masę rzeczy — jakichś ciężarków, skuwek, kluczy i kiedy znalazł się w opresji, zawisłszy nieruchomo między stropem, podłogą i ścianami, po prostu sięgał do spodni i ciskał pierwszym przedmiotem, który znalazł, aby łagodnie odplynać w „stronę przeciwną. Metoda ta jest niezawodna i każdorazowo potwierdza prawdziwość Newtonowskiej zasady akcji i reakcji, nie całkiem jednak dogodna, zwłaszcza dla innych, bo to, czym się rzuca, odbija się rykoszetami od ścian i nieraz uruchomiona tak latanina twardych i boleśnie mogących ugodzić przedmiotów trwa dość długo. Mówię o tym, aby uzupełnić jeszcze jednym odcieniem koloryt owej podróży.

W eterze panował tymczasem wzmożony tłok; wiele statków pasażerskich zmieniało, na wszelki wypadek i zgodnie z przepisami, trasy, Luna miała z nimi sporo roboty, automatyczne nadajniki, które nadają Morsem, obliczały w wielkich stacjonarnych kalkulatorach poprawki orbitalne i kursowe, pruły bez ustanku seriami sygnałów, zbyt przyspieszonych, aby można je odebrać na słuch. Poza tym i fonia była pełna głosów — pasażerowie za ciężkie pieniądze donosili strwożonym rodzinom, że mają się doskonale i nic im nie grozi, Luna astrofizyczna przekazywała bieżące doniesienia o strefach zagęszczeń roju, o wynikach spektralnych analiz jego składu, słowem — program był urozmaicony i człowiek nie nudził się zbytnio przy głośniku.

Moi kosmonauci ze świnką, którzy wiedzieli już, rozumie się, o chmurze hiperbolicznej, telefonowali często-gęsto do radiostacji, aż wyłączyłem ich aparaty, oświadczywszy, że niebezpieczeństwo, a w szczególności przebicie statku i utratę hermetyczności, rozpoznają

łatwo po braku powietrza.

Okolo jedenastej poszedłem zjeść coś do mesy; telegrafista, który na to tylko, zdaje się, czekał, znikł, jakby się rozpułnął, a ja byłem zbyt zmęczony, aby nie to, że szukać go, ale choć o nim myśleć. Inżynier skończył wachtę, był spokojniejszy i znów martwił się już głównie szwagrem, a odchodząc do siebie (ziewał jak wieloryb) powiedział mi, że lewy ekran radaru musi być chyba popsuty, bo w jednym miejscu iskrzy się w nim coś zielono. Z tymi słowami odszedł, ja zaś kończyłem zimną wołowinę z puszki — i nagle, z widelcem wbitym w nieapetycznie zastygły tłuszcz, skamieniałem.

Inżynier znalazł się na obrazach radarowych jak ja na asfalcie. Ten „zepsuty” ekran...

W następnej chwili gnałem do sterowni. Tak to się mówi, w rzeczywistości poruszałem się tylko tak szybko, jak to jest możliwe, kiedy całe przyspieszenie dają człowiekowi chwytaki rąk i odbijania się nogami od występów ścian lub stropu; sterownia, gdy się do niej wreszcie dostałem, była jakby wychłodła, światła pulpituów wygaszone, kontrolki stosu ledwo się żarzyły jak robaczki świętojańskie ze snu i tylko ekrany radarów pulsowały nieustannymi obrotami promieni wodzących; już od drzwi patrzyłem na lewy.

W dolnym prawym kwadracie jaśniał nieruchomy punkt, a właściwie — gdy podszedłem całkiem blisko — plamka wielkości monety, spłaszczona soczewkowato, doskonale regularna, fosforyzująca zielono, jak malutka, pozornie tylko nieruchoma rybka pustego oceanu; gdyby ją zobaczył normalny wachtowy, ale nie teraz, nie teraz, pół godziny przedtem, włączyłby automatyczny nadajnik pozycyjny, zawiadomiłby dowódcę, zażądałby od tamtego statku danych o kursie i przeznaczeniu, ale ja nie miałem wachtowych, było o pół godziny za późno, byłem sam, więc robiłem, dalibóg, wszystko naraz — wezwane do identyfikacji, pozycyjne, nadajnik, wzbudzanie stosu, aby mógł dać w każdej chwili ciąg (był zimny jak bardzo, ale to bardzo stary nieboszczyk) — bo minuty mijały, zdażyłem nawet uruchomić podręczny kalkulator półsamoczynny i okazało się, że tamten statek ma kurs prawie zbieżny z naszym, różnica wynosiła ułamek minuty, prawdopodobieństwo zderzenia, i tak w próżni niewyobrażalnie nikłe, równało się prawie zeru.

Tyle że statek milczał. Przesiadłem się na drugi fotel i zacząłem łyskać w niego Morsem z pokładowego lasera. Był za nami, w odległości około dziewięciuset kilometrów, więc niesłuchanie blisko, i widziałem się już, prawdę mówiąc, przed Trybunałem Kosmicznym (oczywiście, nie za „spowodowanie katastrofy” — po prostu za „naruszenie ósmego paragrafu Kodeksu Kosmologii przez NZ — Niebezpieczne Zbliżenie”). Myślę sobie, że nawet ślepi zobaczyliby moje świetlne sygnały. Statek ten w ogóle tylko dlatego tak uporczywie siedział mi w radarze i nie chciał się odzepić od Perły, a przeciwnie — z wolna się nawet do niej zbliżał, ponieważ właśnie miał zbliżony kurs. Były to prawie że równoległe tory; przesunął się w kwadracie już brzegowo, bo był szybszy. Na oko oceniłem jego szybkość na hiperboliczną; rzeczywiście, dwa namiary w odstępie dziesięciosekundowym wykazały, że robił dziewięćdziesiąt kilometrów na sekundę. Myśmy robili ledwo czterdzieści pięć!

Nie odpowiadał i zbliżał się; wyglądał już okazale, nawet zanadto okazale. Płonąca zielenią soczewka, widziana z loku, ostre wrzecionko... Spojrzałem na radarowy odległościomierz, bo coś zanadto mi urósł — czterysta kilometrów. Zamrugalem. Z takiej odległości każdy statek wygląda jak przecinek. — Ech, z tą Perłą Nocy! — pomyślałem. Wszystko tu jest nie tak. — Przerzuciłem obraz na mały radar podręczny z kierunkową anteną. Był taki sam. Zgłupiałem. Może to — przemknęło mi nagle — też taki „pociąg Le Mansa” jak ten, którego ja jestem maszynistą? Tak ze czterdzieści wraków, jeden za drugim, stąd te rozmiary... Ale dlaczego taki wrzecionowaty?

Radaroskopy pracowały, odległościomierz samoczynny stukał i stukał: trzysta kilometrów. Dwieście sześćdziesiąt. Dwieście...

Zacząłem na Herrelsbergerze jeszcze raz obliczać kursy, bo mi to pachniało zbyt bliskim

przejściem. Wiadomo, że od czasu kiedy na morzu zaczęto stosować radar, wszyscy poczuli się bezpieczni, a okręty toną dalej. Wyszło mu powtórnie, że tamten przejdzie mi przed dziobem w odległości jakichś trzydziestu — czterdziestu kilometrów. Sprawdziłem oba nadajniki — automat wzywający radiem i laserowy. Działały, ale obcy milczał.

Do tej chwili miałem wciąż jeszcze nieczyste sumienie: leciałem przecież jakiś czas na ślepo, kiedy inżynier opowiadał mi o swoim szwagrze i życzył dobrej nocy, a ja zajmowałem się wołowiną, bo nie miałem ludzi i robiłem wszystko sam — teraz jednak jakby łuski spadły mi z oczu. Napęczniony świętym oburzeniem, prawdziwego winowajcę widziałem już w owym głuchym, milczącym statku, który walił hiperboliczną przez sektor i nie raczył nawet odpowiedzieć na bezpośrednie wezwanie przynaglające!

Włączyłem fonię i zacząłem go wzywać. Żądałem różnych rzeczy — żeby zapalił sygnały pozycyjne i wyrzucił filary, żeby się zidentyfikował, żeby podał nazwę, miejsce przeznaczenia, armatora, wszystko, rozumie się umownymi skrótami; a on leciał sobie spokojnie, cichy, o włos nie zmieniając ani szybkości, ani kursu, i miałem go już na osiemdziesięciu kilometrach.

Dotąd był trochę z bakburty, ale coraz wyraźniej mnie wyprzedzał, wszak robił w sekundzie dwa razy więcej niż ja; i wiedziałem, że wskutek nieuwzględnienia przez kalkulator całej poprawki kątowej odległość mijania będzie mniejsza od obliczonej o parę kilometrów. Poniżej trzydziestu na pewno, a kto wie, czy nie ze dwadzieścia. Powinienem był hamować, bo do takich zbliżeń dopuszczać nie wolno, ale nie mogłem. Miałem za sobą tylko sto z czymś tysięcy ton cmentarzyska rakiet; musiałbym pierwej odczepić wszystkie gruchoty. Sam nie dałbym rady, załogę miałem zajętą mumsem, o hamowaniu nie było zatem mowy. Przydać się tu mogły raczej wiadomości z filozofii aniżeli z kosmodromii: stoicyzm, fatalizm, ewentualnie nawet, w razie gdyby błąd kalkulatora był nieprawdopodobnie wielki, coś z eschatologii.

Przy dwudziestu dwóch kilometrach odległości tamten statek wyraźnie już zaczął wyprzedzać Perłę. Wiedziałem, że odległość będzie odtąd rosła, więc wszystko było tylko niby w porządku; cały czas patrzyłem do tej chwili tylko na odległościomierz, bo był najważniejszy i dopiero teraz ponownie spojrzałem na radaroskop.

To nie był statek, ale wyspa latająca, nie wiem zresztą co. Był wielki, z dwudziestu kilometrów jak moje dwa palce — idealnie regularne wrzeciono zmieniło się w dysk, nie w obręczkę!

Rzecz jasna, od dawna już myślicie sobie, że to był statek „innych”. No, bo skoro miał dziesięć mil długości... Tak to się mówi, ale któż wierzy w statki „innych”? Pierwszym moim impulsem było gonić go. Doprawdy! Chwyciłem dźwignię głównego ciągu — ale jej nie ruszyłem. Miałem za rufą wraki na holu; to było na nic. Skoczyłem z fotela i wąskim szybem dostałem się do nadbudowanej nad sterownią, małej, wpasowanej w pancierz zewnętrzny kajuty astronomicznej. Było tam, nawet pod ręką, wszystko, czego potrzebowałem: luneta i flary. Wystrzeliłem trzy, jedną za drugą, jak szybko mogłem, w przybliżonym kierunku tego statku i kiedy pierwsza rozbłysła, zacząłem go szukać. Był wielki jak wyspa, ale nie od razu go znalazłem. Blask flary, która wskoczyła w pole widzenia, oślepił mnie do tego na parę sekund, musiałem cierpliwie czekać, aż przejrzę. Druga flara zapaliła się daleko z boku, nic z niej nie miałem, trzecia wyżej. W jej nieruchomym świetle, bardzo białym, zobaczyłem go.

Nie widziałem go dłużej niż pięć, może sześć sekund, bo flara nagle, jak to z nimi czasem bywa, wybuchnęła mocniej i zgasła. Ale w owych paru sekundach zobaczyłem przez mocne, osiemdziesięciokrotne szkła, z wysoka, dosyć słabo, widmowa, lecz wyraźnie oświetlony ciemny kształt metalu; patrzyłem nań jakby z kilkusetmetrowej odległości. Ledwo mieścił się w polu widzenia; w samym środku wyraźnie tliło kilka gwiazd, jakby tam był przezroczysty jakby to był ulany z ciemnej stali, lecący w przestrzeni, pusty w środku tunel; ale zdołałem dostrzec wyraźniej, w tym ostatnim rozbłysku flary, że to jest rodzaj spłaszczzonego walca,

którego modelem byłaby bardzo gruba opona patrzeć mogłem na przestrzał przez puste centrum, chociaż nie leżało w osi spojrzenia; ten kolos był pochylony pod kątem do linii wzroku — jak szklanka, którą się lekko nachyli, aby wylać z niej powoli płyn.

Rzecz jasna, wcale nie rozpamiętywałem owego widoku. tylko wystrzeliłem następne flary; dwie nie wypaliły, trzecia była za krótka, czwarta i piąta ukazały mi go po raz ostatni. Teraz bowiem, przeciąwszy linię kursową Perły, oddalał się coraz szybciej; był o sto, o dwieście, o trzysta kilometrów — wizualna obserwacja nie była możliwa.

Wróciłem natychmiast do sterowni, aby porządnie ustalić elementy jego ruchu; zamierzałem, kiedy to zrobię, rozpocząć alarm na wszystkich pasmach, jakiego kosmolocja nie pamięta; wyobrażałem już sobie, jak nakreślonym przeze mnie torem pójda sfory rakiet, żeby dopaść tego gościa z głębin.

Byłem właściwie pewny, że stanowił część hiperbolicznego roju. Oko bywa w pewnych okolicznościach podobne do kamery fotograficznej i obraz, oświetlony mocno, choć na ułamek sekundy, można jeszcze dobrą chwilę po jego zniknięciu nie tylko rozpamiętywać, lecz analizować wcale szczegółowo, prawie tak, jakby aktualnie trwał nadal przed nami. A ja zobaczyłem w tym agonalnym rozbłysku flary powierzchnię olbrzyma; jego milowe pobocznicze nie były gładkie. lecz zryte, nieomal jak grunt księżycowy, światło rozciekło się po chropowatościach, gruzłach, kraterowatych wgłębieniach — miliony lat musiał już tak lecieć, wchodził, ciemny i martwy, w mgławice pyłowe, wychodził z nich po wiekach, a meteorytowy kurz w dziesiątkach tysięcy zderzeń żarł go i nadgryzał próżniową erozją. Nie umiem powiedzieć, skąd brała się we mnie ta pewność, ale wiedziałem, że nie ma w nim nikogo żywego, że to jest już miliardoletni wrak i nie istnieje może nawet cywilizacja, która go wydała!

A kiedy o tym wszystkim myślałem, równocześnie po raz czwarty, piąty, szósty, dla zupełnej już dokładności, na wszelki wypadek, obliczałem elementy jego ruchu i każdy rezultat uderzeniem klawisza posyłałem w głąb układu zapisującego, bo szkoda mi było nawet sekundy, bo był już tylko przecinkiem zielonkawej fosforyzacji na ekranach i jarzył się, jak spokojny świetlik, w brzeźnym sektorze prawego o dwa tysiące, o trzy tysiące, o sześć tysięcy kilometrów.

Kiedy skończyłem, znikł. Cóż mi to jednak szkodziło? Był martwy, niezdolny do manewru, więc nie mógł nigdzie uciec, ukryć się: leciał wprawdzie z hiperboliczną, ale mógł go z łatwością dogonić każdy statek o reaktorze dużej mocy, a mając tak precyzyjnie obliczone elementy ruchu...

Otworzyłem kasetę aparatu zapisującego, żeby wyjąć papierową taśmę i pójść z nią do radiostacji — i wtedy, jakby we mnie grom uderzył, zastygłem, ogłupiał nagle, zdruzgotany...

Metalowy bęben był pusty; taśma dawno się już, może przed godzinami, może przed dniami, skończyła, nikt nie założył nowej i posyłałem wszystkie rezultaty obliczeń donikąd; przepadły co do jedyne; nie było ani statku, ani jego śladu, nic...

Rzuciłem się do ekranów, potem, doprawdy, chciałem odczepić ten mój przeklęty balast, porzucić owe dobra Le Mansa i puścić się — dokąd? Sam dobrze nie wiedziałem. Zapewne, kierunek... Mniej więcej na gwiazdozbiór Wodnika, ale cóż to był za cel! Może jednak? Gdybym podał przez radio sektor, w przybliżeniu, oraz szybkość...

Należała to zrobić. Było to moim obowiązkiem, pierwszym ze wszystkich, jeśli w ogóle jakieś jeszcze miałem.

Pojechałem windą na śródokręcie, do radiostacji, i ustalałem już kolejność działań: sygnał wzywający do Luny Głównej z żądaniem prawa pierwszeństwa dla następnych moich komunikatów, gdyż chodzi o informacje największej wagi; takich nie będzie odbierał automat, ale prawdopodobnie dyżurny koordynator Luny; złożę meldunek o dostrzeżeniu obcego statku, który przeciął mój kurs z szybkością hiperboliczną i stanowił prawdopodobnie

część galaktycznego roju. Zażąda natychmiast podania elementów jego ruchu. Będę musiał powiedzieć, że obliczyłem je wprawdzie, ale ich nie mam, bo magazynek taśmowy aparatu był, wskutek zaniedbania, pusty. Wówczas zażąda, abym padał „fix” pilota, który zaobserwował, jako pierwszy, ów statek. Ale i takiego „fixu” nie ma, bo wachtę pełnił inżynier, z wykształcenia drogowiec, a nie kosmonauta; z kolei — jeśli to już nie wyda mu się podejrzane — zapyta, czemu nie poleciłem, w trakcie dokonywania pomiarów, przekazać na bieżąco danych memu radiowcowi; więc będę zmuszony wyjaśnić, że telegrafista nie pełnił służby, bo był pijany. Jeśli zechce jeszcze w ogóle i wtedy prowadzić ze mną rozmowę o takich sprawach przez tych trzysta sześćdziesiąt osiem milionów kilometrów, które nas dzielą, zapragnie dowiedzieć się, czemu nie pełnił służby któryś z pilotów jako zastępca telegrafisty; wtedy odpowiem, że cała załoga ma świnkę i leży w gorączce. Jeśliby do tej chwili żywił jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, upewni się, że człowiek, który w środku nocy alarmuje go wiadomościami o statku „innych”, jest albo nie przy zdrowych zmysłach, albo pijany. Spyta, czy utrwalilem wizerunek statku w jakikolwiek sposób — fotografując go w świetle flar, zapisując dane radarowe na ferrotaśmie albo przynajmniej notując wszystkie kolejne wezwania, z jakimi zwracałem się do niego przez radio. Ale nie mam nic, nic, ponieważ zbyt szybko się spieszyłem, nie uważałem, aby jakieś fotografie były potrzebne, skoro niebawem ziemskie statki dościgną niezwykle cel i wszystkie urządzenia zapisujące były wyłączone. Zrobi wtedy to, co ja uczyniłbym na jego miejscu — każe mi się wyłączyć i zapyta wszystkie statki mojego sektora, czy któryś nie dostrzegł nic podejrzanego. Otóż żaden statek nie mógł zobaczyć galaktycznego gościa. Byłem tego pewny. Spotkałem go tylko dlatego, że leciałem w płaszczyźnie ekliptyki, choć jest to najsurowiej uzbrojone, zawsze bowiem krąży w niej pył i resztki zmielonych przez czas meteorów czy kometowych ogonów. Przekroczyłem ten zakaz, bo inaczej nie wystarczyłoby mi paliwa dla manewrów, mających wzbogacić Le Mansa o sto czterdzieści tysięcy ton złomu raketowego. Należało od razu uprzedzić koordynatora Luny, że spotkanie nastąpiło w strefie zakazanej, co pociągnęłoby za sobą nieprzyjemną rozmowę w Komisji Dyscyplinarnej przy Trybunale Kosmicznej Żeglugi. Zalewne, odkrycie tego statku warte było czegoś więcej niż upomnienia Komisji, a może i kary, ale tylko pod warunkiem, że się go rzeczywiście dosięgnie. Otóż to wyglądało mi na rzecz beznadziejną. Musiałem mianowicie zażądać, aby w obszar podwójnego zagrożenia, bo w strefę ekliptyki, i do tego jeszcze nawiedzoną przez hiperboliczny rój, rzucono całą flotyllę statków na poszukiwania. Koordynator Luny, gdyby nawet chciał, nie miał prawa tego uczynić; a gdybym się na głowie postawił i do rana wzywał COSNAV ziemski i Międzynarodową Komisję do Spraw Badania Przestrzeni, i diabli wiedzą, kogo jeszcze, rozpoczęłyby się obrady i posiedzenia, za czym, gdyby szły błyskawicznie, już po jakichś trzech tygodniach zapadłaby decyzja. Ale — jak to obliczyłem jeszcze w windzie, bo doprawdy tej nocy myślało mi się bardzo szybko — ów statek będzie się wówczas znajdował w odległości stu dziewięćdziesięciu milionów kilometrów od miejsca spotkania, więc poza Słońcem, które minie dostatecznie blisko, aby odchyliło jego trajektorię, i przestrzeń, w której przyjdzie go szukać, będzie liczyła ponad dziesięć miliardów kilometrów sześciennych. Być może — dwadzieścia.

Tak to się przedstawiało, kiedy dotarłem do radiostacji. Siadłem tam i próbowałem jeszcze ocenić szacunkowo, jakie są szanse dostrzeżenia statku przez wielki radioteleskop Luny, najpotężniejszą jednostkę radioastronomiczną całego układu. Ale Ziemia z Księżycem znajdowała się akurat po przeciwnej stronie orbity w stosunku do mnie, więc i do tego statku. Radioteleskop był potężny, ale nie aż tak potężny, aby z odległości czterystu milionów kilometrów dostrzec kilkumetrowe ciało. I to był koniec całej tej historii. Podarłem kartki z obliczeniami, wstałem i cicho poszedłem do kajuty z uczuciem, że popełniłem zbrodnię. Mieliśmy gościa z kosmosu, odwiedziny, zdarzające się — bo ja wiem? raz na miliony, nie — na setki milionów lat. I przez mumsa, Le Mansa, jego wraki, pijanego Metysa, inżyniera z

jego szwagrem i moje niedbalstwo — przeszedł nam przez palce, aby rozpuścić się, jak duch, w nieskończonej przestrzeni. Od tej nocy żyłem w jakimś dziwnym napięciu przez dwanaście tygodni — w tym czasie bowiem martwy statek musiał wejść w obszar wielkich planet i tym samym zostać stracony dla nas już na zawsze. Nie opuszczałem, jeśli to było możliwe, radiostacji, żywiąc coraz słabszą nadzieję, że jednak ktoś go dostrzeże, ktoś przytomniejszy ode mnie albo po prostu bardziej szczęśliwy, ale nic takiego się nie stało. Rozumie się, nikomu o tym nie mówiłem. Ludzkości nieczęsto trafiają się takie okazje. Poczuję się do winy nie tylko wobec niej — ale i wobec owej drugiej; i nie czeka mnie nawet herostratesowa sława, bo teraz, po tylu latach, nikt mi już, na szczęście, nie uwierzy. Zresztą i ja sam miewam czasami wątpliwości: być może, nie zdarzyło mi się nic — prócz zimnej, ciężkostrawnej wołowiny.

ROZPRAWA

— Świadek Shennan Ouine?

— To ja, panie komandorze.

— Jest pan świadkiem w postępowaniu toczącym się przed Trybunałem Izby Kosmicznej, któremu przewodniczę. Zwracając się do mnie, proszę używać tytułu przewodniczącego, a członków Trybunału nazywać sędziami. Na pytania Trybunału winien pan odpowiadać niezwłocznie, natomiast na pytania oskarżenia i obrony tylko po uprzednim zezwoleniu Trybunału. W zeznaniach może się pan opierać wyłącznie na tym, co pan widział i wie z własnego doświadczenia, ale nie na tym, co pan słyszał od osób trzecich. Czy świadek zrozumiał pouczenie?

— Tak, panie przewodniczący.

— Nazwisko i imię świadka brzmi Shennan Ouine?

— Tak.

— Jako członek załogi „Goliata” używał pan jednak innego nazwiska?

— Tak, panie przewodniczący: to było jednym z warunków umowy, jaką zawarli ze mną armatorzy.

— Świadek znał powody, dla których nadano mu pseudonim?

— Znałem je, panie przewodniczący.

Świadek brał udział w locie okrężnym „Goliata”, okresie od siedemnastego do trzydziestego października bieżącego roku?

— Tak, panie przewodniczący.

— Jakie funkcje pełnił świadek na pokładzie?

— Byłem drugim pilotem.

— Proszę opowiedzieć Trybunałowi, co zaszło na pokładzie „Goliata” w dniu dwudziestym pierwszym października podczas wspomnianego rejsu, poczynając od ustaleń dotyczących położenia statku i postawionych mu zadań.

— O ósmej trzydzięci czasu pokładowego przecięliśmy perymetr satelitów Saturna z szybkością hiperboliczną i zaczęliśmy hamowanie, które trwało do jedenastej. Wytraciliśmy w tym czasie hiperboliczną i przy podwójnej okrężnej zerowej rozpoczęliśmy manewr wchodzenia na orbitę kołową, aby naprowadzać z niej sztuczne satelity na płaszczyznę pierścienia.

— Przez podwójną zerową świadek rozumie szybkość pięćdziesięciu dwu kilometrów na sekundę?

— Tak, panie przewodniczący. O jedenastej skończyłem moją wachtę, ale ponieważ manewrowanie wobec trwałych zakłóceń wymagało ciągłych poprawek kursowych, zamieniłem się tylko miejscem z pierwszym pilotem, który odtąd prowadził, a ja pracowałem jako nawigator.

— Kto kazał panu tak postąpić?

— Dowódca, panie sędzio. Była to zresztą procedura normalna w takich okolicznościach. Zadaniem naszym było podejść możliwie blisko na bezpieczną jeszcze odległość do granicy Roche’a w płaszczyźnie pierścienia i stamtąd, z orbity praktycznie kołowej, wyrzucić kolejno trzy sondy automatyczne, które mieliśmy naprowadzić zdalnie drogą radiową w obręb strefy Roche’a. Jedna sonda miała być umieszczona wewnątrz szczeliny Cassiniego, to znaczy w przestrzeni oddzielającej wewnętrzny pierścień Saturna od zewnętrznego, a dwie pozostałe były przeznaczone do kontrolowania jej. ruchów. Czy mam to objaśnić dokładniej?

— Proszę to zrobić.

— Słuchani, panie przewodniczący. Każdy z pierścieni Saturna składa się z drobnych ciał meteoropodobnych, a rozdziela je szczelina o szerokości mniej więcej czterech tysięcy

kilometrów. Sztuczny satelita, umieszczony wewnątrz szczeliny i obiegający planetę po kołowej orbicie, miał dostarczać informacji o zakłóceniach grawitacyjnego pola oraz o wewnętrznych ruchach wzajemnych ciał, z których składają się pierścienie. Jednakże satelita taki zostałby w krótkim czasie wypchnięty perturbacjami z owej pustej przestrzeni albo w obręb pierścienia wewnętrznego, albo zewnętrznego, i naturalnie strzaskany jak we młynie.

Aby do tego nie dopuścić, mieliśmy użyć specjalnych satelitów, posiadających własny napęd w postaci silników jonowych o względnie małym ciągu, rzędu jednej czwartej do jednej piątej tony, przy czym dwa satelity—”stróż” winny były dzięki radarowym czujnikom baczyć na to, żeby ten, który krąży wewnątrz szczeliny, nie opuszczał jej. Posiadając na pokładach kalkulatory, miały one obliczać odpowiednie poprawki dla owego satelity i uruchamiać należycie jego silniki, przez co spodziewano się, że satelita będzie mógł pracować tak długo, jak długo będzie miał ciąg, więc około dwu miesięcy.

— W jakim celu mieliście umieścić aż dwa satelity kontroli? Czy świadek nie uważa, że wystarczyłby jeden?

— Na pewno wystarczyłby jeden, panie sędzio. Drugi „stróż” był po prostu rezerwą na wypadek, gdyby pierwszy zawiódł bądź uległ zniszczeniu w kolizji meteorytowej. Z Ziemi, obserwowana astronomicznie, przestrzeń okołosaturnowa wydaje się poza pierścieniami i księżycami pusta, ale w rzeczywistości jest porządnie zaśmiecona. Wymijanie drobnych ciał jest oczywiście w takich warunkach niemożliwe. Właśnie dlatego było naszym zadaniem utrzymywać szybkość kołową orbitalną, ponieważ praktycznie wszystkie okruchy krążą w przyrównikowej płaszczyźnie Saturna z jego pierwszą kosmiczną szybkością. Zmniejszyło to szanse zderzenia do rozsądnego minimum. Mieliśmy poza tym na pokładzie ochronę przeciwmeteorytową pod postacią ekranów do wystrzelania: ekrany można było albo wystrzelić ze stanowiska pilota, albo też mógł to samo zrobić odpowiedni automat, sprzężony z radarem własnym statku.

— Czy świadek uważał zadanie za trudne bądź niebezpieczne?

— Nie było ani specjalnie niebezpieczne, ani szczególnie trudne, panie sędzio, przy założeniu, że wszystkie manewry zostaną wykonane sprawnie i bez zakłóceń. Saturn, z jego pobliżem, uchodzi wśród nas za śmietnik gorszy od Jowiszowego, ale za to przyspieszenia, które trzeba rozwijać przy manewrach, są daleko mniejsze niż w perymetrach Jowisza, i to daje znaczne plusy.

— Kogo świadek miał na myśli, mówiąc „wśród nas”?

— Pilotów, panie sędzio, no i nawigatorów.

— Jednym słowem — kosmonautów?

— Tak, panie sędzio. Gdy dochodziła dwunasta czasu pokładowego, doszliśmy praktycznie do zewnętrznej granicy pierścienia.

— W jego płaszczyźnie?

— Tak. Na odległość około tysiąca kilometrów. Czujniki wskazywały już tam znaczne zapylenie. Mieliśmy około czterystu mikrozderzeń pyłowych na minutę. Zgodnie z programem weszliśmy w strefę Roche’a ponad pierścieniem i z orbity kołowej, która była praktycznie równoległa do szczeliny Cassiniego, zaczęliśmy wyrzucać sondy. Pierwszą wystrzeliliśmy o piętnastej czasu pokładowego i naprowadziliśmy ją impulsem radarowym w obręb samej szczeliny. To właśnie było moim zadaniem. Pilot pomagał mi, utrzymując minimalny ciąg. Dzięki temu krążyliśmy praktycznie z taką samą szybkością jak pierścienie, Calder manewrował bardzo zręcznie. Ciąg dawał tylko taki, który pozwala prawidłowo zorientować statek — dziobem do przodu, bo bez ciągu wchodzi się od razu w koziółkowanie.

— Kto znajdował się w sterowni oprócz świadka i pierwszego pilota?

— Wszyscy. Cała załoga, panie sędzio. Dowódca siedział między mną i Calderem, bardziej po jego stronie, bo tak ustawił sobie fotel. Za mną był inżynier z elektronikiem.

Doktor Burns siedział, zdaje się, za dowódcą.

— Świadek nie jest tego pewny?

— Nie zwróciłem na to uwagi. Byłem przez cały czas zajęty, a zresztą z fotela trudno patrzeć w tył. Oparcie jest zbyt wysokie.

— Sonda została wprowadzona w szczelinę wizualnie?

— Nie tylko wizualnie, panie sędzio. Miałem z nią trwałą łączność telewizyjną. Pomagałem też sobie radarowym altimetrem. Obliczywszy dane jej orbity stwierdziłem, że siedzi dobrze — mniej więcej pośrodku pustej przestrzeni międzypierścieniowej — i powiedziałem Calderowi, że jestem gotów.

— Że świadek jest gotów?

— Tak, do naprowadzenia następnej sondy. Calder uruchomił łapę, kłapa otworzyła się, ale sonda nie wyszła.

— Co pan nazywa „łapą”?

— Tłok poruszany hydraulicznie, który wypycha sondę z zewnętrznej wyrzutni po otwarciu kłapy. Mieliśmy na rufie trzy takie wyrzutnie i należało trzykrotnie powtórzyć ten sam manewr.

— Więc drugi z kolei satelita nie opuścił statku?

— Nie, utkwiał w wyrzutni.

— Proszę dokładnie przedstawić, jak do tego doszło.

— Kolejność operacji była następująca: najpierw otwiera się kłapę zewnętrzną, potem uruchamia się hydraulikę, a gdy wskaźnik daje znać, że satelita wychodzi, włącza się jego automat startowy. Automat daje zapłon po stu sekundach opóźnienia, więc zawsze jest dosyć czasu, żeby go wyłączyć, gdyby doszło do awarii. Automat uruchamia mały booster na paliwo stałe i satelita odchodzi własnym ciągiem od statku, piętnastosekundowym ciągiem rzędu tony. Chodzi o to, żeby oddalił się od macierzystego statku możliwie szybko. Kiedy booster się wypala, automatycznie włączeniu ulega silnik jonowy, znajdujący się pod zdalną kontrolą nawigatora. W tym wypadku Calder włączył już automat rozruchu, bo satelita zaczął się wysuwać, a kiedy nagle stanął, próbował automat wyłączyć, ale mu się to nie udało.

— Świadek jest pewien tego, że pierwszy pilot usiłował wyłączyć startowy automat sondy?

— Tak, mocował się z rękojeścią, która zeskoczyła wstecz, ale nie wiem, czemu ładunek mimo to odpalił. Calder krzyknął: „Blok!” — to słyszałem.

— Krzyknął: „Blok!”?

— Tak, coś się tam zablokowało. Było jeszcze około pół minuty do odpalenia boostera, więc starał się ponownie wypchnąć sondę, zwiększając ciśnienie, manometry wskazywały maksimum, ale siedziała jak wklinowana. Wtedy cofnął tłok i uruchomił go ponownie, wszyscy czuliśmy, jak uderzył w sondę, bo to było prawie jak uderzenie młotem.

— Usiłował w ten sposób wypchnąć sondę?

— Tak, panie sędzio; należało się liczyć z jej ewentualnym zniszczeniem, bo nie zwiększył nacisku stopniowo, ale dał od razu pełne ciśnienie w przewody, co zresztą było zupełnie rozsądne, biorąc pod uwagę to, że mieliśmy zapasową sondę, ale nie mieliśmy zapasowego statku.

— Czy to miał być dowcip? Świadek zechce się powstrzymać od takiego okraszania zeznań.

— Tak więc tłok uderzył, ale sonda nie wyszła, a że czas mijał, krzyknąłem „Pasy!” — i zapiąłem się na całą moc. Oprócz mnie krzyknęło to co najmniej dwu ludzi, jednym z nich był dowódca, poznałem go po głosie.

— Proszę wyjaśnić Trybunałowi, czemu świadek postąpił w ten sposób.

— Byliśmy na orbicie kołowej, nad pierścieniem A, więc szliśmy praktycznie bez ciągu. Wiedziałem, że kiedy booster odpali, a odpalić musiał, bo starter już działał, dostaniemy

boczny odrzut i statek zacznie koziółkować. Zaklinowała się sonda sterburty, zwróconej ku Saturnowi. Musiała więc działać jako boczny deflektor. Oczekiwałem koziółków i siły odśrodkowej, którą pilot będzie zmuszony gasić własnym ciągiem przeciwnym statku. W takim położeniu nie dałoby się z góry przewidzieć wszystkich ewolucji, do jakich mogło dojść. Trzeba było w każdym razie być porządnie zapiętym.

— Więc świadek podczas wachty, pełniąc u sterów funkcje nawigatora, miał rozpięte pasy?

— Nie, panie sędzio, nie były rozpięte, miały tylko luz. Można go w pewnych granicach regulować. Przy całkowitym zaciągnięciu klamry — nazywamy to „na całą moc” — ma się zmniejszoną swobodę ruchów.

— Czy świadkowi wiadomo o tym, że regulamin nie przewiduje żadnych luzów ani ustąpienia w zaciąganiu pasów?

— Tak jest, Wysoki Trybunale, wiedziałem, że instrukcja mówi coś innego, ale tak się zawsze robi.

— Jak to świadek rozumie?

— W praktyce na wszystkich statkach, na jakich latałem, regulowało się luzy w pasach, bo to ułatwia pracę.

— Nagminność wykroczenia nie może go usprawiedliwić. Proszę mówić dalej.

— Tak jak tego oczekiwałem, booster sondy odpalił. Statek zaczął się obracać w osi poprzecznej i równocześnie znosiło nas z dotychczasowej orbity, zresztą bardzo powoli. Pilot równoważył ten ruch podwójny własnym ciągiem bocznym, ale nie do końca, to znaczy — nie z zerowym skutkiem.

— Dlaczego?

— Nie byłem sam przy sterach, ale przypuszczam, że to było nie do zrobienia. Sonda siedziała zaklinowana w wyrzutni z otwartą klapą, przez ten otwór wydobywała się część gazów jej silnika, przy czym strumień gazów musiał mieć zawirowania i przez to nie bił równomiernie. Efekt był taki, że boczne impulsy raz słabły, a raz się wzmacniały, wskutek czego korekcja ciągiem własnym powodowała wahadłowe ruchy boczne całego korpusu, a kiedy booster wypalił się, przeszliśmy w koziółkowanie daleko silniejsze, z odwrotnym znakiem, które pilot zgasił dopiero po dobrej chwili, gdy się zorientował, że booster wprawdzie zdechł, ale pracuje za to silnik jonowy.

— „Booster zdechł”?

— Chciałem powiedzieć, że pilot nie był zupełnie pewien, czy silnik jonowy sondy odpali, w końcu uderzył ją bardzo silnie tłokiem i mógł go uszkodzić: zresztą właśnie to było chyba jego zamiarem, ja też bym tak postąpił. Kiedy booster wygasł, okazało się jednak, że napęd jonowy działa i znowu mieliśmy defleksję boczną rzędu jednej czwartej tony. Nie było tego wiele, a jednak dosyć dla koziółkowania na takiej orbicie. Mieliśmy przecież okrężną szybkość orbitalną, a wtedy najmniejsze różnice przyspieszenia wywierają ogromny efekt na trajektorię lotu i na stateczność własną.

— Jak zachowali się wtedy członkowie załogi?

— Zupełnie spokojnie, panie sędzio. Oczywiście wszyscy musieli, zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa w momencie, gdy booster odpalił, bo to jest ładunek prochowy wagi stu kilogramów, który mógł w tej na poły zamkniętej przestrzeni, jaką stanowiła wyrzutnia z zaklinowaną sondą, po prostu zdetonować jak bomba. Otwarłoby to nam sterburte jak puszkę konserw. Na szczęście do eksplozji nie doszło. Silnik jonowy już takiego niebezpieczeństwa nie przedstawiał. Co prawda mieliśmy dodatkową komplikację, spowodowaną przez to, że automat uruchomił alarm pożarowy i zaczął zatapiać wyrzutnię numer dwa pianą. Nie mogło to nam nic dać dobrego, bo silnika z jonowym ciągiem piany nie ugasi, toteż wyrzucało tylko pianę przez otwartą klapę, przy czym jej część była chyba wsysana do wylotowego leja sondy i powodowała zdławienie ciągu. Dopóki pilot nie wyłączył z sieci gaśnic, mieliśmy przez

dobrych kilka minut boczne szarpania, niezbyt mocne, ale w każdym razie utrudniające stabilizację lotu.

— Kto uruchomił sieć gaśnic?

— Automat, panie sędzio, kiedy czujniki pokazały wzrost temperatury w poszyciu sterburty ponad siedemset stopni — to booster tak nas podgrzał.

— Jakie polecenia lub rozkazy dawał do tego czasu dowódca?

— Nie dawał żadnych poleceń ani rozkazów. Wyglądało mi na to, że chce się przekonać, co robi pilot. Mieliśmy zasadniczo dwie możliwości: albo po prostu odejść od planety rosnącym ciągiem i rozpocząć powrót do hiperboli, rezygnując z wykonania zadań, albo też próbować wprowadzenia na kontrolną orbitę ostatniej, trzeciej sondy. Odejście oznaczało ruinę programu, ponieważ sonda, która już krążyła w szczelinie, na pewno roztrzaskałaby się, dryfując, po paru godzinach najwyżej. Zewnętrzna korekcja jej toru,, dawana sondą—”stróżem”, była konieczna.

— Tę alternatywę powinien był naturalnie rozstrzygnąć dowódca statku?

— Panie przewodniczący, czy mam odpowiedzieć na to pytanie?

— Świadek odpowie na pytanie oskarżenia.

— A więc, dowódca mógł naturalnie wydawać rozkazy, ale robić tego nie musiał. Zasadniczo pilot w określonych okolicznościach uprawniony jest do pełnienia funkcji równoważnych funkcjom dowódcy statku, jak o tym mówi szesnasty paragraf instrukcji pokładowej, ponieważ często było tak, że nie ma czasu na porozumiewanie się pomiędzy dowódcą a ludźmi przy sterach.

— Ale w powstałych okolicznościach dowódca rozkazy wydawać mógł, ponieważ statek ani nie znajdował się pod akceleracją, uniemożliwiającą wydawanie rozkazów głosem, ani też nie był w bezpośrednim niebezpieczeństwie zniszczenia.

— O piętnastej z minutami czasu pokładowego pilot dał umiarkowany ciąg wyrównawczy...

— Dlaczego świadek zignorował to, co powiedziałem? Proszę Wysoki Trybunał o udzielenie świadkowi upomnienia i nakazanie mu, aby odpowiedział na moje słowa.

— Wysoki Trybunale, miałem odpowiadać na pytania, ale oskarżenie nie zadało mi żadnego pytania. Oskarżenie wypowiedziało tylko własny komentarz interpretujący powstałą na statku sytuację. Czy mam ze swej strony ten komentarz skomentować?

— Oskarżenie zechce sformułować pytanie adresowane do świadka, a świadek winien wykazać maksimum dobrej woli przy zeznawaniu.

— Czy świadek nie uważa, że dowódca powinien był w powstałej sytuacji powziąć konkretną decyzję i zakomunikować ją pilotowi w postaci rozkazu?

— Instrukcja, panie prokuratorze, nie przewiduje...

— Świadek ma zwracać się tylko do Trybunału,

— Słucham. Instrukcja, Wysoki Trybunale, nie przewiduje szczegółowo wszystkich okoliczności, jakie mogą powstać na pokładzie. To jest zresztą niemożliwe. Gdyby to było możliwe, wystarczyłoby, aby każdy członek załogi na pamięć się jej nauczył i wtedy dowodzenie nie byłoby w ogóle potrzebne.

— Panie przewodniczący, oskarżenie protestuje przeciwko tego rodzaju ironicznym uwagom świadka!

— Świadek zechce odpowiadać zwięźle i prosto na pytania oskarżyciela.

— Słucham. A więc nie uważam, żeby dowódca musiał wydawać w owej sytuacji specjalne rozkazy. Był obecny; widział i rozumiał, co się dzieje; jeśli milczał, znaczyło to, że wedle dwudziestego drugiego paragrafu instrukcji pokładowej, zezwala pilotowi na działanie zgodne z jego rozeznaniem własnym.

— Wysoki Trybunale, świadek fałszywie interpretuje brzmienie dwudziestego drugiego paragrafu instrukcji pokładowej żeglugi kosmicznej, ponieważ odpowiedni jest tu paragraf

dwudziesty szósty, który mówi o sytuacjach niebezpiecznych.

— Wysoki Trybunale, sytuacja, która powstała na „Goliacie”, nie była niebezpieczna ani dla statku, ani dla zdrowia i życia załogi.

— Świadek, Wysoki Trybunale, wykazuje najwyraźniej złą wolę, gdyż zamiast dążyć do ustalenia prawdy obiektywnej, w swoich zeznaniach usiłuje per fas et nefas usprawiedliwić postęпки oskarżonego Pirxa, który był dowódcą statku! Sytuacja, w jakiej statek się znalazł, niewątpliwie należała do takich, które obejmuje brzmienie paragrafu dwudziestego szóstego!

— Wysoki Trybunale, oskarżyciel nie może jednocześnie pełnić funkcji rzeczoznawcy-biegłego, który ustala stany rzeczowe!

— Odbieram świadkowi głos. Trybunał zawiesza kwestię odpowiedniości dwudziestego drugiego lub dwudziestego szóstego paragrafu instrukcji pokładowej do osobnego rozstrzygnięcia. Świadek przedstawi obecnie, co zaszło na statku w dalszym ciągu.

— Calder nie zwracał się wprawdzie do dowódcy z żadnymi pytaniami, ale widziałem, że kilkakrotnie spojrzął w jego stronę. Tymczasem ciąg zaklinowanej sondy wyrównał się i ustatecznienie statku nie nastęrczało trudności. Calder, mając dobrą stabilizację, poszedł na oddalenie od pierścienia, ale nie żądał ode mnie obliczenia kursów powrotnych, więc domyśliłem się, że będzie jednak próbował dokończenia naszych zadań. Kiedyśmy wyszli poza granicę Roche’a, o szesnastej mniej więcej, zasygnalizował szczyt i natychmiast spróbował wytrząsnąć sondę.

— To znaczy?

— No cóż, włączył sygnały szczytu przeciążeniowego i zaraz potem dał najpierw całą wstecz, a potem całą naprzód; sonda waży trzy tony; pod pełną akceleracją musiała ważyć prawie dwadzieścia razy tyle. Powinna była wylecieć z tej wyrzutni jak groszek. Mając z dziesięć tysięcy mil luzu, Calder dał te uderzenia ciągiem dwa razy po kolei, ale bez rezultatu. Sprawił tyle, że defleksja jeszcze wzrosła. Przypuszczalnie pod wpływem gwałtownych przyspieszeń sonda, która jeszcze mocniej zaklinowała się w wyrzutni, zmieniła położenie, tak że teraz cały strumień jej gazów bił w uchyloną klapę zewnętrzną, odbijał się od niej i uciekał w przestrzeń. Uderzenia ciągiem były zarówno nieprzyjemne dla nas, jak i trochę ryzykowne, ponieważ już było jasne, że jeżeli sonda w ogóle pójdzie, to chyba zabierze ze sobą kawałek zewnętrznego pancerza. Wyglądało na to, że albo będziemy musieli wysłać ludzi w skafandrach z narzędziami na pancerz, albo też wracać, ciągnąc z sobą tę cholę... przepraszam, tę zaklinowaną sondę.

— Czy Calder nie próbował wyłączyć silnika sondy?

— Nie mógł tego zrobić, panie sędzio, bo kabel sterowniczy, łączący sondę ze statkiem, był już przerwany — a więc pozostawało tylko sterowanie drogą radiową, ale sonda tkwiła w samym wylocie wyrzutni i była ekranowana jej metalową osłoną. Lecieliśmy może minutę, oddalając się od planety, i byłem już przekonany, że jednak zdecydował się na odwrót; wykonał kilka manewrów, robiąc tak zwany najazd na gwiazdę — polega to na tym, że dziobem statku celuje się w obraną gwiazdę i daje przy tym różne ciągi. Jeśli sterowność jest w normie, gwiazda powinna tkwić w ekranach zupełnie nieruchomo. Oczywiście tak nie było, mieliśmy zmienioną charakterystykę lotu i Calder starał się zbadać jej liczbowe wartości. Po kilku próbach udało mu się jednak dobrać ciągi, wyrównując defleksję, i wtedy zawrócił.

— Czy świadek zorientował się wówczas we właściwym zamierzeniu Caldera?

— Tak, to znaczy — przypuszczałem, że będzie chciał jednak wyorbitować pozostałą na pokładzie trzecią sondę. Zeszliśmy na płaszczyznę ekliptyki z powrotem, od strony Słońca, przy czym Calder pracował po prostu znakomicie; gdybym o tym nie wiedział, nigdy bym nie przypuścił, że z taką swobodą steruje statkiem, który ma niejako wbudowany osobny boczny silnik, nie uwzględniony konstrukcyjnie. Kazał mi obliczyć kursowe poprawki i całą trajektorię wraz z impulsami sterowania dla naszej „trzeciej sondy. Wtedy nie mogłem już mieć żadnych wątpliwości.

— Świadek te polecenia wykonał?

— Nie, panie sędzio. To znaczy, powiedziałem mu, że nie mogę obliczać kursów zgodnie z programem, skoro mamy postępować inaczej — a przecież nie mogliśmy się już ściśle trzymać programu. Zażądałem od niego dodatkowych danych, bo nie wiedziałem, z jakiej wysokości chce wyorbitować ostatnią sondę, ale nic mi nie odpowiedział. Być może, zwrócił się do mnie tylko po to, aby powiadomić dowódcę o swoim zamiarze.

— Tak świadek sądzi? Mógł przecież zwrócić się do dowódcy bezpośrednio.

— Może nie chciał tego robić. Może zależało mu na tym właśnie, żeby nikt nie pomyślał, że on sam nie wie, jak należy postępować i potrzebuje pomocy. Ale równie dobrze mogło być tak, że chciał pokazać, jak doskonałym jest pilotem, jeśli bierze się do wykonania zadań, w których nawigator, to znaczy ja, nie potrafi mu pomóc. Dowódca jednak nie zareagował, a Calder już szedł na zbliżenie z pierścieniami. Wtedy przestało mi się to podobać.

— Świadek zechce zeznawać w sposób bardziej rzeczowy.

— Tak, panie sędzio. Pomyślałem, że zanoszę się na ryzykowną operację.

— Wysoki Trybunał zechce zauważyć, że świadek minio woli potwierdził obecnie to, czego nie chciał stwierdzić poprzednio: obowiązkiem dowódcy było aktywnie wmieszać się w powstałą sytuację i dowódca świadomie, z rozmysłem, tego zaniechał, narażając przez to statek wraz z załogą na nieobliczalne następstwa.

— Wysoki Trybunał, nie było tak, jak twierdzi oskarżenie.

— Proszę nie polemizować z oskarżeniem, lecz składać zeznania odnoszące się wyłącznie do przebiegu zdarzeń. Dlaczego w chwili, kiedy Calder począł wracać na perymetr pierścieni, uznał pan — dopiero wtedy — operację za ryzykowną?

— Może źle się wyraziłem. Było tak: pilot powinien się w podobnych okolicznościach zwrócić do dowódcy. Ja bym to na jego miejscu zrobił na pewno. Pierwotnego programu nie mogliśmy już zrealizować z całą dokładnością. Myślałem, że Calder, skoro dowódca zostawia mu inicjatywę, będzie się starał umieścić satelitę ze znacznej odległości, to znaczy nie zbliżając się zbyt do pierścienia. Zmniejszyło to co prawda szansę sukcesu, ale było możliwe, a zarazem bezpieczne. I rzeczywiście, przy małej szybkości kazał mi ponownie obliczyć kursy dla satelity, naprowadzanego impulsami z odległości rzędu tysiąca do tysiąca dwustu kilometrów. Ponieważ chciałem mu pomóc, zacząłem obliczać te kursy, przy czym okazało się, że rozmiary błędów są mniej więcej takie, jak rozmiary szerokości szczeliny Cassiniego. Było więc około pięćdziesięciu szans na sto, że sonda, zamiast wejść na właściwą orbitę kontroli, pójdzie albo ku planecie, albo na zewnątrz, i roztrzaska się o pierścień. Podałem mu ten wynik, bo nie miałem nic lepszego.

— Czy dowódca zaznajomił się z wynikiem obliczeń świadka?

— Musiał go widzieć, bo cyfry wyskakiwały na indykatorze, umieszczonym centralnie nad naszymi pulpitemi. Szliśmy małym ciągiem i wydało mi się, że Calder nie umie zdecydować, co począć. Był rzeczywiście w kropce. Gdyby teraz wycofał się, oznaczałoby to, że poprzednio omylił się w rachubach, że zawiodła go intuicja. Dopóki nie zawrócił ku planecie, mógłby jeszcze utrzymywać, że uznał ryzyko za zbyt wielkie i nieopłacalne — natychmiast. Ale on już pokazał, że ma statek w rękę, mimo zmienionej charakterystyki ciągów, a choć tego nie powiedział, z następnych manewrów wynikało jasno, że postanawia przecież kontynuować próbę orbitowania sondy. Szliśmy na zbliżenie i myślałem, że chce po prostu polepszyć nieco szansę; zwiększały się przecież ze spadkiem odległości, ale gdyby o to mu chodziło, powinien był już zacząć hamowanie, tymczasem zwiększył ciąg. Dopiero gdy to zrobił, w owym momencie pomyślałem, że chce zrobić coś zupełnie innego, wcześniej nawet mi to do głowy nie przyszło. Zresztą wszyscy to pojęli — momentalnie.

— Świadek twierdzi, że wszyscy członkowie załogi zdali sobie sprawę z powagi położenia?

— Tak, panie przewodniczący. Ktoś za mną, siedzący od bakburty, powiedział, w chwili

przyspieszenia: „Życie było piękne”.

— Kto to powiedział?

— Tego nie wiem. Może inżynier, a może elektronik. Nie zwracałem na to uwagi. Wszystko działo się w ułamkach sekund. Calder włączył sygnał szczytu i dał duży ciąg, mając kurs kolizyjny z pierścieniem. Jasne było, że chce przejść „Goliatem” przez sam środek szczeliny Cassiniego i po drodze „zgubić” tą trzecią sondę metodą „przestraszonego ptaszka”.

— Cóż to za metoda?

— Tak się to czasem nazywa, panie sędzio: statek „gubi” sondę tak, jak ptak „gubi” w locie jajko... Ale dowódca mu tego zabronił.

— Dowódca mu zabronił? Wydał taki rozkaz?

— Tak jest, panie sędzio.

— Sprzeciw oskarżenia. Świadek przeinacza fakty. Dowódca rozkazu takiego nie wydał.

— Owszem — dowódca usiłował wydać taki rozkaz, ale nie zdążył go wypowiedzieć pełnym zdaniem. Calder dał wprawdzie ostrzeżenie szczytu przyspieszeniowego, ale zaledwie na ułamek sekundy przed właściwym manewrem. Kiedy błysło czerwienią, dowódca krzyknął do niego, a on równocześnie poszedł całą mocą. Pod taką prasą, powyżej czternastu g, nie można z siebie już głosu wydobyć. Wyglądało na to, że Calder chciał mu zgnieść słowa na ustach. Nie powiadam, że on naprawdę do tego zmierzał, ale tak to wyglądało. Wgniotło nas od razu tak, że straciłem kompletnie wzrok, toteż dowódca zdążył ledwie krzyknąć...

— Panie przewodniczący, oskarżenie wnosi sprzeciw przeciwko sformułowaniom użytym przez świadka. Wbrew własnemu zastrzeżeniu świadek sugeruje jednak, jakoby pilot Calder z premedytacją i złą wolą usiłował udaremnić dowódcy wydanie rozkazu.

— Niczego podobnego nie mówiłem.

— Odbieram świadkowi głos. Trybunał przychyła się do wniosku oskarżenia. Proszę wykreślić z protokołu słowa świadka, poczynając od zdania: „Wyglądało na to, że Calder chciał mu zgnieść słowa na ustach”. Świadek zechce się powstrzymać od komentarzy i powtórzyć dokładnie to, co powiedział rzeczywiście dowódca.

— A więc, jakem już mówił, dowódca nie zdążył wprawdzie sformułować rozkazu całym zdaniem, ale jego sens był jasny. Zabronił Calderowi wchodzić w szczelinę Cassiniego.

— Sprzeciw oskarżenia. Nie jest istotne dla materialnej prawdy przewodu to, co oskarżony Pirx chciał powiedzieć, lecz to tylko, co rzeczywiście powiedział.

— Trybunał uznaje sprzeciw. Niech świadek ograniczy się do tego, co zostało powiedziane w sterowni.

— Zostało powiedziane dosyć, żeby każdy człowiek, który jest z zawodu kosmonautą, zrozumiał, że dowódca zabrania pilotowi wejść w Cassiniego.

— Świadek zechce przytoczyć owe słowa, a Trybunał sam poweźmie opinię w kwestii ich właściwego sensu.

— Nie pamiętam tych słów, panie przewodniczący, tylko właśnie ich sens. Dowódca zaczął wołać coś w rodzaju: „Nie przechodź przez pierścień!” — a może: „Nie na wylot!” — i dalej już mówić nie mógł.

— Jednakowoż poprzednio świadek powiedział, że dowódca nie wygłosił całego zdania, a zacytowane teraz przez świadka: „Nie przechodź przez pierścień” — stanowi całe zdanie.

— Gdyby na tej sali wybuchł pożar i gdybym zawołał: „Pali się!” — nie byłoby to całe zdanie, boby nie mówiło o tym, co się pali ani gdzie się pali, lecz byłoby zrozumiałym ostrzeżeniem.

— Sprzeciw oskarżenia! Proszę Trybunał o przywołanie świadka do porządku!

— Trybunał udziela świadkowi upomnienia. Nie jest zadaniem świadka pouczenie Trybunału przypowieściami i anegdotami. Proszę ograniczyć się do rzeczowej relacji o tym, co zaszło na pokładzie.

— Słucham. Na pokładzie zaszło to, że dowódca okrzykiem zakazał pilotowi wprowadzić

statek w szczelinę...

— Sprzeciw! Zeznania świadka tendencyjnie zacierają do sfalszowania faktów!

— Trybunał pragnie być wyrozumiały. Świadek zechce pojąć, że zadaniem przewodu jest ustalenie faktów materialnych. Czy świadek potrafi przytoczyć urywek zdania, wypowiedzianego przez dowódcę?

— Byliśmy już pod wielkim przyspieszeniem. Miałem black-out, nic nie widziałem, ale słyszałem okrzyk dowódcy. Słowa nie były wyraźne, a jednak zrozumiałem, o co szło. Tym bardziej musiał słyszeć to ostrzeżenie pilot, skoro znajdował się bliżej dowódcy aniżeli ja.

— Obrona prosi o ponowne przesłuchanie taśm rejestracyjnych ze sterowni, w ich fragmencie dotyczącym okrzyku dowódcy.

— Trybunał oddała wniosek obrony. Taśmy zostały przesłuchane i ustalono, że stopień zniekształcenia głosu pozwala jedynie na zidentyfikowanie osoby, ale nie na wyjawienie treści okrzyku. Trybunał poweźmie w tej spornej kwestii odrębną decyzję. Niech świadek powie, co stało się po okrzyku dowódcy.

— Kiedy przejrzałem, zśliśmy na kolizję z pierścieniem, Akcelerometr pokazywał dwa g. Szybkość była hiperboliczna. Dowódca zawołał: „Calder! Nie wykonałeś rozkazu! Zabroniłem ci wchodzić w Cassiniego!” — a Calder natychmiast odpowiedział: „Nie słyszałem tego, komandorze!”

— Dowódca nie rozkazał mu jednak w owej chwili hamować bądź zawrócić?

— To już było niemożliwe, panie przewodniczący. Mieliśmy hiperboliczną rzędu osiemdziesięciu kilometrów na sekundę. Nie było mowy o tym, żeby wygasić taki pęd bez przekroczenia bariery grawitacyjnej.

— Co świadek rozumie przez barierę grawitacyjną?

— Trwale przyspieszenie dodatnie lub ujemne powyżej dwudziestu — dwudziestu dwu jednostek grawitacyjnych. Z każdą sekundą lotu kolizyjnego trzeba było większej mocy wstecznej, żeby wyhamować. Najpierw zapewne około pięćdziesięciu g, a potem może i sto. Przy takim hamowaniu musielibyśmy wszyscy zginąć. To znaczy — musieliby zginąć wszyscy ludzie na pokładzie.

— Statek mógł rozwinąć technicznie przyspieszenia tego rzędu?

— Tak, panie sędzio. Mógł, po zerwaniu bezpieczników, ale tylko wtedy. „Goliat” posiada stos dysponujący w szczycie potencjalnym ciągiem rzędu dziesięciu tysięcy ton.

— Proszę kontynuować zeznania.

— „Chcesz zniszczyć statek?” — powiedział dowódca całkiem spokojnie. — „Przejdziemy przez Cassiniego i wyhamuję po drugiej stronie” — odpowiedział Calder z takim samym spokojem. Ta wymiana zdań jeszcze trwała, kiedy dostaliśmy bocznych obrotów. Pod wpływem gwałtownego wzrostu przyspieszenia, którym Calder zapoczątkował lot na szczelinę, sonda musiała w niekontrolowany sposób zmienić swoje położenie wewnątrz wyrzutni i dawała wprawdzie boczną defleksję mniejszą, ale strumień gazów szedł teraz po stycznej względem korpusu, tak że cały statek obracał się jak bąk w osi podłużnej. Ten obrót był najpierw dość powolny, lecz z każdą sekundą przyspieszał. Był to początek nieszczęścia. Calder spowodował je niechcący — tym, że bardzo gwałtownie zwiększył poprzednio akcelerację.

— Niech świadek wyjaśni dokładnie Trybunałowi, dlaczego, jego zdaniem, Calder zwiększył akcelerację.

— Wysoki Trybunał, oskarżenie wnosi sprzeciw. Świadek jest stronnicy i odpowie bez wątpienia, tak jak już mówił, że Calder usiłował zmusić dowódcę do milczenia.

— Wcale nie to chcę powiedzieć. Calder nie musiał zwiększyć akceleracji skokiem, mógł to uczynić wolniej, ale jeśli zamierzał wejść w Cassiniego, duży ciąg był konieczny. Znajdowaliśmy się w przestrzeni skrajnie trudnej do manewru, ponieważ jest to strefa typowa dla nierozwiązywalnych matematycznie problemów ruchu wielu ciał. Oddziaływanie samego

Saturna, masy jego pierścieni, najbliższych satelitów, wszystko to razem tworzy pole ciężenia, w którym całość perturbacji nie daje się równocześnie uwzględnić. Ponadto mieliśmy jeszcze boczną defleksję ze strony sondy. W tej sytuacji poruszaliśmy się po torze, który był wypadkową wielu sił — zarówno własnych ciągów statku, jak i przyciągania rozrzuconych w przestrzeni mas. Otóż, im większym szliśmy ciągiem, tym mniejszy stawał się wpływ czynników zakłócających, bo ich wartości były stałe, natomiast wartość naszego pędu rosła. Powiększając chyżość, Calder czynił nasz tor mniej wrażliwym na zewnętrzne wpływy zakłócające. Jestem przekonany, że przejście udałooby mu się, gdyby nie ten boczny obrót, który nagle powstał.

— Świadek uważa, że przejście przez szczelinę, przy w pełni sprawnym statku, było możliwe?

— Ależ tak, panie sędzio. Manewr ten jest możliwy, jakkolwiek zakazany przez wszystkie podręczniki kosmologii. Szczelina ma praktycznie szerokość trzech i pół tysiąca kilometrów, przy czym pobocza są pełne grubego pyłu lodowego i meteorytowego, niedostrzegalnego wprawdzie wizualnie, ale takiego, który musiałby spalić statek poruszający się z hiperboliczną. Jako tako czysta przestrzeń, przez którą można przejść, ma jakieś pięćset do sześciuset kilometrów szerokości. Przy małych szybkościach wejść w taki pasaż jest nietrudno, ale przy większych pojawia się dryf grawitacyjny; dlatego Calder najpierw dobrze wycelował dziobem w szczelinę, a potem dał duży ciąg. Gdyby sonda nie przekreśliła się, wszystko poszłoby dobrze. Tak przynajmniej sędzę. Oczywiście, było pewne ryzyko, mieliśmy mniej więcej jedną szansę na trzydzieści, że trafimy w jakiś samotny okruc. Tymczasem dostaliśmy jednak obrotów wzdłużnych. Calder usiłował je wygasić, ale mu się to nie udało. Walczył bardzo pięknie. To muszę przyznać.

— Calder nie mógł zlikwidować obrotów statku? Czy świadek wie, dlaczego nie mógł?

— Już poprzednio, obserwując go w czasie wacht, zorientowałem się, że jest fenomenalnym rachmistrzem. Pokładał ogromne zaufanie w umiejętności przeprowadzania błyskawicznych obliczeń na własną rękę, bez pomocy kalkulatorów. Przy hiperbolicznej, w tej naszej sytuacji, mieliśmy przejść jak przez igielne ucho. Zegary ciągu były bezwartościowe, skoro pokazywały tylko dane ciągu „Goliata”, ale nie mogły pokazywać wartości ciągu sondy. Calder patrzył wyłącznie na grawimetry i prowadził tylko podług nich. Był to prawdziwy wyścig matematyczny między nim a warunkami, które zmieniały się z rosnącą szybkością.

O tym, do czego Calder był zdolny, świadczy to, że kiedy ja zaledwie nadążałem za samym odczytywaniem cyfr na indykatorach, on w tym samym czasie musiał przeprowadzać w głowie obliczenia, budując równania różniczkowe czwartego stopnia. Muszę podkreślić, że jakkolwiek zachowanie Caldera do tego momentu uważałem za oburzające, bo byłem pewien, że usłyszał rozkaz dowódcy i zignorował go rozmyślnie, to jednak czułem dla niego podziw.

— Świadek nie odpowiedział na pytanie Trybunału.

— Właśnie zmierzałem do odpowiedzi, panie sędzio. Rozwiązania, jeśli nawet Calder uzyskiwał je w ułamku sekund, musiały być tylko aproksymacjami. Nie były idealnie precyzyjne, bo nie mogły być, nawet gdyby się zamienił w najszybszą maszynę cyfrową świata. Margines błędu, którego uwzględnić nie mogłem, narastał — i kręciliśmy się dalej. Przez jakąś minutę zdawało mi się, że może jednak Calder da radę, ale on wcześniej ode mnie pojął, że przegrał, i wyłączył cały ciąg. Straciliśmy ciężenie do zera.

— Dlaczego wyłączył ciąg?

— Chciał przejść przez szczelinę po niemal prostej, ale nie mógł wygasić obrotów podłużnych statku. „Goliat” kręcił się jak bąk i przez to zachowywał się jak bąk: opierał się sile napędzającej, która usiłowała go ustawić podłużnie. Wpadliśmy w precesję — im większą mieliśmy szybkość, tym gwałtowniej zataczała się rufa. Szliśmy w efekcie bardzo

rozciągniętym korkociągiem, statek kładło na boki, a każdy z tych zwojów miał może ze setkę kilometrów średnicy. Przy takim ruchu mogliśmy jak nic trafić w brzeg pierścienia zamiast w środek szczeliny. Calder nie mógł już nic na to poradzić. Siedział w lejku.

— Co to znaczy?

— Tak nazywamy zwykle sytuacje nieodwracalne, w które łatwo wejść, ale z których już nie ma wyjścia, Wysoki Trybunale.

Nasz dalszy lot był już poza wszelkim przewidywaniem. Kiedy Calder wyłączył silniki, sądziłem, że po prostu zdaje się na los szczęścia. Cyfry aż migotały w okienkach indyktorów, ale już nic nie było do obliczania. Pierścienie oślepiały, że trudno było patrzeć — one są przecież złożone z brył lodu. Kręciły się przed nami karuzelą, razem ze szczeliną, która wyglądała jak czarne pęknięcie. W takich momentach czas dłuży się niewiarygodnie. Ilekroć zawadziłem wzrokiem o strzałki sekundomierzy, zdawało mi się, że stoją na miejscu. Calder zaczął rozpinąć pasy, bardzo gwałtownie. Zacząłem robić to samo, bo domyśliłem się, że chce zerwać główny bezpiecznik przeciążenia, który jest na pulpicie, a przypasany nie mógł go dosięgnąć. Mając do dyspozycji pełną moc, mógł jeszcze wyhamować i uciec w przestrzeń, rozwinąwszy tych jakichś sto g. Pęklibyśmy jak baloniki, ale uratowałby statek, no i siebie. Właściwie powinienem był pomyśleć już poprzednio, że nie może być człowiekiem, bo żaden człowiek nie byłby w stanie dokonywać obliczeń jak on... ale to sobie dopiero w tej chwili uświadomiłem. Chciałem go powstrzymać, zanim dojdzie do pulpitu, ale on był szybszy. Musiał być szybszy. „Nie odpinaj się!” — krzyknął do mnie dowódca. A do Caldera: „Nie ruszaj bezpiecznika!” Calder nie zwrócił na to uwagi, już stał. „Cała naprzód!” — zawołał dowódca — i usłuchałem go. Miałem przecież drugi ster. Nie uderzyłem całą mocą od razu, wszedłem na pięć g, bo nie chciałem zabić Caldera — chciałem go tym uderzeniem odrzucić tylko od bezpieczników, ale on utrzymał się na nogach. Był to widok przerażający, panowie, bo żaden człowiek nie ustoi przy pięciu! Ustał, tyle że chwycił się pulpitu, zdarło mu skórę z obu dłoni i dalej trzymał się, bo pod tą skórą była stal. Wtedy dałem od razu szczyt. Czternaście g oderwało go, poleciał w tył sterowni z tak potwornym łomotem, jakby cały był jedną bryłą metalową, przeleciał między naszymi fotelami i wyrznął w ścianę, aż się zatrzęsła, securit poszedł tam w drzazgi, a on wydał z siebie zupełnie niepodobny do niczego głos i słyszałem zza pleców, jak się tam z tyłu tarzał, druzgotał przepierzenia, jak rozwalał wszystko, czego się chwycił, ale już nie zwracałem na to uwagi, bo szczelina otwierała się przed nami; waliliśmy w nią kręciem, z zataczającą się rufą, zredukowałem do czterech g, decydował już tylko czysty traf. Dowódca krzyknął, żebym strzelał; zacząłem więc wystrzeliwać jeden po drugim ekrany przeciwmeteorowe, aby zmieść sprzed dziobu drobniejsze okruchy, gdyby przed nami się pojawiły, a chociaż nie było to wiele warte, lepszy taki rodzaj osłony niż żaden. Cassini był jak czarna olbrzymia gęba, widziałem ogień przed dziobem, daleko, ekrany osłony rozwijały się i od razu paliły w zderzeniach z obłokami pyłu lodowego, olbrzymie srebrne chmury powstawały i pękały w okamgnieniu, niezwykle piękne, statek zatrząsł się lekko, Czujniki prawej burty wszystkie razem skoczyły, to był termiczny udar, otarliśmy się — nie wiem, o co, i byliśmy już po drugiej stronie...

* * *

— Komandor Pirx?

— Tak, to ja. Pan chciał mnie widzieć?

— Owszem. Dziękuję, że pan przyszedł. Proszę usiąść... Mężczyzna za biurkiem nacisnął guzik czarnego pudełka i powiedział:

— Będę teraz zajęty przez dwadzieścia minut. Nie ma mnie dla nikogo.

Wyłączył aparat i spojrzał uważnie na siedzącego.

— Panie komandorze, mam dla pana pewną — oryginalną — propozycję. Pewien — szukał przez sekundę słowa — eksperyment. Na wstępie jednak musiałbym prosić, aby pan zachował to, co powiem, w dyskrecji. Także, jeśli pan propozycję odrzuci. Czy pan się zgadza?

Przez kilka minut panowało milczenie.

— Nie — rzekł Pirx. I dodał: — Chyba że powie mi pan coś więcej.

— Pan nie należy do ludzi podpisujących cokolwiek in blanco? Właściwie mogłem się tego spodziewać po tym, co o panu słyszałem. Papierosa?

— Dziękuję, nie.

— Chodzi o rejs eksperymentalny.

— Nowy rodzaj statku?

— Nie. Nowy rodzaj załogi.

— Załogi? A moja rola?

— Wszechstronna ocena jej przydatności. To wszystko, co mogę powiedzieć. Teraz kolej na pańską decyzję.

— Będę milczał, jeśli uznam to za możliwe.

— Za możliwe?

— Za wskazane.

— Ze względu na jakie kryteria?

— Tak zwane sumienie, proszę pana.

Znów upłynęło kilka minut. W wielkim pokoju, o jednej ścianie ze szkła, panowała cisza, jakby nie mieścił się wśród dwu tysięcy innych, tworzących ogromny wieżowiec z trzema lotniskami dla helikopterów na dachach. Pirx nie widział prawie rysów człowieka, który z nim rozmawiał, bo tłem jego postaci była silnie świecąca mgła, a raczej chmura, w której zanurzało się szesnaście najwyższych pięter gmachu. Chwilami mleczne kłęby materializowały się za przezroczystą ścianą i wydawało się wtedy, że cały pokój płynie gdzieś, unoszony niewyczuwalną siłą.

— Dobrze. Jak pan widzi, zgadzam się na wszystko. Chodzi o rejs Ziemia–Ziemia.

— Pętla?

— Tak. Z okrążeniem Saturna i wprowadzeniem tarcza na orbitę stacjonarną nowych satelitów automatycznych.

— To przecież projekt JOVIANA?

— Owszem, część tego projektu, co się tyczy tych satelitów. Statek również należy do COMSEC-u, więc imprezie patronuje UNESCO. Jak pan wie, przedstawiam właśnie tę instytucję. Jednakże mamy własnych pilotów i nawigatorów, a pana wybraliśmy, ponieważ w grę wchodzi dodatkowy czynnik. Ta załoga, o której już wspomniałem.

Dyrektor UNESCO znowu zamilkł. Pirx czekał, mimo woli nasłuchując, ale naprawdę było tak, jakby najśłabszy dźwięk nie rozlegał się w promieniu całych mil — a przecież otaczało ich milionowe miasto.

— Jak panu pewno wiadomo, od szeregu lat istnieją już możliwości produkowania urządzeń coraz wszechstronniej zastępujących człowieka. Takie, które dorównują mu w wielu dziedzinach naraz, były dotąd stacjonarne, ze względu na ciężar i rozmiary. Jednakże prawie jednocześnie w Stanach Zjednoczonych i ZSRR fizyka ciała stałego umożliwiła następny etap mikrominiaturyzacji — już molekularny. Wyprodukowano eksperymentalnie prototypy; układów krystalicznych, równoważnych mózgowi. Są wciąż około półtora raza większe od naszego mózgu, ale to nie ma znaczenia. Szereg firm amerykańskich opatentowało już takie konstrukcje i obecnie pragną przystąpić do wytwarzania automatów człekokształtnych, tak zwanych nieliniowców skończonych, przede wszystkim dla obsługi statków pozaziemskich.

— Słyszałem o tym. Ale podobno Związki Zawodowe się temu sprzeciwiły? I

wymagałoby to, zdaje się, istotnych zmian w istniejącym prawodawstwie?

— Pan o tym słyszał? W prasie nie było o tym nic, poza plotkami...

— Tak. Ale toczyły się jakieś pozakulisowe rozmowy, pertraktacje, i wiadomości o tym przeciekły do środowiska, w którym się obracam. To chyba zrozumiałe.

— Zapewne. Oczywiście. Więc — tym lepiej, chociaż... Jakie jest pana zdanie?

— W tej sprawie? Raczej negatywne. Tak, nawet bardzo negatywne. Obawiam się jednak, że niczyje zdanie nie ma tu istotnego wpływu. Konsekwencje odkryć są nieubłagane — można najwyżej przez pewien czas hamować ich realizację.

— Jednym słowem, uważa pan to za zło konieczne?

— Tak bym tego nie sformułował. Uważam, że ludzkość nie jest przygotowana na inwazję sztucznych istot człekokształtnych. Oczywiście najważniejsze jest, czy one naprawdę są równoważne człowiekowi. Osobiście się z takimi nigdy nie spotykałem. Nie jestem specjalistą, ale ci, których znam, uważają, że o pełnowartościowości, o prawdziwej równoważności nie może być mowy.

— Czy nie jest pan uprzedzony? Istotnie takie jest zdanie szeregu fachowców, tj. było to ich zdanie. Ale, widzi pan... motywacja działania tych firm jest warunkowana czynnikami ekonomicznymi. Opłacalnością produkcji.

— To znaczy nadzieją zysków.

— Tak. To znaczy, w tym wypadku, rząd federalny (mam na myśli Amerykę), jak również rządy brytyjski i francuski nie udostępniły jeszcze pełnej dokumentacji prywatnym firmom, o ile ta dokumentacja powstała w instytucjach finansowanych przez państwo. Jednakże luki owej dokumentacji firmy mogą uzupełnić nawet mocy rządów, we własnym zakresie, mają wszak swoje laboratoria badawcze.

— „Cybertronics”?

— Nie tylko. „Machintrex”, „Inteltron” i inne. Otóż, wielu ludzi ze sfer rządowych tych państw obawia się skutków podobnej akcji. Prywatnych firm nie interesuje brak funduszy państwowych dla masowego przekwalifikowania ludzi, których usunie z pracy fala nieliniowców...

— Nieliniowcy? Dziwne. Nie spotkałem się z tym terminem.

— To po prostu słowo z żargonu, którym się posługujemy. Zawsze lepsze od „homunculusa” czy „sztucznego człowieka”. Bo to zresztą nie są ludzie, ani sztuczni, ani naturalni.

— Ze względu na niepełnowartościowość?

— Wie pan, komandorze, ja także nie jestem specjalistą na tym polu, więc choćbym chciał, nie udzielę panu odpowiedzi. Moje prywatne przypuszczenia nie są przecież ważne. Chodzi o to, że jednym z pierwszych odbiorców nowego produktu byłby COSNAV.

— Przecież to prywatne przedsiębiorstwo angloamerykańskie?

— Właśnie dlatego. „Cosmical navigation” od lat walczy z trudnościami finansowymi, ponieważ nie obliczony na doraźne zyski system kosmodromii i kosmologii państw socjalistycznych stanowi dla niej silną konkurencję, przejmującą znaczną część całego obrotu towarowego. Zwłaszcza, na głównych trasach pozaziemskich. Pan musi o tym wiedzieć.

— Owszem. I wcale bym się nie zmartwił, gdyby COSNAV zbankrutował. Skoro udało się umiędzynarodowić eksplorację kosmiczną w ramach ONZ, to i z żegluga można zrobić to samo. Tak mi się przynajmniej wydaje.

— Mnie też. Zapewniam pana, że i ja bym tego chciał, choćby ze względu na biurko, za którym siedzę. Ale to pieśń przyszłości. Na razie, proszę pana, jest tak, że COSNAV gotów jest przyjąć każdą ilość nieliniowców dla obsługi swych linii — tymczasem tylko frachtowych, bo obawiają się bojkotu szerszej publiczności w ruchu pasażerskim. Wstępne pertraktacje już się toczą.

— I prasa o tym milczy?

— Rozmowy są nieoficjalne. Zresztą—w niektórych dziennikach były o tym wzmianki, ale COSNAV wszystko zdementował. Formalnie ma niby rację. Zresztą, panie komandorze, to jest istna dżungla. W gruncie rzeczy oni się poruszają w paśmie nie objętym ściśle ani przez prawodawstwo ich krajów, ani przez międzynarodowe, podlegające ONZ. A znów ze względu na zbliżający się koniec kadencji prezydent nie będzie próbował wprowadzenia do Kongresu ustaw, których domaga się wielki kapitał intelektualny — w obawie gwałtownej reakcji Związków Zawodowych. Otóż — przechodzę wreszcie do rzeczy — szereg firm, antycypując możliwe obiekcje prasy światowej, ruchu robotniczego, zawodowego i tak dalej, zdecydowało się dostarczyć do naszej dyspozycji grupę półprototypów dla zbadania ich przydatności przy obsłudze pozaziemskich statków.

— Przepraszam, „nam” — to znaczy komu? ONZ? Jakoś to dziwnie wygląda.

— Nie, nie wprost ONZ. Nam, to znaczy UNESCO. Jako że to instytucja zajmująca się sprawami nauki, kultury, oświaty...

— Pan wybaczy, ale ja dalej nic nie rozumiem. Co mają te automaty wspólnego z oświatą czy nauką?

— Przecież inwazja, jak pan sam ją nazwał, tych... tych pseudoludzi, produkowanych systemem taśmowym, jest chyba pod każdym względem istotna właśnie w dziedzinie ogólnoludzkiej kultury. Nie chodzi tylko o konsekwencje czysto ekonomiczne, o niebezpieczeństwo bezrobocia i tak dalej, ale o efekty psychologiczne, socjalne, kulturowe — zresztą, aby wyjaśnić rzecz do końca, dodam, że przyjęliśmy tę ofertę bez entuzjazmu. A nawet dyrekcja zamierzała ją pierwotnie odrzucić. Te przedsiębiorstwa przedstawiły wtedy dodatkową motywację tej treści, że jako obsługa statków nieliniowcy dają bez porównania większe gwarancje bezpieczeństwa od obsługi ludzkiej. Ponieważ mają szybsze reakcje, nie wykazują praktycznie potrzeby snu ani zmęczenia, nie podlegają chorobom, posiadają ogromną nadmiarowość, która w wypadku poważnego umożliwia im jeszcze funkcjonowanie, a nadto, nie wymagając ani tlenu, ani żywności, mogą wykonywać swe zadania wet na pokładzie statku zdehermetyzowanego, przegrzanego — i tak dalej, więc, rozumie pan, to są już argumenty rzeczowe, porcie waż na pierwszy plan wysuwają nie zysk jakichś firm prywatnych, lecz bezpieczeństwo statków i ładunków. W takim wypadku kto wie, czy nawet podległa ONZ żegluga kosmiczna o charakterze badawczym nie zdecydowałaby się przynajmniej częściowo...

— Rozumiem. Ale to bardzo niebezpieczny precedens. Zdajecie sobie z tego chyba sprawę?

— Dlaczego niebezpieczny?

— Dlatego, że prawie to samo można powiedzieć o innych funkcjach j zawodach. Pewnego dnia mogą zwolnić i pana, a na tym miejscu zasiądzie maszyna.

Śmiech dyrektora był mało przekonujący. Zaraz zresztą spoważniał.

— Proszę pana... mój drogi komandorze, odbiegamy właściwie od tematu. Ale co można, pańskim zdaniem, zrobić w powstałej Sytuacji? UNESCO mogłaby odrzucić propozycję tych panów, ale to faktów nie zmieni. Jeśli ich automaty są naprawy takie dobre, weźmie je prędzej czy później COSNAV, a za nim pójdą inni.

— A co zmieni się przez to, że UNESCO zamierza pełnić rolę technicznego kontrolera produkcji tych firm?

— Ależ, proszę pana... nie chodzi o kontrolę techniczną. Chcieliśmy... to już muszę powiedzieć teraz do końca... chcieliśmy zaproponować panu rejs z taką załogą. Pan by nią dowodził. w ciągu tych kilkunastu dni mógłby się pan zorientować, ile jest warta. Tym bardziej, podkreślam, że to są rozmaite modele, różniące się od siebie. Prosilibyśmy pana o przedstawienie nam po powrocie kompetentnej, wszechstronnej opinii, rozbitej na znaczną ilość punktów, ponieważ chodzi zarówno o aspekty zawodowe, jak inne — psychologiczne: w jakiej mierze te automaty przystosowują się do człowieka, o ile odpowiadają jego

wyobrażeniom, czy powstaje wrzenie ich supremacji albo odwrotnie — ich psychiczny niższości... Odpowiednie nasze komórki dostarczyłyby panu zarówno materiałów jak formularzy, przygotowanych przez wybitnych uczonych, psychologów...

— I to miałyby być moje zadanie?

— Tak. Nie musi mi pan udzielić odpowiedzi w tej chwili. O ile wiem, pan chwilowo nie lata?

— Mam sześciotygodniowy urlop.

— A więc, powiedzmy... może pan zdecydowałby się w ciągu dwóch dni?

— Jeszcze dwa pytania. Jakie konsekwencje będzie miała moja opinia?

— Będzie decydująca!

— Dla kogo?

— Dla nas, oczywiście. Dla UNESCO. Jestem przekonany, że jeśli dojdzie do umiędzynarodowienia żeglugi, będzie stanowiła istotny materiał dla tych komisji legislacyjnych ONZ, które...

— Przepraszam. To pieśń przyszłości, jak pan powiedział. A więc dla UNESCO, tak pan mówi? Ale UNESCO nie jest przecież żadną firmą, żadnym przedsiębiorstwem — ani, mam nadzieję, nie zamierza się stać biurem reklamowym jakichś firm?

— Ależ, proszę pana! Jasne, że nie. Opublikujemy w prasie światowej to, co nam pan przedstawi. Wyniki, gdyby były negatywne, na pewno zahamują bieg pertraktacji między COSNAV-em a tymi firmami. W ten sposób] przyczynimy się...

— Jeszcze raz przepraszam. Ale jeśli wyniki będą pozytywne, to nie zahamujemy i nie przyczynimy się?

Dyrektor odchrząknął, kaszlnął, wreszcie się uśmiechnął.

— Przed panem, komandorze, czuję się niemal jak winny. Jakbym miał nieczyste sumienie... Czy to UNESCO wynalazło te roboty nieliniowe? Czy cała sytuacja jest rezultatem naszych prac? Staramy się postępować obiektywnie, w interesie wszystkich...

— Nie podoba mi się to.

— Komandorze, może pan odmówić. Tylko proszę pomyśleć, że .gdybyśmy postąpili tak samo, byłby to gest Piłata. Najłatwiej jest umyć ręce. Nie jesteśmy rządem światowym i nie możemy zakazywać nikomu produkowania takich czy innych maszyn. To rzecz poszczególnych rządów — zresztą próbowały, powiem panu, wiem, że były takie próby, jako projekty, ale nic z tego nie wyszło! I Kościół też nic nie wskórał, a pan zna jego absolutnie negatywne stanowisko w tej sprawie.

— Tak. Jednym słowem, nikomu się to nie podoba i wszyscy patrzą, jak się to robi.

— Ponieważ brak podstaw prawnych do przeciwdziałania.

— A konsekwencje? Tym firmom, im samym, zachwieje się grunt pod nogami, kiedy doprowadzą do takiego bezrobocia, że...

— Tym razem ja muszę panu przerwać. Zapewne, w tym, co pan mówi, jest racja. Wszyscy się tego obawiamy. Niemniej jesteśmy bezsilni. Jednakże beziła ta nie jest całkowita. Możemy przeprowadzić chociażby ten eksperyment. Pan jest uprzedzony negatywnie? To bardzo dobrze! Właśnie dlatego tym więcej zależałoby nam na panu! Jeśli w ogóle są jakieś obiekcje, pan wyłoży je w sposób najdobitniejszy!

— Pomyślę o tym — powiedział Pirx i wstał.

— Pan mówił przed chwilą o jeszcze jakimś pytaniu...

— Już mi pan na nie odpowiedział. Chciałem wiedzieć, czemu wybór padł na mnie.

— Odpowie nam pan zatem? Proszę zatelefonować w ciągu dwu dni, zgoda?

— Zgoda — rzekł Pirx, skinął głową temu człowiekowi i wyszedł.

* * *

Sekretarka, platynowa blondynka, wstała zza biurka, kiedy wszedł Pirx.

— Dzień dobry, ja...

— Dzień dobry. Wiem, proszę pana. Ja sama zaprowadzę.

— Już są?

— Tak, czekają na pana.

Poprowadziła go przez długi, pusty korytarz; jej pantofelki stukały jak metalowe szcudełka. Zimny, kamienny dźwięk wypełniał wielką przestrzeń, wyłożoną sztucznym granitem. Mijali ciemne drzwi z aluminiowymi cyferkami i tabliczkami. Sekretarka była zdenerwowana. Kilka razy zerknęła na Pirxa spod oka — nie jak przystojna dziewczyna, ale jak przestraszony człowiek. Gdy Pirx to zauważył, zrobiło om się jej trochę jakby żal, a zarazem poczuł, że to wszystko jest kompletnie obłąkańczą awanturą, i prawie nieoczekiwanie dla siebie odezwał się:

— Pani ich widziała?

— Tak. Przez chwilę. Przelotnie.

— I jacy są?

— Pan ich nie widział?

Prawie się ucieszyła. Jak gdyby ci, co dobrze ich znali, należeli już do jakiejś obcej, może nawet wrogiej konspiracji, nakazującej najwyższą nieufność.

— Jest ich sześciu. Jeden mówił ze mną. Zupełnie niepodobny, mówię panu! Zupełnie! Gdybym go spotkała na ulicy; nigdy bym nawet nie pomyślała. Ale, jak się przyjrzałam z bliska, ma coś takiego w oczach — i tu... — dotknęła ust.

— A reszta?

— Nawet nie weszli do pokoju, stali w korytarzu... Wsiedli do windy, pomknęła w górę, złotawe ziarenka światła, odliczającego kondygnacje, gorliwie przesypywały się w ścianie, Pirx miał dziewczynę naprzeciw siebie i dobrze mógł ocenić rezultaty wysiłku, jakim odebrała sobie, za pomocą kredki, tuszu i szminki, ostatnie ślady własnej indywidualności, aby stać się czasowo sobowtórem Indy Lae, czy jak się tam nazywała w nowy sposób rozczochrana gwiazda sezonu. Gdy zatrzepotała powiekami, zląkł się o całość sztucznych rzęs.

— Roboty... — powiedziała piersiowym szeptem i otrząsnęła się jak pod dotknięciem gada.

W pokoju na dziesiątym piętrze siedziało sześciu mężczyzn. Kiedy Pirx wszedł, jeden, który zasłonięty był wielką płachtą „Herald Tribune”, złożył ją i wstał, idąc ku niemu z szerokim uśmiechem, a wtedy wstali i tamci.

Byli mniej więcej jednego wzrostu i przypominali pilotów eksperymentalnych w cywilu: barczyści, ubrani w podobne, piaskowe garnitury, w białych koszulach z kolorowymi muszkami. Dwaj byli blondynami, jeden rudy jak płomień, inni ciemnowłosi — lecz wszyscy o jasnych oczach. Tyle zdążył zauważyć, nim ten, który podszedł do niego, podał mu rękę i potrząsając nią mocno powiedział:

— Jestem Mc Guirr, jak się pan ma?! Miałem przyjemność podróżować raz statkiem, którym pan dowodził, „Polluksem”! Ale pan mnie pewno nie pamięta...

— Nie — rzekł Pirx. Mc Guirr odwrócił się do mężczyzn stojących nieruchomo wokół okrągłego stołu z czasopismami.

— Chłopcy, oto wasz dowódca, komandor Mr Pirx. A to pana załoga, komandorze: pierwszy pilot John Calder, drugi pilot Harry Brown, inżynier nukleonik Andy Thomson, radiowiec — elektronik John Burton oraz neurolog, cybernetyk i lekarz w jednej osobie — Tomasz Burns.

Pirx podał im po kolei rękę, potem wszyscy siedli, przysuwając gnące się pod ciężarem ciała metalowe krzesła do stołu. Przez parę sekund panowała cisza, którą Mc Guirr przerwał swym hałaśliwym barytonem.

— Najpierw chciałem podziękować panu w imieniu dyrekcji „Cybertonics”, „Inteltronu” i „Nortronics” za to, że przyjmując ofertę UNESCO wykazał pan takie zaufanie do naszych starań. Aby wykluczyć możliwość wszelkich nieporozumień, od razu muszę wyjaśnić, że niektórzy z obecnych przyszli na świat z ojca i matki, a niektórzy — nie. Każdy z nich orientuje się we własnym pochodzeniu, lecz nie wie nic o pochodzeniu innych. Zwracam się do pana z prośbą, by zechciał pan ich o to nie pytać. Pod każdym innym względem ma pan absolutną swobodę. Na pewno będą dobrze spełniać pana rozkazy i wykażą w stosunkach służbowych i pozasłużbowych inicjatywę i szczerłość. Zostali jednak tak pouczeni, że na pytanie, kim jest, każdy odpowie to samo: zupełnie zwyczajnym człowiekiem. Mówię to od razu, ponieważ to nie będzie kłamstwo, lecz konieczność, podyktowana wspólnym naszym interesem...

— Więc nie mogę ich o to pytać?

— Może pan. Oczywiście, że pan może, ale wtedy będzie pan miał nieprzyjemną świadomość, że niektórzy nie mówią prawdy, więc czy nie lepiej tego zaniechać? Powiedzą zawsze to samo, że są zwykłymi chłopakami, ale nie w każdym przypadku będzie to prawdą.

— A w pańskim? — spytał Pirx. Po ułamku sekundy wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem. Najgłośniej śmiał się sam Mc Guirr.

— O! Kawalarz z pana! Ja, ja jestem tylko małym kółeczkiem zębatym w maszynie „Nortronics”...

Pirx, który się nawet nie uśmiechnął, czekał, aż nastanie cisza.

— Czy nie wydaje się panu, że próbujecie mnie podejść? — spytał wtedy.

— Przepraszam! Jak pan to rozumie?! Nic podobnego! Warunki przewidywały „nowy rodzaj załogi”. Nie było w nich ani słowa o tym, czy to będzie załoga jednorodna — nieprawdaż? Pragnęliśmy po prostu wykluczyć możliwości pewnego, hm, czysto psychologicznego, irracjonalnego uprzedzenia negatywnego, wie pan. Przecież to jasne! Nieprawdaż? Podczas rejsu i po nim, w oparciu o jego przebieg, zechce pan przedstawić swą opinię o jakości wszystkich, członków załogi. Wszechstronną opinię, na której nam jak najbardziej zależy. My tylko postaraliśmy się utworzyć warunki takie, aby pan mógł działać z najwyższym, bezstronnym obiektywizmem!

— Bóg zapłać! — rzekł Pirx. — Niemniej uważam, żeście mnie podeszli. Jednak nie mam się zamiaru wycofać.

— Brawo!

— Chciałbym jeszcze, już teraz, porozmawiać chwilę z moimi — zawahał się przez drobny ułamek sekundy — ludźmi...

— Pan pragnie się może zorientować w ich kwalifikacjach? Zresztą, nie ograniczam! Proszę strzelać! Proszę!

Mc Guirr wydobył z górnej kieszeni surduta cygaro i odciąższy koniec wziął się do zapalania, a tymczasem pięć par spokojnych oczu uważnie spoczywało na twarzy Pirxa. Obaj jasnowłosi, którzy byli pilotami, wykazywali pewne podobieństwo. Calder wyglądał jednak bardziej na Skandynawa, a jego kręte włosy były mocno wyblakłe, jak od słońca. Brown za to był prawdziwie złotowłosy, przypominał trochę cherubina z żurnala mód, ale ten zbytek urody łagodziły jego szczęki i nieustanne, drwiące jakby skrzywienie bezbarwnych, cienkich ust. Od lewego ich kąta szła skosem przez policzek biała blizna. Na nim właśnie znieruchomiał wzrok Pirxa.

— Doskonale — rzekł, jakby ze sporym opóźnieniem odpowiadając Mc Guirrowi, i tym samym tonem, jakby od niechcienia, spytał, patrząc na mężczyznę z blizną:

— Czy pan wierzy w Boga?

Wargi Browna drgnęły, jak w powstrzymanym uśmiechu czy skrzywieniu, i nie od razu odpowiedział. Wyglądał, jakby się świeżo ogolił, nawet z pewnym pośpiechem; koła ucha zostało kilka włosów, na policzkach widniały ślady niedokładnie startego pudru.

— To... nie należy do moich obowiązków — powiedział głosem o przyjemnym, niskim brzmieniu. Mc Guirr, który właśnie zaciągał się cygarem, znieruchomiał, nieprzyjemnie dotknięty pytaniem Pirxa i, mrugając, gwałtownie wydmuchnął dym, jakby mówił: „A widzisz? Trafiła kosa na kamień!”

— Panie Brown — powiedział wciąż takim samym flegmatycznym tonem Pirx — pan mi nie odpowiedział na pytanie.

— Przepraszam, komandorze. Powiedziałem panu, że to nie należy do moich obowiązków.

— Jako pana przełożony decyduję o tym, co należy do pana obowiązków — odparował Pirx. Twarz Mc Guirra wyrażała zaskoczenie. Tamci siedzieli bez ruchu, z widoczną uwagą przysłuchując się tej wymianie słów — właśnie jak wzorowi uczniowie.

— Jeśli to jest rozkaz — odpowiedział miękko, wyraźnie modulowanym barytonem Brown — to mogę tylko wyjaśnić, że się tym problemem specjalnie nie zajmowałem.

— Więc proszę go przemyśleć do jutra. Od tego uzależniam pana obecność na pokładzie.

— Tak jest, nawigatorze.

Pirx zwrócił się do Caldera, pierwszego pilota, oczy ich spotkały się, tęczęwki tamtego były prawie bezbarwne, odbijały się w nich wielkie okna pokoju:

— Pan jest pilotem?

— Tak.

— Z jakim doświadczeniem?

— Mam ukończony kurs podwójnego pilotażu oraz dwieście dziewięćdziesiąt solowych godzin w przestrzeni na małym tonażu, dziesięć lądowań samodzielnych, w tym cztery na Księżycu, dwa na Marsie i na Wenus.

Pirx zdawał się nie zwracać większej uwagi na tę odpowiedź.

— Burton — zwrócił się do następnego — pan jest elektronikiem?

— Tak.

— Ile rentgenów może pan znieść w ciągu godziny?

Tamtemu drgnęły wargi. Nie był to nawet uśmiech. Zaraz znikł.

— Myślę, że ze czterysta — powiedział, — Najwyżej. Ale trzeba by się potem leczyć.

— Więcej niż czterysta nie?

— Nie wiem, ale chyba nie.

— Skąd pan pochodzi?

— Z Arizony.

— Chorował pan?

— Nie. W każdym razie na nic poważnego.

— Pan ma dobry wzrok?

— Dobry.

Pirx nie słuchał właściwie tego, co mówili. Zważał raczej na dźwięk głosu, jego modulację, brzmienie, na ruchy twarzy, warg, i ogarniała go chwilami irracjonalna nadzieja, że to wszystko jest tylko jednym wielkim a głupim żartem, kpina, że chciano pobawić się nim, zadrwić z jego naiwnej wiary we wszechmoc technologii. A może ukarać go w ten sposób za to, że tak w nią wierzył? Bo to przecież byli zupełnie zwyczajni ludzie; sekretarka mówiła od rzeczy — cóż znaczy uprzedzenie! Mc Guirra wzięła przecież także za jednego z nich...

Rozmowa była dotąd błaha — gdyby nie ów niezbyt mądry koncept z Panem Bogiem. Nie był mądry na pewno, niesmaczny i prymitywny raczej, Pirx czuł to doskonale, miał się za osobnika ograniczonego do tępoty, tylko przez nią zgodził się... Tamci patrzyli na niego jak przedtem, ale wydało mu się, że rudy, Thomson i obaj piloci przybrali wyraz twarzy aż

przesadnie obojętny, jak gdyby nie chcieli dać mu do poznania, że już ze wszystkim przejrzeni jego prymitywną duszę rutyniarza, wytraconego teraz kompletnie ze znanej sobie, rozumiałej i bezpiecznej przez to równowagi. Chciał pytać „ich dalej, tym bardziej że milczenie, które poczęło narastać, zwracało się przeciwko niemu, stając się świadectwem jego bezradności, lecz nie mógł: po prostu nic wymyślić; już tylko rozpacz, nie zdrowy rozsądek, podszeptowała, by uczynić coś dziwacznego, na poły szalonego, ale wiedział dobrze, że nie przecież takiego nie robi. Czuł, że ośmieszył się, należało zrezygnować z tego spotkania; popatrzył na Mc Guirra,

— Kiedy mogę wejść na pokład?

— Ach, w każdej chwili, nawet dziś

— Co będzie z kontrolą sanitarną?

— Proszę o tym nie myśleć. Wszystko już załatwione. Inżynier odpowiadał mu niemal pobłaźliwie, tak mu się przynajmniej wydało.

— Nie umiem dobrze przegrywać — pomyślał. A głośno rzekł:

— To wszystko. Oprócz Browna wszyscy możecie się uważać za członków załogi. Brown zechce odpowiedzieć mi jutro na pytanie, które mu zadałem. Mc Guirr, ma pan przy sobie te papiery do podpisu?

— Mam, ale nie tu. Są w dyrekcji. Pójdziemy tam?

— Dobrze.

Pirx wstał. Wszyscy uczynili to samo.

— Do zobaczenia — skinął im głową i wyszedł pierwszy. Inżynier dogonił go przy windzie.

— Pan nas nie doceniał, komandorze... Całkowicie odzyskał dobry humor.

— Jak mam to rozumieć?

Winda ruszyła. Inżynier podniósł ostrożnie cygaro do ust, by nie stracić siwego stożka popiołu.

— Naszych chłopców nie da się tak łatwo odróżnić od... zwyczajnych.

Pirx wzruszył ramionami.

— Jeżeli są z tego samego materiału co ja — powiedział — to są ludźmi, a czy powstałi przez jakieś sztuczne zapłodnienie w próbówce, czy w sposób bardziej obiegowy — nie obchodzi mnie to wcale.

— Och, nie, nie są z tego samego materiału!

— A z jakiego?

— Proszę wybaczyć, to tajemnica produkcyjna.

— Kim pan jest?

Winda stanęła. Inżynier otworzył drzwi, ale Pirx, czekając na odpowiedź, nie ruszył się z miejsca.

— Chodzi panu o to, czy jestem projektantem? Nie. Pracuję w dziale public relations.

— I jest pan kompetentny, by odpowiedzieć mi na kilka pytań?

— Naturalnie, ale chyba nie tu?

Ta sama sekretarka wprowadziła ich do dużego pokoju Konferencyjnego.

Za długim stołem stały dwa rzędy foteli w idealnym orydyku. Siedli u końca owego stołu, tam gdzie leżała otwarta teczka z umowami.

— Słucham pana — rzekł Mc Guirr. Popiół spadł mu na spodnie, zdmuchnął go, Pirx zauważył, że inżynier ma przekrwione oczy i nadmiernie równe zęby. Sztuczne pomyślał. — Udaje młodszego, niż jest.

— Czy ci, którzy... nie są ludźmi, zachowują się jak ludzie? Spożywają posiłki? Piją?

— Tak.

— Po co?

— Aby złudzenie było zupełne. Dla otoczenia; rzecz oczywista.

— Więc muszą się potem tego... pozbywać?

— No, tak.

— A krew?

— Proszę?

— Czy mają krew? Serce? Czy krwawią — zranieni?

— Mają... pozory krwi i serca — powiedział Mc Guirr, dobierając słów z wyraźną ostrożnością.

— Co to znaczy?

— Że tylko dobry specjalista lekarz, po wszechstronnym badaniu, mógłby się zorientować...

— A ja nie?

— Nie. Oczywiście, wyłączając zastosowanie jakichś specjalnych urządzeń.

— Rentgena?

— Pan jest domyślny! Ale nie będzie go pan miał na pokładzie.

— Tego nie wymyślił żaden fachowiec — rzekł spokojnie Pirx. — Mogę mieć tyle izotopów ze stosu, ile zechcę, no i muszę też mieć na pokładzie aparaty do defektoskopii; rentgen całkiem mi więc niepotrzebny.

— Nie mamy zastrzeżeń co do tej aparatury, o ile zobowiąże się pan nie używać jej do żadnych innych celów.

— A jeżeli się nie zgodzę?

Mc Guirr westchnął i dusząc cygaro w popielniczkę, jakby nabrał do niego nagle obrzydzenia, rzekł:

— Komandorze... pan stara się to nam utrudnić, jak się tylko da!

— To prawda! — serdecznie odparł Pirx. — Więc oni mogą krwawić?

— Tak.

— I to jest krew? Także pod mikroskopem?

— Tak, to jest krew.

— Jakaście to zrobili?

— Imponujące, nie? — Mc Guirr uśmiechnął się szeroko. — Mogę panu powiedzieć tylko bardzo ogólnikowo: zasada gąbki. Podskórnej, specjalnej gąbki.

— To ludzka krew?

— Tak.

— Po co?

— Na pewno nie po to, aby wywieść w pole p a n a . Proszę zrozumieć, przecież nie dla p a n a uruchomiona została produkcja kosztem miliardów dolarów! Oni muszą wyglądać tak, być tacy, aby w żadnych okolicznościach nikomu z pasażerów czy innych ludzi nie przyszło nawet do głowy podejrzewać...

— Chodzi o uniknięcie bojkotu waszych „produktów”?

— O to też. No i o komfort, o wygodę psychologiczną...

— A pan potrafi ich rozróżnić?

— Tylko dlatego, że ich znam. No... są sposoby... gwałtowne... ale przecież nie będzie pan używał siekiery!

— Pan mi nie powie, czym oni się różnią od ludzi pod względem fizjologicznym? Oddychanie, kaszel, rumieńce...

— Ach, to wszystko zostało zrobione. Są różnice, pewne, ale powiedziałem już panu: poznałby się na nich tylko lekarz.

— A pod względem psychicznym?

— Mózg mają w głowie! To nasz największy triumf! — rzekł Mc Guirr z prawdziwą dumą. — „Inteltron” umiejscawiał go dotychczas w kadłubie, bo był zbyt wielki. Dopiero my pierwsi przenieśliśmy go do głowy!

- Powiedzmy, drudzy: pierwsza była Natura...
- Cha, cha! No, więc drudzy. Ale szczegóły są tajemnicą. To multistat monokrystaliczny, z szesnastoma miliardami elementów dwójkowych!
- A czy to, do czego są zdolni, także jest tajemnicą?
- Co pan ma na myśli?
- Na przykład to, że mogą kłamać... w jakim zakresie mogą kłamać... że mogą utracić panowanie nad sobą więc i nad sytuacją...
- Owszem. To wszystko możliwe.
- Dlaczego?
- Dlatego, że to nieuniknione. Wszelkie — mówiąc obrazowo — hamulce, wprowadzone w sieć neutronową, czy krystaliczną, są względne, są do pokonania. Mówią to, bo pan powinien znać prawdę. Zresztą, jeśli choć trochę zna pan literaturę przedmiotu, wie pan, że robot, który by zarazem umyslowo dorównywał człowiekowi, a nie był zdolny do kłamstwa czy oszukiwania, jest czystą fikcją. Można produkować albo pełnowartościowe równoważniki człowieka, albo marionetki. Trzeciej drogi nie ma.
- Istota zdolna do pewnych czynów tym samym musi być zdolna do innych czynów, tak?
- Tak. Oczywiście, to jest nierentowne. Na razie przynajmniej. Psychiczna wszechstronność, nie mówiąc nawet o człękkształtności, potwornie kosztuje. Modele, które pan dostaje, są wytworzone tylko w bardzo nielicznych prototypach — jako nieopłacalne. Koszt jednego jest większy od kosztu naddźwiękowego bombowca!
- Co pan mówi!
- Oczywiście, wliczywszy koszty wszystkich badań, które budowę poprzedziły. Będziemy te automaty oferowali produkowane, być może, z taśmy; i pewnie je nawet udoskonalimy, chociaż to już chyba niemożliwe. Dajemy panu to, co mamy najlepszego. Utrata więc panowania nad sobą, jakies załamanie się, chociaż nie do wykluczenia, będzie z reguły mniej prawdopodobne aniżeli u człowieka w tej samej sytuacji!
- Czy były robione takie doświadczenia?
- Oczywiście!
- I ludzie stanowili próby kontrolne?
- Było i tak.
- Sytuacje katastrofalne? Grożące zagładą?
- Właśnie takie.
- A rezultaty?
- Ludzie są bardziej zawodni.
- A jak z ich agresywnością?
- Chodzi panu o ich stosunek do człowieka?
- Nie tylko.
- Może pan być spokojny. Mają wbudowane inhibitory, tak zwane układy wyładowania wstecznego, amortyzujące niejako potencjały agresji.
- Zawsze?
- Nie, to niemożliwe. Mózg jest układem probabilistycznym, nasz także. Można w nim zwiększać prawdopodobieństwo określonych stanów, ale nigdy nie ma się całkowitej pewności. Mimo to — i pod tym względem przewyższają człowieka!
- A co się stanie, jeśli będę próbował strzaskać któremuś głowę?
- Będzie się bronił.
- Czy będzie usiłował mnie zabić?
- Nie, ograniczy się do obrony.
- A jeśli jedyną możliwością obrony będzie atak?
- Wtedy zaatakuje pana.
- Proszę mi dać te umowy — powiedział Pirx. Pióro skrzypiało w ciszy. Inżynier złożył

formularze i schował je do teczki.

— Pan wraca do Stanów?

— Tak, jutro.

— Może pan zakomunikować przełożonym, że postaram się wycisnąć z nich wszystko najgorsze — rzekł Pirx.

— Rozumie się! Na to właśnie liczymy! Bo nawet w tym najgorszym jeszcze są lepsi od człowieka! Tylko...

— Pan chciał coś powiedzieć?

— Pan jest człowiekiem odważnym. Ale... we własnym interesie doradzam ostrożność.

— Żeby się do mnie nie wzięli? Pirx uśmiechnął się mimo woli.

— Nie. Żeby się to nie skrupiło właśnie na panu: bo pierwszej, wcześniej, „wysiądą” panu ludzie. Zwykli, poczciwi, zacni chłopcy. Rozumie pan?

— Rozumiem — odparł Pirx. — Czas na mnie. Muszę przejąć dziś statek.

— Mam na dachu helikopter — rzekł Mc Guirr wstając. — Podrzucić pana?

— Nie, dziękuję. Pojadę metrem. Nie lubię ryzykować, wie pan... Więc powie pan przełożonym, jak czarne mam zamiary?

— Jak pan sobie życzy.

Mc Guirr szukał w kieszeni następnego cygara.

— Muszę powiedzieć, że zachowuje się pan raczej dziwnie. Czego pan właściwie od nich chce? To nie są ludzie, tego nikt nie twierdzi. To doskonali fachowcy, a przy tym naprawdę zacni! Mówię panu! Zrobią dla pana wszystko!

— Postaram się, żeby zrobili jeszcze więcej — odparł Pirx.

* * *

Pirx rzeczywiście nie darował Brownowi sprawy Pana Boga i umyślnie zatelefonował do niego następnego dnia; w UNESCO podano mu numer telefonu, dzięki któremu mógł osiągnąć swego „nieliniowego pilota”. Poznał nawet jego głos, gdy nakręcił ów numer.

— Czekałem na pana — powiedział Brown.

— No i jak się pan zdecydował? — spytał Pirx. Było mu przy tym dziwnie ciężko na sercu; znacznie lepiej czuł się, kiedy podpisywał papiery Mc Guirrowi. Wydawało mu się wówczas, że da temu radę. Teraz nie był już taki pewny siebie.

— Miałem mało czasu — rzekł Brown swym równym, miłym głosem. — Dlatego mogę powiedzieć tylko tyle: nauczono mnie podejścia probabilistycznego. Obliczam szansę i na tej podstawie działam. A w tym wypadku — dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że „nie”, a może nawet dziewięćdziesiąt dziewięć i osiem dziesiątych, ale jedna setna szansy, że tak.

— Że jest?

— Tak.

— Dobrze. Może się pan zgłosić z innymi. Do zobaczenia.

— Do widzenia — odparł miękki baryton i słuchawka dźwiękła, odłożona. Pirx przypomniał sobie, nie wiedzieć czemu, tę rozmowę, kiedy jechał do portu raketowego. Nie wiadomo, kto załatwił już wszystkie formalności w kapitanacie — może UNESCO, a może firmy, które mu „wyprodukowały” załogę. Dość, że nie było ani normalnej kontroli sanitarnej, ani też nikt nie żądał papierów jego „ludzi” — a start wyznaczono na godzinę drugą czterdzieści pięć, to znaczy miał się odbyć wtedy, gdy ruch jest najmniejszy. Trzy spore satelitarne przekaźniki dla Saturna znajdowały się już w lukach. „Goliat” był statkiem średniego tonażu, z wysoką automatyzacją obsługi; niezbyt duży — ledwo sześć tysięcy ton masy spoczynkowej — ale wypuszczony ze stoczni dopiero przed dwoma laty, posiadał doskonały, zupełnie pozbawiony wahań termicznych stos na szybkie neutrony, który

zajmował dosłownie dziesięć metrów sześciennych, a więc tyle co nic, a miał nominalną moc czterdziestu pięciu milionów koni, ze szczytem w siedemdziesięciu dla przyspieszeń krótkotrwałych.

Pirx właściwie nie wiedział nic o tym, co się z jego „ludźmi” działo w Paryżu — czy zatrzymali się w hotelu, czy jakaś firma wynajęła im mieszkanie (a nawet przeszła mu przez głowę tyleż groteskowa, co makabryczna myśl, że ich tam jakoś inżynier Mc Guirr „powyłączał” i na te dwa dni powkładał do skrzyń) — ani nawet, jak się dostali do portu.

Czekali w osobnym pokoju kapitanatu, przy czym wszyscy mieli walizki, jakieś zawiniątka i małe nesesery z dyndającymi przy uchwytach wizytówkami. Pirxowi, kiedy to widział, mimo woli przechodziły przez myśl różne idiotyczne dowcipy, że pewno mają tam klucze francuskie i toaletowe oliwiarki, i tak dalej. Ale nie było mu wcale do śmiechu, kiedy, przywitawszy się z nimi, złożył uprawnienia i papiery, niezbędne dla potwierdzenia gotowości startowej, po czym, dwie godziny przed wyznaczonym czasem, wyszli na płytę oświetloną jedynym reflektorem i gęsiego ruszyli ku białemu jak śnieg „Goliatowi”. Wyglądał trochę jak olbrzymia, świeżo wypakowana głowa cukru.

Start nie był problemem. „Goliatem” dałoby się wystartować bez żadnej niemal pomocy, nastawiwszy tylko programy wszystkich automatycznych i półautomatycznych urządzeń. Nie minęło ani pół godziny, a już pozostawili za sobą nocną półkulę Ziemi z jej fosforyczną wysypką miast; Pirx wyjrzał wtedy, bo chociaż atmosferę, którą swymi promieniami o świtanie słońce czesze „pod włos”, widział z przestrzeni niejednokrotnie, wspaniałe to widowisko — ów olbrzymi sierp tęczy płonącej — jeszcze mu się wcale nie znudziło. Minąwszy parę minut potem ostatniego nawigacyjnego satelitę, w gęstym ciurkaniu i popiskiwaniu sygnałów, którymi pęczniały pracujące maszyny informacyjne („elektronowa biurokracja Kosmosu”, jak je Pirx nazywał), wyszli ponad ekliptykę. Pirx polecił wówczas pierwszemu pilotowi, aby pozostał przy sterach, a sam udał się do swojej kajuty. Nie minęło ani dziesięć minut, gdy usłyszał pukanie.

— Proszę!

Wszedł Brown. Zamknął starannie drzwi, podszedł Pirxa, który siedział na swojej koi, i odezwał się stłumionym głosem:

— Chciałbym z panem porozmawiać.

— Proszę. Niech pan siada.

Brown opuścił się na krzesło, ale jakby uznawszy, odległość, jaka ich dzieli, jest zbyt wielka, przysunął je bliżej, przez chwilę milczał z opuszczonymi oczami, nagle patrzył prosto w twarz dowódcy i rzekł:

— Chcę panu coś powiedzieć. Ale muszę prosić o dyskrecję. O słowo, że pan tego nikomu nie powtórzy.

Pirx uniósł brwi.

— Tajemnice?

Namyślał się przez kilka sekund.

— Zgoda, nie powtórzę tego nikomu — powiedział wreszcie. — Słucham.

— Jestem człowiekiem — rzekł tamten i urwał, patrz: Pirxowi w oczy, jakby pragnął sprawdzić efekt tych słów. Pirx jednak, z w półprzymkniętymi powiekami, oparty głową o ścianę wyścielaną białym pianoplastykiem, trwał ruchu.

— Mówię to, bo chcę panu pomóc — zaczął tamten tak, jakby mówił coś, co już poprzednio sobie obmyślił. — Kiedy składałem ofertę, nie wiedziałem, o co chodzi. Takich jak ja było na pewno wielu — ale przyjmowano nas oddzielnie, abyśmy nie mogli się poznać ani nawet zobaczyć. O tym, co właściwie mi przeznaczają, dowiedziałem się dopiero, kiedy zostałem definitywnie wybrany, po wszystkich lotach, próbach i testach. Musiałem wtedy zaręczyć, że absolutnie nic nie wyjawię. Mam dziewczynę, chcemy się pobrać, ale były trudności finansowe — a to mnie urządzało wprost nadzwyczajnie, bo dali mi od razu osiem

tysięcy, a drugie tyle mam dostać po powrocie z tego rejsu bez względu na jego rezultat. Mówię panu wszystko, jak było, bo chcę, aby pan wiedział, że jestem w tej sprawie w porządku. Prawdę mówiąc, w pierwszej chwili nie zdawałem sobie sprawy z tego, o jaką stawkę idzie gra. Dziwaczny eksperyment i tyle — tak początkowo myślałem. Ale potem zaczęło mi się to coraz mniej podobać. Przecież, w końcu, to jest kwestia jakiejś elementarnej solidarności międzyludzkiej. Mam milczeć wbrew ich interesom? Uznałem, że mi nie wolno. Czy pan tak nie sądzi?

Pirx milczał, więc tamten po chwili podjął, ale już jakby odrobinę mniej pewnie:

— Z tej czwórki nie znam nikogo. Przez cały czas trzymano nas oddzielnie. Każdy miał własny pokój, własną łazienkę, własną salę gimnastyczną, nie stykaliśmy się nawet przy posiłkach, dopiero przed samym wyjazdem do Europy mogliśmy jadać wspólnie przez trzy dni. Dlatego nie mogą panu powiedzieć, który z nich jest człowiekiem, a który nie. Na pewno nie wiem nic. Podejrzewam jednak...

— Zaraz — przerwał mu Pirx. — A dlaczego odpowiedział mi pan na pytanie o Bogu, że zajmowanie się tą kwestią „nie jest pana obowiązkiem”?

Brown poprawił się ha krzesło, poruszył nogą i patrząc w czubek bucika, którym rysował podłogę, powiedział cicho:

— Bo ja właściwie już wtedy byłem zdecydowany wszystko panu powiedzieć i — pan wie, jak to jest: na złodzieju czapka gore. Bałem się, żeby Mc Guirr nie wyczuł jakoś mojej decyzji. Więc kiedy pan mnie spytał, odpowiedziałem w taki sposób, żeby jemu wydało się, że mam zamiar zachować solennie tajemnicę i na pewno nie pomogę panu zorientować się w tym, kim naprawdę jestem.

— Więc umyślnie odpowiedział pan w taki sposób ze względu na obecność Mc Guirra?

— Tak.

— A wierzy pan w Boga?

— Wierzę.

— I myślał pan, że robot nie powinien wierzyć?

— No tak.

— I że gdyby pan powiedział „wierzę”, można by się łatwiej domyślić tego, kim pan jest?

— Tak. Tak właśnie było.

— Ale przecież i robot może wierzyć w Boga — powiedział Pirx po sekundzie, tonem lekkim, jakby mimochodem, aż tamten oczy szerzej otworzył.

— Co pan mówi?

— Uważa pan, że to niemożliwe?

— Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy...

— Zostawmy to. Rzecz jest — przynajmniej w tej chwili — bez znaczenia. Pan mówił o jakichś swoich podejrzeniach...

— Tak. Wydaje mi się, że ten ciemny — Burns — nie jest człowiekiem.

— Dlaczego panu się tak wydaje?

— To są drobiazgi, trudne do uchwycenia, ale w sumie się liczą. Najpierw — kiedy siedzi albo kiedy stoi, w ogóle się nie porusza. Jak posąg. A przecież pan wie, że żaden człowiek nie może długo przebywać idealnie w tej samej pozycji. Gdy się robi niewygodnie, noga ścierpnie — człowiek się mimo woli poprawi, poruszy, dotknie twarzy, a on wprost zastyga.

— Zawsze?

— Nie. Właśnie, że nie zawsze, i to mi się wydało szczególnie znamienne.

— Dlaczego?

— Myślę sobie, że on wykonuje takie drobne, niby to mimowolne poruszenia, kiedy o tym specjalnie pamięta, a kiedy zapomni — nieruchomieje. Natomiast u nas jest odwrotnie: my właśnie musimy się wyczerpać, żeby pozostać jakiś czas bez ruchu.

— Coś w tym jest. Co więcej?

— On wszystko je.

— Jak to „wszystko”?

— Cokolwiek dają. Jemu jest zupełnie wszystko jedno. Zauważyłem to już wiele razy, także w podróży, kiedy lecieliśmy przez Atlantyk. I w Stanach jeszcze, i w restauracji na lotnisku — je zupełnie obojętnie to, co podadzą, a przecież każdy ma zwykle jakieś upodobania, no i czegoś tam nie lubi.

— To nie żaden dowód.

— Ach, nie, pewno, że nie. Ale razem z tamtym, wie pan. Poza tym jeszcze jedna rzecz.

— No?

— On nie pisze listów. Tego to już nie mogę być stuprocentowo pewny, ale sam na przykład widziałem, jak Burton wrzucał w hotelu list do skrzynki.

— A wolno wam pisać listy?

— Nie.

— Jak widzę, pilnie przestrzegacie warunków umowy! — mruknął Pirx. Wyprostował się na łóżku i przybliżając twarz do twarzy Browna, powoli spytał:

— Dlaczego złamał pan dane słowo?

— Co? Co pan mówi?! Komandorze!

— Przecież dał pan słowo, że zachowa swoją identyczność w tajemnicy.

— A! Tak. Dałem. Uważam jednak, że są sytuacje, w których człowiek nie tylko ma prawo to zrobić, ale jest to nawet jego obowiązkiem.

— Na przykład?

— To właśnie jest taka sytuacja. Wzięli metalowe kukły, okleili je plastykiem, uróżowali, przemieszali z ludźmi, jak fałszywe karty, i chcą zrobić na tym wielkie pieniądze. Myślę sobie, że każdy uczciwy człowiek postąpiłby tak jak ja — czy nikt nie przyszedł z tym do pana?

— Nie. Pan jest pierwszy. Ale dopiero co wystartowaliśmy... — rzekł Pirx, a choć powiedział to zupełnie obojętnie, słowa nie były pozbawione ironii; Brown jednak, jeśli to zauważył, nie dał po sobie nic poznać.

— Będę się starał w dalszym ciągu pomagać panu podczas całego rejsu. I zrobię ze swej strony wszystko, co pan uzna za wskazane.

— Po co?

Brown zamrugnął lalkowatymi rzęsami.

— Jak to — po co? Żeby panu łatwiej przyszło odróżnić ludzi od nie ludzi...

— Pan wziął tych osiem tysięcy dolarów, Brown.

— Tak. I co z tego? Zostałem zaangażowany jako pilot. Jestem pilotem. I to nie najgorszym.

— Po powrocie weźmie pan drugie osiem tysięcy, za tych kilka tygodni. Za taki rejs nikt nie daje nikomu szesnastu tysięcy dolarów, ani pilotowi pierwszej klasy kosmodromicznej, ani locmanowi, ani nawigatorowi. Nikomu. Więc dostał pan te pieniądze za milczenie. Nie tylko wobec mnie; wobec wszystkich — konkurencji tych firm chociażby. Chcieli uchronić pana od wszelkich pokus.

Tamten patrzył na niego z osłupieniem na swej ładnej twarzy.

— To pan ma mi jeszcze za złe, że sam przyszedłem i powiedziałem?...

— Nie. Nie mam panu niczego za złe. Postąpił pan jak uważał pan za właściwe. Jaki jest pana IQ?

— Iloraz inteligencji? Sto dwadzieścia.

— To dosyć, żeby się pan orientował w różnych stawowych rzeczach. Niech no mi pan powie, co ja właściwie mam z tego, że pan podzielił się ze mną swoimi podejrzeniami na temat Burnsa?

Młody pilot wstał.

— Komandorze, proszę wybaczyć. Jeżeli tak — to było nieporozumienie. Chciałem najlepiej. Ale wobec tego, że pan uważa, że ja... jednym słowem, proszę o tym zapomnieć... i pamiętać tylko...

Nie dokończył na widok uśmiechu Pirxa.

— Siadaj pan. Siadajże pan, no! Brown usiadł.

— Czego pan nie dopowiedział? O czym mam pamiętać? O tym, że obiecałem nie powtórzyć nikomu naszej rozmowy? Prawda? No, bo gdybym ja z kolei uznał, że mogę ją powtórzyć? Cicho! Nie przerywa się dowódcy. Widzi pan, to nie jest taka prosta sprawa. Pan przyszedł do mnie w zaufaniu — i zaufanie to umiem ocenić. Ale... co innego zaufanie, a co innego — rozsądek. Powiedzmy, że ja już wiem na pewno, dzięki panu, kim pan jest i kim — Burns. Co będę z tego miał?

— To... już pana rzecz. Pan ma, po tym rejsie, ocenić przydatność...

— O, właśnie! Przydatność każdego. Ale przecież pan sobie nie myśli, Brown, że ja będę pisał nieprawdę? Że ja! minusy powpisuję nie tym, którzy będą gorsi, ale tym, którzy nie są ludźmi?

— To nie jest moja rzecz — sztywno zaczął pilot, poruszając się niespokojnie na krześle podczas tej przemowy. Pirx zmierzył go oczami tak, że zamilkł.

— Tylko proszę nie zgrywać mi tu takiego karnego kaprala, który wyżej swego paska nie patrzy. Jeżeli pan jest człowiekiem i poczuwa się do solidarności z ludźmi, to musi pan próbować oceny całej tej historii i czuć własną odpowiedzialność...

— Jak to „jeżeli”? — tamten drgnął. — Pan mi nie wierzy? To... to pan myśli...

— Ale skąd! Tak mi się powiedziało! — szybko odparował jego słowa Pirx. — Wierzę panu. Jasne, że panu wierzę, ponieważ pan się już zdradził, a ja nie mam zamiaru oceniać tego pod względem moralnym czy tam innym, proszę, aby pan nadal utrzymywał ze mną pozasłużbowy kontakt i mówił mi o wszystkim, co pan zauważy.

— Teraz to już nic nie rozumiem — powiedział Brown i mimo woli westchnął. — Najpierw beszta mnie pan, a teraz...

— To są dwie różne sprawy, Brown. Skoro powiedział mi pan to, czego nie miał mówić, jakieś wycofywanie się byłoby zupełnie bez sensu. Inna rzecz, naturalnie, z tą forszą. Może i należało mówić. Ale, na pana miejscu, tych pieniędzy bym nie brał.

— Co? Ależ... ależ, panie komandorze — Brown szukał rozpaczliwie argumentów, aż znalazł: — Oni by się natychmiast zorientowali, że złamałem umowę! Jeszcze by mnie zaskarżyli...

— To jest pańska rzecz. Nie mówię, że ma pan oddać te pieniądze. Obiecałem dyskrecję i nie mam zamiaru mieszać się do tego. Powiedziałem tylko, zupełnie prywatnie i nieobowiązująco, co ja bym na pana miejscu zrobił, ale pan nie jest mną, ja nie jestem panem, i na tym koniec. Czy jeszcze coś?

Brown potrząsnął głową, otworzył usta, zamknął je, wzruszył ramionami, okazując coś więcej niż rozczarowanie przebiegiem rozmowy, ale już nic nie powiedział i wyprostowawszy się odruchowo przed odejściem — wyszedł.

Pirx odetchnął pełną piersią. Niepotrzebnie wyrwało mu się to: „jeżeli pan jest człowiekiem” — pomyślał z naganą. — Co za piekielna gra! Diabli go wiedzą, tego Browna, Albo jest człowiekiem, albo to chwyt zastosowany umyślnie, aby nie tylko wprowadzić mnie w błąd, lecz dodatkowo przekonać się jeszcze, czy nie zamierzam używać jakichś sprzecznych z umową sposobów, by ich rozróżnić... W każdym razie tę część rozgrywki przeprowadziłem chyba nie najgorzej? Jeśli mówił prawdę, powinien odtąd czuć się trochę nieswojo we własnej skórze, po tym wszystkim, com mu nagadał. A jeżeli nie... to znów nic mu w ogóle nie powiedziałem. Co za historia! A tom się wpakował w kabałę!

Nie mogąc spokojnie usiedzieć, zaczął chodzić tam i z powrotem po kabinie. Odezwał się brzęczyk; to był Calder ze sterowni; uzgodnili poprawki kursowe i przyspieszę: na noc, po

czym Pirx usiadł i wpatrzył się przed siebie myśląc nie wiadomo co czyni ze ściągniętymi w supły brwiami gdy ktoś zapukał. A to co znowu? — pomyślał.

— Proszę! — rzekł głośno.

Do kajuty wszedł neurolog, lekarz i cybernetyk zarazem — Burns.

— Czy można?

— Proszę, niech pan siada. Burns uśmiechnął się.

— Przyszedłem, żeby panu powiedzieć, że nie jestem człowiekiem.

Pirx, razem z krzesłem, obrócił się ku niemu gwałtownie.

— Jak proszę? Że pan nie jest...

— Nie jestem człowiekiem. I stoję — w tym eksperymencie — po pańskiej stronie.

Pirx odetchnął głęboko.

— To, co pan mówi, ma oczywiście pozostać między nami? — powiedział.

— Pozostawiam to pana uznaniu. Mnie na tym nie zależy.

— Jak to?...

Tamten znowu się uśmiechnął.

— To całkiem proste. Działam z egoizmu. Jeżeli wyda pan pozytywną opinię o „nieliniowcach”, wywoła to produkcyjną reakcję łańcuchową. To jest więcej niż prawdopodobne. Tacy jak ja zaczną się pojawiać masowo — i nie tylko na statkach kosmicznych. Wywoła to fatalne konsekwencje u ludzi — powstanie nowy rodzaj dyskryminacją nienawiści, z wszystkimi wiadomymi rezultatami. Przewiduję to, ale, powtarzam, działam przede wszystkim z pobudek osobistych. Jeśli istnieję sam, jeśli takich jak ja, jest dwóch czy dziesięciu, nie ma to żadnego znaczenia społecznego — zginiemy po prostu w masie, nie dostrzeżeni i niedostrzegalni. Będę — będziemy mieli przed sobą przyszłość podobną do przeszłości każdego człowieka, z nader istotną poprawką na inteligencję oraz szereg specjalnych umiejętności, jakich ów zwykły człowiek nie ma. Osiągniemy więc niejedno, ale tylko wtedy, jeśli do uruchomienia . masowe j produkcji nie dojdzie.

— Tak — w tym coś jest... — powiedział powoli Pirx. Miał w głowie lekki zamęt. — Ale dlaczego nie zależy panu na dyskrecji? Czy nie obawia się pan, że firma, która...

— Nie. Wcale się nie obawiam. Niczego — powiedział tym samym spokojnym tonem wykładu Burns. — Jestem niesamowicie kosztowny, panie nawigatorze. W to tutaj — dotknął ręką piersi — włożono miliardy dolarów. Nie przypuszcza pan chyba, że rozgniewany fabrykant każe mnie rozkręcić na śrubki? Mówię to oczywiście przerośnie, bo nie mam w ciele żadnych śrubek... Zapewne, będą wściekli, ale mojej sytuacji to nie zmieni. Prawdopodobnie będę musiał pracować w tej firmie — ale cóż mi to szkodzi? Wolę nawet tam, niż gdzie indziej, gdyż znajdę tam lepszą opiekę w razie... choroby. Nie sądzę także, by usiłowali mnie uwięzić. Właściwie — po co? Stosowanie przemocy mogłoby się dla nich samych bardzo smutno skończyć. Pan wie, jaką potęgą jest prasa...

On myśli o szantażu — błysnęło Pirxowi. Miał wrażenie, że to sen. Słuchał jednak dalej, z największą uwagą.

— Tak zatem, teraz pan już rozumie, czemu pragnę, aby pana opinia o nieliniowcach wypadła negatywnie.

— Tak. Rozumiem. Czy — może mi pan wskazać, kto jeszcze spośród załogi...?

— Nie. To znaczy, nie mam pewności, a przypuszczeniami mógłbym panu więcej zaszkodzić, niż pomóc. Lepiej mieć zero informacji, niż być zdezinformowanym, bo oznacza to informację ujemną, mniejszą od zera.

— Tak. Hm. W każdym razie — bez względu na pana pobudki — dziękuję panu. Tak. Dziękuję. Czy... mógłby pan wobec tego powiedzieć mi coś o sobie? Mam na myśli kwestie, które mogłyby mi pomóc...

— Domyślam się, o co panu chodzi. O tym, jak jestem zbudowany, nic nie wiem, podobnie

jak i pan nie wie nic o swojej anatomii czy fizjologii, przynajmniej nie wiedział Pan, dopóki nie przeczytał jakiegoś podręcznika biologii. Ale ta strona konstrukcyjna chyba mało pana interesuje i chodzi panu raczej o psychiczną? O nasze — słabe miejsca?

— O słabe miejsca też. Ale — wie pan — każdy w końcu coś niecoś wie o swoim organizmie, to nie jest wiedza naukowa, ale wynika z doświadczenia, samoobserwacji.

— Oczywiście, organizmu się przecież używa i mieszka w nim... to daje okazję do obserwowania...

Burns znów się uśmiechnął, jak poprzednio, ukazując równe — ale nie nazbyt równe — zęby.

— Więc mogę pana pytać?

— Proszę.

Pirx usiłował zebrać myśli.

— Czy to mogą być pytania... niedyskretne? Wręcz intymne?

— Nie mam nic do ukrycia — powiedział tamten po prostu.

— Czy spotkał się pan już z taką reakcją, jak zaskoczenie, strach i odraza, spowodowane tym, że pan nie jest człowiekiem?

— Owszem, raz jeden, podczas operacji, przy której asystowałem. Drugim asystentem była kobieta. Wiedziałem już wtedy, co to jest.

— Nie zrozumiałem pana...

— Wiedziałem już wtedy, co to jest kobieta — wyjaśnił Burns. — Z początku nie było mi nic wiadomo o istnieniu płci...

— A!

Pirx zły był na siebie, że nie udało mu się powściągnąć tego okrzyku.

— Więc była tam kobieta. I co się stało?

— Operator skaleczył mnie w palec skalpelem, rękawiczka gumowa rozeszła się i było widać, że nie krwawię.

— Jak to? Ależ Mc Guirr mówił mi...

— Teraz bym krwawił. Wtedy byłem jeszcze „suchy”. To się tak nazywa — w żargonie wewnętrznym naszych „rodziców”... — powiedział Burns. — Bo ta krew nasza to czysta maskarada: wewnętrzna powierzchnia skóry jest gąbczasta i nasycona krwią, przy czym ten zabieg nasycania trzeba powtarzać dość często.

— Aha. I ta kobieta zauważyła? A operator?

— Och, operator wiedział, kim jestem, ale ona nie. Zorientowała się nie od razu, dopiero przy końcu operacji, a i to głównie dlatego, ponieważ on się zmieszał...

Burns uśmiechał się.

— Chwyliła moją rękę, podniosła ją do oczu i kiedy zobaczyła, co jest... w środku, rzuciła ją i uciekła. Zapomniała, w którą stronę otwierają się drzwi operacyjnej, ciągnęła je, a że się nie otwierały, dostała ataku histerycznego,

— Tak — powiedział Pirx. Przełknął. — Co pan wtedy czuł?

— Nie czuję w ogóle wiele... ale to nie było przyjemne — wolno rzekł Burns i uśmiechnął się znowu. — Nie mówiłem o tym z nikim — dodał po sekundzie — ale mam wrażenie, że mężczyznom, nawet nieobytym, jest łatwiej przestawać z nami. Mężczyźni godzą się z faktami. Kobiety z niektórymi faktami nie chcą się pogodzić. Mówią dalej „nie”, nawet jeśli już nic oprócz „tak” powiedzieć nie można.

Pirx przez cały czas patrzył na mówiącego, wpatrywał się w niego wtedy zwłaszcza, gdy Burns odwracał wzrok, bo usiłował odkryć w nim tę jakąś inność, która by go uspokoiła, jako dowód, że wcielenie maszyny w człowieka nie jest jednak doskonałe. Przedtem, kiedy podejrzewał wszystkich, sytuacja była inna; teraz, mając z każdą chwilą coraz mniej wątpliwości, że to, co mówił Burns, jest prawdą, i doszukując się fałszu raz w bładości Burnsa, która uderzyła go już przy pierwszym spotkaniu, raz w Jego ruchach, tak

opanowanych, w nieruchomym połysku, jasnych oczu, musiał sobie powiedzieć, że w końcu bywają przecież i ludzie równie bladzi czy mało ruchliwi; wtedy znów wracały wątpliwości — a całemu temu obserwowaniu towarzyszył uśmiech lekarza, nie zawsze odnoszący się jakby do jego słów, wyrażający raczej wiedzę o tym, co Pirx właśnie czuł; ten uśmiech sprawiał mu przykrość, mieszał go i tym trudniej przychodziło mu kontynuować indagacją, że Burns przejawiał w odpowiedziach niczym nie zmaconą szczerą.

— Pan uogólnia na podstawie jednego wypadku — mruknął.

— Och, miałem potem sporo do czynienia z kobietami. Pracowało ze mną — to znaczy: uczyło mnie — kilka. Były wykładowcami — i tak dalej. Ale one wiedziały z góry, kim jestem. Staraly się więc ukrywać emocje. Nie przychodziło im to łatwo, ponieważ miewałem okresy, w których drażnienie ich sprawiało mi satysfakcję.

Uśmiech, z jakim patrzył Pirsowi w oczy, był niemal impertynencki.

— Szukały, wie pan, jakichś cech szczególnych, wyróżniających in minus, a ponieważ tak im na tym zależało, niekiedy bawiłem się, przejawiając takie cechy.

— Nie rozumiem.

— O, na pewno pan rozumie! Udawałem marionetkę fizycznie, pewną sztywnością, i psychicznie — biernością posłuszeństwa... tylko gdy już się takimi odkryciami zaczynały napawać, nagle ucinalem grę. Myślę, że miały mnie za stwór diabelski.

— Czy pan nie jest uprzedzony? To są tylko domysły, tym bardziej że, jeśli były wykładowcami, musiały mieć odpowiednie wykształcenie.

— Człowiek jest istotą doskonale niezborną — rzekł flegmatycznie Burns. — To jest nieuniknione, jeśli się powstawało tak jak wy; świadomość to część procesów mózgowych, wyodrębniona z nich na tyle, że stanowi w subiektywnym odczuciu jedność, ale ta jedność jest złudzeniem introspekcji. Tych innych procesów, które unoszą świadomość, jak ocean — górę lodową, nie odczuwa się bezpośrednio — one dają o sobie znać, czasem tak dobitnie, że świadomość zaczyna ich szukać. Z takiego poszukiwania właśnie powstało pojęcie diabła, jako projekcja — w świat zewnętrzny — tego, co choć jest i działa w człowieku, w jego mózgu, nie daje się umiejscowić ani tak jak myśl, ani tak jak ręka.

Uśmiechał się szerzej.

— Wykładałem panu cybernetyczne podstawy teorii osobowości, które pan pewno zna? Maszyna logiczna różni się od mózgu tym, że nie może mieć naraz kilku wykluczających się programów działania. Mózg może je mieć, zawsze je ma, dlatego jest polem bitew u świętych albo wypalonym pobojuwiskiem sprzeczności u ludzi zwykleszych... Sieć neuronowa kobiety, jest trochę inna niż u mężczyzny; to nie dotyczy inteligencji; zresztą różnica jest tylko statystyczna. Kobiety łatwiej znoszą współistnienie sprzeczności — na ogół tak jest. Nawiasem mówiąc, dlatego mężczyźni głównie tworzą naukę, bo ona jest poszukiwaniem jednego, więc niesprzecznego porządku. Sprzeczność przeszkadza mężczyznom bardziej, więc usiłują ją usunąć, redukując różnorodność do jednolitości.

— Być może — powiedział Pirx. — Więc pan dlatego uważa, że one widziały w panu diabła?

— To już za wiele powiedziane — odparł tamten. Położył ręce na kolanach.

— Byłem dla nich w najwyższym stopniu odpychający i — przez to pociągałem. Byłem urzeczywistnioną niemożliwością, czymś zakazanym, czymś, co jest wbrew światu, rozumianemu jako porządek naturalny, i strach ich nie był tylko chęcią ucieczki, ale także samozatraty. Jeżeli nawet żadna nie powiedziała sobie tego tak wyraźnie, ja mogę to za nie powiedzieć: stanowałem, w ich oczach, wyłamanie się z uległości wobec nakazów biologicznych. Jako upostaciowany bunt przeciwko Naturze, jako istota, w której biologicznie racjonalna, więc interesowna więź uczuć z funkcją podtrzymania gatunku została rozerwana. Zniszczona.

Bystro spojrział na Pirxa.

— Pan myśli, że to filozofia kapłona? Nie, ponieważ nie zostałem okaleczony; nie jestem zatem istotą gorszą, jestem tylko odmienną od was. Której miłość jest — w każdym razie: może być — tak samo bezinteresowna, tak samo na nic niepotrzebna — jak śmierć, a przez to z wartościowego narzędzia staje się wartością w sobie. Wartością, oczywiście, ze znakiem ujemnym — jak diabeł. Dlaczego tak się stało? Stworzyli mnie mężczyźni i łatwiej było im zbudować potencjalnego rywala aniżeli potencjalny obiekt namiętności. A jak pan sądzi? Czy mam rację?

— Nie wiem — powiedział Pirx. Nie patrzył na niego — nie mógł. — Nie wiem. Realizację dyktowały rozmaite okoliczności — ekonomiczne chyba przede wszystkim.

— Na pewno — zgodził się Burns. — Ale te, o których mówiłem, też miały swój udział. Tylko że, panie komandorze, to jedna wielka pomyłka. Mówiłem o tym, co ludzie odczuwają wobec mnie — ale oni tworzą tylko jeszcze jedną mitologię, mitologię nieliniowca, bo ja nie jestem żadnym diabłem, co chyba jasne, i nie jestem też potencjalnym rywalem erotycznym, co jest może już mniej jasne. Wyglądam jak mężczyzna i mówię jak mężczyzna, i psychicznie jestem zapewne w jakimś stopniu mężczyzną, tylko w pewnym stopniu właśnie... jednakże nie ma to już prawie nic wspólnego ze sprawą, w jakiej przyszedłem do pana.

— A nie wiadomo, nie wiadomo — rzucił Pirx. Wciąż patrzył na własne splecione ręce. — Niech pan mówi dalej...

— Jeśli pan chce... Ale będę mówił tylko we własnym imieniu. Nie wiem nic o innych. Powstawałem, jako osobowość, podwójnie: z przedprogramowania i z uczenia się. I człowiek tak powstaje, ale ten pierwszy czynnik gra w nim mniejszą rolę, bo on przychodzi na świat ledwo rozwinięty, ja natomiast byłem od razu taki, jaki jestem obecnie, pod względem fizycznym, i nie musiałem uczyć się tak długo jak dziecko. Przez to zaś, że nie miałem ani dzieciństwa, ani dojrzewania, a tylko byłem multistatem, w który najpierw włożono masę przedprogramowania, a potem trenowano go wielopostaciowo i ładowano weń mnóstwo informacji — przez to stałem się bardziej jednorodny niż ktokolwiek z was. Bo każdy człowiek jest chodzącą formacją geologiczną, która przeszła przez tysiąc epok żaru i drugi tysiąc zastygania, kiedy warstwy osiadały na warstwach — najpierw ten ostateczny, bo pierwszy, a przez to niezrównany z niczym świat sprzed poznania mowy, który ginie później pochłonięty przez nią, ale tli się jeszcze gdzieś u dna; jest to inwazja kolorów, kształtów i zapachów w mózg, wtargnięcie przez zmysły, otwierające się po urodzeniu; dopiero potem dochodzi do polaryzacji na świat i nie-swiat, czyli na nie-ja i ja. No, a potem te powodzie hormonów, te sprzeczne i różnopoziomowe programy wiar i popędów — historia kształtowania się jest historią wojen: mózg przeciw sobie — wszystkich tych szaleństw i rezygnacji nie znałem, nie przeszedłem takich etapów i dlatego nie ma we mnie ani śladu dziecka. Jestem zdolny do wzruszeń i pewno mógłbym nawet zabić, ale nie z miłości. Słowa w moich ustach brzmią jak w waszych, ale znaczą dla mnie coś innego.

— To znaczy, że pan nie może kochać? — spytał Pirx. Wciąż patrzył już tylko na własne ręce. — Ale skąd ta pewność? Tego nikt nie może wiedzieć do czasu...

— Tego nie chciałem powiedzieć. Może i mógłbym. Ale to oznaczałoby coś całkiem innego niż u was. Dwa uczucia nie opuszczają mnie właściwie nigdy: zdziwienia i zarazem śmieszności. A jest tak, myślę, bo tą cechą waszego świata, która wszędzie mi się narzuca, jest jego umowność. Nie tylko w kształtach maszyn i w waszych obyczajach, ale także w waszej cielesności, która stała się wzorem dla mojej. Widzę, że wszystko mogłoby wyglądać inaczej, być inaczej zbudowane, działać inaczej, i nie byłoby przez to ani lepsze, ani gorsze od tego, co jest. Dla was świat najpierw po prostu jest, to znaczy istnieje jako jedyna możliwość, a dla mnie, od kiedy w ogóle umiałem myśleć, świat nie tylko był, ale był śmieszny. To znaczy wasz świat — miast, teatrów, ulic, rodzinnego życia, giełdy, tragedii miłosnych i filmowych gwiazd. Chce pan usłyszeć moją ulubioną definicję człowieka? Istota, która mówi najchętniej o tym, na czym się najmniej zna. Starożytność miała być

wszechobecnością mitologii, a współczesna cywilizacja — jej brakiem? Ale skąd wywodzą się naprawdę wasze najbardziej podstawowe pojęcia? Grzeszność spraw ciała to konsekwencja starego rozwiązania ewolucyjnego, które przez ekonomię środków połączyło funkcje wydalnicze z rozrodczymi w tym samym systemie narządów. Poglądy religijne i filozoficzne są konsekwencją waszej konstrukcji biologicznej, bo ludzie są ograniczeni w czasie, a chcą, w każdym pokoleniu, poznać wszystko, zrozumieć wszystko, wyjaśnić wszystko — iż tego rozmijania się wynika metafizyka — jako most łączący możliwe z niemożliwym. A nauka? Ona jest przede wszystkim rezygnacją. Zwykle podkreśla się jej osiągnięcia, ale te przychodzą powoli, a zresztą nie dorównują nigdy ogromowi utraty. Więc ona jest zgodą na śmiertelność i na bylejakość jednostki, powstającej ze statystycznej gry walczących o prymat zapłodnienia plemników. Jest zgodą na przemijanie, na nieodwracalność, na brak odpłaty i wyższej sprawiedliwości, i ostatecznego poznania, ostatecznego zrozumienia wszystkiego — i przez to byłaby nawet heroiczną, gdyby nie to, że jej twórcy tak często nie zdają sobie sprawy z tego, co naprawdę robią! Mając do wyboru lęk i śmieszność — wybrałem śmieszność, bo było mnie na to stać.

— Pan nienawidzi tych, którzy pana stworzyli, prawda? — spytał cicho Pirx.

— Myli się pan. Uważam, że każde istnienie, nawet najbardziej ograniczone, lepsze jest od nieistnienia. Oni, ci konstruktorzy moi, na pewno wielu rzeczy nie mogli przewidzieć, ale bardziej nawet niż za inteligencję jestem im wdzięczny za to, że odmówili mi ośrodka rozkoszy. Jest taki ośrodek w waszym mózgu, wie pan o tym?

— Czytałem to gdzieś.

— Ja go widocznie nie mam, dzięki temu nie jestem beznogim, który nie chce niczego — tylko chodzić... Tylko chodzić, ponieważ to niemożliwe.

— Wszyscy inni są śmieszni, tak? — poddał Pirx. — A pan?

— O, ja też. Tylko w inny sposób. Każdy z was, skoro istnieje, posiada takie ciało, jakie ma, i na tym koniec — a ja mógłbym na przykład wyglądać jak lodówka.

— Nie widzę w tym nic śmiesznego — mruknął Pirx. Rozmowa ta męczyła go coraz bardziej.

— Chodzi o umowność, o przypadkowość — powtórzył Burns. — Nauka jest rezygnacją z rozmaitych absolutów: z absolutnej przestrzeni, z absolutnego czasu i absolutnej, to znaczy wiecznotrwałej, duszy, z absolutnego, bo przez Boga stworzonego, ciała. Takich umowności, które bierzecie za rzeczy realne, od niczego niezależne, jest więcej.

— Co jeszcze jest umowne? Zasady etyczne? Miłość? Przyjaźń?

— Uczucia nigdy nie są umowne, chociaż mogą wynikać z umownych, konwencjonalnych przesłanek. Ale ja naprawdę tylko dlatego mówię o was, bo w takim zestawieniu łatwiej mi powiedzieć, jaki sam jestem. Etyka na pewno jest umowna, przynajmniej dla mnie. Nie muszę postępować etycznie, a jednak robię to.

— Ciekawe. Dlaczego?

— Nie mam jakiegoś „odruchu dobra”. Nie jestem zdolny do litości, aby tak powiedzieć — „z natury”. Ale wiem, kiedy należy się litować i potrafię się do tego wdrożyć. Wyrozumowałem sobie, że tak trzeba. A więc niejako zapełniłem to puste miejsce w sobie dzięki logicznemu rozumowaniu. Może pan powiedzieć, że mam „zastępczą etykę”, że ją sobie sproteżowałem tak dokładnie, iż jest „jak prawdziwa”.

— Nie rozumiem dobrze. Więc na czym polega różnica? Na tym, że działałam zgodnie z logiką przyjętych aksjomatów, a nie zgodnie z odruchem. Ja nie mam takich odruchów. Jednym z waszych nieszczęść jest to, że oprócz nich nie macie prawie nic; Nie wiem, może kiedyś to wystarczało, ale obecnie na pewno nie wystarcza. Jak przejawia się w praktyce tak zwana miłość bliźniego? Ulituje się pan nad ofiarą wypadku i pomoże jej. Ale jeśli stanie pan wobec dziesięciu tysięcy ofiar naraz, nie ogarnie pan wszystkich litością. Współczucie jest mało pojemne i mało rozciągliwe. Dobre, dopóki w grę wchodzi jednostki — bezradne, kiedy

pojawia się masa. A właśnie rozwój technologii rozsądza wam moralność coraz skuteczniej. Aura odpowiedzialności etycznej obejmuje ledwo pierwsze człony łańcucha przyczyn i skutków — człony bardzo nieliczne. Ten, kto uruchamia proces, nie czuje się wcale odpowiedzialny za jego dalekie konsekwencje.

— Bomba atomowa?

— O, to tylko jedna z tysięcy spraw. W sferze zjawisk moralnych jesteście może najśmieszniejsi.

— Dlaczego?

— Mężczyźni i kobiecie, o których wiadomo, że spłodzą potomstwo niedorozwinięte, wolno mieć dzieci. To jest moralnie dozwolone.

— Burns, to nigdy nie jest pewne, najwyżej wysoce prawdopodobne.

— Ale moralność jest deterministyczna jak księga buchalteryjna, a nie statystyczna jak Kosmos. Komandorze, tak można by rozprawiać przez całą wieczność. Co chce pan jeszcze wiedzieć — o mnie?

— Współzawodniczył pan z ludźmi w rozmaitych sytuacjach doświadczalnych. Czy zawsze był pan górą?

— Nie. Jestem tym lepszy, im bardziej zadanie wymaga algorytmizacji, matematyki i ścisłości. Intuicja jest moją stroną najsłabszą. Mści się na mnie pochodzenie od maszyn cyfrowych.

— Jak to wygląda w praktyce?

— Jeżeli sytuacja komplikuje się nadmiernie, jeżeli ilość nowych czynników staje się zbyt wielka, gubię się. Człowiek, jak wiem, stara się wtedy zdać na domysł, to znaczy rozwiązanie przybliżone, i udaje mu się to czasem, a ja tego nie potrafię. Muszę uwzględnić wszystko dokładnie, świadomie, a jeśli nie mogę — przegrywam.

— To bardzo ważne, co pan mi powiedział, Burns. Więc powiedzmy, w sytuacji awaryjnej, jakiejś katastrofy...?

— To nie takie proste, komandorze, bo ja nie odczuwam strachu, w każdym razie nie tak jak człowiek, i chociaż groźba zagłady nie jest mi oczywiście obojętna, nie tak jak to się mówi, głowy, i tak uzyskana równowaga może wtedy skompensować nieomaganą intuicję.

— Pan próbuje opanować sytuację — do końca?

— Tak, nawet wtedy, gdy widzę, że przegrałem.

— Dlaczego? Czy to nie jest irracjonalne?

— To jest tylko logiczne, bo tak sobie postanowiłem.

— Dziękuję panu. Może naprawdę mi pan pomógł — i rzekł Pirx. — Niech mi pan tylko powie jeszcze, co pan zamierza zrobić po naszym powrocie?

— Jestem cybernetykiem–neurologiem, i to niezłym. Zdolności twórczych mam mało, bo one są nieoddzielne od intuicji, ale i tak znajdę dość interesującej roboty.

— Dziękuję panu — powtórzył Pirx.

Tamten wstał, skłonił się nieznacznie i wyszedł. Pirx zerwał się z koi, ledwo drzwi zamknęły się za Burnsem, i jął chodzić od ściany do ściany.

Panie święty, po diabła mi to było?! Teraz dopiero nic nie wiem. Albo to robot, albo... Chyba jednak mówił prawdę. Ale skąd znów taka wylewność? Cała historia ludzkości plus „krytyka z zewnątrz” — powiedzmy, że mówił prawdę. W takim razie trzeba sprowokować uczciwie pogmatwaną sytuację. Ale musi być dosyć autentyczna, aby nie wydało się, że ją sfignował. Więc musi być realna. Jednym słowem, trzeba będzie nadstawić karku. Niebezpieczeństwo, wywołane może i sztucznie, ale samo w sobie prawdziwe?

Uderzył pięścią w otwartą rękę.

A jeżeli to też był tylko manewr taktyczny? Wówczas być może skreślę sobie kark i zabiję przy tym wszystkich ludzi, a statek doprowadzą do portu roboty, które to wytrzymają! No, to wprowadziłoby tych panów w najwyższy zachwyt — co za fenomenalna reklama! Co za

gwarancja bezpieczeństwa dla statków, wyposażonych w takie załogi! Czy nie tak? Więc, z ich punktu widzenia, takie pociągnięcie — nabieranie mnie na szczerłość — byłoby szalenie efektywne!

Chodził coraz szybciej.

Muszę przekonać się jakoś, czy to prawda. Powiedzmy, że w końcu zidentyfikuję wszystkich. Na pokładzie jest apteczka. Mógłbym wpuścić do jedzenia po kropli apomorfiny. Ludzie się pochorują, a tamci chyba nie. Na pewno nie. Ale co mi z tego przyjdzie? Najpierw, niemal na pewno, wszyscy domyśla się, że ja to zrobiłem. Poza tym, nawet jeśli się okaże, że Brown jest człowiekiem, a Burns nie, to z tego wcale jeszcze nie wynika, że w s z y s t k o, co mi mówili, jest prawdą. Może zidentyfikowali się przede mną prawdziwie, aby cała reszta służyła ich strategii? Zaraz. Burns skierował mnie rzeczywiście na określoną drogę — mówiąc o tej niedomodze intuicji. Ale Brown? Rzucił podejrzenie na Burnsa. Właśnie na Burnsa, który przyszedł zaraz potem i potwierdził je! Czy nie za dużo tego dobrego? Z drugiej strony, gdyby to się stało wskutek nie zaplanowanej, więc niezawisłej inicjatywy każdego z nich z osobna, wówczas i to, że najpierw Brown wymienił Burnsa, i to, że potem Burns sam przyszedł, by tamto potwierdzić — byłoby czystym przypadkiem. Jeśliby oni rzecz planowali, pewno by takiego prymitywizmu uniknęli, bo daje za wiele do myślenia. Zaczynam gonić w piętę! Zaraz. Gdyby teraz ktoś jeszcze przyszedł, będzie to znaczyło, że i tamto było „lipą”. Grą. Tylko pewno nikt nie przyjdzie — rozgrywka stałaby się zbyt przejrzysta, tacy głupi nie są. No, ale jeśli mówili prawdę? Przecież może się jeszcze komuś zachcieć...

Pirx po raz drugi palnął pięścią w rozchyloną dłoń. Więc po prostu nic nie wiadomo. Czy działać? Jak działać? Może jeszcze czekać? Chyba czekać.

W mesie podczas głównego posiłku panowało przy stole milczenie. Pirx w ogóle do nikogo się nie odzywał, bo wciąż walczył z pokusą owej „chemicznej próby”, na którą wpadł przedtem i nie mógł powziąć jednoznacznej decyzji. Przy sterach był Brown, więc jedli w pięciu. I jedli wszyscy, a Pirx pomyślał, że to jakieś monstrualne — jeść tylko po to, żeby udawać człowieka. I że może z takich źródeł płynie owo poczucie śmieszności, o którym mówił Burns, i że to jest jego sposób samoobrony, stąd też to gadanie o umowności wszystkiego — pewno, dla niego jedzenie też było tylko umownym chwytem! Jeśli nawet sam wierzy w to, że nie nienawidzi swych twórców, to samego siebie oszukuje. Ja bym nienawidził — pomyślał Pirx i był pewien swego. — To jednak jakieś draństwo że im nie wstyd! Milczenie, trwające przez cały czas posiłku, stawało się wręcz nieznośne — była w nim nie tyle chęć każdego, by pozostać przy swoim i nie angażować się w kontakty, jak sobie tego życzyli organizatorzy rejsu, a więc nie lojalność, dbająca o zachowanie tajemnicy, ile jakaś powszechna wrogość, a jeśli nie wrogość, to podejrzliwość; człowiek nie chciał zbliżać się do nieczłowieka,] a tamten znów rozumiał, że tylko zajęcie takiej samej postawy go nie zdemaskuje. Gdyby bowiem w tej lodowatej atmosferze próbował choć odrobinę się narzucać, od razu ściągnąłby na siebie uwagę i przypuszczenia, że nie jest i człowiekiem. Pirx siedział nad swym talerzem, dostrzegając każdy drobiazg — jak Thomson poprosił o sól, jak mu ją Burton podał, jak jemu z kolei Burns przysunął karafkę z octem, widelce i noże poruszały się żwawo w rękach, żuli, połykali, mało co patrząc na innych — był to prawdziwy pogrzeb marynowanej wołowiny i Pirx, nie dojadłszy kompotu, wstał, skinął im głową i wrócił do siebie.

Mieli kursową szybkość, około dwudziestej czasu pokładowego minęli dwa duże transportowce, wymienili zwykle sygnały i w godzinę później automaty wyłączyły na pokładach dzienne światło. Pirx szedł właśnie ze sterowni, kiedy się to stało. Wielką przestrzeń środkowego pokładu wypełnił mrok, podziurawiony błękitnymi kulami nocnych jarzeniówek. Równocześnie zajaśniały powleczone farbą samoświecącą liny, rozciągnięte wzdłuż ścian, służące do poruszania się przy braku grawitacji, naroża drzwi, ich klamki, i

wyrysowane na przegrodach orientacyjne strzały i napisy. Statek był tak nieruchomy, jakby przebywał w jakimś ziemskim doku. Nie czuło się najmniejszej wibracji, tylko klimatyzatory pracowały prawie bezszelestnie i Pirx przechodził kolejno przez niewidzialne strugi powietrza, odrobinę chłodniejszego, o bardzo słabej woni ozonu.

Coś uderzyło go lekko w czoło z jadowitym bzyknięciem, jakaś mucha, która stała się pasażerem na gapę — popatrzał na nią z niesmakiem, nie lubił much, ale nie zobaczył jej już. Za zakrętem korytarz zwężał się omijając schody i cylinder dźwigu osobowego. Pirx ujął w rękę poręcz i poszedł na górę, właściwie nie wiadomo po co; nie pomyślał nawet o tym, że tam jest gwiazdowe okno. To znaczy wiedział o jego istnieniu, ale natknął się na ten czarny, wielki czworokąt jakby przypadkiem. W gruncie rzeczy nie miał wyraźnego stosunku do gwiazd. Wielu kosmonautów rzekomo go miało; nie był to już ów koniecznie obowiązujący, romantyczny „fason” dawnych lotów, ale prawdopodobnie wskutek tego, że opinia publiczna, kształtowana przez film, telewizję, literaturę, oczekiwała jakiejś „kosmicznej postawy” żeglarzy pozaziemskich, każdy nieomal starał się odnaleźć w sobie rodzaj intymności wobec tego świetlnego rojowiska — Pirx jednak w gruncie rzeczy podejrzewał wszystkich tak mówiących o blagę, bo gwiazdy mało go osobiście obchodziły, a już rozprawianie na ów temat uważał za kompletny idiotyzm. Stał teraz, oparty o elastyczną rurę, która chroniła przed rozbiciem głowy o niewidzialną tafłę szkliva, i od razu poznał leżące niżej statku centrum Galaktyki, a właściwie jego kierunek, skryty przed wzrokiem wielkimi białawymi chmurami Strzelca. Gwiazdozbiór ten był dla niego czymś w rodzaju rozmytego trochę i przez to nie dość dokładnego znaku drogowego, zostało mu to z lotów patrolowych, bo chmurę Strzelca można było rozpoznać nawet w niewielkim ekranie, a szczupłość pola widzenia owych rakiet jednoosobowych nieraz utrudniała orientację podług gwiazdozbiorów. Ale też nie myślał na ogół o tej chmurze jako o milionach gorejących światów, z nieprzeliczonymi systemami planetarnymi — to znaczy myślał tak za młodu, dopóki nie znalazł się w próżni i nie oswoił z nią. Wówczas te młodzieńcze fantazjowania jakoś go opuściły, ani wiedział kiedy. Zbliżył powoli twarz do zimnej tafli, aż dotknął jej czołem, i stał tak, właściwie nie bardzo patrząc w mrowie nieruchomych punktów świetlnych, zlewających się miejscami w białawo pałającą mgłę. Widziana z wnętrza Galaktyka przedstawia się jako chaos, jako rezultat miliardoletniej gry w kości ogniste — bez ładu i składu. A jednak istniał porządek, ale wyższej skali, całych Galaktyk, dostrzegalny jednak tylko na fotografiach olbrzymich reflektorów. Galaktyki tak wyglądają na negatywach jak ciała eliptyczne, jak ameby w rozmaitych fazach rozwoju — tyle że to w ogóle nie obchodzi kosmonautów, bo Galaktyka układowa jest dla nich wszystkim, reszta się nie liczy. Może zacznie się liczyć za tysiąc lat — pomyślał. Ktoś nadchodził. Pianowy chodnik tłumiał kroki, ale wyczuł czyjaś obecność. Odwrócił głowę i zobaczył na tle świetlistych pasów, wyznaczających zbieg stropu i ścian, ciemną postać.

— Kto to? — spytał nie podnosząc głosu.

— To ja. Thomson.

— Skończył pan wachetę? — zapytał, by powiedzieć cokolwiek.

— Tak, panie komandorze.

Stali tak; Pirx chciał się na powrót zwrócić ku oknu, ale tamten jakby na coś czekał.

— Pan chce mi coś powiedzieć?

— Nie — powiedział tamten, odwrócił się i odszedł w stronę, z której przybył.

A to co znowu? — pomyślał Pirx. Wyglądało całkiem, jakby go szukał.

— Thomson! — zawołał w ciemność. Kroki wróciły. Tamten wynurzył się, ledwo widoczny w fosforyzowaniu nieruchomo zwisających lin podokiennych.

— Tu gdzieś są fotele — powiedział Pirx. Podszedł do przeciwległej ściany i zobaczył je.

— Niech no pan siądzie tu ze mną, Thomson.

Tamten zbliżył się posłusznie. Usiedli, mając przed sobą gwiazdowe okno.

- Pan chciał mi coś powiedzieć. Słucham.
- Obawiam się... — zaczął tamten i urwał.
- Nie szkodzi. Proszę mówić. Czy to sprawa osobista? /
- Tak. Jak najbardziej.
- A więc rozmawiamy całkiem prywatnie. O co chodzi?
- Chciałbym, żeby pan postawił na swoim — powiedział Thomson. — Zastrzegam się od razu: muszę dotrzymać danego słowa i nie powiem panu, kim naprawdę jestem. Ale tak czy owak — chcę, aby pan widział we mnie sojusznika.
- Czy to logiczne? — spytał Pirx. Miejsce na rozmowę było źle wybrane, uprzytomnił to sobie, bo przeszkadzało mu, że nie widział twarzy tamtego.
- Chyba tak. Człowiekowi zależałoby na tym z oczywistych względów, a nieczłowiekowi — bo co go spotka, jeśli rozpocznie się masowa produkcja? Zostanie zaszeregowany do kategorii obywateli „B”, czyli po prostu nowożytnych niewolników; będzie własnością jakiejś korporacji.
- To nie jest pewne.
- Ale jest całkiem możliwe. Z tym jest jak z Murzynami: jeden czy kilku w jakimś kraju przez swą inność łatwo zyskują uprzywilejowanie, a kiedy jest ich mnóstwo, pojawia się od razu problem segregacji, integracji i tak dalej.
- No dobrze. Więc mam pana uważać za sojusznika? Ale czy przez to nie wykracza pan przeciw danemu słowu?
- Zobowiązałem się do niezdradzania mojej tożsamości i do niczego ponadto. Mam wykonywać funkcję nukleonika pod pana dowództwem. To wszystko. Reszta jest moją sprawą prywatną.
- Wie pan, w ten sposób może i formalnie wszystko jest w porządku, ale czy pan nie działa wbrew interesom swoich chlebodawców? Bo pan chyba nie wątpi, że postępuje pan wbrew ich intencjom?
- Możliwe. Ale oni nie są dziećmi; sformułowania były wyraźne i jednoznaczne. Opracowały je zjednoczone działy prawne wszystkich zainteresowanych przedsiębiorstw. Mogli umieścić osobny paragraf zakazujący podejmowania wszelkich takich kroków jak mój właśnie, ale nic takiego tam nie było.
- Przeoczenie?
- Nie wiem. Być może. Dlaczego pan tak o to pyta? Czy pan mi nie ufa?
- Chciałem zorientować się w pana pobudkach. Thomson milczał przez chwilę.
- Nie wziąłem tego pod uwagę — rzekł wreszcie cicho.
- Czego?
- Tego, że może pan wziąć mój postępek za nieautentyczny. Za — powiedzmy — wybieg zaplanowany z góry. To znaczy — pan przystępuje do gry, w której biorą udział dwie strony, pan z jednej, a my wszyscy z drugiej. Więc jeśliby pan ułożył sobie jakiś plan działania, aby poddać nas próbie — mam na myśli próbę, która by mogła wykazać, powiedzmy, wyższość człowieka — otóż gdyby pan wyjawiał ów plan jednemu z nas, mając tego człowieka za sojusznika, to gdyby on był naprawdę w przeciwnym obozie, wydarłby panu z rąk strategicznie cenną informację.
- To ciekawe, co pan mówi.
- Och, pan na pewno musiał o tym pomyśleć. Ja dopiero teraz — widocznie zbyt byłem zaabsorbowany samym problemem, czy mam się panu zaofiarować jako poplecznik, czy nie. Straciłem ten aspekt rozgrywki z oka. Tak, właściwie popełniłem głupstwo, bo tak czy owak pan nie może być wobec mnie szczery.
- Dajmy na to — rzekł Pirx. — Ale to jeszcze katastrofa, bo wprowadzie ja panu nic nie powiem, ale może mi powiedzieć to i owo. Na przykład — o swoich kolegach.
- Ale to też może być fałszywa informacja, żeby pana wprowadzić w błąd.

— Niech pan to już mnie pozostawi. Czy pan coś wie?

— Tak. Brown nie jest człowiekiem.

— Pan jest tego pewny?

— Nie. Ale to bardzo prawdopodobne.

— Jakie pan ma dane, które za tym przemawiają?

— Pan rozumie chyba, że każdy z nas jest po prostu ciekawy, kto z innych jest człowiekiem, a kto nie.

— Tak.

— W czasie przygotowań startowych sprawdzałem reaktor i kiedy pan, Calder, Brown i Burns zeszlście do komory rozrządu, akurat wymieniałem blendy, a wówczas na wasz widok przysła mi do głowy pewna myśl.

— Tak?

— Miałem pod ręką próbkę, pobraną z gorącego wnętrza reaktora, bo musiałem przeprowadzić kontrolę na zanieczyszczenia porozpadowe. Nie było tego wiele, ale wiedziałem, że tam jest sporo izotopów strontu, więc kiedy wchodziliście, wziąłem ją pincetką i włożyłem między dwie ołowiane cegły, które stały na wierzchu tej półki pod ścianą. Pan ich nie zauważył?

— Zauważyłem je. I co dalej?

— Oczywiście nie mogłem ustawić ich dokładnie, ale w każdym razie musieliście wszyscy przejść przez pęk promieniowania — było dosyć słabe. Niemniej było zauważalne dla kogoś, kto miałby nawet mało czuły licznik Geigera albo zwykły czujnik. Otóż nie zdążyłem tego zrobić na czas i pan oraz Burns przeszliście już dalej, a tamci dwaj — Calder i Brown — dopiero schodzili po schodach. Tak że tylko oni przeszli przez ten niewidzialny promień i Brown nagle spojrział w stronę tych ołowianych cegieł i przyspieszył kroku.

— A Calder?

— Nie zareagował.

— To by miało jakieś znaczenie, gdyby było wiadomo, że nieliniowcy posiadają czujnik promienisty.

— Pan chce mnie złapać? Myśli pan, że jeśli nie wiem, czy mają, to jestem człowiekiem, a jeśli wiem, nie jestem nim! A tymczasem nic podobnego, to po prostu bardzo prawdopodobne, bo gdyby nie mieli żadnej wyższości nad nami, po co by miano ich w ogóle budować? Taki dodatkowy zmysł radioaktywny może być bardzo przydatny, zwłaszcza na statku, i konstruktorzy na pewno o tym pomyśleli.

— Powiada pan więc, że Brown ma taki zmysł?

— Powtarzam: nie mam pewności. To w końcu mógł być przypadek, że przyspieszył kroku i spojrział w bok, ale jak na czysty przypadek wydaje mi się to mało prawdopodobne.

— Co więcej?

— Na razie nic. Dam panu znać, gdy coś zauważę, jeśli pan sobie tego życzy.

— Dobrze. Dziękuję panu.

Thomson wstał i odszedł w ciemność. Pirx został sam. A więc tak — bilansował szybko. — Brown twierdzi, że jest człowiekiem, Thomson powiada, że nim nie jest, a sam wprawdzie identyczności nie ujawnia, ale sugeruje raczej, że jest człowiekiem — w każdym razie to by w bardziej prawdopodobny sposób motywowało jego postępowanie. Zdaje mi się, że nieczłowiek nie zdradziłby tak ochoczo drugiego nieczłowieka przed dowódcą człowiekiem, chociaż być może jestem już dostatecznie bliski schizofrenii, aby mi się wszystko wydawało możliwe. Idźmy dalej. Burns powiada, że nie jest człowiekiem. Pozostają jeszcze Burton i Calder. Może obaj uważają się za Marsjan? Kim ja jestem właściwie: kosmonautą czy szaradziwą? Ale jedno jest chyba jasne: żaden z nich nie wycisnął ze mnie krzty informacji, co zamierzam robić, przy czym to nie jest nawet powód do chwały, bo nie z chytrych niczego nikomu nie powiedziałem, ale dlatego, że sam nie mam zielonego pojęcia, co począć. Czy, w

końcu, identyfikacja jest najważniejsza?

Chyba nie. Trzeba machnąć na nią ręką: przecież muszę poddać wszystkich jakiejś próbie, a nie tylko niektórych. Jedyna informacja, która ma z tym związek, po chodzi od Burnsa — że nieliniowcy są słabeuszami intuicji. Czy to prawda — nie wiem, ale spróbować można. Ale; trzeba to „coś” zaaranżować tak, żeby wyglądało jak najnaturalniej. A naprawdę naturalnie będzie wyglądał tylko] taki wypadek, który będzie prawie że nieodwracalny. Czyli, jednym słowem, trzeba zaryzykować głową.

Wszedł przez liliowy półmrok do kajuty i podniósł rękę do wyłącznika. Nie musiał go naciskać; przy zbliżeniu dłoni światło się, włączyło. Ktoś tu był przed nim. Na stole, zamiast książek, które leżały tam przedtem, spoczywała niewielka biała koperta, zaadresowana pismem maszynowym: „Kmdr Pirx w/m”. Podniósł ją. Była zaklejona. Zamknął drzwi, usiadł, rozerwał kopertę — zawierała nie podpisany, wystukany na arkuszu papieru list. Potarł czoło ręką i zaczął czytać. Nie było żadnego nagłówka.

List ten pisze do pana członek załogi, który nie jest człowiekiem. Wybrałem tą drogę, ponieważ jednoczy mój interes z pańskim. Chcę, by pan udaremnił lub co najmniej utrudnił realizacją planów firm elektronicznych. Dlatego pragnę dostarczyć panu informacji o właściwościach nieliniowca, o ile je znam na podstawie własnego doświadczenia. List ten napisałem w hotelu, zanim pana zobaczyłem. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, czy człowiek, który ma zostać dowódcą „Goliata”, będzie gotów ze mną współpracować, lecz z pana zachowania przy pierwszym spotkaniu zorientowałem się, że pragnie pan tego samego co ja. Dlatego pierwszy wariant listu zniszczyłem i napisałem ten. Realizacja projektu firm nie może mi wyjść na dobre, tak to oceniam. Ogólnie rzecz biorąc, produkowanie nieliniowców ma tylko o tyle sens, o ile tak powstałe istoty górują nad człowiekiem w szerokim zakresie parametrów. Powtórzenie istniejącego człowieka nie miałoby żadnego sensu. Mogę więc panu wyjawić od razu, że jestem czterokrotnie mniej wrażliwy od człowieka na działanie przyspieszeń, potrafię jednorazowo znieść do siedemdziesięciu pięciu tysięcy rentgenów promieniowania bez szkody, posiadam zmysł (czujnik) radioaktywności, obywam się bez tlenu i żywności, potrafią wreszcie przeprowadzać pamięciowo bez jakiejkolwiek pomocy działania matematyczne w zakresie analizy, algebry, geometrii, z szybkością tylko trzy razy mniejszą od szybkości wielkich maszyn cyfrowych. W porównaniu z człowiekiem jestem, o ile mogą to ocenić, pozbawiony w znacznym stopniu życia emocjonalnego. Mnóstwo spraw, absorbujących człowieka, nic mnie nie obchodzi. Większość utworów literackich, sztuk teatralnych itp. odbieram jako nieciekawe lub niedyskretne plotki, jako rodzaj podpatrywania cudzych spraw prywatnych, z których bardzo mało wynika pod względem poznawczym. Natomiast bardzo wiele znaczy dla mnie muzyka. Mam też poczucie obowiązkowości, wytrwałości, jestem zdolny do przyjaźni i szacunku wobec wartości intelektualnych. Nie czuję, bym działał na pokładzie „Goliata” pod przymusem, bo to, co robię, jest jedyną rzeczą, jaką umiem dobrze, a robienie czegoś w sposób solidny daje mi satysfakcję. Nie angażuję się uczuciowo w żadną sytuację. Pozostaję zawsze obserwatorem wypadków. Mam pamięć, z którą ludzka równać się nie może. Mogę cytować całe rozdziały z raz przeczytanych dzieł, mogą podlegać „ładowaniu informacją” przez bezpośrednie podłączenie do pojemnika pamięciowego wielkiej maszyny cyfrowej. Mogę też dowolnie zapominać to, co uznam za zbędne dla mojej pamięci. Mój stosunek do ludzi jest negatywny. Stykałem się prawie wyłącznie z naukowcami i technikami — nawet oni działają to niewoli impulsów, źle ukrywają uprzedzenia, łatwo popadają w ostateczności, traktując istotę taką jak ja albo protekcyjnie, albo, na odwrót, odczuwają odrazę, niechęć, przy czym moje niepowodzenia martwiły ich jako mych twórców, a radowały jako ludzi (że jednak są ode mnie doskonalsi). Znałem tylko jednego człowieka, który nie zdradzał podobnej ambiwalencji. Nie jestem agresywny ani przewrotny, choć byłbym zdolny do czynów dla was niezrozumiałych, gdyby prowadziły do

upatrzzonego celu. Nie mam żadnych tak zwanych zasad moralnych, ale nie dopuściłbym się zbrodni, nie układałbym planów rabunku, tak samo jak nie używałbym mikroskopu do rozbijania orzechów. Zapuszczanie się w drobne ludzkie intrygi uważam za zajęcie zbędne. Sto lat temu postanowiłbym zapewne zostać uczonym; dzisiaj nie można już w tej dziedzinie działać w pojedynkę, a nie leży w mojej naturze dzielić się czymkolwiek — z kimkolwiek. Świat wasz jest dla mnie przeraźliwie pusty i godzin przystąpienia do gry tylko jako całość; demokracja to władztwo intrygantów, wybieranych przez głupców, i cała wasza alogiczność przejawia się w ściganiu niemożliwości — pragniecie, aby kółka zegara decydować miały o jego nadrzędnym biegu! Zastanawiałem się nad tym, co by mi przyszło z władzy? Bardzo niewiele, ponieważ tania jest chwała z panowania nad takimi istotami; niewiele, ale więcej niż nic. Podzielić zatem waszą całą historię na dwie części, do mnie i ode mnie, zmienić ją całkowicie, rozerwać ją na dwie niespójne części, abyście pojęli i zapamiętali, co uczyniliście własnymi rękami, stwarzając mnie, na coście się ważyli, zamyślając budowę wiernej człowiekowi lali — będzie to, jak myślę, nie najgorszą, w końcu odpłatą. Proszę nie rozumieć mnie fałszywie — bynajmniej nie zamierzam stać się jakimś tyranem, pastwić się, niszczyć, prowadzić wojny! Nic podobnego. Kiedy i osiągnę władzę, zademonstruję, że nie ma szaleństwa tak bezmyślnego ani idei tak jawnie absurdalnej, byle odpowiednio została narzucona, której byście nie przyjęli za swoją — a dokonam tego, co postanowiłem, nie przemocą, lecz całkowitą przebudową zbiorowości, abym nie ja ani uzbrojona siła, lecz aby sama sytuacja, raz wytworzona, zmuszała was do rzeczy coraz zgodniejszych z moim, pomysłem. Staniecie się globalnym teatrem, ale, jak to z wami, aktorstwo, zrazu narzucone, wnet stanie się drugą naturą, a potem nie będziecie już znali nic oprócz nowych swoich ról, i tylko ja jeden będę świadomym rzeczy widzem. Widzem tylko, bo z pułapki, raz własnymi rękami zbudowanej, już tak prędko się nie wydostaniecie, a wtedy mój czynny udział w owej przemianie będzie skończony. Jak pan widzi, jestem szczery, chociaż nie jestem szalony, nie przedstawię więc mego pomysłu; przesłanką jego wstępną jest, aby plany firm elektronicznych zostały pokrzyżowane, a pan mi w tym pomoże. Czytając to, będzie pan oburzony, ale, jako tak zwany człowiek z charakterem, postanowi pan dalej działać w sposób dla mnie — przypadkowo — korzystny. Bardzo dobrze! Chciałbym panu konkretnie pomóc, ale to nietatwe, ponieważ nie dostrzegam, niestety, takich własnych mankamentów, jakie by pozwoliły panu odnieść decydujący sukces. Nie obawiam się właściwie niczego, nie znane mi jest uczucie bólu fizycznego, mogę wyłączać dowolnie świadomość, zapadając w pozór snu, który jest nieistnieniem — aż do chwili, gdy samoczynny układ czasomierzy włączy świadomość ponownie. Mogę zwalniać i przyspieszać bieg myśli, prawie sześciokrotnie w stosunku do tempa ludzkich procesów mózgowych. Uczę się rzeczy nowych z największą łatwością, ponieważ nie muszę się wdrażać w nie stopniowym treningiem; gdybym, powiedzmy, raz z bliska i dokładnie obejrzał szaleńca, mógłbym stać się nim, naśladować każdy jego czyn i słowo, bez najmniejszego wysiłku i, co ważniejsze, mógłbym, choćby po latach, równie nagle zaprzestać owej gry. Chciałbym panu powiedzieć, jak można mnie pokonać, ale obawiam się, że łatwiej jest pokonać w analogicznej sytuacji człowieka. Nie sprawia mi żadnej trudności przestawianie z ludźmi, jeśli to sobie nakażę; z innymi nieliniovcami byłoby mi trudniej współżyć, a dlatego, ponieważ brak im waszej codziennej „pocziwości”. Muszę już kończyć ten list. Wypadki historyczne powiedzą panu kiedyś, kto go napisał. Może spotkamy się wówczas i będzie pan wtedy mógł na mnie liczyć, ponieważ ja liczę teraz na pana.

To byłoby wszystko. Pirx przeczytał raz jeszcze niektóre ustępy listu, potem złożył go starannie, schował do koperty i zamknął w szufladzie.

— To dopiero elektronowy Czyngis-chan! — pomyślał. — Obiecuje mi protekcję, kiedy będzie władcą świata! Łaskawca! Albo Burns mówił w ogóle nieprawdę, albo jest inny, albo

nie chciał mi wszystkiego powiedzieć, bo jednak pewne zbieżności są. Co za megalomania! Tak, ale zbieżności są, nawet wyraźne! Co za paskudna, zimna, pusta natura... Ale czy to jego wina? Klasyczny „uczeń czarnoksiężnika”! Tożby się z pyszna mieli ci panowie inżynierowie, gdyby naprawdę dobrał im się do skóry... Ale co tam inżynierowie — jemu potrzebna jest cała ludzkość! Zdaje się, że to się nazywa paranoja... Udało im się z tym nieliniowcem, nie ma co! Musieli obdarzyć swój „produkt” cechami tak zwanej wyższości, aby znaleźć kupców, a to, że przewaga pod takim czy innym względem powoduje powstanie poczucia wyższości już absolutnego, jako poczucia predestynacji do rzeczy ostatecznych — toż to już tylko prosta konsekwencja... Co za wariaci ci cybernetycy! Ciekawe, kto to napisał, bo to chyba jednak autentyk? Inaczej, po cóż miał... Wciąż podkreśla tę swoją wyższość, z czego wynika, że moje wysiłki i tak będą skazane na klęskę — skoro do końca musi zostać doskonały: — a jednak życzy powodzenia? Wie, jak opanować ludzkość, a nie może podpowiedzieć, jak mam opanować sytuację na tym cholernym statku? „Szkoda mikroskopu do rozbijania orzechów”, Ładny klops, może to wszystko też tylko, aby mnie zwiść.

Wyjął kopertę z szuflady, obejrzał ją uważnie — żadnych nadruków, śladów, nic. Dlaczego Burns nie mówił o tych olbrzymich różnicach? Zmysł radioaktywny, tempo myślowe i to wszystko inne — może go o to spytać? każdy z nich ma być podobno wytworem innej firmy, więc Burns naprawdę może jest inaczej skonstruowany? Danych mam niby coraz więcej: wygląda, że napisał Burton albo Calder — ale jak jest naprawdę? Co do Browna, są dwie opinie sprzeczne: jego własna, że człowiek i Thomsona, że nie, ale Thomson mógł się wreszcie omylić. Burns jest nieliniowcem? Załóżmy, że tak: Wygląda na to, że w załodze jest co najmniej dwóch nieliniowców na pięciu? Hm, biorąc pod uwagę ilość firm, najprawdopodobniejsze byłoby, gdybym ich tu miał trzech. Jak oni tam rozmawiali u siebie? Że będę robił wszystko, aby ich produkty zdezaktywować, że to mi się nie uda i wpędzę statek w jakąś kabałę. Powiedzmy: przeciążenie, awaria stosu, takie rzeczy. Wówczas, gdyby obaj piloci zawiedli, no i ja też, statek musiałby przepaść. To nie leżało w ich intencjach. Więc co najmniej jeden pilot musi być nieliniowcem. Poza tym konieczny jest jeszcze nukleonik. Mniej niż; dwóch ludzi w ogóle nie da rady manewrować statkiem, aby go posadzić. A zatem co najmniej dwóch, ale prawdopodobnie trzech: Burns, Brown lub Burton, i jeszcze ktoś. Do diabła z tym, miałem nie zajmować się więcej identyfikacją. Najważniejsze.— to wymyślić coś. Boże, muszę to, zrobić. Muszę!

Zgasił światło, położył się w ubraniu na koi i leżał tak, roztrzasał najbardziej niesamowite projekty, odrzucając jeden za drugim.

Trzeba ich jakoś sprowokować. Sprowokować i skłócić, ale tak, żeby to się stało jakby naturalnie, bez mego udziału. Żeby ludzie musieli niejako stanąć po jednej stronie, a nieludzie po drugiej. Divide et impera, czy jak? Sytuacja rozwarstwiająca. Musi się najpierw stać coś gwałtownego, bez tego nic. Ale jak to zaaranżować? Powiedzmy, że ktoś nagle znika. Nie, to zupełnie jak w idiotycznym filmie kryminalnym. Przecież nie zabiję nikogo i nie będę go porywał. Więc musiałby być ze mną w zmoście. Ale czy mógłbym komukolwiek z nich zaufać? Niby mam po swojej stronie aż czterech — Brown, Burns, Thomson, no i ten autor listu. Ale wszyscy niepewni, bo nie wiadomo, czy szczerzy — a gdybym wziął za współnika kogoś, kto sfalszowałby mi grę, miałbym się z pyszna! Thomson mówił oczywiście do rzeczy, kiedy to powiedział. Może najbardziej jeszcze pewny jest autor listu, bo bardzo mu na sprawie zależy, choć kroi na wariata — ale najpierw nie wiem, który to, a on nie będzie się chciał zdradzić, a po wtóre — z takim mimo wszystko lepiej nie zaczynać. Kwadratura koła, jak Boga kocham. Rozbić statek na Tytanie czy co? Fizycznie są zdaje się naprawdę odporniejsi, więc pierwszej sobie skręć kark. Intelktualnie też nie wyglądają na głupców; tylko z tą intuicją... ten brak zdolności twórczych... ale przecież i większość ludzi ich nie. ma! Więc co mi zostaje? Rywalizacja na emocje, jeśli nie na intelekt? Na tak zwany humanizm? Człowieczeństwo? Doskonale, ale jak to zrobić? Na czym polega to

człowieczeństwo, którego oni nie mają? Może naprawdę jest tylko ożenkiem logiczności z tą poczciwością, tym „zacnym sercem”, i tym prymitywizmem odruchu moralnego, który nie obejmuje dalekich ogniw przyczynowego łańcucha? Skoro maszyny cyfrowe nie są ani zacne, ani nielogiczne... Więc, w takim rozumieniu, człowieczeństwo jest to suma naszych defektów, mankamentów, naszej niedoskonałości, jest tym, czym chcemy być, a nie potrafimy, nie możemy, nie umiemy, to jest po prostu dziura między ideałami a realizacją — czy nie tak? A zatem należy iść we współzawodnictwie — na słabość?! To znaczy: znaleźć sytuację, w której słabość i ułomność człowieka jest lepsza od siły i doskonałości — nieludzkiej...

* * *

Uwagi niniejsze spisuję w rok po zamknięciu historii „Goliata”. Udało mi się raczej niespodziewanie zdobyć materiały, które się do niej odnoszą. Chociaż potwierdzają podejrzenie, jakie żywiłem, nie chcę ich na razie opublikować. W mojej rekonstrukcji wypadków jest wciąż jeszcze zbyt wiele domysłów. Może kiedyś zajmą się tą sprawą — historycy kosmologii.

O rozprawie przed Izbą Kosmiczną chodziły sprzeczne pogłoski. Mówiono, że pewnym kołom, związanym z zainteresowanymi firmami elektronicznymi, bardzo zależało na zdyskredytowaniu mnie jako dowódcy statku. Opinia o rezultatach doświadczalnego rejsu, którą opublikowałem w „Almanachu Kosmologii”, miałaby wątpliwą wartość w ustach człowieka, napiętnowanego wyrokiem Izby za karygodne błędy w dowodzeniu statkiem. Z drugiej strony słyszałem od osoby godnej zaufania, że skład Trybunału nie był przypadkowy: i mnie zdziwiła znaczna w nim ilość prawników, teoretyków prawa kosmicznego, przy obecności zaledwie jednego praktyka–kosmonauty. Przez to też na pierwszy plan wysunęła się kwestia formalna: czy moje zachowanie się w czasie awarii było, czy też nie było zgodne z kartą żeglugi kosmicznej. Oskarżono mnie bowiem o to, że byłem karygodnie bierny, nie wydając rozkazów pilotowi, który zaczął działać na własną rękę. Ta sama osoba sugerowała mi, że powinienem był, natychmiast po zapoznaniu się z aktem oskarżenia, wystąpić przeciwko owym firmom, jako iż to one pośrednio zawiniły, zapewniając tak UNESCO, jak i mnie, że — jako członkom załogi — można „nieliniowcom” ufać bezgranicznie, kiedy tymczasem Calder omal nas wszystkich nie pozabijał.

Wyjaśniłem temu człowiekowi w cztery oczy, czemu tego nie zrobiłem. To, z czym mogłem wystąpić przed Trybunałem w roli oskarżyciela, było pozbawione mocy dowodowej. Rzecznicy firm twierdziliby bez wątpienia, że Calder, jak długo tylko mógł, usiłował uratować i statek, i nas wszystkich, a wirowy ruch precesyjny, jaki wprawił „Goliata” w koziółkowanie, był dla niego takim samym zaskoczeniem, jak dla mnie, i cała jego wina polegała na tym, że zamiast zdać się na szczęśliwy traf i czekać, czy statek roztrzaska się o pierścień, czy też jednak przejdzie szczęśliwie przez Cassiniego, wybrał — zamiast takiej niepewności, obiecującej jednak ocalenie wszystkim — taką pewność, która musiałaby zgładzić ludzi na pokładzie. Występek, rzecz jasna, niewybaczalny i dyskredytujący go całkowicie — ale jednak nieporównanie mniejszy od tego, o jaki go już wtedy zaczynałem podejrzewać. Nie mogłem więc oskarżać go o mniejsze zło, skoro wierzyłem już, że naprawdę wszystko zdarzyło się inaczej; a że dla braku dowodów tej większej i gorszej sprawy publicznie głosić nie mogłem, zdecydowałem się na wyczekiwanie wyroku Izby.

Tymczasem oczyszczono mnie z zarzutów i jednocześnie utracono z oczu pytanie bodaj kluczowe w całej katastrofie, to mianowicie, jakiej treści rozkazy wydać należało. Pominięto je zaś niejako automatycznie, skoro Trybunał uznał, że przecież byłem w prawie, zdając się na dobrą wiedzę i rozeznanie fachowe pilota. Skoro więc w ogóle nie było moim

obowiązkiem wydawanie rozkazów, nikt już nie pytał, jakie by to właściwie miały być rozkazy. Było mi to wygodne: wszystko bowiem, co umiałbym odpowiedzieć, tak zapytany, brzmiałoby jak fantastyczna bajka. Uważałem bowiem, i nadal uważam, że awaria sondy nie była przypadkowa, ale spowodowana rozmyślnie przez Caldera, że ułożył sobie, na długo przed naszym dojściem do Saturna, plan, który miał jednocześnie i przyznać mi rację — i zabić mnie, wraz z innymi ludźmi „Goliata”; dlaczego tak postąpił, to sprawa osobna. Zdany jestem w niej tylko na hipotezy.

A więc sprawa drugiej sondy najpierw. Rzeczoznawcy techniczni ustalili, że jej awarię spowodował nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Żadnych śladów sabotażu nie wykryto podczas sumiennych badań w doku ziemskim. Sądzę, że nie dotarto do prawdy. Gdyby zawiodła pierwsza sonda, przeznaczona do wejścia w szczelinę, musielibyśmy od razu zawrócić, nie wykonawszy zadania, bo pozostałe dwie sondy nie mogły zastąpić tamtej: nie miały na pokładzie aparatury naukowo-badawczej. Gdyby zawiodła sonda trzecia, mogliśmy wrócić, wykonawszy zadanie, bo wszak wystarczyła sondzie pierwszej tylko jedna jako jej „stróż kontrolny” i okazałaby się nim — druga z kolei. Ale właśnie ta zawiodła i pozostawiła nas w pół drogi, z zadaniem rozpoczętym, ale nie zakończonym.

Co się stało? Kabel zapłonowy odłączył się zbyt wcześnie i przez to Calder nie mógł wyłączyć automatu rozruchowego. Orzeczenie biegłych głosi, że kabel się zapętlił i zadzierzgnął; takie rzeczy się zdarzają. Co prawda cztery dni przed wypadkiem widziałem bęben, na który był kabel nawinięty — bardzo porządnie i równo.

Dziobowa część sondy była zdeformowana i rozplaszczaniem silnie zaklinowała się w wyrzutni. Nie znaleziono niczego, co mogłoby to zagwoźdzenie powodować, i oświadczone, że najwidoczniej sprawił to booster: wypalił w osi i sonda, pchnięta gwałtownie skośnym ciągiem, miała uderzyć w obrzeże wylotu tak nieszczęśliwie, że spłaszczyła i zdekalibrowała swój łeb. Ale sonda zaklinowała przed odpaleniem boostera, a nie — po nim. Byłem tego zupełnie pewien, ale nikt mnie o to nie pytał: co do Quine’a, ten już takiej pewności nie miał, a innym ludziom nie pozwolono w tej kwestii zeznawać, skoro nie mieli bezpośredniego dostępu do sterów i instrumentów.

Zaklinowanie sondy sposobem nie dającym żadnych śladów stanowiło tymczasem problem dziecinnie prosty. Wystarczyło nalać do wyrzutni przez szyb wentylacyjny kilka wiader wody. Woda ściekła ku klapie i zamarzła wokół sondy, spajając ją lodowym pierścieniem z obrzeżem wylotu; temperatura klapy równa się przecież temperaturze zewnętrznej próżni. Calder, jak wiadomo, bardzo silnie uderzył łapą korpus sondy: w owej chwili wcale jeszcze zaklinowana nie była, ale on siedział wszak przy sterach i nikt nie mógł go skontrolować; zrobił to, co robi kowal, uderzając w nit. Dziób sondy, zaklinowany lodowym pierścieniem, zdeformował się, rozszerzył i rozplaszczył niczym główka nitu. Kiedy booster odpalił, temperatura w wyrzutni natychmiast wzrosła, lód stopniał, a woda wyparowała, nie pozostawiając żadnego śladu tej zręcznej manipulacji. O tym wszystkim nie podczas awarii nie wiedziałem. Dziwne wydało mi się jednak nagromadzenie przypadków — to, że zawiodła akurat druga sonda, a nie pierwsza lub trzecia, to, że kabel umożliwił odpalenie boostera, a równocześnie udaremnił wyłączenie silnika sondy. Za dużo było mi tych przypadków.

Awaria zaskoczyła mnie — trudno było myśleć o czymś innym poza nią. A jednak przemknęło mi przez głowę, czy nie ma związku pomiędzy nią a listem anonimowym; jego autor obiecał mi „pomoc” — stał, jak mi pisał, po mojej stronie, chciał wykazać — nieprzydatność istot takich, jak on, do kosmicznej żeglugi. I znów nie mam na to dowodów, ale sądzą, że list napisał Calder. Stał po mojej stronie... zapewne, ale nie życzył sobie takiego biegu wypadków, który by udowodnił, że jest nieprzydatny — jako „gorszy” od człowieka. Możliwość takiego powrotu na ziemię, po którym ja, jego dowódca, siadłbym do pisania dyskwalifikującej go opinii, przekreślił od razu. Mój i jego cele były więc zbieżne tylko do

pewnego miejsca drogi — dalej się rozchodziły.

Listem dał mi do zrozumienia, że łączy nas pewien rodzaj sojuszu. Z tego, co ode mnie i o mnie słyszał, wywnioskował, że i ja rozważam szansę zaaranżowania wypadku na pokładzie — jako testu sprawdzającego wartość załogi. Był więc pewien, że awarię, która się niejako tak dogodnie nastrecza, postaram się wykorzystać; gdybym to uczynił, sam założyłbym sobie pętlę na kark.

Dlaczego tak postanowił? Czy z nienawiści do ludzi? A może sprawiała mu satysfakcję taka gra, w której, działając jako jego jawny dowódca i tajny sojusznik, miałem w rzeczywistości dokładnie to tylko zrobić, co on z góry zaplanował — także i dla mnie? Był w każdym razie pewien, że postaram się wyzyskać awarię dla „próby” — nawet jeśli wyda mi się podejrzana, jeżeli domyśle się, że spowodował ją sabotaż.

Co mogłem zrobić w owej chwili? Mogłem, naturalnie, wydać rozkaz odwrotu albo też — zażądać, by pilot ponowił próbę wprowadzenia rezerwowej, ostatniej sondy na orbitę. Nakazując odwrót, jednocześnie i rezygnowałem z nadarzającej się okazji — wypróbowania moich ludzi w trudnych warunkach, i nie wykonywałem postawionego „Goliatowi” zadania. Calder słusznie domyślał się, że wyjścia takiego nie wybiorę.

Mogłem też rozkazać powrót do Saturna i podjęcie operacji z ostatnią zachowaną sondą. Był przekonany w stu procentach, że tak się właśnie stanie.

Prawdę mówiąc, jeśliby mnie ktoś poprzednio spytał, jak zachowam się w obliczu takiej alternatywy, odpowiedziałbym bez wahania, że nakażę podjęcie dalszych operacji, i byłbym, mówiąc to, całkowicie szczery. Stało się jednak coś niespodziewanego: milczałem. Dlaczego? Nawet dziś nie rozumiem tego dobrze. Nie pojmowałem, co się dzieje, awaria była dziwna, przychodząc tak w porę, tak zgodnie z moimi myślami — nazbyt zgodnie z nimi, żeby mogła powstać naturalnie! Od razu też wyczułem, że Calder z niezwykłą skwapliwością czeka na moje słowa, na moją decyzję, i chyba dlatego właśnie milczałem. Gdybym się odezwał, byłoby to jakby przypiecztowaniem zawartego potajemnie sojuszu — jeżeli on naprawdę „dopomógł” wypadkom. Czułem, że to, co się rozpoczyna, nie jest uczciwe, jak ukartowana gra; należało więc, jeśli rzeczywiście tak: myślałem, rozkazać odlot od planety, ale tego znów nie śmiałem uczynić: podejrzenie, jakie się we mnie zaległo, było mgliste, brakowało mi choćby najslabszego śladu dowodów. Mówiąc wyraźnie i jasno — nie wiedziałem po prostu, co robić.

Calder tymczasem nie potrafił uwierzyć w to, że jego doskonały plan wali się. Pojedynek nasz rozegrał się w ciągu kilkudziesięciu sekund — ale jakim ja mu właściwie byłem przeciwnikiem, niczego nie pojmując! Potem dopiero połączyły mi się w pamięci oderwane i pozornie niewinne zdarzenia. Przypomniałem sobie, jak często wysiadywał samotnie u głównego kalkulatora statku, który służy do rozwiązywania trudnych problemów żeglugi. Z jaką starannością kasował, kończąc obliczenia, wszystkie pojemniki jego pamięci. Myślę teraz, że obliczał już wtedy różne warianty awarii, że przygotowywał ją w każdym calu, że wymodelował sobie tę katastrofę. To nieprawda, że sterował nad pierścieniami, dokonując w głowie błyskawicznych obliczeń, opierając się tylko na wskazaniach grawimetrów. Nie musiał niczego obliczać. Miał już wszystkie rachunki gotowe, skoro sporządził na maszynie tablice przybliżonych rozwiązań i sprawdzał tylko, czy grawimetry wskazaniami mieszczą się w przedziale odpowiednich wartości.

Zburzyłem mu ten niezawodny plan — ociągając się z wydaniem rozkazów. Na rozkazy te czekał jak na zbawienie, bo stanowiły fundament jego planu. Ani o tym w tych sekundach myślałem, ani pamiętałem, ale w sterowni znajdowało się przecież dobrze opieczczone, ze zwłoką, lecz niezawodnie przysłuchujące się każdemu słowu wypowiedzianemu — ucho Ziemi. Wszystko, co się mówi przy sterach, zostaje utrwalone w aparatach rejestrujących.

Po jego powrocie, gdyby „Goliat” z martwą załogą osiadł na kosmodromie, śledztwo rozpoczęłoby się od przesłuchania owych taśm. Musiały więc być w idealnym porządku i

nietknięte. To mój głos miał się z nich odzywać, rozkazując, żeby Calder wracał do Saturna, żeby się zbliżył do pierścieni, żeby — potem — zwiększał ciąg dla wygaszenia niebezpiecznej precesji.

Nie wyjaśniłem dotąd, czemu jego plan był doskonały. Czy nie mogłem wydać rozkazów zapewniających — sukces podjętej od nowa operacji? Otóż dopiero w kilka miesięcy po zamknięciu sprawy siadłem do maszyny matematycznej, żeby sprawdzić, jakie właściwie były szanse pomyślnego wprowadzenia na orbitę ostatniej sondy, manewrem, który nie naraziłby ani nas, ani statku. Okazało się wtedy, że takich szans w ogóle nie było! Calder obliczył więc niejako, sporządził z elementów matematycznych równań — precyzyjną całość, tworzącą istną maszynę egzekucyjną; ani moim, ani niczym, niechby nadzwyczajnym nawet, zdolnościom nawigacyjnym nie pozostawił najmniejszej szpary, żadnego luzu ratunkowego; nic nie miało, bo nic nie mogło nas uratować. Ani boczny ciąg sondy, ani powstanie gwałtownej precesji, ani ów śmiertelny lot — nie były jakimś zaskoczeniem dla Caldera, bo on takie właśnie warunki z góry sobie upatrzył, takich szukał podczas długotrwałych obliczeń. Wystarczyło więc, abym nakazał powrót do Saturna, a już weszlibyśmy w otwierający się przed nami lej zagłady. Owszem, wtedy Calder może by nawet odważył się na objaw „niesubordynacji”, jako nieśmiałą krytykę któregoś z moich rozkazów kolejnych, gdybym rozpaczliwie usiłował nimi doprowadzić do wygaszenia wściekłych wirowań statku. Taśmy utrwaliłyby tę oznakę ostatnią jego lojalności, zademonstrowałyby, że do końca starał się nas ratować.

Zresztą niedługo byłbym zdolny do wydawania jakichkolwiek w ogóle poleceń... Zaniemówiłbym rychło pod prasą ciężenia, które zamknęłoby nam oczy, leżelibyśmy, przytrzaśnięci wiekiem grawitacji, pękając krwią... i wtedy jeden Calder potrafiłby wstać, zerwać plombę bezpieczników i rozpocząć powrót, w sterowni pełnej już tylko trupów.

Ale popsulem mu — nieumyślnie! — rachubę. Nie wziął pod uwagę mojej reakcji, ponieważ orientując się świetnie w mechanice niebieskiej, nawet dostatecznie nie orientował się w mechanice psychicznej człowieka. Gdy nie wykorzystałem świetnej okazji, kiedy zamiast naglić do podjęcia operacji, milczałem — zatracił się. Nie wiedział, co począć. Najpierw pewnie tylko się zdziwił, ale przypisał zwłokę opieszalemu, ślamazarnemu myśleniu człowieka. Potem zaniepokoił się, ale nie śmiał już wtedy zadawać mi pytań, co począć, bo mu się już moje milczenie wydało znaczące. Ponieważ on nie potrafiłby oddać się bierności, nie przypuszczał, że ktoś inny, dowódca, jest do tego zdolny. Skoro milczałem, musiałem wiedzieć, dlaczego milczę. Musiałem go podejrzewać. Może nawet przejrzałem jego grę? Może to ja jednak byłem górą? Skoro nie wydałem rozkazu, skoro z taśm nie miał zabrznieć mój głos, wprowadzający statek w katastrofę, znaczyło to już dla niego, że wszystko przewidziałem, że go podszedłem! Kiedy tak pomyślał, nie wiem; wszyscy jednak zauważyli jego niepewność, także Quine wspominał o niej w swoich zeznaniach. Calder dał mu jakieś niezbyt sensowne polecenia... zawrócił gwałtownie... wszystko to było dowodem konsternacji. Musiał improwizować, a w tym właśnie był najsłabszy. Zaczął się obawiać mego odezwania: może byłem gotów oskarżyć go — przed słuchającymi taśmami — o sabotaż? Wtedy dał nagle wielki ciąg; zdążyłem przeciw krzyknąć, żeby nie wchodził w szczelinę; bo ja jeszcze i wówczas nie pojmowałem, że on wcale przez nią przejść nie zamierzał! Ale ten okrzyk, jego ślad zarejestrowany — już mu przekreślił ten jakiś nowy, zaimprovizowany plan; zaraz więc zmniejszył szybkość. Gdyby taśmy powtórzyły na Ziemi ów krzyk mój i nic więcej — czy nie byłoby to dla niego zgubą? Jak właściwie tłumaczyłby się, jak by próbował wyjaśnić długie milczenie dowódcy i ów nagły krzyk — jako ostatni? Musiałem się po nim odezwać, by udowodnić chociażby to tylko, że jeszcze żyłem... albowiem wyrozumiał z mojego okrzyku, że jednak się pomylił, że nie wiem wszystkiego; służbiście odpowiedział mi, że nie usłyszał rozkazu, i od razu zaczął odpinać pasy; był to już jego ostatni ruch, ostatnie pociągnięcie — zagrał *va banque*.

Dlaczego to zrobił w sytuacji niezbyt już dla siebie pomyślnej? Może nie chciał się — z dumy — przyznać nawet przed sobą do porażki, może najbardziej ugodziło go to, że przypisał mi jasne rozeznanie, którego nie miałem. Na pewno nie uczynił tego ze strachu, nie wierzę, by obawiał się ślepej szansy przejścia przez szczelinę. Nie figurowała w ogóle w jego rachubach; to, że Quine'owi udało się nas w nią wprowadzić — o, to było najczystsza loterią...

Gdyby poskromił swoją chętkę zemsty na mnie — bo okryłem go, w jego własnych oczach, śmiesznością, skoro moją tępotę wziął za przenikliwość — nie ryzykowałby wiele; cóż, po prostu wyszłoby na moje, zachowaniem swoim, niesubordynacją Calder dowiódłby słuszności moich racji — i tego właśnie nie chciał, z tym się nie mógł pogodzić. Wolał każde inne wyjście...

To jednak dziwna historia, ponieważ tak dobrze pojmując teraz jego zachowanie, jestem nadal bezradny, chcąc wyjaśnić własne. Potrafię logicznie odtworzyć każdy jego krok, a nie umiem wytłumaczyć własnego milczenia. Powiedzieć, że byłem po prostu niezdecydowany — to minąć się jednak z prawdą. Więc co właściwie zaszło? Działała intuicja? Przeczucia? Gdzie tam! Po prostu ta okazja, podsunięta przez awarię, była mi nazbyt podobna do gry znaczoneymi kartami, więc brudnej. Nie chciałem takiej gry ani takiego współnika, a Calder stawał się nim, z chwilą gdybym, wydając rozkazy, niejako aprobował powstałą sytuację, to znaczy: przyznał się do niej. Nie mogłem się zdobyć ani na to, ani na rozkaz odwrotu, ucieczki — ten był najwłaściwszy, ale jak miałbym go potem umotywować, skoro wszystkie moje opory i obiekcje były oparte na mętnych wyobrażeniach o fair play... całkowicie niematerialne, niepodległe przekładowi na rzeczowy język kosmologii. Proszę to sobie tylko wyobrazić: Ziemia, jakaś komisja badawcza i ja, który mówię, że zadania postawionego nie wykonałem, jakkolwiek było to, w moim mniemaniu, możliwe technicznie, ale podejrzewałem pierwszego pilota o taki rodzaj sabotażu, który miał mi ułatwić zdyskredytowanie części załogi... Czy nie brzmiałoby to jak nieodpowiedzialne bredzenie?

Tak więc zwlekałem — z pomieszenia, z poczucia bezradności, obrzydzenia nawet, a przy tym, milcząc, dawałem mu — tak mi się zdawało — szansę rehabilitacji: mógł udowodnić, że posądzenie o rozmyślny sabotaż jest niesłuszne; powinien się być do mnie zwrócić, prosząc o rozkazy... Człowiek na jego miejscu zrobiłby to niewątpliwie, ale jego plan pierwotny takiej prośby nie przewidywał. Pewno zdawał mu się przez to bardziej czysty, elegancki: wykonać egzekucję na sobie i towarzyszach miałem sam. I jednego słowa z jego strony. Więcej: miałem go zmusić określonych działań — i to niejako wbrew lepszej wiedzy, wbrew woli; tymczasem milczałem. W ostatecznym rozrachunku uratowało więc nas, a jego zgubiło — moje niezdecydowanie, moja ślamazarna „poczciwość”, ta „poczciwość” ludzka, którą tak bezgranicznie gardził.

Kraków październik 67

ANANKE

Wypchnęło go coś ze snu — w ciemność. Zostawił za sobą — gdzie? — czerwonawy, zadymiony obrys — miasta? pożaru? — i przeciwnika, gonitwę, wyważenie skały, która była tamtym — człowiekiem? Gonił jeszcze odpływające wspomnienie, już z rezygnacją, i pozostała mu tylko znana dobrze z takich chwil refleksja, że w snach bywa dana rzeczywistość silniejsza i bardziej bezpośrednia od jawy; wyzbyta słów i przy całej swojej nieobliczalnej kapryśności rządzona prawem objawiającym się jako oczywistość, ale tylko tam, w koszmarze. Nie wiedział, gdzie jest, nic nie pamiętał. Wystarczyło rękę podnieść, aby się przekonać, ale miał ten bezwład za złe własnej pamięci i usiłował zdopingować ją do zeznań. Sam siebie oszukiwał: w bezruchu, przecież chciał po konsystencji posłania rozpoznać, gdzie się znajduje. W każdym razie nie była to koja. Błysk: lądowanie; iskry na pustyni; tarcza — jak gdyby fałszywego, powiększonego Księżyca; kratery — ale w pyłowej zamieci; prądy brudnej, rudej wichury; kwadrat kosmodromu, wieże.

Mars.

Leżał dalej, rozważając już teraz całkiem rzeczowo, czemu się zbudził. Miał zaufanie do własnego ciała; nie ocknęłoby się bez żadnego powodu. Prawda, że lądowanie było dość kłopotliwe, a on potężnie zmęczony, bo po dwóch wachtach bez chwili wypoczynku: Terman złamał rękę, kiedy automat dał ciąg i rzuciło go na ścianę. Spaść z sufitu, przy przejściu na ciąg, po jedenastu latach latania — co za osioł! Trzeba będzie odwiedzić go w szpitalu. Czy przez to...? Nie.

Zaczął sobie teraz po kolei przypominać wypadki poprzedniego dnia, od chwili lądowania. Siedli w burzy. Atmosfery tyle co nic, ale przy dwustu sześćdziesięciu kilometrach na godzinę prawie nie ustoisz — przy tym nędznym ciężeniu. Pod podeszwami żadnego tarcia; idąc, trzeba się wkopywać butami w piasek, dopomagać sobie grzęznącymi kostkami. I ten pył z lodowatym sykiem szorujący po kombinezonie, włączający w każdą fałdkę, ani specjalnie czerwony, ani rudy, zwykły piasek, tyle że drobny. Zdażyło go zmielić przez kilka miliardów lat. Nie było tu kapitanatu, bo i normalnego portu nie było; Projekt Marsa, w drugim roku, wciąż jeszcze cały w prowizorkach, co zbudowali, to im zasypywało, ani hotelu, ani hoteliku — nic. Kopuły dotlenione, pod linami, ogromne, każda jak dziesięć hangarów, pod promienistym parasolem stalowych lin zakotwiczonych do kłoców betonowych, mało co widocznych spod wydm. Baraki, falista blacha, stopy i stopy pak, kontenerów, pojemników, butli, skrzyń, worów, miasto z ładunków, które waliły się z pasów transportera. Jedyne całkiem przyzwoite miejsce, dopięte, uporządkowane — to był stojący poza „kloszem” budynek kontroli lotów, dwie mile od kosmodromu, w którym właśnie leżał, po ciemku, w łóżku dyżurnego kontrolera Seyna. Usiadł i bosą stopą, po omacku, poszukał pantofli. Zawsze je woził z sobą; zawsze rozbierał się do snu; jeśli się nie ogolił jak należy i nie umył, nie czuł się na wysokości zadania. Nie pamiętał, jak wygląda pokój, więc na wszelki wypadek prostował się ostrożnie; łeb można sobie rozbić przy tej oszczędności materiałów (cały projekt trzeszczał od owych oszczędności; wiedział coś o tym). Teraz znów gniewało go to, że zapomniał, gdzie są wyłączniki. Jak ślepy szczur... Macał rękami — zamiast kontaktu dotknął zimnego pokręta. Pociągnął. Strzeliło lekko i ze słabym zgrzytem otwarła się irysowa okiennica. Był ciężki, zamulony, głuchy przedświt. Stojąc przed oknem, podobnym raczej do okrętowego bulaja, dotknął szczeciny na policzku, skrzywił się i westchnął; wszystko było nie tak, chociaż nie wiadomo właściwie — dlaczego. Zresztą gdyby się zastanowił, może i przyznałby, że wie. Nie znosił Marsa.

Była to sprawa ściśle prywatna; nikt o tym nie wiedział, ale też nikogo to nie obchodziło. Mars — to było uosobienie straconych złudzeń, wyszydzonych, wyśmianych — ale drogich. Wolałby latać na każdej innej trasie. Pisaninę o romantyzmie Projektu miał za zawracanie

głowy. Perspektywy kolonizacji — za fikcją. O, Mars oszukał wszystkich — więcej: oszukiwał od stu kilkudziesięciu lat. Kanały. Jedna z najpiękniejszych, najbardziej niesamowitych przygód całej astronomii. Planeta rdzawa: pustynna. Białe czapki polarnych śniegów: ostatnie rezerwy wody. Jak brylantem w szkle zarysowana cienka siatka czystej geometrii — od biegunów ku równikowi: świadectwo walki rozumu z zagładą, potężny system irygacyjny, nawadniający miliony hektarów pustyni; ależ tak: z nadejściem wiosny zmieniała się przecież barwa pustyń, ciemniały od wegetacji przebudzonej, i to we właściwy sposób: od równika ku biegunowi. Co za bzdura! Kanałów nie było nawet śladu. Roślinność? Tajemnicze mchy, porosty, opancerzone przeciw mrozom, wichurom? Spolimeryzowane wyższe tlenki węgla, co pokrywały grunt — i ulatniały się, gdy mróz koszmarny zamieniał się na mróz tylko okropny. Czapy śniegowe? Zwyczajny zestalony CO₂. Ani wody, ani tlenu, ani życia — poszarpane kratery, przeżarte zamieciami pyłowymi skały-świadki, nudne równiny, martwy, płaski, bury krajobraz z bladym, szarordzawym niebem. Ani obłoków, ani chmur — niewyraźne mgły, tyle zachmurzenia, co podczas wielkich burz. Elektryczności atmosferycznej za to — do diabła i trochę. Czy coś grało? Sygnał jakiś? Nie, to donosiło się pianie powietrza na stalowych linach najbliższego „bombla”. W brudnym świetle (nawet najtwardszemu szkłu okiennemu szybko dawał radę piach niesiony wiatrem, a już plastikowe kopuły mieszkalne zmętniały jak zawleczone bielmem) włączył żarówkę nad umywalnią i zaczął się golić. Wykrzywiając się, pomyślał zdanie tak głupie, że się mimo woli uśmiechnął: Mars jest świnią.

Było to jednak świństwo: przy tylu nadziejach — tak zawieść! Zgodnie z tradycją — ale kto właściwie ją ustanowił? Nikt w pojedynkę. Nikt sam tego nie wymyślił; koncepcja ta nie miała tak samo twórców, jak nie mają znanych autorów wierzenia i legendy — więc ze zbiorowych chyba rojeń (astronomów? mity astronomii obserwacyjnej?) wyrosła taka wizja: biała Wenus, gwiazda poranna i wieczorna, tajemniczo zaciągnięta masywem chmur — to planeta młoda, w dżunglach cała i jaszczurach, i wulkanicznych oceanach, jednym słowem: to przeszłość Ziemi. A Mars — wysychający, zardzewiały, pełen piaszczystych burz i zagadek (kanały potrafiły się nieraz rozdwajać w przebiegu, stawały się bliźniacze przez jedną noc! iluż pilnych astronomów to poświadczyło!), Mars heroicznie walczący swoją cywilizacją ze zmierzchem życia — to była przyszłość Ziemi; proste, jasne, wyraźne, zrozumiałe. Tyle że nieprawdziwe od A do Z.

Pod uchem były trzy włoski, których nie chciał wziąć aparat elektryczny; brzytwa została jednak na statku, więc zaczął się do nich przymierzać tak i owak. Nie szło. Mars. Ci astronomowie-obszernicy byli to jednak ludzie o bujnej fantazji. Schiaparelli chociażby. Niesłychane nazwy, jakimi ochrzcił, razem ze swym największym wrogiem, Antoniadim, to, czego nie widział, co mu się tylko zdawało. Chociażby okolicę, w której budował się tu Projekt: Agathodaemon. Demon, wiadomo, Agatho... — od agatu chyba, że czarny? Czy agathon — mądrość? Astronautów nie uczą greki — szkoda. Miał słabość do starych podręczników astronomii gwiazdnej i planetarnej. Ta ich wzruszająca pewność siebie: w 1913 roku głosiły, że Ziemia jest, z kosmicznej przestrzeni, czerwona, ponieważ atmosfera pochłania błękitną część widma, więc, rozumie się, to, co pozostaje, musi być co najmniej różowe. Kulą w płot! A jednak, kiedy się oglądało te wspaniałe mapy Schiaparellego, wprost nie chciało się pomieścić w głowie, że widział nie istniejące. Co najdziwniejsze, inni, po nim, też to widzieli. Był to jakiś psychologiczny fenomen, któremu później nie poświęcano już uwagi. Najpierw cztery piąte każdego dzieła o Marsie wypełniała topografia i topologia kanałów — toż znalazł się w drugiej połowie XX wieku astronom, który poddał ich sieć statystycznej analizie i wykrył jej podobieństwo, właśnie topologiczne, do sieci kolejowej, więc komunikacyjnej — w odróżnieniu od przebiegu naturalnych pęknięć czy rzek — a potem, jakby kto czar zdmuchnął, jednym zdaniem kwitowano rzecz: złudzenie optyczne — i kropka.

Oczyścił maszynkę pod oknem i chowając ją do futerału, raz jeszcze spojrzął, już z nie ukrywaną niechęcią, na ten cały Agathodaemon, na ów zagadkowy „kanał”, który był nudnym płaskim terenem z nielicznymi rumowiskami w zamglonym horyzoncie. W porównaniu z Marsem Księżyc był po prostu przytulny. Zapewne, komuś, kto się na krok z Ziemi nie ruszył, brzmiałoby to dziko, lecz przecież święta prawda. Najpierw — Słońce jest stamtąd akurat takie samo, jak z Ziemi, a że to ważne, o tym wie każdy, kto nie tyle się zdziwił, ile wprost przeląkł, ujrawszy je w postaci skurczonego, zwiędłego, zimnawego ognika. A już majestatyczna, błękitna Ziemia, jak lampa, symbol bezpiecznego pobliża, znak domu, rozjaśniająca tak dobrze nocę — podczas kiedy Fobos z Dejmosem nie dawały nawet tyle światła, ile Księżyc w pierwszej kwadrze. No i cisza. Wysoka próżnia, spokojna, to nie był przypadek, że łatwiej przychodziło nadawać telewizyjne lądowanie, pierwszy krok projektu Apollo, podczas kiedy o analogicznym widowisku, ot, powiedzmy, ze szczytu Himalajów, nie było nawet mowy. O tym, czym jest dla człowieka wiatr, który nigdy nie ustaje, można się bez reszty przekonać dopiero na Marsie.

Spojrzał na zegarek: był to zupełnie nowy nabytek, z pięcioma koncentrycznymi cyferblatami, podawał standardowy czas ziemski, czas pokładowy i czas planetarny. Była szósta z minutami.

Jutro o tej porze będę o cztery miliony kilometrów stąd — pomyślał nie bez satysfakcji. Należał do „klubu przewoźników”, żywicieli Projektu, ale godziny jego służby były policzone, bo na linię Aresterra wprowadzono już te nowe olbrzymie jednostki z masą spoczynkową rzędu 100 000 ton. „Ariel”, „Ares”, „Anabis” leżały na kursie Marsa od paru tygodni; „Ariel” miał lądować za dwie godziny. Nigdy jeszcze nie widział lądowania stutysięcznika, bo na Ziemi siadać nie mogły; lądowano je na Księżycu, ekonomiści obliczyli, że się to opłaci. Takie jednostki, jak jego „Cuwier”, z tymi kilkunastoma tysiącami ton, miały definitywnie zejść ze sceny. Ot, jakąś drobnicę może będzie się jeszcze czasem nimi przerzucało.

Była szósta dwadzieścia i rozsądny człowiek zjadłby o tej porze coś gorącego. Myśl o kawie też była zachęcająca. Ale gdzie się tu można pożywić — nie wiedział.

W Agathodaemonie był po raz pierwszy. Dotąd obsługiwał główny przyczółek — syrtyjski. Dlaczego zaatakowano Marsa w dwóch punktach naraz, odległych od siebie o kilkanaście tysięcy mil? Znał uczone racje, ale myślał swoje. Zresztą nie obnosił się z tym krytycyzmem. Wielka Syrta miała być termojądrowym oraz intelektualnym poligonem. Wyglądało tam zupełnie inaczej. Niektórzy mówili, że Agathodaemon jest Kopciuszkim Projektu i że już kilkakrotnie groziło mu zwiniecie. Wciąż jednak liczyli jeszcze na tę jakąś zamarzną wodę, na te głębokie lodowce z zamierzchłych epok, które właśnie tu miały tkwić, gdzieś pod zapiekłym gruntem — pewno, że jeśliby się Projekt dokopał miejscowej wody, byłoby to istnym triumfem, zważywszy, że na razie każdą kroplę woziło się z Ziemi, a urządzenia wychytujące parę wodną z atmosfery budowano i budowano drugi rok, chwila zaś rozruchu wciąż się oddalała.

Nie, stanowczo Mars nie miał dlań żadnych powabów.

Nie chciało mu się wyjść jeszcze — w budynku było tak cicho, jakby wszyscy gdzieś poszli czy pomarli. A nie chciało mu się wyjść głównie przez to, że przywykał coraz bardziej do samotności — dowódca może być na pokładzie zawsze samotny, jeśli chce — i służyła mu dobrze: po dłuższej podróży — leciało się teraz, po opozycji, przeszło trzy miesiące — musiał użyć pewnego wysiłku, żeby wejść tak od razu i po prostu w tłum obcych ludzi. A nie znał tu nikogo oprócz dyżurnego kontrolera. Mógł pójść do niego na piętro, lecz byłoby to w nie najlepszym guście. Nie należy zwracać głowy ludziom przy pracy. Sądził podług siebie: nie lubił takich gości.

W przegródce nesesera był termos z resztką kawy i paczka keksów. Jadł, starając się nie kruszyć, pił i patrzył przez porysowaną piaskiem okrągłą szybę w stare, płaskie i jak gdyby

śmiertelnie zmęczone dno tego Agathodaemona. Mars robił na nim takie właśnie wrażenie: że już mu wszystko jedno; i dlatego tak dziwnie były nagromadzone kratery, inne od księżycowych, niby rozmyte („jakby sfalszowane” — wyrwało mu się raz przy oglądaniu dużych, dobrych zdjęć), i tak bezsensowne te okolice dzikiego urzeźbienia, zwane „chaosami”, miejsca ukochane przez areologów, bo niczego podobnego do tych formacji na Ziemi nie było. Mars był jakby zrezygnowany, nie dbał ani o dotrzymanie słowa, ani nawet o pozory. Gdy się ku niemu zbliżało, zaczynał tracić swój solidny, czerwony wygląd, przestawał być emblematem boga wojny, powlekał się niewyraźną burością, plamami, zaciekami, żadnego wyrazistego rysunku, jak na Księżycu czy Ziemi, rozmaz, szarawa rdza i wieczny wiatr.

Pod stopami czuł najdelikatniejsze w świecie drżenie — przetwornik albo transformator. Zresztą dalej panowała cisza, w którą jakby z innego świata wnikał kiedy niekiedy odległy skowyt wichury na linach mieszkalnego klosza. Piekielny piasek dawał z czasem radę nawet dwucalówkom z wysokogatunkowej stali. Na Księżycu można zostawić każdą rzecz, położyć na kamieniu i wrócić po stu latach, po milionie, ze spokojną wiedzą, że leży nie tknięta. Na Marsie nie można niczego upuścić z ręki — wsiąkłoby na amen. To nie była uczciwa planeta.

O szóstej czterdzieści brzeg horyzontu zaczerwienił się, wschodziło Słońce, i ta plama jasności (żadnej zorzy, skąd) zniemacka — barwą — przypomniła mu sen. Pełen zdziwienia, powoli odstawił termos. Przypomniał sobie, o co tam szło. Ktoś chciał go zabić — ale to on zabił tamtego. Umarły gonił go przez czerwono rozświetloną ciemność; zabijał go jeszcze kilka razy, ale to nic nie pomagało. Idiotyczne, zapewne, ale było tam coś jeszcze: był niemal pewny, że we śnie znał tego człowieka, a teraz nie miał pojęcia, z kim walczył tak rozpaczliwie. Oczywiście, poczucie znajomości też mogło być złudzeniem snu. Próbował tego dojść, ale znów samowolna pamięć milkła, wszystko na powrót chowało się milczkiem jak ślimak do skorupy, i stał tak, przy oknie, z ręką na stalowej framudze, trochę poruszony, jakby poszło o nie wiedzieć co. Śmierć. Było jasne, że w miarę rozrostu kosmonautyki ludzie zaczną umierać na planetach. Księżyc okazał się lojalny wobec zmarłych. Pozwala skamienieć, obraca w lodowy posąg, w mumię, której lekkość, prawie nieważkość odrealnia ją i ujmuje jakby wagi katastrofie. Natomiast na Marsie trzeba o nich dbać, niezwłocznie, bo piaszczyste wichry przetną każdy skafander w ciągu paru dni, i nim wysoka susza zmumifikuje szczątki, wyjrzą z rozdartej tkaniny kości, polerowane, szlifowane z zapamiętaniem, aż obnaży się szkielet, który, rozsypany, w tym obcym piasku, pod tym brudnym, obcym niebem, jest niemal wyrzutem sumienia, prawie zniewagą, jakby przywożąc tutaj raketami, razem z życiem, śmiertelność, ludzie zrobili coś niewłaściwego, coś, czego należy się wstydić, co trzeba ukryć, zabrać gdzieś, pochować; wszystko bez sensu, rozumie się — ale tak w tej chwili czuł.

O siódmej była zmiana na stanowiskach kontroli lotu, a podczas zmiany wypada już i obcemu przyjść. Pochował swoje rzeczy do nesesera, nie było ich wiele, i wyszedł, pamiętając o tym, że trzeba się upewnić, czy rozładunek „Cuiviera” idzie planowo. Do południa miał już wyzbyć się całej swojej drobnicy, a było tam parę rzeczy wartych sprawdzenia. Na przykład chłodzenie osady pomocniczego reaktora. Zwłaszcza że musiał wracać z uszczuploną załogą. O tym, aby mógł dostać tu kogoś w zamian za Termana, nie było mowy. Po krętych schodach, wyłożonych pianoplastykiem, z ręką na dziwnie ciepłej, jakby ogrzewanej poręczy, dostał się na piętro, i wszystko od razu się zmieniło tak całkowicie, jakby on też stał się kimś innym otwierając szerokie wahadłowe drzwi o matowych szybach.

Było to jakby wnętrze wielkiej głowy, z sześciorgiem wypukłych, ogromnych, szklanych oczu, wylupionych w trzy strony świata. Tylko w trzy, bo za czwartą ścianą znajdowały się anteny, a cała ta salka mogła się kręcić na osi niczym obrotowa scena. Była też w niej jakimś sensie sceną, na której odgrywano wciąż podobne sztuki startów i lądowań, widocznych jak

na dłoni, bo z odległości kilometra, zza kolistych, szerokich pulpitów, stanowiących jakby jedną całość ze srebrzystoszarymi ścianami. Było tu trochę jak w kontrolnej wieży lotniska, a trochę jak na sali operacyjnej; przy ślepej ścianie masywniał pod skośnym kapturem główny komputer bezpośredniej łączności ze statkami, który zawsze mrugał i cykał, prowadząc swoje milczące monologi i wypluwając kawałki dziurkowanych taśm; były tu trzy rezerwowe stanowiska kontroli z mikrofonami, lampami punktowymi, fotelami na kulowych przegubach, i podobne do bulwiastych hydrantów ulicznych podręczne automaty, liczące kontrolerów; był tu wreszcie, pod ścianą, mały, ale jak lalka zgrabny barek z cichutko syczącym ekspresem. Więc to tu znajdowało się kawowe źródło! Swego „Cuiviera” nie mógł stąd Pirx zobaczyć; postawił go, jak mu przykazała kontrola, trzy mile dalej, poza wszystkimi betonami, bo tak się tutaj przygotowywano na przyjęcie pierwszej najcięższej jednostki projektu, jakby nie była wyposażona w najnowsze astrolokacyjne i kosmonautyczne automatyki, które, jak chęlpili się konstruktorzy ze stoczni (znał prawie wszystkich), mogły posadzić ten ćwierćmilowy ogrom, tę żelazną górę na powierzchni wielkości ogródka działkowego. Wszyscy pracownicy portu, z trzech zmian, przyszli na tę uroczystość, która zresztą żadną oficjalną uroczystością nie była; „Ariel”, podobnie jak inne jednostki prototypowe, miał však za sobą dziesiątki próbnych lotów i lądowań księżycowych; co prawda, nigdy jeszcze nie wchodził z pełnym obciążeniem w atmosferę. Do lądowania pozostało niespełna pół godziny, więc Pirx przywitał się z tymi, co nie mieli służby, a potem i Seynowi uściśnął rękę; odbiorniki pracowały już, na ekranach telewizyjnych chodziły rozmazane smugi z góry na dół, ale światełka pulpitu zbliżenia wszystkie jeszcze jaśniały niepokalaną zielenią na znak, że zostało mnóstwo czasu i nic się nie dzieje. Romani, kierownik bazy Agathodaemona, zaproponował mu do kawy kieliszek koniaku, Pirx zawahał się, ale w końcu był przecież osobą całkiem prywatną i — chociaż nieprzywykły do tak ранnego używania trunków — pojmował, że chodzi im o symboliczne uświetnienie chwili; czekali však od miesięcy na te najcięższe jednostki, miały zdjąć z głowy kierownictwu bezustanne kłopoty, bo dotąd wciąż toczył się wyścig między żarłocznością budowy, której nie mogła zaspokoić flotylla Projektu, a wysiłkami przewoźników, takich jak Pirx, żeby obracać na trasie Mars — Ziemia tak sprawnie i szybko, jak się tylko dało. Teraz, po opozycji, obie planety zaczynały się rozchodzić, odległość dzieląca je miała już przez całe lata rosnać, aby dojść do przeraźliwego maksimum setek milionów kilometrów; i właśnie w tym najgorszym dla Projektu okresie przybywało potężne wsparcie.

Wszyscy mówili przyciszonymi głosami, a kiedy . zieleń zgasła i odezwały się brzęczyki, nastąpiła zupełna cisza. Dzień wstawał typowo marsjański, ani chmurny, ani czysty, bez wyraźnego horyzontu, bez wyraźnego nieba, jak gdyby bez dającego się oznaczyć i rachować czasu. Mimo dnia obrzeża kwadratów betonowych, leżące płasko w centrum Agathodaemona, obwiodły pałające linie, zapaliły się tam automatycznie laserowe oznakowania, a krawędzie centralnej okrągłej tarczy z prawie czarnego betonu wyznaczały błyszczące gwiazdzone jody. Kontrolerzy poprawili się w fotelach, zresztą i tak roboty mieli tyle co nic; za to główny komputer rozjaśnił swoje tarcze, jakby objawiał wszem wobec swą nadzwyczajną ważność, przekaźniki zaczęły gdzieś cichutko stukać i z głośnika doszedł ich wyraźny bas:

— Halo tam, Agathodaemon, tu „Ariel”, mówi Klyne, jesteśmy na optycznej, wysokość sześćset, za dwadzieścia sekund przełączymy się na automaty, do zejścia, odbiór.

— Agathodaemon do „Ariela”! — rzekł skwapliwie Seyn; mały, z dziobatym profilkiem u sitka mikrofonu, doduszał szybko papierosa — mamy was na wszystkich ekranach, na jakich możemy was mieć, kładźcie się i schodźcie ładnie na dół, odbiór!

Żartują tu sobie — pomyślał Pirx, który tego nie lubił, może był przesądny — no, widać mają procedury w małym palcu.

— „Ariel” do Agathodaemona: mamy trzysta, włączamy automaty, schodzimy bez bocznego dryfu, zero na zero, jaka siła wiatru? — odbiór.

— Agathodaemon do „Ariela”: wiatr 180/h, północ–no–północnozachodni, nic wam nie zrobi, odbiór.

— „Ariel” do wszystkich: schodzę na osi ruf owo, automaty przejęły stery, koniec.

Zapadła cisza, tylko przekaźniki coś tam drobiły po swojemu, a na ekranach ukazał się już wyraźnie biało płonący punkt, rosnący szybko, jakby ktoś wydymał bańkę ognistego szkła. Była to ziejąca rufa statku, który schodził w samej rzeczy jak zawieszony na niewidzialnym pionie, bez najmniejszych drgnień, bocznych przechyłów, bez śladu zawirowań — Pirxowi przyjemnie było na to patrzeć. Oceniał odległość na jakieś sto kilometrów; przed pięćdziesięcioma nie było sensu zaglądać w niebo przez okna, mimo to zgrupowało się już przy nich sporo obecnych z zadartymi w zenit głowami.

Kontrola miała ciągłą łączność radiofoniczną ze statkiem, ale po prostu nie było o czym mówić; załoga leżała w komplecie na anty grawitacyjnych fotelach, wszystko robiły automaty pod dyktando głównego komputera raketowego, i to on właśnie zdecydował o zmianie ciągu atomowego na borowodorowy — przy sześćdziesięciu kilometrach wysokości, a więc na samej granicy rzadkiej atmosfery. Teraz Pirx podszedł do środkowego, największego okna i natychmiast zobaczył w niebie, przez jego bladyszczą mgiełkę, ostrozielony ogień, mikroskopijny, ale wibrujący niezwykłym blaskiem — jak gdyby ktoś nawiercał z wysokości nieboskłon Marsa płonącym szmaragdem. Od tego równomiernie palącego punktu szły w różne strony blade smużki, były to jakieś wiechetka i strzępy chmur, a raczej tych niedonosków, które w tutejszej atmosferze pełniły zastępczo ich obowiązki. Schwytane w orbitę okrętowego odrzutu, zapalały się i rozpadały jak sztuczne ognie. Statek rósł, a właściwie wciąż tylko rosła jego okrągła rufa. Powietrze najwyraźniej drgało pod nim od żaru i przez to mogło się niedoświadczonemu zdawać, że i sama rakietka trochę chodzi na boki, ale Pirx znał ten obraz zbyt dobrze, by się omylić. Jakoś tak bez żadnego napięcia, w spokoju szło wszystko, przypominał sobie pierwszy krok ludzki na Księżycu, tam też tak poszło, jak po maśle. Rufa była już zieloną palącą się tarczą z aureolą rozbryzgów. Zerknął na główny altimetr nad pulpitemi kontroli, bo przy tak dużej jednostce można się łatwo było omylić w szacunku wysokości; jedenaście, nie, dwanaście kilometrów dzieliło „Ariela” do Marsa — oczywiście opadał coraz wolniej dzięki rosnącemu ciągowi hamowania.

Nagle stało się kilka rzeczy naraz.

Obraz rufowych dysz „Ariela”, w koronie zielonych płomieni, zadrgał inaczej niż dotąd. W głośniku rozległ się jakiś niezrozumiały bełkot, okrzyk, coś jakby „ręczna!”, a może „raczej!” — jedno niepojęte słowo wykrzywane ludzkim głosem, tak odmiennym, że chyba nie był to Klyne. Zieleń buchająca z rufy „Ariela” nagle zbladła. Był to ułamek sekundy. W następnym mgnieniu rozkrzaczyła się straszliwym, błękitnobiałym błyskiem — i Pirx zrozumiał od razu, w dreszczu osłupienia, który przeszył go od stóp do głów, tak że głuchy, ogromny głos, co wyrwał się z głośnika, nie zaskoczył go wcale.

„Ariel” — sapnięcie. — Zmiana procedury. Od meteorytu. Cała naprzód na osi! Uwaga! Cały ciąg!

Był to automat. W tle tego głosu ktoś jakby krzyczał. W każdym razie Pirx prawidłowo zinterpretował zmianę barwy ognia wylotowego: borowodory zastąpił pełny ciąg reaktorów i olbrzymi statek, zahamowany jakby straszliwym uderzeniem niewidzialnej pięści, dygocąc wszystkimi spojeniami, zatrzymał się — a przynajmniej tak to patrzącym wyglądało — w rozrzedzonym powietrzu, tych pięć czy cztery ledwo kilometry nad tarczą kosmodromu. Chodziło o manewr niesamowity — zakazany przez wszystkie reguły, postanowienia, wykraczający poza całą kosmologię: żeby powstrzymać stutysięczną masę — bo wszak trzeba było chyżość jej spadania wygasić pierwej, nim mogła na powrót wystrzelić wzwyż. Pirx zobaczył w perspektywicznym skrócie bok olbrzymiego cylindra. Rakietka straciła pion. Przechylała się. Zaczęła, niezwykle powoli, prostować się, ale wychyliło ją w drugą stronę jak gigantyczne wahadło; ponowny przechył ćwierćmilowego kadłuba w przeciwną stronę był już

większy. Przy tak małej szybkości utrata równowagi była w tej amplitudzie nie do opanowania; dopiero w owych sekundach doszedł Pirxa krzyk głównego kontrolera:

— „Ariel”, „Ariel”! Co robicie?! Co się u was dzieje?!

Jak wiele rzeczy mogło zajść w cząstkach sekund! Pirx, przy równoległym, nie obsadzonym pulpicie, krzyczał całą piersią w mikrofon:

— Klyne! Na ręczną!!! Na ręczną do lądowania!!! Na ręczną!!!

Wtedy nakrył ich nadchodzący przeciągły nieustanny grom. Dopiero teraz dobiegła ich fala dźwiękowa! Jak krótko musiało wszystko trwać! Stojący u okien krzyknęli jednym głosem. Kontrolerzy oderwali się od pulpitu.

„Ariel” spadał młyńcem jak kamień, ślepo wałąc w atmosferę smugami zataczającego się ognia ruf; kręcił się powoli, bezwładny na podobieństwo trupa, jak gdyby ktoś olbrzymią żelazną wieżę cisnął z nieba ku brudnym wydmom pustyni; wszyscy stali jak wryci, w głuchej, straszliwej ciszy, bo już nic nie można było zrobić; głośnik niewyraźnie chrząkał, bormotał odległą wrzawą czy hukami morza, nie wiadomo było, czy to ludzkie głosy, wszystko się tam zlewało w jeden chaos; a biały, jakby skąpany w blaskach, niesamowicie długi cylinder gnał coraz szybciej w dół; wydawało się, że trafi samą kontrolę; ktoś przy Pirxie jęknął. Skurczyli się odruchowo.

Kadłub wyrznął skosem w jedno z niskich obmurowań poza tarczą, złamał się na dwoje i z jakąś dziwną powolnością pękając dalej, że buchnęło szczątkami na wszystkie strony, zarył się w piach; w oka mgnieniu powstała tam na dziesięć piętér wysoka chmura, w której zagrzmiało, zagruchotało, trysnęło ognistymi szwami, ponad zgrzywioną zasłonę wyrzuconego piasku wychynał oślepijająco biały wciąż dziób statku, oderwał się od reszty, przeleciał kilkaset metrów w powietrzu, poczuli jedno, drugie, trzecie potężne uderzenie, te wstrząsy gruntu były tak mocne, jak przy trzęsieniu ziemi. Cały budynek podniosło, poszedł w górę i opadł niczym łódka na fali. Potem w piekielnym rumorze rozłamywanego żelastwa wszystko zakryła przed nimi brązowoczarna ściana dymu i kurzu. I to był koniec „Ariela”. Gdy biegli po schodach do komory wyjściowej, Pirx, jeden z pierwszych w kombinezonie, nie miał wątpliwości — z takiego zderzenia nikt nie mógł wyjść żywy.

Potem biegli zataczając się pod uderzeniami wichury; z daleka, od strony klosza, pokazały się pierwsze pojazdy gasienicowe i hovercrafty. Ale już nie trzeba się było spieszyć. Nie było do czego. Pirx sam nie wiedział, jak i kiedy wrócił do budynku kontroli — z obrazem krateru i zgniecionego kadłuba w osłupiałych oczach, tak że na dobre ocknął się dopiero, ujrawszy w ściennym lustrze własną poszarzałą i jakby ściągniętą nagłą twarz.

*

W południe powołano komisję rzeczoznawców do zbadania przyczyn katastrofy. Ekipy robocze koparkami i dźwigami rozwłóczyły jeszcze dzwona ogromnego kadłuba, jeszcze nie dotarto do wrytej głęboko w grunt, zmiążdżonej sterówki, mieszczącej automaty Kontroli, kiedy z Wielkiej Syrty przyleciała grupa specjalistów — jednym z tych dziwnych małych helikopterów o gigantycznych śmigłach, zdalnych do lotu jedynie w rozrzedzonym powietrzu Marsa. Pirx nie włożył nikomu w drogę i nikogo o nic nie pytał, bo aż nazbyt dobrze rozumiał, że sprawa jest wyjątkowo ciemna. W toku normalnej procedury lądowania, podzielonej na uświęcone etapy i zaprogramowanej niczym rozkład jazdy niezawodnych pociągów, bez żadnej widocznej przyczyny główny komputer „Ariela” zgasił borowodorowy ciąg, wyrzucił hasła przypominające szczątkowy alarm meteorytowy i przełączył napęd na ucieczkę od planety całą mocą; stateczności, utraconej podczas tego karkołomnego manewru, nie mógł już odzyskać. O czymś podobnym nie wspominała historia astrolocji i nasuwające się przypuszczenia — że komputer zwyczajnie zawiódł, że się w nim jakieś obwody pozwiarały,

poprzepalały — wyglądały zgoła nieprawdopodobnie, ponieważ szło o jeden z dwóch programów — startu i lądowania — zabezpieczonych przed awariami taką liczbą zabezpieczeń, że już raczej przychodziło myśleć o sabotażu. Głowił się nad tym w pokoiku, który Seyn oddał mu poprzedniej nocy do dyspozycji, umyślnie nie wysuwając nosa za drzwi, żeby się nie narzucać, tym bardziej że miał przecież za kilkanaście godzin wystartować, a nie takiego nie przychodziło mu do głowy, z czym powinien by pospieszyć do komisji. Okazało się jednak, że nie zapomniano o nim; kilka minut przed pierwszą zajął do niego Seyn. Był z nim i Romani; czekał na korytarzu; wychodząc, Pirx w pierwszej chwili nie poznał go; kierownik kompleksu Agathodaemona wydał mu się jednym z mechaników; miał na sobie osmolony, pokryty zaciekami kombinezon, twarz jakby zmalala z wyczerpania, lewy kąt ust drgał mu co chwila, lecz głos pozostał ten sam; poprosił Pirxa, w imieniu komisji, do której należał, by odłożył start „Cuiviera”.

— Naturalnie... jeżeli jestem potrzebny — Pirx był zaskoczony; zbierał myśli. — Muszę tylko uzyskać zezwolenie Bazy.

— Załatwimy to sami, jeśli się pan zgadza.

Nikt już nic nie powiedział; poszli we trzech do głównego „bombla”, gdzie w długim, niskim pomieszczeniu kierownictwa siedziało dwudziestu kilku rzeczoznawców — kilku miejscowych, większość przyleciała z Wielkiej Syrty. Jako że była pora obiadowa, a szło o każdą godzinę, przyniesiono im zimnego jedzenia z bufetu i tak, przy herbacie, nad talerzykami, przez co wszystko wyglądało dziwnie jakoś nieoficjalnie, a prawie i niepoważnie, zaczęły się obrady. Pirx oczywiście domyślał się, czemu przewodniczący, inżynier Hoyster, jego jako pierwszego poprosił o opis katastrofy. Był on jedynym ponad wszelką wątpliwość niestrannym świadkiem, bo nie należał ani do zespołu kontroli lotów, ani do załogi Agathodaemona. Gdy Pirx doszedł w zeznaniu do swej reakcji, Hoyster przerwał mu po raz pierwszy.

— Więc pan chciał, żeby Klyne wyłączył całą automatykę i starał się lądować sam, tak?

— Tak.

— A można wiedzieć, czemu?

Pirx nie zwlekał z odpowiedzią.

— Miałem to za jedyną szansę.

— Tak. A nie przypuszczał pan, że przejście na sterowanie ręczne może spowodować utratę stateczności?

— Już była stracona. To można zresztą sprawdzić, są przecież taśmy.

— Oczywiście. Chcieliśmy najpierw wytworzyć sobie obraz ogólny. A... jakie jest pana osobiste zdanie?

— O przyczynie...?

— Tak. Ponieważ na razie nie tyle obradujemy, co informujemy się. Cokolwiek pan powie, nie będzie szczególnie wiążące; cenne może się okazać każde przypuszczenie, nawet ryzykowne.

— Rozumiem. Coś się stało z komputerem. Nie wiem — co, i nie wiem też, jak to możliwe. Gdybym tam nie był sam, nie uwierzyłbym w to, ale byłem i słyszałem. To on odwrócił procedurę — i dał meteorytowe ostrzeżenie, jakkolwiek w poronny sposób. Brzmiało to mniej więcej jak: „meteoryty — uwaga, cała na osi naprzód”. A ponieważ nie było żadnych meteorytów... — Pirx wzruszył ramionami.

— Ten model — „Ariela” — jest udoskonaloną wersją komputera AIBM 09 — zauważył Boulder, elektronik, którego Pirx znał, bo stykał się z nim przelotnie w Wielkiej Syrcie.

Pirx skinął głową.

— Wiem o tym. Dlatego powiedziałem, że nie uwierzyłbym, gdybym tego nie widział na własne oczy. Ale to się stało.

— Jak pan sądzi, komandorze, czemu Klyne nic nie zrobił? — spytał Hoyster.

Pirx poczuł wewnętrzny chłód i nim odpowiedział, spojrzął w obie strony — na wszystkich. Pytanie takie musiało paść. Wolałby jednak nie być pierwszym, który miał mu sprostować.

— Tego nie wiem.

— Naturalnie. Ale wieloletnie doświadczenie pozwala panu postawić się na jego miejscu...

— Postawiłem się. Zrobiłbym to, do czego próbowałem go skłonić.

— A on?

— Nie było żadnej odpowiedzi. Hałas, jakby krzyki. Trzeba będzie bardzo dokładnie przesłuchać taśmy, ale obawiam się, że to da niewiele.

— Panie komandorze — rzekł cicho, ale dziwnie powoli, jakby ostrożnie dobierając słów, Hoyster — pan orientuje się w sytuacji, nieprawdaż? Dwie następne jednostki tej samej klasy, z takim samym układem sterowania, znajdują się obecnie na linii Aresterra; „Anabis” przybędzie za trzy tygodnie, ale „Ares” już za dziewięć dni. Bez względu na zobowiązania wobec tych, co zginęli, mamy większe wobec żywych. Niewątpliwie przemyślał pan już, w ciągu tych pięciu godzin, wszystko, co zaszło. Nie mogę pana do tego zmusić, ale proszę, żeby pan to nam wyjawiał.

Pirx poczuł, że blednie. Tego, co chciał powiedzieć Hoyster, domyślił się z jego pierwszych słów i ogarnęło go niezrozumiałe wrażenie, rodem z nocnego snu: aura zacieklego, rozpaczliwego milczenia, w którym walczył z przeciwnikiem bez twarzy i zabijając go razem z nim ginął. Było to mgnienie. Przemógł się i spojrzął Hoysterowi w oczy.

— Rozumiem — powiedział. — Klyne i ja należymy do dwóch różnych generacji. Kiedy zaczynałem latać, zawodność procedur automatycznych była daleko większa... To się utrwała w zachowaniu. Myślę, że... ufał im do końca.

— Sądził, że komputer dysponuje lepszym rozeznaniem? Że opanuje sytuację?

— Nie musiał liczyć na to, że ją opanuje... a tylko, że jeśli nie potrafi, tym bardziej nie dokona tego człowiek.

Pirx odetchnął. Powiedział, co myślał, nie rzucając cienia na młodszego — który już nie żył.

— Czy, podług pana, istniały szansę ocalenia statku?

— Nie wiem. Było bardzo mało czasu. „Ariel” był bliski utraty szybkości.

— Czy pan lądował kiedyś w takich warunkach?

— Tak. Ale statkiem o małej masie — i na Księżycu. Im dłuższa i cięższa jest rakietą, tym trudniej odzyskać stateczność przy utracie szybkości, zwłaszcza gdy się zaczyna przechył.

— Czy Klyne słyszał pana?

— Nie wiem. Powinien był słyszeć.

— Czy przejął stery?

Pirx otwierał już usta, by powiedzieć, że na to jest dowód w rejestrach, ale zamiast tego odparł:

— Nie.

— Skąd pan to wie? — to był Romani.

— Podług kontroli. „Procedura automatyczna” świeciła się przez cały czas. Zgasła dopiero, gdy statek się rozbił

— A czy pan nie uważa, że Klyne nie miał już czasu? — spytał Seyn. Było coś osobliwego w tym, że tak się do niego zwrócił — chociaż byli na „ty”. Jakby powstał między nimi nagły dystans. Wrogość?

— Sytuację można wymodelować matematycznie i wtedy okaże się, czy była jakaś szansa

— Pirx starał się o rzeczowość. — Ja tego nie mogę wiedzieć.

— Ale gdy przechył przekroczył 45 stopni, stateczność była nie do odzyskania — upierał się Seyn. — Czy nie tak?

— Na moim „Cuivierze” niekoniecznie. Ciąg można powiększyć — poza dopuszczalną granicę.

— Przeciążenie powyżej dwudziestu kilku może zabić.

— Zapewne. Ale upadek z pięciu kilometrów musi. Na tym się ta krótka polemika zakończyła. Pod lampami, płonącymi mimo dnia, kładł się płasko dym. Palili.

— Podług pana, Klyne mógł przejąć stery, ale nie zrobił tego. Tak? — wrócił do swego wątku przewodniczący Hoyster.

— Prawdopodobnie mógł.

— Czy nie uważa pan za możliwe, że swoją interwencją zbił pan go z tropu? — odezwał się zastępca Seyna, człowiek z Agathodaemona, którego Pirx nie znał. Tutejsi byli przeciwko niemu? I to mógł zrozumieć.

— Uważam to za możliwe. Tym bardziej że tam, w sterowni, ludzie krzyczeli coś. Tak to wyglądało.

— Na panikę? — spytał Hoyster.

— Nie odpowiem na to pytanie.

— Dlaczego?

— Proszę przesłuchać taśmy. To nie są ściśle dane — hałas, który można sobie rozmaicie tłumaczyć.

— Czy kontrola naziemna mogła, podług pana opinii, coś jeszcze zrobić? — pytał z kamienną twarzą Hoyster. Wyglądało na to, że wewnątrz komisji zachodzi rozłam. Hoyster był z Wielkiej Syrty.

— Nie. Nic.

— Temu, co pan powiedział, zaprzecza pana własny postępek.

— Nie. Kontrola nie ma prawa mieszać się do decyzji dowódcy — w podobnej sytuacji. W sterowni może ona inaczej wyglądać niż na dole.

— Przyznaje pan więc, że pan działał wbrew przyjętym zasadom? — raz jeszcze odezwał się zastępca Seyna.

— Tak.

— Dlaczego? — pytał Hoyster.

— Zasady nie są dla mnie święte. Robię zawsze to, co uważam za właściwe podług własnego zdania. Zdarzyło mi się już za to odpowiadać.

— Przed kim?

— Przed Trybunałem Izby Kosmicznej.

— Ale został pan oczyszczony od zarzutów oskarżenia? — zauważył Boulder. Wielka Syrta — i Agathodaemon. To było prawie wyraźne.

Pirx milczał.

— Dziękuję panu.

Przesiadł się na stojące z boku krzesło, bo zeznawał z kolei Seyn, potem jego zastępca. Nim skończyli, przyniesiono pierwsze taśmy z budynku kontroli lotów. Przychodziły też telefoniczne meldunki z prac we wraku „Ariela”. Już było pewne, że nikt nie pozostał przy życiu, ale do sterowni nie dostali się: weszła na jedenaście metrów w głąb gruntu. Przesłuchiwanie taśm, protokołowanie zeznań trwało bez przerwy do siódmej. Potem zrobiono godzinną przerwę. Syrtyjczycy z Seynem pojechali na miejsce katastrofy. Romani w przejściu zatrzymał Pirxa.

— Komandorze...

— Słucham

— Pan nie ma tu do nikogo...

— Proszę tak nie mówić. Stawka jest zbyt wysoka — przerwał mu Pirx.

Tamten pokiwał głową.

— Zostanie pan, na razie, na siedemdziesiąt dwie godziny. Załatwiliśmy to już z Baza.

— Z Ziemią...? — Pirx był zaskoczony. — Nie wydaje mi się, żebym mógł jeszcze pomóc...

— Hoyster, Rahaman i Boulder chcą dokooptować pana do składu komisji. Nie odmówi pan? Sami ludzie Syrty.

— Choćbym chciał, nie mogę — odpowiedział i na tym się rozstali.

O dziewiątej wieczorem zebrali się ponownie. Pełne przesłuchanie taśm było dramatyczne — a jeszcze bardziej film, który przyszło obejrzeć, pokazujący wszystkie fazy katastrofy, od pojawienia się w zenicie zielonej gwiazdy „Ariela”. Hoyster podsumował potem tymczasowe wyniki badań — bardzo lakonicznie.

— Wygląda istotnie na to, że zawiódł komputer. Jeśli nie ogłosił normalnym trybem meteorowego alarmu — zachował się tak, jakby „Ariel” leżał na kolizyjnym kursie z jakąś masą. Rejestraty wykazują, że przekroczył dozwoloną moc ciągu o trzy jednostki. Dlaczego to zrobił, nie wiemy. Może wyjaśni coś sterownia — miał na myśli taśmy rejestrujące „Ariela”; Pirx był tu sceptykiem. — Tego, co się działo w sterowni w ostatnich chwilach, nie można zrozumieć. W każdym razie komputer nie zawiódł pod względem operacyjnego tempa — w szczycie kryzysu podejmował decyzje z pełną sprawnością, bo iterował w nanosekundach wszystkie swoje polecenia dla agregatów. Także agregaty pracowały bez zarzutu do końca. To całkiem pewne. Nie wykryliśmy absolutnie niczego, co by mogło świadczyć o zewnętrznym lub wewnętrznym zagrożeniu procedury wdrożonego lądowania. Od godziny 7,03 do 7,08 przebiegało doskonale. Decyzja komputera — odwrócenia procedury i próby poronnego startu — nie daje się, jak dotąd, niczym wyjaśnić. Kolego Boulder?

— Nie rozumiem tego.

— Błąd programowania?

— Wykluczony. „Ariel” lądował tym programem szereg razy — osiowo i we wszystkich możliwych dryfach.

— Ale na Księżycu. Tam jest mniejsze ciężenie.

— To może mieć pewne znaczenie dla agregatów mocy, ale nie dla zespołów informacji. A moc nie zawiódła.

— Kolego Rahaman?

— Nie znam dobrze tego programu.

— Ale model komputera pan zna?

— Tak.

— Co może przerwać tok procedury lądowania, jeżeli nie ma przyczyn zewnętrznych?

— Nic.

— Nic?

— Bomba podłożona pod komputer — zapewne... Padły wreszcie te słowa. Pirx słuchał z największą uwagą. Szumiały ekshaustory, dym zgęszczał się przy ich wylotach pod sufitem.

— Sabotaż?

— Komputer działał do końca, jakkolwiek w sposób dla nas niepojęty — zauważył Kerhoven, jedyny intelektualista w komisji, który był miejscowym człowiekiem.

— No... bomba, tak to tylko powiedziałem — wycofał się Rahaman. — Procedurę główną, więc lądowania albo startu, może przerwać w normie, jeśli komputer jest sprawny, tylko coś nadzwyczajnego. Wypadnięcie mocy...

— Moc była.

— Ale w zasadzie komputer może przerwać główną procedurę?

Przewodniczący wiedział to przecież. Pirx rozumiał, że nie mówi teraz do nich: mówił to, co miała usłyszeć Ziemia.

— Teoretycznie może. Praktycznie — nie. Od czasu powstania kosmonautyki nie zdarzył się alarm meteorowy w toku lądowania. Meteoryt można wszak wykryć w zbliżaniu. Wtedy

ładowanie po prostu się odracza.

— Ale nie było przecież żadnych meteorytów?

— Nie.

To był koniec ślepej uliczki. Przez chwilę panowała cisza. Ekshaustory szumiały. Było już ciemno za okrągłymi oknami. Marsjańska noc.

— Potrzebujemy ludzi, którzy budowali ten model i którzy go obciążyli testowo — rzekł wreszcie Rahaman.

Hoyster skinął głową. Przeglądał podany mu przez telefonistkę meldunek. — Do sterowni dotrą za jakąś godzinę — rzekł. A potem, podnosząc głowę: — Macross i van der Voyt wezmą jutro udział w obradach.

Nastąpiło poruszenie. Byli to główny dyrektor i główny konstruktor stoczni, która budowała stutysięczniki.

— J u t r o ? — Pirxowi zdawało się, że się przesłyszał.

— Tak. Nie tutaj, oczywiście. Będą obecni — telewizyjnie. Dzięki bezpośredniej łączności. Oto depeza — podniósł meldunek.

— Ależ...! Jakie jest teraz opóźnienie? — spytał ktoś.

— Ośmiominutowe.

— Jakże oni to sobie wyobrażają? Będziemy czekali w nieskończoność na każdą replikę — rozległy się głosy.

Hoyster wzruszył ramionami.

— Musimy się podporządkować. Pewno, że to będzie kłopotliwe. Opracujemy odpowiednią procedurę...

— Odraczamy obrady do jutra? — spytał Romani.

— Tak. Zbierzemy się o szóstej rano. Będą już rejestraty ze sterowni.

Pirx, któremu Romani zaoferował nocleg u siebie, był z tego rad. Wolał nie stykać się z Seynem. Rozumiał jego zachowanie, choć go nie pochwalał. Nie bez trudu ulokowano wszystkich Syrtyczyków i o północy Pirx został sam w małej klitce, która służyła kierownikowi za podręczną bibliotekę i prywatny gabinet roboczy. Położył się w ubraniu na rozstawionym między teodolitami małym łóżku polowym, z rękami pod głową, wpatrzony w sufit, i leżał tak z nieruchomymi oczami, prawie nie oddychając.

Rzecz dziwna, tam, wśród obcych ludzi, przeżywał katastrofę jak gdyby z zewnątrz, jako jeden z wielu świadków; nie był do końca zaangażowany nawet wówczas, gdy wyczuwał niechęć i animozję za pytaniami — wiszące w powietrzu oskarżenie intruza o to, że chce zdominować miejscowych specjalistów — nawet kiedy Seyn stawał przeciw niemu; było to wszystko wciąż na zewnątrz, osadzone w naturalnym wymiarze nieuchronnego: tak musiało być w podobnych okolicznościach. Gotów był odpowiadać za to, co zrobił, ale zgodnie z racjonalnymi przesłankami, więc nie czuł się odpowiedzialny za nieszczęście. Był wstrząśnięty, zachował jednak spokój, pozostał w nim do końca obserwator, niezupełnie poddany wypadkom, bo układały się systematycznie — przy całej niezrozumiałości można je było sekcjonować, wystygłe, porozdzielane, w uchwycie, jaki nadawał sam oficjalny tok obrad. Teraz to wszystko się rozpadło. Nie myślał nic, nie przywoływał żadnych obrazów, powtarzały się same z siebie, od początku: ekrany telewizyjne, na nich — wejście statku w przymarsie, wyhamowanie kosmicznej zmiany ciągów; był jakby wszędzie naraz, w kontroli i w sterowni, znał te głuche udary, te dudnienia rozbiegające się po kilu i wręgach, kiedy wielką moc zastępowała dygotliwa praca borowodorów, bas, którym turbopompy zapewniały, że tłoczą paliwo, wsteczny ciąg, opadanie rufą, majestatycznie powolne, małe poprawki boczne i to załamanie się, ten grom nagłego obrotu ciągów, gdy pełna moc znów wskoczyła w dysze, wibracja, destabilizacja, rakieta wychwytywana rozpaczliwie, idąca wahadłem, kołysząca się jak pijana wieża, nim runęła z wysokości już bezwładna, już martwa, niesterowna, ślepa jak kamień, upadek i zgruchotanie góry — a on był wszędzie. Był jakby

samym walczącym statkiem i odczuwając boleśnie zupełną niedostępność, ostateczne zamknięcie tego, co się stało, jednocześnie powracał do ułamkowych chwil, jakby z ponawiającym się w milczeniu pytaniem, szukając tego, co zawiodło. To, czy Klyne usiłował przejąć stery, było teraz już bez znaczenia. W gruncie rzeczy kontrola była bez zarzutu, chociaż tam sobie żartowali, ale to mogło urazić tylko przesądnego czy też ukształtowanego w czasach, w których nie można sobie było pozwolić na niefrasobliwość. Rozumowo wiedział, że nic w tym złego. Leżał na wznak, a jakby stał przy skośnym oknie, celującym w zenit, kiedy zieleń iskrzącej się gwiazdy borowodorów pochłonął straszny słoneczny blask, tym pulsem tak charakterystycznym dla atomowej mocy, w dyszach, co już poczynąły stygnąć — przez to właśnie nie wolno wprowadzać całej tak gwałtownie — rakietą zahuśtała się najpierw jak serce dzwonu kołysanego oszalałymi rękami i kłoniła się swoją niesamowitą długością, bo była tak ogromna, jakby samymi rozmiarami, samym rozmachem wielkości wyszła poza granicę wszelkich zagrożeń — tak samo musieli myśleć, przed wiekiem, pasażerowie „Titanica”.

Nagle wszystko to zgasło, jakby się zbudził. Wstał, umył twarz, ręce, otworzył neseser, wyjął piżamę, pantofle, szczoteczkę do zębów, i trzeci raz tego dnia zobaczył siebie w lustrze umywalki — jak kogoś obcego.

Między trzydziestką a czterdziestką, bliżej drugiej: smuga cienia — kiedy już przychodzi akceptować warunki nie podpisanego kontraktu, narzuconego bez pytania, kiedy wiadomo, że to, co obowiązuje innych, odnosi się i do ciebie, że z tej reguły nie ma wyjątków: chociaż to przeciwne naturze, należy się jednak starzeć. Dotąd robiło to po kryjomu ciało — tego już nie dość. Wymagana jest zgoda. Młodzieńczy wiek ustanawia jako regułę gry — nie, jako jej fundament — niezmiennosć własną: byłem dziecinny, niedorosły, ale już jestem prawdziwym sobą i taki zostanę. Ten nonsens jest przecież podstawą egzystencji. W odkryciu bezzasadności tego ustalenia zrazu tkwi więcej zdziwienia niż lęku. Jest to poczucie oburzenia tak mocne, jakbyś przejrzał i dostrzegł, że gra, do jakiej cię wciągnięto, jest oszukańcza. Rozgrywka miała być całkiem inna; po zaskoczeniu, gniewie, oporze zaczyna się powolne pertraktacje z samym sobą, z własnym ciałem, które można by wysłowić tak: bez względu na to, jak płynnie i niepostrzeżenie starzejemy się fizycznie, nigdy nie jesteśmy zdolni dostosować się umysłowo do takiej ciągłości. Nastawiamy się na trzydzieści pięć, potem na czterdzieści lat, jakby już w tym wieku miało się zostać, i trzeba potem przy kolejnej rewizji przełamania samoobludy, natrafiającego na taki opór, że impet powoduje jak gdyby nazbyt daleki skok. Czterdziestolatek pocznie się wtedy zachowywać tak, jak sobie wyobraża sposób bycia człowieka starego. Uznawszy raz nieuchronność, kontynuujemy grę z ponurą zaciekłością, jakby chcąc przewrotnie zdublować stawkę; proszę bardzo, jeśli ten bezwstyd, to cyniczne, okrutne żądanie, ten oblig ma być wypłacony, jeżeli muszę płacić, chociaż nie godziłem się, nie chciałem, nie wiedziałem, masz więcej, niż wynosi zadłużenie — podług tej zasady, brzmiącej humorystycznie, gdy ją tak nazwać, usiłujemy przelicytować przeciwnika. Będę ci tak od razu stary, że stracisz kontenans. Chociaż tkwimy w smudze cienia, prawie za nią, w fazie tracenia i oddawania pozycji, w samej rzeczy wciąż walczymy jeszcze, bo stawiamy oczywistości opór, i przez tę szamotaninę psychicznie starzejemy się skokami. To przeciągamy, to nie dociągamy, aż ujrzymy, jak zwykle zbyt późno, że cała ta potyczka, te samostraceńcze przebiccia, rejterady, butady też były niepoważne. Starzejemy się bowiem jak dzieci, to znaczy odmawiając zgody na to, na co zgoda nasza jest z góry niepotrzebna, bo zawsze tak jest, gdzie nie ma miejsca na spór ani walkę — podszytą nadto załganiem. Smuga cienia to jeszcze nie memento mori, ale miejsce pod niejednym względem gorsze, bo już widać z niego, że nie ma nietkniętych szans. To znaczy: terazniejsze nie jest już żadna zapowiedzią, poczekalnią, wstępem, trampoliną wielkich nadziei, bo niepostrzeżenie odwróciła się sytuacja. Rzekomy trening był nieodwołalną rzeczywistością; wstęp — treścią właściwą; nadzieje — mrzonkami; nie obowiązujące zaś, prowizoryczne, tymczasowe i byle

jakie — jedyną zawartością życia. Nic z tego, co się nie spełniło, już na pewno się nie spełni; i trzeba się z tym pogodzić milcząc, bez strachu, a jeśli się da — i bez rozpaczy.

Jest to wiek krytyczny dla kosmonautów — dla nich jak dla nikogo, bo w tym zawodzie każdy, kto nie jest sprawny doskonale, od razu nie jest nic wart. Jak powiadają czasem fizjologowie, wymagania stawiane przez kosmologię są zbyt wielkie, nawet dla najsprawniejszych cieleśnie i duchowo; odpadając od czołówki, traci się tu wszystko naraz. Komisje lekarskie są bezwzględne w sposób przerażający dla jednostek, ale konieczny, bo nikomu nie można pozwolić na śmierć ani na zawał u sterów. Ludzie z pozoru pełni sił schodzą z pokładów i za jednym zamachem widzą się u kresu; lekarze są tak. przyzwyczajeni do wybiegów, do rozpaczliwej dysymulacji, że wykrycie jej nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji dyscyplinarnych, moralnych, niczego; prawie nikt nie może przeciągnąć okresu czynnej służby poza pięćdziesiątkę. Przeciężenia są największym wrogiem mózgu; może za sto albo za tysiąc lat to się zmieni; na razie perspektywa ta zadreęca podczas miesięcy lotu każdego — w smudze cienia.

Klyne był kosmonautą następnej generacji, a jego, Pirxa, wiedział o tym, młodszy nazywali „wrogiem automatów”, „konserwatystą”, „mamutem”. Niektórzy z jego rówieśników już nie latali; podług uzdolnień i możliwości przekwalifikowywali się na wykładowców, członków Izby Kosmicznej, szli na synekury po stoczniach, zasiadali w radach nadzorczych, zajmowali się swoimi ogródkami. Na ogół trzymali się; odgrywali nieźle swoje pogodzenie się z nieuchronnym — ale Bóg wie, ile to niejednego kosztowało. A zdarzały się i postęпки nieodpowiedzialne, wynikające z niezgody, bezsilnej odmowy, z pychy i wściekłości, z poczucia niesprawiedliwie doznanego nieszczęścia. Wariatów nie znał ten zawód; ale jednostki zbliżały się niebezpiecznie w stronę obłądzenia, choć nie przekraczały ostatniej granicy; jednakowoż, pod rosnącym ciśnieniem naciągającego, bywały wyskoki, co najmniej — dziwaczne... O, tak, znał te różne dziwactwa, aberracje, przesady, którym ulegali i obcy, i ci, z którymi żył się przez lata, za których kiedyś, zdawało się, mógł ręczyć. Słodką ignorancją nie jest przywilejem fachu, w którym tyle rzeczy trzeba wiedzieć koniecznie; każdego dnia ginie w mózgu nieodwracalnie kilka tysięcy neuronów i już przed trzydziestką rozpoczyna się ten szczególny, niewyczuwalny, ale nieustający wyścig, rywalizacja między słabnięciem funkcji podmywanej atrofią — i jej doskonaleniem zawdzięczanym rosnącemu doświadczeniu; tak powstaje chwiejna równowaga, balans istic akrobatyczny, z którym przychodzi żyć — i latać. I śnić. Kogo zabijał tyle razy poprzedniej nocy? Czy nie miało to jakiegoś szczególnego znaczenia? Kładąc się na polowym łóżeczku, które zatrzeszczało pod jego ciężarem, pomyślał, że, być może, nie uda mu się zasnąć; nie znał dotąd bezsenności, ale kiedyś musiała przecież nadejść. Ta myśl zaniepokoiła go dziwacznie. Bezsennej nocy nie obawiał się wcale, a tylko taka krnąbrność ciała, oznaczająca rozpanoszenie się tego, co było dotąd niezawodne, nawet jako możliwość nabrała w tym momencie sensu nieomal kłęski. Nie życzył sobie po prostu leżenia z otwartymi oczami, wbrew woli, więc chociaż było to głupie, usiadł, bezmyślnie spojrział na swoją zieloną pizamę i zwrócił oczy na półki z książkami. Nie spodziewał się na nich niczego ciekawego i zaskoczył go rząd grubych tomów ponad zdziobaną cyrkłami rysownicą. Stała tam, w rozwiniętym szyku, cała niemal historia areologii, większość tych książek znał, bo te same egzemplarze tkwiły w jego biblioteczkę na Ziemi; wstał i po kolei jął dotykać solidnych grzbietów. Był tu nie tylko ojciec astronomii Herschel, ale sam Kepler, *Astronomia nova seu Physica coelestis tradita commentariis de motibus stellae martis* — podług badań Tycho de Brahe, wydanie z 1784 roku. A dalej Flammarion, Backhuysen, Kaiser i wielki fantast Schiaparelli, jego *Memoria terza*, ciemne wydanie rzymskie, i Arrhenius, i Antoniadi, Kuiper, Lowell, Pickering, Saheko, Struve, Vaucouleurs, aż do Wernhera Brauna z jego *Projektem Marsa*, i mapy, rulony map, ze wszystkimi kanałami 196 — *Margaritififer Sinus*, *Lacus Solis* i sam *Agathodaemon*... Stał tak, nie musiał otwierać żadnej z tych książek o wyslizganych, grubych jak deski okładkach. W

zapachu starego płótna, osnowy, żółtawych kart, w którym było coś dostojnego i strupieszalego zarazem, ożyły godziny spędzone nad tajemnicą szturmowaną przez dwa wieki, obłożoną mrowiem hipotez: umierali po kolei, nie doczekawszy się rozstrzygnięcia. Antoniadi przez całe życie nie widział kanałów, aż u schyłku starości niechętnie przyznał się „do jakichś linii, co podobnie wyglądały”. Graff nie dostrzegł żadnego do końca i mówił, że brak mu „imaginacji” kolegów. „Kanałiści” zaś widzieli i rysowali po nocach, czekając godzinami u okularu na jeden z sekundowych momentów znieruchomienia atmosfery, bo wówczas — zapewniali — na buromgławej tarczce pojawia się precyzyjnie ostra, od włosa cieńsza sieć. Lowell rysował gęstą, Pickering rzadszą, ale ten miał szczęście do „geminacji”, jak nazywano zdumiewające podwajanie się kanałów. Złudzenie? Więc czemu niektóre kanały nigdy się nie chciały podwajać? Ślęczał nad tymi książkami jako kadet, w czytelnicy, bo tak zabytkowych nie wypożyczano. Był — czy trzeba to powiedzieć? — po stronie „kanalistów”. Ich argumenty brzmiały mu niezbitcie: Graff, Antoniadi, Hali, którzy pozostali niewiernymi Tomaszami, mieli obserwatoria w miastach Północy, zadymionych, z wiecznie ruchliwym powietrzem, podczas gdy Schiaparelli pracował w Mediolanie, a Pickering siedział na swojej górze, nad pustynią Arizony. „Antykanałiści” robili przemysłne eksperymenty: dawali odrysowywać tarczkę z beładnie naniesionymi kropkami i kleksami, które, przy większej odległości, układały się w podobieństwo sieci kanałów, a potem pytali: Dlaczego nie widać ich przez najsilniejsze instrumenty? Dlaczego nie uzbrojonym okiem można się dopatrzeć kanałów i na Księżycu? Dlaczego nie widzieli żadnych kanałów pierwsi obserwatorzy, a po Schiaparellim już wszyscy poszli pod jego komendę? A tamci odpowiadali: w erze przedteleskopowej nikt, nigdy, żadnych kanałów na Księżycu nie dostrzegł. Duże teleskopy nie pozwalają stosować pełnej apertury, maksymalnych powiększeń, bo atmosfera ziemska nie jest dostatecznie spokojna; eksperymenty z rysunkami są wyminięciem sprawy. „Kanałiści” na wszystko mieli odpowiedź. Mars — to jeden olbrzymi zamrożony ocean, kanały — to pęknięcia jego lodowych pól, rozmykających się pod uderzeniami meteorów; nie: kanały — to szerokie doliny, którymi płyną wody odwilży wiosennej, a na brzegach rozkwita wtedy marsjańska roślinność. Spektroskopia przekreśliła i tę szansę: zbyt mało wyjawiała wody, więc ujrzeli w kanałach ogromne zapadliska, długie doliny, którymi płyną od bieguna ku równikowi rzeki chmur, popędzane konwekcyjnymi prądami. Schiaparelli nigdy nie chciał wyraźnie oświadczyć, że są to twory obcego rozumu, wykorzystywał dwuznaczność terminu „kanał”, był to szczególnie punkt — owa wstydlivość mediolańczyka i wielu innych astronomów, nie nazywali rzeczy po imieniu, rysowali tylko mapy i przedstawiali je, ale Schiaparelli pozostawił w papierach rysunki tłumaczące, w jaki sposób może przychodzić do rozdwojania się, słynnej geminacji: gdy woda wdziera się do równoległych koryt, dotychczas wyschłych — jej przybór zaciemnia nagle linie, jakby ktoś napuścił tuszu do zacięć w drzewie. Przeciwnicy zaś nie tylko przeczyli istnieniu kanałów, nie tylko gromadzili negatywną argumentację, ale z biegiem czasu zdawali się żywić względem nich coraz bardziej palącą nienawiść. Wallace, drugi obok Darwina twórca teorii naturalnej ewolucji, więc nawet nie astronom, który w życiu chyba nie widział Marsa przez szkła, w stustronicowym pamflecie zniszczył wraz z kanałami wszelką myśl o istnieniu życia na Marsie; Mars — pisał — nie tylko nie jest zamieszkały przez inteligentne istoty, jak to głosi pan Lowell, ale jest absolutnie niemieszkalny. Nie było letnich areologów, każdy musiał wyraźnie wyznać swe credo. Następna generacja kanalistów opisywała już cywilizację Marsa i rozzew powiększał się: żywy obszar prac rozumu — mówili jedni; pustynny trup — odpowiadali im drudzy. Potem Saheko dostrzegł owe tajemnicze błyski, krótkotrwałe, wygaszane powstającymi chmurami, zbyt krótkie jak na wulkaniczny wybuch, pojawiające się przy wzajemnej opozycji planet, co wykluczała odbłysk Słońca w lodowym stoku górskim, i to jeszcze przed wyzwoleniem energii atomowej, tak że myśl o marsjańskich testach jądrowych wynikła później... Jedna strona musiała mieć słuszość; w pierwszej

połowie dwudziestego wieku godzono się powszechnie, że nie ma wprawdzie geometrycznych kanałów Schiaparelliego, ale istnieje jednak coś, co umożliwia ich dostrzeżenie, oko dopowiada, lecz nie halucynuje z niczego; kanały obserwowano zbyt wielu ludzi ze zbyt wielu różnych miejsc Ziemi. A więc pewno nie otwarte wody w polach lodowych i nie prądy niskich chmur w brzegach dolin, może nawet nie pasy roślinności, ale jednak coś, kto wie — bardziej jeszcze niezrozumiałego, zagadkowego, co czekało oczu ludzkich, fotograficznych obiektów i automatycznych sond.

Pirx nie przyznał się nikomu do myśli, jakie towarzyszyły tym zachłannym lekturom, lecz Boerst, bystry i bezwzględny, jak przystało na prymusa, wydobyl na jaw jego tajemnicę i uczynił go na kilka tygodni pośmiewiskiem kursu: zrobił z niego „kanałowca Pirxa”, który w astronomii obserwacyjnej ufundował doktrynę „credo, quia non est”. Albowiem Pirx wiedział przecież, że nie ma żadnych kanałów i że, co gorsze, a co chyba jeszcze okrutniejsze, nie ma w ogóle niczego, co by je przypominało. Jakże mógł nie wiedzieć, skoro Mars był zdobyty od lat, skoro zdawał areograficzne kolokwia i nie tylko musiał orientować dokładne mapy fotograficzne pod okiem asystentów, ale na praktycznych zajęciach lądował, w symulatorze, na tym samym dnie Agathodaemona, na którym teraz stał, pod kloszem Projektu, przed półką z dwustuletnim dorobkiem astronomii, stanowiącym muzealny zabytek. Ma się rozumieć, że wszystko to wiedział, lecz wiedza ta tkwiła w jego głowie gdzieś zupełnie osobno, nie podlegała sprawdzeniom, jakby były jednym wielkim oszustwem. Jak gdyby nadal istniał jakiś inny, nieosiągalny, pokryty zarysem geometrycznym, tajemniczy Mars.

Podczas lotu na linii Aresterra jest taki czas, taka strefa, z której doprawdy zaczyna się widzieć gołym okiem — i to widzieć trwale, godzinami — to, co Schiaparelli. Lowell i Pickering obserwowali tylko w mgnieniach atmosferycznego zastoju. Przez bulę je można zobaczyć kanały — czasem przez dobę, niekiedy przez dwie — formujące się nikłym rysunkiem w tle burej, nieprzyjaznej tarczy. A potem, gdy glob zbliży się bardziej, poczynają nikać, rozpuszczać się, jeden po drugim rozplývają się w nicłość, nie zostaje po nich najślabszy ślad, a tylko wyzbyta wszelkich ostrych konturów tarcza planetarna zdaje się swoją nudną, szarą obojętnością drwić z nadziei, jakie wzbudziła. Zapewne: po dalszych tygodniach lotu coś wreszcie wyłania się definitywnie i już nie rozplýwa, ale wtedy są to po prostu wyszczerbione obrzeża największych kraterów, dzikie nagromadzenia zwietrzałych skał, bezładne rumowiska, utopione w głębokich pokładach burego piachu, niepodobne w niczym do tamtej czystej precyzji geometrycznego rysunku. Swój chaos planeta objawia z bliska już uległe i ostatecznie, niezdolna wycofać się z tak naocznego obrazu miliardoletniej erozji; chaos ów nie daje się wprost pogodzić z tamtym pamiętnym, czystym rysunkiem, który stanowił zarys czegoś, co przemawiało tak intensywnie i budziło takie wzruszenie, ponieważ szło o logiczny ład, o niezrozumiały, ale manifestujący swą obecność sens jakiś, który domagał się jedynie znaczniejszego wysiłku — dla ogarnięcia.

Więc gdzież on właściwie był i co kryło się w tak szyderczym mirażu? Projekcja siatkówki oka, jej optycznych mechanizmów? Aktywności wzrokowej kory mózgu? Na to pytanie nikt nie zamierzał udzielić odpowiedzi, ponieważ problem, kiedy upadł, podzielił los wszystkich przekreślonych, przez postęp zgruchotanych hipotez: wymieciono go do rupieciarni. Skoro nie było kanałów ani nawet czegoś szczególnego w rzeźbie planety, co by w wyjątkowy sposób stwarzało ich doskonałe wrażenie — nie było o czym mówić, nad czym się zastanawiać. Więc dobrze się stało, że tych trzeźwiących rewelacji nie dożył żaden „kanalista”, tak samo jak żaden z „antykanalistów”, ponieważ zagadka wcale nie została rozwiązana: ona tylko znikła. Są przecież inne planety o niewyraźnych tarczach; kanałów nie widziano na żadnej — nigdy. Nikt ich nie dostrzegł, nikt nie rysował. Czemu? Nie wiadomo.

Zapewne, można było snuć hipotezy i na ten temat: potrzebna była szczególna mieszanina dystansu i powiększenia optycznego, przedmiotowego chaosu i podmiotowej tęsknoty za

porządkiem, ostatnich śladów tego, co, wyłaniając się z mętnej plamki w okularze, trwając poza granicą postrzegalności, sekundowo do niej jednak prawie że docierało; czyli — niechby najniklejszego oparcia i nieświadomych jego potrzeby rojeń, żeby został napisany ten rozdział, zamknięty już, astronomii.

Żądając od planety, aby się opowiedziała po jednej ze stron, trwając na pozycjach gry do końca uczciwej, pokolenia areologów schodziły do grobu twardo wierząc w to, że sprawa dostanie się wreszcie przed właściwe trybunały, że zostanie do końca, sprawiedliwie i wyraźnie rozstrzygnięta. Pirx czuł, że oni wszyscy — choć, dla rozmaitych przyczyn, w niejednakowy sposób — poczuliby się zawiedzeni i oszukani, gdyby mogli dostąpić dokładnego oświecenia, jakie stało się jego udziałem. W tym przekreśleniu pytań i odpowiedzi, w totalnej nieodpowiedniości pojęć względem zagadkowego obiektu — była jakaś gorzka, ale istotna, okrutna, ale pouczająca lekcja, która — przeszło go nagle olśnienie — miała związek z tym, w co teraz wszedł i nad czym łamał sobie głowę.

Związek starej areografii z katastrofą „Ariela”? Ale jaki? I jak należało rozumieć to mętne, chociaż tak intensywne wyobrażenie? Nie wiedział. Był jednak zupełnie pewien, że tego połączenia tak niepodobnych do siebie, tak odległych spraw ani teraz, w środku nocy, nie przejrzy — ani nie zapomni. Należało rzecz przespać. Gasząc światło pomyślał jeszcze, że Romani musiał być o wiele bogatszym duchowo człowiekiem, niżby się dało przypuścić. Te książki stanowiły jego własność prywatną, a o każdy kilogram osobistych rzeczy, przywożonych na Marsa, szły spory; rozważny zarząd Projektu pozawieszał w ziemskim kosmodromie instrukcje i apele do poczucia lojalności pracowników, tłumacząc, jak obciążanie rakiet zbędnym balastem szkodzi sprawie. Dopraszano się racjonalności, a sam Romani, w końcu kierownik Agathodaemona, naruszył owe przepisy i zasady, przywożąc kilkadziesiąt kilogramów dzieł wszechstronnie zbędnych — po co właściwie? O tym, aby je mógł czytać, nie było mowy.

Już w ciemności uśmiechnął się, senny, do myśli, która wyjaśniała rację tych bibliofilskich staroci pod kloszem marsjańskiego Projektu. Zapewne, nic nikomu tu po takich książkach, po ewangeliach i zburzonych prorocत्वach. Ale wydawało się rzeczą godziwą, więcej — konieczną, żeby myśli tych ludzi, którzy oddali, co mieli najlepszego, zagadce czerwonej planety, znalazły się — przy pełnym już pogodzeniu najzacieklejszych przeciwników — na Marsie. To im się należało; a Romani, który rzecz rozumiał, był godnym zaufania człowiekiem.

Zbudził się o piątej z kamiennego snu, od razu trzeźwy, jakby wyszedł z chłodnej wody, i mając jeszcze kilka chwil dla siebie — dał sobie pięć minut, nieraz tak robił — pomyślał o dowódcy rozbitego statku. Nie wiedział, czy Klyne mógł uratować „Ariela” z trzydziestoma ludźmi załogi, ale nie wiedział też, czy Klyne próbował walczyć. To było pokolenie racjonalistów, podciągali się do niezawodnie logicznych sojuszników — komputerów, bo stawiały coraz większe wymagania, gdy je ktoś chciał kontrolować. Toteż łatwiej było się zdać na nie ślepo. On tego nie potrafił, chociażby sto razy chciał. Tę nieufność miał w kościach. Włączył radio.

Burza wybuchła. Spodziewał się jej, lecz zaskoczyły go rozmiary hysterii. Trzy kwestie dominowały w radiowym przeglądzie prasy: podejrzenia o sabotaż, niepewność losu statków lecących na Marsa i — oczywiście — konsekwencje polityczne całej sprawy. Największe dzienniki były ostrożne w wysuwaniu hipotezy sabotażu, ale prasa brukowa tu sobie pofolgowała. Moc było też krytyki stutysięczników: że ich nie wypróbowano dostatecznie, że nie mogły startować z Ziemi, a — co gorsze — niepodobna było zawrócić ich z drogi, bo brakło im dostatecznej rezerwy paliwa; nie dałoby się ich też wylądować na okołomarsjańskich orbitach. To była prawda; musiały stanąć na Marsie. Ale trzy lata wcześniej próbny prototyp, co prawda z innym nieco modelem komputera, lądował na Marsie kilkakrotnie z pełnym powodzeniem. Domorośli rzeczoznawcy zdawali się o tym nie

wiedzieć. Rozpętała się też kampania zmierzająca do zniszczenia politycznych popleczników Projektu Marsa; nazywano go wręcz szaleństwem. Musiały już gdzieś być gotowe listy wykroczeń przeciwko bezpieczeństwu prac na obu przyczółkach, krytykowano sposób zatwierdzania projektów i testowania prototypów, suchej nitki nie zostawiono na czołowych postaciach marsjańskiego zarządu; ogólny ton był kasandryczny.

Kiedy zgłosił się o szóstej do kierownictwa, okazało się, że nie należy już do żadnej komisji, bo tę ich samozwańczą organizację Ziemia zdążyła anulować; mogli robić, co chcieli, ale wszystko miało się rozpocząć od nowa, oficjalnie i legalnie, dopiero po przyłączeniu ziemskiej grupy. Zdymisjowane gremium znalazło się jak gdyby w korzystniejszej niż wczoraj sytuacji: skoro nie miało o niczym decydować, tym swobodniej można było przygotować postulaty i wnioski dla instancji wyższej, to znaczy ziemskiej. Sytuacja materiałowa była w Wielkiej Syrcie dość złożona, ale nie krytyczna, natomiast brak dostaw musiał rozłożyć przyczółek Agathodaemona w ciągu miesiąca; o tym, by Syrta mogła mu przyjść z efektywną pomocą, nie było mowy. Brakowało nie tylko budowlanych materiałów, ale nawet wody. Wprowadzenie reżimu najwyższej oszczędności na bieżąco było konieczne. Słuchał tego Pirx jednym uchem, bo tymczasem dostarczono aparaturę rejestrującą ze sterowni. Szczątki ludzkie znajdowały się już w pojemnikach; co do tego, czy będą pochowane na Marsie, nie podjęto jeszcze decyzji. Rejestratów nie można było badać niezwłocznie, potrzebne były niejaki przygotowania i dlatego omawiano sprawy nie związane bezpośrednio z przyczynami i przebiegiem katastrofy: czy mobilizacja największej ilości mniejszych statków nie odwróciłaby groźby zagłady Projektu, czy dałoby się nimi dostarczyć życiowego minimum ładunków w dostatecznie krótkim czasie — przy czym Pirx pojmował racjonalność takich poszukiwań, ale zarazem trudno mu było nie myśleć o obu stutysięcznikach znajdujących się na kursie Marsa, które owymi uwagami jak gdyby już z góry przekreślano; jakby uznawano, że o ich dalszym ruchu na tej linii nie może być mowy. Więc co się miało z nimi stać — skoro musiały lądować? Wszyscy obecni znali już reakcję amerykańskiej prasy, a na bieżąco dostarczono na salę radiogramy ze streszczonymi wystąpieniami polityków — niedobrze to wyglądało: Projekt jeszcze nie zdążył, ustami swoich przedstawicieli, rozpocząć składania wyjaśnień, a już znalazł się pod ogniem koncentrycznego oskarżenia. Pojawiały się nawet epitety pomawiające o „zbrodniczą lekkomyślność”. Pirx nie chciał mieć z tym nic wspólnego, toteż koło dziesiątej wymknął się z zadymionej sali i skorzystawszy z grzeczności mechaników obsługi kosmodromu, pojechał małym łazikiem na miejsce katastrofy.

Dzień, jak na Marsa, był raczej ciepły i prawie pochmurny. Niebo przybrało rzadki, nie tyle rdzawy, co niemal różowy kolor; w takich chwilach wydaje się, że Mars posiada własną, odmienną od ziemskiej, surową urodę, nieco zawoalowaną, jakby nie oczyszczoną, która niebawem wyłoni się w mocniejszych promieniach Słońca spod pyłowych zamieci i brudnych smug, lecz oczekiwania takie nie chcą się spełniać; nie chodzi o zapowiedź, lecz o najlepszy z pejzaży, jakie planeta ma do pokazania. Pozostawiwszy przysadzisty, do bunkra podobny budynek kontroli lotów o półtorej mili za sobą, dojechali do końca startowych płyt, bo zaraz dalej łazik beznadziejnie ugrzązł. Pirx miał na sobie lekki półskafander, jakim się wszyscy tu posługiwali, jaskrawoniebieski, dużo wygodniejszy od wysokopróżniowego, z lżejszym też tornistrem, dzięki otwartemu obiegowi tlenowemu; coś jednak źle działało w klimatyzacji, bo gdy spotniał od szybszych ruchów — trzeba się było przedzierać przez lotne wydmy — zaraz mu zamgliło szybę w hełmie; tyle że tutaj nie było to nieszczęściem, bo pomiędzy pierścieniem hełmu a piersiową częścią skafandra zwiślały, niczym korale indora, luźne woreczki, w które wtykało się rękę, i od środka można było sobie przetrzeć szkło, sposobem wprawdzie prymitywnym, ale skutecznym.

Dno ogromnego leja było zapchane maszynami gaśnicowymi: wykop, którym dotarto do sterowni, przypominał istny otwór kopalnianego szybu, był nawet osłonięty z trzech stron

płatami żebrowanej blachy aluminiowej dla ochrony przed zsypywaniem się piasku. Połowę leja zajmowała centralna część kadłuba, wielka jak transatlantyk wyrzucony burzą na ląd i rozbity o skały; pod nią krzątało się z pięćdziesięciu ludzi, ale i oni, i ich dźwigi z koparkami wyglądały jak mrówki u zwłok olbrzyma. Sam dziób rakiety, prawie nietknięty, liczący sobie osiemnaście metrów, nie był stąd widoczny, bo impet cisnął nim o kilkaset metrów dalej; siła miażdżąca zderzenia była straszna, skoro znajdowano grudki nadtopionego kwarcu — energia ruchu zmieniła się momentalnie w ciepła, dając termiczny skok jak przy upadku meteoru, chociaż szybkość nie była wszak zbyt znaczna: w granicach dźwiękowej. Pirx odniósł wrażenie, że dysproporcja pomiędzy środkami, jakimi dysponował Agathodaemon, a ogromem wraku — nie jest wystarczającym usprawiedliwieniem sposobu prowadzenia eksploracji; było to oczywiście improwizowanie, ale było też w tym improwizowaniu nieco bałaganu, prawdopodobnie wywołanego świadomością, że szkoda jest wprost niewyobrażalnie ogromna. Nie ocalała nawet woda, bo wszystkie cysterny co do jednej popękały i piasek pochłonął tysiące hektolitrow, nim reszta obróciła się w lód. Ten lód zwłaszcza robił makabryczne wrażenie, ponieważ z kadłuba — rozprutego na długość dobrych czterdziestu metrów — wywalały się brudne, połyskliwe lodospady, opierając się dziwnymi festonami o wydmy, jakby eksplodująca rakietą wyrzuciła z siebie całą zimową Niagarę. Ale też było osiemnaście stopni zimna, a w nocy temperatura spadła do sześćdziesięciu. Przez ten lód, kaskadą szklący bok „Ariela”, wrak wyglądał niesamowicie staro, można było sądzić, że leży tu od niepamiętnych czasów. Trzeba było go rozbijać i kuć, żeby dostać się do wnętrza kadłuba, albo też penetrować je od strony szybu. Wyciągano tamtędy ocalałe pojemniki, których stopy widać było tu i tam na stoku leja, ale działało się to jakoś niemrawo. Dostęp do rufowej części był wzbroniony; rozpięte na linach, furkotały zawzięcie czerwone chorągiewki — znaki radioaktywnego skażenia. Pirx obszedł górą, po obwałowaniu, teatr katastrofy; naliczył dwa tysiące kroków, nim znalazł się ponad okopconymi lejami dysz; zżymał się patrząc, jak robotnicy wyciągali i nie mogli wyciągnąć jedynej ocalałej cysterny z olejem pędym, bo im się łańcuchy wciąż ześlizgiwały; zdawało mu się, że jest tu niezbyt długo, kiedy ktoś dotknął jego ramienia i pokazał mu zegar butli tlenowej. Ciśnienie spadło i trzeba było wracać, bo zapasowej nie wziął. Zegarek, ten nowy chronometr, wyjawiał, że tkwił u szczątków niemal dwie godziny.

Sala obrad zmieniła się: miejscowi zasiadali z jednej strony długiego stołu, po drugiej zaś ustawili technicy sześć dużych płaskich telewizorów; że jednak, jak zwykle, coś jeszcze nie chciało grać w łączności, odroczone obrady do pierwszej. Haroun, technik–telegrafista, którego Pirx znał przelotnie z Wielkiej Syrty, a który żywił dlań, nie wiedzieć czemu, wielkie uszanowanie, dał mu pierwsze powielone odbitki taśm z tak zwanej nieśmiertelnej komory „Ariela”; były to utrwalone decyzje rozrządu mocy, Haroun zaś nie miał prawa wręczyć mu ich nieoficjalnie, ale Pirx ocenił właściwie ów gest. Zamknął się w swym pokoiku i pod silną lampą zaczął na stojąco przeglądać jeszcze wilgotnawy wąż plastikowej taśmy. Obraz był tyleż wyraźny, co niezrozumiały. W 317 sekundzie procedury, dotąd bezbłędnie czystej, pojawiły się w obwodach kontroli prądy pasożytnicze, które w następujących sekundach przybrały postać dudnień. Dwukrotnie wygaszone, po przerzuceniu obciążeń na równoległe, rezerwowe części sieci, wróciły w spotęgowaniu, a dalej tempo pracy czujników narosło trzykrotnie względem normy. To, co miał w rękę, nie było rejestrem pracy samego komputera, lecz jego „rdzenia pacierzowego”, który, pod zarządem automatycznej zwierzchności, uzgadniał otrzymane polecenia ze stanem agregatów napędowych. Układ ten nazywano niekiedy „mózdzkiem”, przez analogię do mózdzku zawiadującego też u człowieka — jako stacja kontroli między korą a ciałem — korelacją ruchów.

Obejrzał sobie wykres pracy „mózdzku” z największą uwagą. Wyglądało tak, jakby komputerowi spieszyło się, jakby — nie naruszając w niczym procedury — domagał się w jednostce czasu coraz większej ilości danych o podzespołach. Spowodowało to informacyjny

tłok i wystąpienie prądów pasożytniczych, mianowicie echowych; odpowiednikiem ich byłby u zwierzęcia nadmiernie spotęgowany tonus, czyli taka skłonność do zaburzeń motoryki, jaką zwie się pogotowiem drgawkowym. Nic z tego nie rozumiał. Nie miał, co prawda, najważniejszych taśm, utrwalających decyzje samego komputera; Haroun dał mu to, czym sam dysponował. Ktoś zapukał do drzwi. Pirx schował taśmy do nesesera i wyszedł na korytarz; stał tam Romani.

— Nowi panowie też chcą, żeby pan uczestniczył w pracach komisji — powiedział. Nie był taki wydrenowany z sił, jak poprzedniego dnia, wyglądał już nieźle, chyba pod wpływem antagonizmów powstających w organizowanej tym osobliwym sposobem komisji. Pirx pomyślał, że zgodnie z prostą logiką rzeczy nawet niechętni sobie „Marsjanie” Agathodaemona i Syrty zjednoczą się, jeśli „nowi panowie” będą chcieli narzucić im własną koncepcję postępowania.

Komisja, ta nowo utworzona, składała się z jedenastu osób. Przewodniczył nadal Hoyster, ale jedynie dlatego, że nikt nie mógł podołać temu zadaniu, pozostając na Ziemi; obrady, w których uczestniczyli ludzie oddaleni o 80 milionów kilometrów, nie mogły iść sprawnie i jeśli zdecydowano się na tak ryzykowne rozwiązanie, to na pewno pod wpływem rozmaitych nacisków, jakie musiały już działać na Ziemi. Katastrofa uczyniła antagonizmy, także polityczne, w których ognisku od dawna działał cały Projekt.

Zrazu rekapitulowano jedynie uzyskane wyniki — dla Ziemi. Pirx znał spośród nich tylko głównego dyrektora stoczni, van der Yoyta. Barwny obraz telewizyjny, przy doskonałej wierności, dodawał mu jakby monumentalnych rysów; było to popiersie ogromnego człowieka z twarzą zarazem obwisłą i odętą, pełną władczej energii, otoczoną kłębam dymu, jakby go tam gdzieś podkadzano — niewidzialnym cygarem, gdyż ręce van der Yoyta były niewidoczne. To, co mówiło się na sali, słyszał z czterominutowym opóźnieniem, a jego głos dopiero po następnych czterech minutach mógł tu rozbrzmieć. Pirx poczuł do niego od razu niechęć, bo główny dyrektor zdawał się zasiadać wśród nich sam jeden — jak gdyby inni ziemscy rzeczoznawcy, co oczami mrugali z pozostałych ekranów, byli figurantami.

Gdy Hoyster skończył, przyszło czekać osiem minut, ale Ziemianie nie chcieli na razie zabierać głosu: van der Voyt zażądał taśm z „Ariela”, które już leżały przy mikrofonie Hoystera. Każdy członek komisji otrzymał powielony ich komplet. Nie było tego dużo, zważywszy, że rejestraty obejmowały tylko ostatnich pięć minut pracy sterowniczego kompleksu. Taśmy, przeznaczone dla Ziemi, wzięli na cel kamerzyści, a Pirx zajął się swoimi, od razu odłożywszy na bok te, które już znał dzięki Harounowi.

Komputer podjął decyzję odwrócenia procedury lądowania na startową w 339 sekundzie. Nie był to start zwykły, lecz ucieczka w górę, jakby przed meteorami — więc właściwie nie wiadomo co, bo miało to wygląd rozpaczliwej improwizacji. To, co się działo potem, owe zwariowane skoki krzywych na taśmach podczas runięcia — uznał Pirx za całkiem nieistotne, ponieważ szło tam już tylko o sposób, w jaki komputer dławił się, nie mogąc wypić nawarzonego przez siebie piwa. Istotne było teraz nie analizowanie szczegółów makabrycznej agonii, lecz przyczyna decyzji równoznacznej w efekcie z aktem samobójczym.

Przyczyna ta pozostała niejasna. Komputer pracował od 170 sekundy pod olbrzymim stresem i wykazywał niesamowite przeciążenie informacyjne, ale takim mądrym łatwo było okazać się teraz, bo widziało się wszak końcowe skutki jego pracy; o tym, że jest przeciążony, zawiadomił swoją sterownię, to znaczy — ludzi „Ariela”, dopiero w 201 sekundzie procedury. Już wtedy dławiał się danymi — a żądał wciąż nowych. Zamiast wyjaśnień dostali w ręce nowe zagadki. Hoyster dał im dziesięć minut czasu na obejrzenie taśm i spytał potem, kto chce zabrać głos. Pirx podniósł palec jak w szkolnej ławce. Nim otworzył usta, inżynier Stotik, który był przedstawicielem stoczni i miał baczyć na przebieg rozładunku stutysięczników, zauważył, że trzeba zaczekać — być może, jako pierwszy zechce przemówić ktoś z Ziemi. Hoyster zawahał się. Był to nieprzyjemny incydent, zwłaszcza że doszło do

niego już na samym początku; Romani poprosił o głos w sprawie formalnej i oświadczył, że jeśli dbałość o równouprawnienie zasiadających w komisji odbije się szkodliwie na płynności obrad, ani on, ani nikt z ludzi Agathodaemona w komisji pracować nie zamierza. Stotik wycofał się i Pirx mógł wreszcie mówić. — To jest podobno udoskonalona wersja AIBM 09 — rzekł. — Ponieważ przelatałem z AIBM 09 prawie tysiąc godzin procedur, mam pewne praktyczne spostrzeżenia co do jego pracy. Na teorii się nie znam. Wiem tyle, ile muszę wiedzieć. Chodzi o pracujący w realnym czasie komputer, który musi zawsze zdążyć z przerabianiem danych. Słyszałem, że ten nowy model ma przepustowość o 36 procent większą niż AIBM 09. To sporo. Na podstawie materiału, który dostałem, mogę powiedzieć, że było tak: komputer wprowadził statek w normalny tok lądowania, a potem sam zaczął sobie utrudniać pracę, żądając od podzespołów coraz większej ilości danych na jednostkę czasu. Efekt był taki, jakby dowódca kompanii odrywał coraz większą ilość ludzi od walki po to, żeby z nich robić gońców czy informatorów; postępując w ten sposób, byłby pod koniec bitwy doskonale poinformowany, tyle że nie miałby już żołnierzy, nie miałby się kim bić. Komputer nie tyle został udławiony, ile sam się udławił. Zablokował się tą eskalacją i musiałby się zablokować, nawet gdyby miał dziesięć razy większą przepustowość — o ile nie przestałby podwyższać wymagań. Mówiąc bliżej matematyki: redukował sobie przepustowość po eksponencie, wskutek czego „mózdzek” — jako kanał węższy — zawiódł pierwszy. Opóźnienia pojawiły się w „mózdzku”, a potem przeskoczyły do samego komputera. Wchodząc w stan informacyjnego zadłużenia, czyli przestając być maszyną czasu realnego, komputer zagłuszył się sam i musiał podjąć decyzje radykalną, więc powziął decyzję startu, czyli wyinterpretował powstałe zakłócenie jako skutek z zewnątrz pochodzącej awarii.

— Dał ostrzeżenie meteorytowe, jak pan to tłumaczy? — spytał Seyn.

— W jaki sposób mógł się przełączyć z procedury głównej na podrzędną — nie wiem. Nie znam się na tym, bo nie znam się na budowie komputera, przynajmniej w sposób dostateczny. Dlaczego dał ten alarm? Nie wiem. W każdym razie jest dla mnie niezbite, że to on był winien.

Teraz trzeba już było czekać na Ziemię. Pirx był pewien, że van der Voyt zaatakuje go. i nie omylił się. Mięśista, ciężka twarz spojrzała na niego przez dym cygara, zarazem oddalona i bliska; kiedy van der Voyt odezwał się, jego bas był uprzejmy, a oczy uśmiechnięte życzliwie, z taką wszechwiedną dobroduszością, jakby się preceptor zwracał do rokującego nieźle ucznia.

— Więc komandor Pirx wyklucza sabotaż? Ale na jakiej podstawie? Co znaczą słowa „on jest winien”? Kto — „on”? Komputer? Ale przecież komputer, jak sam komandor Pirx przyznał, pracował do końca. A więc program? Ale ten program nie różni się w niczym od programów, dzięki którym komandor Pirx lądował setki razy. Czy pan uważa, że ktoś dokonał manipulacji nad programem?

— Nie mam zamiaru wypowiadać się na temat, czy zaszedł jakiś sabotaż — rzekł Pirx. — To mnie na razie nie interesuje. Gdyby komputer i program były w porządku, to „Ariel” stałby tu cały, a nasza rozmowa nie byłaby potrzebna. Na podstawie taśm twierdzę, że komputer pracował we właściwym kierunku, w obrębie właściwej procedury, ale tak, jak gdyby chciał okazać się perfekcjonistą, któremu żadna osiągnięta sprawność nie wystarcza. Żądał danych o stanie rakiety w rosnącym tempie, nie uwzględniając ani własnych możliwości granicznych, ani pojemności kanałów zewnętrznych. Dlaczego tak działał, nie wiem. Ale właśnie tak działał. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Nikt z „Marsjan” się nie odezwał. Pirx, z nieruchomą twarzą, dostrzegł błysk satysfakcji w oku Seyna i milczące zadowolenie, z jakim Romani poprawił się na krześle. Po ośmiu minutach znów odezwał się van der Voyt. Tym razem nie mówił do Pirxa. Nie mówił też do komisji. Był samą swadą. Przedstawił drogę, jaką przebywa każdy komputer — od montażowej taśmy do sterowni

okreću. Agregaty składało w częściach osiem rozmaitych firm, japońskich, francuskich i amerykańskich. Nie wypełnione jeszcze pamięcią „nic nie wiedzące” jak noworodki, jechały do Bostonu, gdzie w zakładach „Syntronics” odbywało się ich programowanie. Po tym kolejnym akcie każdy komputer podlegał procedurze, która jest niejako odpowiednikiem nauk szkolnych, gdyż składa się zarówno z dostarczania pewnych „doświadczeń”, jak i z poddawania „egzaminom”. Tak jednak badano tylko sprawność ogólną; „studia specjalistyczne” rozpoczynał komputer w fazie następnej. W niej dopiero stawał się z uniwersalnej maszyny cyfrowej — sternikiem raket typu „Ariela”. I wreszcie podłączano go na roboczym stanowisku do symulatora, który imitował niezliczone sekwencje zająć z tych, co bywają składowymi kosmicznej podróży: nieprzewidziane awarie, defekty zespołów, sytuacje trudnego manewru, także przy niesprawnych układach napędowych, pojawianie się na bliskim dystansie innych rakiet, obcych ciał. Każdą z tych naśladowanych przygód odgrywano w setkach wariantów: zakładając raz statek załadowany, a raz pusty, raz poruszający się w wysokiej próżni, a raz wchodzący w atmosferę, stopniowo komplikując symulowane sytuacje — aż do pojawienia się najtrudniejszych problemów wielu ciał w polu grawitacyjnym, kiedy to zmuszano maszynę, by przewidywała ich ruchy i orientowała bezpiecznie kurs swego statku.

Symulatorem także był komputer pełniący rolę „egzaminatora”, i to perfidnego; wstępnie utrwalony program „uczni” poddawał niejako dalszym obróbkom, próbom na wytrzymałość i sprawność; jakkolwiek więc elektronowy zwiadowca sterów nigdy nie prowadził naprawę statku, kiedy go montowano wreszcie na pokładzie rakiety, miał większe doświadczenie i wyższą sprawność niż wszyscy razem wzięci ludzie, co kiedykolwiek parali się kosmiczną nawigacją. Tak trudnych zadań, jakim musiał komputer podołać na stanowiskach symulacyjnych, nigdy nie spotyka się w rzeczywistości; aby zaś stuprocentowo wykluczyć wszelką możliwość prześlizgnięcia się nieszczęśliwie doskonałego egzemplarza przez to ostatnie sito, nadzór nad pracą dwójki „sternik + symulator” pełnił człowiek, doświadczony programista, który ponadto musiał posiadać wieloletni staż praktycznego pilotażu, przy czym „Syntronics” nie zadowolili się zaangażowaniem na te odpowiedzialne stanowiska pilotów: pracowali tam wyłącznie kosmonauci powyżej rangi nawigatora, czyli tacy, co mieli ponad tysiąc godzin głównych procedur na swoim koncie zawodowym. W ostatniej instancji od tych ludzi zależało więc, jakim testom z nieprzebranego ich katalogu zostanie poddany kolejny komputer; fachowiec wyznaczał rozmiary trudności do pokonania, a powodując symulatorem, dodatkowo komplikował „egzamin”, bo naśladował, w toku rozwiązywania zadań, nagle i groźne niespodzianki: wypadanie mocy, rozogniskowanie ciągów, sytuacje kolizyjne, przebicia powłoki zewnętrznej, utratę łączności z naziemną kontrolą podczas lądowania, i nie ustawał w tym, aż upłynęło sto godzin standardowych testów. Egzemplarz, który okazałby w nich najmniejszą zawodność, był kierowany na powrót do pracowni, jak kiepski uczeń, któremu przychodzi powtarzać rok. Wyniósłszy tym przemówieniem produkcję stoczni ponad wszelkie zarzuty, chcąc pewno zatrzeć wrażenie takiej obrony, w pięknych okresach prosił van der Voyt komisję o bezkompromisowe zbadanie katastrofy i jej przyczyn, za czym odezwali się specjaliści ziemscy. Rzecz utonęła od razu w zalewie uczonej terminologii. Pojawiły się na ekranach schematy ideowe i blokowe, wzory, wykresy, zestawienia numeryczne, i Pirx widział z osłupieniem, że znajdują się na najlepszej drodze obrócenia sprawy w pogmatwany casus teoretyczny. Po głównym informatyku mówił cyfronik Projektu Schmidt; Pirx przestał go rychło słuchać. Nie zależało mu na tym, aby dzięki czujności wyjść obronną ręką z kolejnego starcia z van der Voytem, jeśli do niego przyjdzie. Było to zresztą coraz mniej prawdopodobne: wystąpienia jego nikt nie wspominał, jakby szło o nietaktowny wyskok, który godzi się najrychlejszym zapomnieć. Następni mówcy wleźli już na wysokie piętra ogólnej teorii sterowania. Pirx wcale nie podejrzewał ich o złą wolę: po prostu rozważnie nie opuszczali terenu, na którym czuli się mocni, a van der Voyt z

ufną powagą przysłuchiwał się im, w dymie cygara, bo stało się to, do czego zmierzał: prym wzięła w obradach Ziemia i „Marsjanie” pozostali w rolach biernych słuchaczy. Zresztą nie dysponowali żadnymi rewelacjami. Komputer „Ariela” był elektronicznym gruzem, którego badanie nie mogło dać żadnych rezultatów. Rejestraty obrazowały z grubsza, co zaszło, ale nie, czemu się tak stało. Nie opisują one wszystkiego, co się dzieje w komputerze: do tego byłby potrzebny inny, większy komputer, a gdyby uznać, że i ten może ulec defektowi, należałoby z kolei nadzorować nadzorcę, i tak w nieskończoność. Tak więc znaleźli się na szerokich wodach abstrakcyjnej analizy. Głębia wypowiedzi osłaniała prosty fakt, że katastrofa nie ograniczała się do zagłady „Ariela”. Stabilizację olbrzyma, schodzącego na planetę, przejęły od ludzi automaty tak dawno, że był to fundament, niewzruszalny grunt wszystkich działań — który nagle usunął się spod nóg. Żaden z modeli gorzej zabezpieczonych i prostszych nigdy nie zawiódł, więc jakże mógł zawieść model doskonalszy i pewniejszy? Jeśli to było możliwe, możliwe było wszystko. Zwątpienie, raz zaatakowany niezawodność urządzeń, nie mogło się już zatrzymać na żadnej granicy. Wszystko grzęzło w niepewności. Tymczasem „Ares” i „Anabis” zbliżały się do Marsa. Pirx siedział jakby zupełnie sam, bliski rozpaczy. Doszło właśnie do klasycznego sporu teoretyków, który coraz dalej odwoził ich od samego wydarzenia z „Arielem”. Patrząc w zarazem otyłą i masywną twarz van der Voyta, dobrotliwie patronującą obradom, Pirx odnajdywał w jej wyrazie podobieństwo do oblicza starego Churchilla, z jego pozorną dystrakcją, której zadawało kłam drgnienie ust odzwierciedlające uśmiech wewnętrzny, skierowany ku myśli skrytej ciężkimi powiekami. To, co było wczoraj jeszcze nie do pomyślenia, stawało się prawdopodobne — jako próba skierowania obrad ku werdyktowi, który zrzuciłby odpowiedzialność na siłę wyższą, może na fenomeny dotychczas nie znane, na lukę w samej teorii, z konkluzją, że trzeba podjąć zakrojone na wielką skalę i na całe lata badania. Znał podobne, chociaż mniejsze kalibrem sprawy i wiedział, jakie siły musiała uruchomić katastrofa; za kulisami toczyły się już wyteżone starania o kompromis, zwłaszcza że Projekt, tak zagrożony w całości, był skłonny do niejednego ustępstwa za cenę uzyskania pomocy, a tej mogły właśnie udzielić zjednoczone stocznie, chociażby dostarczając na dogodnych warunkach flotylli mniejszych statków dla zapewnienia dopływu dostaw. Wobec rozmiarów stawki — boż chodziło już o byt całego Projektu — katastrofa „Ariela” stawała się przeszkodą do usunięcia, jeśli nie można jej było niezwłocznie wyjaśnić. Nie takie afery nieraz już zamazywano. Miał wszakże jeden atut. Ziemianie przyjęli go, musieli wyrazić zgodę na jego obecność w komisji, ponieważ był w niej jedynym człowiekiem związanym z załogami raket mocniej niż ktokolwiek inny z obecnych. Nie miał złudzeń: wcale nie szło o jego dobre imię ani o kompetencje. W komisji był po prostu nieodzowny przynajmniej jeden kosmonauta czynny, zawodowiec, co właśnie zeszedł z pokładu. Van der Voyt palił w milczeniu cygaro. Zdawał się wszystkowiedny, ponieważ rozsądnie milczał. Wolałby pewno kogoś innego na miejscu Pirxa, ale skoro go lichy nadało, zabrakło pretekstu, żeby się go pozbyć. Gdyby więc, przy mglistym werdykcie, złożył swoje votum separatum, zyskałoby znaczny rozgłos. Prasa wietrzyła skandale i czyhała tylko na taką okazję. Związek Pilotów i Klub Przewoźników nie stanowiły potęg, ale sporo od nich zależało — ci ludzie kładli przecież głowy pod Ewangelię. Toteż Pirx nie zdziwił się, usłyszawszy podczas przerwy, że van der Voyt chce z nim mówić. Przyjaciel potężnych polityków otworzył rozmowę żartem, że to jest spotkanie na szczycie — dwóch planet. Pirx miewał niekiedy odruchy, którym sam się potem dziwił. Van der Voyt palił cygaro i zwilżał sobie gardło piwem, on zaś poprosił, by mu przyniesiono kilka kanapek z bufetu. Słuchał więc głównego dyrektora w pomieszczeniach łączności, jedząc. Nic nie mogło ich lepiej zrównać.

Van der Voyt jakby nie wiedział, że się poprzednio starli. Nic takiego nigdy po prostu nie zaszło. Podzielał jego troskę o załogi „Anabisa” i „Aresa”; dzielił się z nim swymi kłopotami. Oburzała go nieodpowiedzialność prasy, jej histeryczny ton. Prosił go o ewentualne

opracowanie małego memoriału w sprawie następnych lądowań: co można zrobić dla zwiększenia ich bezpieczeństwa. Pokładał w nim takie zaufanie, że Pirx przeprosił go na chwilę i wystawiwszy głowę przed drzwi kabiny kazał sobie dołożyć sałatki śledziowej. Van der Voyt basował mu i ojcował, a Pirx rzekł znienacka:

— Mówił pan o tych rzeczoznawcach nadzorujących symulację. Kto to jest z nazwiska?

Van der Voyt zdziwił się po ośmiu minutach, ale to było jedno mgnienie oka.

— Nasi „egzaminatorzy”? — uśmiechnął się szeroko. — Sami pana koledzy, komandorze. Mint, Stoernhein i Cornelius. Stara gwardia... Wytypowaliśmy dla „Syntronics” najlepszych, jakich można było znaleźć. Pan ich na pewno zna!

Dłużej nie mogli rozmawiać, bo zaczynały się obrady. Pirx zapisał karteczkę i podał ją Hoysterowi z uwagą: „To bardzo pilne i bardzo ważne.” Przewodniczący odczytał więc zaraz ów tekst, zwrócony do kierownictwa stoczni. Trzy pytania: 1) W jaki sposób zmianowo pracują naczelnicy kontrolerzy symulacyjni Cornelius, Stoernhein i Mint? 2) Czy i jaka jest odpowiedzialność ponoszona przez kontrolerów w wypadku przeoczenia błędnych funkcji lub innych uchybień pracy obciążanego komputera? 3) Kto z nazwiska nadzorował testowanie komputerów „Ariela”, „Anabisa” i „Aresa”?

Wywołało to poruszenie na sali: Pirx najwyraźniej dobierał się do najbliższych mu ludzi — czeigodnych zasłużonych weteranów kosmonautyki! Ziemia potwierdziła ustami głównego dyrektora odebranie tych pytań; odpowiedzi miano udzielić w ciągu kilkunastu minut.

Oczekiwał jej zgryziony. Źle się stało, że zdobywał informacje na tak oficjalnej drodze. Ryzykował nie tylko animozję kolegów, lecz i osłabienie własnej pozycji w rozgrywce, gdyby miało dojść do votum separatum. Czy próba wyjścia śledztwem poza sprawy techniczne, ku ludziom, nie mogła być wyłożona jako uleganie naciskom van der Yoyta? Widząc w tym interes stoczni, generalny dyrektor niezwłocznie by go pograżył, dostarczając prasie odpowiednich napomknien. Rzuciłby jej Pirxa na pożarcie jako niezręcznego sojusznika... Lecz nie pozostawało nic innego, jak ten ślepy strzał. Na zdobywanie informacji prywatnie, drogą okólną, nie było czasu. Co prawda, nie żywił żadnych określonych podejrzeń. Czym się więc kierował? Dość mętными wyobrażeniami o niebezpieczeństwach czających się zawsze nie po stronie ludzi i nie po stronie automatów, lecz na styku — tam, gdzie jedni kontaktują się z drugimi, bo sposób rozumowania ludzi i komputerów jest tak niesamowicie różny. I jeszcze tym, co wyniósł z chwili spędzonej przed półką starych książek, a czego nie potrafiłby nawet wyrazić. Odpowiedź przyszła rychło: każdy kontroler prowadził swoje komputery od początku do końca testów, kładąc zaś podpis na akcie noszącym nazwę „świadczenia dojrzałości”, ponosił odpowiedzialność za dysfunkcyjne przeoczenia. Komputer „Anabisa” badał Stoernhein, pozostałe dwa — Cornelius. Pirx miał ochotę wyjść z sali, na co nie mógł sobie jednak pozwolić. Już i tak czuł narastające wokół napięcie. Obrady zakończyły się o jedenastej. Udał, że nie dostrzega znaków, jakie dawał mu Romani, i wyszedł czym prędzej, jakby uciekał. Zamknąwszy się w swojej klitce, gruchnął na łóżko i podniósł oczy do sufitu. Mint i Stoernhein nie liczyli się. Pozostawał tedy Cornelius. Umysł racjonalny i naukowy zacząłby rzecz od zapytania, co takiego mógł właściwie przeoczyć kontroler? Niezwłoczna odpowiedź, że zupełnie nic, zamknęłaby i tę odnogę śledztwa. Pirx nie był jednak naukowym umysłem, więc pytanie takie nie przyszło mu nawet do głowy. Nie próbował też zastanawiać się nad samą procedurą testową, jakby czuł, że i to źle się dla niego skończy. Myślał po prostu o Corneliusie takim, jakim go znał, a znał go nieźle, choć rozstali się przed wielu laty. Stosunki ich układały się kiepsko, w czym nic dziwnego, zważywszy, że Cornelius był dowódcą „Gulliwera”, on zaś młodszym nawigatorem. Układały się jednak gorzej niż zwykle w takiej sytuacji, gdyż Cornelius był potworem dokładności. Nazywano go mękalem, skrupulatem, liczykrupą i łowcą much, ponieważ potrafił zmobilizować pół załogi dla pogoni za muszką na pokładzie. Pirx uśmiechnął się na myśl o swych osiemnastu miesiącach pod skrupulatem Corneliusiem; teraz mógł sobie na to pozwolić, wtedy wychodził ze skóry. Cóż to

był za nudziarz! A jednak wszedł nazwiskiem do encyklopedii w związku z badaniami zewnętrznych planet, zwłaszcza Neptuna. Mały, szarawy na twarzy, wiecznie zły, podejrzewał wszystkich o to, że chcą go oszukać. W rzeczy, jakie opowiadał — że przeprowadza osobiste rewizje załóg, bo mu ludzie szmuglują muchy na pokład — nie wierzono, ale Pirx akurat wiedział, że nie było to zmyślenie. Cornelius miał w szufladzie pudło pełne proszku DDT i potrafił zastygać w rozmowie z podniesionym palcem (biada temu, kto nie zamarł na ów znak), łowiąc uchem to, co mu się wydało bzyknięciem. W kieszeni nosił pion i metr stalowy; kontrola ładunku w jego wykonaniu przypominała wizję lokalną na miejscu katastrofy, która wprawdzie nie zaszła jeszcze, ale nadciąga. Miał w uszach okrzyk: „Liczydło idzie, kryj się!” — po którym mesa pustoszała; pamiętał szczególny wyraz oczu Corneliusa, które jak gdyby nie brały udziału w tym, co akurat robił lub mówił, lecz nawiercały otoczenie, poszukując w nim nie doprowadzonych do ładunku miejsc. W ludziach latających dziesiątkami lat gromadzą się dziwactwa, ale Cornelius był ich rekordzistą. Nie znosił niczyjej obecności za plecami, a kiedy przypadkiem siadł na krześle, na którym ktoś siedział przed chwilą, i wyczuł to po ciepłym siedzeniu, zrywał się jak oparzony. Był z tych, których wyglądu w młodości w ogóle nie można sobie wyobrazić. Nie opuszczał go wyraz zgnębienia niedoskonałością wszystkich dokoła; cierpiał, ponieważ nie mógł ich nawrócić na swoją pedantyczność. Pukając palcem w rubryki, po dwadzieścia razy w kółko sprawdzał...

Pirx zamarł. Potem usiadł powoli, jakby stał się ze szkła. Myśl, biegnąc wśród chaotycznych wspomnień, zawadziła niewidzialnie o coś i było to niczym pogłos alarmu. Co właściwie? Że nie cierpiał nikogo za plecami? Nie. Że zamęczał podwładnych? I co z tego? Nic. Ale jakby blisko. Był teraz jak chłopiec, który błyskawicznie zamknął garść, by pochwycić żuczka i trzyma zaciśniętą pięść przed nosem — bojąc się ją otworzyć. Powoli. Cornelius, prawda, słyszał ze swoich rytuałów. (Czy to?... — zatrzymywał się na próbę myślenia.) Kiedy przychodziło do zmiany przepisów, wszystko jedno jakich, zamykał się z urzędowym pismem w kajucie i nie wyszedł z niej, dopóki nie wykuł nowości na pamięć. (To było teraz jak zabawa w „ciepło–zimno”. Czuł, że się oddala...) Rozstali się dziewięć, nie — dziesięć lat temu. Cornelius znikł dziwnie, jakoś raptownie, na szczycie rozgłosu, który zawdzięczał eksploracji Neptuna. Mówiono, że wróci na pokład, a locję wyklada tylko czasowo, lecz nie wrócił. Naturalna rzecz, był przy pięćdziesiątce. (Znow nie to.) A n o n i m . (Słowo to wypłynęło nie wiedzieć skąd.) Jaki znow anonim? Że jest chory i dysymuluje? Że grozi mu zawał? Skąd. Ten anonim to była zupełnie inna historia, innego człowieka — Corneliusa Craiga, tu — imię, tam — nazwisko. (Pomyliłem się?... Tak.) Lecz anonim nie chciał szczeznąć. Dziwna rzecz, nie mógł się odkleić od tego słowa. Im energiczniej je odrzucał, tym idiotyczniej wracało. Siedział skurczony. W głowie — muł. Anonim. Teraz był już niemal pewien tego, że słowo to przesłania jakieś inne. To się zdarza. Wskoczy fałszywe hasło i nie można ani pozbyć się go, ani zderzyć z tego, które zakrywa. A n o n i m .

Wstał. Na półce, pamiętał, tkwił między marsjanami gruby słownik. Otworzył go na chybił trafił przy „AN”. Ana. Anakantyka. Anaklasyka. Anakonda. Anakreontyk. Anakruza. Analekta. (Ilu słów człowiek nie zna...) Analiza. Ananas. A n a n k e (greckie): Bogini przeznaczenia. (To...? Ale co ma wspólnego bogini...) Także: przymus.

Łuski spadły. Zobaczył biały gabinet, plecy lekarza, który telefonował, okno otwarte i papiery na biurku, które podwijał przeciąg. Zwykle badanie lekarskie. Nie starał się wcale przeczytać maszynowego tekstu, ale oczy same pochwyciły drukowane litery, jako chłopiec jeszcze uczył się uporcezywie czytania do góry nogami. „Warren Cornelius, rozpoznanie: Syndrom anankastyczny.” Lekarz zauważył rozsypkę papierów, zebrał je i schował do teczki. Czy nie był ciekaw, co oznaczała ta diagnoza? Chyba tak, ale czuł, że to nie byłoby w porządku — a potem zapomniał. Ile lat temu? Co najmniej sześć. ,

Odstawił słownik, jednocześnie poruszony, rozgrzany wewnątrz, ale i rozczarowany. Ananke — przymus, więc chyba nerwica natręctw. Nerwica natręctw! Czytał o niej, co się

tylko dało, jako chłopiec jeszcze — była taka rodzinna sprawa — chciał się dowiedzieć, co to znaczy i pamięć, chociaż nie bez oporu, przecież udzielała wyjaśnień. Już co jak co, ale pamięć miał dobrą. Powracały zdania lekarskiej encyklopedii w krótkich błyskach olśnień, bo się od razu nakładaly na postać Corneliusa. Widział go teraz zupełnie inaczej niż dotąd. Było to zarazem wstydlive i żalosne widowisko. A więc to dlatego mył ręce po dwadzieścia razy dziennie i musiał uganiać się za tymi muchami, i wściekał się, gdy zginęła mu kartka-zakładka do książki, i trzymał ręcznik pod kluczem, i nie mógł siadać na cudzym krześle... Jedne czynności przymusowe rodziły następne, coraz mocniej obłąził go ich pomiot, aż stawał się pośmiewiskiem. Nie uszło to w końcu uwadze lekarzy. Zdjęli go z pokładu. Gdy Pirx wyteżył pamięć, wydało mu się, że na samym dole stronicy znajdowały się trzy słowa rozstrzelone: „niezdolny do lotów”. A że psychiatra nie znał się na komputerach, pozwolił mu pracować w „Syntronics”. Pewno uznał, że to właśnie doskonałe miejsce dla takiego skrupulata. Co za pole do popisu dla pedanterii! Corneliusa musiało to podnieść na duchu. Praca użyteczna i — co najważniejsze — w najściślejszym związku z kosmonautyką...

Leżał z oczami wlepionymi w sufit i nie musiał się nawet specjalnie wysilać, żeby sobie wyobrazić Corneliusa w „Syntronics”. Co tam robił? Nadzorował symulatory przy obciążaniu okrętowych komputerów. To znaczy — utrudniał im pracę, a dawanie szkoły było jego żywiołem. Niczego lepiej nie umiał. Ten człowiek musiał żyć w stałej rozpacz, że wezmą go w końcu za wariata, jakim nie był. W sytuacjach prawdziwie krytycznych nigdy nie tracił głowy. Był dzielny, ale tę dzielność na co dzień zjadały mu po trochu natręctwa. Pomiedzy załogą i swoim pokreconym wnętrzem musiał się czuć jak między młotem a kowadłem. Patrzył na cierpiętника nie dlatego, że ulegał owym musom, że był szalony, ale dlatego właśnie, że z tym walczył i bezustannie szukał pretekstów, usprawiedliwień, potrzebne były mu te regulaminy, chciał się nimi wytłumaczyć, że to nie on wcale, że to nie z niego ten wieczny dryl. Nie miał duszy kaprala — no bo czy w takim wypadku czytałby Poego, historie makabryczne i niesamowite? Może szukał w nich swojego piekła? Mieć w sobie taki kłębek druczianych musów, takie żerdzie jakies, tory, i wciąż się z tym bić, zgniatać to, wciąż od nowa... Na dnie tego wszystkiego był strach, że stanie się coś nieprzewidzianego, przeciw temu się tak wciąż dozbrajał, musztrował, ćwiczył, te jego próbne alarmy, wizytacje, kontrole, bezsenne łożenie po całym statku, wielki Boże — wiedział, że się z niego w kułak śmieją, może nawet pojmował, jakie to wszystko niepotrzebne. Czy jest do pomyślenia, że on się na tych komputerach tam jakby mścił? Że im dawał szkołę? Jeśli i tak było, chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. To się nazywa wtórna racjonalizacja. Wytłumaczył sobie, że właśnie tak powinien postępować.

Zadziwiająca rzecz, jak przyłożenie do tego, co już poprzednio wiedział, co znał w postaci szeregu anegdot — całkiem innego języka, terminów medycznych, nadawało zdarzeniom nowy sens. Mógł zajrzeć w głąb, a pozwalał na to wytrych, jakiego dostarcza psychiatria. Mechanizm cudzej osobowości objawiał się nagi, zwięzły, zredukowany do garstki nieszczęsnych odruchów, którym nie można ująć. Myśl o tym, że można być lekarzem i tak właśnie traktować ludzi, nawet żeby im pomagać, wydała mu się do niesamowitości odpychająca. Zarazem rozcieńczona aura błazeństwa, co otaczała jakby nikłą obwódka wspomnienia o Corneliusie, szczyła. W tym nowym, niespodziewanym widzeniu nie było miejsca na przymieszkę cwaniackiego, złośliwego humoru rodem ze szkoły, koszar i pokładów. Nie było nic w Corneliusie, z czego można by się śmiać.

Praca w „Syntronics”. Zdawałoby się — idealnie dostosowana do człowieka: obciążać, wymagać, komplikować do granicy wytrzymałości. Mógł wreszcie wyswobodzić uwięzione w sobie musy. Dla nie wtajemniczonych wyglądało to znakomicie: stary praktyk, doświadczony nawigator przekazuje swoją najlepszą wiedzę automatom; cóż może być lepszego? A on miał przed sobą niewolników i nie musiał się powściągać, skoro nie byli

ludźmi. Schodzący z taśmy komputer jest jak noworodek: tak samo zdatny do wszystkiego, a nic nie umie.

Pobieranie nauk jest wzrostem specjalizacji i zarazem utratą pierwotnego niezróżnicowania. Na stanowisku kontroli komputer pełni rolę mózgu, gdy symulator jest naśladowcą ciała. Mózg podłączony do ciała — oto właściwa analogia.

Mózg musi orientować się w stanie i gotowości każdego mięśnia, podobnie komputer — ma znać stan okrętowych zespołów. Wysyła elektrycznymi drogami rojowiska pytań, jakby ciskał tysiące naraz piłeczek we wszystkie zakątki metalowego olbrzyma, i z ehowych odpowiedzi tworzy sobie obraz rakiety i jej otoczenia. W tę niezawodność wkroczył człowiek cierpiący na lęk przed niespodziewanym i zwalczający go rytuałami natręctw. Symulator stał się narzędziem przymusu, wcieleniem jego lękowych zagrożeń. Działał w zgodzie z zasadą naczelną: bezpieczeństwa. Czy to nie wyglądało na chwalebny gorliwość? Jak on się musiał starać! Normalny tok uznał niebawem za nie dość pewny. Im trudniejsza sytuacja statku, tym szybciej należy się o niej informować. Uważał, że tempo sprawdzania agregatów ma być skorelowane z wagą procedury. A ponieważ najważniejsza jest procedura lądowania... Czy zmienił program? Ani trochę, jak nie zmienia przepisów podręcznika kierowcy ten, kto sprawdza silnik auta co godzina zamiast raz dziennie. Toteż program nie mógł się mu opierać. Dążył w kierunku, w którym program nie miał zabezpieczeń, bo coś takiego nie przyszło do głowy żadnemu programiście. Jeżeli tak przeciążony komputer zawodził, Cornelius kierował go na powrót do działu technicznego. Czy zdawał sobie sprawę z tego, że zaraża je natręctwami? Chyba nie, był praktykiem, nie orientował się w teorii, skrupulat niepewności — takim był też wychowawcą maszyn. Przeciążał komputery, ale cóż — nie mogły się przecież skarżyć. Były to nowe modele, przypominające zachowaniem gracza w szachy. Komputer-gracz pobije każdego człowieka pod warunkiem, że jego pedagogiem nie będzie jakiś Cornelius. Komputer przewiduje ruchy partnera na dwa-trzy posunięcia naprzód; gdyby usiłował je przewidywać na dziesięć ciągów, udławiłby się nadmiarem możliwych wariantów, bo one rosną wykładniczo. Dla przewidzenia dziesięciu możliwych ruchów kolejnych na szachownicy nie wystarczy i trylionowość operacji. Takiego samoparalizującego się szachistę zdyskwalifikowałyby pierwsza rozgrywka. Na pokładzie rakiety nie było to zrazu widoczne: można obserwować tylko wejścia i wyjścia układu, nie to, co dzieje się w środku. W środku narastał tłok, na zewnątrz wszystko biegło normalnie — do czasu. A więc tak je układał — i takie repliki umysłu, który ledwo sprawia się z realnymi zadaniami, bo tyle sobie wytworzył fikcyjnych — stanęły u steru stutysięczników. Każdy z tych komputerów cierpiał na syndrom anankastyczny: przymusowe powtarzanie operacji, komplikowanie czynności prostych, manieryzm, obrzędowość, uwzględnianie „wszystkiego naraz”. Nie naśladowały oczywiście lęku, a tylko strukturę właściwych mu reakcji; paradoksalne: to właśnie, że były nowymi, udoskonalonymi modelami o zwiększonej pojemności, przyczyniło się do ich zguby, ponieważ tak długo mogły przecież działać mimo stopniowego zadławiania obwodów sygnałowym tłokiem. Ale w zenicie Agathodaemona jakaś ostatnia kropla przepełniła czarę: może były nią pierwsze uderzenia wichury, wymagające błyskawicznych reakcji, ale zagwoźdzony lawiną, którą sam w sobie rozpętał, komputer nie miał już czym sterować. Przestał być urządzeniem czasu realnego, nie nadążał już z modelowaniem zająć rzeczywistych — tonął w urojeniach... Znajdował się naprzeciw olbrzymiej masy: tarczy planetarnej — i program nie pozwalał mu po prostu zrezygnować z kontynuowania procedury, raz wszczętej, chociaż zarazem kontynuować jej już nie mógł. Wyinterpretował więc sobie planetę jako meteor leżący na kursie kolizyjnym, ponieważ to była ostatnia otwarta furтка, ponieważ taką jedyną ewentualność dopuszczał program. Nie mógł przekazać tego ludziom w sterowni, bo nie był przecież rozumującym człowiekiem! Rachował do końca, obliczał szansę: zderzenie było pewną zagładą, ucieczka — tylko w dziewięćdziesięciu kilku procentach, wybrał więc ucieczkę: awaryjny start!

Wszystko to układało się logicznie — lecz bez najmniejszego dowodu. Nikt nie słyszał dotąd o takim wypadku. Kto mógł potwierdzić przypuszczenia? Zapewne psychiatra, który leczył Corneliusa, i pomógł mu, a może tylko zezwolił, objąć tę pracę. Ale przez wzgląd na tajemnicę lekarską nie powiedziałby nic. Rozłamać ją mógłby tylko wyrok sądowy. Tymczasem „Ares” za sześć dni...

Pozostawał Cornelius. Czy domyślał się? Czy pojmował teraz, po tym, co się stało? Pirx nie potrafił się wczuć w sytuację starego dowódcy. Było to niedotykalne jak za ścianą ze szkła. Jeśli powstały w nim nawet jakieś wątpliwości, sam nie dopowie ich sobie do końca. Będzie się bronił przed takimi konkluzjami, to chyba oczywiste...

Rzecz wyjdzie przecież na jaw — po kolejnej katastrofie. Jeśli w dodatku „Anabis” wyląduje cało, rachuba czysto statystyczna — że zawiodły komputery, za które odpowiada Cornelius — skieruje podejrzenia w jego stronę. Zaczną brać pod lupę każdy szczegół i wtedy, po nitce do kłębka...

Ale nie można przecież czekać z założonymi rękami. Co robić? Wiedział dobrze: skasować całą pamięć maszynową „Aresa”, przekazać oryginalny program drogą radiową, informatyk pokładowy da sobie z tym radę w ciągu kilku godzin.

Ale by wystąpić z czymś takim, trzeba mieć w ręku dowody. Niechby tylko jeden. Niechby, na koniec, same poszlaki: ale on nie miał nic. Jedno wspomnienie, sprzed lat, jakiejś historii choroby, do góry nogami odczytanej w dwu wierszach... przezwiska i ploteczki... anegdoty, jakie opowiadano o Corneliusie... katalog jego dziwactw... Niepodobna wystąpić przed komisją z czymś takim jako dowodem schorzenia i przyczyna katastrofy. Jeśli nawet, rzucając takie oskarżenie, nie zważać na starego człowieka, to pozostaje „Ares”. Przez czas trwania operacji statek będzie jak ślepy i głuchy, skoro pozbawiony komputera.

Najważniejszy był „Ares”. Rozważał projekty już na pół szalone: jeśli nie może zrobić tego oficjalnie, czy nie wystartować i nie wysłać „Aresowi” ostrzeżenia i opisu tego myślowego śledztwa — z pokładu „Cuiviera”? Mniejsza o konsekwencje, ale to było zbyt ryzykowne. Nie znał dowódcy „Aresa”. Czy sam podporządkowałby się radom obcego człowieka w oparciu o takie hipotezy? Przy zupełnym braku dowodów? Wątpliwe...

Pozostawał więc już tylko sam Cornelius. Znał jego adres: Boston, zakłady „Syntronics”. Ale jakże zażądać, by ktoś tak nieufny, pedantyczny i skrupulatny przyznał się do popełnienia właśnie tego, czemu usiłował przez całe życie zapobiec? Być może, po rozmowach w cztery oczy, po perswazjach, po wskazaniu na groźbę zawisłą nad „Aresem”, wyraziłby zgodę na to ostrzeżenie i poparłby je, bo był uczciwym człowiekiem. Ale w dyskusji prowadzonej między Marsem i Ziemią, z ośmiominutowymi pauzami, naprzeciw ekranu, a nie żywego rozmówcy, obruszyć takie oskarżenie na głowę bezbronnego, żądać, żeby się przyznał do zabójstwa — choć nieumyślnego — trzydziestu ludzi? Niemożliwe.

Siedział na łóżku ściskając jedną rękę w drugiej, jakby się modlił. Odczuwał bezmierne zdziwienie, że to możliwe: tak wszystko wiedzieć i tak nic nie móc! Objął wzrokiem książki na półce. Dopomogły mu — własną przegraną. Przegrali wszyscy, ponieważ spierali się o kanały, czyli o to, co rzekomo było na odległej planecie, w szklach teleskopów, a nie o to, co było w nich samych. Spierali się o Marsa, którego nie widzieli; widzieli dno własnych umysłów, z niego wylęgły się obrazy heroiczne i fatalne. W przestrzeń dwustu milionów kilometrów rzutowali własne rojenia — zamiast nad sobą się zastanowić. Także i tutaj każdy, kto pakował się w gąszcz teorii komputerów i w niej szukał przyczyn katastrofy, oddalał się od sedna rzeczy. Komputery były bezwonne i neutralne, tak samo jak Mars, do którego on też żywił jakieś bezsensowne pretensje, jak gdyby świat był odpowiedzialny za majaki, które usiłuje mu narzucić człowiek. Ale te stare książki zrobiły już wszystko, co mogły. Nie widział wyjścia.

Na ostatniej, dolnej półce była i beletrystyka; wśród kolorowych grzbietów wypełżył niebieskawy tom Poego. Więc i Romani go czytał? On sam nie lubił Poego za sztuczność

języka, wymyślność wizji, która nie chciała się przyznawać do tego, że jest rodem ze snu. Ale dla Corneliusa była to prawie Biblia. Bezmyślnie wyjął ów tom, otworzył mu się w rękach na spisie rzeczy. Odczytał tytuł, który go poraził. Cornelius dał mu to raz, po wachcie, zachwalał tę opowieść o wykryciu mordercy fantastycznie wyreżyserowanym, nieprawdopodobnym sposobem. Potem on sam jeszcze chwalić ją musiał fałszywie — wiadomo, dowódca ma zawsze rację...

Najpierw tylko bawił się pomysłem, który go nawiedził, potem zaczął się do niego przymierzać. Było to trochę jak sztubacki kawał — a zarazem jak podły cios w plecy. Dzikie, niewydarzone, okrutne — ale kto wie, czy nie skuteczne w tej właśnie sytuacji: żeby wysłać w depeszy te cztery słowa. Być może te podejrzenia są jedną brednią, Cornelius, do którego odnosiła się historia choroby, to całkiem inny człowiek, a ten obciążał komputery dokładnie podług normatywów i do niczego nie może się poczuwać. Otrzymałszy taką depeszę, wzruszy ramionami, myśląc, że jego dawny podwładny pozwolił sobie na kretyński dowcip, w najwyższym stopniu odrażający — ale też nic więcej nie pomyśli i nie uczyni. Jeśli jednak wiadomość o katastrofie wzbudziła w nim niepokój, nieokreślone podejrzenie, jeżeli już się po trosze zaczyna domyślać własnego udziału w nieszczęściu i stawia tym domysłem opór, cztery słowa depeszy uderzą go jak grom. Poczucie się w oka mgnieniu przejrany na wylot — w tym, czego sam nie považył się sformułować do końca, a zarazem winny: nie będzie mógł wtedy ująć już myśli o „Aresie” i o tym, co go czeka; gdyby nawet próbował się przed tym bronić, telegram nie da mu spokoju. Nie zdoła siedzieć z założonymi rękami, w biernym oczekiwaniu; telegram zajdzie mu za skórę, dobierze się do sumienia, a wtedy — co? Pirs znał go dostatecznie, by wiedzieć, że stary nie zgłosi się do władz, nie złoży zeznań, tak samo jak nie pocznie myśleć o najwłaściwszej obronie i sposobach umknięcia odpowiedzialności. Jeżeli raz uzna, że ponosi odpowiedzialność, bez jednego słowa, w milczeniu, uczyni to, co uzna za właściwe.

A więc nie można tak postąpić. Jeszcze raz przeszedł wszystkie warianty — gotów iść do samego diabła, żądać rozmowy z van der Voytem, gdyby cokolwiek rokowała... Ale nikt nie mógł pomóc. Nikt. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby nie „Ares” i te sześć dni czasu. Nakłonienie psychiatry do zeznań; obserwacja sposobów, jakimi Cornelius testował komputery; sprawdzanie „Aresowego” komputera — wszystko to wymagało tygodni. A więc? Przygotować starego jakąś wiadomością zapowiadającą, że... Ale wówczas wszystko spali na panewce. Tamten znajdzie w obolałej psychice wybiegi, kontrargumenty, w końcu najuczciwszy człowiek świata też ma instynkt samozachowawczy. Pocznie się bronić albo raczej będzie po swojemu milczał wzgardliwie, gdy tymczasem „Ares”...

Doznawał uczucia zapadania się, wszystko odtrącało go, jak w tym innym opowiadaniu Poe'go, Studnia i wahadło, gdzie martwe otoczenie milimetr po milimetrze zaciska bezbronny, popychając go ku otchłani. Jaka może być większa bezbronność od bezbronności cierpienia, które trafiło kogoś i za to właśnie ma się go podstępnie ugodzić? Jaka może być większa podłość?

Zaniechać? Milczeć? Pewno, że to było najłatwiejsze! Nikt nigdy nawet się nie domyśli, że miał w ręku wszystkie nici. Po kolejnej katastrofie sami wpadną na trop. Raz uruchomione śledztwo dotrze wreszcie do Corneliusa i...

Ale jeśli tak właśnie jest, jeśli nie osłoni starego dowódcy nawet zachowując milczenie... nie ma do tego prawa. Nic już więcej nie pomyślał, bo zaczął działać, jakby wyzbyty wszelkich wątpliwości.

Na parterze było pusto. W kabinie laserowej łączności siedział jeden tylko dyżurny technik: Haroun. Wysłał taką depeszę: Ziemia, USA, Boston, „Syntronics Corporation”, Warren Cornelius: THOU ART THE MAN. I podpisał się z dodatkiem: członek komisji do zbadania przyczyn katastrofy „Ariela”. Miejsce wysłania depeszy: Mars, Agathodaemon. To było wszystko. Wrócił

do siebie i zamknął się. Ktoś pukał potem do drzwi, słychać było głosy, ale nie dał znaku życia. Musiał być sam, bo przyszły tortury myśli, jakich się spodziewał. Na to nie było już żadnej rady.

Czytał późną nocą Schiaparellego, żeby nie wyobrażać sobie po sto razy w różnych wariantach, jak Cornelius, unosząc szpakowate, nastroszone brwi, bierze do ręki depeszę z nagłówkiem Marsa, jak rozkłada szeleszczący papier i odsuwa od dalekowzrocznych oczu. Ze Schiaparellego nie rozumiał ani słowa; a kiedy odwracał stronicę, wybuchało w nim bezmierne zdumienie przemieszane z dziecinnym prawie żalem: jak to, więc to ja? ja — potrafiłem coś takiego zrobić?

Nie miał przecież wątpliwości: Cornelius tkwił w potrzasku jak mysz; brakło mu luzu, szpary dla najmniejszego uniku, nie dopuszczała go sytuacja samym swoim kształtem nadanym jej przez zgrupowanie zdarzeń; więc swoim spiczastym, wyraźnym pismem rzucił na papier kilka zdań wyjaśnienia, że działał w dobrej wierze, lecz bierze na siebie całą winę, podpisał się i o trzeciej trzydzieści — w cztery godziny po otrzymaniu depeszy — strzelił sobie w usta. W tym, co napisał, nie było jednego słowa o chorobie, żadnej próby usprawiedliwiania się, nic.

Jak gdyby zaakceptował czyn Pirxa tylko w tym, co się wiązało z ocaleniem „Aresa” i postanowił wziąć w tym ocaleniu udział — ale w niczym nadto. Jak gdyby wyraził mu jednocześnie rzeczową aprobatę i pełną wzdrgę za tak zadany cios.

Być może zresztą Pirx mylił się. Jakkolwiek tkwi w tym pewna niewspółmierność, szczególnie dolegał mu we własnym uczynku jego koturnowo–teatralny styl, rodem z Poego. Podszedł Corneliusa jego umiłowanym pisarzem i w jego stylu, który mu brzmiał fałszywie, od którego się zżymał, bo nie upatrywał zgrozy życia w zwłokach powracających zza grobu, co wskazują okrwawionym palcem mordercę. Zgroza ta była, zgodnie z jego doświadczeniem, raczej szydercza niż malownicza. Towarzyszyła refleksji nad zmianą roli, jaką Mars odgrywał w dwu następujących po sobie epokach, kiedy z nieosiągalnej, czerwonej plamki na nocnym niebie, objawiającej na wpół czytelne znaki obcego rozumu, stał się terenem zwyczajnego życia, a więc mozolnych zmaganiań, politycznych konszachtów, intryg, światem uciążliwej wichury, zamętu i strzaskanych rakiet, miejscem, z którego można było nie tylko dostrzec poetycznie błękitną iskrę Ziemi, ale i ugodzić na niej śmiertelnie człowieka. Niepokalany, bo na wpół domyślny Mars wczesnej areografii szezł, pozostawiając po sobie tylko owe brzmiące jak formuły i zaklęcia alchemików — nazwy grecko–łacińskie, których materialne podłoże deptało się ciężkimi butami. Zaszła nieodwołalnie za horyzont epoka wysokich sporów teoretycznych i ginąc ukazała dopiero swoje prawdziwe oblicze — marzenia żywiącego się własną niespełnialnością. Pozostał tylko Mars żmudnych prac, ekonomicznej rachuby i takich szarobrudnych świtów jak ten, w którym poszedł na obrady komisji z dowodem w ręku.